

ELIZABETH MOON

ZASADY WALKI



Elizabeth Moon

Zasady Walki

(Rules Of Engagement)

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[Podziękowania](#)

[ROZDZIAŁ PIERWSZY](#)

[ROZDZIAŁ DRUGI](#)

[ROZDZIAŁ TRZECI](#)

[ROZDZIAŁ CZWARTY](#)

[ROZDZIAŁ PIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ SZÓSTY](#)

[ROZDZIAŁ SIÓDMY](#)

[ROZDZIAŁ ÓSMY](#)

[ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ DZIESIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ JEDENASTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUNASTY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYNASTY](#)

[ROZDZIAŁ CZTERNASTY](#)

[ROZDZIAŁ PIĘTNASTY](#)

[ROZDZIAŁ SZESNASTY](#)

[ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY](#)

[ROZDZIAŁ OSIEMNASTY](#)

[ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY](#)

Dedykacja

Pamięci ofiar tornada w Jarrell, Texas, 27 maja 1997, a w szczególności Brandi Nicole Smith i Stacy Renee Smith oraz ich matki, Cynthii L. Smith.

Podziękowania

Jak zwykle ci sami podejrzani (już wy wiecie, kto...), ze szczególnym podziękowaniem dla Ellen McLean i Mary Moreli za pomoc w zakresie psychologii. Mary przeczytała pierwszą wersję tekstu i inteligentnie ją skomentowała pomimo padającego deszczu, przeciekającego dachu i martwej myszy w pokoju gościnnym. Okazała heroiczną pomoc w tworzeniu manuskryptu. Diann Thornley podzieliła się ze mną informacjami na temat kursów w szkołach oficerskich. Ruta Duhon pomogła mi w czasie pewnego lunchu przemyśleć jedną z finałowych scen, prawdopodobnie mając dość moich narzekań na brak pomysłów. Anna Larsen i Toni Weisskopf dodali specyficznego smaczku emocjonalnej stronie intrygi. Kathleen Jones i David Watson wzięli na siebie zadanie przeczytania ostatecznej wersji tekstu, i dokonali tego zaledwie w kilka dni. Ich komentarze znacząco poprawiły ostateczną wersję. Debbie Kirk jak zwykle znalazła więcej niż ktokolwiek inny literówek i delikatnie poprawiła moją ortografię. Nieco realizmu dodały powieści pewne anegdoty, którymi podzielili się ze mną ludzie pragnący zachować anonimowość.

Na specjalną wzmiankę zasługują stanowiące tło tej historii części Teksasu. Jedne są prawdziwe (Teksaszczyki wiedzą, które), jedne fikcyjne, a jeszcze inne stanowią elementy teksańskiej mitologii przyszłości. Zniekształcenie historii oraz tradycji Teksasu, zaprezentowane przez występujące w książce postacie, nie odpowiada moim osobistym przekonaniom ani odnośnie do wydarzeń historycznych, ani do tradycji. Czytelników znających historię i mających poczucie humoru może rozbawić zestawienie imion niektórych postaci; wszystkie zamierzone odwołania pochodzą sprzed dwudziestego wieku. (Kuszące było, choć nie aż tak bardzo, zabawienie się współczesną polityką Teksasu.) Wszelka zbieżność nazwisk jest czysto przypadkowa. Ruchy wspomniane w tekście jako historia starożytna są jednak wciąż żywe; nie ma sensu udawać, że natura Bogobojnej Milicji Nowego Teksasu nie jest aż nazbyt bliska niektórym elementom z Waco, Fort Davis, a nawet Oklahomy.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Placówka szkoleniowa Zawodowej Służby Kosmicznej, baza Copper Mountain

W połowie wspinaczki na urwisko Brun zrozumiała, że ktoś próbuje ją zabić. Właśnie przeniosła ciężar ciała z lewej stopy na prawą i postawiła ją na małej półeczce na wysokości bioder, gdy jej mózg przekazał tę informację.

Jej dłonie natychmiast pokryły się potem i słabsza lewa ręka ześlizgnęła się ze skalnej wypukłości. Zanurzyła dłoń w woreczku z talkiem i znów sięgnęła do występu, potem wysuszyła prawą rękę i poprawiła chwyt. Po tylu dniach treningu wykonywała te czynności mechanicznie. Jeśli ktoś próbuje ją zabić, nie powinna mu w tym pomagać, robiąc coś głupiego.

Odciażyła prawą nogę, aby zrobić następny krok w górę. Oczywiście, że ktoś próbuje ją zabić, podobnie jak pozostałych studentów. Wiedziała o tym, przylatując tutaj. Lepiej stracić teraz paru studentów niż mieć na polu walki nie doszkolony personel, którego porażka naraziłaby innych. Jej oddech uspokajał się w miarę docierania do niej rozsądnych argumentów. Prawa stopa... potem ręce odnajdują kolejne uchwyty... później lewa stopa... Wspinaczka podobała jej się niemal od pierwszego dnia szkolenia.

Nagle usłyszała huk i poczuła ukłucie w dłoń; zaczęła spadać, zanim rozpoznała dźwięk i rodzaj bólu. To był strzał. Ktoś do niej strzelił. Trafił ją? Ból był za słaby, a więc musiała dostać odłamkiem skały. Dotarła do końca liny i uderzyła w ścianę z taką siłą, że aż wypchnęła z jej płuc całe powietrze. Stopy i dłonie odruchowo przywarły do skały i odnalazły zaczepy. Wciąż jej dzwoniło w uszach; potrząsnęła głową i połówki jej kasku wspinaczkowego zsunęły się na taśmach jak chitynowe osłonki skrzydeł chrząszcza.

Niech to szlag, pomyślała. Do diabła z rozsądkiem, ktoś próbuje ją zabić, a ona jest na samym środku skalnej ściany. W górę jest za daleko, w dół – 150 stóp spadku w prostej linii. Z prawej strony nic oprócz gładkiej skały, z lewej wąski pionowy komin.

Powiedziano im, żeby tym razem go nie używać, ale wspinała się nim już wcześniej, gdy uczyła się o szczelinach i kominach. Gdyby teraz mogła tam się dostać...

Odepchnęła się; następny strzał trafił w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się jej głowa. Jej dłonie i twarz obsypały odpryski skały. Sięgnęła po następny chwyt, ale nie w panice, lecz jak ktoś, kto dobrze wie, gdzie go szukać. Kimkolwiek był napastnik, miał powód, aby nie strzelać seriami, ale teraz już wiedział, w którą stronę Brun zmierza, i mógł lepiej celować. Zaryzykowała i zsunęła lewą stopę z wypukłości. Na moment zawisała na rękach, szukając nogami podparcia. Potem znalazła jeden chwyt i następny. Szczelina była tuż przed nią. Jej lewa ręka ześlizgnęła się, gdyż sięgnęła za daleko, a w chwili, gdy zakłęła pod nosem, następny strzał roztrzaskał występ, do którego sięgała, znowu obsypując ją deszczem odłamków.

* * *

Rozbicie skalnego występu spowodowało powstanie nowych uchwytów. Po paru sekundach była już w szczelinie, ciągnąc za sobą linę, by móc głębiej się schować. Miała nadzieję, że strzelec nie zna układu komin. Tkwiąc w tym miejscu, w prawie pionowej szczelinie, była równie odsłonięta jak na środku klifu, ale zaledwie dziesięć stóp wyżej komin miał już spiralny kształt i

mogła bezpiecznie schować się przed snajperem.

Poczuła, że ktoś ciągnie za linę. Nie zrozumieli, co się stało... czy może biorą udział w spisku? Bezskutecznie próbowała się zaprzecić.

Nasz Teksas, dawniej Kurzawa-Yahr Kolonia spółki inwestycyjnej

Mitchell Langston Pardue, Ranger Bowie Bogobojnej Milicji Nowego Teksasu, siedział w ciężkim rzeźbionym fotelu i czekał, aż kapitan skończy czytać jego raport. Gładził rzeźbę na prawej poręczy – podobno przedstawiała zwierzę ze Starego Teksasu zwane dilla – i myślał, jak mógłby zasugerować, że kapitan jest idiotą, nie mówiąc tego wprost.

– Mitch, słuchasz mnie? – Pete Robertson, Ranger Travis i Kapitan Rangersów, mówił płaczliwym tonem, który powodował, że Mitch miał ochotę walnąć go czymś ciężkim w łeb. Zaczynał się już starzeć, jego pobrużdżony kark przypominał indyjskie korale.

– Jasne, Kapitanie – odpowiedział. – Mówisz, że potrzebujemy jeszcze więcej kosmicznej broni Familii Regnant, żeby zapełnić nasz pierwszy magazyn. Twój plan ataków na Guernesie zaczyna się opóźniać...

– Stał w miejscu jak muł w bagnie – przerwał mu Kapitan.

– A jeśli będziemy za długo czekać, nie dotrze do nich to, co chcemy im przekazać. – Guernesie zareagowali energicznie na porwanie statku pełnego turystów i odbili go, choć nie obyło się bez ofiar. Potem wprowadzili embargo handlowe i zniszczyli kilka statków, żeby pomścić śmierć swoich ludzi. – Musimy zdobyć więcej broni. Poza tym coś jest nie tak z naszym agentem w kwatery głównej ich floty kosmicznej. Ostatni sygnał, jaki od niego dostaliśmy, nie ma żadnego sensu.

– Cóż, starzeje się – odezwał się Sam Dubois, Ranger Austin.

– Został poddany jednej z tych zakazanych procedur...

– Został odmłodzony – poprawił go Mitch, używając właściwego terminu. – Jakieś dziesięć, piętnaście lat temu zaczęli odmładzać swoich najstarszych podoficerów, a on jest jednym z nich. Gdyby tego nie zrobili, pewnie już nic byśmy od niego nie dostali.

– Ależ to ohydztwo – oświadczył Sam. Był uparty jak muł i trzymał się plebana Wellsa mocniej niż kleszcz.

– Tak, to rzeczywiście ohydztwo – zgodził się Mitch. – Ale diabeł czasem dba o swoich, więc już od jakiegoś czasu prowadzą odmładzanie. Facet ma dopiero osiemdziesiątkę i jego umysł powinien być sprawny nawet bez leków.

– Ale nie jest – stwierdził Kapitan i spojrzał z triumfującą miną na Mitcha. – Zobacz. – Podał mu kartkę papieru.

Mitch przyjrzał się notatce.

– Bełkot – stwierdził po chwili. – Zmienił kody czy co?

– Nie. Myślę, że uległ jakimś pogańskim obrządkom... albo to odmłodzenie zjada mu mózg. Słyszałem o tym. – Skierował na Mitcha badawcze spojrzenie.

– Możliwe – zgodził się Mitch. Wszyscy wiedzieli, że czytał znacznie więcej niebezpiecznej literatury o biomodyfikacjach niż zezwalali plebani. Kapitan próbował złapać go w pułapkę, która dowiodłaby jego skażenia, ale Mitch był na to za sprytny. Miał swój własny plan.

– No i co? – zapytał Sam.

– Kapitanie – rzekł oficjalnie Mitch. – Chciałbym zgłosić pewną propozycję.

– Jasne. – Kapitan nie odwracał wzroku. Mitch omal się nie roześmiał; ten dureń wciąż myśli, że mógłby sam siebie obciążyć.

– Pamiętasz, jeszcze w zeszłym roku pozwoliłeś mi popracować trochę w Familiach.

– Jasne.

– No cóż, sir, rzuciłem ziarno w glebę, i powiem wam, że są tam dusze spragnione prawdziwych słów Boga. – Teraz wszyscy z zainteresowaniem nachylili się ku niemu. – Zdobyłem nieco agentów tu i tam – w dużych firmach handlowych i w regionalnym magazynie broni – i od około sześciu miesięcy płynie stamtąd niezły strumyczek przemytu.

Mitch wyciągnął raport i podał go zebranym.

– Co więcej, panowie, jeśli tylko zechcemy zapełnić całą ładownię bombami czy czymkolwiek innym, mam do tego odpowiedniego człowieka. Pomyślałem, że można by kazać im to załadować razem z transportem broni dla nas. Jest taki statek, który leci skrótem przez opuszczony system; to dobre miejsce na pułapkę.

– I chcesz naszej pomocy, Rangerze Bowie?

– Nie, sir, nie chcę. Z całym szacunkiem, sir, za dużo tutaj się dzieje, żeby odciągać naszych ludzi. Pomyślałem sobie, że wziąłbym resztę Bowiech i zajął się tą sprawą; to powinno pozwolić nam znów skopać zadki Guernesi.

Zapadła cisza, w trakcie której pozostali przetrawiali propozycję i szukali w niej zysków dla siebie. Mitch siedział nieruchomo i czekał.

– A co z załogą tego statku? – zapytał w końcu Kapitan.

Mitch wzruszył ramionami.

– To co zwykle. Wciąż potrzeba nam kobiet, jeśli uda się znaleźć takie, które nie będą zbyt mocno skażone.

– Wiesz, że musieliśmy zrobić niemowy z niemal wszystkich cholernych bab, które tu sprowadziliśmy – stwierdził Sam. – Martwię się ich wpływem na nasze kobiety.

Mitch uśmiechnął się.

– Jesteśmy prawdziwymi mężczyznami i potrafimy panować nad naszymi kobietami. – Pozostali szybko pokiwali głowami, bo nikt nie chciał przyznać się do problemów w tej materii. – Zresztą wiemy, że Bóg się zgadza, ponieważ sprowadzane tutaj kobiety mają silne, zdrowe potomstwo; znacznie mniej dzieci rodzi się z wadami. – To prawda. Wady dzieci odzwierciedlały grzechy rodziców; jeśli porwane kobiety rodziły zdrowe dzieci, to znaczyło, że Bóg raduje się uwolnieniem ich od ohydztw bezbożników.

– Rangerze Bowie, jeśli pleban Wells pobłogosławi twoją misję, dostaniesz moją zgodę – oznajmił Kapitan.

Poczekajcie tylko, aż on, Ranger Bowie, zostanie Kapitanem Rangersów, a wtedy zobaczycie, czy będzie się przed kimś płaszczył. Kiwnął głową, a kiedy przybył pleban, wyjaśnił mu swoją propozycję. Pleban Wells wydał wargi, ale w końcu kiwnął głową.

– Tylko uważaj, Rangerze Bowie, żebyś sam nie uległ zepsuciu.

Mitch uśmiechnął się.

– Tak jest, plebanie. Nie mam zamiaru poddać się pogaństwu.

– Za to zdecydowanie miał zamiar wrócić z bronią, kobietami, bogactwem... i zdobyć stopień Kapitana, zanim całkiem się zestarzeje.

Ośrodek Szkoleniowy ZSK, Copper Mountain

Porucznik Esmay Suiza przybyła do bazy szkoleniowej Copper Mountain pełna nadziei. Wylądowała w wielkim holu recepcyjnym, gdzie czekała na weryfikację tożsamości, patrząc na dwa najbrzydsze malowidła ścienne, jakie kiedykolwiek zdarzyło jej się widzieć. Po prawej stronie, nad kabinami komunikacyjnymi, namalowano walczące w kosmosie statki. W ogóle nie przypominały statków widzianych przez Esmay w przestrzeni, a na widok tła – gwiazd, komet, spiralnych galaktyk – nie potrafiła powstrzymać się od uśmiechu. Po lewej stronie, nad podajnikami bagażu, umieszczono malowidło przedstawiające walkę lądową.

Miało jeszcze mniej wspólnego z rzeczywistością niż to o kosmosie... choćby dlatego, że żaden mundur nigdy nie jest tak czysty. Poza tym artysta miał słabe pojęcie o anatomii i perspektywie, i wszystkie postacie wyglądały tak, jakby były rozgniecione.

Esmay spróbowała z powrotem skupić się na swoich planach.

Zmieniła specjalizację z technicznej na dowódczą i w końcu podążała ku swemu przeznaczeniu, w pełni wykorzystując swoje zdolności. W każdym razie tak sądzili jej dowódcy. Zawarła przyjaźnię, między innymi z Barinem Serrano, który – jeśli miała być szczerą – był kimś znacznie więcej niż przyjacielem. Widząc jego podziw, czuła się jeszcze bardziej utalentowana; jego troska sprawiała, że czuła się kochana. A to wciąż wywoływało w niej niepokój, bo nigdy tak naprawdę nie myślała o miłości, o byciu kochaną, i trudno jej było uwierzyć, że to się rzeczywiście dzieje.

Ale wciąż czuła na twarzy dotyk jego dłoni...

Oderwała się od wspomnień i jeszcze raz zerknęła na scenę bitwy kosmicznej.

– Przerażające, prawda, sir? – zapytał sierżant w pierwszej bramce ochrony. – Podobno obraz jest bardzo stary i cenny, ale tak naprawdę wygląda, jakby namalował go amator bez talentu.

– Pewnie tak właśnie było – odpowiedziała Esmay z szerokim uśmiechem i podała mu swoje rozkazy i dokumenty.

– Mamy nowe zasady, poruczniku: wymagany jest pełen skan identyfikacyjny przed wydaniem pani lokalnych przepustek. Proszę iść wzdłuż żółtej linii do następnego stanowiska.

Na całym obszarze Familii zastrzono procedury bezpieczeństwa; był to naturalny skutek tego, co wydarzyło się w ciągu ostatniego kwartału. Mimo wszystko nie spodziewała się aż takiego poziomu weryfikacji tutaj, w bazie szkoleniowej, do której można było dostać się jedynie przez kontrolowaną przez Flotę stację orbitalną. Skąd mieliby tutaj wziąć się intruzi?

Godzinę później czekała przed kolejnym punktem kontrolnym.

To śmieszne. Ile czasu trzeba na sprawdzenie wzoru siatkówki, a co dopiero pełnego neuroskanu? Burczenie w żołądku przypomniało jej, że złamała jedną z podstawowych zasad wojskowego życia: jeść, gdy tylko jest okazja. Przed opuszczeniem statku mogła porwać jakąś przekąskę, ale dotarcie do Copper Mountain miało potrwać zaledwie kilka godzin.

W końcu wpuścili ją na skan siatkówki.

– Proszę iść wzdłuż żółtej linii, poruczniku – powiedział głos zza ekranu.

– Czy nie możecie po prostu...

– Proszę iść wzdłuż żółtej linii.

Doszła do kolejnej ławki, gdzie miała czekać, aż ją wezwą.

Przed nią był cały oddział żołnierzy z bojowym wspomaganie neuroaktywnym. Słyszała o nich, ale nigdy żadnego nie widziała z bliska. Wyglądali jak normalni ludzie, przypadkiem mający dwa razy więcej mięśni i o połowę mniej tłuszczu. Rozmawiali między sobą, ale gdy podeszła i usiadła na ławce, umilkli. Będąc między nimi, czuła się wyjątkowo krucha.

– Przepraszam, poruczniku... – Podniosła wzrok i zauważyła, że na czoło grupy wysunęła się jedna z kobiet.

– Tak?

– Czy to pani jest tą porucznik Suizą, która służyła na pokładzie *Despite'a* i *Koskiusko*?

Esmay kiwnęła głową.

– Bardzo się cieszę, że mogę panią poznać. Ja... my zastanawialiśmy się, jak jest na zewnątrz w trakcie lotu nadświetlnego.

– Mogłaby nam pani o tym opowiedzieć? Podobno symulacje wprowadzające nie pojawią się wcześniej niż za sześć miesięcy.

– To... naprawdę dziwne – powiedziała Esmay. – Najpierw znikają gwiazdy... – Ale nie zdążyła nic więcej powiedzieć, gdyż właśnie wezwano ją do środka.

– Jeśli nie weźmiemy pani teraz, przesiedzi tu pani całe godziny – wyjaśnił urzędnik. – Ci neurowspomagani zajmą nam wieczność.

Esmay poczuła rodzącą się w żołnierzach falę antypatii; miała tylko nadzieję, że jest ona skierowana do urzędnika, a nie do niej.

– Przepraszam – powiedziała.

– Nic nie szkodzi, poruczniku – rzekła kobieta, która zadała jej pytanie. Na tle ciemnej twarzy jej oczy były uderzająco zielone. Potem spojrzała na urzędnika, i Esmay wcale nie była zaskoczona, słysząc, jak ten głośno wciąga powietrze.

Nie poddawano jej pełnemu neuroskanowi od czasu przyjęcia do Akademii, ale okazało się, że wciąż jest to tak samo nudne.

Musiała leżeć w ciemnych trzewiach maszyny i zgodnie z poleceniami myśleć o różnych rzeczach, na przykład wyobrażać sobie poruszenie małym palcem lewej dłoni.

W końcu było już po wszystkim i żółta linia doprowadziła ją wreszcie z powrotem do biurka, gdzie czekał na nią jej worek wraz z garścią plaketek identyfikacyjnych potrzebnych do poruszania się po kompleksie.

– Kwatery młodszych oficerów i mesa są w tę stronę – poinformował ją sierżant i energicznie zsalutował. Esmay odpowiedziała tym samym i weszła we wskazany korytarz. Po wybraniu specjalizacji technicznej pominęła wiele kursów wymaganych na specjalizacji dowódczej, więc teraz będzie musiała je nadrabiać.

Ale sama sobie jest winna, więc nie będzie dłużej rozwodzić się nad tym. Jej świadomość ukształtowana na Altiplano zmartwiła się szybkością, z jaką jej przeszkolone neurony zwalczyły chwilowy przyływ poczucia winy. Uśmiechnęła się do siebie w duchu. Jej świadomość powinna, podobnie jak cała rodzina, zostać tam, gdzie jej miejsce... Na Altiplano.

Zapisała się w kwaterach oficerskich i mesie, za każdym razem okazując identyfikator, a potem odebrała harmonogram służby i rozkład zajęć. Złożyła swoje rzeczy w 235-H, jednej z wielu

anonimowych skrytek, po czym skierowała się do mesy. Nawet jeśli nie był to czas posiłku, powinni mieć coś dla oficerów przybywających z innych stref czasowych.

Jadalnia była prawie pusta. Kiedy weszła, z kambuza wyrzwał steward.

– Poruczniku?

– Właśnie przyleciałam – powiedziała Esmay. – Nasz statek był...

– Rozumiem, poruczniku. Jest pani opóźniona o... pół dnia, racja? Chce pani pełen posiłek czy coś na szybko?

– Coś na szybko. – W ten sposób od razu przestawi się na czas planetarny, bo w tej chwili czuła się pusta jak nowy kadłub statku.

Steward usadził ją w sporej odległości od siedzącej przy innym stole pary i poszedł po jedzenie. Esmay zerknęła na nich, zastanawiając się, czy będą w jej grupie. Młoda kobieta w mundurze polowym bez insygniów, z krótko przyciętymi blond lokami, pochylała się nad czymś, co wyglądało na miskę zupy. Sądząc po postawie siedzącego obok niej starszego mężczyzny w mundurze porucznika komandora, coś jej tłumaczył.

Esmay odwróciła wzrok. Zmywanie komuś głowy w trakcie jedzenia było czymś niezwykłym, ale przyglądanie się temu byłoby nieuprzejme. Czy to może być ojciec z córką? Przy innym stole siedziało trzech młodych mężczyzn w strojach polowych, którzy, jak sobie uświadomiła, przyglądali się jej. Odpowiedziała im zimnym spojrzeniem, a oni, wcale nie zakłopotani, odwrócili wzrok, jakby zobaczyli już wszystko, co chcieli zobaczyć.

Ich spojrzenia nieustannie wędrowały po sali, omijając tylko stojące przed nimi kubki i talerze.

Steward przyniósł talerz kanapek, ciastek i ułożonych elegancko w koło warzyw. Esmay zjadła kanapkę z cienko pokrojoną wołowiną posmarowaną sosem chrzanowym i kilka marchewek, i właśnie zastanawiała się nad zjedzeniem wspaniale pachnącego cynamonem i jabłkami ciastka, gdy blondynka wybuchła.

– Nie zrezygnuję! – oświadczyła wystarczająco głośno, by Esmay usłyszała. Siedziała teraz wyprostowana, z lekko zaczerwienioną twarzą. Esmay dostrzegła nieregularne świeże pląty skóry. A więc była w zbiorniku regeneracyjnym w celu wyleczenia ran twarzy i – nie mogła powstrzymać się od spojrzenia – dłoni i ramion.

Starszy mężczyzna rzucił w stronę Esmay ostrożne spojrzenie i coś cicho powiedział.

– Nie! – wykrzyknęła blondynka. – Chodzi o coś innego, coś ważnego. – Rozejrzała się, spojrzała Esmay w oczy i umilkła.

Instynkt kazał Esmay nie tylko spuścić wzrok, ale także zerknąć na drugi stół. Obecność trzech mężczyzn zaczynała teraz nabierać sensu. Sposób, w jaki dokonali jej oceny, i ciągły nadzór nad otoczeniem wskazywał, że są ochroniarzami kogoś, kto ich wynajmował, albo kogoś, komu ich zwyczajowo przydzielano.

Kogo pilnują? Z pewnością nie młodej kobiety... bo inaczej nie miałyby śladów po odniesionych ranach. Komandora porucznika?

Raczej nie... chyba, że wcale nie jest komandorem porucznikiem.

Znów zerknęła na nich i zdumiało ją wyraźne podobieństwo ich rysów twarzy. Musieli być spokrewnieni. Wychowana na planecie, gdzie powiązania rodzinne miały kapitalne znaczenie i gdzie oczekiwano od niej rozpoznawania nawet najbardziej odległych kuzynów Suizów, widziała podobieństwo budowy kości oraz te same odruchy, jak na przykład nagłe uniesienie brwi, wykonane

równocześnie przez mężczyznę i kobietę.

– Brun... – Ten proszący ton był bardzo podobny do tonu, jakim mówił jej ojciec. Brun. Czy to... Wbiła zęby w tarte jabłkową.

Jeśli to jest ta blondynka, która brała udział w wydarzeniach na Xavierze, to jej ojciec jest Pierwszym Mówcą Wielkiej Rady. Najpotężniejszym człowiekiem w Familiach Regnant. Co oni tutaj robią?

Nie miała pojęcia, więc zabrała się do jedzenia tarty, ignorując kłótnię, która trwała dalej, choć już znacznie ciszej. Usiłowała przypomnieć sobie wszystkie strzępy zasłyszanych plotek o najmłodszej córce Thornbuckle'a – szalonej, zepsutej piękności, gorąckrwistej idiotce, która nie mając żadnego przygotowania, weszła w sam środek spisku. Po bitwie znaleziono ją kompletnie pijaną i nagą w kapsule statku górniczego. Słyszała też coś o tym, że ze względu na zasługi dla Familii była protegowaną admirała Vidy Serrano i – w szczególności – siostrzenicy admirała Serrano, Heris.

– Przepraszam – powiedział ktoś. Esmay przełknęła ostatni kawałek tarty i podniosła wzrok. Zamyśliła się tak mocno, że nie zauważyła podchodzącej do jej stołu osoby.

Był to jeden z ochroniarzy. Na ubraniu nie miał żadnych insygniów rangi, ale sądząc po twarzy, był od niej starszy.

– Tak?

– Porucznik Suiza, prawda?

Pomimo terapii poczuła napięcie.

– Tak, zgadza się.

– Komandor porucznik... Smith... chciałby panią poznać.

– Komandor porucznik Smith?

Kiwnął głową w stronę pary przy drugim stole.

– Smith – powiedział z naciskiem. – I jego córka.

Przez chwilę Esmay żałowała, że nie poczekała na planowy posiłek. Nie miała ochoty zostać w cokolwiek wplątana, niezależnie od tego, czy chodziło o spór córki z ojcem, czy jakiś spisek przeciwko Familiom.

– Oczywiście – powiedziała i podniosła się od stołu.

Starszy mężczyzna i dziewczyna przyglądali się jej, gdy podchodziła, ze zbyt wielkim, zdaniem Esmay, zainteresowaniem.

Mężczyzna miał twarz, która mogłaby być miła, gdyby nie wykrzywiał ją grymas troski. Dziewczyna wyglądała na rozgniewaną i równocześnie przestraszoną.

– Komandorze Smith – odezwała się Esmay. – Jestem porucznik Suiza.

Proszę usiąść – odpowiedział mężczyzna. Choć mundur doskonale pasował na jego wysokie, tyczkowate ciało, była pewna, że nie odpowiada mu duchowo. Powinien mieć na ramionach gwiazdki, i to dużo.

– To nieoczekiwany honor – mówił dalej mężczyzna. – Słyszałem o pani od admirała Serrano po Xavierze, a teraz ta ostatnia sprawa...

Prawdziwy komandor porucznik nie powiedziałby tego w ten sposób. Esmay właśnie zastanawiała się, czy powinna pozwolić mu dalej udawać wojskowego, gdy odezwała się

dziewczyna.

– Tato! Przestań!

– Brun, ja tylko...

Kobieta mówiła dalej, niemal szeptem, ale wciąż gniewnie.

– Nie jesteś komandorem porucznikiem, i to nie fair. – Teraz zwróciła się do Esmay. – Jestem Brun Meager, córka lorda Thornbuckle’a, a to mój ojciec.

– Miło mi poznać komandora Smitha – odpowiedziała Esmay.

– Mężczyzna lekko się skrzywił.

– Cóż, przynajmniej jedna z was, młode damy, potrafi wykazać się dyskrecją.

– Nie jestem niedyskretna – oznajmiła Brun. – Ona wie, że wcale nie jesteś oficerem Floty, a ja już widzę, jak trybiki w jej głowie kręcą się, gdy zastanawia się, co ma o tym myśleć.

– Dobrze jest pozwolić znaczącym ludziom przedstawiać się w taki sposób, jaki uznają za stosowny – powiedziała Esmay. – Należy poskromić ciekawość.

Brun zamrugła.

– Skąd jesteś?

– Z Altiplano. Tam czasami ważne osobistości pojawiają się pod przybranymi nazwiskami.

– I tam dobre maniery zakorzeniły się znacznie głębiej niż gdzie indziej – dodał lord Thornbuckle. Brun znów się zaczerwieniła.

– Po prostu nie lubię oszustwa.

– Doprawdy? To dlaczego tak starannie unikałaś używania własnego nazwiska, gdy wracałaś do Rockhouse?

– To było co innego – zaprotestowała Brun. – Miałam wtedy ważne powody.

– Teraz też mamy ważne powody, Brun, a jeśli nie potrafisz tego zrozumieć, znów zacznę cię nazywać Bubbles. – Pomimo cichego głosu i spokojnej twarzy, lord Thornbuckle był poważnie rozgniewany. Esmay miała ochotę znaleźć się po drugiej stronie planety. Konflikt między ojcem a córką przywołał upiory, których nie chciała już spotykać. Brun ucichła, ale Esmay miała wrażenie, że wcale się nie poddała.

– Może powinniśmy kontynuować tę rozmowę w innym miejscu – zaproponował lord Thornbuckle. Esmay nie potrafiła wymyślić żadnej uprzejmej wymówki, a nie była pewna, jak powinna postąpić jako oficer ZSK. Miała stawić się w oddziale dopiero o 8.00 rano następnego dnia, i nie bardzo wiedziała, co ma w tym czasie robić, a ponadto... ten niby-oficer miał od niej wyższy stopień.

– Oczywiście, sir – odpowiedziała.

Thornbuckle skinął głową mężczyznom siedzącym przy drugim stole; ci natychmiast wstali.

– Uprzedzam, że będziemy mieli eskortę.

Esmay to nie przeszkadzało; martwiła się tylko, że wylądowała w samym środku jakichś kłopotów. Zauważyła, że ochrona podzieliła się i dwaj mężczyźni poszli przodem, a jeden został z tyłu. Czy byli z Floty? Nie miała pojęcia. Nie wyglądali na cywilów, ale nie pasowali też do Floty. Może to prywatni ochroniarze?

Sala konferencyjna, do której w końcu trafili, była niewielka.

Pośrodku stał stół dla około ośmiu osób; w jeden koniec wmontowano konsolę z

wyświetlaczem. Lord Thornbuckle odczekał, aż eskorta kiwnęła głowami, po czym usiadł przy stole.

– Proszę usiąść, postaram się zwięźle przedstawić sytuację.

– Jest tu pani od niedawna, prawda?

– Dopiero co zeszałam z promu, sir – wyjaśniła Esmay. – Przyleciałam tu, aby zaliczyć kursy dowódcze, które wcześniej pominęłam, a potem rozpocząć kurs dla młodszych oficerów. – Kurs, który zgodnie z zaleceniem Komisji Śledczej pozwoli jej dowodzić okrętem w walce. Oczywiście brak kwalifikacji jak dotąd wcale jej przed tym nie powstrzymywał. Szybko odegnała tę myśl i skupiła się na tym, co miał jej do powiedzenia lord Thornbuckle.

– Moja córka chciała odbyć szkolenie u ekspertów Floty – oznajmił. – Zgodziłem się, po części dlatego, że wpakowała się w poważne kłopoty. Wygląda na to, że ujawniły się w niej wszystkie geny ryzykanctwa.

– Oraz geny szczęścia – wtrąciła się Brun. – Wiem, że one nie wystarczą, ale nie można o nich zapominać. Tak właśnie powiedziała kapitan komandor Serrano. I jej ciotka admirał.

Myśl, że ktokolwiek mógłby nazwać Vidę Serrano „ciotką admirałem”, zaszokowała Esmay. Jeśli chodzi o tę dziewczynę – bo Brun była wyraźnie młodsza od niej – było to wręcz nie do pomyślenia, a jednak właśnie to zrobiła.

– Doszło do pewnych incydentów – kontynuował Thornbuckle, ignorując słowa Brun. – Myślałem, że tutaj, w obiekcie szkoleniowym Floty, będzie bezpieczniejsza.

– Jestem bezpieczniejsza – oświadczyła Brun.

– Brun, przyjmij wreszcie do wiadomości, że ktoś do ciebie strzelał. Próbował cię zabić.

Esmay pomyślała, że jednostka szkoleniowa Floty z samej swojej natury nie jest najbezpieczniejszym miejscem w kosmosie. Na przykład ćwiczenia z ostrą amunicją...

– Nie zaczęła nawet strzelania ostrą amunicją – mówi dalej Thornbuckle. – Oczywiście ja też w pierwszej chwili o tym pomyślałem. Szkolenie wojskowe jest niebezpieczne, musi takie być. Ale my – a rozumiem przez to nie tylko siebie, ale i innych, którzy widzieli Brun w akcji – myśleliśmy, że będzie mniej narażona na niebezpieczeństwo, jeśli nie wypuścimy jej w świat bez szkolenia. – Rozłożył ręce. – Niestety... stało się inaczej. Wiedzieliśmy, że we Flocie są zdrajcy, czego dowiódł ten bałagan z Xavierem. Ale nie myśleliśmy, że zdrajcy mogą być i tutaj, w jednostce szkoleniowej, dopóki nie powiedziała mi o tym admirał Serrano. Wiedzieliśmy, że Brun jest narażona na niebezpieczeństwo, ale nie zareagowaliśmy dostatecznie szybko.

– Przecież żyję – zauważyła Brun.

Przeżyłaś dzięki zwykłemu szczęściu – odpowiedział jej ojciec. – Ale musiałaś spędzić dzień w zbiorniku regeneracyjnym, więc nie powiedziałbym, że wyszłaś z tego bez draśnięcia. Jak dla mnie, zbyt blisko otarłaś się o śmierć. Musisz być lepiej chroniona albo stąd odejść.

– Będę ostrożniejsza.

– To nie wystarczy. Czasem musisz sypiać.

– Czy potrafi pan określić zagrożenia? – zapytała Esmay, by nie dopuścić do rozwoju bezsensownej kłótni.

– Nie. Nie... dokładnie. Najgorsze jest to, że tych zagrożeń może być bardzo wiele. Benignity nie jest szczęśliwa z powodu utraty Xaviera, a jesteśmy pewni, że mają we Flocie więcej agentów. Niektórych udało się zidentyfikować, innych nie. Oni uważają morderstwo za narzędzie polityki. Krwawa Horda... No cóż, może pani wyobrazić sobie, jak bardzo chcieliby dostać w swoje łapy

moją córkę. Są też moi osobiści wrogowie w Familiach.

Kilka lat temu nie uwierzyłbym, że któraś z Rodzin mogłaby rozpocząć wojnę z osobistych powodów, ale teraz sytuacja się zmieniła.

– Myśli pan – i pańscy doradcy – że córka powinna opuścić tę jednostkę?

– Łatwiej byłoby ją chronić w domu albo nawet na Castle Rock.

– Oszalałabym – mruknęła Brun. – Nie jestem dzieckiem i nie mogę tak po prostu siedzieć i nic nie robić.

– Chcesz wstąpić do Floty? – zapytała Esmay. Nie bardzo potrafiła wyobrazić sobie tę zbuntowaną dziewczynę podlegającą I jakiegokolwiek dyscyplinie.

– Kiedyś chciałam – powiedziała Brun, zerkając na ojca – ale teraz... nie jestem pewna.

– Nie chce być zmuszana do robienia nudnych rzeczy – stwierdził Thornbuckle. Brun zaczerwieniła się.

– Nie oto chodzi!

– Nie? Kiedy kapitan Serrano powiedziała, ile czasu spędza na nudnych rutynowych czynnościach, stwierdziłaś, że nie podoba ci się taka perspektywa.

– To prawda, ale to część życia każdego człowieka. Rozumiem to, tak samo jak fakt, że najbardziej ekscytujące jest to, co jest ryzykowne. Czy sądzisz...

Esmay znów się wtrąciła, nie tylko dla świętego spokoju, ale i w nadziei zdobycia informacji.

– Może zechce mi pan powiedzieć, w czym pańskim zdaniem mogłabym pomóc?

– Ona potrzebuje... – Thornbuckle zawiesił głos; Esmay była pewna, że myśli o słowie „stróż” – mentora. Jeśli miałyby tu zostać, muszą wiedzieć, że ktoś ojej... – kolejna pauza, w trakcie której Esmay niemal słyszała nie wypowiedziane słowa „pozycji społecznej, randze, zdolnościach” – ma w pobliżu osobę, którą mogłaby szanować i słuchać. A ponieważ nieustannie trajkotała o pani i pani wyczynach...

– Ja nie trajkoczę – wycedziła przez zaciśnięte zęby Brun.

– Więc pomyślałem, że może pani...

– Ona ma własne obowiązki – przerwała mu Brun. – Są także ci... strażnicy. – W przerwie między słowami mieścił się jakiś epitet, i Esmay była zadowolona, że wspomniani mężczyźni nie usłyszeli go.

– Chcesz mi powiedzieć, że zaakceptujesz procedury bezpieczeństwa, o których mówiliśmy?

– Wolę to niż zawracać głowę porucznik Suizie. – Brun rzuciła Esmay wyzywające spojrzenie. – Będzie zajęta własnymi kursami. Oficerowie raczej nie mają tu czasu na bawienie się w niańki bogatych pańienek.

Esmay wiedziała, że Brun wcale nie ma na względzie jej wygody, tylko po prostu nie chce mieć opiekunki.

Thornbuckle przeniósł spojrzenie z jednej kobiety na drugą i z powrotem.

– Widziałem bardziej gotowych do współpracy nawet szefów państw – powiedział. – Już więcej nie powtórzymy modyfikacji genetycznych, które zastosowaliśmy wobec ciebie, Brun.

– Nie prosiłam o to – odpowiedziała dziewczyna. Esmay znów wyczuła kryjące się pod powierzchnią stare urazy.

– Nie, ale życie daje ci wiele rzeczy, o które nie prosiłaś. No dobrze, jeśli obiecasz mi, że

będziesz współpracować w zakresie procedur ochrony...

– Dobrze – zgodziła się Brun, już nie tak ponuro. – Będę współpracować.

– W takim razie bardzo przepraszam, poruczniku Suiza, że zająłem pani tyle czasu. Muszę pani pogratulować ostatnich działań; zasłużyła pani w pełni na otrzymaną nagrodę. – Lord kiwnął głową w stronę baretki na jej mundurze.

– Dziękuję – odpowiedziała Esmay, zastanawiając się, czy ma teraz wyjść i zapomnieć o tym, co tu słyszała. Odwróciła się do Brun i ujrzała jej tęskne spojrzenie. – Jeśli znajdziemy się w jednej grupie, chętnie podzielę się z tobą notatkami. Miło mi było cię poznać.

Brun bez słowa kiwnęła głową. Esmay wstała i Thornbuckle odprowadził ją do drzwi. – Oficjalnie wciąż jestem Smith – powiedział cicho.

– Rozumiem, sir. – Rozumiała więcej niż miała ochotę... i więcej niż on przypuszczał. Z radością wróciła do własnej kwatery, gdzie mogła w spokoju walczyć ze wspomnieniami o własnym ojcu. W pojemniku odbiorczym znalazła stosik kostek z podręcznikami, które natychmiast umieściła w magazynku czytelnika. Niektóre wyglądały bardzo obiecująco – na przykład *Dowodzenie dla młodszych oficerów* – i miały sens, ale po co miała studiować *Procedury administracyjne dla młodszych urzędników*, skoro nie chciała mieć nic wspólnego z administracją?

* * *

Brun zwinęła się na koi pod nieregulaminowym pledem i udawała, że śpi, aż ochroniarz zakończył swoje czynności i wyszedł, aby stanąć na warcie przed drzwiami. Zupełnie jakby była więźniem... albo niegrzecznym dzieckiem. Jakby to była jej wina, że ją postrzelono.

Ojciec znów to zrobił... Gdyby tylko był gdzie indziej, miałyby dość czasu, by wyzdrowieć, zanim się pojawi. Ale nie. On musiał tu przylecieć, wciąż niepewny, czy powinna coś takiego robić, i zawstydzić ją przed całą salą zawodowych oficerów.

Przed Esmay Suizą.

Przeturlała się i podniosła pilota, po czym uruchomiła czytnik kostek i zaczęła przeglądać sekcje, aż wreszcie znalazła tę, która ją interesowała.

Na Xavierze, gdy ona była pijana i unieruchomiona (co ojciec niejednokrotnie jej wypominał), Esmay Suiza przetrwała zdradę jej kapitana i bunt, który zaraz potem wybuchł, a następnie uratowała wszystkich – łącznie z Brun – niszcząc okręt flagowy przeciwnika. Brun śledziła w mediach proces załogi *Despite'a* i wciąż zastanawiała się, jak ta spokojna, młoda kobieta z szopą niesfornych włosów zdołała to wszystko zrobić. Wcale nie wyglądała na tak niezwykłą osobę, ale było coś poruszającego w wyrazie jej twarzy i spojrzeniu, które nigdy nie uciekało w bok.

A potem ta sama młoda kobieta znów została bohaterką przygody zdającej się pochodzić wprost z kostki przygodowej. Przeżyła lot nadświetlny poza kadłubem statku i pokonała kolejnego wroga. Jej twarz znów pojawiała się na ekranach i Brun znowu wyobrażała sobie spotkanie z nią... rozmowę... zawarcie – była pewna, że do tego dojdzie – przyjaźni.

Kiedy dowiedziała się, że Esmay Suiza przylatuje tutaj, do Copper Mountain, i że mogą nawet znaleźć się w tej samej grupie, była pewna, że dopisało jej szczęście. Oto wreszcie pojawia się kobieta, która pomoże jej wykorzystać niezbyt chlubne doświadczenia z przeszłości, aby stać się nową osobą, taką, jaką chciałyby być.

A teraz jej ojciec to zrujnował. Potraktował wprawdzie Suizę jak godną szacunku

profesjonalistkę, ale jasno dał do zrozumienia, że uważa Brun za krnąbrne dziecko. Co Esmay Suiza będzie teraz myśleć? Co może myśleć, skoro Pierwszy Mówca Wielkiej Rady, jej własny ojciec, tak ją przedstawił? Niemożliwe, by Suiza patrzyła teraz na nią jak na odpowiedzialną dorosłą osobę.

Ale ona sprawi, że to nie będzie niemożliwe. Nie pozwoli zmarnować tej szansy. Musi w jakiś sposób przekonać Suizę, że jest kimś więcej niż tylko durnym próżniakiem. Pomyślała o włosach Esmay, które z pewnością zyskałyby, gdyby je odpowiednio potraktować. Może zdoła zbliżyć się do niej najpierw jak dziewczyna do dziewczyny, a dopiero potem będzie mogła dowieść, co jeszcze potrafi.

* * *

Kilka godzin później, w porze głównego posiłku, Esmay wróciła do mesy i usiadła przy stole z pepekami i porucznikami, którzy przybyli dzień wcześniej. Kilku z nich pamiętała z Akademii, ale z żadnym nigdy nie służyła. Wiedzieli o jej ostatnich wyczynach i aż płonęli chęcią rozmowy o nich.

– Jak to jest latać rajderem Krwawej Hordy? – zapytał porucznik Vericour. W ciągu sześciu lat od ukończenia Akademii przytył o kilka kilogramów, a teraz hodował niewielki rudy wąsik.

– To frajda – rzekła Esmay, wiedząc, że właśnie takiej odpowiedzi oczekiwali. – Prowadzi się jak złoto, nawet jeśli nie wyciska się z niego maksimum.

– A tarcze?

– Nic, o czym warto by mówić. Ale jak na swoje rozmiary ma zdumiewające systemy uzbrojenia. Wnętrze to głównie uzbrojenie, jest bardzo mało miejsca dla załogi.

– Musieli kiepsko strzelać, skoro was nie trafili.

– Z początku w ogóle do nas nie strzelali – wyjaśniła Esmay. – W końcu byłam na ich statku. Pozwolili nam zbliżyć się i... paf!

– Dobra robota. Po co tu przyleciałaś?

– Przechodzę na specjalizację dowódczą.

– Czy to znaczy, że dotąd nie byłaś?

– Nie. – Jak im to wyjaśnić?

Vericour wzruszył ramionami. – To typowe dla Osobowego Floty. Dać im kogoś z talentem takim jak twój, a wepchną go na specjalizację techniczną, i tylko dlatego, że potrzebują więcej techników. Jeśli tak są im potrzebni, powinni ich więcej rekrutować.

Esmay już otworzyła usta, by wyjaśnić, że to nie była wina Floty, ale doszła do wniosku, że wytłumaczenie tego byłoby zbyt skomplikowane, więc tylko pokiwała głową. – Jasne. A teraz pozwolili mi przejść na specjalizację dowódczą i muszę nadrobić wszystkie kursy, których nie zaliczyłam.

– Chyba ciebie nie będą przepychać przez psychologię dowodzenia i cały ten chłam?

Esmay pokiwała głową.

– Nawet jeśli dowodziłaś już statkami w walce? To śmieszne.

Wszyscy siedzący przy stole zaprotestowali ironicznym chórem:

– Nie, to przepisy! – Vericour roześmiał się, a Esmay razem z nim. Zdała sobie sprawę, że nawet bez Barina dobrze bawi się wśród tych prawie obcych ludzi. Odkrycie, że może odczuwać

tego rodzaju przyjemność, było tak nowe, że wciąż ją zaskakiwało.

– Wiecie, słyszałem, że jest tu córka Mówcy – powiedział znacznie ciszej Anton Livadhi.

– No cóż, przeleciała już całe Królewskie Siły Powietrzne – stwierdził Vericour. – Pewnie szuka świeżej krwi.

Esmay nic nie odpowiedziała; nie chciała ujawniać tego, co wie, a nie powinna wiedzieć.

– Czy to prawda, że na Xavierze znaleziono ją kompletnie nagą w kapsule transportowca układowego? – zapytał Livadhi.

– Samą? – dorzucił ktoś, kogo Esmay nie znała.

– Tak właśnie słyszałem – rzekł Livadhi. – Mój kuzyn – znasz Liama, Esmay, był na *Despite* – powiedział, że słyszał od gościa z okrętu flagowego, że urżnęła się i w nie wiadomo w jaki sposób tam wylądowała. Ale Liam ma skłonności do fantazjowania; przypuszczam, że ty wiesz, jak to naprawdę wyglądało.

– Czemu? – zapytała Esmay, aby zyskać na czasie.

– Ponieważ później umieścili ją razem z oficerem młodą kobietą. Pomyślałem, że to musiały być ty – wyjaśnił Livadhi.

– To nie byłam ja. Byłam zbyt zajęta papierkową robotą na *Despite*. Nigdy jej nawet nie widziałam. – Aż do dzisiaj, ale tego nie mogła im powiedzieć.

Kiedy wstawała od stołu, rozejrzała się wokół, ale nigdzie nie widziała Brun. Czy dziewczyna jada posiłki samotnie? Odepchnęła od siebie myśl, że może być samotna. To nie Brun Meager jest jej problemem... lecz czekające ją zajęcia.

ROZDZIAŁ DRUGI

O 5.00 rano następnego dnia

Esmay dygotała w chłodzie porannej bryzy. Powietrze pachniało, w odróżnieniu od powietrza okrętowego, roślinnością i przestrzenią. Część osób kichała, ale Esmay z przyjemnością wciągała powietrze; wprawdzie nie był to dom, ale niektóre zapachy były takie same.

Kiedy zaczęła się gimnastyka, dygotanie ustało. Esmay zawsze ucziwie ćwiczyła, ale sądząc po wydawanych odgłosach, niektórzy raczej sobie odpuszczali. Po półtorej godziny była spocona, ale nie wyczerpana; zaskoczyła samą siebie, przybiegając jako czwarta po ostatnim okrążeniu wokół placu do musztry. W oddali widziała wyłaniające się z mroku pomarańczowe, czerwone i w kolorze ochry zbocza góry, od której brała swoją nazwę baza Copper Mountain. Vericour głośno narzekał, ale Esmay podejrzewała, że robił to głównie dla efektu.

– Kiedy masz pierwsze zajęcia? – zapytał, gdy wracali truchtem do kwater.

– Nie zajęcia, tylko testy – odpowiedziała Esmay. – Myślę, że niektóre rzeczy mogę po prostu zaliczyć i zrobić miejsce dla innych. – Miała nadzieję, że jej się uda; w przeciwnym wypadku nie byłaby w stanie wykonać swojego harmonogramu.

Pomachali sobie i Esmay poszła pod prysznic, myśląc o tym, jak bardzo Vericour różni się od Barina. Jest starszy, równy jej stopniem, miły i przystojny... i mniej więcej tak samo interesujący jak miska owsianki.

Pierwszy dzień minął w nieustannej aktywności. Dzięki testom zaliczyła niektóre sekcje – Skan, czego się spodziewała, oraz Kadłub i Architekturę, co ją zdziwiło. Musiała więc załapać na *Koskiusko* więcej wiedzy niż myślała. Testy z Prawa Wojskowego dotyczyły zdrady, buntu i zachowań niegodnych oficera... co dawało jej przewagę, ale za to padła na Procedurach Administracyjnych oraz tabelach organizacyjnych i strukturach dowodzenia na specjalizacjach, w których nigdy nie służyła.

– Pani plan zajęć będzie pełen – skomentował ze zmarszczonym czołem oficer nadzorujący testy. – Gdyby miała pani zaliczyć oba kursy w pełnym wymiarze, spędziłaby tu pani pięć miesięcy. Wykazała się pani znajomością mniej więcej połowy materiału podstawowego kursu i jednej dziesiątej zaawansowanego. – W końcu ułożył jej plan, który przez pierwsze dwa tygodnie wyglądał strasznie, choć on twierdził, że dwa zajęcia w ogóle nie wymagają myślenia, a siedem innych jest zaledwie trudnych.

Mogła wybrać jeszcze kilka kursów, więc wybrała Podstawowy Kurs Poszukiwań i Ratownictwa oraz Uniki i Ucieczkę. Wyglądały ciekawiej niż zajęcia z metod administracyjnych i wsparcia personelu, a ponadto wiedziała, że mają praktyczne zastosowanie. Nie chciała znaleźć się w sytuacji Barina.

* * *

Po pierwszych pięciu dniach Esmay czuła się już zadomowiona i przyzwyczajona do akademickiej rutyny. Uczestniczyła w znacznie większej liczbie zajęć niż reszta jej grupy, ale tempo prowadzenia wykładów było o wiele wolniejsze niż w Akademii.

Wcześniej rano przed zajęciami szła na gimnastykę, a wieczorami nie musiała siedzieć zbyt

długo, by zakończyć pracę. Część jej grupy zdążyła już wprowadzić zwyczaj wychodzenia w przerwach między zajęciami do Q-town, aby tam jeść posiłki zamiast w mesie. Niemal cieszyła się, że dodatkowe zajęcia nie pozwalały jej na to; nigdy nie przebywała z innymi oficerami poza statkiem, i teraz trochę się wstydziła. Jednak nie wszyscy chodzili do miasteczka, i gdy wychodziła ze swojego pokoju na przerwę, zawsze znalazł się ktoś chętny, aby porozmawiać czy rozegrać szybką grę w sali rekreacyjnej.

Procedury Administracyjne były tak nudne, jak się obawiała, choć zdawała sobie sprawę z wagi tego kursu. Stawiła mu czoła tak samo, jak danym technicznym w Skanie czy Architekturze Kadłuba, i okazało się, że potrafiła zapamiętać wszystkie te upiorne szczegóły, mimo że potwornie ją nudziły.

Jeśli chodzi o kurs Etyki Zawodowych Oficerów, rozpoczęła go z dużym zaangażowaniem, spodziewając się... Właściwie nie była pewna, czego, ale nie tego, co dostała. Trzy wykłady dotyczące związków osobistych spowodowały, że zaczęła odczuwać niepewność i wyrzuty sumienia w związku z jej... przyjaźnią... z Barinem Serrano. Słuchała przykładu za przykładem, jak to zainteresowanie starszego oficera zaszkodziło, a nawet całkiem zrujnowało karierę młodszego oficera. Były to przykłady pozornie niewinnych związków, które kończyły się fatalnie dla wszystkich zainteresowanych. Zastanawiała się, czy wykładowca nie mówił o jednej z jej koleżanek z Akademią, oszalamiającej blondynce ze Światów Półksiężycy. Nie spotkała Casei od czasu ukończenia szkoły, ale słyszała, że przeniósła swoje zainteresowanie z kolegów na starszych oficerów.

A jednak, jak powtarzał z naciskiem instruktor, Flota ani nie pragnie, ani nie może zabronić bliskich związków czy wręcz ślubów oficerów, a standardy obowiązujące w tego rodzaju związkach są oczywiste i rozsądne. Esmay potrafiła wyrecytować je w dowolnej kolejności, ale wcale nie była pewna, czy zrobili z Barinem coś niewłaściwego, czy ich związek był zabroniony. Chciałaby móc kogoś o to zapytać.

Bardzo ulżyło jej, że na zajęciach z Analizy Taktycznej nie omawiano ani jej akcji na Xavierze, ani obrony *Koskiusko*. Zamiast tego wraz z kolegami z grupy zajęła się porównywaniem możliwości bojowych małych jednostek Familii i Benignity.

– Kłamstwa, cholerne kłamstwa – mamrotał Vericour, przydzielony jej partner. – Nienawidzę statystycznej analizy bitew.

Przecież bitwa to coś więcej niż tylko tyle to a tyle ton masy...

Esmay właśnie wydobywała z archiwum kolejny zestaw liczb.

– Wiesz, że po przejęciu *Pierw ta* Benignity uzyskała znacznie większą skuteczność bojową niż my?

– Nie, to musi być jakiś błąd! Żaden z ich taktyków nie stosuje manewrowości tak jak my.

– Nazwali go *Valutis*, aby podkreślić fakt, że go zdobyli. Ich dowódca uzyskał aż pięć trafień w *Tarngelda* z maksymalnego dystansu.

– A niby kto tak twierdzi? – Vericour nachylił się, by sprawdzić. – Wierzysz w dane skanu z *Tarngelda*?

– No cóż... Przyznanie, że zostało się pokonanym przez trzykrotnie mniejszy statek, który kiedyś był po naszej stronie, jest mocno wstydliwe, więc założę się, że te dane są dokładne. Zresztą zgodnie z analizą pobitewną, w tamtym rejonie nie było żadnego innego statku. Pytanie brzmi, co zrobili z *Pierrotem* – *Valutisem*, że stał się tak skuteczny, i czy zrobili to samo z innymi jednostkami?

– Nie sądzę. Na Xavierze niczego takiego nie mieli, prawda?

– Rzeczywiście, ale... *Pierrota* mieli trzy lata, zanim pojawił się w aktywnej służbie.

– Cóż, ktoś musiał to zauważyć.

– Tak, ale czy wyciągnęli z tego wnioski? – Esmay pokazała mu odpowiednie dane. – Jeśli Benignity robi to samo – cokolwiek to jest – z innymi okrętami tej wielkości, mamy nowy powód do zmartwień.

– Może. Ale gdyby mogli, wykorzystaliby to na Xavierze, prawda?

– Chciałabym wiedzieć, czy to jakaś jednorazowa sztuczka związana z architekturą statku...

– Czy jeden naprawdę dobry technik skanu? Albo uzbrojenia?

– Właśnie – przyznała Esmay. – Ale jeśli mają jednego tak dobrego, mogą mieć i więcej. Myślę, że powinniśmy zrobić z tego główny punkt naszej prezentacji.

– Nie zamierzam sprzeczać się z bohaterką z *Xaviera i Kosa* stwierdził Vericour z uśmiechem, który pozbawił te słowa jadu.

– Sam bym o tym nie pomyślał. Może rzeczywiście jesteś aż tak dobra.

– Robię, co mogę – odpowiedziała Esmay też z uśmiechem.

Nie był Barinem, ale dobrze się z nim czuła.

Wciąż jeszcze uśmiechała się do niego, gdy Vericour wyciągnął rękę i dotknął jej włosów. Esmay lekko się cofnęła.

– Przepraszam – powiedział. – Ja tylko... pomyślałem, że może ci się to spodobać.

A więc Barin nie jest jedynym mężczyzną, który uważa ją za atrakcyjną. Nie wiedziała, czy czuje się z tym dobrze, czy raczej jato martwi...

– Ja... nie jestem w nastroju – odpowiedziała. Nie mogła zasłonić się związkiem z Barinem. Jeszcze nie.

– Gdybyś kiedyś była w nastroju, daj mi znać. Mogę nawet przysiąc, na co tylko zechcesz, że to nie jest zauroczenie bohaterką.

Zachichotała, zaskakując samą siebie.

– Nie odniosłam takiego wrażenia – stwierdziła.

Uśmiechnął się do niej, ale już jej więcej nie zaczepiał.

Zgodnie z podręcznikami, to było wszystko, do czego mogło między nimi dojść. Poczowała zdziwienie, że podręczniki miały rację.

Kilka dni później ich prezentacja uzyskała najwyższą ocenę w grupie. Vericour zaproponował, aby uczcić to drinkiem w Q-town, niewielkim zbiorowisku placówek handlowych tuż za bramami ośrodka szkoleniowego.

– Wyraźnie przynosisz szczęście – stwierdził. – Mam nadzieję, że będziemy w tym samym zespole na U i U. Mówią, że nikomu nie udaje się przejść całych ćwiczeń bez złapania, ale tobie może się to udać.

– Wątpię – odpowiedziała Esmay. – Instruktorzy znają teren na wylot, lepiej niż miejscowi.

– Cóż, w każdym razie z tobą byłoby fajniej. Więc jak, przyjdiesz?

– Nie. Pamiętaj, że mam dodatkowe zajęcia, a jutro zdaję egzamin z Procedur Administracyjnych.

– Wyrazy współczucia. – Vericour złożył jej wyszukany ukłon, a Esmay roześmiała się. Choć nie jest Barinem, mimo wszystko można się z nim dobrze bawić. Wróciła do swojej kwatery i zagłębiła się w materiały Procedur Administracyjnych, studiując je do późna w nocy.

Następnego ranka zaskoczył ją widok Brun Meager stojącej w oczekiwaniu na gimnastykę. W trakcie biegu dziewczyna znalazła się obok Esmay.

– Cześć. Praktycznie wcale cię nie widuję. – Nie wyglądała na specjalnie zmęczoną.

– Mam dużo zajęć – odpowiedziała Esmay. W przeciwieństwie do większości żołnierzy bardzo lubiła bieganie, ale przede wszystkim dlatego, że mogła w tym czasie pograzać się w medytacjach.

– Zauważyłam. To są pierwsze zajęcia, na których jesteśmy razem, ale będziemy też wspólnie na kursie Uników i Ucieczki.

– Ty? – Esmay rzuciła jej zdziwione spojrzenie. Brun sprawiała wrażenie, że mogłaby tak biec w nieskończoność, jak koń w czasie biegów wytrzymałościowych.

– No cóż, jeśli ktoś chce mnie dopaść, muszę nauczyć się uciekać.

– Pewnie tak. – Mogła też pozwolić swojej ochronie pilnować jej we właściwy sposób i przestać pchać się w niebezpieczne sytuacje. Ale to nie ona powinna jej to powiedzieć.

– Chciałam cię zapytać, czy – jeśli będziemy mieli jakiś wybór – mogłabym znaleźć się w twoim zespole.

Świetnie. Tego jej potrzeba: zepsutej bogatej panienki w zespole. Esmay jeszcze raz na nią zerknęła i skarciła samą siebie.

Brun może jest zepsuta, ale chce pracować i uczyć się; nie każda bogata panienka zerwałaby się godzinę wcześniej z łóżka na trening z całym stadem marudnych żołnierzy. Admirał Serrano popierała ją, a to musi być coś warte. Zgodnie z plotkami nie prosiła też o ulgowe traktowanie jej na zajęciach.

– Nie wiem, czy będziemy mieli coś do powiedzenia, ale jeśli to możliwe, nie mam nic przeciwko temu – rzekła.

– Gdybyś chciała, mogłybyśmy kiedyś pójść razem do Q-town – zaproponowała Brun z nadzieją w głosie.

– Nie mam czasu. – Q-town wcale Esmay nie pociągało; skoro nie poszła z Vericourem, z całą pewnością nie zamierza wybrać się tam z cywilem.

– Nigdy tam nie chodzisz?

Esmay wzruszyła ramionami.

– Nie. W mesie mają dobre steki.

– I dobre steki są dla ciebie wystarczającą rozrywką? – W jej słowach kryła się odrobina jadu.

– Nie, ale tam też raczej nie spodziewam się dobrej zabawy.

– Cóż... Ja lubię czasem napić się z przyjaciółmi czy zjeść posiłek poza bazą tylko dlatego, że to nie baza. – Biegły przez chwilę w milczeniu. – Ten rudy porucznik Vericour... to twój przyjaciel?

– Jesteśmy w jednej grupie – wyjaśniła Esmay – i przydzielają nam wspólnie niektóre zadania.

– Lubisz go?

– Jest miły. – Esmay nie miała pojęcia, do czego Brun zmierza. Czy chce, żeby ją przedstawić? – On dość często chodzi do Q-town.

– Wiem – potwierdziła Brun. – Widziałam go tam z przyjaciółmi i zastanawiałam się, czemu ty nie przysłaś.

– Zajęcia. – Ciężko jej było mówić, bo przywykła do porannej samotności. – Mam dzisiaj egzamin – powiedziała w nadziei, że Brun zrozumie aluzję.

– Co zdajesz? – zapytała, zupełnie jakby jato interesowało.

– Procedury Administracyjne.

– To chyba nudne – stwierdziła Brun. – Ale powinnam już dać ci spokój, żebyś mogła zrobić sobie powtórkę.

To byłoby miłe, ale już prawie dobiegały do punktu wyjścia.

Esmay cieszyła się, że poświęciła na powtórkę kawałek poprzedniej nocy.

* * *

– Do naszego oddziału trafi nowy chorąży – poinformował ją Vericour, gdy szli razem na pierwsze zajęcia z Uników i Ucieczki.

– Chorąży? – Esmay miała nadzieję, że jej twarz niczego nie zdradziła. Barin przesłał jej wiadomość, że przyleciał, ale jeszcze go nie spotkała, bo miała bez przerwy zajęcia. – No i co?

– Cóż... To trochę za wysoki poziom jak na chorążego, nie sądzisz? Ale słyszałem, że to Serrano; to pewnie wszystko tłumaczy.

– Mówią, że był na *Koskiusko* – rzucił po chwili Vericour. Esmay zdała sobie sprawę, że ją sprawdza, i miała ochotę go udusić.

– Zobaczmy – powiedziała i zatrzymała się przy najbliższym gnieździe danych, by ściągnąć listę studentów. – No tak... Barin Serrano. Znam go. – Miała nadzieję, że zabrzmiało to wystarczająco obojętnie. Przebiegła wzrokiem po liście i zatrzymała się na Brun Meager. Spodziewała się, iż ktoś przekona dziewczynę, że te zajęcia są zbyt niebezpieczne.

– I?

Rzuciła Vericourowi spojrzenie, od którego cofnął się pół kroku.

– I jest dobrym młodym oficerem. Czego jeszcze byś chciał?

– Był z tobą na jednym ze statków Hordy?

– Nie. – Nie zamierzała zdradzać sekretów Barina; Vericour może sam się dowiedzieć.

Gdy tylko weszli do sali, zobaczyła przyjaciela siedzącego w pierwszym rzędzie po prawej stronie. Nad jego biurkiem pochylała się wysoka blondynka otoczona grupką mężczyzn; jej ochroniarze stali pod ścianą jak bezużyteczne maszyny. Esmay musiała przyznać, że dziewczyna ma zaraźliwy śmiech i uśmiech, który rozjaśnia całe pomieszczenie.

Czy powinna podejść do Barina? Ale już się rozsiadła, a tuż obok usadowił się Vericour. Po chwili Barin odwrócił się, jakby wyczuł jej spojrzenie na karku. Uśmiechnął się i kiwnął głową, a ona odpowiedziała tym samym. Na razie wystarczy, później porozmawiają. Choć – przypomniły jej się niektóre akapity z zajęć etyki zawodowej – będą musieli uważać. W tej chwili nie podlegają tej samej strukturze dowodzenia, ale ona stoi wystarczająco wyżej od niego, by ich związek można było zaliczyć do kategorii „nie zalecanych”.

Po dzwonku na salę wszedł instruktor. Wyglądał, jakby uwędzono go na wolnym ogniu. Jego skóra miała barwę suszonego mięsa, a pod nią nie było ani grama tłuszczu. Nazywał się komandor porucznik Uhlis.

– Uniki i Ucieczka – rozpoczął bez żadnych wstępów. – Jeśli będziecie mieli szczęście, ten kurs nigdy nie będzie wam potrzebny, ale jeśli nie będziecie mieli szczęścia i nie opanujecie materiału... będziecie martwi. Albo jeszcze gorzej. – Rozejrzał się po sali, a potem jego wzrok spoczął na Barinie.

– Z tego, co wiem, chorąży Serrano ma już doświadczenie jako jeniec – stwierdził. – Ale nie ma żadnego obycia w uciekaniu. – Esmay rzuciła komandorowi ostrze spojrzenie. Mówił obojętnym tonem, ale w jego słowach kryło się coś, czego nie potrafiła zdefiniować.

Barin nic nie odpowiedział, a inni obrócili się, by na niego popatrzeć.

– Powinnością schwytanego oficera jest podjęcie próby ucieczki, nieprawdaż, Serrano? – Głos komandora był ostrzejszy, pełen sarkazmu.

– Tak jest, sir.

– A jednak... ty tego nie zrobiłeś.

– Nie uciekłem, sir.

– A czy chociaż próbowałeś? – Teraz w głosie komandora Uhlisa była już pogarda. Esmay czuła narastające napięcie.

– Bezskutecznie – odpowiedział Barin.

– Myślałem, że dla Serrano to nic trudnego poradzić sobie z kilkoma bandytami z Krwawej Hordy. Czy zechciałbyś uprzejmie wyjaśnić grupie, jakie popełniłeś błędy? – Ton sugerował, że to wcale nie była prośba.

– Sir, byłem nieostrożny. Sądziłem, że osoba, którą zobaczyłem w magazynie, ubrana w mundur Floty i z właściwymi oznaczeniami, była członkiem Floty.

– Aha. Sądziłeś, że ludzie Hordy to odziani w futra barbarzyńcy z mieczami.

– Nie, sir, ale nie spodziewałem się, że zastawią pułapkę w magazynie. Jak już powiedziałem, sir, byłem nieostrożny.

– A dokładnie jak pana złapali, chorąży?

Słyszając głos Barina, Esmay była pewna, że jest zły i równocześnie zawstydzony.

– Wspinałem się na stojak magazynowy. Statek remontowy dalekiego zasięgu ma zautomatyzowane stojaki magazynowe o wysokości około dwudziestu metrów, ale wtedy maszyna została wyłączona. Przepisy okrętowe wymagały założenia upręży zabezpieczającej i linki, więc w trakcie wspinaczki przypiąłem się do drabinki. Stojaki zostały umieszczone w tak dużej odległości od siebie, że można było między nimi leżeć. Kiedy wspiąłem się wystarczająco wysoko, natknąłem się na przyłożony do czoła pistolet.

– Próbował pan stawiać opór?

– Tak, sir. Ale byłem w upręży i ktoś złapał mnie za nogi.

– Potem uderzono mnie w głowę i straciłem przytomność.

– Rozumiem. – Jego spojrzenie przesunęło się po reszcie grupy. – Lekcja dla was jest taka, że nawet moment nieuwagi – krótkie zaniechanie ostrożności – może któregoś dnia doprowadzić do schwytania was. Chorąży sądził, że na okręcie Floty jest bezpieczny, choć wiedział, że na pokład wdarli się intruzi. Niczego nie widział, niczego nie słyszał ani niczego nie wyczuwał... Ma szczęście, że przeżył, prawdopodobnie tylko dlatego, że porywacze uważali, iż może być dla nich użyteczny.

Uhlis umilkł, a na sali rozległy się szepty zdradzające niepewność słuchaczy.

– Ale chorąży zrobił też coś właściwego. Prawdę mówiąc, dwie rzeczy. Utrzymał się przy życiu, choć może prościej byłoby zginać.

I poradził sobie z przeżytym na skutek schwytania urazem, czego właśnie dowiodły jego reakcje.

W samym końcu sali ktoś podniósł rękę.

– Sir, nie rozumiem.

– Porucznik Marden, jak przypuszczam?

– Tak jest, sir.

– Następnym razem proszę się przedstawić. A pośpiech na tym kursie grozi śmiercią. Jeśli nie rozumiesz, czekaj. Nie ruszaj się.

Słuchaj. Możesz nauczyć się czegoś, co uratuje ci życie.

Wszyscy siedzieli nieruchomo; Esmay wręcz przestała oddychać. Zauważyła, że nawet Brun znieruchomiała.

– Ale ponieważ i tak miałem to później wyjaśnić, zrobię to teraz. Jak zrozumiałem z raportu, chorąży Serrano praktycznie nie miał możliwości ucieczki. W związku z tym jego obowiązkiem było utrzymać się przy życiu, a więc nie prowokować porywaczy do zabicia go. Udało mu się to dlatego, że znosił maltretowanie bez utraty kontroli nad sobą i pozostawał maksymalnie pasywny. Po drugie, w pełni współpracował ze specjalistami w czasie terapii pourazowej. Niektórzy uratowani więźniowie nie potrafią pogodzić się z potrzebą poddania się terapii i nie współpracują z terapeutami, dlatego nie uzyskują zadowalających wyników. Sądząc po raportach – oczywiście większość z nich jest poufna, więc dysponuję tylko podsumowaniem – terapeuci są przekonani, że w przypadku chorążego Serrano nie doszło do trwałych zmian psychicznych. – Nastąpiła kolejna pauza, której nikt nie przerywał.

– Bez wątplenia część z was sądzi, że byłem wobec chorążego Serrano zbyt ostry, za bardzo krytyczny. Rzeczywiście byłem, ale chciałem sprawdzić słuszność oceny terapeutów, zanim zdecyduję się dopuścić go do zajęć, na których wszelkie nie rozwiązane problemy mogą uczynić go zagrożeniem dla siebie i innych. Chorąży Serrano zdał mój test. A pozostali... Będziemy musieli się przekonać. Chorąży Serrano – zwrócił się teraz do Barina.

– Sir. – Kark Barina nie był już tak czerwony.

– Gratulacje.

– Sir. – Jego kark znów się zaczerwienił.

– Zakładam, że przeczytaliście wstępny materiał do zajęć – powiedział Uhlis i omiół spojrzeniem całą salę. Esmay jak zwykle przeczytała więcej, ale sądząc po poruszeniu na sali, nie wszyscy tak zrobili. Uhlis spojrział na swój wyświetlacz. – Porucznik Taras, proszę wyjaśnić różnicę prawną między zatrzymaniem wojskowym a wrogim przejęciem.

Taras była jedną z tych, którzy nie mogli odpowiedzieć twierdząco na zadane wcześniej pytanie. Porucznik wstała z miejsca.

– Sir, o wojskowym zatrzymaniu mówimy wtedy, gdy jednostka się podda, a o wrogim przejęciu wtedy, gdy zostanie zaskoczona.

– A różnica prawna?

– Cóż... Jedni się poddali, drudzy zostali zatrzymani.

– Źle. Nie przeczytała pani materiału, prawda?

– Tak jest, sir.

– Porucznik Vericour?

Vericour wstał.

– Sir, ja przeczytałem, ale nie jestem pewien, czy zrozumiałem. To znaczy różnica między

porwaniem kogoś ze stacji kosmicznej na przykład w trakcie przepustki i poddaniem się załogi uszkodzonego statku jest jasna.

– Przypuśćmy, że jest pan pewien, iż ma do czynienia z wrogim przejęciem. Jaka byłaby pańska sytuacja prawna?

– Sir, zgodnie z Regulaminem powinienem podjąć próbę ucieczki z użyciem dowolnych środków, pomóc innym w ucieczce...

– A jakie obowiązki miałiby wobec pana porywacze?

– Jeśli są sygnatariuszami Konferencji Otopki, co dotyczy Benignity Współczującej Dłoni i Republiki Guernesii, ale nie Krwawej Hordy, są zobowiązani zapewnić środki podtrzymywania życia i opiekę medyczną.

– Wystarczy. Porucznik Suiza. – Vericour usiadł, Esmay wstała.

– Proszę zdefiniować sytuację chorążego Serrano w kontekście przedstawionego przeze mnie problemu prawnego.

– Sir, chociaż chorąży Serrano został ujęty na pokładzie jednostki Floty, jego sytuacja bardziej przypominała wrogie przejęcie niż wojskowe poddanie się. Ponieważ Krwawa Horda nie jest sygnatariuszem Konferencji Otopki, nie uznaje żadnych powinności wobec swoich więźniów, choć prawa Familii obciążają ją odpowiedzialnością.

– Bardzo dobrze. – Uhlis kiwnął głową. Esmay usiadła, a on przeniósł uwagę na kogoś innego. W ciągu kilku minut dokładnie sprawdził, kto przeczytał wyznaczony tekst, a kto nie, i wiedział, kto ma skłonności do dokonywania pospiesznych i głupich ocen. Esmay wcale nie była zaskoczona, że w tej drugiej grupie znalazła się Brun. Uhlis wywołał ją do odpowiedzi i stwierdził, że ona również nie przeczytała zadanego materiału, choć dla niej jest to ważniejsze niż dla wszystkich pozostałych.

– Nie rozumiem, dlaczego – rzekła Brun. Uhlis wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę.

Nawet od cywila, panno Meager, oczekuje się przestrzegania podstawowych norm zachowania. Należy poprosić o zgodę na odezwanie się i przedstawić się, zanim zdradzi się pani ze swoją ignorancją. Jeszcze lepiej będzie, jeśli ograniczy się pani do słuchania i uczenia się.

Brun poczerwieniała, ale więcej się nie odezwała, a Uhlis zwrócił się do kogoś innego. Esmay nie potrafiła nie przejmować się, kiedy ktoś obrywał burę, dlatego niemal zaczęła żałować, że wybrała te zajęcia, mimo że uczestniczył w nich Barin.

Następne zajęcia Esmay odbywały się w sąsiedniej sali. Kiedy wyszła na korytarz, czekał tam na nią Barin.

– Poruczniku, jak to dobrze znów panią widzieć – rzekł, ale jego oczy mówiły więcej. Esmay poczuła ogarniające ją ciepło, jakby stanęła w plamie słonecznego blasku.

– Dzień dobry, chorąży – odpowiedziała równie oficjalnie. Czowała na plecach pełne zainteresowania spojrzenie Vericoura. – Cieszy się pan z zejścia z *Kosa*?

Barin uśmiechnął się szeroko.

– Powiedzieli mi, że później umieszczą mnie na okręcie liniowym – zakładając, że zaliczę kursy. – W jego głosie brzmiała pewność siebie kogoś, kto zawsze je zalicza.

– Zaliczyłeś najtrudniejszy tam na *Kosie* – stwierdziła poważnie Esmay. – I Uhlis o tym wie.

– Wolalbym przeżyć to w odwrotnej kolejności. Szkolenie przed przedstawieniem, choć ty zrobiłaś podobną sztuczkę z dowodzeniem, tylko tobie lepiej poszło.

Nagle obok Esmay pojawiła się Brun.

– Cześć. Poruczniku Suiza, proszę mnie przedstawić temu atrakcyjnemu chorążemu, oczywiście jeśli nie trzymasz go tylko dla siebie.

Barin zaczerwienił się, a Esmay poczuła, że zaczynają ją palić uszy. Z trudem zmusiła się do uśmiechu i powiedziała:

– To chorąży Serrano... a to Brun Meager. – Nie musiała podawać jej nazwiska rodzowego, i tak wszyscy je znali.

– Musisz być wnukiem admirała Serrano – powiedziała Brun, wpychając się przed Esmay. – Dużo o tobie słyszałam. Masz kilka minut?

Esmay nie miała, zaraz zaczynały się jej następne zajęcia.

Zignorowała więc desperackie spojrzenie Barina i zostawiła go własnemu losowi. Jeśli nie potrafi poradzić sobie z jedną oszalałymi blondyną...

Pierwszy raz w życiu miała problemy ze skupieniem się na taktyce. Myślała o tym, że Brun jest piękna w taki sposób, w jaki ona nigdy nie była, i potrafi przyciągnąć uwagę niemal każdego.

Nawet Esmay ją lubiła, mimo że nie akceptowała podejścia dziewczyny do wielu spraw. Zachowanie wobec niej obojętności wydawało się po prostu niemożliwe. Naturalnie Barin jej się spodobał – jest uroczy, przystojny i utalentowany – i oczywiście Barin...

Zmusiła się do skupienia na wykładzie, ale uświadomienie sobie, że Vericour zauważył jej zamyślenie, tylko pogorszyło sprawę.

Przebrnęła jakoś przez zajęcia, wciąż na nowo powracając myślami do Barina i Brun. Jeśli takie są skutki miłości, to nic dziwnego, że odradzają ją oficerom, pomyślała ponuro. Tam, na *Kosie*, wszystko wydawało się takie proste. Uczucie do Barina dodawało jej siły, pewności siebie, czyniło ją szczęśliwszą i skuteczniejszą. Ale to był pierwszy wybuch uczucia... a teraz sytuacja jest inna. Czy on ma ten sam problem? Czy miłość do niej odbierze mu szansę stania się takim oficerem, jakim mógłby zostać?

Próbowała wyobrazić sobie, co powiedziałyby jej terapeutka, ale w niczym jej to nie pomogło.

Kiedy przy wieczornym posiłku pochylała się ponuro nad tacą, krzesło obok niej zatrzeszczało.

– Poruczniku? – To Barin. Poczuela, jak coś ściska i uwalnia jej pierś.

– Chorąży – odpowiedziała. Miała ochotę się rozplakać, ale szybko zdławiła to uczucie. – Barin, jak minął ci pierwszy dzień?

– Interesująco – odpowiedział i uśmiechnął się do niej z radością. – Dobrze wyglądasz. Kiedy Uhlis zaczął tę sprawę ze mną, nie byłem pewien, co robić, ale potem domyśliłem się, o co mu chodzi.

– Miałam ochotę go walnąć – powiedziała Esmay, zdumiona ogniem we własnych słowach, po czym wbiła zęby w chleb, jakby to było ciało Uhlisa.

Nie... On miał rację, dokonał na moim przykładzie interesującej analizy. Założę się, że nie w każdej grupie mają kogoś takiego jak ja, chyba że specjalnie ich tu sprowadzają. – Przez chwilę był zamyślony. – Ciekawe, czy to dlatego dostałem się na ten kurs... – Potrząsnął głową. – Ale co u ciebie? Słyszałem, że zaliczasz jeden kurs za drugim. Masz w ogóle czas na spanie?

Poczuela, jak czerwienieją jej uszy, choć wiedziała, że to bardzo niewinne pytanie o stan zdrowia.

– Całkiem dobrze sobie radzę, pod warunkiem, że nie próbuję robić niczego innego poza nauką.

– Och, nie miałem zamiaru odrywać cię od nauki – zapewnił ją Barin. – Wiem, że to dla ciebie

ważne. Po prostu miałem nadzieję...

– Wiem – powiedziała Esmay do swojego talerza. – Po prostu... – wiesz, upłynęło trochę czasu.

– Aha. – Barin zjadł trochę groszku, a potem coś pomarańczowego, co prawdopodobnie miało jakiś związek z kabaczkami. – Widziałem cię wczoraj, gdy przyleciałem; szłaś na jakieś zajęcia.

– Wygląda na to, że dobrze układa ci się z innymi oficerami.

– Próbuję. Wszystko to, co powiedziałeś o różnicach kulturowych, bardzo mi pomaga. Choć wciąż zdarza mi się, że mam chęć przeprosić kogoś albo coś wyjaśnić.

– Cieszę się, że mogłem ci pomóc. Chciałem zapytać...

– Proszę, proszę – rozległ się głos zza ich pleców. – Miałam nadzieję zjeść obiad w towarzystwie mojego ulubionego chorążego, ale widzę, że jest już zajęty.

Esmay omal się nie zadławiła.

– Witaj, Sera Meager.

– Brun. Sera Meager albo panną Meager nazywają mnie tylko ci, którzy chcą mnie przed czymś powstrzymać. Nie macie nic przeciwko temu, żebym się dosiadła? Obiecuję, że mój strażnik zachowa odpowiedni dystans.

– Oczywiście – odpowiedział Barin i wstał, a Brun zajęła miejsce naprzeciwko Esmay, tak że teraz doskonale widziała te błękitne oczy, których tak naprawdę wolałaby nie oglądać.

– Jak poszedł egzamin? – zapytała Brun, najwyraźniej ze szczerym zainteresowaniem. – Procedury Administracyjne, prawda?

– Brzmi okropnie nudno. To chyba tylko wypełnianie formularzy?

– To coś więcej – odpowiedziała Esmay z wyraźnym chłodem w głosie. Odchrząknęła i spróbowała jeszcze raz. – Wypełnianie formularzy to element procedur, ale musisz też wiedzieć, który formularz i do jakiego biura wysłać. Właściwe wypełnienie nic nie pomoże, jeśli wyślesz druczek niewłaściwego poziomu albo wyślesz właściwy formularz do niewłaściwego biura.

– To śmiertelnie nudne. Wyrazy współczucia. Mam nadzieję, że moje paplanie o poranku nie wpłynęło na twoje oceny.

– Nie, poszło mi całkiem dobrze.

– Uzyskałaś najlepszą ocenę w grupie. Proszę nie ukrywać swojego talentu, poruczniku – wtrącił Barin.

– Racja – zgodziła się Brun. – Choć nie wydaje mi się, żebyś była typem urzędnika, pewnie każdy musi kiedyś w życiu wypełnić kilka formularzy.

Esmay nie potrafiła dłużej się złościć, widząc promieniujące zza stołu zainteresowanie i dobrą wolę.

– Ja też uważam, że to nudne – wyznała – ale to obowiązkowy kurs.

– A więc zaliczyłaś go na maksimum. Czego innego można by się spodziewać? Czy nie chcecie oboje wybrać się do Q-town i to uczcić?

– Nie mogę – odpowiedziała Esmay. – Za dwa dni mam egzamin z Taktyki, a nasza grupa uczy się dziś i jutro wieczór.

– Cóż, w takim razie... Chorąży, czy ty też masz jakiś egzamin?

– Nie, ale...

– Więc ty możesz pójść? Jeśli nie jesteś w grupie porucznik Suizy, ona i tak nie będzie z tobą

spędzać czasu i cię niańczyć.

– Nie jestem bobaskiem, Brun – rzekł Barin, zanim Esmay zdążyła coś powiedzieć. – Dobrze, będę cię eskortował... skoro twoi goryle będą pilnować, żebyśmy się dobrze zachowywał.

Esmay przyglądała się, jak odchodzą, nie tyle z mieszanymi, co z całkiem zmiksowanymi uczuciami. Faktycznie miała spotkanie grupy uczącej się taktyki, ale miała nadzieję spędzić jeszcze kilka minut z Barinem i zapytać go o jego interpretację przepisów dotyczących związków oficerów różnego stopnia albo w tej samej strukturze dowodzenia. Wzrastał we Flocie i przywykł do jej zasad. Jeśli on powiedziałby, że nie ma w tym niczego złego, znaczyłoby to, że prawdopodobnie tak właśnie jest.

* * *

Gdy przechodzili przez bramę bazy, Barin zerknął na córkę Mówcy. Wiedział, że żeglujecie po niebezpiecznych wodach. Zawodowi oficerowie nie wiązali się z Familiami, gdyż nad tego typu związkami zawsze unosił się cień Nadmiernych Wpływów.

Mimo to zwykła uprzejmość wobec gościa Floty nakazywała, by towarzyszył jej... i jej ochroniarzom.

Wolałby raczej porozmawiać z Esmay. Mieli tyle do omówienia... a poza tym wyglądała na zmęczoną i przepracowaną, dlatego chciał jej pomóc. Tak długo i tak bardzo się starała, wreszcie była na właściwej specjalizacji... Przypominał sobie miękkość jej włosów, gesty, którymi potrafił rozluźnić napięcie jej karku...

- A więc... poznałeś porucznik Suizę na *Koskiusko*? – zapytała Brun.

– Tak – odpowiedział, wyrwany nagle z rozmarzenia.

– Czy zawsze jest taka... sztywna?

– Sztywna? Ona ciężko pracuje, jest profesjonalistką...

– Jest nudna – przerwała mu Brun z dobrze skrywanym uśmiechem.

– Chyba nie mówisz tego poważnie.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Nie, nie mówię poważnie. Ale chciałabym się z nią spotkać, porozmawiać, a ona zawsze jest taka... sztywna i oficjalna. Nie wspominając już o tym, że chyba nigdy nie przestaje się uczyć.

Jest najlepsza na każdych zajęciach. Czego ona jeszcze chce?

– Tego, co każdy z nas: być najlepszą. – Barin czuł, jak kręgosłup mu sztywnieje, i nieco się zdziwił.

– Od lat kręcę się między oficerami Królewskich Sił Kosmicznych, ale oni są zupełnie inni niż wy – powiedziała zamyślona Brun.

Ponieważ nie są prawdziwymi żołnierzami, pomyślał, ale wolał tego nie mówić w obecności sześciu facetów z Królewskiej Ochrony.

– Nie wiem, czemu to wszystko jest konieczne – mówiła dalej Brun. – Mogę zrozumieć zawodową kompetencję, ale te zasady są nedorzeczne.

Barin omal nie prychnął.

– Jakie zasady masz na myśli? – zapytał.

– Och, no wiesz... Całe to wstawanie, gdy wchodzi instruktor, ciągle salutowanie i podział wszystkiego według rangi.

– Są ku temu powody. – Barin nie miał zamiaru wyjaśniać tysiącleci wojskowej tradycji cywilowi, który i tak nie miał ochoty tego polubić. – Ale jeśli to ci się nie podoba, czemu tu przyleciałaś?

– Zaleciła mi to admirał Serrano. Właściwie wbrew woli mojego ojca. Powiedziała, że będę mogła rozwijać swoje talenty w kontrolowanym otoczeniu.

– To brzmi jak cytat – zauważył Barin.

– Znasz admirała... No tak, jesteś Serrano. Przypuszczam, że znasz także Heris?

– Admirał Serrano to moja babka, a komandor Serrano jest jedną z moich kuzynek. – Nie widział potrzeby wdawania się w szczegóły.

– No cóż, w takim razie może zostaniemy przyjaciółmi – oświadczyła Brun, biorąc go pod ramię w taki sposób, że aż poczuł się nieswojo. – A teraz chodźmy się zabawić.

Barin pomyślał z tęsknotą o Esmay, bez wątpienia ciężko pracującej teraz w swojej kwaterze.

ROZDZIAŁ TRZECI

Brun nabrała zwyczaju przychodzenia prawie codziennie do pokoju Esmay, aby odbyć coś, co określała mianem „przyjacielskiej pogawędki”. Esmay bardzo starała się być uprzejma, choć szkoda jej było czasu, a ponadto denerwował ją fakt, że Brun uważała się za upoważnioną do wtrącania się w jej życie.

– Twoje włosy – powiedziała w czasie jednej z wizyt. – Czy zastanawiałaś się kiedyś nad ponownym ich ukorzeniem?

Jej włosy stanowiły problem już od dzieciństwa; nie mogąc się powstrzymać, przejechała po nich dłonią, próbując je przygładzić.

– Nie – odpowiedziała.

– No cóż, to chyba by pomogło – stwierdziła Brun, przechylając na bok pokrytą złotymi włosami głowę. – Masz dość ładnie ukształtowane kości...

– Mam też dość ładną kupę pracy – przerwała jej Esmay – jeśli nie masz nic przeciwko temu. – Nie była pewna, co jest gorsze: zniewagi Brun czy niedbały sposób, w jaki się wyniosła, w najmniejszym nawet stopniu nie dotknięta.

Któregoś wieczoru przyszła razem z Barinem, ale chłopak zaraz czymś się wymówił i wyszedł, rzucając Esmay długie spojrzenie, którego nie bardzo potrafiła zinterpretować.

– Jest miły – rzekła Brun, opadając na pryczę Esmay tak, jakby brała ją w posiadanie.

– Bardziej niż miły – odpowiedziała Esmay, próbując nie czuć urazy za ton właściciela w głosie Brun. Co ona robiła razem z Barinem?

– Przystojny, uprzejmy, inteligentny – mówiła dalej Brun. – Szkoda, że jest tylko chorążym; gdyby miał twój stopień, byłby dla ciebie idealny. Mogłabyś się w nim zakochać.

– Nie bardzo mam w tej chwili ochotę w kimkolwiek się zakochiwać – odpowiedziała Esmay. Była nieprzyjemnie świadoma, że jej uszy zrobiły się czerwone. – Jesteśmy kolegami.

Brun uniosła brew.

– Czy Altiplano jest jednym z tych miejsc, gdzie nie wolno rozmawiać o seksie?

Uszy Esmay nabrały temperatury, cała jej twarz płonęła.

– Można – powiedziała przez zaciśnięte zęby – jednak uprzejmi ludzie tego nie robią.

– Przepraszam – powiedziała Brun, choć wcale nie wyglądała jak ktoś, komu jest przykro. – Ale w ten sposób musi być trudno rozmawiać z ludźmi o innych ludziach. Jak wyrażacie swoje... – skłonności?

– Ja nie miałam żadnych – odpowiedziała Esmay, ale nawet, dla niej to źle zabrzmiało. – Opuściłam swoją rodzinną planetę dość młodo – dodała. To niewiele poprawiło sytuację, ale nie potrafiła wymyślić niczego lepszego.

– Hmm. A więc kiedy spotykasz atrakcyjnego młodego mężczyznę – albo kobietę – masz do dyspozycji wyłącznie instynkt.

– Potarła paznokciami o bluzę i krytycznie im się przyjrzała. – A mówią, że to mężczyźni nie potrafią się wysławić.

– Ty... To było nieuprzejme.

– Naprawdę? – Brun wcale nie wyglądała na przejętą. – Przepraszam, jeśli tak to odebrałaś. Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Wiesz, my mamy zupełnie inne zasady.

– Jakież pewnie masz – stwierdziła Esmay. Jakiegokolwiek by one nie były, nie pasowały do zasad Floty... czy Altiplano.

– Cóż... Nie wypada omawiać bardziej pikantnych szczegółów z kimś, kto nie jest przyjacielem... albo przy jedzeniu.

Wbrew sobie Esmay zaczęła zastanawiać się, co Brun może mieć na myśli, mówiąc „pikantne szczegóły”.

– Poza tym – kontynuowała Brun – nieuprzejmie jest komentować czyjąś strukturę genetyczną, która ujawnia się w jego... Nie jestem pewna, jaki termin cię nie urazi. Częściach ciała? Wyposażeniu?

– Strukturę genetyczną! – Ciekawość przerodziła się we wściekłość.

– To, czy jest Zarejestrowanym Embrionem, czy nie, i jaki jest kod.

– Chcesz powiedzieć, że to... jest widoczne?

– Oczywiście – odpowiedziała Brun tonem wyższości, mocno nadwerężając cierpliwość Esmay. – Jest kod rejestracyjny i numer kodowy. Jak inaczej mogłabyś mieć pewność... Och, wy tego nie robicie.

– Cóż, jaz pewnością nie mam na ciebie żadnych kodów rejestracyjnych ani numerów – stwierdziła Esmay. Na samą myśl o tym ścierpła jej skóra, ale ciekawość zwyciężyła. – Gdzie...

– W lewej dolnej części brzucha – odpowiedziała natychmiast Brun. – Chcesz zobaczyć?

– Nie! – krzyknęła Esmay z większą niż zamierzała siłą.

– Nie to miałam na myśli. Ale z pewnością masz... No wiesz, jesteś starsza ode mnie.

– To już nie twoja sprawa. I zamierzam trzymać się tego.

Brun otworzyła usta, ale szybko je zamknęła i wzruszyła ramionami, co zirytowało Esmay tak samo jak to, co mogłaby powiedzieć. Potem sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła płataninę drutu z kilkoma koralikami.

– Zobacz. Wiesz, co to jest?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała Esmay, ciesząc się ze zmiany tematu.

– Według Ty, to amulet na szczęście. A mnie się zdawało, że to kupka przestarzałej elektroniki.

– Hmm. – Esmay przyjrzała się uważnie, a potem wyszczerzyła zęby.

– Co? – zapytała Brun.

– No cóż... Ten amulet przynosi szczęście tylko w określonych warunkach. To rzecz w rodzaju tych, jakie nam dali, gdy zaczęliśmy zaawansowany kurs skanu. Należało to zawiesić... Wspominali o tym?

– Tak. Nad biurkiem, pod lampą.

– Tak naprawdę to, co kryje się pod powyginanym drutem i ładnymi koralikami, jest małym skanerem. Około mniej więcej szóstego tygodnia, jeśli właściwie przykładasz się do nauki, nagle zdajesz sobie sprawę – tak jak wszyscy – że on transmituje to, co robisz i mówisz, i zdjęcie pokazujące twoje nagłe oświecenie trafia do archiwum oddziału. Im wcześniej zdasz sobie sprawę z tego, że to skaner, tym więcej dostajesz dodatkowych punktów.

– To znaczy, że... to mnie szpieguje?

– No cóż, wiedziałaś, że jesteś na podglądzie.

– Nienawidzę tego! – Brun rzuciła się na łóżko jak nadąsane dziecko.

– Przecież zgodziłaś się...

– Zgodziłam się na obecność tych głupich ochroniarzy, ale nie na umieszczanie w moim pokoju niedozwolonych urządzeń podsłuchowych. Niech ich diabli!

Esmay poczuła się o wiele starsza od tej zepsutej dziewczyny.

– Oni wykonują swoją pracę... a ty im jej nie ułatwiasz.

– A czemu miałabym ułatwiać?

– Dorośnij wreszcie! – Nie chciała tego powiedzieć, ale już nie mogła dłużej się powstrzymać. Ku jej zaskoczeniu Brun zbladła, jakby dostała w twarz.

– Bardzo przepraszam, że zajęłam ci czas. – Wstała i wyszła, zanim Esmay zdążyła coś odpowiedzieć. Przez chwilę wpatrywała się z zamknięte drzwi. Czy powinna ją przeprosić? Obowiązujące na Altiplano przeproszenie niemal za wszystko stało w sprzeczności z radą Serrano, by nie za wiele przeproszać. Żałowała, że nie może teraz porozmawiać o tym z Barinem, ale musiała skończyć obliczenia do projektu na zajęcia z planowania wsparcia. Zmusiła się do pracy, pocieszając się myślą, że może Brun nie będzie już chciała być w jej zespole.

* * *

Jednak ta nadzieja prysła, gdy opublikowano przydziały do grup. Brun zdołała dzięki sposobom znanym jedynie córce Mówcy Wielkiej Rady dostać się na kursie Uników i Ucieczki do grupy Suizy. Esmay pomyślała, że być może niesprawiedliwie ją ocenia, że może wcale nie wymagało to żadnych działań i Brun po prostu poprosiła o przydział i dostała. Zachowanie dziewczyny niczego nie zdradzało; sprawiała wrażenie kompletnie obojętnej.

– Waszym zadaniem na dzisiaj jest zorganizowanie ochrony osoby, której zagraża poważne niebezpieczeństwo i która wyrusza z tego pomieszczenia – Uhlis wskazał miejsce na mapie – do portu promowego zlokalizowanego tutaj. W pudełkach na stołach macie wszystkie potrzebne materiały. Za czterdzieści pięć minut robicie odprawę dla szefa ochrony. Do roboty.

Pierwszą rzeczą, jaką należało zrobić, było otwarcie znajdującej się w pudełku koperty, aby przekonać się, kto dowodzi ćwiczeniem. Ku uldze Esmay nie była to ani ona, ani Brun. Porucznik Marden – który choć pospiesznie, ale jednak przeczytał zadanie, i jak dotąd najlepiej orientował się w temacie – rozdał Esmay, Brun i Vericourowi materiały, po czym wszyscy zabrali się do pracy. Ich prezentacja została zaliczona, choć nie otrzymali najwyższej noty. Ocenę obniżono im za to, że Brun nie dostrzegła potencjalnego zagrożenia.

– Celem pracy w zespole jest połączenie waszych umiejętności i wiedzy, a nie trzymanie się własnych zakresów odpowiedzialności. Każdy z pozostałych mógł zauważyć – i powinien – że Sera Meager zignorowała możliwość ataku powietrznego w trakcie jazdy naziemnej.

Esmay poczuła ukłucie winy. Faktycznie zastanawiała się, czemu Brun o tym nie wspomniała, ale nic nie powiedziała, ponieważ sama zajęła się porządkowaniem posiadanych zasobów, w których nie było niczego, co pozwoliłoby im zestrzelić pojazdy powietrzne. Ale najbardziej oberwało się od Uhlisa ich dowódcy, porucznikowi Mardenowi. Esmay bała się, że zanim Uhlis skończy, Marden wyląduje w strzępach na podłodze. I faktycznie, zaraz po zajęciach porucznik zniknął i pojawił się dopiero na kolacji. Esmay podeszła z tacą do jego stołu.

– Powinnam była coś powiedzieć – stwierdziła. – Zastanawiałam się nad atakiem z powietrza, ale ponieważ nie miałam niczego, co mogłoby służyć do obrony przed nim...

– To było w moim pakiecie – powiedział Marden. – Gdyby tylko ktoś o tym wspomniał, mógłbym wezwać posiłki. Myślałem, że nie powinienem sam o tym mówić, ale – jak słyszałaś – to był błąd. – Wbił wzrok w talerz. – Właściwie nie jestem głodny.

– Przepraszam za obniżenie naszej oceny.

– Tym się nie martw. Myślę, że wszyscy za bardzo baliśmy się wejścia w cudze kompetencje. Ciekawe, czy wszystkie grupy miały ten sam problem.

– Cóż, słyszałem, że nikt inny nie dostał dostatecznej oceny, nie mówiąc już o dobrej. Ale naprawdę czuję się głupio.

– Nie wydaje mi się... – zaczęła Esmay, ale w tym momencie przy ich stole pojawił się Vericour.

– Jak myślicie, czy będziemy w tych samych zespołach w czasie ćwiczeń terenowych? – Usiadł, zanim którekolwiek z nich zdążyło odpowiedzieć. – Mam nadzieję, że nie, bo przeprowadzenie bezpiecznie przez ćwiczenia córki Pierwszego Mówcy mocno utrudni nam zadanie. – Obrócił się do Esmay. – Szczególnie tobie.

Esmay poczuła się zmuszona do obrony Brun.

– Ona nie ma wyszkolenia wojskowego, ale jest inteligentna i chętnie się uczy.

– I z tego, co słyszałem, bardzo chętnie wykazuje brak rozwagi.

– Vericour sięgnął do tacy z przyprawami i polał obficie swój posiłek sosem galis. Esmay kichnęła, wciągając w nos jego ostry zapach. – Przepraszam. Zapomniałem, jak to działa na wrażliwy węch. Ja sam straciłem powonienie całe lata temu.

– Jest córką Pierwszego Mówcy – powiedział Marden znacznie ciszej niż Vericour.

– Cóż, jest znaną postacią, więc nie może oczekiwać, że inni nie będą o niej mówić. Zawsze pojawia się w jakichś wiadomościach. Wiecie, mają nawet specjalny zespół, który zajmuje się filmowaniem jej szkolenia.

– Nic na to nie poradzi – stwierdziła Esmay. – Zawsze uganiają się za ważnymi ludźmi, a ona dobrze wygląda...

– Jest olśniewająca – poprawił ją Vericour. – Ale nie potrafię sobie wyobrazić, jak się skrada, a wy?

– Dostała się z Rotterdamu z powrotem na Rockhouse Major – powiedział Marden.

– Tak, kiedy jeszcze nikt nie przypuszczał, że taka dziewczyna może opłacić przelot pracą na statku rolniczym. Teraz wiedzą, i założę się, że już tego nie powtórzy. – Zwrócił się znowu do Esmay. – Oglądasz wiadomości?

– Nie. – Nigdy nie zwracała uwagi na kanały z plotkami o gwiazdach i modą.

– Cóż... Gdybyś oglądała, widziałabyś Brun Meager w różnych strojach, od eleganckich sukni do kombinezonów, pozującą na koniach czy wypoczywającą na jakiejś plaży. Jej zdjęcia pewnie wiszą w większej liczbie szafek niż zdjęcia jakichkolwiek gwiazd kostek.

Świetnie. Jeszcze jedna osoba uważająca ją za zjawiskowo piękną. Esmay potrafiłaby wyliczyć wszystkie wady jej twarzy i ciała, choć musiała przyznać, że nie było ich wiele.

– Ale poza śmiałym uratowaniem szacownej Lady Cecelii – to brzmiało jak cytat z jakiejś taniej

prozy – to, co czytałem, nie wskazuje, że ma zdrowy rozsądek. A więc teraz ugrzęźliśmy w jej towarzystwie...

– Jeśli zespoły będą takie same – zauważył Marden.

– Może nie będą, ale założę się, że Esmay trafi z nią do jednej grupy. Będą chcieli, żeby była z inną kobietą, a któż inny miałby to być? Taras? Nie rozśmieszaj mnie. Nie miałyby z Brun Meager żadnych szans. Nie, dadzą najlepszą, jaką mają, a to ty, moja droga. – Vericour uklonił się z uśmiechem. Esmay poczuła się zakłopotana. Nie pomogło nawet to, że Brun wybrała właśnie tę chwilę, aby pojawić się przy ich stole.

– Nic ci nie przyjdzie z flirtowania z Suizą – powiedziała do Vericoura, najwyraźniej mając na myśli jego ukłon. – Ale zawsze możesz spróbować ze mną.

Vericour rozłożył ręce i przewrócił oczami, a potem udał omdlenie. Roześmiali się wszyscy oprócz Esmay.

– Mogłabym z tobą porozmawiać? – zapytała Brun, odwracając się do niej z poważniejszym niż zwykle wyrazem twarzy.

W obecności pozostałych Esmay musiała się zgodzić.

– Wiem, że coś zrobiłam źle, ale nie wiem, co. Jak miałam zorganizować obronę przed atakiem powietrznym, jeśli nie mieliśmy do tego żadnych środków? I czemu miałabym się o to martwić, skoro we wręczonych nam informacjach nie było ani słowa o takim zagrożeniu?

A więc chodzi o problem techniczny, na który może udzielić odpowiedzi. Esmay szybko przedstawiła przyczyny ich niskiej oceny. Brun kiwała głową, najwyraźniej uważnie słuchając, a w niej znów zrodziły się cieplejsze uczucia dla tej dziewczyny.

– Czyli... nawet jeśli nie ma dowodów wskazujących na jakiś rodzaj zagrożenia, to i tak trzeba się na nie przygotować?

– Musisz przyjąć, że dysponujesz niepełnymi informacjami – wtrącił się Marden. – Zawsze tak jest.

– Ale jeśli będę zbyt ostrożna, niczego nie uda mi się zrobić – zaprotestowała Brun. – Muszę działać, nawet nie wiedząc wszystkiego.

– Tak, ale ze świadomością swojej niewiedzy i jej skutków – wyjaśniła Esmay.

– Bo nawet nie to, czego nie wiesz, ale raczej to, co wydaje ci się, że wiesz – a nie jest prawdą – może być przyczyną twojej śmierci – podsumował Vericour. – To tylko założenia, że brak informacji o zagrożeniu z powietrza oznacza, że go nie ma, tak samo jak brak wzmianki o piratach w sektorze wcale nie świadczy o tym, że ich tam nie ma.

– Rozumiem – powiedziała Brun. – Następnym razem bardziej się postaram, ale muszę przyznać, że jestem lepsza w szybkim reagowaniu niż w dostrzeganiu niewidocznych zagrożeń.

Kiedy Esmay wstała, Brun ruszyła za nią, zamiast udać się z pozostałymi kolegami na boisko. Esmay westchnęła. Była już zmęczona, a czekały ją jeszcze przynajmniej cztery godziny nauki. Jeśli Brun będzie upierać się przy rozmowie, znów będzie musiała siedzieć do późna, a już zaczynało jej brakować sił.

– Wiem, że jesteś zajęta – powiedziała Brun, gdy zbliżyły się do kwatery Esmay. – Ale to nie zajmie wiele czasu, a naprawdę nie wiem, do kogo miałabym się zwrócić.

– Wejdz – powiedziała Esmay. – O co chodzi?

– Coś złego dzieje się ze starszym bosmanem Vecchi – oznajmiła Brun.

– Co takiego? – Mając w pamięci poprzednią rozmowę, Esmay raczej spodziewała się pytania o obowiązujące we Flocie maniery.

– Cóż... Dzisiaj opowiadał nam, jak zaczepić linę do wraku w stanie nieważkości, i nagle w środku wykładu zaczął mówić bez sensu.

– Skąd ty to wiesz?

Brun zaczerwieniła się.

– Przeczytałam książkę – powiedziała. – Właściwie to jego podręcznik. *Techniki zabezpieczeń w ratownictwie kosmicznym*.

– Coś musiało mu się przestawić – stwierdziła Esmay. – Wszyscy czasem się mylą.

– Ale on tego nie zauważył. Mówił dalej, wszystko błędnie tłumacząc. A kiedy jeden z pepeków zapytał, czy jest tego pewien, Vecchi nadał się... potem zaczerwienił i wyszedł, a kiedy wrócił, powiedział, że bolała go głowa.

– Może...

– To nie zdarzyło się pierwszy raz. Tydzień temu wsadził zaczep Briggsa do góry nogami.

– Może was sprawdzał?

– Nie, to była jego własna lina, i kiedy już miał ruszyć, jedna z młodszych instruktorek – Kim jakaś tam, twarda kobieta, o połowę mniejsza ode mnie, ale mogłaby mnie podnieść jedną ręką zauważyła błąd Vecchiego i poprawiła go.

– Hmm. – Esmay nie wiedziała, czemu miałby to być jej problem, poza tym, że wszystko, co dotyczyło Brun, było jej problemem.

– Widać, że bardzo się tym przejęła. Przyglądała się później wszystkiemu, co robił, i wszystko sprawdzała. Zupełnie jakby był studentem.

– Ile Vecchi ma lat?

– Myślisz, że po prostu się zestarzał? Przechodził odmładzanie, wiem o tym. To jeden z pierwszych odmładzanych podoficerów.

– Kiedy?

Brun wyglądała na zdęgotowaną.

– Nie mam dostępu do jego danych medycznych. Skąd miałabym wiedzieć?

– Zastanawiałam się... czy może on po prostu się zużywa.

– To nie odbywa się w ten sposób. – Esmay uniosła brwi i czekała. – Mój ojciec – wyjaśniła Brun – odmładzał się, podobnie jak matka i ich przyjaciele... więc naturalnie wiem, jak to wygląda.

– No i? – ponagliła ją Esmay.

– No cóż, zazwyczaj powody powtórzenia odmłodzenia są natury czysto fizycznej. Znani mi ludzie, którzy przeszli więcej niż jedno odmłodzenie, nie mieli żadnych problemów z głową. Nie zmieniła się ich osobowość i nadal są równie inteligentni.

– Ale czy wcześniej stosowane procedury odmładzania nie wiązały się z degeneracją mentalną?

– Tylko wtedy, jeśli próbowało się je powtórzyć. – Brun skrzywiła się. – Cioteczna kuzynka mojej matki zrobiła to, i to było straszne. Matka próbowała trzymać mnie od niej z dala, ale wiesz, jakie są dzieci... Myślałam, że w pokojach, do których mnie nie wpuszczają, jest coś specjalnego, więc kiedyś wśliznęłam się tam.

– Czyli... Vecchi nie przypomina w niczym kuzynki twojej matki?

– Nie, zupełnie nie. Nie sądzisz chyba, że przez pomyłkę zastosowali niewłaściwą procedurę odmładzania?

– Nie wiem. Dobrze byłoby, gdybym wiedziała więcej o odmładzaniu i procedurze użytej w przypadku Vecchiego.

– Myślałam, że skoro jesteś z Floty, to możesz coś zrobić.

Esmay prychnęła.

– Nie mogę zajrzeć do jego akt osobistych i medycznych. Muszę mieć powód, żeby je zobaczyć, a wykradanie ich jest wbrew przepisom. Nie zamierzam rujnować sobie kariery tylko dlatego, że ty chcesz zaspokoić swoją ciekawość. Jeśli Vecchi ma jakieś zaburzenia, zauważy to ktoś w jego strukturze dowodzenia. Jeśli sama coś zauważę, mogę to zgłosić. Ale nie mogę – i nie zrobię tego – węszyć w jego aktach. Możesz to zgłosić do jego dowódcy. Kto jest przełożonym instruktorów?

– Komandor Priallo, ale jest gdzieś na przepustce.

– W takim razie znajdź kogoś młodszego stopniem.

– Wydaje mi się, że wcale cię to nie obchodzi.

– Obchodzi, ale nie mam prawa interweniować. To musi trafić do jego przełożonego. Myślę, że mogłabyś to zgłosić komendantowi.

– Może tak zrobię. – Brun westchnęła i wyszła. Esmay szybko wyrzuciła z głowy troski Brun i zajęła się swoimi zadaniami.

Kiedy następnego dnia opublikowano przydziały do zespołów na ćwiczenia terenowe, przekonała się, że Vericour miał rację.

Brun była w jej grupie, która była najmniejsza ze wszystkich, ponieważ razem z nią na zajęcia udawali się ochroniarze. Jak to będzie? Czy pozwolą jej na ostrzejsze zagrywki? Czy będą ingerować w przebieg ćwiczeń? I jaki będzie ich wpływ na punktację?

Tymczasem Brun emanowała wręcz nieprzyzwoitą energią i entuzjazmem. Uczyła się zadań szybciej niż ktokolwiek inny; Esmay zastanawiała się nawet, czy jej możliwości umysłowe kiedykolwiek zostały doprowadzone do granic. Zdawała się jednak niezdolna do przyjęcia postawy, która była drugą naturą tych oficerów, dla których nie była pierwszą. Reprimendy spływały po jej twardej skorupie pewności siebie, nic też nie dawały sugestie i przykład.

– To dyletantka – stwierdził Vericour w trakcie którejś z rozmów przy jedzeniu. – Ale właściwie czego mielibyśmy się spodziewać po kimś takim? Ona niczego nie traktuje poważnie, a już najmniej Floty.

Anton Livadhi, kuzyn Livadhiego, z którym Esmay służyła na *Despite*, potrząsnął głową. – Ona po prostu nie jest jedną z nas, i wie o tym. Chce, żebyśmy my brali wszystko na poważnie, a ona będzie dobrze się bawić. – Miał własną grupę na ćwiczenia terenowe, która znajdowała się dość wysoko na liście ocen po wstępnych zadaniach. Grupa Esmay lokowała się pośrodku, a sama Brun raz była traktowana jak geniusz, a raz doprowadzała wszystkich do furii. Jej ochroniarze nie mogli zaangażować się w zajęcia tak, jak powinni członkowie zespołu, i równocześnie pozostawać strażnikami. Na wykonanie niektórych ćwiczeń potrzebowali prawie dwa razy więcej czasu niż najlepsze grupy.

Esmay zaczęła obawiać się ćwiczeń polowych, czterech dni intensywnej i niebezpiecznej pracy w dziczy na zachód od bazy. Ochroniarze Brun zajmą się jej bezpieczeństwem, a ona i pepek Medars

będą odwalać robotę za całą grupę. Dwa dni przed ćwiczeniami, po wykładzie na temat obsługi systemów okrętowych, znalazła w osobistym komunikatorze wiadomość: komandor porucznik Uhlis chce spotkać się z nią przy pierwszej możliwej okazji. Ponieważ miała godzinę przerwy między zajęciami, oznaczało to „natychmiast”.

Już z odległości dziesięciu metrów od drzwi Uhlisa usłyszała gniewne głosy.

– Sama pani widzi, że to niemożliwe. – Komandor był zirytowany.

– Czemu? – Brun była bardziej niż zirytowana. Esmay zatrzymała się.

– Ponieważ już jest pani celem zabójców. Ćwiczenia polowe z samej swojej natury są niebezpieczne. Wystarczy tylko jedna osoba – tylko jedna, mająca odpowiednie umiejętności – żeby panią ustrzelić.

– Chce mi pan powiedzieć, że w bazie pełnej personelu Floty nie może mi pan pozwolić nawet na udział w prostych ćwiczeniach polowych? – Pogarda w głosie Brun miała zmusić Uhlisa do zmiany zdania. Ale to nie zadziałało.

– Chcę powiedzieć, że nie wyrażam zgody. Podobnie jak pani ojciec, któremu przekazałem już naszą decyzję wraz z argumentacją.

– To... to... najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam! – Głos Brun nabrał mocy. – Jeśli jestem celem ataku terrorystów, to właśnie powinnam się nauczyć uników i ucieczki. Co mam zrobić, jeśli zostanę porwana i będę musiała uciekać?

– Wciąż będzie dla pani dostępny wariant ucieczki, przynajmniej w warunkach miejskich.

– Świetnie. A więc wyrwałam się z jakiegoś prowincjonalnego więzienia i mam do przebycia sto kilometrów, aby być bezpieczną, ale brak mi przeszkolenia!

– Według pani ojca, przeszła pani wystarczające przeszkolenie w zakresie podstaw przeżycia i nawigacji polowej zarówno na Serialis, jak i na Castle Rock. Jego zdaniem, z czym zgadzają się instruktorzy oglądający nagrania, pani umiejętności odpowiadają umiejętnościom większości osób, które ukończyły nasz kurs. Tak więc wariant ucieczki powinien bardzo dobrze uzupełnić pani wiedzę.

Zapadła cisza. Esmay zaczęła zastanawiać się, czy powinna teraz wejść, ale w tym momencie wyraźnie wściekła Brun wypadła na zewnątrz.

– Nie uwierzysz... – zaczęła na widok Esmay.

– Przepraszam – przerwała jej, nie chcąc słuchać tego jeszcze raz. – Trochę słyszałam, a poza tym mam spotkanie. – Brun odsunęła się z obrażoną miną, a Esmay wkroczyła do biura, gdzie czekał już ponury Uhlis; jego spojrzenie mogłoby przepalić kadłub okrętu. – Sir, porucznik Suiza melduje się...

– Proszę zamknąć drzwi.

– Tak jest, sir. – Esmay zamknęła drzwi, świadoma obecności Brun.

Uhlis odetchnął głęboko, potem jeszcze raz, a następnie spojrzał na nią nieco łagodniejszym wzrokiem.

– Chciałem porozmawiać na temat pani zespołu – powiedział. – Jak pani słyszała – kiwnął głową w stronę drzwi – martwimy się o bezpieczeństwo Brun Meager. Aż do wczorajszego wieczoru mieliśmy rozkaz uwzględnić ją we wszystkich kursach, łącznie z ćwiczeniami terenowymi. Jednak teraz mamy pozwolenie wyłączenia z tego jej oraz jej ochroniarzy, musimy zatem zmienić skład zespołów. Dostanie pani nową grupę, którą będzie pani dowodzić. – Uśmiechnął się groźnie. – Z tego, co wiem, bardzo dobrze radzi sobie pani z motywowaniem ludzi, poruczniku.

A więc na nic poczucie koleżeństwa, które budowała wraz ze swoim zespołem przez ostatni tydzień, a ponadto grupa, do której ją skierują, może mieć jej za złe zmianę dowódcy. Ale przynajmniej nie będzie musiała martwić się o Brun.

– Dziękuję, sir – odpowiedziała.

– Podziękuję mi pani po ćwiczeniach. Jeśli będzie za co. Proszę pamiętać, że punktacja zależy nie tylko od tego, czy uda wam się uniknąć schwywania, ale także od tego, ilu osobom w zespole to się uda.

Jej nowy zespół – dwie kobiety i czterech mężczyzn – już czekał na wieczorne ćwiczenia. Wyglądali na znudzonych i niechętnych. Była to grupa dowodzona przez Antona Livadhiego, który nieco zbyt głośno wyraził wątpliwości co do wysokiej punktacji Suizy, nazywając ją „maskotką Serrano”. Zignorowała jego słowa, ale czuła, że ci ludzie na pewno nie. Wszyscy oni, oprócz jednego, byli w jej klasie w Akademii, ale od lat ich nie widziała, a i wtedy nie była z nimi zbyt blisko.

Wieczorne zadanie było podejrzanie proste. Mając do dyspozycji trochę różnych materiałów, mieli pokonać szereg „naturalnych” przeszkód. Każda z nich wymagała nie tylko pracy grupowej, ale i twórczego myślenia... zwłaszcza że żadna z żerdzi nie miała wystarczającej długości, liny były za krótkie, a wiele przedmiotów nie miało żadnego związku z zadaniem. Esmay próbowała zachowywać się bezpośrednio i życzliwie, tak jak zalecał podręcznik dowodzenia, ale tylko część jej nowego zespołu jakoś na to zareagowała. Porucznik Taras miała skłonności do obrażania się, jeśli jej pomysły nie zostały od razu przyjęte, a porucznik Paradh i pepek Bearlin zawsze potrafili wymyślić powody, dla których coś może się nie udać. W czasie przeznaczonym na wykonanie zadania udało im się pokonać tylko cztery z pięciu przeszkód. Do tej pory ten zespół zaliczał każde ćwiczenie na pierwszym lub drugim miejscu, ale nie tym razem.

Można było poprosić o dodatkowy czas, choć robiono to rzadko ze względu na obniżenie punktacji o dwadzieścia procent. Esmay podniosła rękę; Taras wydała z siebie dźwięk przypominający jęknienie. Esmay odwróciła się w jej stronę.

– Skończymy to, poruczniku, nawet jeśli będziemy musieli zostać tu całą noc.

– Nie możemy wygrać – stwierdził Bearlin – ale możemy zadowolić się osiemdziesięcioma procentami, które już mamy.

– A kiedy będziesz potrzebował dodatkowych dwudziestu procent doświadczenia, skąd je weźmiesz? – zapytała Esmay. – Dokończymy to ćwiczenie, i zrobimy to teraz.

Spodziewała się silniejszego oporu niż tylko rzucanie jej wściekłych spojrzeń. Grupa pokonała ostatnią przeszkodę z większą energią niż poprzednie, i choć Esmay obawiała się, że wrzucają w błoto, przenieśli ją nad jamą z taką samą troską, jaką okazywali sobie nawzajem.

– Słuszny wybór – powiedział im później instruktor. – Wcześniej nie dostalibyście osiemdziesięciu procent – byliście równie skuteczni jak kubek dżdżownic – ale teraz je macie.

Zanim wrócili do mesy, Esmay nabrała przekonania, że jeszcze ma szansę – niewielką, ale realną – dogadać się z tą grupą. Gdyby tylko miała kilka dodatkowych dni przed rozpoczęciem ćwiczeń...

Następnego dnia zajęcia poszły im lepiej; jej nowy zespół sprawiał wrażenie, że znów chce pracować. Tego dnia wrócili na trzecią pozycję w rankingu grup. Po zajęciach Esmay poszła do kabiny, aby przygotować się do ćwiczeń polowych i spróbować złapać kilka godzin snu.

Właśnie ułożyła wszystkie rzeczy na prycy, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Mruczając pod

nosem, podeszła, aby otworzyć.

Mógł to być Barin, którego od paru dni prawie nie widywała, albo Brun. Miała nadzieję, że Barin. Jednak przed drzwiami stała Brun, na dodatek bardzo zła.

– Pewnie jesteś z siebie dumna! – rzekła córka Pierwszego Mówcy.

– Przepraszam? – O czym ta dziewczyna mówi?

– Nigdy nie chciałaś mnie mieć w swoim zespole, od samego początku mnie nie lubiłaś.

– Ja...

– A teraz postarałaś się, żebym nie mogła brać udziału w ćwiczeniach polowych i żebyś mogła przejąć najlepszy zespół.

– Nie zrobiłam tego – powiedziała Esmay, czując, jak w środku płonie. – Właśnie mnie przydzielili...

Och, nie bądź głupia. – Brun opadła na pryczę, rozrzucając starannie ułożone rzeczy. – Jesteś bohaterską porucznik Suizą i chcą, żebyś błyszczała, dlatego tak to urządzili. Nieważne, co to oznacza dla planów innych ludzi.

– Na przykład twoich? – Esmay czuła, jak przyspiesza jej puls.

– Na przykład moich. Antona. Barina.

– Barina!

– Wiesz, on naprawdę cię lubi – powiedziała Brun, szturchając stosik paczek koncentratu, aż się zawalił. Dwie paczki spadły na podłogę. Esmay zacisnęła zęby i bez słowa je podniosła. – Próbowałam dowiedzieć się, czemu jesteś taką zimną rybą, i pomyślałam, że może on wie. Założę się, że nawet nie masz pojęcia, iż biedny chłopak kocha się w tobie.

Czyżby ona... Esmay przez chwilę rozważała możliwość wyrwania z głowy Brun tych jej złotych loczków.

– Oczywiście, taka sztywna profesjonalistka jak ty nigdy nie zniży się do zadawania się z marnymi chorążymi – mówiła dalej Brun tonem, który mógłby zedrzeć ze ściany kilka warstw farby.

– Podobnie jak my wszyscy, on jest dużo poniżej twojego poziomu. Ty zauważasz ludzi, jeśli wejda ci w drogę. – Tym razem podniosła manierkę i zaczęła bawić się zamknięciem.

– To niesprawiedliwe – powiedziała Esmay. – Nie miałam nic wspólnego z wykluczeniem cię z ćwiczeń polowych.

– I pewnie jeszcze mam uwierzyć, że mnie broniłaś?

– Nie, ale to nie to samo. Nie do mnie należało podjęcie decyzji.

– Ale gdyby tak było... – Brun rzuciła jej wyzywające spojrzenie.

– Nie ma znaczenia, co by było, gdyby było.

– Jakie to prawdziwe. Mogłabyś być przyjaciółką, mogłabyś kochać Barina, ale ty zamiast tego...

– Co ma znaczyć to „mogłabyś kogoś kochać”? – Nawet w złości nie potrafiła wymówić imienia Barina. Nie w obecności tej kobiety.

– Nie spodziewasz się chyba, że zawsze będzie cię uwielbiał, prawda? Tylko na wypadek, gdybyś zeszła ze swojej szklanej góry i go zauważyła? Nawet największy zachwyt nad bohaterem kiedyś się kończy.

To właśnie budziło jej najgłębsze obawy. Czy to było tylko zauroczenie, uwielbienie dla

bohaterki? Czy już... się skończyło?

– A ty oczywiście pomogłaś mu wyleczyć się z tego bezsensownego szaleństwa?

– Zrobiłam to, co do mnie należało. – Brun odrzuciła na bok włosy gestem, który nie pozostawiał cienia wątpliwości co do znaczenia tych słów, a Esmay wyobraziła sobie, jak obie tarzają się po pokoju i ona wyrywa z głowy Brun te jej złote loki. – Jest inteligentny, bystry, dowcipny, nie mówiąc o tym, że jest niesamowicie przystojny. Myślałam, że może to zauważysz.

Esmay miała wrażenie, że pokój zalał niezwykle jasny blask, a to w niej zagotowała się furia. To... to coś dobierało się do Barina. To coś chciało zająć jej miejsce, zniszczyć jej związek z Barinem. To coś to młoda kobieta, która otwarcie chwali się swoimi podbojami seksualnymi, która odmawia podporządkowania się jakiegokolwiek zasadom, która twierdzi, że nie boi się gwałtu, ponieważ „to tylko mechanika, a poza tym nikt nie może mnie zapłodnić”. Jest jak Casea Ferradi, tyle tylko, że jej zachowania nie można wytłumaczyć kolonialnym pochodzeniem.

Niemal nieświadoma tego, co robi, Esmay podniosła Brun z pryczy i z łatwością pchnęła ją na ścianę, zupełnie jakby miała do czynienia z małym dzieckiem.

– Ty... – Próbowwała znaleźć słowa, które byłyby wystarczająco bolesne. – Ty panienczko – powiedziała w końcu. – Wpadasz tu ze swoją genetycznie zmodyfikowaną inteligencją i urodą i popisujesz się, bawisz się nami. Bawisz się ludźmi, którzy narażają życie, żeby zapewnić tobie i twojej wspaniałej rodzinie bezpieczeństwo.

Brun otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale Esmay nie dała jej szansy; słowa, które od tak dawna wzbierały, zaczęły wylewać się z niej.

– Chciałaś, żebyśmy zostały przyjaciółkami, a co zrobiłaś oprócz zabierania mi czasu, przeszkadzania i uganiania się za przyjemnościami? Nigdy nie przyszło ci do głowy, że niektórzy z nas mają tu coś do zrobienia, że nie tylko nasze, ale i życie innych będzie zależało od tego, jak sobie tu poradzimy. Chcesz bawić się w Q-town, więc ktoś powinien z tobą pójść... i nie ma znaczenia, że zostaje mniej czasu na naukę. W końcu czy to ważne, czy zaliczysz kurs, czy go oblejesz? To nie twoje życie jest stawką. Nie dbasz o to, czy zrujnujesz karierę Barina, czy nie.

Myślisz, że pieniądze i rodzina dają ci prawo posiadania wszystkiego, na co masz ochotę.

Brun zbladła, ale Esmay wcale to nie obchodziło. Jej podniecenie w oczekiwaniu na następny dzień i wyczerpanie tygodniami intensywnej pracy zniknęły w ogniu furii.

– Masz tyle moralności, co kotka w rui, tyle duchowej głębi, co kropla deszczu na szybie. Ale któregoś dnia będziesz tego potrzebować i mogę ci obiecać – dam ci słowo, panno Bogactwo i Sława – że będziesz żałować, że ci tego brak, i zrozumiesz, że miałam rację. A teraz wynoś się stąd i trzymaj się ode mnie z daleka.

Po tych słowach Esmay otworzyła drzwi. Była gotowa wyrzucić Brun, ale ta sama wyszła; to, że drzwiami nie dało się trzasnąć, uratowało je przed rozwaleniem. Trzęsącymi się rękami Esmay zebrała swoje rzeczy i spakowała je, po czym odłożyła plecak na bok i położyła się na pryczy, czekając bezsennie na alarm.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Brun snuła się ulicami Q-town, próbując stłumić przepełniający ją gniew. Ta świętoszkowata skromnisia... nadęta prowincjonalna smarkula... której rodzina pewnie z bosymi nogami wypasa świnię, potraktowała ją tak tylko dlatego, że ona wyrosła w dobrobycie, tylko dlatego, że mogła rozmawiać o seksie, nie czerwieniąc się przy tym po uszy!

Gdzieś w głębi duszy wiedziała, że to nieuczciwe. Esmay nie jest ignorantką, lecz kobietą o niepodważalnych zasługach. Ukończyła Akademię, jest oficerem Floty, weteranem bojowym. Brun byłaby szczęśliwa, gdyby miała doświadczenie Esmay i cieszyła się takim samym jak ona szacunkiem.

Lecz nie aż tak bardzo, by zmienić się w totalne bezguście, zrezygnować z seksu i wszelkich innych przyjemności.

Ale przecież Esmay nie wyrzekła się przyjemności...

Brun nie chciała jednak być sprawiedliwa, chciała się złościć.

Esmay nie miała prawa jej wyrzucić, nie miała prawa mówić jej, że jest niemoralna. Oczywiście, że nie jest. Na przykład uratowała Lady Cecelię. Nawet Esmay to przyznała. Jeszcze nikt nigdy nie zarzucił jej braku moralności.

Grzebała w swojej przeszłości, wyciągając jeden za drugim przykłady sytuacji, w których zachowała się tak, że na pewno spodobałoby się to Esmay. Obroniła w szkole tę małą Ponsibar, która była taka przestraszona i łatwa do ośmieszenia. Powiedziała prawdę o incydencie w laboratorium biologicznym, choć kosztowało ją to utratę miesięcznego kieszonkowego i przyjaźni Ottali Morreline. Była uprzejma wobec babki ciotecznej Tremy, mimo że ta wielka dama zabawiała gości na Balu Myśliwskim opowieściami o „małej Bubbles”, która jako bobas chlapała się nago w fontannie. Potem musiała odrzucić zaloty braci wielu swoich koleżanek ze szkoły, ale nie obraziła się na ciotkę Tremę.

Poza tym ona i Raffa... ocaliły sobie nawzajem życie na wyspie.

Nie mogła pogodzić się z wszystkimi zarzutami Esmay. No i co z tego, że ma inne zasady? To wcale nie znaczy, że w ogóle ich nie ma. Gdy już miała dość rozważań na ten temat, doszła do wniosku, że jest spragniona, i skręciła do jednego z barów, których było sporo na tej ulicy.

Bar nosił nazwę *Diamond Sims*. Brun pomyślała, że chodzi o sztuczne diamenty i że ma to jakiś związek z upadkiem świata.

Wewnątrz były boksy pełne kobiet i mężczyzn, ubranych przeważnie w bure kombinezony okrętowe, ulubiony cywilny strój wojskowych. Kilku – mniej niż jedna trzecia – miało na sobie mundury. Nie widziała żadnych studentów – prawdę mówiąc, nie znała żadnych spoza swojej sekcji – ale w tej chwili nie chciała widzieć nikogo, kto zastanawiałby się, gdzie są jej ochroniarze.

Przeszła obok zatłoczonych stołów i skierowała się do pustego stolika na dwie osoby na tyłach sali. Usiadła i dotknęła panelu z menu – zamówiła piwo Stennera, jedno z jej ulubionych – po czym umieściła w otworze na płatności kostkę kredytową. Rozejrzała się wokół. Na ścianie po prawej stronie zobaczyła obrazy statków i ludzi oraz kolekcję zawieszonych w rzędach różnych metalowych przedmiotów. W dalszym rogu wisiała wyblakła czerwona chorągiew; z miejsca, w którym siedziała, nie potrafiła odczytać napisu.

Kelnerka postawiła przed nią zmrożony kufel i butelkę piwa, po czym uśmiechnęła się.

– Jaki statek, złotko?

Brun potrząsnęła głową.

– Jestem na kursie. – Kelnerka wyglądała na lekko zaskoczoną, ale kiwnęła głową i odeszła z tacą do innego stołu. Brun nalała sobie piwa. Za plecami słyszała przytłumione głosy; uświadomiła sobie, że dobiegają z innego pokoju – najwyraźniej prywatnego – przylegającego do głównej sali. Jeszcze raz rozejrzała się.

Po lewej stronie był długi bar wykonany z takiego samego matowocznego materiału, jaki pokrywał kadłuby okrętów. Nad nim wisiały u sufitu modele statków. Brun rozpoznała między ovoidalnymi okrętami dziwną, kanciastą sylwetkę trałowca. Wiszące za barem lustra miały ramy z... Otworzyła szerzej oczy. Wiedziała już wystarczająco dużo o uzbrojeniu, by rozpoznać, że ramy były kiedyś fragmentami broni. Całe wnętrze baru wyglądało tak, jakby zostało wykonane z odzyskanych części wraków.

Poczuła, jak jeżą jej się włosy na karku. To nie jest prawdziwe – nie może być prawdziwe – ale jej wzrok padł na umieszczoną na barze tabliczkę. *Paradox*. Tej nazwy nie mogła zapomnieć.

Obok leżała oświetlona reflektorem taca – zwykła taca obiadowa z takim samym ciemnoniebieskim łańcuchem wokół brzegu i czterema tarczami z nazwą *Harrier*, jakie widziała na całej zastawie stołowej na okręcie admirał Serrano. Tutaj tarcze były wprawdzie trochę inne... ale nagle nabrała pewności, że ta taca również pochodzi z jakiegoś statku. Obok leżał zestaw naczyń stołowych.

Brun spojrzała na swój kufel z piwem i nagle poczuła mdłości. Pije z... Nie, to nie był *Paradox*. Gdy lód już się stopił, zauważyła na kuflu napis. OSK *Balrog*.

A więc pije z kubka ludzi, którzy już nie żyją. Siedzi na... krzesła zrobionym z odzyskanych elementów statku. Opiera łokcie na stole zrobionym z... czegoś, co było fragmentem funkcjonującego niegdyś okrętu. Na stole, na tabliczce umieszczonej tuż obok ekranu z menu zobaczyła napis: OSK *Forge*, prycza marynarska 351. Jej wzrok przyciągnął niewielki przycisk; nacisnęła go.

Menu zniknęło i zastąpiła je notka: OSK *Forge* został zniszczony trzydzieści dwa lata temu w bitwie z oddziałem uderzeniowym *Benignity*; cała załoga zginęła. Ten fragment odzyskano dwadzieścia osiem lat temu i zidentyfikowano na podstawie wytłoczonego numeru (wciąż widocznego na spodzie blatu); w chwili zniszczenia statku koja 351 należała do szeryfa Lestera Greena.

Nogi stołu, jak wyczytała dalej, zrobione były z ekranowanych kawałków rur z tego samego okrętu; krzesła również pochodziły z *Forge*, ale jedno z mesy załogi, a drugie służyło starszemu technikowi obsługującemu prawoburtową baterię rakiet. Na tym stanowisku w czasie ostatniej bitwy służyło pięć osób: kapral Dancy Alcorn, sierżant Tarik Senit, kapral Lurs Ptin, kapral Barstow Bohannon i sierżant Gareth Meharry.

Brun aż zatkąło. To niedobrze, że wymieniono tu nazwiska ludzi, którzy kiedyś żyli i zginęli. Meharry... Znała Methlin Meharry. Czy to jakiś krewny? Ojciec? Wujek?

Zauważyła, że przy każdym nazwisku jest odnośnik zawierający jakieś dodatkowe informacje. Nie chciała, żeby te nazwiska stały się jeszcze bardziej rzeczywiste. Ale ten Meharry... Musi wiedzieć. Uaktywniła odnośnik.

W chwili śmierci Gareth Meharry miał dwadzieścia sześć lat.

Drzewo genealogiczne jego rodziny, na którym członków Floty zaznaczono na niebiesko, miało o wiele więcej niebieskiego koloru niż szarości. Jego rodzice (oboje nieżyjący, jedno straciło życie

w bitwie) byli we Flocie, a z czworga rodzeństwa dwoje pełniło aktywną służbę we Flocie, a dwoje ożeniło się z członkami Floty. Methlin Meharry była jego siostrą. Jedna z siostrzenic Garetha nosiła imię Methlin. A więc gdzieś kiedyś pojawi się kolejna Methlin Meharry, która mając we Flocie oboje rodziców oraz wujów i ciotki, z pewnością też do niej trafi.

Nagła ciekawość skłoniła Brun do powrotu do głównego menu.

Poniżej listy napojów i jedzenia znalazła możliwość dostępu do danych. Z tego miejsca przy stole mogła sprawdzić wszystkie dostępne akta członków Floty.

Esmay... Ciekawe, czy we Flocie są też inni Suizowie. Wprowadziła nazwisko i czekała. Na ekranie pojawiło się tylko jedno wraz z udostępnionymi przez Flotę danymi. Nie wiedziała, że pełne nazwisko Esmay brzmi Esmay Annaluisa Susannah Suiza.

Planeta pochodzenia: Altiplano. Informacje o rodzinie... Brun znieruchomiała. W kilku krótkich zdaniach poinformowano ją, że rodzina Suizów jest jedną z trzech najważniejszych na Altiplano... i że ojciec Esmay jest jednym z czterech najwyższych stopniem dowódców wojskowych... a dwaj z nich to jej wujowie; czwartego dowódcę uważano za wybranego przez Suizów. Ich wpływ na rząd Altiplano określono jako „ogromny”.

Brun próbowała przekonać samą siebie, że dowódca wojskowy na zacofanej planecie nie jest nikim szczególnym; milicja jej ojca na Sirialis także nie stanowiła zbyt wielkiej siły politycznej.

Jej dowódca, choć miał tytuł generała, nigdy nie imponował jej tak jak oficerowie Floty. Altiplano, czytała dalej, nie miało Fotela w Radzie. Nie miało w ogóle żadnych koneksji w Familiach, a to znaczyło – jak podejrzewała – że generał Suiza ma znacznie więcej władzy niż generał Ashworth.

O samej Esmay było tam niewiele. Wielka waleczność. Wyróżniające się zdolności przywódcze. Wybitna inicjatywa. Lista odznaczeń z towarzyszącymi im nominacjami. Wykaz jednostek, na których służyła. Jej aktualny przydział na kurs dowodzenia dla młodszych oficerów.

No tak. Brun wyprostowała się, świadoma napięcia w karku i ramionach, czując, że zrobiła coś zdecydowanie głupiego. Przywróciła ekran do stanu wyjściowego i pomyślała o zamówieniu czegoś do zjedzenia... ale przyniesiono by to na talerzu z jakiegoś zniszczonego statku. Nie sądziła, żeby mogła sobie z tym poradzić. I tak już miała łzy w oczach.

– Coś nie tak? – dobiegł z za jej pleców niski głos. Odwróciła się.

Mężczyzna był masywny, miał ciężkie, potężnie umięśnione ramiona i łysą jak Obło czaszkę z dużą ilością blizn. Jego oczy znajdowały się na wysokości jej twarzy, gdyż mężczyzna siedział na wózku. Brun z trudem powstrzymała się od spuszczenia wzroku.

Jego oczy spoglądały na nią ze znacznie większym zrozumieniem niż by miała ochotę, a szerokie usta uśmiechały się.

– Panienko, nie jesteś z Floty i nie masz pojęcia, w co się wpakowałaś, prawda?

„Panienska” na moment wytrąciła ją z równowagi. W tej krótkiej chwili mężczyzna wskazał głową najdalszy kąt w głębi sali.

– Chodźmy tam, pomogę ci dojść ze sobą do ładu – powiedział. Zanim zdała sobie sprawę z tego, co robi, wstała, urzeczona jego głosem. Mężczyzna obrócił fotel i przemknął między stołami, a Brun poszła za nim.

Dwa stoły dalej ktoś zawołał „Hej, Sam!”. Mężczyzna odwrócił nieznacznie głowę – Brun zdała sobie sprawę, że nie może nią swobodnie poruszać – i uniósł rękę. Dotarli do niewielkiego boksu,

gdzie była ława, stół i miejsce na jego fotel.

– Usiądź – powiedział. Potem zawołał przez ramię do kelnerki:

– Przynieś nam dwa Stennery i trochę czipsów! – Jego niepokojące spojrzenie spoczęło na Brun.

– Właściwie wcale nie... – zaczęła dziewczyna.

– Tyle już wiem – powiedział z uśmiechem. – Zobaczmy, kim jesteś. – Wycelował w nią krótkim palcem, który wyglądał jakby był kiepsko odlany z plastiku. – Zgodnie z twoim chipem kredytowym, jesteś córką Thornbuckle'a, a według listy grup jesteś tam.

– Kiwnął głową w stronę Szkoły. – Jesteś Brun Meager, występująca pod panińskim nazwiskiem matki. Jesteś celem ataków zabójców. – Brun zwróciła uwagę na to, że użył liczby mnogiej, i zdziwiła się, skąd on to wie. – Zgodnie z raportami instruktorów, jesteś sprawna i silna fizycznie, błyskotliwa, dobrze się uczysz, masz szczęście w trudnych sytuacjach. Ale jesteś także niestabilna emocjonalnie, arogancka, uparta, samowolna, trudna.

Nie jesteś dobrym materiałem na oficera, chyba że włoży się w ciebie mnóstwo dodatkowej pracy.

Brun miała nadzieję, że na jej twarzy nie widać żadnej reakcji.

– A czemu nie? – zapytała takim tonem, jakby prowadziła akademickie rozważania.

Mężczyzna zignorował jej pytanie i mówił dalej.

– Nie jesteś z Floty; od ponad dwustu czterdziestu lat nikt z twojej rodziny nie wstąpił do Floty. Pochodzisz z klasy, w której od normalnej osoby w twoim wieku oczekuje się jedynie umiejętności towarzyskich. A jednak przychodzisz do baru Floty...

– Bo w Q-town nie ma innych barów – wymamrotała Brun.

– I nie tylko do baru Floty – mówił dalej – ale do baru o szczególnej reputacji. Nie wszyscy z Floty tutaj przychodzą, nie wszyscy są tu mile widziani. Widywałem dzieciaki, które wchodziły tutaj i w jednej chwili pojmowały, że to nie jest odpowiednie dla nich miejsce. Zastanawiam się, Charlottto Brunhildo Meager, jak ktoś taki jak ty mógł tego nie zauważyć.

Brun rzuciła mu ponure spojrzenie. Odpowiedział jej wzrokiem, który nie był ani szczególnie przyjazny, ani wrogi. Po prostu... patrzył... jakby była interesującą maszyną. To spojrzenie nie zasługiwało na odpowiedź, nawet gdyby jakąś miała. Nie wie, czemu skręciła w te drzwi, a nie w inne. Chciała się napić, i akurat wtedy, gdy o tym pomyślała, zobaczyła drzwi do baru, więc weszła. Chyba nie myślała wtedy zbyt logicznie, ale teraz nie chciała do tego wracać.

– Wiesz, mamy na zewnątrz kamerę – powiedział mężczyzna, cofając się nieco w fotelu. – Szłaś ulicą jak ktoś, kogo dręczy poważna troska. Potem zatrzymałaś się w pół kroku i skręciłaś tutaj, ledwie zerknąwszy na szyld. Czy ktoś powiedział ci o tym miejscu?

– Nie. Dano mi listę miejsc, które dostarczają określonych rozrywek, głównie seksualnych. Według informacji, ich okna oznaczone są specjalnym kodem świetlnym; wszystkie inne to ogólna rozrywka.

–?A więc jak wynika z twoich słów, wściekłaś się, pomyślałaś o drinku i skręciłaś do pierwszego napotkanego baru. – Uśmiechnął się. – To naprawdę ciekawe rozumowanie jak na kogoś o twoim poziomie inteligencji.

– Nawet mądrzy ludzie mogą się zdenerwować.

– Nawet mądrzy ludzie mogą zgłupieć – odpowiedział. – Przez cały czas powinni ci towarzyszyć ochroniarze, prawda? Gdzie oni są?

Brun poczuła, że znów się czerwieni.

– Oni... – Chciała powiedzieć, że są strasznie uciążliwi, ale wiedziała, że mężczyzna uzna to za dziecinadę. Wszyscy zdawali się myśleć, że dziecinadą jest niechęć do pół tuzina ludzi, którzy przez cały czas snują się za nią, podsłuchują jej prywatne rozmowy, przyglądają się... po prostu są wszędzie tam, gdzie ona wcale ich nie chce. – Przypuszczam, że w szkole – powiedziała.

– Wymknęłaś im się.

– Tak. Chciałam odrobiny...

Czasu dla siebie. Tak. Ale narażasz nie tylko swoje życie, do czego jako dorosła osoba masz prawo, ale także ich bezpieczeństwo i zawodową przyszłość, tylko dlatego, że chcesz mieć trochę wolności. – Ledwie wyczuwana wcześniej pogarda była teraz widoczna w tonie jego głosu i wyrazie twarzy. Jego brązowe oczy nie przyjmowały żadnych tłumaczeń. – Czy myślisz, że zabójca też wzięł sobie trochę wolnego czasu, żeby się odprężyć?

Brun ani przez chwilę nie pomyślała o nasłanym na nią zabójcy, a już z pewnością nie zastanawiała się, czy żyje według tego samego harmonogramu, co ona.

– Nie wiem – wymamrotała.

– A co stanie się z twoimi ochroniarzami, jeśli dasz się zabić, kiedy ich przy tobie nie będzie?

– Uciekłam im. To nie byłaby ich wina.

– Ich zadaniem jest pilnować cię, niezależnie od tego, czy z nimi współpracujesz, czy nie. Jeśli im się wymkniesz i dasz się zabić, to będzie ich wina. – Przerwał. Brun nie wiedziała, co mogłaby powiedzieć, więc milczała. – A więc... zdenerwowałaś się i wparowałaś tutaj. Zamówiłaś piwo. Zaczęłaś się rozglądać. Zauważyłaś wystrój baru...

– Tak. Fragmenty statków. To jest... chore.

– Mylisz się, młoda damo.

– Jaki jest sens trzymania kawałków martwych statków i umieszczania na nich nazwisk ludzi, jeśli to nie jest chora fascynacja śmiercią?

– Przyjrzyj mi się – powiedział mężczyzna. – Dobrze mi się przyjrzyj. – Cofnął nieco swój fotel i wskazał na nogi... które kończyły się mniej więcej w połowie ud. Brun spojrzała niechętnie i zobaczyła jeszcze wiele innych poważnych ran.

– Na eskortowcu nie ma zbiorników regeneracyjnych – wyjaśnił mężczyzna. – Jest zbyt mały. Kumpel wcisnął mnie do kapsuły ratunkowej, i kiedy stary *Cutlass* eksplodował, byłem już daleko. Zanim mnie wyłowili, było za późno na zregenerowanie moich nóg, tak samo jak i ramienia, choć dostałem dobrą protezę. Dawali mi też protezy nóg, ale miałem za bardzo uszkodzony rdzeń kręgowy i nie potrafiłem sobie z nimi poradzić. Co do ran głowy... – Pochylił się, pokazując Brun znaczące skórną blizny. – Te pochodzą z innej bitwy, jeszcze na *Pelionie*, kiedy odpaliła część osłony i pocięła mnie.

Uśmiechnął się i wtedy zwróciła uwagę na jego zniekształcone usta.

– Młoda damo, nie masz pojęcia, co dla mnie znaczy to, że w moim barze są części *Cutlassa*. Tak samo jak dla tych mężczyzn i kobiet, którzy tu przychodzą. Nie wiesz, co znaczy posiadanie zastawy z *Paradoxa*, *Emerald City* i *Wildcata*, sztuców z *Defence'a*, *Granicusa* i *Lancastera*, nie wiesz, co znaczy świadomość, że wszystko w tym miejscu jest zrobione z pozostałości statków, na których służyliśmy, walczyliśmy i przeżyliśmy.

– A jednak myślę, że to chore – stwierdziła sztywno Brun.

– Czy kiedykolwiek kogoś zabiłaś? – zapytał.

– Tak się składa, że owszem, zabiłam.

– Opowiedz mi o tym.

Nie mogła w to uwierzyć. Opowiedzieć mu o wyspie, o Lepescu? Ale jego wpatrzone w nią oczy, poznaczona bliznami twarz i przekonanie o jej ignorancji spowodowały, że zaczęła mówić.

– My – ja i kilku moich przyjaciół – poleciliśmy samochodem powietrznym na wyspę na Sirialis. To planeta, która należy do mojego ojca. – Nie chciała się chwalić, ale niestety tak to zabrzmiało. – Nie wiedzieliśmy, że tam są... intruzi. Mężczyzna... – był oficerem Floty.

– Kto to był?

Nie miała ochoty odpowiadać, ale nie wiedziała, jak się wykręcić.

– Admirał Lepescu. – Nie dostrzegła żadnej reakcji. – On i jego przyjaciele przywieźli kryminalistów... Właściwie to wcale nie byli kryminaliści, ale tak powiedzieli. – Mężczyzna poruszył się z niecierpliwością. – No więc przywieźli tych ludzi na wyspę, żeby na nich polować. Żeby polować na rzekomych kryminalistów. Lepescu razem z przyjaciółmi nocowali na pobliskiej wyspie, gdzie stał domek rybacki, i codziennie przylatywali na polowanie. Tamci ludzie zmontowali jakąś broń i zestrzelili nasz pojazd, myśląc, że leci nim Lepescu. Złapali nas. Oni zdali sobie sprawę z pomyłki, a my zrozumieliśmy, że teraz będą polować także na nas; Lepescu będzie chciał ukryć swoje zbrodnie.

– Nikt nie wiedział, że on jest na tej planecie? – Głos mężczyzny był pełen niedowierzania.

– Później tata odkrył, że jeden z dowódców jego stacji został przekupiony. W systemie był tak duży ruch – to był szczyt sezonu łowieckiego i przylatywało tam wtedy mnóstwo gości – że nikt nie zauważył jeszcze jednego statku.

– Tak więc Raffa i ja poszliśmy do starej kryjówki, którą pamiętałam z dzieciństwa – mówiła dalej Brun. Czowała, że jest spięta, czowała pokrywający skórę pot. Nie podobało jej się mówienie o tamtej nocy i kilku następnych dniach. Opowiedziała całą historię najszybciej, jak mogła: jak wraz z Raffą zabiły po jednym z napastników i zdobyły ich broń, jak odkryły, że tamci zatruli im wodę, jak pobiegly do jaskini, gdzie nastąpiła ostateczna konfrontacja, i jak Lepescu został zabity przez Heris Serrano.

Na dźwięk nazwiska Serrano wyraz twarzy mężczyzny zmienił się, ale powiedział tylko:

– A więc rzeczywiście zabiłaś kogoś, kto próbował zabić ciebie.

– Tak.

– I podobało ci się to?

– Nie! – powiedziała z większą siłą niż zamierzała.

– Byłaś przestraszona?

– Oczywiście, że tak. Nie jestem... – Ledwie powstrzymała się, żeby nie powiedzieć „wojskowym maniakiem”.

– Maniakem militarysty? – zapytał. Brun wbiła w niego spojrzenie. Przecież czytanie w myślach nie jest możliwe, prawda?

– Mężczyzna westchnął. – Chciałbym, żeby wreszcie ludzie przestali pomniejszać odwagę wojskowych, myśląc, że oni nie ulegają normalnym emocjom.

– Lepescu nie sprawiał wrażenia, jakby odczuwał jakieś emocje – zauważyła Brun.

– Lepescu był poważnym problemem – zgodził się mężczyzna. – Z powodu Heris niemal zrujnował rodzinę Serrano.

– Prawdopodobnie był odpowiedzialny za śmierć większej liczby ludzi niż wróg w jakimkolwiek starciu, w którym brał udział.

Ale raczej nie był typowy. Nawet w jego rodzinie są dobrzy oficerowie, choć żaden z nich prawdopodobnie nie zrobi teraz kariery.

Pociągnął solidny łyk piwa, po czym odstawił kufel i znów wbił w nią spojrzenie.

– No dobrze... Wróćmy do ciebie. Co cię tak zdenerwowało?

– Kłótnia.

– Z kim?

– Z Esmay Suizą – wyjaśniła Brun. Znów zapłonął w niej gniew. – Jest taka sama jak pan; myśli, że jestem tylko jeszcze jedną zepsutą dziewczyną kręcącą się po kosmosie dla czystej zabawy. Miała odwagę – bezczelność – powiedzieć mi, że jestem niemoralna.

– A jesteś?

– Oczywiście, że nie!

– W takim razie powiedz mi, co uważasz za cel swojego życia? Co takiego robisz, żeby usprawiedliwić swoje istnienie? Po co tu jesteś? – zapytał tonem nie wyrażającym ani pochwały, ani nagany.

Jestem córką swojego ojca, pomyślała, i jestem tu po to, by... być jego córką. Nie. Nie chce być tylko kimś takim, ale nie zna innej odpowiedzi.

– Pomagałam ludziom – powiedziała wreszcie mało przekonująco.

– To miło. – Nie była pewna, czy w głosie mężczyzny kryje się sarkazm. – Większość ludzi to robi przy takiej czy innej okazji. Na tamtej wyspie uratowałaś życie swojej przyjaciółce. Punkt dla ciebie. Czy właśnie to jest twoją misją? Ratowanie życia ludzi przez zabijanie tych, którzy im zagrażają? Jeśli tak, to muszę powiedzieć, że jesteś bardzo niedouczone w tym zakresie.

– Ja... nie wiem. – Brun napiła się piwa.

Hmmm. Masz już około dwudziestu pięciu lat, prawda?

Większość młodych ludzi w twoim wieku, nie będąc w tak uprzywilejowanej sytuacji... wie, co chce w życiu robić. Na przykład oficer, z którą się pokłóciłaś. Wybrała już sobie zawód i wbrew opinii rodziny opuściła dom; doskonale się spisuje, potwierdzając słuszność swojego wyboru. Nie rozbija się po okolicy, aby przeżywać przygody...

– Tylko dlatego, że jestem bogata...

– Nie próbuj tego – uciał; tym razem w jego głosie wyraźnie słychać było pogardę. – To nie ma nic wspólnego z bogactwem.

– Twój ojciec na przykład jest szanowanym, ciężko pracującym człowiekiem, którego misją jest służenie Familii... i własnej rodzinie. Twoja siostra Clemmie, zanim jeszcze wyszła za mąż, zajęła się medycyną, jej wiedza i umiejętności doskonale służą innym. A ty, choć jesteś gotowa pomagać przyjacielom, nie masz w życiu żadnego konkretnego celu.

– Tak, ale...

– Dlatego sądzę, że porucznik Suiza miała rację. Jesteś piękną damą, Brun Meager, ale niczym więcej. I jeśli nie rozwiniesz w sobie siły ducha, któregoś dnia znajdziesz się w sytuacji, z którą nie

będziesz potrafiła sobie poradzić.

Brun patrzyła na niego, niezdolna wymyślić, co mogłaby powiedzieć.

– Wszyscy kiedyś byliśmy w tego rodzaju sytuacjach – kontynuował. – Inteligencja nie wystarczy. Nie wystarczy też siła. Są sprawy, z którymi nie poradzi sobie ani inteligencja, ani siła. Ludzie inteligentni i silni mogą oszaleć, tak jak Lepescu, który był przekonany, że może mieć wszystko, czego zapragnie. Musisz mieć siłę ducha.

– Myśli pan, że ja jej nie mam?

Wzruszył ramionami.

– Nie mnie o tym decydować. Powiedziałbym raczej, że jak dotąd jej nie ujawniłaś. Na przykład nie wykazałaś się umiejętnością zobaczenia siebie samej taką, jaka naprawdę jesteś, a samoświadomość to dobra wskazówka naszego stanu ducha.

A ja myślę, że pan nie ma pojęcia, o czym mówi – oznajmiła Brun. Wypiła resztę Steinera. – Nie ma pan zielonego pojęcia, jak wygląda moje życie ani co robiłam, podobnie jak pańska wspaniała porucznik Suiza. Myślicie, że bycie bogatym nie ma tu nic do rzeczy? Powiem panu coś. Bogaci ludzie wcześniej uczą się, że nie mogą zaufać nikomu – nikomu – oprócz innych bogatych ludzi. Wy z Floty jesteście tacy sami. Nie ufacie nikomu, kto nie urodził się dla Floty. I cokolwiek bym zrobiła, nie mogłoby to niczego zmienić. Wszyscy już pierwszego dnia zdecydowaliście, że jestem tylko zepsutą bogatą panią, i nic nie zmieni waszych sądów.

Odepchnęła się od stołu i wyszła, uważając, by po drodze nie patrzeć nikomu w oczy. Miała już dość. Opuści Copper Mountain i sama dojdzie do tego, czego w życiu potrzebuje.

Zanim dotarła do bazy, ochłoneła już na tyle, by być lodowato uprzejmą wobec swojej eskorty ochroniarzy. Odpowiedzieli jej dokładnie tym samym. Było już mocno po północy; słyszała warkot transporterów wywożących grupy na ćwiczenia polowe. Ćwiczenia, w których ona powinna brać udział.

Sprawdziła godziny odlotu promu i statków pozaukładowych.

Bez wątplenia będzie musiała dopełnić jakichś formalności, ale powinna wydostać się stąd, zanim Esmay wróci. Umieściła swoje nazwisko na liście porannych spotkań z dowódcą szkoły i wróciła do swojej kabiny, aby trochę się przespać.

Kiedy weszła do gabinetu komandora i zobaczyła jego minę, zrozumiała, że już o wszystkim wie. Mężczyzna zaczął ją przeproszać, zanim jeszcze usiadła.

– Sera Meager, rozumiem, że młodszy oficer zachował się wobec pani bardzo niewłaściwie.

– Podśłuchujecie porucznik Suizę?

Odkaslnął.

– Nie... Panią, Sera Meager. Przykro mi, ale to dla twojego bezpieczeństwa.

To oburzające. Nie może nawet się pokłócić, żeby ktoś nie podsłuchiwał.

– Cóż, przypuszczam, że się nasłuchaliście.

– Porucznik Suiza zachowała się absolutnie nieprofesjonalnie.

– Proszę przyjąć moje – Floty – przeprosiny.

– To nieistotne. Tak, była nieuprzejma i jasno dała mi do zrozumienia, że nigdy nie zostanę tutaj zaakceptowana. Jestem obciążeniem dla pańskiego personelu, który usiłuje zapewnić mi bezpieczeństwo. Rezygnuję ze swojego miejsca.

– Czy pani ojciec wie?

Miała ochotę go walnąć, ale to pytanie było tylko kolejnym dowodem na słuszność jej decyzji.

– Poinformuję go transmisją ansiblową, gdy tylko rozpoczną się godziny publicznych transmisji. Zamierzam dotrzeć transportem Floty do najbliższego cywilnego węzła transportowego... – Nie potrafiła przypomnieć sobie nazwy. – Tam prawdopodobnie wynajmę statek.

– Nie musi pani się spieszyć.

– Wolałabym odlecieć stąd, zanim zakończą się ćwiczenia polowe – oznajmiła Brun. Była zdecydowana nigdy więcej nie spotkać się z Esmay Suizą. Ani z Barinem Serrano, jeśli już o tym mowa; mogła wyobrazić sobie, co powiedziałyby jego babka.

– Rozumiem. – Zacisnął usta. – Uważam, że w zaistniałych okolicznościach jest to najlepsza decyzja, i mogę panią zapewnić, że porucznik Suiza zostanie ukarana oficjalną naganą.

Wyczerpanie spadło na nią niczym ciężka peleryna. Nie obchodzi jej porucznik Suiza; chce tylko uciec od tych ludzi, ich sztywnych zasad i nieugiętej prawości.

– Będę współpracować we wszystkich niezbędnych procedurach – powiedziała, podnosząc się z miejsca. Tak naprawdę miała ochotę przespać cały tydzień, i robi to, gdy tylko opuści to żalosne miejsce. Aby przeżyć jakoś pozostałe godziny, weszła w rolę osoby publicznej: uśmiechała się w odpowiednich chwilach, ścisnęła właściwe dłonie, wypowiadała zwykłe uprzejmości i zapewniała wszystkich, że nie czuje się obrażona i nie żywi urazy, że po prostu doszła do wniosku, iż to nie jest odpowiednie dla niej miejsce.

Do wieczora ojciec odpowiedział na jej prośbę o przysłanie osobistej milicji, która zastąpi ochronę Królewskich Sił Kosmicznych, gdy tylko Brun dotrze do przestrzeni cywilnej. Zgodził się – miała wrażenie, że z entuzjazmem – aby przed powrotem na Sirialis na rozpoczęcie sezonu łowieckiego spędziła kilka miesięcy na odwiedzaniu rodziny i kontaktach biznesowych. O północy lokalnego czasu weszła na pokład promu i wystartowała z planety... mając nadzieję, że Esmay Suiza ma się jak najgorzej, niezależnie od tego, gdzie teraz jest.

* * *

Po trzydziestu godzinach ćwiczeń polowych Esmay zastanawiała się, czemu kiedykolwiek przyszło jej do głowy wybrać ten kurs. Przeprowadziła bezpiecznie swój zespół przez jedną trzecią kursu; odkryli i rozbroili sporą liczbę pułapek. Ale byli już głodni, spragnieni i zmęczeni, a jej skończyły się pomysły.

Przed nimi aż do linii płotu oznaczającego strefę bezpieczeństwa rozpościerała się trawa, tylko trawa... Nie było gdzie się ukryć, a odległość była zbyt duża, by pokonać ją jednym skokiem. Jeśli zostaną w tym miejscu, prawdopodobnie też ich odkryją i nie dostaną dodatkowych punktów za dotarcie do bezpiecznej przystani.

– Przydałby się jakiś tunel – rzuciła Taras.

Oczywiście ma rację, ale czemu wszystkie jej pomysły są tak niepraktyczne?

– Nie przypuszczam, żebyśmy mogli znaleźć tutaj jakąś zwierzęcą norę.

– Ja też wątpię. – Zgodnie z instrukcją, lokalne zwierzęta nie przekraczały wagi pięciu kilogramów. Oczywiście instrukcja przemilczała także wiele innych spraw. Esmay zatrzymała grupę w miejscu aż do zmierzchu, a potem zaczęli wolno i ostrożnie czołgać się przez trawę w stronę

Worek zasłonił jej oczy. Rzuciła się, choć wiedziała, że to nic nie da. Jej ciosy trafiały w powietrze, ale te wymierzone w nią były celne. Przewróciła się na bok, na plecy, znów na bok, aż w końcu uderzyła głową o wzgórek, którego wcześniej nie widziała. Poczula w ustach smak krwi; padając, ugryzła się w język. Zanim zdążyła zareagować, napastnicy chwycili ją za ręce i nogi, i po paru sekundach była unieruchomiona jak cieleń do znakowania.

Czy tak samo było z Barinem? Nie, jemu to zdarzyło się naprawdę... ale szorstki głos i ból – ktoś złapał ją za włosy i odciągnął głowę do tyłu – również był realny.

Barin powiedział, że w takiej sytuacji trzeba myśleć o czymś innym. To pomaga, choć w tym momencie w to nie wierzysz.

W podręczniku napisano to samo, więc i inni przekonali się o tym.

Czując szorstkie dłonie na ubraniu i zimną krawędź ostrza, a potem szarpnięcie, gdy zrywano z niej odzież, wróciła myślami do tamtego wydarzenia w dzieciństwie.

Nie. Będzie myśleć o czymś innym, o czymś, co doda jej sił.

Przyszła jej na myśl kłótnia z Brun; miała wrażenie, że mogła jej powiedzieć znacznie więcej niż powiedziała. W miarę jak mijały godziny – godziny, których nie potrafiła policzyć – wróciła myślami do pierwszego spotkania z Brun, a potem przypominała sobie sytuacje, gdy była razem z Brun i Barinem. Co powiedziało każde z nich, co myśleli, co według nich myśleli inni... Słowne ataki jej oprawców stały się słowami, które powiedziałyby Brun, ich ciosy – uderzeniami, które zadałaby Brun, gdyby odważyła się otwarcie walczyć.

Ale teraz miała właściwe odpowiedzi na jej ataki. Na jej niebywałą arogancję miała ripostę, która powalała dziewczynę na kolana, zmuszała ją do uznania pozycji Esmay, jej umiejętności, wiedzy... Mogła triumfować, przynajmniej w marzeniach.

Była świadoma, że jej oprawcy z jakiegoś powodu są na nią wściekli, ale nic nie miało takiego znaczenia, jak przywłaszczenie sobie przez Brun Barina i jej determinacja, aby obronić... właściwie nie jego, ale jej szansę na...

Równie nagle jak się zaczęło, wszystko się skończyło. Powróciła do rzeczywistego czasu i miejsca. Poczula na ramieniu chłodną końcówkę iniektora hyposprayu, a potem falę nadchodzącej jasności. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła uśmiechającego się do niej medyka, który podawał jej frazę kodową oznaczającą koniec ćwiczeń. Stojący obok komandor porucznik Uhlis wyciągnął do niej rękę i pomógł jej wstać.

– Suiza, jesteś twardsza niż myślałem. Cokolwiek działo się w twojej głowie, pomogło. Pamiętaj o tym na wypadek, gdybyś jeszcze tego potrzebowała.

Dopiero teraz zauważyła, że ma zabandażowane dłonie.

– Będzie pani potrzebowała jakiejś godziny w zbiorniku regeneracyjnym. Grupa już myślała, że jeszcze trochę... i panią złamią. Ale to wszystko mieści się w ramach przepisów. – Teraz poczuła przebijający się przez środki pobudzające ból. Uhlis znów wyciągnął do niej rękę. – Lepiej niech się pani przytrzyma, zabieramy panią do transportera.

– A moja grupa? – zapytała.

– Wszyscy zaliczyli – odpowiedział. – Nawet Taras, choć nie wiem, jak udało się pani przeciągnąć ją przez to wszystko.

– Sama to zrobiła – zaprotestowała Esmay. Na skutek połączenia środków stymulujących i jej bujnej wyobraźni czuła się obco i dziwnie, ale udało jej się nie zwymiotować i nie upaść.

Gdy już znalazła się w transporterze, próbowała odprężyć się, ale jakoś jej to nie wychodziło. To może być jakiś trik... Wciąż mogą...

Obudziła się na krótko po przylocie do bazy, gdy medycy I umieszczali ją w zbiorniku regeneracyjnym. Nie próbowała walczyć z podanym jej środkiem usypiającym, tylko natychmiast zapadła w sen.

* * *

Zanim wróciła do swojej kwatery, była bardziej niż gotowa na odpoczynek i sen. Ból zniknął i nie było żadnych widocznych sińców, ale ciało mówiło jej, że zdarzyło się coś traumatycznego.

Medycy powiedzieli, że rano będzie znacznie lepiej, bo leczenie w zbiorniku często sprawia, że ludzie czują się lekko dezorientowani.

Właśnie zdecydowała się nie zawracać sobie głowy rozbieraniem się, kiedy zadzwonił komunikator.

– Komendant chce zobaczyć się z panią przy pierwszej możliwej okazji – powiedział głos w jej uchu. – Spodziewa się pani w ciągu dziesięciu minut.

Zmusiła się do obudzenia. Wzięła szybki prysznic i wbiła się w świeży mundur. Czego może od niej chcieć komendant? Pewnie jakaś sprawa administracyjna, ale skąd ten pośpiech?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Mina komendanta wskazywała, że nie chodzi o sprawę administracyjną.

– Wiem, że miała pani... hmm... nieporozumienie z córką Mówcy, Brun Meager.

Zupełnie jakby sama nie wiedziała, kim jest Brun, i nie miała pojęcia, z kim się pokłóciła. Czy może o to chodzić? O zwykłą kłótnię?

– Tak jest, sir.

– Nasze... nagrania wskazują, że skrytykowała pani Serę Meager za jej brak moralności.

– Sir. – Niektóre sformułowania wróciły do niej po raz pierwszy od paru dni.

– Czy naprawdę sądzi pani, że było to profesjonalne zachowanie, poruczniku?

– Jeśli ma pan taśmy, wie pan, czemu to powiedziałam. – Esmay wiedziała, że wyraża się niezbyt taktownie, ale doniesienie o ich kłótni było ze strony Brun wyjątkowo małostkowe.

– Ujmę to inaczej, poruczniku. – Jego głos stał się odrobinę chłodniejszy; Esmay poczuła, jakby zimny wiatr podniósł włoski na jej rękach. – Niezależnie od przyczyny, czy sądzi pani, że oficer Floty powinien pouczać cywila – ważnego cywila – jak bazarowa przekupka? – Zanim Esmay zdążyła odpowiedzieć, mówił dalej. – Poruczniku, mogę panią zapewnić, że ja uważam pani zachowanie za nieodpowiednie i żenujące. Jestem panią bardzo poważnie zawiedziony. Wziąłem pod uwagę pani pochodzenie...

Esmay poruszyła się, ale komendant uniósł ostrzegawczo dłoń.

– Pani pochodzenie, jak powiedziałem, mogłoby stanowić jakieś usprawiedliwienie, gdyby nie to, że wywodzi się pani ze znaczącej rodziny i że sama mówiła pani wcześniej o obowiązujących tam manierach. Trudno mi sobie wyobrazić, by odezwała się pani do cywilnego gościa swojego ojca takimi słowami, jakich użyła pani wobec Sery Meager.

– Nie, sir. – Nie zrobiłaby tego, ponieważ żadna młoda kobieta w rodzinie nie zachowywałaby się tak jak Brun Meager. Jednak tłumaczenie tego nie miałoby sensu... To nigdy niczego nie daje.

– Apotem komentowała pani to zdarzenie w miejscu, gdzie mógł panią usłyszeć ktoś z mediów!

– Sir? – Nie miała pojęcia, o co mu chodzi.

– Niech mi pani nie mówi, że o tym nie wie! – Wbił w nią gniewne spojrzenie.

– Sir, po kłótni z Brun skończyłam się pakować, a następnie pojechałam na ćwiczenia terenowe. Z nikim nie rozmawiałam na ten temat ani w trakcie ćwiczeń, ani później, bo właśnie wróciłam ze szpitala. Przykro mi, sir, ale nie wiem, o czym pan mówi.

Wyglądał na kompletnie zaskoczonego, jak ktoś, kto właśnie natknął się na niewygodny fakt sprzeczny z jego tezą.

– Z nikim pani nie rozmawiała?

– Z nikim, sir.

– Cóż, to znaczy, że musiała pani mówić wystarczająco głośno, by ktoś mógł to podsłuchać, bo jest to wiadomość dnia.

Na Altiplano w jednostce wojskowej nie byłoby żadnych reporterów. To nieuczciwe, by obwiniać ją za to, że pozwolili mediom kręcić się wokół Brun i zaglądać do każdego kąta.

– Ze wszystkich ludzi właśnie pani powinna wiedzieć, że w tej chwili – z powodu buntów i sprawy Lepescu – wszyscy bardzo uważnie obserwują Flotę, i ostatnią rzeczą, jakiej nam potrzeba,

jest jakiś zwariowany młody oficer oskarżający córkę Mówcy o brak moralności. Nie pomoże nam to w Wielkiej Radzie ani nie zyskamy poparcia ogółu. Rozumie pani?

– Tak jest, sir.

– Jest pani podobno inteligentnym i utalentowanym w zakresie taktyki oficerem, ale... nie wydaje mi się, żebym przez wszystkie lata służby spotkał się z tak ewidentnym przypadkiem błędnej oceny. Wprawiła pani w zakłopotanie i mnie, i Zawodową Służbę Kosmiczną. Gdyby nie miała pani wcześniej tak dobrej opinii, rozważyłbym zwolnienie pani za niegodne oficera zachowanie.

Co takiego zrobiła? Jedyne powiedziała zepsutej bogatej panience prawdę... ale najwyraźniej pewnych prawd nie należy mówić wprost.

To Brun postąpiła niewłaściwie, a teraz ona ma kłopoty.

– Powiem pani, co pani teraz robi, poruczniku. Będzie pani unikać jakichkolwiek wywiadów na jakikolwiek temat. Nie będzie pani wygłaszać żadnych komentarzy na temat Sery Meager.

Jeśli ktoś panią zapyta, odpowie pani, że straciła nad sobą kontrolę – co ewidentnie jest prawdą – i nie ma pani nic więcej do powiedzenia. Kazałbym pani przeprosić Serę Meager, tylko że ona postanowiła opuścić naszą jednostkę – i nic dziwnego – i wątpię, żeby miała ochotę jeszcze o pani usłyszeć. Zrozumiano?

– Tak jest, sir.

– Odejść.

Esmay zasalutowała i wyszła, zła na siebie i na Brun. Racja, nie powinna była mówić tego, co powiedziała, dlatego teraz może przyznać, że była zbyt wściekła, by jasno myśleć. Ale Brun po raz kolejny ją wykorzystała, a poskarżenie się dowódcy było... jeszcze jednym dowodem jej niedojrzałości.

Miała spotkać się z Barinem – zostawił jej wiadomość w komunikatorze – ale najchętniej wczłogałaby się na swoją pryczę i przespała najbliższe dwanaście godzin. Przynajmniej, pomyślała, nie będziemy tracić czasu na rozmowę o Brun.

* * *

Pierwszym poruszonym przez niego tematem była sprawa Brun.

– Byłaś wobec niej naprawdę ostra – powiedział. Barin, tak jak wszyscy inni w grupie, widział informację w mediach. – Ona wcale nie jest aż taka zła.

– Jest – stwierdziła Esmay. Tego już za wiele; nie zamierza pozwolić Brun, aby zrujnowała jeszcze i to. Zobaczyła, jak wyraz jego twarzy zmienia się, ale gniew spowodował, że brnęła dalej. – Nie miała prawa dobierać się do ciebie; gdyby miała choć odrobinę przyzwoitości...

– To niesprawiedliwe – zaprotestował Barin. – Ktoś taki jak ona...

– Najbogatsza dziewczyna w Familiach Regnant? Chcesz mi powiedzieć, że bogatych obowiązują inne zasady?

– Nie... Właściwie tak, ale nie tak, jak ty myślisz. – Lekki nacisk na „ty” zabolął ją; była pewna, że Barin zrobił to świadomie.

– Myślę, że ludzie, którzy mają takie jak ona możliwości, powinni je wykorzystać do czegoś więcej niż tylko sprawiania sobie przyjemności.

– No cóż, czy powiedziałaś jej, że jesteśmy dla siebie... kimś ważnym?

– Nie, nie powiedziałam. – Esmay poczuła, jak jej twarz sztywnieje. – To nie jej sprawa. To nie ma nic wspólnego z tobą i mną.

Chodzi o to, że ona uważa, iż każdy, kogo ona zechce, powinien wczłgać się do jej łóżka.

– Każdy! – Barin wyglądał na zdumionego, a potem rozbawionego. – Czyżby próbowała się do ciebie...

– Nie! – Esmay potrząsnęła głową, która zaczynała ją łupać w znajomy sposób. – Nie robiła tego, oczywiście, że nie. Po prostu wystartowała do ciebie, a ty jesteś oficerem Floty, młodszym od niej... – Za późno uzmysłowiła sobie, że sama jest starsza od Barina. Jej głos zadrżał, ale przełknęła i mówiła dalej. – Uganianie się za młodszymi oficerami jest... jest... niestosowne.

– Esmay, proszę. – Barin wyciągnął rękę, ale cofnął, zanim jej dotknął. – Ona tylko mnie zapytała. Kiedy powiedziałem „nie”, dała mi spokój. Była bardzo uprzejma, absolutnie nie przekroczyła stosownych norm zachowań.

– Odmówiłeś? – zdołała wydusić przez ściśnięte gardło.

– Oczywiście, że odmówiłem. A co ty sobie myślałaś? – Jego ciężkie brwi Serrano zbiegły się razem. – Myślałaś, że ja z nią spałem? Jak mogłaś tak pomyśleć? – Teraz to on był zły, błyskał czarnymi oczami i czerwienił się.

Esmay poczuła rosnącą panikę. Nie spał z Brun? Czyżby Livadhi kłamał? Pomylił się? Nie wiedział? Barin wpatrywał się w nią przez chwilę, a potem kiwnął głową, jakby jej milczenie potwierdziło jego ponure podejrzenia.

– A więc myślałaś, że z nią spałem. Myślałaś, że wskoczyłem do jej łóżka tylko dlatego, że jem z nią posiłki, kiedy ty jesteś zajęta, że z nią rozmawiam i że jest bogata. Otóż nie jestem niczyją zabawką, Esmay. Ani jej, ani twoją. Gdybym naprawdę cię obchodził, wiedziałabyś o tym. Przykro mi, że tak niewiele rozumiesz, ale jeśli chcesz coś osiągnąć we Flocie, musisz zejść ze swojej szklanej góry moralności i zacząć widzieć rzeczywistość.

Odszedł, zanim zdążyła coś odpowiedzieć. Z trudem dotarła do swojego pokoju i spędziła kolejną bezseną noc, wpatrując się w sufit.

* * *

Gdy następnego dnia spotkali się na zajęciach, Esmay mogła tylko żalonym wzrokiem wpatrywać się w tył głowy Barina. Chłopak nawet nie odwrócił się, żeby na nią spojrzeć. Kiedy został wywołany, wstał i odpowiedział znajomym energicznym głosem; czuła, że mogłaby zrobić to samo, choć nie była pewna, w jaki sposób jej mózg wciąż pracował, podczas gdy serce leżało złamane gdzieś poniżej żołądka.

Nigdy wcześniej nie była zakochana. Słyszała, jak inni opisują symptomy zakochania, i myślała, że przesadzają. A tymczasem wcale nie przesadzali, wyrażali zaledwie ułamek odczuwanej przez nią żalości. Oni to wszyscy przeżyli, więc przypuszczała, że i jej też się uda, choć wcale nie była pewna, czy tego chce.

Ku jej zaskoczeniu otrzymała wysoką ocenę za ćwiczenia polowe. Nie poczuła się od tego lepiej, ale jej przygaszona mina podczas wręczania certyfikatu zdawała się zadowalać komandora porucznika Uhlisa. Czuła lekkie odsunięcie się od niej kolegów i koleżanek z grupy, nawet takich jak Vericour, którzy przez cały czas byli jej życzliwi.

W dniu, w którym Barin miał odlecieć, Esmay poszła na stanowisko odlotów. Czuła, że musi

jakoś do niego dotrzeć, bo w przeciwnym razie równie dobrze może skoczyć z wieży. Miała lodowate dłonie, czuła, jak na jego widok wali jej serce.

– Barin...

– Poruczniku. – Był chłodno uprzejmy.

– Barin, przepraszam. Nie chciałam cię obrazić. – Wypowiedziała to w pośpiechu, prawie jak jedno słowo.

– Przeprosiny nie są konieczne – powiedział oficjalnie. Dostrzegła w jego oczach odrobinę ciepła, ale nic więcej. Nie zamierzał wyciągnąć do niej ręki tutaj, w miejscu publicznym, i nie wykazywał ochoty na prywatną rozmowę.

– Ja tylko... nie chcę, żebyśmy stali się wrogami – powiedziała Esmay.

– Nigdy! – Wziął głęboki oddech. – Nigdy nie będziemy wrogami, poruczniku, nawet jeśli nie potrafimy się dogadać. – Nastąpiła długa pauza, w trakcie której Esmay usłyszała to, czego nie powiedział na głos... – Do widzenia, poruczniku, i powodzenia na pierwszym przydziale specjalizacji dowódczej. Poradzi sobie pani.

– Dziękuję – odpowiedziała. – I powodzenia. – Jej gardło zacisnęło się, uniemożliwiając jej powiedzenie reszty: Moglibyśmy być w kontakcie. Moglibyśmy zaplanować... Nie. Zrujnowała to wszystko, co mieli, i to już był koniec.

Uścisnęli sobie oficjalnie dłonie i zaszalutowali, a potem Barin ruszył do kolejki czekających na prom. Esmay nie chciała poczekać i przekonać się, czy odwróci się i pomacha. Była pewna, że tego nie zrobi.

* * *

Nie była jeszcze poza bramami jednostki, ale teraz poszła do Q-town, opanowana tępym bólem, którego miała nadzieję już nigdy nie czuć. Nie chciała widzieć w mesie nikogo ze swojej grupy, a musiała coś zjeść przed odlotem, żeby nie zwymiotować. Ktoś na *Koskiusko* powiedział jej, że gdy będzie w Copper Mountain, koniecznie musi odwiedzić bar *Diamond Sims*. Gdy zauważyła szyld z tą nazwą, weszła do środka.

– Porucznik Suiza! – zawołał mężczyzna na wózku inwalidzkim, kiedy tylko przekroczyła próg. – Cieszę się, że pani przyszła. Jestem Sam i prowadzę ten bar.

Ktoś cieszy się na jej widok? Rozejrzała się i ruszyła w głąb sali.

– Jesteśmy zaszczyceni, że pani przyszła – powiedział mężczyzna. – Major Pitak mówiła, że może pani wpaść, jeśli będzie miała czas.

– Przepraszam, że to tak długo trwało – powiedziała Esmay. – Miałam podwójną liczbę zajęć...

– Orientuję się, co robią ludzie w Szkole, i wiem, że była pani zajęta. Nie spodziewałem się tu pani wcześniej; nie wiedziałem, czy pani w ogóle tu trafi. Kiedy prom?

– Za jakieś pięć godzin. – Esmay zajęła wskazane miejsce.

– Ma pani kłopoty z powodu tej kobiety Meagerów? – zapytał.

Znowu Brun. Kiwnęła głową, mając nadzieję, że w ten sposób da mu do zrozumienia, że nie chce o tym rozmawiać.

– To częściowo moja wina – rzekł mężczyzna. – Tamtej nocy przyszła tutaj i wydierała się na całą salę. Myślę, że któryś z siedzących jej na ogonie reporterów wyłapał to z ulicy mikrofonem

kierunkowym.

– Nie warto się tym przejmować – stwierdziła Esmay. – Stało się, już tego nie zmienię.

– Mówi pani jak ktoś, kto potrzebuje dobrego steku. – Mężczyzna podniósł rękę i pojawiła się kelnerka. Zerknął na Esmay.

– Może być stek z cebulą?

– Bez cebuli proszę. – Za to przystała na resztę jego propozycji, i już wkrótce pojawił się talerz ze skwierczącym mięsem.

Kiedy zaczęła jeść, mężczyzna powrócił do rozmowy.

– Jest ładna, ale uparta jak muł. To jeszcze jeden dowód na to, żeby nie wpuszczać cywilów do naszych jednostek szkoleniowych, niezależnie od tego, czyimi są dziećmi. Nic dobrego nie wychodzi z mieszania się z Familiami.

Z jakiegoś powodu – może dostarczonej jej przez stek energii – Esmay zaczęła protestować.

– Ma sporo talentów, które moglibyśmy wykorzystać.

– Och, z pewnością, gdyby tylko choć trochę przestrzegła dyscypliny.

– Z tego, co słyszałam, zrobiła parę dobrych rzeczy. Pomogła tej starej damie, ciężko przy tym pracując.

Mężczyzna zamrugął.

– Zrobiłaby pani jedwabną torebkę z koziej skóry, prawda, poruczniku? To dobre nastawienie u młodego oficera, ale cokolwiek by pani zrobiła, smród pozostanie. Dokąd teraz pani leci?

– Nie jestem pewna. Mój przydział powinien być gotów, gdy dotrę do kwatery głównej sektora. Mogą zakopać mnie w papierkowej robocie...

– Nie, nie wydaje mi się – zaprotestował mężczyzna. – Nawet jeśli ma pani teraz kłopoty, one miną, a nie mogą zmarnować młodego oficera z prawdziwymi zdolnościami bojowymi.

– Mam nadzieję – stwierdziła Esmay.

Sekcja przydziałów młodszych oficerów, kwatera główna Zawodowych Sił Kosmicznych

– Będziemy musieli znaleźć coś innego – oznajmił admirał. – Nie możemy teraz nagrodzić porucznik Suizy takim przydziałem.

– Potrzebujemy jej takiej, jaka jest – powiedział komandor.

– Raczej takiej, jak myśleliśmy, że jest. Dziękujcie bogom, że wysłaliśmy ją na szkolenie przed skierowaniem na specjalizację dowódczą. Wyobraźcie sobie bajzel, jaki mogłaby spowodować jako kapitan krążownika, gdyby doszło do czegoś takiego.

– Wciąż trudno mi w to uwierzyć. W jej kartotece nie było niczego – niczego – co wskazywałoby na tego rodzaju wadę charakteru, a raczej wręcz przeciwnie.

– W jej aktach aż do Xaviera nie było też niczego, co sugerowałoby umiejętności bitewne – zauważył admirał. – Jeśli potrafiła ukryć tego rodzaju talent, tym bardziej mogła nie ujawnić swoich wad. Zresztą nigdy wcześniej nie stykała się z Familiami, bo Altiplano nie ma przedstawiciela w Radzie.

– To fakt. – Komandor sprawiał wrażenie zamyślnego. – Chciałbym wiedzieć, czy kryje się za tym coś więcej.

– Więcej? Słowny atak na córkę Pierwszego Mówcy nie wystarczy?

– No cóż... Chodzi mi o to, czy to tylko coś osobistego, czy ma związek z polityką. A może to czubek góry lodowej?

– Nie wiem i w tej chwili nie dbam o to. Straciliśmy na tę młodą kobietę zdecydowanie zbyt wiele czasu i pieniędzy, i musimy teraz wymyślić, jak je odzyskać bez narażania dobrego imienia Floty. – Admirał popatrzył na siedzących wokół stołu. – Lepiej, żeby ktoś z was miał jakiś pomysł.

– Sir, ona wybrała kursy z Poszukiwań i Ratownictwa oraz Uników i Uciezki, prawda? – spytał jakiś komandor porucznik.

– Tak.

– PIR potrzebuje zarówno młodszych oficerów na okrętach, jak i dowódców grup, a do tego wymagana jest specjalizacja dowódcza. W samym sektorze VII są w tej chwili przynajmniej trzy wolne stanowiska dla poruczników.

Admirał zastanowił się przez chwilę.

– Stosunkowo niewielkie jednostki, elitarne załogi, właściwie działają niezależnie... Tak. Będzie pod ścisłym nadzorem, i jeśli coś zepsuje albo spróbuje wzniecić jakąś akcję, jej kapitan będzie o tym wiedział. Dobrze. Co pan ma konkretnie na myśli?

– Myślałem o *Shrike'u*. Dowodzi nim Podały Solis, a jego pierwszy oficer właśnie poprosił o urlop rodzinny.

– Hmm. Nie wiem, czy należy ją umieścić tak wysoko.

– Pomyślałem, że będzie pod ściślejszym nadzorem kapitaną niż gdyby została dowódcą grupy ratowniczej. A nie mamy żadnych wątpliwości co do Solisa; admirał zapewne pamięta, że pomógł nam uporządkować bałagan w dowództwie sektora.

– Tak, to prawda. To chyba najlepsze, co możemy zrobić. Niech diabli porwą tę dziewczynę; czemu nie może być tak dobra, jak się wydawało?

Dowództwo sektora VII, stacja Aragon

Esmay przybyła do rejonu dokowania *Shrike'a* i zastała wszystko w idealnym porządku. Strażnik zsalutował energicznie i sprawdził jej rozkazy.

– Dam znać kapitanowi; nie spodziewaliśmy się pani przed następną wachtą.

– *Gossamer* przyleciał wcześniej – wyjaśniła Esmay.

Zastanawiała się, co pomyślałby teraz jej ojciec, zarówno o promocji, jak i o kłopotach, w które się wpakowała. Była pewna, że śledził jej karierę z Altiplano; o jej promocjach i nagrodach informowano publicznie, a ekipy wiadomości zrobiły też materiał o sprawie *Koskiusko*. Jej myśli powędrowały do prababki – delikatnej i pochłoniętej historią ich kultury. Co ona by pomyślała? Przez chwilę żałowała, że nie może usiąść obok jej niskiego fotela i wylać z siebie całego żalu. Jej prababka z pewnością zrozumiałaby historię z Barinem i w sprawie Brun na pewno czułaby to samo co ona.

* * *

Kapitan Solis powitał ją z dużą rezerwą; nie wiedziała, czy zwykle jest taki, czy został

poinformowany o kłopotach, w jakie się wpakowała.

– Jest pani zbyt niedoświadczona, aby zająć pozycję drugiego człowieka na statku – powiedział.
– Rozumiem, że ma pani na swoim koncie wybitne osiągnięcia bojowe, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że nie była pani wtedy na specjalizacji dowódczej.

– Ale pierwszy oficer PIR... Dość dużo od pani wymagają.

– Dołożę wszelkich starań, sir – odpowiedziała Esmay.

– Jestem pewien. Przyda się pani doświadczenie z RDZ. Widziałem, że dostała pani dobre oceny zarówno z Poszukiwań i Ratownictwa, jak i z Uników i Ucieczki. Mimo wszystko będzie pani musiała sporo się napracować, i lepiej, żeby pani od razu się na to przygotowała. – Przyjrzał się jej uważnie. – Co do pani kłótni z córką Pierwszego Mówcy... – Potrząsnął głową. – Gdybym był pani dowódcą, wyrzuciłbym panią za niegodne oficera zachowanie.

– Nie zrobiono tego i jak dotąd nie ma tu pani żadnej kartoteki, ale ostrzegam: nie będę tolerował braku szacunku dla cywilnego rządu Familii Regnant. Oficerowie służą, a nie zajmują się polityką.

Esmay chciała zwrócić mu uwagę, że Brun nie zajmuje żadnego oficjalnego stanowiska, ale czuła, że nie powinna tego robić. Czemu wszyscy uważają, że jej opinia na temat zachowania Brun ma cokolwiek wspólnego z jej lojalnością wobec Floty?

– Tak jest, sir – odpowiedziała.

– Na moim statku nie znajdzie pani poparcia dla żadnych gierk Familii – kontynuował. – A także miejsca na wielkopańskość.

– Proszę dobrze wykonywać swoją pracę, a dostanie pani odpowiednią ocenę w okresowych sprawozdaniach. To wszystko.

– Tak jest, sir.

– Spodziewam się tu pani na odprawie za dwie godziny. Odejść.

Niewielkim pocieszeniem był fakt, że dzięki nowej pozycji miała własną kajutę, nawet na tak małej jednostce. Jej worek już na nią czekał. Rozejrzała się. Koją, szafki, biurko, czytnik kostek i – ku jej zaskoczeniu – rząd ekranów nad biurkiem. Esmay wsunęła swój infopręt do portu i ekrany ożyły. Jeden wyświetlał rozkazy dzienne, drugi przedstawiał status dwóch zespołów PIR oraz ich pojazdów, a trzeci zawartość magazynów z odnośnikami do wskaźników zużycia.

Esmay wpakowała swoje rzeczy do szafek – dwie zostały puste – i przebrała się w czysty mundur. Nie czekała z przyjemnością na następne spotkanie z kapitanem.

* * *

Tym razem jednak był trochę bardziej życzliwy.

– Denerwuje mnie utrata Colina – powiedział. – Jego żona zginęła w wypadku, gdy była na planecie, aby przygotować zmianę opiekunów dla ich dzieci. Trochę potrwa, zanim uda mi się wszystko uporządkować. Dzieciaki są już za duże dla dziadków, a wujek, który miał się nimi opiekować, zginął w tym samym wypadku. – Potrząsnął głową i uśmiechnął się do Esmay. – Przekona się pani, że mamy dobre ekipy, poruczniku, a przydział do PIR zawsze jest interesujący. Rozwiązujemy problemy, które zwykle duzi chłopcy ignorują – od awarii silników prywatnych jachtów aż do kolizji.

– Dużo się pani tutaj nauczy. A ponieważ nie spodziewaliśmy się pani wcześniej niż jutro i nie ma pani jeszcze na liście wacht, ma pani czas na rozejrzenie się i zaznajomienie ze swoimi obowiązkami.

– Sir, przeszłam tylko podstawowy kurs PIR – powiedziała Esmay.

– Przydzielili mnie tutaj, zanim zaczęłam zaawansowany kurs.

– Lepsze to niż nic. A jeśli pani wie, że ma braki, będzie pani zadawać pytania zamiast nieudolnie działać i sprawiać kłopoty. Obowiązki pierwszego oficera na tym statku nie są takie same, jak na innych jednostkach. To dlatego, że mamy różne cele. Oczywiście podstawowe sprawy nie zmieniają się. Chciałbym, żeby pani na to spojrzała. – Podał jej kostkę. – Na pewno będzie pani chciała wszystkich poznać, dlatego zaplanowaliśmy spotkanie dzisiaj o 19.00.

– Świetnie, sir. Mogę się rozpakować i obejrzeć sobie wszystko... chyba, że ma pan coś dla mnie w tej chwili.

– Nie, to wszystko. I tak nie odlecimy stąd wcześniej niż pojutrze. Jutro będzie spotkanie, na którym musi pani pojawić się jako moja przedstawicielka. Zbyt długo nie była pani na statku, aby wziąć na siebie wszystkie przygotowania.

* * *

Kiedy znalazła się w swojej kabinie – zauważyła, że na tabliczce na drzwiach już umieszczono jej nazwisko z tytułem Pierwszy Oficer – wsunęła do czytnika otrzymaną od kapitana kostkę. Wiedziała, jaki jest zakres obowiązków pierwszego oficera, a przynajmniej tak jej się zdawało. Zasadniczo kierował statkiem pod dowództwem kapitana. Jednak na jednostce Poszukiwań i Ratownictwa pierwszy oficer odpowiadał także za nadzorowanie akcji ratunkowych, podczas gdy kapitan zajmował się bezpieczeństwem okrętu, a właściwie obu okrętów – własnego i ratowanego. Zdziwiła się na widok listy personelu ochrony; nie zdawała sobie sprawy, że jednostka PIR przewozi marines, choć rzeczywiście miało to sens.

Bardzo często statek miał kłopoty na skutek czyichś celowych działań, i wtedy trzeba było poradzić sobie ze sprawcami tych kłopotów, jeśli wciąż jeszcze znajdowali się w okolicy.

Przeszła tylko podstawowy kurs... więc jeśli otrzymają jakieś wezwanie, zanim nauczy się reszty potrzebnych rzeczy, będzie można potraktować ją jako przypadek określany żartobliwie „sierżancie, odłóżcie ten flagsztok”. A to znaczy, że powinna zaprzyjaźnić się z właściwymi sierżantami.

Szybko przeleciała listę swoich zadań i przeszła do struktury organizacyjnej statku, aby zobaczyć, kto będzie wykonywał prace, które ona ma „nadzorować”. Tych ludzi będzie musiała przeciągnąć na swoją stronę. Przez jej głowę przelatywały niedawno poznane informacje z podręczników dowodzenia. Pięć zasad tego, siedem reguł tamtego... Przypomniała sobie, gdzie ma kostkę z tymi podręcznikami. Będzie musiała je przejrzeć, jak tylko skończy czytać kostkę kapitana.

Shrike przewoził dwie pełne ekipy ratunkowe, wyszkolone zarówno w operacjach w nieważkości, jak i w warunkach grawitacji. Podobnie jak na większości mniejszych jednostek PIR, szkolenie grawitacyjne odbywało się w niskich ciśnieniach i w próżni. Większość wezwań pochodziła ze stacji kosmicznych lub jednostek w głębokiej przestrzeni. Skład ekipy śledczej i laboratorium pełne sprzętu analitycznego wskazywały, że PIR może oferować więcej niż tylko pomoc

w wypadkach. A ekipa medyczna, która była znacznie większa niż zazwyczaj na jednostkach tej wielkości, dysponowała zbiornikami regeneracyjnymi i dwiema salami operacyjnymi oraz odpowiednim wspomaganiami. Przypominało to miniaturę *Koskiusko*.

Jednostka Ratownicza Jeden była dowodzona przez porucznika Tika Briadosa, którego Esmay pamiętała z Akademii jako wielkiego żartownisia; teraz nie sprawiał takiego wrażenia, gdy oprowadzał ją po sali pełnej ustawionego na stojakach sprzętu i kombinezonów. Esmay rozpoznała tylko około połowy sprzętu; zastanawiała się, ile czasu będzie potrzebowała, żeby nauczyć się reszty. Dowódcą Jednostki Ratowniczej Dwa był pepepek, którego nigdy wcześniej nie spotkała, Kim Arek. Był pełen energii i chętnie wyjaśniał Esmay sprawy, które miała nadzieję zapamiętać. Po tej lekcji stwierdziła, że lubi pepeka Areka za jego entuzjazm do pracy.

Przejsie przez tereny obu ekip ratunkowych zajęło jej całe godziny. Wreszcie wyrwała się Arekowi, gdyż musiała przygotować się na spotkanie z pozostałymi oficerami. Miała nadzieję, że nie będą mówić o Brun Meager.

Kiedy dotarła do mesy oficerskiej, ta była już zatłoczona.

– Poruczniku Suiza, miło mi panią poznać. – Kanciasty major, który wyciągnął do niej rękę, przypominał jej major Pitak. – Jestem Gordon Bannon, patologia.

– Oficerowie... – odezwał się kapitan Solis, wstając. Wszyscy umilkli. – To porucznik Esmay Suiza, nasz nowy pierwszy oficer.

– Niektórzy z was słyszeli o niej... – Esmay miała nadzieję, że szept, które się rozległy, odnoszą się do jej wcześniejszych zasług. – Przybyła prosto z Copper Mountain, po ukończeniu podstawowego kursu PIR, więc mam nadzieję, że wspólnie wprowadzicie ją w nasz świat. – Najwyraźniej był to jakiś stary żart, bo ich śmiech nie miał w sobie wrogości.

Następnie wszyscy pojedynczo wstawali, by się przedstawić.

Esmay zaczęła się odprężyć, rozmawiając z nimi; najwyraźniej bardziej byli zainteresowani tym, jak będzie sobie radzić, niż jej przeszłością.

W ciągu kilku następnych dni pochłonał ją wir pracy; zapełniała swój harmonogram wszystkim, o czym tylko pomyślała lub ktoś jej zasugerował. Kiedy *Shrike* opuszczał bazę, doszła do wniosku, że już zaczyna mniej więcej orientować się w swoich obowiązkach. *Shrike* miał samotnie patrolować sektor, aby w miarę swoich możliwości pomagać w sytuacjach awaryjnych. Według najdłużej przebywających na pokładzie, bywało tak, że całe dni upływały beczynnie, ale i tak, że katastrofy nakładały się na siebie... Trudno było to przewidzieć.

* * *

– Ten statek to częściowo kontenerowiec, częściowo frachtowiec, który przy wejściu utracił moc. Napęd wewnętrzny działa na jakieś dwadzieścia procent mocy. Mówią, że nie są w stanie wejść na orbitę. Poinformowaliśmy ich, że w systemie działa zarejestrowana firma pomocy technicznej, ale kapitan jest niezbyt zadowolony i mówi, że miał już problemy z takimi firmami.

Była to pierwsza sytuacja alarmowa, od kiedy Esmay weszła na pokład.

– Prosi o pomoc Floty. – Kapitan Solis spojrział na Esmay. – Musimy w takim wypadku zareagować, ale nie możemy też zapominać o naszej odpowiedzialności za cały obszar. Chcę dostać szacunkowy raport na temat tego, ile czasu zajęłoby nam przeskoczenie tam, przygotowanie haków, wzięcie go na hol i wciągnięcie na orbitę. To nie jest zbyt pilne.

Esmay szybko dokonała obliczeń. – Sześćdziesiąt godzin, wliczając w to mocowanie lin, chociaż powinien mieć standardowe łącza.

– No dobrze... W takim razie złapmy ten frachtowiec.

Esmay przyglądała się uważnie wykresom kursu na ekranach mostka. Zewnętrzne kamery pokazywały bulwiasty, prawie sferyczny statek z pierścieniami kolorowego światła wskazującymi łącza lin holowniczych.

– Brzydki, prawda? – zapytał porucznik Briados, dowódca Jednostki Ratowniczej Jeden, który przyglądał się z mostka, jak podchodzą do statku. – One wszystkie wyglądają praktycznie tak samo.

– Pomieściłby mnóstwo żołnierzy. – Esmay powiedziała pierwszą rzecz, jaka przyszła jej do głowy.

Briados roześmiał się.

– Widać, że była pani na jednostce bojowej. Tak, pomieściłby, ale nie ma żadnej sensownej manewrowości wewnątrzukładowej.

– Nawet przy sprawnym silniku.

– Skąd w ogóle wiedzą, gdzie montować silnik? Gdzie jest oś napędu?

– Cóż, potrzebują manewrowości na małych prędkościach w pobliżu stacji, więc zazwyczaj montują dwa silniki w pobliżu kadłuba pod kątem sześćdziesięciu stopni; oś napędu to cięciwa przecinająca kąt między osiami obu silników w tej samej płaszczyźnie. – Esmay potrzebowała chwili, żeby to zrozumieć, ale w końcu kiwnęła głową.

– No dobrze, Suiza, zobaczmy, jak pani sobie z tym poradzi – zwrócił się do niej kapitan Solis. – Proszę udawać, że robi to pani od lat.

Ścisnęło ją w dołku, ale kiwnęła głową do obsługi komunikacji i podniosła zestaw słuchawkowy, żeby porozmawiać z kapitanem frachtowca i wyjaśnić mu, że ich ludzie wejdą na pokład.

– Prosiliśmy tylko o podholowanie – zaprotestował kapitan. – Nie rozumiem, czemu chcecie wchodzić na pokład.

– Zasadą działania ZSK jest wejście na pokład wszystkich jednostek proszących o pomoc – powiedziała Esmay, powtarzając słowa usłyszane od kapitana Solisa. – To rutynowa procedura, sir.

– To cholerne utrapienie – mruknął kapitan.

– Proszę pomyśleć o tym, że jeśli nie będziemy ćwiczyć holowania i wchodzenia na pokład, możemy nie być wystarczająco skuteczni, kiedy ktoś będzie miał naprawdę poważne problemy.

– W końcu może to być także pański statek...

– No dobrze – zgodził się. – Pod warunkiem, że nie będziecie ćwiczyć wycinania otworów w kadłubie.

Shrike wypuścił standardowe haki holownicze wspierane przez ciągnik klasy wojskowej. Na sygnał frachtowca haki zgrabnie zblokowały się i zamknęły; przez cały ten czas *Shrike* utrzymywał identyczny kurs i prędkość. Ciągnik pozwolił jednostce PIR zbliżyć się na jeszcze mniejszą odległość. Potem Esmay wysłała pepeka Areka i jego ludzi przez kilkaset metrów próżni na drugi statek.

Jednostka Ratownicza Dwa dostała się do środka, a w tym czasie *Shrike* łagodnie pociągnął frachtowiec na nowy kurs. Ratownicy wrócili, zanim Solis kazał wciągnąć z powrotem haki.

– Kapitanie, czego oni tam szukali? – zapytała Esmay.

– Tylko ćwiczili – odpowiedział Solis.

Popatrzyła na niego uważnie, a on uśmiechnął się szeroko.

– No dobrze, mogę pani powiedzieć. Sektor zauważył braki w amunicji. Podejrzewamy, że część amunicji jest wykradana na potrzeby cywilne. Admirał chce więc, żebyśmy sprawdzali każdy statek, który poprosi nas o pomoc. To dobre ćwiczenie, między innymi jeśli chodzi o użycie sprzętu do detekcji głowic.

– A czego brakuje? – zapytała Esmay.

Solis rozłożył ręce.

– Powiedziano mi, że nie muszę wiedzieć, ale ponieważ wyszczególnili sprzęt, z którego mamy korzystać w czasie poszukiwań, podejrzewam, że ktoś zgubił kilka skuteczniejszych atomówek.

– O cholera.

– No właśnie. Jeśli nasz towar jest przetrzucany transportem cywilnym, może trafiać gdziekolwiek i do kogokolwiek. Prawdopodobnie nie do Benignity, bo oni mają własny przemysł zbrojeniowy i pełne magazyny. Ale mniejsze wrogie siły czy lokalni malkontenci...

– Albo po prostu piraci – zauważyła Esmay.

– Tak. Każdy, kto chce zrobić duże bum.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Elias Madero, którego właścicielem było konsorcjum Boros, podążał pętlą łączącą pięć portów, która niezmiennie od dziesiątków lat była bardzo dochodowa. Przewożono tędy oliwki i wino z Bezaire, klejnoty wydobywane na Oddlink, embriony zwierząt hodowlanych z Gullam, wyroby spożywcze z Podj oraz kostki rozrywkowe z Corian, który przyjmował ruch nadświatlny z głębszych systemów i miał największą liczbę ludności w okolicy. Statek odbierał w każdym porcie napełnione od czasu poprzedniej wizyty kontenery. Jego załoga, w większości stała, nie miała pojęcia, co zawierają pojemniki. Wiedział tylko kapitan i agent Boros w każdym z portów. Kontenery nie miały włazów – dzięki czemu nie mogły być okradane przez załogi – więc nikt nie miał pojęcia, że kontener w ładowni 5, w którym powinny znajdować się 5832 odtwarzacze kostek, tak naprawdę był pełen broni skradzionej z magazynów Floty. Drugi kontener w ładowni 5, w którym teoretycznie miały być kostki rozrywkowe do odtwarzaczy, zawierał bardziej niebezpieczne uzbrojenie, łącznie z trzydziestoma czterema głowicami Vhitsoc 43b 11, ich kontrolną elektroniką i kluczami uzbrajającymi.

Agentka Boros w Bezaire nie byłaby zadowolona, gdyby знаła zawartość kontenerów w ładowni 5, jako że miała kontrakt na dostarczenie kostek i odtwarzaczy.

* * *

Elias Madero wyłonił się z lotu nadświatlnego i przeszedł do normalnej przestrzeni, by przebyć dystans dzielący dwa punkty skokowe znajdujące się w tym samym systemie, nieformalnie nazywanym parowcem. Skrót ten od lat oznaczony był na standardowych mapach jako „wątpliwy”, ponieważ obecność dwóch punktów w tym samym systemie teoretycznie mogła prowadzić do ich przestrzennej niestabilności. Jeśli punkt wejścia przesunąłby się, nadlatujący statek mógłby znaleźć się zbyt blisko dużej masy, a nie miałby czasu na manewrowanie. Ale z kolei najbliższa bezpieczna trasa oznaczała trzy dodatkowe obliczenia skokowe, a przelot z Corian na Bezaire trwałby o jedenaście dni dłużej. Ponieważ koordynaty czasowe punktu skokowego były rozmyte, niektóre komercyjne transportowce korzystały ze skrótów, żeby dotrzymać terminów dostaw... i równocześnie zapełnić plany lotów oficjalnymi trasami.

Obecna załoga *Elias Madero* przelatywała tędy już wiele razy.

Punkty skokowe nie przesunęły się w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat, ale sam fakt, że istniała taka możliwość, sprawiał, że system nie był zatłoczony.

Ujście w układ jak zwykle poszło gładko i statek bez trudu przeszedł na napęd układowy.

– A więc mamy to za sobą – rzekł kapitan Lund, poklepując nawigatora po ramieniu. – Cztery dni i znów nas tu nie będzie.

Idę do łóżka. – Zarówno przepisy, jak i zwyczaj wymagały, by w chwili wejścia i wyjścia ze skoku kapitan znajdował się na mostku. Tym razem Lund spędził na nim trzy zmiany z powodu drobnego problemu z urządzeniami.

Oficer nawigacyjny, przeniesiony z bliźniaczego statku *Sorias Madero*, kiwnął głową. – Mam już przygotowany kurs, sir. Według moich obliczeń, dziewięćdziesiąt siedem i dwie dziesiąte godziny.

– Bardzo dobrze.

Kapitan Lund, krępy i łysiejący, dotarł do swojej kabiny. Zdjął bluzę i starannie powiesił na wieszaku, buty ustawił obok siebie, przewiesił równo złożone spodnie przez oparcie krzesła, a na to narzucił koszulę. To jego ostatni kurs. Kiedy znów dotrze do Corian, wreszcie przejdzie na emeryturę. Helen... wnuki... niewielki domek na wzgórzu nad doliną... Z uśmiechem na twarzy zapadł w sen.

* * *

Obudził go ryk syreny alarmowej. Sięgnął do komunikatora nad koją.

– Tu kapitan. Co się dzieje?

– Piraci, sir.

Usiadł, odruchowo unikając nisko wiszącej szafki.

– Już idę.

Piraci? Jacy piraci mogą kręcić się po trasie, którą nie latają prawie żadne statki? Właściwie żadne statki; nigdy nie znalazł śladów wskazujących na to, że ten układ był wykorzystywany przez kogoś innego.

Czyżby śledzono ich w czasie lotu nadświatelnego? Słyszał plotki, że Flota rozwija jakiś rodzaj skanera działającego w nadprzestrzeni. Może to Benignity? Z pewnością nie Świat Aethara, zresztą i tak byli po drugiej stronie przestrzeni Familii.

Na mostku sytuacja stała się jasna. Było ich dwóch; ich systemy uzbrojenia rozświetlały tablicę skanerów na czerwono. Na ekranie komunikatora mężczyzna w mundurze, którego twarzy nie rozpoznawał, mówił mocno akcentowanym standardowym.

Kapitan jeszcze nigdy nie spotkał się z takim akcentem.

– Poddajcie statek, a pozwolimy załodze odlecieć w szalupach.

Kapitan Lund omal się nie zakrztusił. Na co im szalupy w układzie pozbawionym życia, którego nikt nie odwiedza z powodu pary punktów skokowych?

– Kto jest waszym kapitanem? Chcę z nim rozmawiać.

Lund podszedł do komunikatora i kiwnął głową pierwszemu oficerowi, aby się cofnął.

– Tu kapitan Lund. Kim jesteście i czego od nas chcecie?

– Zabieramy wam statek, sir. – Mężczyzna rzucił mu uśmiech, który wcale nie wyglądał przyjaźnie. – W imię świętej wolności i milicji Nutex. Przepraszamy za wszelkie... niedogodności.

– Jesteście piratami! – oznajmił Lund. – Nie macie prawa...

– To ostre słowa, sir. Nie podoba nam się brak szacunku dla naszej wiary, sir. Ujmę to w ten sposób: mamy dość broni, by rozwalić wasz statek na strzępy, ale dajemy panu szansę uratowania załogi.

– Przynajmniej części. Jeśli podda pan statek i bez oporu pozwoli nam wejść na pokład, nie zabijemy nikogo z legalnej załogi.

Lund czuł się tak, jakby obudził się w jakimś koszmarze i jego umysł odmawiał pracy z normalną prędkością.

– Legalnej załogi?

– No tak. Widzi pan, pracuje pan dla korporacji, która ma nienaturalne poglądy na kwestię moralności. Wedle naszych ksiąg, są rzeczy, które nie są ani naturalne, ani normalne, nie mówiąc już o słusznym, i jeśli ma pan na pokładzie takich ludzi, którzy je uznają, będziemy musieli ich osądzić.

Lund rozejrzał się wokół; twarze ludzi na mostku były napięte i blade. Strzelił przełącznikiem komunikatora, by jego słowa nie były transmitowane.

– Czy któryś z was ma pojęcie, co to za czubki? O co im chodzi z tym naturalnym i nienaturalnym?

Młodszy technik skanu, Innis Sequalin, kiwnął głową.

– Słyszałem trochę o milicji Nutex. Po pierwsze, uważają, że kobiety nie powinny latać w kosmos, po drugie, nie tolerują niczego poza tym, co nazywają normalnym seksem.

Lund poczuł, jak buntuje mu się żołądek. Jaki seks jest według nich normalny? I dlaczego nie chcą puszczać kobiet w kosmos?

– Czy to... ma związek z religią?

– Tak jest, sir. Przynajmniej oni tak twierdzą.

Lund poczuł mdłości. Szaleńcy religijni... Wybrał się w kosmos po to, żeby uwolnić się od fanatyków z jego macierzystej planety. Jeśli ci są tego samego rodzaju... to ma zbyt liczną załogę, by ryzykować.

– Ostrzegam was – powiedział pirat. – Odpowiedzcie albo rozwalimy wam ładownie.

– Dobrze – rzekł Lund, głównie po to, żeby zyskać na czasie.

– Wyślę moich ludzi do szalup.

– Chcemy zobaczyć listę załogi – oznajmił mężczyzna z nieprzyjemnym uśmiechem. – Natychmiast, zanim zaczniecie w niej grzebać. Jeśli szalupa odbije, zanim zatwierdzimy listę, zniszczymy ją.

Umysł Lunda pracował na wysokich obrotach. Na liście załogi nie zaznaczono płci – a już na pewno preferencji seksualnych – więc jeśli tylko uda im się nie dopuścić ich do akt medycznych...

– I akta medyczne – dodał mężczyzna. – Na wypadek, gdybyście mieli tak zwane nowoczesne kobiety, które nie noszą kobiecych imion.

Może im odmówić, ale co dalej? Według skanu, mają dość broni, by zniszczyć jego statek. Pewnie nie będą chcieli tego zrobić... bo zależy im na ładunku i może na nie naruszonym statku.

– Akta załogi i medyczne nie są podłączone do sieci – powiedział, dziękując bogom, łącznie z tymi, w których nie wierzył, że taki jest powszechny standard.

– Macie dziesięć minut – powiedział pirat i rozłączył się.

Dziesięć minut. Co można zrobić w ciągu dziesięciu minut?

Czemu od razu nie zaprzeczył, że na statku są kobiety? Mogłyby wówczas podać się za mężczyzn. Na szczęście skromna załoga medyczna statku słuchała całej rozmowy i Hansen natychmiast do niego zadzwonił.

– Zmieniam płeć i usuwam wszystkie informacje o lekach typowych dla danej płci. Potrzeba mi na to sześciu minut. Co jeszcze mam zrobić?

– Sequalin mówi, że oni mają jakieś dziwne poglądy na temat praktyk seksualnych, ale nie wiem, jakie.

– Hmm. Jeśli nie latają w kosmos w koedukacyjnych grupach, może mają obowiązkowy

homoseksualizm? Mógłbym oznaczyć preferencje całej załogi jako męsko-męskie.

– Tak, ale jeśli się mylimy...

– A co z dziećmi?

Elias Madero, podobnie jak większość statków komercyjnych, przewoził na pokładzie dzieci załogi. Już dawno przekonano się, że ich obecność była warta dodatkowej pracy i troski, gdyż dzięki dzieciom załoga była zadowolona i chętna do pracy. W tej chwili było ich sześcioro: czworo w wieku przedszkolnym i dwoje pracujących jako młodszy praktykanci.

– Wsadzimy dzieciaki do rdzenia, gdzie będzie najmniejsza szansa na wykrycie ich skanem. Małe trzeba uśpić. Jak tylko obrabują statek i odlecą... starsze będą mogły wyjść i wysłać wiadomość. Trzeba będzie także wysprzątać przedszkole.

– Zróbcie to – nakazał Lund. – Ale nie kodujcie preferencji seksualnych. Po prostu je zostawcie. – Jak ma ukryć kobiety?

I co się z nimi stanie, jeśli je odnajdą?

* * *

Hazel Takeris, szesnastolatka, przekonała się, że pierwsza podróż w kosmos rzeczywiście jest tak nudna, jak ostrzegał ojciec, ale za nic by z niej nie zrezygnowała, a już z pewnością nie dla kolejnych pięciu miesięcy Szkoły Średniej dla Dzieci Personelu Kosmicznego na głównej stacji Oddlink. Chętnie wywiązywała się z codziennych obowiązków praktykanta, ale kiedy zaczynało jej brakować entuzjazmu dla mycia naczyń czy szorowania podłóg, natychmiast przypominała sobie, że zamiast tego mogłaby teraz wysłuchiwać profesor Hallas omawiającej historię planety, która w jej opinii należała do mrocznej przeszłości ludzkości. Była daleko stąd i bardzo dawno temu, więc kogo tak naprawdę obchodzi, które stulecie zrodziło dziwnie nazywającego się króla czy naukowca.

Kiedy rozległ się alarm, właśnie prowadziła z polecenia kucharza inwentaryzację zawartości magazynu kambuza. Nie słyszała trwającej na mostku dyskusji, ponieważ kucharz kazał jej wracać do pracy i uważać, żeby nie pomyliła się w liczeniu. Trzydzieści osiem kilogramowych paczek mąki pszennej. Sześć półkilowych pudełek soli sodowej i cztery mieszanki sodowo-potasowej. Osiem...

– Hazel, zostaw to i słuchaj. – Ciemna twarz kucharza mocno zbladła. – Weź cztery awaryjne pakiety żywnościowe i pędź do Rdzenia 32. Galopem!

– Co... – Ale praktykanci nie zadawali pytań, zwłaszcza kiedy członek załogi tak wyglądał. Hazel chwyciła cztery pakiety awaryjne, a potem dorzuciła jeszcze dwa. Popędziła korytarzami najszybciej jak mogła, i kiedy skręciła, by wejść do Rdzenia, natknęła się na ojca, jeszcze bledszego od kucharza.

– Hazel, daj mi dwa... i idź do 32. Musimy cię tam zamknąć.

– Już wsadziłem tam twój kombinezon. Załóż go i czekaj tak długo, jak potrzeba.

Ponieważ dorastała jako dziecko kosmonauty, domyśliła się, o co chodzi.

– Piraci – powiedziała, próbując zachować spokój.

– Tak. No idź już. Ty i Stinky będziecie przytomni. Maluchy uśpiliśmy, będą w Rdzeniu 57 i 62. Aha, i pamiętaj: to milicja Nutex.

Hazel zeskoczyła w dół, lądując bez problemu w wyznaczonym miejscu. Trzydzieści dwa było czwartym pomieszczeniem od środka; znała geografię statku od wczesnego dzieciństwa.

Czekał na nią otwarty właz, więc wsunęła się do środka i rzuciła racje żywnościowe, po czym zamknęła właz i zablokowała go.

W kącie stał jej kombinezon wraz z zestawem dodatkowych zbiorników powietrza. Wbiła się w kombinezon i trzęsącymi palcami dociągnęła wszystkie blokady i zamki.

Chciała zgłosić przez komunikator, że jest bezpieczna, ale zrezygnowała z tego. Może piraci są już na pokładzie? Nikt nie powiedział jej, kiedy należy spodziewać się abordażu i kiedy będzie mogła wyjść. Jak długo ma czekać?

Nie mogła położyć się w kombinezonie, więc usiadła w rogu pomieszczenia, by w razie zaśnięcia nie upaść i nie narobić hałasu. Hełm zostawiła otwarty; nie było sensu marnować powietrza ze zbiorników, a przyłbica i tak zamknie się automatycznie, jeśli dojdzie do spadku ciśnienia. Spojrzała na zegarek kombinezonu i zapamiętała godzinę. „Czekaj tak długo, jak potrzeba”. Chciałaby wiedzieć, co to znaczy.

Żałowała, że nie siedzą ze Stinkym w tym samym pomieszczeniu, przynajmniej mogliby rozmawiać. W czasie wspólnej podróży zostali przyjaciółmi, a poza tym polubili nawzajem swoich rodziców i postanowili namówić jej ojca i jego matkę do wejścia w bliższy związek. Jak dotąd dorośli opierali się, ale oni nie tracili nadziei. Chyba wszyscy odczuwają taką samą potrzebę łączenia się w pary, jak ona i Stinky...

Kiedy tak siedziała w pustym pomieszczeniu, w końcu dotarło do niej, że najprostszym wyjściem z sytuacji byłoby związanie się ze Stinkym i pozostawienie rodziców w spokoju... ale nie była jeszcze na to gotowa. Jeszcze nie, później... Pozwoliła sobie na kilka cudownych minut marzeń o tym, co by było, gdyby razem ze Stinkym znaleźli się w tym samym pomieszczeniu, bez kombinezonów próżniowych i bez nadzoru dorosłych. Takie myśli czasem nachodziły ją mimo tego, że poddała się zabiegowi opóźniającemu dojrzewanie i choć miała szesnaście lat, wyglądała zaledwie na dziesięć czy jedenaście.

Skierowała swoje myśli na maleństwa zamknięte w innych pomieszczeniach. Tata powiedział, że zostały uśpione. Jak długo będą spać? Brandalyn zawsze rano budziła się pierwsza. Czy obudzi się też pierwsza z uśpiania? Czy umieścili ją w tym samym pomieszczeniu co siostrę? Stassi była spokojniejsza i bardzo przywiązana do starszej siostry. Dwa pozostałe maluchy, Paolo i Dris, były kuzynami.

Spojrzała na zegarek. Minęło dopiero piętnaście minut. Piraci mogli nawet jeszcze nie wejść na pokład. Może będzie musiała czekać całe godziny...

Kombinezon przekazał jakieś wibracje, których nie potrafiła zidentyfikować; wiedziała tylko, że różnią się od tych, które poznała przez wszystkie miesiące spędzone na statku. Jak długo piraci pozostaną na pokładzie, aby obrabować statek? Po zacumowaniu do stacji załadunkowej urządzenia mogły zapełnić lub opróżnić ładownię w siedem godzin i dwanaście minut, pod warunkiem, że nic się nie popsuło. Czy piraci będą chcieli opróżnić całą ładownię? Czy mają odpowiedni sprzęt?

Łatwiej byłoby porwać cały statek. Aż ją zmroziło, gdy o tym pomyślała. Jeśli to zrobią, jeśli przejmą cały statek... co się z nią stanie? Co się stanie ze Stinkym? I z maluchami?

* * *

Usłyszała gdzieś blisko hałasy. To muszą być piraci, bo nikt jeszcze nie otworzył jej pomieszczenia. Rozległy się odgłosy przesuwania, stukania... a potem krzyk, który ją zmroził. To na

pewno Brandy; wszyscy na statku żartowali, że jej krzyk może przebić stalową ścianę. Dziecko znów krzyknęło. Hazel podniosła się niezgrabnie i spróbowała odblokować właz. Musi ich powstrzymać, musi chronić dziecko. Ledwie zdążyła odblokować zamek, gdy właz otworzył się i chwyciło ją dwóch wielkich mężczyzn, po czym wyciągnęli ją z pomieszczenia. Widziała Brandy krzyczącą i kopiącą w objęciach mężczyzny, który próbował zakneblować jej usta kawałkiem szmaty. Stassi płakała, przytrzymywana przez innego pirata. Dwaj mali chłopcy trzymali się Stinky'ego, który był tak samo przerażony jak ona.

– Dziewczyna – powiedział jeden z mężczyzn. – Zboczeńcy.

– Krzyk Brandy ucichł; trzymający ją mężczyzna zdołał wcisnąć jej do ust knebel. – Weź ją – powiedział, wpychając dziecko w ramiona Hazel – i chodź z nami.

Przytuliła do siebie łkającą Brandy, próbując ją uspokoić. Stassi i Paolo przywarli do jej nóg, a Stinky wziął na ręce Drisa. Piraci popchnęli ją i wszyscy razem ruszyli w stronę mostka.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła na mostku, było ciało ojca w kałuży krwi. Omal nie upuściła Brandy, ale dziecko mocno jej się trzymało, obejmując ją nogami i rękami. Były i inne ciała – nawigatora Barisa, szefa ładowni Siga. Obok siedziała matka Stinky'ego, zakneblowana i związana, i rzucała wściekle spojrzenia.

Hazel zauważyła, że wszystkie kobiety z załogi żyją i leżą związane i zakneblowane. Kapitan Lund, przywiązany do fotela, siedział zwrócony w stronę wejścia na mostek. Wszyscy piraci byli uzbrojeni i ubrani w takie same mundury jak ci, którzy ją złapali.

Ich dowódca zwrócił się do kapitana Lunda.

– Okłamał nas pan, kapitanie. To nie było mądre. – Przeciągał samogłoski, akcentując słowa w taki sposób, jakiego Hazel jeszcze nigdy nie słyszała.

– Ja... chciałem ochronić dzieci.

– Bóg chroni dzieci, dając je tym, którzy wychowują je w prawości. – Dowódca uśmiechnął się, a jego uśmiech aż ją zmroził.

Kapitan Lund popatrzył na Hazel, potem na Stinky'ego.

– Przepraszam – powiedział, zanim dowódca piratów trzasnął go w głowę kolbą broni.

– Nie odzywaj się, starcze. Do naszych dzieci nie odzywa się nikt spoza rodziny. Pożałujesz, że nas okłamałeś... – Odwrócił się do swoich ludzi. – Do roboty. Sprawdźmy te pogańskie ładacznice, zobaczmy, czy któraś z nich jest warta zachodu.

* * *

Hazel leżała w pomieszczeniu pełniącym funkcję zapasowej kabiny pasażerskiej, próbując utulić równocześnie wszystkie maluchy. Dris wciąż spał, i nie wiedziała, czy to skutek działania środka usypiającego, czy uderzenia w głowę. Paolo cicho kwilił, a Stassi wsadziła do ust całą dłoń, ssąc ją energicznie. Brandy spała, pochrapując cicho przez knebel. Hazel chciała go wyjąć, ale bała się stojącego przy drzwiach mężczyzny z bronią. Bała się wszystkiego. Udawała, że się nie boi, ponieważ maluchy potrzebowały jej; była jedyną znaną im osobą, jedyną, przy której czuły się bezpieczne, jeśli to w ogóle było możliwe po tym, co przeszły.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Obolałe ciało, głód i strach były prawdziwe... ale czy prawdziwe było to wszystko, co widziała i zapamiętała? Kobiety, które były jej

ciotkami i opiekowały się nią od chwili śmierci jej matki... Nie wiedziała nawet, jakich słów użyć na to, co z nimi zrobili, zanim je w końcu zabili. I biedny kapitan Lund... Dobrze знаła tego łagodnego, uprzejmego człowieka... Wcisnęli mu w usta języki zabitych kobiet, a potem... a potem go zastrzelili.

Paolo zakwilił nieco głośniej i mężczyzna przy drzwiach zmarszczył brwi. Hazel pogłaskała chłopca po plecach.

– Spokojnie – wyszeptwała. – Ciii. – Nie chciała już o tym myśleć; będzie myśleć tylko o maluchach, które jej potrzebują.

* * *

– Zasady są takie – oznajmił pirat. Hazel siedziała na pokładzie z Brandy na kolanach i pozostałymi dziećmi przytulonymi do niej. – Popatrz na mnie – rozkazał. Wcześniej dostała w twarz za patrzenie na jednego z mężczyzn, więc teraz ze strachem podniosła wzrok, kurcząc ramiona. – Tak jest – stwierdził mężczyzna. – Będziesz patrzeć wtedy, kiedy ci powiem, i tam, gdzie każe.

Teraz słuchaj. Zasady są takie. Nie patrzysz nam w twarz, chyba że ktoś ci każe. Nic nie mówisz. Wolno ci szeptać do maluchów, jeśli musisz, ale tylko wtedy, kiedy nikt z nas nie mówi. Karmisz ich i pilnujesz czystości, utrzymujesz porządek w pokoju i robisz wszystko, co ci każemy. Żadnego gadania, kłócenia się... jeśli chcesz zachować język w gębie.

Pozostałe kobiety nie uwierzyły, przynajmniej na początku, i dlatego zginęły. Musi ocalić język, żeby móc uspokajać maluchy.

– I co teraz powiesz? – zapytał mężczyzna, nachylając się. Była zbyt przestraszona, żeby odpowiedzieć; przed chwilą kazał jej się nie odzywać. Chwycił ją za włosy i przechylił głowę do tyłu.

Jej oczy napęłniły się łzami. – Powiem ci, co masz mówić, dziewczyno. Nic. Kiwasz głową, kiedy do ciebie mówię ci, i nie odzywasz się. Kobiety mają nie odzywać się przy mężczyznach. Kobiety mają być posłuszne i ciche. Rozumiesz?

Przerażona, próbowała kiwnąć głową, ale mężczyzna nadal trzymał ją za włosy. Nagle puścił i głowa poleciała jej do przodu.

– Dobrze – powiedział. – Pochyl głowę z szacunkiem. – Wyprostował się i zrobił krok do tyłu; Hazel widziała teraz jego buty.

– A teraz do roboty, dziewczyno, umyj te bachory.

Potrzebowała dla nich ubrań i środków czystości. Chciała o tym powiedzieć... ale miała się nie odzywać.

– Jeden z nas przyniesie ci to, czego będziesz potrzebować – powiedział. – Jedzenie i wodę, jak długo będziesz posłuszna. Przyzwoite ubrania dla dzieci. Na tym pogańskim statku nie ma żadnych odpowiednich ubrań dla ciebie, będziesz musiała coś sobie zrobić. Pokażemy ci obrazki. Macie tu ubikację i zlew; będziesz w nim prała ubrania.

Ciekawiło ją, dlaczego, skoro pokładowa pralnia mogła po kilku minutach oddać najbrudniejsze rzeczy czyste, wysuszone i wyprasowane, ale nie zapytała.

Niedługo potem przyniesiono pakiety zjedzeniem, mleko w proszku do mieszania z wodą z kranu, koce i ręczniki, worek ubrań dla dzieci, mydło i szampon, szczotki i grzebień. A nawet kilka zabawek: dwie lalki, klocki i samochód. Hazel wręczyła każdemu z dzieci słodki batonik i zaczęła

grzebać w worku z ubraniami. Znalazła jasnobrązowy kombinezon Paola, koszulę Brandy i drugą Stassi oraz szary kombinezon Drisa. Ale nie było kombinezonów dziewczynek ani spodenek, które nosiły pod sukienkami.

Maluchy były tak brudne, że nie była w stanie stwierdzić, co jest brudem, a co siniakami. Gdy skończyły jeść słodycze, zagoniła je do łazienki i umyła. Potem ubrała je i porządnie złożyła resztę ubrań: po trzy zestawy dla każdego dziecka, ale niestety niekompletne. A dla niej... nie było niczego oprócz swetra z długimi rękawami, który tak naprawdę należał do Stinky'ego; był w jej kabinie, ponieważ parę dni wcześniej zamieniła się z nim na bluzę. Nie założyła go, bo nie miała niczego więcej... a nie chciała zakładać swetra na gołe ciało.

Ułożyła starannie ubrania w jednym rogu pomieszczenia, a jedzenie w drugim. Pozwoliła dzieciom podzielić się zabawkami.

Brandy jak zwykle zajęła się klockami, Stassi mocno przytuliła do siebie lalkę. Paolo zaczął podawać klocki Brandy, a Dris wsadził drugą lalkę do samochodu i woził japo pokoju.

Nagle właz otworzył się z hałasem; omal nie podniosła wzroku, ale opamiętała się na czas. Maluchy popatrzyły, ale szybko odwróciły wzrok w jej stronę.

– Czemu nie jesteś ubrana, dziewczyno?

Nie wiedziała, jak odpowiedzieć, skoro nie wolno jej się odzywać. Potrząsnęła głową i rozłożyła ręce.

Mężczyzna podszedł bliżej i rozgrzebał starannie ułożone ubrania, a potem rzucił jej sweter Stinky'ego.

– Załóż to, i to już.

Wciągnęła na siebie sweter.

– Zawiń się w koc. – Wzięła koc i niezdarnie owinęła się nim.

– Jak ma go na sobie utrzymać? Coś wyśladowało na podłodze przed nią. Była to mała torba z materiału. – To zestaw krawiecki; jeśli nie potrafisz szyc, lepiej się naucz. Zrób sobie coś przyzwoitego z prześcieradeł, co zasłoni ramiona i będzie sięgać aż do kostek.

– Nie zrób zbyt pełnej sukni. Tylko przyzwoite zamężne kobiety noszą pełne suknie. Dla dziewczynek też zrób sukienki i przyszyj je do koszul. – Mężczyzna podszedł do maluchów.

– Co to ma znaczyć? – Nie podniosła wzroku i nie odpowiedziała. – Słuchaj, dziewczyno, musisz te maluchy nauczyć, że dziewczynki bawią się z dziewczynkami, a chłopcy z chłopcami.

– Lalki są dla dziewczynek, dla chłopców są chłopięce zabawki.

– Masz trzymać dzieci osobno, słyszysz?

Ale Brandy i Paolo byli przyjaciółmi i bawili się razem od niemowlęctwa. Brandy zawsze wolała klocki i zabawki budowlane.

Hazel przykucnęła, przestraszona i równocześnie wściekła, gdy mężczyzna zniszczył kopniakiem wieżę Brandy i popchnął ją w stronę siostry.

– Ty masz lalkę. – Brandy wzięła lalkę, ale Hazel widziała w jej oczach gniew, który niemal przewyższał strach. Paolo, pozostawiony sam z rozrzuconymi klockami, podniósł jeden i wyciągnął w stronę Brandy. – Nie! – warknął mężczyzna. – Żadnych klocków dla dziewczyn. Klocki są dla chłopców. – Paolo wyglądał na zdziwionego, ale Brandy z wściekłości zapłakała. Mężczyzna niedbale popchnął ją na ścianę. – Zamknij się, gówniario.

Następne dni były, jeśli to w ogóle możliwe, jeszcze gorsze.

Maluchy nie potrafiły zrozumieć narzuconych im ograniczeń. Hazel w trudem utrzymywała je osobno, tak jak żądali napastnicy, pilnowała, by bawiły się „właściwymi” zabawkami, dbała o porządek w kabinie oraz o to, aby wszyscy wyglądali „przyzwoicie”.

Nie wiedziała, jak zrobić dla siebie i dziewczynek stroje, jakich wymagali piraci. Nigdy w życiu niczego nie szyła; widziała, jak Donya używa maszyny do szycia i tworzy dzieła sztuki, które sprzedawali na Corianie, ale ich ubrania pochodziły ze sklepów albo – w sytuacjach awaryjnych – z syntezatora. Trzeba było tylko wprowadzić wymiary i wybrać styl, po czym odbierało się gotowe ubranie. Nie miała pojęcia, jak zrobić z kawałka materiału rurowaty strój przypominający to, co widziała na pokazanym jej przez napastników zdjęciu.

Zresztą nie był to praktyczny strój. Wąskie rury na ramiona, długa rura na ciało od ramion aż do kostek... W czymś takim nie da się wygodnie siedzieć, chodzić, wspinać ani bawić, ale nie protestowała. Próbowwała znaleźć zastosowanie dla dziwnych przedmiotów znalezionych w zestawie krawieckim: niebezpiecznie ostrych małych kawałków metalu, kłębków cienkich nici, nożyczek i długiej taśmy z oznaczeniami w równych odstępach, nie odpowiadających żadnemu ze znanych jej systemów miar, oraz krótkiego kawałka metalu z ruchomą częścią, również podzielonego na równe kawałki.

Ręczne szycie było znacznie trudniejsze niż jej się wydawało, choć kiedy odkryła, że niewielki kawałek metalu w kształcie kubka pasuje na jej palec i chroni przed ukłuciami długiego ostrego metalu, przez który przechodzi nić, zaczęła lepiej sobie radzić. Mimo to materiał zdawał się żyć własnym życiem; przesuwiał się, gdy próbowała go przebić. W końcu wykonała długą prostą suknię, którą następnie przymocowała do dołu swojego swetra, i spódnice, które doszyła do koszulek dziewczynek. Nie znosiły ich i w czasie zabawy podciągały je do góry... ale jak się okazało, nie była to jedyna rzecz zabroniona dziewczynkom.

– Byłaś chowana między poganami – powiedział jeden z mężczyzn. – Ale teraz jesteś między przyzwoitymi ludźmi i musisz nauczyć się odpowiednio zachowywać. Kobiecie nie wolno pokazywać się mężczyznom; te dziewczynki muszą przez cały czas przyzwoicie zakrywać swoje ciało.

W takim razie czemu, miała ochotę krzyknąć Hazel, nie pozwolicie nam nosić bielizny? I długich spodni? I jak możecie nazywać bawiącego się na podłodze bobasa kobietą? Ale nic nie powiedziała, tylko potrząsnęła głową. Musi chronić maluchy, będąc z nimi, śpiewając im na dobranoc, uspokajając je mruzeniem, które z dnia na dzień było coraz cichsze.

Nie miała pojęcia, ile czasu minęło, odkąd codziennie odwiedzający ją mężczyzna po raz pierwszy zabrał chłopców z pokoju.

Z początku Paolo i Dris nie chcieli iść... ale mężczyzna po prostu podniósł ich i wyniósł. Hazel była przerażona; co oni zrobią z chłopcami? Ale zanim skończyła karmić dziewczynki, chłopcy wrócili, uśmiechając się od ucha do ucha. Obaj trzymali w ręce nowe zabawki: Paolo statek kosmiczny, a Dris zestaw kolorowych koralików.

– Bawiliśmy się – powiedział Dris, a Hazel natychmiast zaczęła go uciszać.

– Możemy mówić – odezwał się Paolo. – Oni tak powiedzieli. Chłopcy mogą mówić, ile chcą. Tylko dziewczyny muszą być cicho.

– Daj mi to! – krzyknęła Brandy.

– Nie – odpowiedział Paolo, i nie zwracając uwagi na łzy dziewczynki, dodał: – To moje. Dziewczyny nie mogą bawić się zabawkami chłopców.

Odtąd dzień po dniu chłopców odzwyczajano od dziewczynek, zabierając ich z pokoju. Wracali pełni entuzjazmu: mogli biegać po korytarzach, wolno im było bawić się w sali gimnastycznej i używać komputera w sali lekcyjnej. Mężczyźni dawali im lepsze jedzenie i dobrze ich traktowali. Uczyli ich, czytali im książki o chłopcach, zwierzętach i różnych ekscytujących rzeczach. Po jakimś czasie chłopcy znikali codziennie na całe godziny, a wracali do pokoju tylko na kąpiel i spanie. Hazel pozostawiono dziewczynki, lalki i nie kończące się szycie.

– Naucz te maluchy szycia – powiedziano jej. – Są już wystarczająco duże.

Ale dziewczynki nie chciały się uczyć, wołały książki, video, komputery, bieganie i zabawę. Hazel nie miała odwagi, aby o to poprosić; nie odważyła się nawet opowiadać im bajek, ponieważ w pokoju mógł być podsłuch. Ostrzeżono ją, żeby nie mówiła więcej niż to konieczne... dlatego wiedziała bez pytania, że opowiadanie bajek byłoby złamaniem zasad.

Dni płynęły bardzo powoli. Stassi, choć młodsza, lepiej radziła sobie z igłą i nitką niż Brandy. Jej szwy były nierówne, ale przynajmniej biegły w jednej linii. Brandy, z natury bardziej aktywna, wierciła się i marudziła, jej nitka ciągle się supłała. – Nie mogła uwolnić swojej energii – miały niewiele przestrzeni, a ponadto ograniczały je długie sukienki – więc była nieustannie sfrustrowana, często płakała i przynajmniej raz dziennie dostawała napadów furii.

Hazel także chętnie wykrzyczałaby swoje napięcie, ale troska o dzieci powstrzymywała ją przed wybuchem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Brun Meager z chęcią zamieniła grupę ochroniarzy z Sił Królewskich na dziesięciu milicjantów z Sirialis. Niektórych z nich znała od lat, i choć najchętniej podróżowałyby samotnie, taki układ był zdecydowanie lepszy. Odwiedziła biuro Allsystems Leasing i wybrała na następny etap podróży przestronny prywatny jacht.

I tak nie zyskała szacunku Floty, więc nie ma sensu cierpieć niewygodę. Wybrała najdroższy pakiet żywnościowy i rozrywkowy i zapłaciła dodatkowo za przyspieszony załadunek i odprawę, aby jak najszybciej wyruszyć w drogę. Allsystems sprawdziło licencje Brun i ludzi, którzy mieli pełnić funkcje jej załogi, i w niecałe 24 godziny wystartowała ze stacji, kierując się ku pierwszemu celowi. Od tej pory aż do dnia otwarcia sezonu polowań na Sirialis będzie wolna od wszelkich harmonogramów, poza tymi, które sama sobie ustali.

Któregoś dnia postanowiła sprawdzić sytuację swoich holdingów w ramach konsorcjum Boros. Ojciec byłby zadowolony z jej dojrzałej postawy, której, jak twierdził, wcale dotąd nie wykazywała.

Po spędzeniu dwóch dni na przeglądaniu z księgowymi z Podj kolumn liczb, co uważała za ciężką pracę, postanowiła ominąć Corian, gdzie na pewno spotkałaby wielu reporterów, jako że był to węzeł komunikacyjny, i polecieć wprost do Bezaire. Wyznaczyła kurs, obliczyła czas przelotu... i skrzywiła się. Jeśli polecą do Bezaire którąś ze standardowych bezpiecznych tras, nie będzie miała czasu wstąpić do Rotterdamu przed rozpoczęciem sezonu łowieckiego na Sirialis. A ona chciała odwiedzić Lady Cecelię i przedyskutować z tą lubiącą przygody damą sprawy, o których nie mogła powiedzieć swoim rodzicom.

Jeszcze raz przyjrzała się katalogom nawigacyjnym. Trasa oznaczona jako ryzykowna pozwoliłaby jej oszczędzić pięć dni, ale to było za mało. Może latający w tych okolicach piloci Boros znają jakiś skrót... Przywołała na wyświetlacz czasy ich przelotów. Teoretycznie wszyscy latali wyłącznie bezpiecznymi trasami... ale czasy przelotu z Coriane do Bezaire były nieprawdopodobnie krótkie. Muszą zatem znać jakiś skrót; teraz była już pewna. Pytanie tylko, kto mógłby ją w to wtajemniczyć?

Pięknej i bogatej córce lorda Thornbuckle'a, będącej w dodatku udziałowcem konsorcjum, nie tak trudno było dowiedzieć się o systemie z dwoma punktami skokowymi, które od pięćdziesięciu lat zachowywały stabilne położenie. Flota ostrzegała przed układami z dwoma punktami skokowymi, ale Flota zawsze ostrzegała przed wszystkim. Brun uśmiechała się do siebie, wykreślając skok z Podj do pierwszego z punktów układu. Wejście pojazdu o tak niewielkiej masie z małą prędkością będzie przyjemne, a ona będzie całkowicie bezpieczna i zyska mnóstwo czasu na odwiedzenie Lady Cecelii.

* * *

Jester wynurzył się z pierwszego punktu skokowego i ekran skanu oczyścił się. Brun sprawdziła punkty odniesienia i uśmiechnęła się. Drugi punkt był dokładnie tam, gdzie powinien. To będzie łatwe przejście. Kusilo ją, żeby polecieć wprost do niego – w układzie nie powinno być nikogo innego – ale na wszelki wypadek sprawdziła ekran w poszukiwaniu nadajników.

Zobaczyła cztery. Cztery? Wywołała identyfikację. Komputer rozpoznał *Elias Madero*, statek, który powinien był odlecieć z układu dziesięć dni wcześniej, i trzy statki zarejestrowane poza Familiami.

– Musimy natychmiast wyskoczyć! – oświadczył Barrican, wpatrując się w monitor skanu.

– Nie zauważą nas jeszcze przez kilka minut – stwierdziła Brun.

– Cokolwiek tam się dzieje, możemy sprawdzić i...

– Ale my też mamy opóźnienie skanu – odpowiedział – i oni wcale nie są tam, gdzie nam się wydaje, a na dodatek mają kłopoty.

– Sama widzę – oświadczyła Brun. – Ale jeśli mamy im pomóc, musimy wiedzieć, kto to jest i co się tam dzieje.

– Nikomu nie pomożemy, jeśli nas rozwałą – stwierdził Calvaro, który tymczasem podszedł do niej od tyłu. – Nasz statek nie ma uzbrojenia i nie wiemy, kim oni są; mogą nas dogonić.

– Jesteśmy małą jednostką – zauważyła Brun. – Nawet nas nie dostrzegą. Jesteśmy jak pchła na słońcu.

– Milady...

To przesądziło sprawę. Ludzie ojca, chroniący jego córkę, myślą że ona pewnie zemdleje na widok krwi. Kiedy jej ojciec wreszcie zda sobie sprawę, że jest już dorosła, że potrafi...

– Podkradniemy się bliżej – powiedziała – i popatrzymy. Tylko popatrzymy. Potem będziemy mogli skoczyć i powiedzieć Flocie, co się stało.

– To niemądre, milady – zaprotestował Calvaro. – Co będzie, jeśli...

– Jeśli są piratami, nie będą zawracać sobie głowy takim małym statkiem. – To na pewno nie są statki *Benignity*; widziała już ich jednostki na skanerach. I nie jest to *Krwawa Horda*, która znajduje się po drugiej stronie przestrzeni *Familii* i prawdopodobnie wciąż liże rany po historii z *Koskiusko*. To zwykli kryminaliści, a tacy wybierają duży, łatwy zysk... i nie gonią małego jachtu z kilkoma nie znaczącymi pasażerami.

– Gdybyśmy teraz wyskoczyli, moglibyśmy w ciągu kilku godzin znaleźć się z powrotem w zasięgu ansibla *Corian*...

– I nie mielibyśmy wiele do powiedzenia. Nie, musimy zarejestrować trochę danych, przynajmniej sygnały identyfikacyjne nadajników tamtych statków. – Uśmiechnęła się i stwierdziła, że miało to taki sam jak zwykle skutek. Pracownicy ojca byli w jej dłoniach jak plastelina już od czasu, kiedy udało jej się przekonać głównego kucharza, żeby dał jej wszystkie eklery czekoladowe, jakie zmieści w ustach. I wcale po tym nie zachorowała, co tylko dowiodło, że dorośli są zdecydowanie zbyt ostrożni.

Podejście bliżej z silnikiem układowym lekko popychającym ich tylko po kursie było dziecinnie proste. Brun przespała się tylko trochę, gdyż obawiała się, że ktoś z załogi może poradzić sobie z blokadą, którą założyła na komputer nawigacyjny, żeby nie mogli skoczyć. Próbowali – widać to było po ich minach wyrażających poczucie winy i niezadowolenie – ale ona zastosowała sztuczkę poznaną w *Copper Mountain* i nie udało im się.

W tym czasie opóźnienie skanu spadło do minuty. Jeden z tajemniczych statków był przyczepiony do statku kupieckiego, drugi znajdował się w odległości ćwierci sekundy. A trzeci... Brun wciągnęła powietrze. Trzeci poruszał się... po kursie przechwytyjącym.

Nie mogli zobaczyć *Jestera*, był na to zbyt mały. Mogli natomiast zauważyć zaburzenia w pobliżu punktu skokowego i to, że później jacht poleciał prostym kursem, który łatwo można było ekstrapolować.

Powinam była zmienić kurs, pomyślała, ale gdzieś w głębi umysłu dokuczliwy głos mówił jej,

że należało zrobić to, co sugerował Barrican, czyli natychmiast odlecieć. Wtedy piraci nie mieli szansy złapania ich, ale teraz, jeśli mają skanery klasy wojskowej... Szybko odrzuciła tę myśl. Mogą teraz skoczyć; w pobliżu nie ma wystarczająco dużych mas. Nie miała pojęcia, gdzie mogliby wylądować, skacząc tak daleko od zmapowanych punktów, ale najlepiej było właśnie tak zrobić.

Przygotowała komendy i wcisnęła klawisz. Włączyło się czerwone światło ostrzegawcze i słodki głos z konsoli poinformował ją:

– Brak zmapowanych punktów skokowych; odmowa wykonania skoku. Brak zmapowanych punktów skokowych...

Brun poczuła, jak krew napływa jej do twarzy, gdy ustawiała wyłącznik w zwykłym położeniu. To był wynajęty jacht, ze standardowym oprogramowaniem nawigacyjnym. Nie pomyślała o wbudowanych zabezpieczeniach, których teraz nie miała czasu obchodzić. Oczywiście, Allsystems Leasing w ten sposób chronił swoje jednostki przed popełnianiem przez niedoświadczonych pilotów pomyłek.

Spojrzała na układy sterowania. Napęd jachtu, standardowy dla tego modelu, powinien pozwolić im uciec przed wszystkimi jednostkami, oprócz najszybszych jednostek Floty, ale tylko wtedy, gdy wykorzysta jego pełną moc i wyjdzie poza bezpieczny zakres. Zauważyła, że wartości na panelu sterującym kończą się sporo poniżej tego, co według niej stanowiło maksymalne przyspieszenie. Ale nie miała innego wyjścia.

– Milady... – powiedział cicho Barrican.

– Tak?

– Mimo wszystko mogli nas nie zauważyć. Jeśli pani niczego nie zrobi, może nas ominą.

– A jeśli nie, będziemy łatwym celem – zaprotestowała Brun.

– Mają nasz kurs; nawet przedszkolak potrafiłby ekstrapolować nasze położenie.

– Ale jeśli będziemy sprawiać wrażenie nieświadomych ich obecności, mogą uznać, że jesteśmy niegroźni. Jeżeli cokolwiek pani zrobi, będą wiedzieli, że zostali zauważeni.

Któregoś dnia wpakujesz się w coś i nie pomoże ci, że jesteś inteligentna, ładna i masz szczęście, powiedział jej Sam. Myślała, że ten dzień jest jeszcze bardzo odległy, a tu proszę...

– Nie mamy praktycznie żadnej broni – powiedział cicho Barrican, choć nie było takiej potrzeby – więc naszą jedyną nadzieją jest ucieczka i dostanie się w zasięg tego punktu skokowego, chyba że faktycznie nas zignorują, ale jakoś nie wydaje mi się, żeby tak było.

Na skanerze ekstrapolowany kurs statku zakreślił i zrównał się z nimi. Następna jednostka ruszyła, i zrobiła to w błyskawiczny sposób, typowy dla okrętu wojennego, który mógł skakać wewnątrz układu.

– Nie uciekniemy – powiedziała przez zęby Brun. – Jest ich dwóch.

Po prostu lećmy dalej tak, jakbyśmy w ogóle nie mieli skanu – rzekł Barrican.

To dobra rada, ale *Jester* sunął znacznie wolniej niż powinien, a nieznanne statki coraz bardziej się zbliżały. Jakie mają skanery?

Koutsoudas był w stanie wykryć aktywność na pokładzie innych jednostek; ciekawe, czy oni też? Czy uwierzą, że mały statek na prostym, powolnym kursie od jednego punktu skokowego do drugiego niczego nie zauważył?

Sekundy przechodziły w minuty, minuty w godziny. Dużo wcześniej Brun wyłączyła aktywny skan; na pasywnym widać było stale w tym samym miejscu *Elias Madero* z jednym nieznanym i

dwa pozostałe statki na flankach *Jestera*. Zbliżali się do drugiego punktu skokowego. Jeśli przelecą i nie zostaną zatrzymani, czy będzie to znaczyło, że mogą spokojnie odlecieć?

* * *

Nie było żadnej logicznej alternatywy. Zawsze można wybrać pewną śmierć... jednak jest to zdumiewająco trudne. A więc to właśnie spotkało Barina... O tym mówili instruktorzy... Brun wróciła myślami do chwili obecnej. Jacht miał urządzenie do samozniszczenia; mogłaby go wysadzić w powietrze razem z lojalnymi ludźmi ojca. Albo mogła zmusić napastników do wtargnięcia do środka i nie zakładać kombinezonu próżniowego; to załatwiłoby sprawę... Spojrzała na twarze otaczających ją ludzi, którzy właśnie mieli zginąć za nią lub z nią.

– Myliłam się – powiedziała. – To niewielka pociecha, ale mieliście rację, a ja się myliłam. Powinniśmy byli natychmiast stąd. – odlecieć.

– To bez znaczenia, milady – powiedział Calvaro. – Zrobimy, co będziemy mogli.

Czyli nic. Mogli zginąć, broniąc jej... albo zginąć bez walki; nie wierzyła, żeby napastnicy mieli ich oszczędzić.

– Myślę, że powinniśmy się poddać – powiedziała. – Może...

– To nie jest dobra opcja, milady – oznajmił Calvaro. – Przysięgaliśmy twojemu ojcu bronić cię. Idź do swojej kabiny, milady.

Nie chciała. Wiedziała, co będzie dalej. Bała się nie śmierci, ale postawienia tych ludzi w sytuacji, w której będą musieli zginąć – w której zginą – w beznadziejnej próbie bronienia jej. Chciała powiedzieć, że nie jest tego warta... ale wiedziała, że nie wolno jej się do tego przyznać. Nie może pozbawić ich honoru. Wypowiedziała na głos ich nazwiska: Giles Barrican, Hubert Calvaro, Savoy Ardenil, Basil i Seren Verenci, Kaspar i Klara Pronoth, Pirs Slavus, Netenya Biagrin, Charan Devois. Nie potrafiła im dać niczego więcej poza nazwaniem ich, pokazaniem, że ich wszystkich zna. Potem posłała im ostatni uśmiech i pokornie poszła do swojej kabiny, tak jak chcieli. To nic nie da, w końcu i tak zginie, ale... nie będą musieli oglądać jej martwej lub schwytanej. Zginą, pamiętając ten uśmiech, o ile ma to dla nich jakąkolwiek wartość... bo nie wiedziała nawet, czy wierzą w jakieś życie pozagrobowe. Zapisała ich nazwiska na kawałkach papieru i powcisnęła je w różne miejsca, w nadziei, że piraci ich nie znajdą. Zasługiwali na więcej, ale teraz tylko tyle mogła zrobić.

Kiedy włąz do kabiny ustąpił, powitała intruzów bronią; pierwszy, który próbował wejść, padł w drgawkach. Ale potem wrzucili do środka małą kulę, która wybuchła, wyrzucając chmurę igieł... i Brun wylądowała na ziemi, czując na całym ciele lekkie ukłucia.

Kiedy obudziła się, poczuła, że wciśnięto jej w usta kłębek materiału. Knebel jak ze starożytnej historii, pomyślała. To niedorzeczne. Zamrugła i wbiła wzrok w stojących nad nią mężczyzn. Byli w kombinezonach próżniowych, z hełmami odrzuconymi na plecy. Ciało wciąż miała ociężałe i bezwładne, ale mogła już poruszać nogami. Mężczyźni rozmawiali między sobą z tak silnym akcentem, że prawie niczego nie rozumiała. Kiedy sięgnęli po nią, próbowała się opierać, ale lek wciąż działał. Postawili ją na nogi, a potem wyciągnęli przez właz na główny korytarz jachtu. Tam przeszli nad ciałami jej obrońców i ruszyli przez rurę, którą połączyli jacht ze swoim statkiem.

Na statku wcisnęli ją w fotel, przywiązali pasami i odeszli. Brun czuła, jak najpierw ramiona, a potem nogi zaczynają ją swędzieć, a później mrowić. A więc środek przestaje działać. Nie miała pojęcia, jak mogłaby się uwolnić, wiedziała za to, że jej pierwszym obowiązkiem jest pozostać przy

życiu.

Z rury wyszło jeszcze kilku mężczyzn. Ciekawe, czy to wszyscy? Czy ktoś został na pokładzie jachtu, a jeśli tak, to po co?

Usłyszała, że zamykają zewnętrzny właz, i poczuła ból uszu.

A więc musieli odczepić jacht. Ktoś go znajdzie. Kiedyś. Jeśli przyleci tu następny statek Boros i w ogóle zauważy tę kupkę kosmicznego śmiecia...

Statek przez chwilę zadygotał; czyżby to był skok? W śluzie cały czas byli z nią trzej mężczyźni. Teraz zabrali się do pracy.

Brun przechyliła głowę, próbując coś zobaczyć. Znow zaboląły ją uszy. Coś zadźwięczało jak kamerton uderzający o beton, a potem wszystko ucichło. Sądząc po odgłosach, mężczyźni otworzyli zewnętrzny właz. Do środka wtargnęło zimne powietrze.

Usłyszała głosy z innego statku... i mężczyźni wyszli.

Po chwili pojawił się jeden z tych, którzy ją tu sprowadzili. Tym razem zamiast kombinezonu miał na sobie jasnobrązowy mundur.

Odwiązał Brun i poderwał ją z fotela. W śluzie pojawiło się trzech kolejnych mężczyzn. Chociaż straciła nadzieję na uwolnienie, próbowała się oswobodzić, ale środek wciąż działał, mięśnie odmawiały posłuszeństwa... Cóż, jeśli nie może walczyć, przynajmniej może obserwować. Jasnobrązowe mundury, ciasne koszule nad nieco luźniejszymi spodniami, wysokie buty z brązowej skóry... Na kołnierzach pięcioramiennie gwiazdy wewnątrz okręgu.

Gdy prowadzili ją przez śluzę, zobaczyła na kadłubie statku logo konsorcjum Boros. A więc to musi być *Elias Madero*. Mężczyźni popchnęli ją korytarzem – wystarczająco szerokim, aby zmieścić się niewielki zrobotyzowany podajnik – i gdy minęli włazy oznaczone symbolami, które powinna była rozpoznać, kambuz z szumiącym programowalnym procesorem żywności i salę gimnastyczną, znaleźli się na mostku, który natychmiast przypominał jej mostek, na którym złamała nos drugiego mata.

Ale mężczyzna na mostku nie był kapitanem statku kupieckiego.

Musiał być dowódcą. Miał taki sam mundur jak pozostali, ale gwiazda na jego kołnierzu była większa i złota, a nie srebrna. Brun rzuciła mu wyzywające spojrzenie, a on przeniósł wzrok na jej eskortę.

– Macie papiery? – Miał taki sam akcent jak pozostali.

– Tak. – Jeden z mężczyzn podszedł z jej dokumentami. – To ona, zgadza się. Sprawdziliśmy skany siatkówki.

Dobrze się spisaliście, chłopaki. – Dowódca rzucił wzrokiem na jej dokumenty, potem na nią. – Ani odrobiny przyzwoitości, ale czego można spodziewać się po kimś takim? – Pozostali roześmiali się. Brun spróbowała wypluć knebel; doskonale wiedziała, co chciałaby powiedzieć temu... tej kreaturze. Dowódca podszedł bliżej. – Jesteś córką tak zwanego Pierwszego Mówcy. Przywykłaś do tego, że wszystko jest tak, jak ty chcesz, tak samo jak twój tatuś. No cóż, ale wszystko ma swój koniec. – Odczekał chwilę, po czym kontynuował. – Pewnie myślisz, że tatuś wydobędzie cię z tego, tak samo jak wyciągał cię z innych kłopotów.

Może spodziewasz się, że przyśle tę waszą Zawodową Służbę Kosmiczną, żeby cię uratować. Ale tak nie będzie. Nie chcemy pieniędzy twojego tatusia. Nie boimy się jego władzy. Nie znajdą cię. Nikt cię nie znajdzie. Teraz jesteś nasza.

Wyszczерzył zęby, a pozostali zachichotali.

– Twój tatuś i Rada Familii myślą, że wolno im ustalać prawa dla wszystkich, ale wcale tak nie jest. Myślą, że mają prawo ustanawiać podatki i opłaty na wszystko, co przechodzi przez ich terytorium, ale wcale nie mają. Wolni ludzie nie muszą zważać na to, co mówią dewianci i kobiety. Bóg nie taki stworzył wszechświat. Jesteśmy wolnymi ludźmi, a nasze prawa pochodzą od przekazanych nam przez proroków słów Boga.

Brun chciała wrzasnąć: Zniszczą cię! ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Zamiast tego pomyślała: Nie możecie tego zrobić, nie ujdzie wam to na sucho. Będą mnie szukać i rozwalą was na kawałki.

Kiedy odwróciła twarz od mężczyzny, chwycił ją obiema rękami za uszy i zmusił do spojrzenia na siebie.

– Oczywiście twój tatuś może próbować cię uratować, ale jak się dowie, że cię mamy, może zdobędzie się na dość rozsądku i da nam spokój, żeby nie zobaczyć swojej ukochanej córeczki w kawałkach. Nie dostanie cię z powrotem. Nikt cię nie dostanie.

Twoje życie zmieniło się raz na zawsze. Będiesz posłuszna, gdyż prorocy powiedzieli, że kobiety powinny być posłuszne, a im szybciej wejdiesz na tę drogę, tym będzie ci łatwiej.

Nigdy. Mówiła to oczami, każdą komórką swego ciała. W tej chwili nie może niczego zrobić, ale to nie będzie trwało wiecznie. Uwolni się, ponieważ ma szczęście i umiejętności, o których oni nie mają pojęcia.

Ale mimo to narastał w niej strach. Któregoś dnia, powiedział Sam, a Esmay powtórzyła, skończy się twoje szczęście. Któregoś dnia będziesz bezradna. I co wtedy zrobisz?

Słowa, którymi wtedy w nich rzuciła, w obecności tych mężczyzn brzmiały słabo. Ale ona mówiła poważnie; nie podda się, nie zrezygnuje. Jest Charlottą Brunhildą... a to są imiona królowych i wojowniczek.

Mężczyzna przesunął dłonie na jej kark.

– Jeszcze mi nie wierzysz. To nie szkodzi, to nie ma znaczenia. – Zacisnął mocniej palce. Teraz zachowa się jak typowy bandyta, pomyślała Brun. Będzie chciał zedrzyć z niej ubranie, ale czeka go niespodzianka; w końcu wydała sporo pieniędzy na ten specjalnie szyty dla niej kombinezon ochronny. Ale on nie próbował zerwać z niej kombinezonu, tylko przesunął palcami po jej karku, macając materiał.

– Będziemy potrzebować czegoś do cięcia, chłopcy. – No cóż, typowy mężczyzna, ale widocznie ma trochę rozumu.

Nóż podany mu przez któregoś z mężczyzn nadawałby się raczej do wypatroszenia słonia. Chciał zrobić na niej wrażenie – niektórym wydaje się, że im coś jest większe, tym lepsze – ale ona już widywała tak wielkie ostrza.

– Pierwsza sprawa – powiedział mężczyzna, wsuwając czubek długiego ostrza w otwór na szyję. – Kobiety nie noszą męskiej odzieży. – Męska odzież! Jak ktokolwiek może nazwać zaprojektowany dla niej strój ubraniami dla mężczyzny? Z tymi zaszewkami nie pasowałyby na żadnego mężczyznę, jakiego kiedykolwiek widziała.

– Kobiety noszące męską odzież uzurpują sobie władzę mężczyzn. Nie zgadzamy się na to. – Pociągnął ostrzem w dół i przeciął kombinezon od szyi aż do krocza. Równie dobrze mógłby pociągnąć za suwak, ale on wolał to zrobić w tak dramatyczny sposób, niszcząc drogi kombinezon.

Kobietom nie wolno nosić spodni – powiedział. Brun zamrugła. Co miały z tym wspólnego spodnie? Wszyscy nosili spodnie, gdyż przy wykonywaniu pewnych prac było w nich wygodniej. Ale to pewnie tylko wymówka, żeby zerwać z niej ubranie. Mężczyzna wsunął czubek noża w dolny koniec rozdarcia i rozciął jedną nogawkę kombinezonu. Brun nie zareagowała. – Kobietom nie wolno nosić butów mężczyzn. – Na znak dowódcy dwóch mężczyzn chwyciło ją za nogi i zaczęło ściągać jej buty.

Były robione na zamówienie, a na dodatek były to kobiece buty, a nie męskie.

Następnie dowódca dał kolejny znak i ktoś z tyłu ściągnął z niej rozcięte części kombinezonu. Spodziewała się tego. Uniosła wysoko podbródek. Dobrze się przyjrzyj, pomyślała. Zapłacisz za to później. Ale w spojrzeniu dowódcy nie było pożądania. Wpatrywał się w jej brzuch, w logo Zarejestrowanego Embrionu z wdrukowanymi informacjami genetycznymi.

– Obrzydlistwo... – wyszeptał jeden z mężczyzn. – Konstrukt...

– Wyciągnął nóż, ale dowódca zatrzymał go w chwili, gdy Brun była już pewna, że zostanie zarżnięta.

– To prawda, że nikt z Wiernych nie może wtrącać się w boży plan wobec dzieci, ale ta kobieta jest ofiarą takiej ingerencji, dlatego nie odpowiada za to, co jej zrobiono. – Brun rozluźniła się, choć nawet nie zauważyła, kiedy jej mięśnie napięły się. Mężczyzna nachylał się nad nią, wpatrując się w znak, a potem potarł go palcem. Brun pomyślała o uderzeniu go kolanem w twarz, ale wciąż było ich zbyt wielu. Będzie musiała z tym poczekać.

– Nie podoba mi się to – powiedział inny mężczyzna. – Nie wiadomo, co za perwersje w niej wyhodowali...

– Żadna z nich nie przetrwa naszego szkolenia – oświadczył dowódca. – Ale ta jest silna i dobrze wyrosnięta. Zgodnie z raportami, nosi geny inteligencji i dobrego zdrowia. Byłoby marnotrawstwem nie skorzystać z tego.

– Ale...

– Nie będzie dla nas zagrożeniem. – Spojrzał w twarz Brun. – Wciąż myślisz, że zostaniesz uratowana, że wrócisz do swoich ohydztw i perwersji. Jeszcze nie wierzysz, że twoje dawne życie dobiegło końca. Ale wkrótce to zrozumiesz. Właśnie wypowiedziałaś swoje ostatnie słowa.

Co to znaczy? Czy jednak zamierzają ją zabić? Brun popatrzyła na niego wyzywająco.

– Zostaniesz użyta tak, jak na to zasługujesz... a jako niemaródka nie będziesz żadnym zagrożeniem, cokolwiek by się działo.

Brun wreszcie zrozumiała, co on mówi. Niema? Czy on... czy oni zamierzają wyciąć jej język? Tylko barbarzyńcy robią takie rzeczy.

Roześmiał się, widząc jej minę.

– Widzę, że rozumiałaś. Nie jesteś do tego przyzwyczajona nie móc płakać, błagać i naciągać na wszystko swojego słabego ojca... albo mężczyzn, z którymi się puszczałaś. Ale teraz to koniec. Nie zabrzmi więcej głos poganina; pozbawimy języków wszystkich tych, którzy nie znają Boga. Bo jak mówią święte słowa, kobiety mają zachować milczenie wobec mężczyzn, darzyć ich szacunkiem i być ich poddanymi. Urodziłaś się w grzechu i pogaństwie, ale odtąd będziesz żyć w służbie Boga Wszechmogącego. Kiedy przyjdzie czas, zaśniesz, a gdy się obudzisz, nie będziesz już miała głosu.

Wbrew swojej woli Brun zadygotała. Mężczyźni wybuchnęli głośnym, pewnym siebie śmiechem. Brun z nienawiścią pomyślała o łzach wypełniających jej oczy i spływających po twarzy.

– Teraz cię zamkniemy, żebyś miała czas o tym pomyśleć.

Żebyś wiedziała, co cię czeka, i rozumiała... że nie masz żadnej władzy i żaden mężczyzna cię nie posłucha. Zostaniesz uciszona, ladacznico, i będziesz milczeć tak, jak powinny milczeć kobiety.

To nie może naprawdę się dzieć. To nie mogło zdarzyć się jej, córce Mówcy Wielkiej Rady. Młodej kobiecie, która wspinała się na skały, zdobywała nagrody za celne strzelanie, polowała z psami, kobiecie, która zawsze robiła to, co chciała i z kim chciała. Takie rzeczy działy się tylko w nudnych podręcznikach historii, w dawno minionych czasach i odległych miejscach. Z wielkim zawstydzeniem zdała sobie sprawę, że jej przerażenie widać w jej oczach, łzach i drzeniu ciała.

– Zabierzcie ją i dobrze zwiążcie. I podłączcie kroplówkę. Na razie tylko sól fizjologiczną.

Na razie. Nie wiadomo, na jak długo. Nagle uwierzyła, że to jest rzeczywiste, że to naprawdę się dzieje... Nie, to niemożliwe!

Mężczyźni ciągnęli ją za sobą, a jej bosc stopy podskakiwały na nierównościach, przed którymi przedtem chroniły ją buty. Było jej zimno z nagłego lęku, którego nigdy nie rozumiała, gdy oglądała kostki lub czytała książki w bibliotece ojca.

W kabinie mężczyźni położyli ją na koi i ignorując jej opór, unieruchomili ręce i nogi. Próbowwała błagać ich oczami: poluzujcie knebel choć na minutę, proszę, proszę, proszę. Śmiali się, pewni siebie i rozbawieni. Potem przyszedł jeszcze jeden mężczyzna z jakąś torbą i... brutalnie wbił w jej ramię igłę z kroplówką, a na haku w górze zawiesił torbę z solą fizjologiczną.

– Kiedy będziemy gotowi – powiedział jeden z nich – uspimy cię. – I wyszczerzył zęby. – Witaj w prawdziwym świecie.

Nienawidziła ich; skręcała się z wściekłości.

Teraz zaśnie... a kiedy się obudzi, okaże się, że to wszystko było snem, tylko przerażającym snem. Opowie o wszystkim Esmay i przeprosi ją za to, że śmiała się z niej. Ona...

Obudziła się i z wielkim wysiłkiem przebiła się do świadomości. W ustach nie miała już knebla... i czuła język, który był zbyt wielki i drapał ją w podniebienie. A więc nie zrobili tego. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Przełknęła ślinę. Gardło bolało ją. Rozejrzała się ostrożnie wokół. Wciąż była przywiązana do koi i miała wbitą w ramię kroplówkę, ale nikogo tu nie było. Wciągnęła z ulgą powietrze...

I zamarła z przerażenia. Żadnego dźwięku. Spróbowała jeszcze raz. I jeszcze. Żadnych dźwięków oprócz przepływu powietrza w gardle, które teraz już mocno ją bolało. Spróbowała szeptać, ale zdała sobie sprawę, że może tylko syczeć i cmokać (choć poruszanie językiem nasilało ból w gardle), że jej głosu nie słyhać nawet w małym pokoju.

Niemal natychmiast otworzyły się drzwi i wszedł mężczyzna, który podłączył jej kroplówkę.

– Musisz się napić – powiedział i podsunął jej do ust słomkę.

– Wypij to.

Napój był zimny i miętowy. Mogła przełykać... ale nie mogła mówić. Po kilku pierwszych łykach ból gardła osłabł.

– Wiesz już, co zrobiliśmy – powiedział mężczyzna. – Przecięliśmy struny głosowe i niektóre mięśnie. Zostawiliśmy ci język, więc możesz normalnie jeść i przełykać. Ale nie możesz wypowiadać żadnych słów. Zrobiliśmy to tak, żeby nigdy nie mogło odrosnąć.

To musi być sen, ale jeszcze nigdy nie miała tak rzeczywistego snu. Zimne powietrze na skórze, ból mięśni od zbyt długiego związania w jednej pozycji, ból gardła i... cisza, gdy próbowała mówić.

Chciała coś szepnąć, ale mężczyzna zasłonił jej usta dłonią.

– Przestań. Nie wolno ci mówić do mężczyzn. Wystarczy, że się skrzywisz, a zostaniesz ukarana. Ależ to jest sposób komunikowania się. Jak on może tego nie wiedzieć?

– To, co masz do powiedzenia, nie ma dla nas żadnej wartości.

Później, jeśli będziesz posłuszna, możesz rozmawiać wargami z innymi kobietami. Ale nigdy z mężczyznami. A teraz cię obejrzę. Rób to, co ci każę.

Jego fachowe oględziny nie były brutalne; traktował jej ciało z taką samą znajomością rzeczy, jak lekarze w klinice jej ojca.

Głośno komentował wyniki, najwyraźniej je rejestrując. Brun dowiedziała się, że została skatalogowana jako Schwytana Kobieta 4, ladacznica, o zmienionych genach, płodna. Zadowolenie z jego pomyłki natychmiast zniknęło, gdy pokazał jej usunięty implant kontroli płodności. Teraz poczuła ból w lewej nodze po wykonanej operacji. A więc jest płodna... albo wkrótce będzie, jeśli wiedzą też o hormonach płodności. Pomyślała, że pewnie wiedzą.

Kiedy mężczyzna skończył, zawołał innych, którzy zanieśli ją do trochę większego pokoju, opróżnionego ze wszystkiego, czego można by użyć w charakterze broni. Tym razem przypięli ją kajdankami za rękę do rogu pryczy. Obok położyli tubę odżywczego żelu i manierkę z wodą. Właśnie zaczynała zasypiać, kiedy pojawił się dowódca w towarzystwie mężczyzny, który ją badał.

– Jak długo?

– Będzie dość silna za dwa lub trzy dni, ale owulacja nastąpi dopiero za dwanaście do czternastu dni. Dałem jej zastrzyki, ale tyle czasu trwa cykl.

– Kiedy będzie wystarczająco silna, przeniesiemy ją do dziewczyny i maluchów. Może szyc, choć wątpię, by to umiała. – Podeszedł do koi. – Teraz już wiesz, że mówiliśmy prawdę; żyjąc do tej pory między kłamcami, mogłaś wątpić w nasze słowa. Nadszedł czas na następną lekcję. Nie jesteś tym, kim byłaś. Nikt nigdy nie nazwie cię przeklętym imieniem, którego dotąd używałaś. Tam, dokąd się udasz, nikt go nie zna. W tej chwili w ogóle nie masz imienia. Jesteś ladacznicą, bo nie jesteś ani dziewczicą, ani żoną. Ladacznice dostarczają mężczyznom przyjemności.

Kiedy urodzisz trzecie dziecko i ktoś cię zechce, będziesz mogła zostać młodszą żoną.

Wyszedł, zabierając ze sobą drugiego mężczyznę, zanim Brun mogła choćby szeptem przekląć go. Miała ochotę płakać, ale łzy nie chciały przyjść. Zamiast tego spadła na nią rozpacz, która okryła ją czarną peleryną i owinęła się wokół umysłu tak, że nie potrafiła myśleć o niczym innym. Przez chwilę próbowała się opierać, ale rozpacz trzymała ją równie mocno jak kajdanki, a ona była taka zmęczona...

Usnęła, a kiedy się obudziła, znów bolało ją gardło. Wysała z tubki trochę odżywki i chłodny żel ukoił ból. Pomyślała, że chciałaby, aby przenieśli ją do innej kabiny. Jeśli będzie tu leżeć sama, oszaleje. Niechby z nią był jakikolwiek inny człowiek, nawet należąca do tych ludzi kobieta.

* * *

Hazel lekko podniosła wzrok... i zobaczyła gołe nogi kobiety.

Powiedzieli jej o niej i już nie mogła się doczekać... ale była też przerażona, ponieważ pokazali jej zdjęcia z operacji i zagrozili jej i maluchom tym samym, jeśli Hazel będzie nieposłuszna i będzie z nią rozmawiać. Teraz pchnęli kobietę na siennik pod ścianą. Hazel odciągnęła maluchy w róg

pokoju. Kobieta była blada jak mleko i miała mocno posiniaczone ciało. Na nodze miała brzydką czerwoną bliznę. Hazel nie chciała patrzeć na jej twarz, ale płonące niebieskie oczy zdawały się szukać jej oczu i żądać wyjaśnień.

– Dziewczyno, zajmij się nią. Pilnuj, żeby jadła, piła i szła do toalety. Myj ją. Ale nie rozmawiaj z nią. Zrozumiałaś?

Hazel pokiwała głową.

– Naucz ją szyć, jeśli nie umie. Zrób jej przyzwoitą sukienkę.

Przyniesiemy ci więcej materiału.

Hazel znów kiwnęła głową. Mężczyźni wyszli, zostawiając obcą kobietę, a Hazel poszła w drugi koniec pokoju, uważając, by nie odsłonić nóg. Podniosła torbę zjedzeniem i wyciągnęła tubę koncentratu, ale kobieta przyłożyła dłoń do ust i odwróciła się. Hazel wróciła do maluchów, które wpatrywały się w nowo przybyłą szeroko otwartymi oczami.

– Kto to? – zapytała Brandy, ledwie wymawiając słowa.

– Ciii – powiedziała Hazel.

– Ona nie ma ubrania – wyszeptała Stassi.

– Ciii. – Podała maluchom ich lalki i zaczęły grać w wymyśloną przez nią grę taneczną.

* * *

Każde słowo wypowiedziane do Esmay zdawało się być wypalone kwasem na skórze Brun.

Wciąż i wciąż na nowo przeproszała ją w myślach, krzycząc słowa, których nie mogła powiedzieć. Jak mogła się tak mylić?

Być tak głupią? Tak arogancką? Jak mogła myśleć, że cały wszechświat urządzono dla jej wygody?

Całe jej ciało było poobcierane i obolałe od pobudki aż do zaśnięcia. Wszyscy wciąż go używali, przez całe dni... Kiedy zaczęła krwawić, przestali wchodzić do jej pokoju, ale gdy tylko znów była „czysta”, wszystko zaczęło się od początku.

Wreszcie któregoś dnia jeden z mężczyzn dotknął jej piersi, a ona odsunęła się, czując, że są nabrzmięte i bolące.

– Ty ladaczniczo... – powiedział ostrzegawczo, a potem pomacał jej piersi i odszedł. Leżała przez jakiś czas zobojętniała. Wystarczyło, że chwilowo nie czuła bólu. Przyszedł kolejny mężczyzna; rozpoznała w nim tego, który pełnił funkcję lekarza. Pomacał jej piersi, zmierzył temperaturę i pobrał krew. Kilka minut później uśmiechnął się.

– Jesteś w ciąży. To dobrze.

Dobrze, że nosi dziecko jednego z tych obrzydliwych potworów? Zdawał się odczytywać jej uczucia z twarzy.

– Nie będziesz w stanie zrobić niczego głupiego, ale jeśli spróbujesz, zamkniemy cię samą. Rozumiesz?

Rzuciła mu wściekłe spojrzenie, a on ją spoliczkował.

– Jesteś tylko w ciąży, nie jesteś chora. Odpowiadaj, kiedy zadaję ci pytanie. Rozumiesz? – Wbrew swojej woli kiwnęła głową. – Ubierz się.

Na jego oczach wciągnęła na siebie brzydkią rurowatą sukienkę, którą zrobiła dla niej dziewczyna, i zawiązała taśmy, które zastępowały zapięcie. Następnie zarzuciła na ramiona i kark kawał materiału. Nie wymyśliły jeszcze, jak przyszyć rękawy do sukienki.

– Chodź ze mną – rozkazał i zaprowadził ją do pokoju, w którym była dziewczyna i maluchy. Dziewczyna spojrzała na nią, po czym szybko odwróciła wzrok. Brun nie była pewna, ile może mieć lat; wyglądała bardzo młodo, może na jedenaście czy dwanaście lat, ale jeśli miała implant opóźniający dojrzewanie, równie dobrze mogła mieć nawet osiemnaście. Gdyby tylko mogły rozmawiać albo choćby pisać do siebie... Ale w kabinie nie było żadnych przyborów do pisania, a dziewczyna nie chciała z nią rozmawiać i odwracała wzrok, gdy Brun próbowała wypowiadać słowa wargami.

* * *

Mijał dzień za dniem, każdy jednakowo monotony. Brun przyglądała się, jak młoda dziewczyna z wielką wyrozumiałością ucisza i zabawia maluchy, karmi je i utrzymuje porządek w kabinie.

Przyjmowała pomoc Brun, ale sprawiała wrażenie, że się jej boi; kiedy podawała jej jedzenie, zawsze odwracała wzrok albo patrzyła pod nogi.

Brun liczyła upływ czasu zmianami w swoim ciele. Kiedy poczuła pierwsze niewyraźne ruchy dziecka, rozplakała się. Po chwili uzmysłowiła sobie, że ktoś łagodnie klepie japo głowie, a kiedy podniosła zalane łzami oczy, zobaczyła jedną z dziewczynek, tę o imieniu Stassi. Mała przytuliła się do niej.

– Nie płacz – powiedziała bardzo cicho. – Nie płacz.

Stassi, nie! – Dziewczyna podeszła i odciągnęła od niej dziecko. Brun poczuła się tak, jakby ją uderzono. Czy dziewczyna myśli, że ona może skrzywdzić dziecko? Próbowała powstrzymać łkanie, ale nie mogła.

* * *

Aby oderwać myśli od samej siebie, zaczęła zwracać więcej uwagi na innych, zwłaszcza na starszą dziewczynę. Ona nie mogła być jedną z nich. Szyła bardzo niezdarnie, bez najmniejszego pojęcia o tym, jak dopasować materiał do ludzkich kształtów, a przecież kiedy mężczyźni przynosili ubrania do naprawienia, Brun widziała, że zostały uszyte z dużą starannością, jak drogie stroje „ludowe” z importu.

Spojrzała na dziewczynę, której brązowe włosy zwisały po obu stronach twarzy jak zasłony. Nawet nie знаła jej imienia... Mężczyźni zawsze wołali do niej „dziewczyna”, a do dziewczynek „maluchy”.

Jeśli nie jest jedną z nich, skąd pochodzi? Nie było żadnych wskazówek. Sweter, który tworzył górną część jej sukienki, mógł być kupiony gdziekolwiek, w jakimś niedrogim sklepie, których było pełno na wszystkich stacjach kosmicznych. Czy została porwana z jakiejś stacji kosmicznej? Czy ze statku? Sądząc po kolorze jej skóry i włosów oraz rysach twarzy, mogła pochodzić z jednej z setek planet, z jednego z tysięcy statków. A jednak była taką samą indywidualnością jak Brun, miała swoją przeszłość, miała nadzieję na przyszłość... Brun zaczęła wyobrażać sobie rodzinę dziewczyny, jej dom... i zastanawiać się, czy maluchy są jej siostrami, czy tylko zostały razem z nią schwyte. I jak

dziewczyna to wszystko znosi?

Znów napłynęły jej do oczu łzy; przycisnęła pięści do rosnącego brzucha. Dziewczyna rzuciła jej szybkie, ostrzegawcze spojrzenie, a potem po raz pierwszy wyciągnęła rękę i poklepała Brun.

To wystarczyło. Brun rozplakała się...

ROZDZIAŁ ÓSMY

W jakiś czas po przeciągnięciu frachtowca na właściwą orbitę *Shrike* delikatnie niczym opadający na drzewo pająk przycumował w Overhold, większej z dwóch stacji orbitalnych obsługujących Bezaire. Pierwsze dokowanie Esmay odbywało się pod czujnym okiem Solisa. Wszystko poszło gładko. Solis kiwnął głową, gdy światelka stanu zmieniły się na zielone, a potem zwrócił się do dowódcy stacji.

– OSK *Shrike* zadokował. Proszę o pozwolenie na otwarcie śluz.

– Zezwalam na otwarcie. Wszyscy opuszczający statek muszą zgłosić się po identyfikatory w biurze ochrony naprzeciwko doku.

– Zrozumiałem. Przewidujemy krótką wizytę i nie będziemy zwalniać załogi. Tylko mój kwatermistrz wyjdzie, aby zorganizować dla nas trochę zaopatrzenia.

– Tak jest, *Shrike*. W sejfie czeka na was pakiet pocztowy.

– Dziękuję, sir. – Solis skrzywił się po wyłączeniu ekranu. – Durni cywile... Mówi to wszystko przez komunikator stacji, gdzie każdy dysponujący w miarę przyzwoitym sprzętem może go podsłuchać. – Odwrócił się do Esmay. – Poruczniku, przejmie pani mostek na czas, gdy zejdem na stację, aby odebrać naszą pocztę.

– Nie przypuszczam, żeby zajęło mi to więcej niż godzinę. Gdybym miał się spóźnić, zadzwonię do pani.

– Sir. – Esmay przełączyła wewnętrzny komunikator. – Eskorta ochrony dla kapitana. Galopem.

– Myślę też, że skontrolujemy skan. Nikt nie sprawdzał Overhold od czasu, gdy była tu Hearne, a nie ma powodu, aby jej ufać.

– Może to pani zrobić pod moją nieobecność.

Ponieważ do czasu powrotu Solisa nic nie pokazało się na skanerach, kapitan odesłał Esmay do jej rutynowych zadań. Pół wachty później powrócił ze stacji mocno poirytowany bosman Arbuthnot. Zgłosił się do kucharza akurat wtedy, gdy Esmay sprawdzała w kambuzie zlewy.

– Nie mają żadnych zapasów arpetańskiej marmolady, a potrzebujemy jej na obiad urodzinowy dla kapitana. Zawsze kupowałem ją tutaj; jest lepszej jakości niż w magazynach dowództwa. Mówią, że nie spodziewają się dostaw do czasu przybycia statku Boros. Wie pan, jak kapitan lubi arpetańską marmoladę, zwłaszcza z imbirem.

– To dziwne. Czy ten statek nie powinien już tu być? – Kucharz zerknął na wiszący na ścianie harmonogram. – Zazwyczaj przylatujemy jakiś tydzień po nim.

– Tak, ale go nie ma. Ci na stacji nie wyglądają na zbyt zmartwionych.

Esmay powtórzyła tę rozmowę kapitanowi Solisowi, pomijając szczegóły dotyczące jego urodzin.

– Nie wyglądają na przejętych. Ciekawe... Myślę, że powinniśmy zamienić parę słów z agentem Boros.

Agentka Boros, kobieta w średnim wieku o płaskiej twarzy, zbyła kapitana Solisa wzruszeniem ramion.

– Sam pan wie, kapitanie, że te statki nie zawsze przylatują na czas. Kapitan Lund nie jest już młody – to jego ostatni rejs – ale mamy zaufanie do jego uczciwości.

– Nie kwestionuję jego uczciwości, a szczęście. Jak procentowo wyglądają jego opóźnienia?

– Lunda? Więcej niż dziewięćdziesiąt procent przylotów na czas, a w ciągu ostatnich pięciu lat sto procent.

– Na wszystkich odcinkach?

– Moment, sprawdzę. – Kobieta wywołała akta i zajrzała do nich. – Tak, sir. Prawdę mówiąc, na odcinku kończącym się u nas często jest dwanaście do dwudziestu czterech godzin przed czasem.

– A gdybyśmy nie zapytali, kiedy zgłosiłaby pani opóźnienie statku?

– Firma zawsze musi odczekać siedemdziesiąt dwie godziny dla każdej trasy plus dodatkowy dzień na każdy z planowanych dziesięciu dni przelotu. Dla *Elias Madero* na tej trasie dałoby to w sumie dziesięć dni. Miał przylecieć przedwczoraj, a więc zostało... jeszcze siedem dni.

Natychmiast po dotarciu na pokład kapitan Solis wezwał do swojego biura Esmay.

– Widzi pani, zgodnie z harmonogramem mają na przelot z Corian do Bezaire, z doku do doku, siedemdziesiąt dwa dni... z tego większość czasu na napędzie układowym. Jeśli weźmie się pod uwagę czas między bojami, statek nie powinien zniknąć ze skanerów na dłużej niż szesnaście dni.

– Co mówią dane skanu z Corian?

– Normalne wyjście z systemu. Zatwierdzony kurs wyglądał w ten sposób... – Solis wskazał na mapie. – Jeśli mają napięty harmonogram, bo firma faktycznie daje im tak mało czasu, trzeba wziąć pod uwagę lekkie obsunięcie. Myślałem, że ktoś latający tą trasą przynajmniej w trzydziestu procentach przypadków jest spóźniony, a tymczasem *Elias Madero* nigdy nie był. Czy to coś pani mówi?

– Używali skrótu – odpowiedziała natychmiast Esmay. – Musi być jakiś skrót.

– Racja. Należy odkryć, gdzie on jest.

– Ktoś w Boros powinien wiedzieć.

– Tak... ale jeśli to nielegalny skok, nie zmapowany czy coś w tym rodzaju, mogą nie chcieć nam powiedzieć. Poruczniku, kogo radziłaby pani wysłać na dyskretne przeszpieszenie?

Przez głowę przeleciała jej lista załogi, ale była z nimi za krótko, żeby mieć jakieś informacje na temat ich przebiegłości. Odwołała się więc do tradycji.

– Zapytałabym o to bosmana Arbuthnota, sir.

– Dobry pomysł. Proszę mu powiedzieć, że potrzebujemy kogoś, kto wyglądałby jak czarny charakter i potrafił wydobyć odpowiedzi nawet ze skały.

Bosman Arbuthnot doskonale rozumiał, czego Esmay potrzebuje, i obiecał zaraz wysłać „młodego Darina”. Kilka dni później dostali oczekiwaną, choć niezbyt pomocną odpowiedź.

– Układ z dwoma punktami skokowymi – powiedział Solis, kiedy wysłuchał relacji Darina. – Hmm. Zobaczmy, czy wydobędziemy potwierdzenie od kogoś w Boros. Pewnie wpadli na przesunięty punkt skokowy.

– Czemu ktoś odchodzący na emeryturę miałby podjąć takie ryzyko? – zapytała Esmay.

– Pewnie uważał, że ten układ jest stabilny. Niektóre z nich zachowują stabilność przez całe dziesięciolecia, co wcale nie znaczy, że są bezpieczne.

Coś zaskoczyło w umyśle Esmay.

– Jeśli... przewozili kontrabandę... to czas zyskany na skrócie przydałby im się na rozładunek. A gdyby ktoś wiedział, że mają kontrabandę, byłoby to dobre miejsce na zastawienie pułapki.

– No cóż... – Solis przeczesał dłonią włosy. – Lepiej wybierzmy się tam i sprawdźmy. Mam nadzieję, że to nie przesunięcie punktu skokowego.

Do tego czasu agentka Boros była już gotowa zgłosić zaginięcie *Elias Madero*. Solisowi jeszcze dwa dni zajęło dotarcie do kogoś wyżej w hierarchii Boros, kto mógłby potwierdzić nie tylko istnienie, ale i lokalizację skrótu.

– Cała ta sprawa dziwnie pachnie – powiedział do Esmay. – Normalnie spodziewałbym się oporu przed przyznaniem się do używania niebezpiecznej trasy... No dobrze, zechce pani wykreślić kurs do tego miejsca?

Esmay przekonała się, że nie jest to łatwa sprawa. Najprościej byłoby odwrócić planowaną trasę statku kupieckiego, ale mapy Floty nie zawierały informacji na temat wejścia do punktu skokowego prowadzącego na zewnątrz.

– Zresztą – zauważył Solis – jeśli tamtędy wlecimy, przetniemy wszelkie pozostawione przez nich ślady. Musimy lecieć tą samą trasą co oni.

– Ale to zajmie znacznie więcej czasu.

Solis wzruszył ramionami; na jego twarzy widać było napięcie.

– Cokolwiek się wydarzyło, podejrzewam, że stało się to wiele dni przed naszym dotarciem do Bezaire. A więc w tej chwili chodzi o to, żeby dowiedzieć się, co zaszło, i zdobyć jak największą ilość szczegółowych informacji. A więc musimy wejść w system z maksymalną ostrożnością.

Maksymalna ostrożność oznaczała dwadzieścia trzy dni skakania z Bezaire do Podj, następnie Corian, a stamtąd do punktów skokowych. Esmay przygotowywała po kolei każdy fragment trasy, a Solis za każdym razem go zatwierdzał.

* * *

Shrike wyłonił się w systemie, tak jak Esmay miała nadzieję, z niewielką prędkością względną. Gdy tylko oczyściły się dane skanu, przekonała się, że w układzie nie ma żadnych jednostek.

– Ale tutaj, poruczniku, są jakieś ślady. Nie potrafię powiedzieć, czy to zniekształcenie spowodowane interakcją dwóch punktów skokowych, czy resztki po jakichś statkach. Jeśli to statki, to więcej niż jeden. – Starszy technik skanu wskazał na ekran. Esmay przyjrzała się skanerom; fale i rozmycia zniekształcały obraz gwiazd, które powinny być nieruchome. – Jaka odległość?

– W tej chwili nie sposób określić, poruczniku... ale według mnie, to coś znajduje się bliżej niż drugi punkt skokowy. – Technik zerknął na kapitana.

– Utrzymamy kurs przez dwie godziny, a potem zobaczymy, co nam da paralaksa – zdecydował Solis.

Po dwóch godzinach obszar zniekształceń był niewiele większy.

– No cóż, poruczniku – stwierdził Solis – możemy zaryzykować mikroskok, zbliżyć się na kilka sekund świetlnych i zobaczyć, co się stanie... albo możemy się skradać. Jak pani ocenia ryzyko?

Esmay wskazała na wyświetlacz.

– Sir, ten węzeł na odczytach grawitacyjnych powinien być drugim punktem skokowym, a jeśli tak jest, to znaczy, że się nie przesunął. Podobnie jak ten. To sugeruje, że patrzymy na pozostałości przelotu... i jeśli to nie jest cała grupa uderzeniowa *Benignity*, ryzyko nie jest takie wielkie. A ponieważ to jest dalej niż o minutę światła, moglibyśmy wykonywać skoki co 15 sekund i mieć spory

margines bezpieczeństwa.

– Ma pani rację, jeśli rzeczywiście to są pozostałości po przelocie. Jeżeli są tam też śmieci pochodzące ze źródła, którego położenia nie znamy, one również przemieszczają się z nie znaną *nam prędkością, od przynajmniej trzydziestu dni*. W najgorszym razie *Elias Madero* przewoził brakującą broń, która z jakiegoś powodu eksplodowała... Jak dużo jest tego śmiecia?

– Nie wiem, sir – odpowiedziała Esmay, wprowadzając szybko liczby do podjednostki kalkulatora.

– Ja też nie wiem, dlatego będziemy skakać co sekundę, z głównymi tarczami na maksimum.

Solis poprowadził *Shrike'a* w serii krótkich skoków. W czasie zbliżania się do celu obraz skanu zmienił się na dwadzieścia jeden sekund. Teraz wyraźnie widzieli, że kręcił się tam więcej niż jeden statek.

– Zostańmy tu na razie i przyjrzyjmy się – zdecydował Solis.

– Na napędzie układowym *Shrike* i tak nie siedział nieruchomo, ale dotarcie do zniekształcenia obrazu zajęłoby mu całe godziny.

– Czy mamy jakieś ślady tras?

– Mamy bardzo rozrzedzony, sir, ślad statku kupieckiego. – Technik włączył filtry i wzmocnienie, żeby wyświetlić słabiutki bladozielony ślad. – Jeśli polecimy jego środkiem, dojdziemy do drugiego punktu skokowego, a aż do tego miejsca prędkość zgadza się z napędem układowym tej klasy statków. – Wskazał na nałożenie się kilku innych śladów. – Jest też świeższy ślad, choć znacznie słabszy.

– No dobrze... Załóżmy, że znaleźliśmy ślad wlatującego tu statku kupieckiego, który leciał idealnie prostym kursem do drugiego punktu skokowego, jak wiele razy wcześniej. Nie ma żadnych śladów zwolnienia przed tym bałaganem?

– Nie, kapitanie, ale ślady są tak stare, że nie ma pewności.

– Dobrze. Na razie przyjmijmy taką teorię. A więc przylatuje tutaj, kieruje się do drugiego punktu i... wpada na grupę innych statków. Bez wątplenia ma kłopoty. Mamy jakieś starsze ślady?

– Nie, pod tym kątem trudno byłoby je zobaczyć.

Dobrze, podlecimy wyżej i przyjrzymy się. – Solis wskazał punkt na mapie. – Trzydziestodwusekundowy skok do tych współrzędnych. Chcę znaleźć się daleko poza strefą tego całego zamieszania.

Skan rozmył się i znów wyklarował.

– A teraz – powiedział Solis – chcę dowiedzieć się, skąd przyleciały tamte statki i w jakiej kolejności.

Esmay uważała, że to nużące, ale miała dość rozumu, żeby się nie odzywać. Przecież najszybciej można byłoby dowiedzieć się, co się stało z *Elias Madero*, lecąc na miejsce, aby to sprawdzić.

System jest pusty, więc co jest nie tak?

Technik skanu podniósł rękę.

-. Kapitanie, ten statek kupiecki – a w każdym razie statek, który zostawił ślad prowadzący z pierwszego punktu – wyleciał stąd drugim punktem skokowym.

– Co?!

– Tak jest, sir. Proszę spojrzeć. Tutaj jest pięć śladów wyjścia: trzy odpowiadają mniej więcej

wielkości śladów patrolowców, jeden jest bardzo mały – przypuszczam, że to ten mały statek, którego ślad częściowo pokrywa się z trasą kupca – i jeden duży samego statku handlowego.

– Więc czemu nie doleciał do celu? – wymamrotał Solis.

– Ci... piraci nie kradną całych statków, prawda? – zapytała Esmay.

– Nie, ale... jeśli przewoził broń... mogli go ukraść. Przemysłmy to. Mamy jeden duży statek – zakładamy na razie, że to brakujący statek Boros – który wlatuje i natyka się na coś, a potem wylatuje drugim punktem skokowym. Mamy też jakiś czas później jeden mały statek lecący za nim i też wylatujący...

– Przepraszam, kapitanie, ale ślad wyjścia tego małego statku pokrywa się z pozostałymi. W każdym razie z dokładnością do kilku minut.

– Czyli... przygotowali to wszystko? Ktoś leciał z tyłu, żeby upewnić się, że kupiec dotrze do celu? – Solis potrząsnął głową.

– Ale i tak wciąż nie wiemy, co to były za statki. I którędy tu przyleciały. Są jeszcze jakieś ślady?

Nastąpiły kolejne zmiany barw na monitorach skanerów, gdy technik przechodził przez wszystkie możliwe powiększenia. Nagle pojawiły się trzy blade ślady, które wychodziły łukiem z drugiego punktu skokowego i po zakreśleniu dużej pętli kończyły się obok śladu statku handlowego.

– Proszę bardzo, sir. Wlecieli tu przez numer dwa... i wygląda na to, że przygotowali pułapkę.

– Widzę. Dobra robota, Quinn. No cóż, wszystko jest wystarczająco jasne. Ktoś wiedział, że statek kupiecki tu przyleci, i chciał go przejąć, a ktoś inny przygotował tu pułapkę albo spotkanie. – Uśmiechnął się do Esmay. – Teraz, poruczniku, polecimy tam i zobaczymy, jakie uda nam się zebrać dowody.

* * *

Pierwszym dowodem były szczątki statku.

– Czy statek eksplodował? – zapytała Esmay.

– Nie, jest za mało szczątków. – Technik skanu wskazał na liczby przy brzegu ekranu. – Brałem pod uwagę szacunkową masę całkowitą wszystkich fragmentów, i jest tego mniej niż zmieściłoby się do jednej z pięciu ładowni szukanego przez nas frachtowca. Co więcej, gdyby to pochodziło z eksplozji, do tej pory byłoby znacznie bardziej rozproszone. To zostało wyrzucone z czegoś poruszającego się ze stosunkowo małą prędkością względną. Przypuszczam, że ktoś to ręcznie wyrzucił ze śluzy. – Zresetował jeden z czulszych skanerów. – Zobaczymy, czy znajdziemy jakieś ciała.

Uciążliwa praca ciągnęła się godzina za godziną, a później dzień za dniem. Statek PIR lokalizował i identyfikował kolejne kawałki, cały czas wykreślając na trójwymiarowym wyświetlaczu ich położenie i wektor. Setki, tysiące obiektów... a potem ciała, o których wiedzieli, że muszą tu być, choć mieli nadzieję, że ich nie znajdą. Złożyli je w jednej z komór próżniowych, oznaczając numerami w kolejności odnalezienia. Mężczyźni byli w kombinezonach, z nazwiskami wyszytymi na piersi i plecach, co było typowe dla statków handlowych; kobiety...

– Wycięto im języki – oświadczył lekarz. – I wszystkie są nagie. – Esmay słyszała napięcie w jego głosie. – W tej chwili nie mogę powiedzieć, czy zrobiono im to przed śmiercią, czy już po

zabiciu.

– Nigdy nie słyszałem, żeby Krwawa Horda dotarła aż do tego sektora.

– To nie jest dzieło Krwawej Hordy. Oni czasem pozbawiają głosu, również mężczyzn, ale to nie jest typowa dla nich metoda postępowania z przeciwnikiem.

* * *

Porucznik Venoya Haral, asystentka majora Bannona, położyła przedmioty na biurku. Sam Bannon był w kostnicy, gdzie pracował nad wyłowionymi ciałami.

– Wszystkie te rzeczy zostały oznaczone i zarejestrowano ich położenie – powiedziała do Esmay. – Teraz musimy dowiedzieć się czegoś o załodze i napastnikach.

– Czy Boros nie dało nam listy załogi?

– Dało, ale te listy nie zawsze są dokładne. Ktoś zachoruje czy się upije i wypada z trasy albo czyjeś dzieciaki zostaną zabrane na wycieczkę...

– Dzieci?

– Komercyjne transportowce często przewożą na pokładzie dzieci, zwłaszcza na tak stabilnych trasach jak ta. Nie znaleźliśmy jeszcze żadnych ciał dzieci, ale to niestety o niczym nie świadczy. Są mniejsze i trudniej je odszukać. Wciąż brakuje nam pięciu ciał dorosłych, łącznie z kapitanem. Zobaczmy... – Haral zaczęła sortować przedmioty. – Portfele na dokumenty... proszę odłożyć na koniec. Przybory kosmetyczne. Rejestratory... – Zaczęła je wybierać spośród leżących na biurku przedmiotów, ale po chwili potrząsnęła głową – Nie, zrobmy to po kolei. Mam nadzieję, że nagrano na tym coś pożytecznego.

– Tu jest zabawka – zauważyła Esmay. Była to mocno zniszczona niebiesko-pomarańczowa pluszowa maskotka. Wolą nie myśleć o losie dzieci ze statku kupieckiego. Miała nadzieję, że zginęły.

– Dobrze. Proszę to położyć tam, razem z innymi rzeczami, które wyglądają na należące do dzieci. Gdzie to znaleziono?

Esmay sprawdziła na liście.

– W tylnej kieszeni mężczyzny, na którego kombinezonie znajdowało się nazwisko Jules Armintage.

– Pewnie podniósł zabawkę z pokładu, gdy upuściło ją jakieś dziecko. W jaki sposób został zabity?

Esmay spojrzała na listę.

– Strzałem w głowę. Nie ma tu informacji, z czego strzelano.

– Major to ustali. O, tu coś jest... – Haral wyciągnęła podręczny komputer. – Może wydobędziemy z tego jakieś przydatne dane, jeśli nie używali go tylko do wyliczania szans wygrania na wyścigach konnych. Pani chyba ma przeszkolenie w skanie?

* * *

Kiedy skatalogowały już wszystkie przedmioty, Haral zaczęła je oglądać.

– Jeszcze pani nie wie, jak to robić – powiedziała – więc proszę sprawdzić, czy któraś z tych kostek zawiera jakieś dane. Są dosyć odporne, ale promieniowanie mogło je uszkodzić.

Pierwsza kostka zawierała rejestr zużycia przez załogę zapasów w ciągu ostatnich ośmiu fragmentów trasy. Znajdowały się na niej listy zakupów i stan magazynu, łącznie z datami. Na drugiej kostce, również z datami, był pełen rejestr środowiskowy z okresu od sześciu miesięcy do trzydziestu dni przed katastrofą.

– Daje nam to jakieś wskazówki do dalszej pracy – stwierdziła Haral. – Może znajdzie pani kostkę, na której rejestrowano w chwili przejęcia statku.

– Znaleziono to w... szczelinie siedzenia szalupy ratunkowej.

– Hmm. Ktoś próbował zabrać rejestry środowiskowe na pokład szalupy, którą zniszczono. Mogli umieścić tutaj wszystkie dzienniki.

– Co mogą zawierać dzienniki na statku kupieckim?

– Wykaz inwentarza. Dziennik kapitański z opisem przebiegu podróży, czasem z danymi o ładunku. Księgowość, gdzie na pewno powinny być informacje o ładunku, łącznie z danymi o płatnościach. Listę załogi, informacje medyczne – dość skromne na tego rodzaju jednostce ze stabilną załogą. Rejestr łączności, ale niektóre statki handlowe umieszczają go w dzienniku kapitańskim.

Esmay wsunęła do czytnika następną kostkę.

– To wygląda na łączność. Data jest dość świeża... i pasuje do ostatniego przystanku statku.

Elias Madero do kapitanatu stacji

Corian Highside... do kontroli ruchu... wyjście z doku, transmisje nawigacyjne i potwierdzenia odbioru wytycznych.

– Dobrze, proszę mi to pokazać. – Haral podeszła i spojrzała na ekran. – To jest naprawdę dobre. Możemy to porównać z zapisami na Corianie i zobaczyć, czy ktoś nie majstrował przy zapisie. Byłoby dobrze, gdyby to ustawili w trybie pełnej rejestracji, ale to szybko zjada pojemność kostki. Zobaczmy, co tam mamy.

– *Elias Madero*, ściągnijcie kapitana do komunikatora. Poddajcie statek, a pozwolimy załodze odlecieć w szalupach. – Głos dochodzący z głośników zaskoczył obie kobiety.

– Co to jest? – Haral nachyliła się nad czytnikiem. – O Boże...

– Kiedy zostali zaatakowani, ktoś miał dość rozumu, żeby włączyć rejestrację. Jeszcze nie ma obrazu, ale...

Ekran zamigotał i pojawił się nieostry obraz mężczyzny w brzoje. Esmay pomyślała, że mógł to być mundur, ale nie miała pewności. Potem nagle obraz wyostrzył się.

– Przełączyli obraz bezpośrednio do rejestratora zamiast filmować ekran – wyjaśniła Haral. Teraz odezwał się inny głos.

– Tu kapitan Lund. Kim jesteście i czego od nas chcecie? – Pojawił się obraz krępego, łysiejącego mężczyzny, którego łatwo było zidentyfikować na podstawie listy załogi dostarczonej przez Boros. To był Lund. Nagranie trwało dalej, słychać było rozkazy, jakie Lund wydawał swojej załodze.

Haral zatrzymała nagranie i opadła na krzesło.

– No cóż, teraz już wiemy, co stało się ze statkiem... i wiemy, że były na nim dzieci, które ukryli. Pytanie brzmi, czy piraci je znaleźli? I czyje zabrali?

– Musieli – stwierdziła Esmay, czując na samą myśl o tym mdłości. Czwooro przedszkolaków w

tym samym wieku co ona, gdy... Odepchnęła od siebie tę myśl, ale była świadoma budzącej się w niej furii. Osoba, która pomyślała o umieszczeniu kostki w szalupie – która pomyślała o włączeniu trybu pełnej rejestracji – umieściła też na niej krótkie filmiki z dziećmi. Znali więc ich nazwiska i twarze. Dwie dziewczynki, siostry. Dwóch chłopców, kuzynów.

– Jakość nagrania jest wystarczająco dobra, by odczytać insygnia na mundurach. Trzeba sprawdzić, czy wywiad ma jakieś informacje na ich temat. Te twarze możemy mieć gdzieś w archiwach. To najdłuższy kawałek dźwiękowy, jaki kiedykolwiek słyszałam w wykonaniu piratów. Mają interesujący akcent.

Ale Esmay potrafiła myśleć tylko o dzieciach, bezbronnych dzieciach. Obracała nieustannie w dłoniach pomarańczowo-niebieską zabawkę.

* * *

Ekipy ratunkowe odnajdowały i wyciągały kolejne ciała.

– Mamy zbyt wiele trupów – oznajmił dowódca grupy. – Ilu ludzi było w załodze tego statku kupieckiego?

– A więc część piratów zginęła – stwierdził Solis. – Nie żal mi ich.

– Ci ludzie zostali obdarci z ubrania, nie tak jak pozostali. Czy piraci rozebrali i wyrzucili własnych ludzi?

– Mało prawdopodobne. Rozebrani, powiada pan? Czemu?

– Nie wiem, ale żaden z nich nie ma identyfikatorów. Możemy wziąć próbki tkanek, ale wie pan, jak to wygląda...

– Żadnych odcisków palców, siatkówki?

– Nie. Wszystko zostało wypalone. Lekarz mówi, że to się stało już po śmierci i że zginęli od ran odniesionych w walce.

Solis zwrócił się do Esmay.

– Ma pani jakiś pomysł, poruczniku?

– Nie, sir... o ile nie wpadliśmy na teren jakiejś lokalnej bitwy.

– Ludzie ze statku kupieckiego wyglądają bardzo typowo – powiedział lekarz. – Słabe kości, niewielka masa ciała... Różny wiek – od kucharza, który był o dwa lata starszy od kapitana, aż do dzieciaka, mizernego nastolatka, który najwyraźniej walczył, zanim został zastrzelony. Ale tamci... mogliby być z Floty, tylko że nie mają naszych identyfikatorów. Proszę spojrzeć na ich rozwinięte mięśnie; struktura kości wskazuje na regularne intensywne ćwiczenia w przynajmniej standardowej grawitacji. Pomimo wypalenia przez piratów naskórka widać po dłoniach, że stale używali broni.

Zakładając, że to byli piraci, dlaczego nie chcieli, żeby dało się ich zidentyfikować? Jeśli ich głównym celem był statek kupiecki – co wydaje się oczywiste – i zostawili załogę w stanie umożliwiającym jej identyfikację, co takiego było w tych ludziach?

– Nie wiem. Wojskowi, lecz nie z Floty... Może statek szpiegowski Benignity? Albo jakaś jednostka Guernesii? Ale czemu napastnicy mieliby przejmować się, że dowiemy się o tym? Chyba że to są ich ludzie, ale jak już powiedzieliśmy, to raczej niemożliwe. Jedyne, czego możemy być pewni, to fakt, że nie stanowili załogi statku kupieckiego.

– Nie możemy wykonać skanu genetycznego?

– No cóż, moglibyśmy, gdybyśmy mieli jeden z tych dużych sekwencerów. Laboratorium sądowe w bazie sektora ma taki, ale to i tak niewiele nam powie. Może nam dać informację, z której planety mogli pochodzić, ale biorąc pod uwagę natężenie ruchu pasażerskiego w ostatnich latach, nie jest to zbyt dokładne. Wykonuje teraz prostsze testy tkankowe... ale nie sądzę, że dowiem się zbyt wiele. Jeśli ktoś zgłosi zaginięcie i będzie miał w aktach ich genom, możemy to zweryfikować.

* * *

– Za każdym przelotem znajdujemy coraz mniej – stwierdził Solis. – Czas ruszać dalej. Ile zmapowanych tras ma ten punkt skokowy?

– Pięć, sir.

– Dobrze. Skoczmy do Bezaire, dokąd kierował się ten statek kupiecki, i zgłosimy Boros, czego się dowiedzieliśmy. Nie spodziewam się tam znaleźć żadnych śladów – zauważylibyśmy je w czasie poprzedniego pobytu – więc pozwolimy dowództwu zdecydować, czy chcą, żebyśmy sprawdzili wszystkie znane wyjścia, czy wyślą kogoś innego. Proszę przygotować wstępny raport dla dowództwa sektora, wrzucimy go do ansibla Bezaire, kiedy tam dotrzemy. Proszę dołączyć zalecenie zakazu używania tej drogi i prośbę o monitorowanie wyjść... choć nie sądzę, żeby to się na coś przydało.

* * *

Kiedy *Shrike* wyskoczył w systemie Bezaire, Esmay dopilnowała, aby natychmiast przesłać wiadomości do dowództwa sektora Floty. Skan zgłosił brak śladów odpowiadających śladom *Elias Madero*. Jak podał kapitan stacji, żaden statek o tej masie nie przelatywał tędy w ciągu ostatnich stu dni.

– Mówiłem wam to już wcześniej.

– Tak, ale musieliśmy sprawdzić.

– Miejscowy agent konsorcjum Boros chce z wami rozmawiać.

– Nie wątpię. – Solis miał ponurą minę. – Ja też chcę z nią porozmawiać. Będziemy potrzebować łącza w czasie rzeczywistym.

Stacja Bezaire, biura konsorcjum Boros

– Wszyscy? – Agentka Boros zbladła.

– Przykro mi – powiedział Solis. – Wszystko wskazuje na to, że statek został przejęty – istnieją dowody, że odbyło się to pod groźbą użycia broni – i choć załozie obiecano bezpieczne oddalenie się w szalupach, wszyscy zostali zamordowani.

– A... dzieci?

– Nie wiemy. Nie znaleźliśmy ciał dzieci; wiadomo, że załoga ukryła je w jakichś pomieszczeniach.

– Ale... ale kto...

– Tego też jeszcze nie wiemy. Wysłaliśmy zebrane dane do kwatery głównej; jestem pewien, że

ktoś to ustali. Co do nieżyjących...

Agentka doszła nieco do siebie.

– Oczywiście przekażecie szczątki konsorcjum Boros w celu oddania ich rodzinom.

– Obawiam się, że to w tej chwili niemożliwe. Dokonaliśmy identyfikacji całej dorosłej załogi i jednego praktykanta, ale być może na ciałach znajdziemy dodatkowe dowody odnośnie do sprawców. Musimy poddać je dalszym badaniom.

– Ależ... ależ to skandaliczne.

– Proszę pani, skandaliczne jest to, co zrobiono z tymi ludźmi. Musimy dowiedzieć się, kto to zrobił, żeby nigdy więcej do czegoś takiego nie dopuścić.

– Co... co im zrobiono?

– Doszło do... okaleczeń. I to wszystko, co mogę powiedzieć, do czasu, aż ekipa śledcza zakończy badanie szczątków. Mogę panią zapewnić, że postaramy się wydać ciała rodzinom najszybciej, jak to będzie możliwe.

* * *

Kiedy szczątki załogi i wszystkie znalezione przedmioty przekazano na statek kurierski, który miał je zabrać do dowództwa sektora, *Shrike* powrócił na patrol.

– Nie będziemy próbować pogoni?

– Nie, to nie nasze zadanie. Nie pokonamy trzech uzbrojonych jednostek, a poza tym nie mamy pojęcia, dokąd poza Bezaire prowadzą tamte punkty skokowe. Ktoś będzie musiał je zbadać.

Ślad jest zimny i coraz bardziej stygnie. Ale mamy sygnatury kadłubów statków napastników, wiemy, co stało się z załogą...

– Ale nie wiemy, czy na pokładzie była broń.

– Nie. Ale jak powiedziałem, jest spora szansa, że była. Po prostu musimy mieć oczy i uszy szeroko otwarte. – Popatrzył na nią niemal z aprobatą. – Zadaje pani dobre pytania, poruczniku Suiza.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Barin odpowiedział na salut strażnika *Gryfalcona*. Wreszcie wchodził na pokład prawdziwego okrętu wojennego, nareszcie miał właściwy przydział, choć nie można powiedzieć, żeby żałował czasu spędzonego na *Koskiusko*, gdzie poznał Esmay. Szybko odrzucił od siebie tę bolesną myśl; chętnie odesłałby ich związek w niebyt. Teraz po raz pierwszy od czasu opuszczenia Akademii dostał prawdziwy przydział i był z niego bardziej niż zadowolony.

Tak jak się spodziewał, zaraz po zgłoszeniu się na pokład został wezwany do kabiny kapitana. Barin obejrzał już wszystkie dostępne informacje na temat kapitana Simona Escovara i wiedział, że jest komandorem z doświadczeniem bojowym na *Phitchcock*, *Dortmuth* i *Aharze*. Oprócz imponującej kolekcji odznaczeń bojowych nosił dyskretne klejnoty oznaczające najwyższe stopnie uzyskane na kursach od wczesnych dni jako kadet w Akademii do kursu dowódczego dla starszych oficerów.

– Chorąży Serrano – powiedział w odpowiedzi na oficjalne powitanie Barina. – Miło mieć na pokładzie jakiegoś Serrano. – Błysk w jego szarych oczach wskazywał, że mówi poważnie. – Służyłem u pańskiego... wuja czy stryjecznego wuja. Zbyt wielu jest Serrano, by się w tym połapać. – Barin już to słyszał. Escovarowie, choć była to stara rodzina Floty, nigdy nie mieli w aktywnej służbie równocześnie tylu ludzi co Serrano. – Widzę, że ma pan za sobą niezwykły zestaw przydziałów. Mam nadzieję, że nie uzna nas pan za zbyt przyziemnych.

– Absolutnie nie, sir – odpowiedział Barin. – Bardzo się cieszę z tego przydziału.

– Dobrze. Mamy w tej chwili tylko trzech innych chorążych o specjalizacji dowódczej, i wszyscy oni mają już za sobą pół roku na tej jednostce. – To znaczyło, że potrafią już takie rzeczy, których on będzie musiał dopiero się nauczyć. – Pierwszym oficerem jest komandor porucznik Dockery. Poinformuje pana o zakresie obowiązków.

Komandor porucznik Dockery najpierw spędził pięć minut na analizowaniu dotychczasowej kariery i przygotowania Barina, potem wskazał, że jest opóźniony o pół roku w stosunku do swoich kolegów, a wreszcie wysłał go do starszego bosmana Zuckermana, żeby odebrał okrętowe plakietki, kostki danych i inne niezbędne przedmioty. Barin wyszedł z biura Dockery'ego, zastanawiając się, czy Zuckerman jest kolejnym etapem linii produkcyjnej mającej przyciąć wszystkich chorążych do tych samych wymiarów.

* * *

Starszy bosman Zuckerman kiwnął głową, gdy Barin mu się przedstawił.

– Służyłem z admirałem Vidą Serrano na *Delphine*. A ty, jak rozumiem, jesteś jej wnukiem? – Zuckerman był dużym, potężnie zbudowanym mężczyzną, wyglądał na mniej więcej czterdziestkę.

– Oczywiście był odmłodzony; nikt nie osiągał stopnia starszego bosmana w wieku czterdziestu lat.

– Tak jest, bosmanie.

– No dobrze. W czym mogę pomóc, sir? – Życie spędzone we Flocie nauczyło Barina, że iskierka sympatii w oku Zuckermana jest szczerą. Z zupełnie nie znanych mu przyczyn starsi podoficerowie lubili niektórych młodszych oficerów, a Zuckerman najwyraźniej postanowił go

polubić.

– Komandor Dockery kazał mi zaznajomić się z rozkazami dla wachty sterburtowej.

– Tak jest, sir. Już daję. – Zuckerman wyciągnął ze stosu kostkę. – Na tej są pańskie programy, zakwaterowanie i posterunki.

– Może pan albo zapoznać się z tym tutaj, albo zabrać ze sobą.

– Jeśli zabierze pan ze sobą, to będzie wymagało zabezpieczenia na poziomie drugim i pańskiego podpisu na dokumentach.

– Lepiej zabiorą to ze sobą – stwierdził Barin. – Za cztery zmiany zaczną pełnić obowiązki i do tej pory powinienem zapoznać się z tym wszystkim.

– Poradzi pan sobie, sir. – Zuckerman pogrzebał chwilę w szufladzie i wyciągnął z niej plik papierów. – Kapitan chce mieć potwierdzenie pobrania wszystkich utajnionych dokumentów, więc tak naprawdę to jest papierkowa robota.

Barin podpisał we wskazanym miejscu.

– Kiedy powinienem to oddać?

– Jutro do czternastej, sir.

– Barin uśmiechnął się.

– Dziękuję, bosmanie.

– Miło mieć pana na pokładzie, sir.

Bywają gorsze sposoby rozpoczęcia służby niż nawiązanie przyjaźni ze starszym bosmanem... W zdecydowanie lepszym nastroju Barin zaczął rozpakowywać swój worek. Wiedział, że Zuckerman będzie równie krytyczny – a może nawet bardziej – jak każdy inny i że będzie musiał dostosować się do jego wymagań, ale jeśli starszy bosman bierze młodszego oficera pod swoje skrzydła, to tylko głupiec zmarnowałby szansę na naukę i wygodne życie. Prawdopodobnie ma to coś wspólnego z jego rodziną; to miło, że raz na jakiś czas może mieć z tego korzyść.

* * *

Od młodszych oficerów na specjalizacji dowódczej oczekiwano stosunkowo dobrej znajomości praktycznie wszystkiego, w związku z czym chorążowie przechodzili przez różne systemy i sekcje krążownika, ucząc się i popełniając błędy, na szczęście na tym poziomie mniej tragiczne w skutkach niż później. Pozostali trzej przebywający na pokładzie chorążowie zaczęli swoje dwumiesięczne przydziały od samego dołu – od układów środowiskowych – więc Barin spodziewał się, że jego pierwszym miejscem pracy będzie tak zwane „szambonurkowanie specjalne”.

– Nie można polegać na własnym nosie – powiedziała oficer pełniący funkcję technika urządzeń podtrzymywania życia, do której się zgłosił. – Czuje pan, że coś śmierdzi – i faktycznie tak jest – ale po jakimś czasie nos przyzwyczaja się do tego. Proszę używać urządzeń i odczytów, a także zakładać skafander. Te rzeczy są zabójcze.

Barin chciał zapytać, czemu w takim razie wszyscy nie są martwi, ale miał dość rozumu, żeby nie żartować z kimś takim jak pepeki Arendy. Z wyrazu jej twarzy widać było, że bardzo poważnie traktuje przerabianie ścieków i – jak podejrzewał – każdą wolną chwilę spędza na studiowaniu nowych technik.

Potem Arendy przeprowadziła go przez system, przy którego utrzymaniu miał pomagać,

wyjaśniając mu przeznaczenie każdej z oznaczonych różnymi kolorami rur, każdą etykietkę, zawór i wskaźnik. Potem przekazała go do Grupy Czyszczącej 3 i kazała przeprowadzić inspekcję systemu od wlewu 14 do wylewów 12 i 15.

– I proszę nie próbować tego starego numeru z flagsztokiem – ostrzegła go. – To moja ekipa testowa i zrobią dokładnie to – i tylko to – co im każe.

Barin westchnął i rozpoczął przegląd. Pamiętał prawie o wszystkim, zapomniał tylko zakręcić zawór między główną rurą i pośrednimi płuczkami. Arendy nieco niechętnie zaliczyła mu przegląd, ale potem spędziła dziesięć minut nad diagramami przepływu, wyjaśniając, czemu ten zawór powinien być zamknięty w trakcie rutynowych inspekcji.

* * *

Po kilku dniach Barin miał już wrażenie, że dobrze się dopasował. Wszyscy czterej chorążowie na specjalizacji dowódczej spali razem; byli dość mili i całkiem szczerze zadowoleni, że ktoś inny przejął na następne dwa miesiące obowiązki przy płuczkach.

Posiłki w mesie dla młodszych oficerów pozwoliły mu poznać innych – pepeków i poruczników – pełniących funkcję jego bezpośrednich przełożonych. Okazało się, że pepek Arendy potrafi mówić nie tylko o systemach kanalizacyjnych i że z pasją śledzi wszelkie wiadomości z życia gwiazd rozrywki i wyższych sfer.

Wraz z innymi dyskutowała o nich tak, jakby byli członkami rodziny, nieustannie mówiła o ich ubraniach, romansach i rozrywkach. Kiedy dowiedziała się, że Barin był w Copper Mountain z Brun Meager, zasypała go pytaniami. Czy naprawdę jest tak piękna jak na zdjęciach? Jakie nosi ubrania? Czy kręci się wokół niej wielu reporterów?

Barin odpowiadał tak, jak potrafił, i na szczęście Arendy nie przyszło do głowy, że on sam mógłby być obiektem zainteresowania Brun. Kiedy dyskusje o Brun stawały się nie do wytrzymania, wychodził z mesy. Wolał raczej słuchać opowieści Zuckermana o dawnych czasach przeżytych wraz z jego babką na *Delphine*. Babka nigdy nie opowiadała mu o tym, jak pocisk z uzbrojoną głowicą zablokował się w rurze wyrzutni.

Wspominał o tym młodszemu matowi Harcourtowi, gdy wymieniali razem kawałek jednej z rur.

– Zuckerman jest... No cóż, to Zuckerman – skomentował mat.

Barin był zaskoczony jego tonem. Jeszcze nigdy nie spotkał mata, który nie podziwiałby starszego bosmana. Chętnie zapytałby go o to, ale zaraz uznał, że lepiej tego nie robić. Niezależnie od tego, o co tu chodzi, zwykły chorąży nie powinien się wtrącać. Jeśli Harcourt ma jakiś poważny problem, może spokojnie porozmawiać na ten temat z dowódcą.

Kiedy właśnie doszedł do tego wniosku, Harcourt westchnął głęboko i zaczął mówić.

– Rzecz w tym, sir... że Zuckerman ma doskonałą kartotekę i nie chcę mówić nic przeciwko niemu. Ale on... zmienił się w czasie ostatniej trasy. Nie jest już tym człowiekiem, którym był.

Wszyscy o tym wiemy i bierzemy na to poprawkę.

Harcourt przerwał i spojrzał na niego wyczekująco; Barin uświadomił sobie, że spodziewa się komentarza.

– Rodzina? – zapytał cicho. Musiała to być właściwa reakcja, bo Harcourt wyraźnie się rozluźnił.

Bardzo przepraszam, sir, z całym szacunkiem, nie rozmawiałbym o tym z młodszym oficerem, ale pan jest Serrano... a bosman zawsze chętnie opowiada o czasach, gdy służył u Serrano na *Delphine*. To nie jest coś, co my możemy zrozumieć. To nie dzieje się przez cały czas. Po prostu czasami... jakby zapominał o różnych rzeczach. Takich, o których się nie zapomina, nie w jego wieku. My – ja – musimy na przykład cały czas sprawdzać ustawienia jego kombinezonu próżniowego. W trakcie jednego z ćwiczeń nawet nie uszczelnił swojego kombinezonu.

Nie powinien tego słuchać, powinien to usłyszeć ktoś znacznie starszy stopniem. To, że człowiek pokroju bosmana Zuckermana zapomina uszczelnić swój kombinezon, jest zbyt poważne, by zajmował się tym chorąży.

– Powiedziałem o tym majorowi Surtseyowi – mówił dalej Harcowi. – Zaaranżował wezwanie bosmana na wrywkowe badania lekarskie, ale... to był jeden z jego dobrych dni, a wtedy jest bystrzejszy ode mnie. Potem majora przeniesiono, a ja... ja po prostu... nie bardzo wiem, co mam z tym zrobić.

A więc ta śmierdząca sprawa właśnie została przekazana bardzo młodemu chorążemu Serrano. Nic nie przyjdzie mu z powiedzenia Harcourtowi, że on też nie czuje się z tym dobrze. Zakres pracy chorążych nic nie mówi o komforcie psychicznym.

– Chciałby pan, żebym powiedział o tym komuś z góry? – zapytał.

– To już zależy od pana, sir – odpowiedział Harcourt. – Choć... – jeśli wolno mi coś zasugerować...

– Jasne. – Skoro matowi udało się już wciągnąć w to chorążego, może go dalej wykorzystać.

– Komandor Dockery... lubi mieć... wszystko na papierze, sir, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

– Innymi słowy, powinienem sam to zbadać i zebrać dokumentację?

– No cóż... Tak, sir.

Musi coś mieć, to pewne, coś więcej niż tylko informację od młodszego mata, który może mieć jakieś urazy, o których Barin nic nie wie. Osobiście nie miał pojęcia, jak sprawdzić, czy starszy bosman z jakichś powodów zaczyna wariować.

Przypomniał sobie, co Brun mówiła o tamtym mężczyźnie w Szkole. Jak on się nazywał? Twierdziła, że popełniał zbyt wiele błędów, ale to było tuż przed tą wielką kłótnią z Esmay. Barin nie miał pojęcia, co stało się potem i czy ktokolwiek potwierdził podejrzenia Brun. W końcu była tylko cywilem i mogła nie powiedzieć o tym nikomu innemu.

Mimo wszystko zaczął uważnie obserwować Zuckermana, gdy tylko obowiązki sprowadzały go w pobliże mężczyzny. Bosman był bardzo podobny do wszystkich znanych mu starszych bosmanów; dekady doświadczenia dały mu wiedzę, którą trudno było ocenić niedoświadczonemu chorążemu. Zuckermanowi mogłoby wiele brakować, a on i tak nigdy by tego nie zauważył. Lubił bosmana, a ten zdawał się lubić jego; miał wrażenie, że bosman polubiłby niemal każdego Serrano. Miał nadzieję, że nie znajdzie żadnych powodów do troski, ale jednocześnie martwił się, że może nie zauważyć czegoś ważnego.

Przeważnie jednak był zbyt zajęty, żeby się martwić i znaleźć czas na częste odwiedzanie Zuckermana. Miał własną pracę, i to w rejonie statku oddalonym od miejsca pracy Zuckermana, miał wachty do zaliczenia, inspekcje do wykonania, zabierające mu czas zajęcia. Miał także kolegów i innych chorążych na specjalizacjach dowódczej i technicznej, którzy z czasem byli dla niego coraz ważniejsi. Jaredi Leah byli ze sobą związani, a Banet co drugi dzień nagrywał kostkę dla kogoś na

Greylagu. Kiedy Micah pokłócił się z Jaredem co do planów świętowania rocznicy przyjęcia statku na służbę, Leah napadła na Micaha w mesie dla młodszych oficerów w sposób, który boleśnie przypominał Barinowi o Esmay.

Próbował o niej nie myśleć. W miarę upływu czasu nie potrafił być na nią zły, ale wciąż jej nie rozumiał. Jeszcze na *Koskiusko* bardzo się lubili i dzielili tajemnice, których żadne z nich nie zdradziło nikomu innemu. Myślał, że Esmay ucieszy się z jego obecności w Copper Mountain, a tymczasem – nawet biorąc pod uwagę, że była wyjątkowo zajęta i zmęczona – coś się zmieniło, była jakaś rezerwa, napięcie. I była jeszcze Brun, która zawsze kręciła się w pobliżu, gdy chciał porozmawiać z Esmay, i zawsze miała nadmiar wolnego czasu. Brun była wylewna, podczas gdy Esmay pozostawała skryta; radosna, gdy Esmay była poważna.

Zabawna, gdy Esmay była... nie powiedziałaby, że nudna, bo dla niego nigdy taka nie była, ale... zajęta, tak naprawdę wciąż nieobecna, choć siedziała tuż obok niego.

Może nigdy go nie kochała. Może to się skończyło, a ona była zbyt uprzejma, by mu powiedzieć. Ale to nie miało sensu, skoro była zła, bo myślała, że Brun zaciągnęła go do łóżka. Pomyślał o wysłaniu listu... ale doszedł do wniosku, że kłótnia nie była jego winą.

* * *

W miarę upływu czasu Barin coraz lepiej poznawał innych młodszych oficerów i coraz częściej spotykał jednego z nich: Caseę Ferradi. Słyszał o niej jeszcze w Akademii, ale ukończyła ją, zanim on zaczął studia. Wiedział, że plotki z czasem nabierają barw, więc przypuszczał, że opowieści o jej urodzie i zachowaniu były mocno przesadzone.

Zwrócił uwagę na porucznik Ferradi z powodu jej włosów – niezwykłego odcienia blond, podobnego do koloru włosów Brun, z tym że włosy Brun żyły własnym życiem; skręcały się energicznie w loki nawet tuż po czesaniu, a kiedy była zła lub podekscytowana i wkładała w nie palce, wyglądała jak rozczochrany pudel. Tymczasem włosy porucznik Ferradi spływały lśniąco po obu stronach jej idealnych kości policzkowych. Blondynki były we Flocie rzadkością. Może stąd wziął się przydomek porucznik Ferradi, Złota, który usłyszał już pierwszego wieczoru w mesie dla młodszych oficerów.

Zwrócił na nią uwagę również dlatego, że wciąż pojawiała się tam, gdzie on. Była pepekiem na wachtach, więc oczywiście wiele czasu przebywali w tych samych miejscach. Zaczął jednak uświadamiać sobie, że widuje ją znacznie częściej niż któregokolwiek z pozostałych pepeków, nawet gdy nie jest na wachcie.

Nie pomyślał, że mogła być w Akademii w klasie Esmay, dopóki sama o tym nie wspomniała.

– Zna pan porucznik Suizę, prawda, chorąży? – spytała, przygotowując raport z wachty.

– Tak jest, sir.

– Zastanawiam się, czy bardzo się zmieniła. Wie pan, byliśmy w jednej klasie.

– Nie wiedziałem o tym. – Ciekaw był, czy potrafiłaby mu pomóc w zrozumieniu zachowania Esmay.

No, wie pan – mówiła dalej Ferradi, manipulując przy swoim infoprecie – ona zawsze była taka sztywna i oficjalna. Niezbyt przyjazna. Ale z tego, co wszyscy mówią, okazała się urodzoną przywódczynią, więc zastanawiałam się...

Gdzieś w jego umyśle rozległy się dzwonki alarmowe, ale nie zareagował na ich dźwięk.

– Tak, jest dość oficjalna... ale sędzę, że to ma związek z jej pochodzeniem.

– Ach tak. – Ferradi przewróciła oczami. – Wie pan, obie byłyśmy kolonialnymi wyrzutkami. Ja jestem ze Światów Półksiężycy, i wydaje mi się, że wciąż oczekują ode mnie noszenia długiej jedwabnej szaty. – Barin nie miał pojęcia, co miała na myśli, i jego twarz musiała to zdradzić, bo dziewczyna roześmiała się. – Och, pewnie nie widział pan tych kostek przygodowych o nas. Wydaje mi się, że kostiomy biorą jeszcze ze Starej Ziemi, bo obecnie nikt już nie nosi długich zwiewnych szat, które zakrywają młode kobiety od stóp do głów i powiewają wdzięcznie na wietrze.

Barin nie miał czasu zastanowić się, dlaczego w jego głowie znów uruchomiły się dzwonki alarmowe, ponieważ Ferradi mówiła dalej przyjemnym, nieco chropawym głosem, tonem lekkiego rozbawienia.

– Esmay... porucznik Suiza powiedziała mi kiedyś, że – cała jej rodzina to wojskowi. Bardzo oficjalni, bardzo poprawni. Dlatego jestem w stanie zrozumieć, czemu pokłóciła się z córką Mówcy, ale nie bardzo wiem, jak mogła kogokolwiek poprowadzić do walki.

Barin otworzył usta, zanim powstrzymała go ostrożność; czuł, że musi coś powiedzieć.

– Ja... nie wiedziałem, że ta kłótnia jest powszechnie znana.

Ferradi znów się roześmiała.

– Nie bardzo wiem, jak można było zachować ją w tajemnicy.

– W końcu mówili o tym w wiadomościach. Z tego, co słyszałam, wrzeszczała jak harpia i powiedziała córce Pierwszego Mówcy, że ma nie więcej moralności niż portowa dziwka.

– Wcale tak nie było! – zaprotestował Barin. Nie mógł zaprzeczyć, że doszło do kłótni, ale instynkt kazał mu bronić Esmay.

Ferradi popatrzyła na niego z pobłażliwym uśmiechem, pod wpływem którego poczuł się jak małe dziecko.

– Ależ w porządku, poruczniku, nie będę pana namawiać, żeby odwrócił się pan plecami do bohaterki Floty.

* * *

Ferradi sprawiała, że czuł się nieswojo. Ciągłe widział jej wpatrzone w niego fiołkowe oczy i skrzywione z rozbawienia usta.

Naruszała jego przestrzeń w taki sposób, w jaki nigdy nie robiła tego Esmay. Brun, choć była otwarcie zainteresowana jego ciałem, bez urazy wycofała się, gdy jej odmówił. Ale ta...

Poszedł do sali gimnastycznej, rozmyślając, że to, co się dzieje, jest jego winą. Musiał coś zrobić – choć nie potrafił powiedzieć, co takiego – czym wzbudził jej zainteresowanie. Wspiął się na zarezerwowane wcześniej urządzenie gimnastyczne i uruchomił je. Podczas rozgrzewki i wyciskających pot ćwiczeń jego umysł powędrował do Esmay. Była teraz pierwszym oficerem na wyspecjalizowanej jednostce; wyobraził ją sobie uczestniczącą w misji ratunkowej. Mogłaby zrobić coś spektakularnego i odzyskać łaski wszystkich.

– Witaj, chorąży. – Chropawy głos wyrwał go z zamyślenia.

– Tuż obok, na sąsiednim urządzeniu, ćwiczyła Ferradi. Barin zamrugał, zaskoczony. Nie wpisała się na ten przyrząd; sprawdził to. Ale teraz rozgrzewała się i jej ciało wbite w błyszczący strój gimnastyczny, który podkreślał każdą wypukłość, lśniło jak jej złote włosy. Barin kiwnął jej

głową na powitanie.

– Ciężko pan pracuje – powiedziała, uruchamiając własną maszynę. – Pewnie to typowe dla Serrano, co?

Powinien coś odpowiedzieć; nieuprzejmie byłoby zignorować ją, a być może nawet byłaby to niesubordynacja.

– Tego... oczekuje się od nas, sir – odpowiedział.

– Na sali gimnastycznej możemy zapomnieć o formalnościach – powiedziała. – Podoba mi się... twoje podejście i wyniki, Barin. – Jej spojrzenie przesunęło się po nim ze szczególną uwagą, której nie mógł nie zrozumieć.

No cóż... Będzie musiał jakoś na to odpowiedzieć... ale zanim to zrobił, po drugiej stronie maszyny Ferradi pojawił się major Osłon.

– Hej, Casea, daj Serrano skończyć ćwiczenia. I tak jest dla ciebie za młody.

Dziewczyna rzuciła Barinowi ostatnie przeciągłe spojrzenie i odwróciła się do Osłona.

– Ależ majorze, jest pan niepoprawny. Czemu uważa pan, że interesuję się chorącym Serrano?

– Miło słyszeć, że tak nie jest. Musiał mnie zmylić ten dopasowany strój gimnastyczny.

– Ten starość? – Barin widywał już bardziej subtelne flirtowanie w wykonaniu ekspertów w tej dziedzinie, ale Osłon wcale nie wyglądał na dotkniętego. Poprzekomarzał się z Caseą jeszcze przez chwilę, a potem zaprosił ją na mecz parpauna. Zgodziła się, jeszcze raz rzucając Barinowi przeciągłe spojrzenie, które mocno go zaniepokoiło.

* * *

Kilka dni później Barin przechodził przez pokład załogowy, dokonując rutynowej inspekcji sitek w głowicach. Jego uwagę zwróciły jakiś dziwne odgłosy. Zatrzymał się. W którym to pomieszczeniu? Nieco z przodu, po prawej. Szuranie i uderzenie, a potem odgłosy ciągnięcia czegoś ciężkiego. Wreszcie udało mu się zlokalizować źródło dźwięków: D-82.

Zajrzał i zobaczył starszego bosmana Zuckermana, jak z twarzą niemal fioletową ze złości i wysiłku ciągnie kogoś za nogi.

– Bosmanie, co tu się dzieje?

– Zejdź mi z drogi! – wystękał z wysiłkiem Zuckerman. Zdawał się nie poznawać Barina, czy miał zamglone.

– Bosmanie... – Barin nie widział, do kogo należą nogi, które ciągnął bosman. Kiedy przebiegł wzrokiem wzdłuż rzędu stelaży, na jednym z nich zamiast człowieka zobaczył leżącą na poduszce... kaburę igłowca.

– Bosmanie, proszę to odłożyć. – Barin nie miał pojęcia, co się stało, ale najwyraźniej oznaczało to kłopoty. Sięgnął do przycisku alarmowego obok wjazdu.

– Och nie, nie dotykaj tego, dzieciaku! – Zuckerman puścił nogi mężczyzny i zaatakował go. Barin zdążył uskoczyć, a Zuckerman nie wyhamował i wpadł na przeciwległą ścianę. Barin uderzył w alarm, włączając lokalny skan.

– Ochrona, natychmiast! – krzyknął do mikrofonu. – Nieprzytomny człowiek, możliwa napaść!

Zuckerman odwrócił się do niego znacznie wolniej niż przed chwilą.

– Ten drań mnie zaatakował. Mnie, starszego bosmana z... z... – dwudziestoma... dwudziestoma... – Potrząsnął głową. – Nie powinien był tego robić. Nie miał prawa.

– Bosmanie – odezwał się ostrożnie Barin. – Co się stało?

– Nie pyskuj mi tu, chłopcze – odpowiedział Zuckerman. Jego oczy zwięzły się. – Co, u diabła, robisz tutaj z insygniami oficera?

– To nielegalne. Chcesz, żeby cię wyrzucili? Natychmiast zdejmijcie te rzeczy z munduru, szeryfie.

– Starszy bosmanie Zuckerman – powiedział Barin. – Zadałem wam pytanie. – Pierwszy raz w życiu usłyszał w swoim głosie stanowczy ton Serrano, sięgającą aż do kości dumę człowieka, który dobrze zna swoją wartość.

Zuckerman popatrzył na niego i zbladł.

– Chorąży... Serrano? Co... o co mnie pan zapytał, sir?

– Bosmanie. – Barin spróbował jeszcze raz, bardzo ostrożnie.

– Gdzie jest ekipa bezpieczeństwa? Ile to jeszcze potrwa? – Jestem dzisiaj oficerem wachtowym. Usłyszałem coś dziwnego i zajrzałem tutaj. Był pan w 82 i ciągnął kogoś za nogi, a na łóżku leżała kabura na igłowiec. – Zuckerman zrobił krok do przodu, ale Barin podniósł rękę. – Nie, proszę tam nie wchodzić. Bezpieka już tu idzie; nie chcę, żeby coś ruszano. Czy może mi pan powiedzieć, co się stało?

– Ja... on... on chciał mnie zabić. – Zuckerman zaczął się pocić, jego twarz aż błyszczała od potu. Rytmicznie zaciskał i otwierał dłonie. – Wyciągnął igłowiec i powiedział, że nigdy go nie złapią. – Potrząsnął głową, a potem znów popatrzył na Barina. – Gdybym nie miał dobrego refleksu, już byłbym martwy. Więc ja... złapałem go za rękę, odebrałem igłowiec i... uderzyłem... – Zbladł i zachwiał się. – Uderzyłem go – wyszeptał. – Uderzyłem go... a potem znów... i...

– Bosmanie, proszę nie ruszać się z miejsca.

Zuckerman skinął głową.

– Tak jest, sir. Aleja... ja nie wiem...

– Po prostu nie ruszajcie się. Muszę zbadać tego człowieka.

– Jak on się nazywa?

– Moredon. Kapral Moredon.

– Dobrze. Wejdę tam, ale chcę, żeby pan został dokładnie tu, gdzie pan teraz stoi.

Moredon leżał bez ruchu w miejscu, gdzie zostawił go Zuckerman. Barin podszedł bliżej. Widział teraz siniaki i krew na jego głowie oraz długi krwawy ślad na pokładzie. Czy jeszcze oddycha? Ukląkł obok bezwładnego ciała. Z otwartych ust dobiegało ciche posapywanie; poczuł na wierzchu dłoni oddech mężczyzny.

Wstał i wrócił na korytarz. Zuckerman stał dokładnie tam, gdzie mu kazał, a korytarzem właśnie nadchodziła ekipa bezpieczeństwa w towarzystwie medyka.

– Sir? – odezwał się sierżant dowodzący ekipą. Spojrzał najpierw na Barina, potem na Zuckermana, a później w dół na dłonie bosmana i z powrotem na jego twarz. Barin widział w jego oczach zmieszanie.

– W 82 leży nieprzytomny mężczyzna – stwierdził rzeczowo Barin. – Ma rany głowy, ale

oddycha. Musicie zabezpieczyć teren dla ekipy śledczej i poszukać igłowca.

– Tak jest, sir – odpowiedział sierżant. Wysłał medyka do wskazanego pomieszczenia i wydał swoim ludziom niezbędne rozkazy.

– Potem spojrzął na Barina.

– Czy... no... ten mężczyzna w 82 zaatakował bosmana Zuckermana? Albo pana?

– Jeśli pan pozwoli, sierżancie, proszę po prostu zabezpieczyć teren i dopilnować odpowiedniego potraktowania rannego. – Zanim sierżant zdążył odpowiedzieć, Barin odwrócił się do Zuckermana. – Bosmanie, chciałbym, żeby poszedł pan ze mną i złożył raport. Może pan to zrobić?

– Oczywiście, sir. – Zuckerman wyprostował się. – W czym problem?

Barin sam chciałby znać odpowiedź na to pytanie.

– To już ustali pierwszy oficer – odpowiedział. Kiedy ruszył w drogę na pokład dowodzenia, pomyślał, że może powinien był zabrać ze sobą eskortę. Co by było, gdyby Zuckerman znów zrobił się agresywny? Nie powinien, ale mimo to przez całą drogę czuł się nieswojo, mając Zuckermana za plecami.

Na widok komandora porucznika Dockery'ego, który właśnie schodził po drabince z pokładu dowodzenia, zatrzymał się na baczność.

– O co chodzi, chorąży?

– Sir, mamy poważny problem. Mogę mówić?

– Proszę. Chwileczkę, kto jest z panem?

– Bosman Zuckerman, sir. Doszło do incydentu...

– Wiem, wezwał pan ekipę bezpieczeństwa. Spocznij, obaj.

A więc wreszcie wyduś to z siebie, chorąży.

Barin zaczął mówić, aż za bardzo świadom wieku, doświadczenia i przebiegu służby Zuckermana, który tymczasem stał obok i sprawiał wrażenie bardzo zagubionego.

Doekery spojrzął na Zuckermana.

– No więc, bosmanie?

.Głos Zuckermana drżał.

– Komandorze, ja... nie do końca wiem, co zaszło.

– Czy ten człowiek pana zaatakował?

– Ja... tak mi się wydaje. Tak, sir, zrobił to. Ja... prawie to widzę.

Doekery spojrzął na Barina w sposób, którego ten nie potrafił zinterpretować.

– Czy pan... zrobił coś z bosmanem, chorąży?

– Nie, sir.

– Czy ekipa bezpieczeństwa podała mu środki uspokajające?

– Nie, sir.

– Przeszedł pan całą drogę tutaj z kimś, kogo oskarża pan o napaść, bez podania mu środków uspokajających albo zabrania ze sobą straży?

– Sir, on się uspokoił. Nie był...

Doekery uruchomił jeden z paneli komunikacyjnych na ścianie.

– Pierwszy do medycznego, przysłać mi natychmiast ekipę. – Odwrócił się z powrotem do Barina. – Chorąży, bosman najwyraźniej nie jest sobą. Zanim zrobimy cokolwiek innego, należy go poddać badaniom medycznym.

– Ja dobrze się czuję, komandorze – odezwał się Zuckerman. Faktycznie, wyglądał jak wzorowy starszy bosman. – Przykro mi, że zdenerwowałem chorążego, ale nie jestem pewien, czym.

– To tylko rutynowe badania, bosmanie – zapewnił go Dockery. – Sprawdzą i upewnią się, że nic panu nie jest.

Przybył zespół medyczny z noszami.

– Komandorze?

– Bosman Zuckerman miał dziś rano problemy z koncentracją. Zaprowadźcie go do lazaretu i zróbcie badania. Może trzeba będzie podać mu coś na uspokojenie.

– Nic mi nie jest – zaprotestował Zuckerman. Barin zauważył, że jego kark znów robi się czerwony. – Ja... przepraszam, admirale! – Patrzył na Barina i sztywno salutował. Barin poczuł formującą się w żołądku lodową kulę; oddał salut, żeby nie zdenerwować Zuckermana. – Jak pan każe, admirale – dodał bosman.

– Wszyscy obecni zamarli na widok starszego bosmana, który myli chorążego z admirałem.

– To tylko rutynowe badania – powtórzył Barin, nie odwracając wzroku, aby sprawdzić reakcję komandora Dockery'ego. Zuckerman wpatrywał się w niego z podziwem i jednocześnie strachem. – Wszystko będzie dobrze, bosmanie – dodał, starając się włożyć w te słowa jak najwięcej tonu Serrano. Zuckerman znów się odprężył.

– Jeśli można, sir.

– Idźcie, bosmanie – powiedział Barin. Przez chwilę obserwował, jak medycy prowadzą bosmana z troską typową dla profesjonalistów.

– No cóż, chorąży – odezwał się komandor Dockery – niezłego narobiliście bałaganu, co?

Barin miał dość rozsądku, by nie zaprotestować, że to nie jego wina.

– Wiem, komandorze, że nie postąpiłem właściwie, ale nie bardzo wiedziałem, co powinienem być zrobić.

Proszę ze mną, powiem to panu po drodze na pokład załogowy. – Dockery ruszył przodem, a Barin tuż za nim. Po chwili usłyszał rzucone przez ramię pytanie: – Co pan wiedział na temat problemów Zuckermana?

– Ja, sir? Niewiele. Powiedział mi o tym inny podoficer, ale dodał, że sprawdzał to inny oficer i niczego nie znalazł.

– A pan szukał czegoś czy po prostu zignorował całą sprawę?

– Szukałem, sir, ale za każdym razem, gdy z nim rozmawiałem, bosman Zuckerman sprawiał wrażenie całkowicie normalnego. No, może raz... ale nie wydało mi się to istotne.

– I nie uznał pan za stosowne, aby przekazać wyżej to, co powiedział panu podoficer?

Barin zaczynał już dostrzegać, na czym polegał jego błąd.

– Sir, chciałem mieć coś konkretnego, zanim będę panu zawracać głowę.

Dockery parsknął.

– Reaguję równie niechętnie na zawracanie mi głowy bzdurami jak każdy inny człowiek, ale jeszcze bardziej nie podoba mi się, gdy ktoś pozwala, aby problem narastał, bo nie wie, co z nim

zrobić.

– Powiniennem był natychmiast to zgłosić, sir.

– Tak. A gdybym nawet zmył panu głowę za przynoszenie mi nieprecyzyjnych raportów... Cóż, od tego są chorążowie. Gdyby pan mi to powiedział albo zrobiłby to ten tajemniczy podoficer...

– A przy okazji, kto to był?

– Młodszy mat Harcourt, sir.

– Myślałem, że Harcourt ma więcej rozumu. Komu powiedział o tym wcześniej?

– Majorowi Surtseyowi, który został przeniesiony. Powiedział, że bosmana poddano badaniom medycznym, ale niczego nie znaleziono.

– Pamiętam... Pete powiedział mi o tym, zanim się przeniósł, i stwierdził, że nie znaleźli niczego konkretnego. Obiecałem mu mieć sprawę na uwadze... myśląc, że moi oficerowie będą mieli dość rozsądku, żeby przekazać mi wszystko, co zauważą.

– Przepraszam, sir – powiedział Barin.

– No cóż, wszyscy młodzi popełniają błędy, ale one mają swoje konsekwencje. W tym przypadku, jeśli się nie mylę, w grę może wchodzić zrujnowana kariera dobrego człowieka.

Byli już na pokładzie załogowym i Dockery zmierzał energicznie do właściwego korytarza, jakby nawet na chwilę nie chciał się zatrzymać i zastanowić.

Ekipa bezpieczeństwa zablokowała już korytarz, a w chwili przyjścia Dockery'ego to samo robiła grupa dochodzeniowa.

– Komandorze, czy możemy zabrać się do zbierania dowodów?

– Jeśli zrobiliście już skan. Proszę ze mną, chorąży. Chcę panu pokazać, jak to się robi.

Gdyby nie ciążyła mu świadomość popełnionych błędów, Barin uznałby następną godzinę za fascynującą. Niestety zaraz potem spędził znacznie mniej przyjemne chwile w biurze Dockery'ego.

– Pamiętaj, że ochrzan, jaki możesz ode mnie dostać za zawracanie mi głowy nie istniejącym problemem, zawsze będzie mniejszy niż za nieinformowanie mnie o rzeczywistym problemie.

– Tak jest, sir.

– Jeśli u Zuckermana nie stwierdzą jakiegoś problemu medycznego – a poważny problem, który usprawiedliwiłoby to, co zaszło, prawdopodobnie byłby podstawą do zwolnienia go – bosman będzie w poważnych tarapatach.

Nagle coś zaskoczyło w umyśle Barina. Problem zdrowotny?

Odchrząknął.

– Sir?

– Tak?

– Ja... Właśnie coś mi się przypomniało, sir, odnośnie do innego starszego podoficera w Copper Mountain.

– Czy to ma jakiś związek z tą sprawą?

– Możliwe, sir. Ale to nie jest coś, co sam zaobserwowałem, tylko kiedy powiedział pan o problemie zdrowotnym...

– Proszę mówić, chorąży.

Barin zwięźle zrelacjonował historię starszego bosmana, u którego ludzie dostrzegli dziwne luki

w pamięci.

– Sir, pamiętam, jak mi mówiono, jeszcze na *Koskiusko*, że starszy bosman nadzorujący magazyny przeszedł po bitwie załamanie nerwowe. Wszyscy byli zaskoczeni, ponieważ on już nieraz brał udział w walce, a tym razem nawet nie uczestniczył bezpośrednio w działaniach wojennych.

– I... zastanawia się pan, co wpłynęło na tych trzech starszych bosmanów? Czy ma pan pojęcie, ilu starszych bosmanów służy w całej Zawodowej Służbie Kosmicznej?

– Nie, sir – odpowiedział żałośnie Barin. A więc to też był głupi pomysł.

– Oczywiście do czasu, zanim awansują na starszego bosmana, większość osób sprawiających jakieś problemy zostaje wyeliminowana – powiedział Dockery. – Ale to dziwne. Powiem o tym lekarzom i zobaczymy, czy ktoś z nich będzie miał jakieś pomysły.

Grzechy Barina sprowadziły na niego jeszcze jedną burę, tym razem ze strony kapitana.

– Chorąży, komandor Dockery miał już okazję dobrać się panu do tyłka, teraz moja kolej. Ale najpierw zobaczmy, czy rozumie pan, co zrobił źle, albo raczej czego nie zrobił pan właściwie.

– „Jak jest, sir. Wiedziałem o problemie i nie poinformowałem o nim komandora Dockery’ego albo pana.

– Ponieważ...

– Ponieważ myślałem, że powinienem zebrać więcej informacji, dysponować konkretnymi przykładami incydentów, zanim będę zwracał... zanim powiem o tym jeszcze komuś.

– Rozumiem. Serrano, takie działania mogą wynikać z różnych pobudek, i chciałbym dostać od pana jasną odpowiedź. Czy chciał pan chronić reputację bosmana Zuckermana, czy zyskać dobrą opinię przez przyniesienie mi soczystego kawałka?

Barin zawahał się przed udzieleniem odpowiedzi.

– Sir, myślę... że z początku byłem zdezorientowany. Kiedy inny podoficer powiedział mi o Zuckermanie, byłem zaskoczony; moją pierwszą myślą było, że ma jakąś osobistą urazę do bosmana. Ale kiedy powiedział, że zgłaszał to już wcześniej i że major potraktował to poważnie... pomyślałem, że to może być prawdziwy problem. Tylko że badanie medyczne niczego nie wykazało.

Nie wiedziałem, czemu podoficer zwierzył się właśnie mnie, czułem się z tym niezręcznie. Pomyślałem więc, że będę miał oko na tę sprawę i udokumentuję wszystko, co zauważę.

– I niczego pan nie zauważył?

– Nie, sir. Bosman Zuckerman cieszył się mniejszym szacunkiem załogi niż bym się spodziewał, ale nie można było mówić o niesubordynacji. Zauważyłem, że nie interweniuje w pewnych sytuacjach, w których spodziewałbym się jego działania. Popełnił tylko dwa błędy, które udokumentowałem, ale nawet starszy bosman jest tylko człowiekiem. Nie chciałem rozpytywać o niego, on zasługuje na lepsze traktowanie...

– Chwileczkę. Chce mi pan powiedzieć, że dokonał pan oceny... że czuł się pan upoważniony do stwierdzenia, że Zuckerman „zasługuje na lepsze traktowanie”? Zuckerman pana lubi, to jasne.

– Czy faworyzowanie przez niego pańskiej rodziny miało wpływ na pana postawę, czy po prostu przekroczył pan swoje kompetencje?

– Sir, teraz już wiem, że przekroczyłem swoje kompetencje, ale nie zrozumiałem tego na czas.

– Rozumiem. A więc pomyślał pan sobie, że będzie miał na niego oko, udokumentuje wszelkie problemy i przyniesie raport do... Właściwie do kogo zamierzał pan przynieść ten raport, zakładając, że do czegoś by pan doszedł?

Szare, zimne spojrzenie kapitana sprawiało, że umysł Barina niemal opustoszał. Ale życiowe doświadczenie nawet w ataku paniki podpowiedziało mu właściwą odpowiedź.

– Do dowódcy bosmana Zuckermana, sir, komandora porucznika Orsteina.

– Chociaż tyle dobrze. I czego spodziewał się pan po przedstawieniu tego raportu?

– Sir, pomyślałem, że komandor Orstein przejrzy go, może przeprowadzi własne śledztwo, a potem podejmie takie działania, jakie uzna za stosowne.

– I straciłby pan kontakt z tą całą sprawą?

– Tak jest, sir.

– A jak pan myśli, co Orstein zrobiłby z panem, szczeniakiem, który przyniósł mu zdechłą mysz?

– Ja... nie myślałem o tym, sir.

– Trudno mi w to uwierzyć.

Sir, nikt nie cieszyłby się, odkrywając, że starszy bosman traci... skuteczność działania, sir. Starsi bosmani mają... szczególną pozycję. – To nie było właściwe słowo, ale jedyne, jakie przyszło mu do głowy.

– Tak, to prawda. A więc jeśli dobrze rozumiem to, co pan mówi, doszedł pan do wniosku, że komandor porucznik Orstein przeżuje pana i wypluje, a potem... może podejmie własne śledztwo.

– Tak jest, sir.

– Powiedz mi, Serrano, czy jest pan pewien, że gdyby natknął się pan na poważne problemy, zaryzykowałby pan to przeżucie, żeby zgłosić raport o Zuckermanie?

– Tak jest, sir! – Barin nie potrafił ukryć zaskoczenia.

– No cóż, to już jest coś. Powtórzę jeszcze raz to, co z pewnością powiedział już panu Dockery: młodszy oficer wykazujący inicjatywę i zwracający głowę starszemu oficerowi drobnym problemem jest irytujący, ale ukrywanie przed zwierzchnikami poważnego problemu jest niebezpieczne... i na dłuższą metę nielojalne.

Gdyby zgłosił pan to wcześniej, problemy bosmana Zuckermana cokolwiek to jest – zostałyby odpowiednio potraktowane w ramach struktury dowodzenia, a ja nie zostałbym schwytany bez spodni i nie czułbym się zażenowany. Zakładam, że pan to rozumie, i mam nadzieję, że więcej pan tego nie zrobi. Jeśli nie, kłopoty, jakie ma pan teraz, będą niczym iskra przy wybuchu jądrowym. Zrozumiano?

– Tak jest, sir.

– To wynosić się stąd i bardziej się starać.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

OSK *Gryfalcon*

Porucznik Casea Ferradi wiedziała, że wygląda jak chodząca reklama Floty. I o to jej chodziło. Każdy włos na głowie układał się dokładnie tak, jak powinien, a pod idealnie wygiętymi brwiami błyszczały inteligencją fiołkowe oczy. Rysy jej twarzy – wyraźne kości policzkowe, elegancka linia podbródka, krótki prosty nos i namiętne usta – pasowały do powszechnego wyobrażenia prawdziwej piękności.

Dla tego wszystkiego warto było przejść biorzeźbienie. Zawsze pragnęła zostać oficerem Floty... Nie, szczerze mówiąc, dowódcą Floty. Rodzice powiedzieli jej, że po raz pierwszy zobaczyła siebie w roli dowódcy okrętu międzygwiazdowego jeszcze jako dziecko. Casea Ferradi urodziła się po to, aby być bohaterką, aby dowieść, że kobieta ze Światów Półksiężycy może zrobić wszystko.

Życie dziewczyny ze Światów było niezwykle trudne, a na dodatek jej twarz i ciało, typowe dla jej kolonii, w niczym nie przypominały tego, co widywała na filmach i wiadomościach z Floty.

Subtelne rysy twarzy, mocno opadające ramiona i obfite biodra – to wszystko, co wysoko ceniono w rodzimej kulturze – nie pasowały do jej marzenia.

Rodzice byli zaszokowani, kiedy powiedziała im, czego chce, ale w wieku dziesięciu lat dziewczynki mogły już zwracać się w ważnych sprawach do całego klanu, a nie tylko do rodziców.

Koło Ciotek szybko poparło jej pragnienie udania się poza planetę; kobiety wiedziały, że jest zbyt inteligentna, by mieć powodzenie na lokalnym rynku matrymonialnym. Aby zwiększyć jej szanse, rodzice wyrazili zgodę na biorzeźbienie.

– Jeśli będzie wyglądać zupełnie inaczej, nie będą wiedzieli, że jest stąd, i jej niekobiece zachowanie nie będzie przynosić nam wstydu.

Po trzech latach przemodelowywania jej ciała Casea przystąpiła do egzaminów wstępnych do Floty, zdała je i na zawsze opuściła dom.

Gdy znalazła się w Akademii, odkryła, że rówieśnicy wcale nie uważają jej nowych kształtów za niekobiece i pozbawione seksapilu. Jej złotoblond włosy i zgrabnie przycięta grzywka wzbudzały ogromne zainteresowanie, a zachowania podpatrzone u jej starszych sióstr i kuzynek przyciągały do niej wszystkich młodych mężczyzn.

Chroniona przez standardowy implant dostarczany wszystkim kadetom Akademii, przeszła od zainteresowania do eksperymentów, a potem do żywiołowej aktywności. Wykłady na temat etyki związków nawet nie zadrasnęły jej pewności siebie. Uważała, że gdyby Flota podchodziła do tego poważnie, młodzi mężczyźni z uznanych rodzin Familii nie rwaliby się tak do zaciągnięcia jej do łóżka, a kobietom nie dawano by implantów. Młodzi ludzie z rządzących Familii nie ukrywali bowiem swojej aktywności seksualnej; Casea oglądała wystarczająco dużo wiadomości, by się w tym orientować.

Bardziej rozgniewało ją niż zaniepokoiło odkrycie, że część koleżanek z klasy złośliwie komentuje jej zachowanie.

– Casea... Cóż, zaciągnie do łóżka wszystko, co żyje – powiedziała jedna z nich któregoś ranka pod prysznicem. To niesprawiedliwe, ona nie była zainteresowana brzydkimi czy nudnymi osobami.

– Kiedyś wpakuje się w kłopoty – odpowiedziała inna z troską w głosie.

– Przecież żaden z nich nie oskarżył jej o uwiedzenie!

Inne koleżanki wyrażały cichą dezaprobatę. Esmay Suiza, w której upatrywała naturalnej sojuszniczki – obie były jedynymi kadetkami z odległych planet – okazała się albo świętoszkowatą skromniczką, albo aseksualną krową. Po pierwszym roku Casea zrezygnowała ze znajomości z Esmay; doszła do wniosku, że Suiza nie ma odpowiednich cech charakteru, by stać się przyjaciółką popularnej piękności, a ona nie potrafiła tolerować chłodnego, sztywnego zachowania dziewczyny.

Po ukończeniu Akademii stwierdziła, że sam seks nie jest już tak ekscytujący, i zaczęła z większą uwagą wybierać obiekty zainteresowania. Zaczęła szukać w związku czegoś więcej niż tylko fizycznej przyjemności. Ostrożnie, uważając, żeby nie wpakować się w kłopoty, zaczęła badać, co Flota rozumie przez tak zwane „związki”.

Na pierwszym przydziale odkryła, że jeśli trzymała się z dala od mężczyzn uważanych już za „zajętych” przez inne kobiety, mogła polować do woli bez wzbudzania komentarzy. A więc o to chodziło! Trzymając się tej zasady, skierowała swe fiołkowe oczy na samotnego pepeka, który z wielką ochotą związał się z uroczym chorążym.

Jednak tego było jej za mało, chciała kogoś ze specjalizacji dowódczej. Ale wszyscy na pokładzie byli już w parach, a jedyny wolny porucznik nie pociągał jej. Został tylko major. Nie wątpiła w swoje umiejętności zwrócenia na siebie jego uwagi, ale przepisy nie pozwalały majorowi na flirtowanie z młodszymi oficerami we własnej strukturze dowodzenia.

Wszyscy wiedzieli, że osoby mające dość charakteru mogą dowolnie naginać przepisy, ale mimo wszystko lepiej było poszukać gdzie indziej. Zainteresowała się więc majorem na specjalizacji technicznej. Nigdy nie zaszkodzi mieć przyjaciela w komunikacji. Na następnym przydziale zastąpił go porucznik na specjalizacji dowódczej, a potem – po pokonaniu pewnych problemów z porzuceniem porucznika – inny major. Od każdego z nich nauczyła się, jak wiele może zdziałać ze swoim talentem i jakie może mieć korzyści z tego rodzaju bliskich związków.

Teraz jednak skończyła już z przypadkowymi romansami. Znalazła właściwego mężczyznę. Wbrew wszelkim oczekiwaniom – była pewna, że jej babki i ciotki byłyby zdumione – poznała szanowanego, inteligentnego i uroczego młodego mężczyznę, którego nawet jej ojciec uznałby za odpowiedniego. Nic nie znaczył dla niej fakt, że on był dopiero chorążym, a ona porucznikiem, o dwa stopnie wyżej od niego. Był dojrzały jak na swój wiek... i co najważniejsze, był Serrano. Przez całe życie słyszała, że rodzina jest najważniejsza. Jednooki syn wodza jest lepszy od pięknego syna złodzieja. Nie mogłaby znaleźć nikogo lepszego niż Serrano – wnuk admirała, z innymi admirałkami w rodzinie...

Był tylko jeden mały problem. Z plotek wynikało, że jest zainteresowany Esmay Suizą. Ale Casea nie spodziewała się w związku z tym wielkich problemów. Esmay była nikim, pomijając już fakt, że była krową, nieładną, z nieregularnymi rysami twarzy i kopą niesfornych włosów w nijakim odcieniu brązu. Chłopak zakochał się w bohaterce, to wszystko. Suiza faktycznie stała się dość znana, ale nic nie mogło zrobić z niej pięknej i uroczej kobiety.

A teraz, jeśli plotki mówią prawdę, miała kłopoty z powodu swojego nietaktownego zachowania. Jeżeli kiedykolwiek miała kochankę, co wcale nie było nieprawdopodobne, na pewno był to ktoś taki sam jak ona, takie samo zero, równie nietaktowny i skazany na niepowodzenia w karierze.

Kompromitacja Esmay ułatwił Casei upolowanie Barina Serrano. Babka Serrano z pewnością nie będzie chciała, żeby związał się z kimś takim jak porucznik Suiza. Casea uznała, że niewiele

potrzeba, by już nigdy nie podziwiano porucznik Suizy.

Elias Madero

Coraz trudniej jej było wstawać z podłogi, żeby skorzystać z toalety. Brun zdawała sobie sprawę, że oprócz ciąży osłabia ją brak ćwiczeń, ale jak mogłaby to zmienić? Pomieszczenie było za małe nawet dla jednej osoby, a przecież oprócz niej była tu jeszcze dziewczyna i dwoje małych dzieci. Ponadto w każdej chwili ktoś mógł tu zajrzeć; potrafiła wyobrazić sobie, jak zareagowałiby, gdyby przyłapali ją na ćwiczeniach. Próbowwała zmusić się do chodzenia po pokoju, ale szybko brakło jej oddechu. Dziewczyna przyglądała się jej ze zmartwionym wyrazem twarzy, ale natychmiast odwracała wzrok, kiedy Brun uśmiechała się do niej. W miarę upływu czasu Brun przejęła część jej pracy; dziewczyna zaakceptowała pomoc, ale zawsze traktowała ją z rezerwą.

Tej nocy, gdy światła przygasły, dziewczyna zasnęła przytulona do jej pleców. Brun obudziła się w środku nocy, czując na policzku ciepły oddech. Zaczęła się odwracać, ale dziewczyna delikatnie przytrzymała ją na posłaniu.

– *Elias Madero* – usłyszała szept. – Statek kupiecki.

Brun poruszyła się, jakby próbowała znaleźć wygodniejszą pozycję. Statek kupiecki... Dziewczyna musi pochodzić z tego statku. Ogarnęło ją podniecenie. Nareszcie coś już wie.

– Jestem Hazel – wyszeptała dziewczyna i odwróciła się na drugi bok.

Brun poczuła falę radości. Tak musiała się czuć Lady Cecelia, kiedy pierwszy raz ponownie skontaktowała się ze światem.

Zaraz potem przyszedł wstyd. Lady Cecelia, pomyślała, była przez wiele miesięcy sparaliżowana i w śpiączce... a potem przez kolejne miesiące poddana bolesnej rehabilitacji. No i była stara, a ja jestem młoda, zdrowa... i nie do pokonania. Jestem tylko... zatrzymana na drodze do zwycięstwa. Noszę dzieci tych zwierząt... więc będę uwięziona przez miesiące, może lata... ale w końcu jestem kimś, i to się nie zmieni.

Z trudem odwróciła się na drugi bok i przez przymknięte powieki popatrzyła na... Hazel. Od samego początku imponowała jej cierpliwość dziewczyny, jej łagodność wobec dziewczynek, nie kończąca się inwencja w wymyślaniu cichych gier i zabaw, żeby czymś je zająć. Ale po pierwszych, bardzo długich dniach straciła już nadzieję na jakikolwiek kontakt z nią. Dziewczyna była zbyt przestraszona. Teraz doceniła odwagę tej szczupłej, przepracowanej dziewczyny... a właściwie wciąż jeszcze dziecka... która opiekowała się dwojgiem młodszych maluchów i Brun.

Która pomimo gróźb odważyła się powiedzieć kilka słów, żeby ją uspokoić. Ona też straciła wszystko, najprawdopodobniej i rodziców. Czy te dziewczynki były jej siostrami? Może nie, ale nikt nie zrobiłby dla nich więcej.

Podniosła się, by skorzystać z toalety, a potem stękając z wysiłku, położyła się i napisała palcem na ramieniu dziewczyny swoje imię.

Hazel obróciła się, przysunęła twarz do jej ucha i cicho wyszeptała:

– Brun?

Kiwnęła głową. Znow ogarnęła ją fala podniecenia; nareszcie ktoś oprócz tych mężczyzn wie, kim ona jest. Po raz pierwszy od czasu schwytania poczuła nadzieję.

Następnego dnia dyskretnie przyglądała się Hazel. Dziewczyna wydawała się taka sama jak zawsze – pracowita, ostrożna, cicha, cierpliwa, ciepła dla dzieci i chłodna dla Brun. Potrafiła szybko uspokoić zdenerwowaną Brandy... przypominając Brun doświadczonego tresera narowistego młodego konia. Im dłużej myślała o Hazel, tym bardziej upewniała się, że dziewczyna znajduje siłę i spokój w świadomości, że ma kogoś, za kogo czuje się odpowiedzialna.

A za kogo ona odpowiada? Wróciły do niej słowa wypowiedziane przez komandora porucznika Uhlisa. Gdyby była oficerem Zawodowej Służby Kosmicznej, jej obowiązki byłyby jasne: uciec, a jeśli to niemożliwe, żyć i zbierać informacje do chwili, aż będzie w stanie uciec. Ale nie jest oficerem. A nawet gdyby udawała, że jest, czy to wystarczy, aby wytrzymać to wszystko, co ją spotkało? Co będzie, jeśli nigdy nie nadarzy jej się okazja do ucieczki?

Dziecko w jej brzuchu poruszyło się, jakby w proteście. Niektórzy ludzie powiedzieliby, że jest odpowiedzialna za to dziecko, ale ona tego nie czuła, to wcale nie było jej dziecko. To było ohydztwo, takie samo, jakim według mężczyzn była ona.

W takim razie czy jest odpowiedzialna za samą siebie? Skrzywiła się. To za mało, by uczynić znośnym życie niewolnicy. Już wiele godzin spędziła na rozważaniu sposobów odebrania sobie życia, gdy tylko złagodzą środki ostrożności.

Ale... co by było, gdyby pojawiła się szansa, choćby nawet niewielka, na uratowanie Hazel i dziewczynek? Była pewna, że jej ojciec prowadzi już poszukiwania, że szuka jej też Flota. Może potrwa to nawet wiele lat... a może nie. Hazel była uległa nie tylko ze strachu; miała nadzieję, że ktoś im pomoże. Gdyby nie miała nadziei, nigdy nie odważyłaby się powiedzieć Brun swojego imienia i nazwy statku. A więc ona, Charlotta Brunhilda Meager, może zająć się Hazel i dziewczynkami, może myśleć o ich uratowaniu.

Nie chciała zastanawiać się, jakie są szanse powodzenia. Wolała rozważać, jakich informacji potrzebuje i jak mogłaby je zdobyć. Przestała też próbować nawiązać kontakt wzrokowy z Hazel; ostatnia rzecz, jakiej chciała, to wpakować dziewczynę w jakieś kłopoty.

* * *

Parę dni później przyszło do nich kilku mężczyzn. Brun omal nie poddała się panice; czyżby wiedzieli, że Hazel do niej mówiła, że ona napisała swoje imię na jej ramieniu? Poprowadzono je korytarzami dalej niż Brun kiedykolwiek zaszła. Bose stopy bolały ją, brzuch utrudniał przechodzenie przez włazy. Ku jej zaskoczeniu mężczyźni cierpliwie czekali, aż przełoży obie nogi przez właz i pomagali jej chodzić po pochyłych powierzchniach.

Wreszcie dotarli do pomieszczenia przypominającego dok stacji kosmicznej. Wszędzie wokół widziała mężczyzn, wyłącznie mężczyzn. Wraz z Hazel i maluchami były tam jedynymi kobietami.

Mężczyźni stosunkowo delikatnie posadzili ją na fotel antygravitacyjny, a następnie ruszyli przez śluzę na prom; Hazel cały czas szła obok niej. Towarzyszyło im tylko pięciu mężczyzn. Gdy znaleźli się na promie, na ich rozkaz Hazel przypięła do foteli dziewczynki, a potem samą siebie. Mężczyźni zablokowali fotel Brun... i ruszyli.

Kiedy otwarto właz promu, dziewczyna poczuła powietrze, które mogło pochodzić tylko z planety. Świeże powietrze... rośliny... zwierzęta... Znów obudziła się w niej nadzieja. Planety były wystarczająco duże, aby po uwolnieniu się można było ukryć się, a następnie uciec. W tej chwili jednak ledwie mogła wytrzymać panujące tu ciśnienie, a gorąco niemal pozbawiło ją oddechu.

Mężczyźni poprowadzili jej fotel przez pudełkowaty budynek o niskim stropie, a potem do pojazdu kołowego, również dużego i kanciastego. W tyle pojazdu nie było okien, a przez przednie mogła wyglądać tylko do chwili, gdy zasunięto odgradzającą ją przesłonę. Ogarnęła ją panika; była sama w tylnej części pojazdu, a Hazel – jedyna znana jej osoba – nie jechała razem z nią.

Hazel nie będzie wiedziała – nikt nie będzie wiedział – gdzie ona jest... i już na zawsze przepadnie.

* * *

Hazel przyglądała się z opuszczoną głową, jak zabierają ciężarną kobietę do naziemnego pojazdu. Wciąż nie była pewna imienia kobiety, choć ta wypisała je na jej ramieniu. Czy na pewno Brun? Co to za imię? Bardziej przypomina pseudonim, ale nie odważyła się dłużej rozmawiać, by się upewnić. Jej żółte włosy lśniące w słońcu planety były znacznie dłuższe niż w chwili, gdy Hazel pierwszy raz ją zobaczyła.

– Zabieram dzieci – powiedział jeden z towarzyszących im mężczyzn. – Chodź, dziewczyno. – Hazel ruszyła za nim, nieco zdyszana z powodu przytłaczającego upału, trzymając za ręce Brandy i Stassi. Nie wiedziała, co stało się z chłopcami; nie widziała ich już od bardzo dawna. Jeszcze bardziej ciekawił ją los Stinky’ego, ale tę myśl szybko od siebie odepchnęła.

Przeszli przez bramę i znaleźli się na rozległej przestrzeni, która była tak gorąca, że aż parzyła ją w stopy. Dziewczynki zaczęły popłakiwać. Mężczyzna odwrócił się.

– Daj – powiedział – poniosę je. To już niedaleko. – Dźwignął dzieci z ziemi, a one zeszywniały i odwróciły od niego twarze, ale nie rozplakały się. Hazel szła za nim, aż w końcu mężczyzna zatrzymał się obok rzędu naziemnych samochodów. Leżała tam jakaś miękka płachta. – Stań na tym – powiedział. Hazel z ulgą poczuła pod stopami chłód. Potem mężczyzna postawił dziewczynki na ziemi, a one natychmiast do niej przywarły.

Następnie wcisnął coś na umieszczonym na słupku panelu i drzwi jednego z samochodów otworzyły się. Mężczyzna wsiadł do środka i pomajstrował przy panelu sterowania, a potem wystawił głowę.

– Wsiadać do tyłu – rozkazał. Hazel wepchnęła dziewczynki do samochodu, po czym sama wsiadła. Wewnątrz były miękkie siedzenia, a z kratki leciało chłodne powietrze. Po chwili zauważyła, że od środka na drzwiach nie ma klamek.

– Na razie zabieram was do domu – poinformował mężczyzna. Samochód ruszył. Hazel próbowała wyjrzeć przez okno... – ale szyby były szlifowane, a między przednimi i tylnymi siedzeniami była przyciemniona płyta, która nie pozwalała patrzeć przez przednie okno. Samochód poruszał się gładko, bez ostrych szarpnięć. Po jakimś czasie zatrzymał się i mężczyzna otworzył drzwi od zewnątrz.

– Wsiadajcie – powiedział. – I bądźcie grzeczne.

Znajdowali się na szerokiej brukowanej ulicy między kamiennymi budynkami wznoszącymi się na wysokość jakichś dwóch pięter; nieco dalej widać było coś przypominającego park. Hazel zauważyła tworzące jakiś wzór kolorowe kwiaty, ale nie miała odwagi uważniej im się przyjrzeć. Ruszyła za mężczyzną do najbliższego budynku. Ciężkie drzwi z rzeźbionego drewna otworzył im niski mężczyzna w spodniach i bluzie.

Poszli korytarzem do przestronnego pokoju z dużymi oknami wychodzącymi na ogród.

– Czekał tu. – Mężczyzna wskazał jej miejsce w pobliżu drzwi, a sam przeszedł przez pokój i usiadł na stojącym przodem do wejścia fotelu. Do pokoju wbiegła dziewczyna mniej więcej w wieku Hazel, ubrana w prostą brązową sukienkę; w rękach trzymała tacę z dzbanem i wysoką szklanką. Hazel zauważyła, że dziewczyna ma spuszczone wzrok i idzie szybkimi, małymi kroczkami, które nawet nie poruszają jej sięgającej do kostek sukni. Hazel nie śmiała przyglądać się jej; słyszała tylko odgłosy nalewania płynu do szklanki, dzwonięcia łyżeczką o szkło i mieszania.

Potem dziewczyna pospiesznie przemknęła obok Hazel, nawet na nią nie patrząc.

W ciszy słychać było odgłosy przełykania, a potem kolejne kroki, pospieszne, dobiegające z korytarza. Hazel zobaczyła przebiegające obok niej gołe nogi w sandałach i pomyślała, że to na pewno jest chłopiec.

– Tata! – Wysoki głos chłopca był pełen radości. – Jesteś w domu!

– Pard! – W głosie mężczyzny Hazel po raz pierwszy usłyszała coś innego niż rozkaz. – Byłeś grzeczny? Opiekowałeś się matką?

– Tak jest, sir.

– Dobry chłopiec.

Teraz Hazel zobaczyła przechodzące obok niej gołe stopy trzech dziewczynek w krępujących ich ruchy sukienkach do kostek i – co było tak zdumiewające, że omal nie podniosła wzroku – stopy kobiety w butach na wysokich obcasach, wystające spod szeleszczącej przy każdym kroku pełnej sukni.

Dziewczynki popędziły do przodu, a kobieta podeszła bardziej statecznie, stukając obcasami w podłogę. Hazel zerknęła przez opuszczone powieki... i zobaczyła niewiele większą od Brandy dziewczynkę rzucającą się ze śmiechem na kolana ojca.

– Tata! – zawołała... ale cicho. Większa dziewczynka podeszła popuszczoną głową i oparła się o jego bok. Trzecia, jeszcze większa, stanęła z drugiej strony.

Mężczyzna pocałował każdą z dziewczynek, mówiąc coś do nich cichym głosem. Hazel czuła, że chce jej się płakać. Jej ojciec mówił do niej w ten sposób, gdy siadała obok niego i opierała mu głowę na ramieniu. W jej gardle narastało łkanie, ale zdławiła je i znów wbiła wzrok w podłogę. Czuła, jak maluchy drżą; one też chciały, żeby je przytulić.

– Coś wam przywiozłem – powiedział mężczyzna. – Spójrzcie tam. – Hazel poczuła na sobie ich spojrzenia, jakby to był promień słońca. – Znalazłem je na statku kupieckim, który schwytaliśmy. Dziewczyna jest trochę stara, ale posłuszna. Nie sprawiała nam kłopotów. Te dwa maluchy... No, jedna z nich trochę za dużo gada. – Znowu przełknął. – Weźcie je i dajcie im jakieś miejsce. Dziewczyna jest dziewicą, doktor sprawdził.

Obcasy kobiety zastukały bliżej i Hazel zobaczyła szeroką białą suknię należącą do żony mężczyzny, a potem poczuła na ramieniu silny uścisk i pchnięcie. Wyszła z pokoju, zabierając ze sobą maluchy. Nie miała pojęcia, co ją czeka.

– Możesz na mnie patrzeć – powiedziała kobieta. Hazel podniosła wzrok. Kobieta miała szeroką, spokojną twarz otoczoną szarobrązowymi włosami splecionymi w warkocz. Miała duże dłonie i rozłożyste ciało. – Teraz cię obejrzę, skarbie. To najbrzydsza sukienka, jaką kiedykolwiek widziałam.

Hazel nie odpowiedziała. Nie zamierzała pakować się w kłopoty, jeśli tylko mogła ich uniknąć.

– Twoi ludzie nie nauczyli cię szyć? – zapytała kobieta.

– Hazel potrząsnęła głową.

– Możesz też mówić. Byle nie za głośno. I żadnych wrzasków.

– Ja... nie umiem szyć – powiedziała cicho Hazel. Jej własny głos brzmiał dziwnie; upłynęło tyle czasu, odkąd wypowiedziała pełne zdanie.

– No cóż, będziesz musiała się nauczyć. Nie możesz chodzić w czymś takim. Nie w tej rodzinie.

Hazel kiwnęła głową. Brandy pociągnęła ją za rękę.

– Jestem głodna – powiedziała.

Kobieta spojrzała na maluchy z miną, której Hazel nie potrafiła odczytać.

– Te maluszki są twoje? – zapytała. – Siostry?

– Nie.

– Nie, proszę pani – poprawiła ją ostro kobieta. – Twój ludzie nie nauczyli cię dobrych manier?
w – Nie... proszę pani.

– No tak, to ja to zrobię – zapewniła kobieta. – Pomyślmy...

– Maluchy mieszczą się w rzeczy Marylou i Sallyann, ale ty, dziewczuszko... Musimy też znaleźć dla ciebie jakieś imię.

– Mam na imię Hazel.

– Już nie. Twoje stare życie przepadło, a razem z nim imię.

– Odrzucisz dzieło szatana i szatańskie imię. Przyjmiesz pobożne imię, kiedy tylko znajdziemy jakieś odpowiednie.

W ciągu następnych kilku tygodni Hazel przystosowywała się do nowego życia, które bardzo różniło się od tego, jakie wiodła na porwanym statku. Spała w pokoju z dziesięcioma innymi dziewczynami, które albo zbliżały się do okresu dojrzewania, albo były już dojrzałe, ale żadna z nich nie była mężatką. Ich pokój otwierał się na małe placzyk oddzielony od głównego ogrodu kamiennym murem, a z drugiej strony na długi korytarz bez żadnych drzwi, prowadzący do głównego domu.

– Żebyśmy były bezpieczne – wyjaśniła jej pierwszego wieczoru jedna z dziewcząt, która pomogła jej też rozłożyć pościel na drewnianej pryczy i odpowiednio rozprostować koc. Okazało się, że wszystkie są córkami mężczyzny, który ją tu sprowadził, córkami jego czterech żon. Tylko dzieci pierwszej żony mogły wchodzić do głównej sali... i tylko wtedy, gdy ojciec je wezwał.

– Jeśli chciał zobaczyć inne dzieci, szły do drugiego salonu.

– Jesteście pierwszymi obcymi w tym domostwie – powiedziała inna z dziewcząt.

– Nikt nie może sprowadzać obcych, jeśli nie ma wystarczająco dużo dzieci, by zrównoważyć wasze pogańskie wpływy – dodała jeszcze inna.

– Żebyśmy mogły nauczyć was, co jest dobre, a co złe – wyjaśniła następna.

Hazel szybko została przebrana w taką samą długą spódnicę i górę z długimi rękawami jak pozostałe dziewczyny. Nauczyła się poruszać szybkimi kroczkami po korytarzach i pokojach zdającego się ciągnąć bez końca wielkiego domu. Nauczyła się usuwać z szacunkiem z drogi, gdy przez pokoje przebiegali chłopcy, i opuszczać głowę, by nawet oni nie napotkali jej spojrzenia.

Raz dziennie wolno jej było, jeśli wykonała całą zleconą jej pracę, spotykać się z Brandy i Stassi. Z początku dziewczynki przybiegały do niej i płakały cicho wtulone w jej ramiona, jednak w miarę upływu czasu coraz lepiej przystosowywały się do nowego życia. Kiedy pytała, jak im się

wiedzie, nie bardzo umiały odpowiedzieć... Zjadły ciasteczka albo dostały nowe sukienki – to wszystko, co potrafiły zrelacjonować. Ale przynajmniej karmiono je i dbano o nie, i codziennie miały czas na zabawę w ogrodzie. Hazel widziała, jak bawią się z innymi małymi dziewczynkami, przerzucając między sobą obciążone z jednej strony kolorowe szmatki.

Ona sama ciężko pracowała. Inne dziewczyny w jej wieku były już doskonałymi szwaczkami, potrafiły robić długie i proste szwy.

Wszystkie wiedziały, jak ciąć materiał i tworzyć z niego stroje.

Teraz uczyły się haftowania, wycinania, koronczarstwa i innych sztuk wymagających dużego kunsztu. Hazel musiała opanować zwykłe szycie i szydełkowanie oraz spędzać nie kończące się godziny na obrębianiu prześcieradeł i ręczników. Oprócz szycia uczono ją gotowania; ku przerażeniu żon nie wiedziała nawet, jak obierać ziemniaki czy siekać marchew.

– Wyobraźcie sobie! – rzekła Sekunda, druga żona pana. – Pozwolić biednej dziewczynie dorastać bez podstawowej wiedzy.

– Co miałybyś robić, dziecko? Wyjść za mężczyznę tak bogatego, że wszystko robiłaby jego służba?

– Mieliśmy maszyny – odpowiedziała Hazel.

– Och, maszyny – rzuciła Prima i pogroziła Hazel palcem. – Lepiej zapomnij o maszynach, dziecko. To szatan powoduje, że kobiety siedzą beczynn timer przychodzą im do głowy różne pomysły. Tu nie ma maszyn, tylko uczciwe kobiety wykonujące pracę dla kobiet.

– Prima, zechcesz spróbować tego sosu? – zapytała Tercja, kłaniając się.

– Dodaj odrobinę warzyw, ale poza tym jest całkiem smaczny.

Hazel pociągnęła nosem. Musiała przyznać, że tutejsza kuchnia pachniała znacznie lepiej niż wszelkie znane jej statkowe kambuzy. Codziennie świeży chleb z dużych ceglanych pieców, codziennie świeże jedzenie szykowane z produktów pochodzących z dużego ogrodu. Lubiła siekanie marchwi – nawet cebuli – znacznie bardziej niż te długie i proste szwy. Tutejsze kobiety nawet się śmiały – co prawda tylko w swoim towarzystwie i cicho – ale jednak się śmiały, choć nigdy z mężczyzn. Nie przypominało to żartów, jakie opowiadali sobie mężczyźni i kobiety z załogi statku. Chciała zapytać, czemu; miała tysiące pytań, ale zauważyła już, że dziewczęta nie zadawały pytań innych niż dotyczące pracy – jak zrobić to, jak tamto – i nawet wtedy często odpowiadano im, że powinny bardziej uważać.

Starła się jak mogła, aby zapracować na codzienne wizyty u Brandy i Stassi. Kobiety często wytykały jej błędy, ale czuła, że nie są wobec niej wrogie. Lubiły ją, na ile mogły polubić obcą dziewczynę rzuconą w ich zamkniętą społeczność i na ile pozwalały im ich sztywne zwyczaje.

* * *

Zamknięty samochód jechał wystarczająco długo, by Brun poczuła lekkie mdłości. W końcu zatrzymał się. Ktoś otworzył drzwi od zewnątrz i wysoka kobieta – pierwsza kobieta, jaką zobaczyła na tej planecie – sięgnęła do środka i chwyciła ją za ramię.

– Ty, chodź tu – powiedziała. Po tak długim czasie spędzonym na statku jej akcent był zrozumiały, chociaż wciąż dziwny. – Wyłaź stąd.

Brun z trudnością udało się wstać i wysiąść z samochodu, w czym wcale nie pomagał jej uścisk

kobiety. Rozejrzała się. Samochód wyglądał jak na ilustracji w jednej z najstarszych ksiązek ojca, był wysoki i kanciasty. Ulica, na której zaparkował, była szeroka, wybrukowana i otoczona niskimi budynkami z kamienia ijpegły. Żaden dom nie miał więcej niż trzy piętra. Kobieta szarpnęła ją za ramię i Brun omal się nie przewróciła.

– Nie ma czasu na gapienie się – powiedziała. – Wchodź do domu jak przyzwoita kobieta, chociaż nią nie jesteś. – Brun nie potrafiła poruszać się wystarczająco szybko, by zadowolić kobietę; była zbyt wielka, zbyt niezgrabna, a kamienie chodnika raniły ją w stopy. Spojrzała w górę na budynek, do którego ją prowadzili. Zbudowany był z ciężkich kamiennych bloków i z tej strony nie miał okien; za masywnymi drzwiami stał wysoki, kościsty mężczyzna o posturze typowej dla wszystkich znanych jej strażników. Czyżby to było więzienie?

Kiedy znalazła się już w środku i matrona zaczęła szorstkim głosem recytować obowiązujące tu zasady, stwierdziła, że niewiele różni się to od więzienia. Ma tu przebywać do czasu urodzenia dziecka wraz z innymi ladacznicami – niezamężnymi kobietami w ciąży. Będzie gotować, sprzątać i szyć. Będzie milczeć tak jak pozostałe, ma słuchać i nie mówić. Jeśli matrona złapie ją na szeptaniu lub rozmowie wargami z innymi kobietami, zostanie na cały dzień zamknięta w swoim pokoju. Potem matrona wepchnęła ją do wąskiej klatki z łóżkiem i małą szafką, po czym zamknęła za nią drzwi.

Brun padła na łóżko.

– I żadnego siedzenia na łóżku w czasie godzin pracy! – krzyknęła matrona, otwierając z hukiem drzwi. – Nie pozwalamy tu na lenistwo. Bierz swój koszyk z przyborami, masz mnóstwo do zrobienia. – Wskazała na szafkę. Brun podniosła się i otworzyła drzwiczki; obok okrągłego koszyka leżał poskładany materiał. – Najpierw zrób dla siebie przyzwoite ubranie – rozkazała. – Chodź do pokoju do szycia.

Poprowadziła ją kamiennym korytarzem do pokoju otwierającego się na wewnętrzny dziedziniec, w którym siedziało pięć ciężarnych kobiet zajętych robotkami. Żadna z nich nie podniosła wzroku; Brun zobaczyła ich twarze dopiero wtedy, gdy sama usiadła. Jedna kobieta miała zniekształconą twarz, ale nie widać było żadnej blizny. Brun zastanawiała się, jaka mogła być przyczyna, ale jej rozmyślenia przerwała strażniczka, stukając japo głowie twardym paluchem.

– Ty, weź się za robotę. Mniej patrzenia, więcej szycia.

* * *

– Co zrobiłeś?! – Głos Pete’a Robertsona nabrał ostrych tonów.

Mitch pomyślał, że Kapitan Rangersów wygląda jak chory indor.

– Schwytaliśmy statek kupiecki; załoga i kapitan nas okłamali, a wszystkie kobiety były ohydztwami, więc ich pozabijaliśmy. Na pokładzie było pięcioro dzieci: dwóch chłopców i trzy dziewczynki, które zabraliśmy ze sobą. W tej chwili są w moim domu. Wciąż jeszcze byliśmy w układzie i uczyliśmy się obsługi systemów sterowania dużego statku, kiedy przyleciał ten mały jacht.

– A ty nie mogłeś pozwolić mu odlecieć...

– Nie po tym, jak zwolnił i zaczął skradać się do nas. Odczytaliby wszystkie nasze identyfikatory. Mogliby dotrzeć do miejsca, w którym zdobyliśmy statki. A więc schwytaliśmy go i znaleźliśmy bardzo ważnego pasażera, a przynajmniej ona sama tak myślała. – Mitch uśmiechnął się na wspomnienie aroganckiej twarzy kobiety.

– Obrzydlistwo! – wysyczał Sam Dubois.

– Jest kobietą jak każda inna – stwierdził Mitch. – Najpierw ją zakneblowaliśmy, a potem pozbawiliśmy głosu, nie pozwalając odezwać się choćby słowem, aby nie mogła skazać żadnego z nas.

– Nasz medyk powiedział, że ma czystą krew, a po tym, jak wyjęliśmy jej implant i znów zrobiliśmy z niej normalną kobietę...

– Jest jednym z Zarejestrowanych Embrionów – przerwał mu Sam – a ty nazywasz to czystą krwią?

– Mieszanie genów więcej niż jednej osoby... Może równie dobrze być bękartem – dodał Pete.
– Wiecie, co mówią o nich plebani.

– Jest silną i zdrową młodą kobietą, która teraz nosi bliźniaki – powiedział twardo Mitch. – I jest niema. Umieściliśmy ją w domu dla niemych matek. Nie będzie sprawiać żadnych kłopotów.

Byłem wobec niej twardy; teraz jest cicha i posłuszna.

– Ale dlaczego odesłałeś im jacht? – zapytał Pete.

Jeśli zadają pytania, a nie wrzeszczą na niego, to znaczy, że najgorsze ma już za sobą.

– Ponieważ już czas, żeby zaczęli nas szanować. W dokach mówi się, że jesteśmy tylko bandą piratów, jak wszyscy inni.

– Zwykłymi kryminalistami. Tak samo w gazetach Guernesii nie mówią o nas prawdy. Więc pokażemy im, że nie pozwolimy na to, że nie mogą nas po prostu ignorować. Boży plan nie zostanie powstrzymany przez takich jak oni. Poza tym kiedy zaczęliby szukać tej kobiety – a szukaliby, biorąc pod uwagę, kim jest jej ojciec – mogliby niepotrzebnie znaleźć różne rzeczy.

– Ale w ten sposób sprowadzasz na nas całe Familie – wysyczał Sam. – Największa potęga w tej części galaktyki, a ty doprowadzasz ich do wściekłości!

– Nie boję się niczego oprócz Pana Wszechmogącego – oznajmił Mitch. – Wszyscy przysięgaliśmy jako Rangersi bać się Boga, lecz nie lękać się żadnego człowieka. Wycofujesz się z tego, Sam? – Czuł się silny, triumfował. Nowe dzieci przyzwyczyły się do domu. Żółtowłosa ładacznica nosi bliźniaki.

– Bóg jest po jego stronie.

– Mimo wszystko nie ma sensu ściągać na siebie kłopotów – zauważył Pete.

– Nie martw się. Jasne, przyznałem się do tego, co zrobiliśmy, w imieniu całej Milicji, ale nie zostawiłem żadnego śladu wskazującego, którego odłamu Milicji. Zanim zdołają do tego dojść – jeśli w ogóle im się to uda, w co wątpię – stworzymy w przestrzeni Familii tyle problemów, że nie będą mieli czasu dobrać się do nas. Jeśli zrobią choćby jeden krok przeciwko nam, wysadzimy w powietrze jedną czy dwie stacje. Powiedziałem im to.

Nikt nie pójdzie na wojnę z powodu jednej kobiety.

* * *

Brun dostosowała się do ograniczeń narzuconych mieszkankom domu porodowego. Wolno jej było wychodzić na otoczony murem dziedziniec i kuśtykać po ceglanych ścieżkach na opuchniętych, obolałych stopach. Prawdę mówiąc, miała obowiązek codziennie zrobić pięć okrążeń. Wolno jej było chodzić z dormitorium do kuchni, jadalni, łazienki i toalety oraz do pokoju krawieckiego. Jedyne drzwi na zewnątrz były zamknięte, a na dodatek pilnował ich tęgi, wyższy od niej o głowę mężczyzna.

Kierująca wszystkim kobieta – Brun nie przychodził do głowy żaden termin, który opisywałby jej pozycję – nie była niema, wręcz przeciwnie, rządziła ciężarnymi kobietami tak, jakby była strażnikiem w więzieniu. Brun czuła się właśnie tak, jakby była w więzieniu.

Codziennie spędzała mnóstwo czasu na szyciu ubrań dla siebie i mającego się urodzić dziecka. Musiała także pomagać w kuchni, sprzątać, z trudem przesuując po podłodze ciężką moką szmatę na kiju, szorować toalety, zlewy i prysznice.

Jedyne, co pozwalało jej wytrzymać, to była myśl o Hazel, zabranej gdzieś razem z dwiema małymi dziewczynkami. Co się z nimi stało? Pewnie nic dobrego. Obiecała Hazel – a także sobie – że wydobędzie ją z tego.

Gdy zaczął zbliżać się termin porodu, pojawił się nowy powód strachu. Któregoś dnia jedna z kobiet krojących w kuchni marchewki nagle zgięła się w pół i przycisnęła dłonie do boku, otwierając usta w niemym krzyku.

– Chodźcie tu – rozkazała strażniczka i spojrzała na Brun. – Ty jej pomóż. – Brun chwyciła kobietę za rękę i zaprowadziła ją do pokoju, którego jeszcze nigdy nie widziała. Wyłożona kafelkami podłoga, wąskie łóżko, za krótkie, by na nim leżeć... Uświadomiła sobie, że właśnie tutaj – w tym prymitywnym pomieszczeniu – odbywają się porody. Kobieta zwinęła się z bólu i fontanna ciepłej cieczy spryskała podłogę i łóżko.

– Ty! Przynieś miednice! – rozkazała strażniczka, wskazując na Brun. Kiedy ona zamierza sprowadzić lekarza i pielęgniarki?, pomyślała.

Ale nie było żadnych lekarzy ani pielęgniarek. Rodzącej pomagała jedynie strażniczka i pozostałe przebywające w domu kobiety. Niektóre z nich najwyraźniej brały już w tym udział. Brun, której zabroniono wychodzić z pokoju, stała pod ścianą i miała ochotę na zmianę mdleć i wymiotować. Kiedy się zachwiała, jedna z kobiet uderzyła ją kilka razy moką szmatą w twarz, aż znów się wyprostowała.

Już od dzieciństwa wiedziała z książek i kostek podręcznikowych, wszystko o rozmnażaniu się ludzi. Wiedziała też, że przy dostępie do nowoczesnych metod nikt już nie rodzi w tradycyjny sposób. A już z pewnością nikt w całym cywilizowanym wszechświecie nie rodzi w taki sposób, bez opieki medycznej i urządzeń do podtrzymywania życia, tylko w towarzystwie ponurej starej kobiety i innych ciężarnych, w pokoju z nie osłoniętymi oknami i gołą posadzką. Nawet konie jej ojca miały lepszą opiekę, nawet psy miały czystsze klatki.

Próbowała nie patrzeć, ale kobiety złapały ją i zmusiły do przyglądania się wysuwającej się główce dziecka... Jej ciało czuło ból wraz z rodzącą kobietą.

Pierwszy krzyk dziecka wyraził jej własną wściekłość i strach.

Nie może tego zrobić. Umrze.

Ale nie może umrzeć, musi żyć... dla Hazel. Musi żyć, żeby ustrzec Hazel przed tym horrorem.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Castle Rock

Lord Thornbuckle, Pierwszy Mówca Stołu Ministrów i Wielkiej Rady Familii Regnant, następca króla, który podał się do dymisji, spędził poranek nad propozycjami nowego budżetu Zawodowej Służby Kosmicznej w towarzystwie swojego przyjaciela – teraz doradcy prawnego Wielkiej Rady – Kevila Starbridge’a Mahoneya. Całe rano grupa ministrów i księgowych bombardowała ich faktami, które komplikowały coś, co zdaniem lorda Thornbuckle’a było prostą kwestią sfinansowania jednostek mających zastąpić okręty utracone na Xavierze. Zdecydowali się zjeść lunch w małej zielonej jadalni z widokiem na okrągły staw, w którym leniwie pływały ryby o długich płetwach. Mieli nadzieję, że cisza ogrodu pomoże im odzyskać spokój. Zjedli pikantną zupę i kotlety z kurczaka w czosnku i cytrynie, a teraz siedzieli nad sałatką z wiosennych warzyw, odsuwając od siebie myśl o nieuniknionym powrocie do kolumn liczb.

– Miałeś ostatnio jakieś wiadomości od Brun? – zapytał Kevil, gdy skończył opowiadać o swoim synu Georgu studiującym prawo.

– Już od kilku tygodni nie miałem – odpowiedział Thornbuckle.

– Przypuszczam, że jest gdzieś w nadprzestrzeni; chciała odwiedzić Cecelię, a potem zjawić się na otwarciu sezonu polowań.

– Nie martwisz się o nią?

– Oczywiście, że się martwię, ale co mogę zrobić? Jeśli nie pojawi się niedługo, wyślę kogoś jej śladem; problem w tym, że jak tylko to zrobię, reporterzy będą wiedzieli, gdzie jej szukać, i za przynętą podążą prawdziwe rekiny.

Kevil pokiwał głową. Obaj byli celem politycznych i prywatnych ataków oraz tematem wścibskich historii w mediach.

– Zawsze możesz skorzystać z zasobów Floty – zasugerował nie po raz pierwszy.

– Mógłbym, tylko że po Copper Mountain nie jestem do końca przekonany, że to bezpieczne. Najpierw omal nie zginęła w bazie – wciąż nie wiadomo, kto do niej strzelał – a potem ta bohaterska porucznik Suiza odważyła się zakwestionować moralność Brun.

Kevil zachował milczenie, ale uniósł jedną brew. Thornbuckle popatrzył na niego ponuro.

– Wiem, myślisz, że ona...

– Nic nie powiedziałem, ale w każdym sporze są dwie strony.

– To było nieprofesjonalne...

– Tak, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Ale gdyby Brun nie była twoją córką, myślę, że uznałbyś to za zrozumiałe.

Thornbuckle westchnął.

– Może. Potrafi być... taka prowokująca. Ale mimo wszystko...

– Ale mimo wszystko denerwuje cię, że porucznik Suiza nie była bardziej taktowna. Rozumiem to. A tymczasem...

Przerwało mu pukanie do drzwi. Normalnie nikt nie przeszkadzał w prywatnych posiłkach w tej jadalni, ale stukanie było tak energiczne, że aż zaalarmowało ich obu.

Nie czekając na odpowiedź, wszedł Poisson, najstarszy z prywatnych sekretarzy lorda Thornbuckle'a. Było to niezwykle zachowanie, ale jeszcze bardziej niezwykle był jego wygląd; miał bladą i nieruchomą twarz, jakby wyrzeźbioną w kamieniu.

– O co chodzi? – zapytał Thornbuckle i spojrzał na pakunek, który Poisson trzymał w ręce. Była to przesyłka z żółtymi i zielonymi paskami Hymail, największej komercyjnej firmy kurierskiej.

– Milordzie... milordzie... – Poissonowi nigdy nie brakowało słów; nawet gdy abdykował Kentre, już od pierwszej chwili wykazywał wielką aktywność. Jednak teraz jego ręce trzymające paczkę mocno drżały.

Thornbuckle poczuł, jak zjedzony właśnie posiłek zmienia się w jego żołądku w bryłę lodu. W ciągu miesięcy zajmowania pozycji Pierwszego Mówcy nieustannie zmagał się z kolejnymi kryzysami, ale żaden z nich nie przybył w paczce Hymail Express. Jeśli Poisson zareagował w taki sposób, musi to być coś poważnego.

Sięgnął po paczkę, ale musiał niemal wyrwać ją z rąk Poissona.

– Otworzyłeś to – powiedział.

– Tak, milordzie, wraz z innymi przesyłkami. Nie miałem pojęcia...

Thornbuckle sięgnął do paczki i wyciągnął pakiet płaskich zdjęć; kiedy odwrócił pudełko do góry dnem, ze środka wypadła jeszcze kostka danych. Spojrzał na pierwsze zdjęcie... i czas stanął w miejscu.

Nawet nie zauważył, że pozostałe zdjęcia wypadły mu z rąk i wolno – bardzo wolno – rozsypały się po podłodze. Nie był świadomy, że Poisson wciąż stoi z wyciągniętą ręką, że Kevil jest po drugiej stronie stołu, a jego własny puls zaczyna walić jak szalony.

Tak naprawdę widział tylko Brun, patrzącą na niego z wyrazem takiego przerażenia i cierpienia, że nie potrafił nawet odetchnąć.

– Bunny? – zapytał Kevil.

Thornbuckle potrząsnął głową i zacisnął szczęki, by nie wybuchnąć płaczem. Zamknął oczy, próbując zastąpić obraz Brun jednym ze szczęśliwych, pełnych uśmiechu wspomnień, ale przed oczami wciąż miał spojrzenie córki ze zdjęcia.

Nie musi patrzeć na pozostałe. I bez tego wie, co się stało.

Ale jednak musi zobaczyć. Musi wiedzieć, a potem musi działać. Bez słowa podał Kevilowi pierwsze zdjęcie i schylił się, by podnieść pozostałe. Zanim zdołał je zebrać – zauważył ze zdumieniem, że nawet nie trzęsą mu się ręce – zobaczył kilka kolejnych zdjęć: Brun naga, przywiązana do koi, ze świeżą raną na nodze w miejscu umieszczenia implantu antykoncepcyjnego. Brun w swoim szytym na zamówienie kombinezonie, z kneblem w ustach, trzymana przez dłonie w rękawiczkach. Znowu twarz nieprzytomnej Brun z jakimś urządzeniem w ustach... Odłożył zdjęcia i popatrzył na Kevila.

– Mój Boże, Bunny! – Twarz Kevila wyglądała tak samo jak jego twarz.

– Przynieś nam czytnik kostek – rzekł Thornbuckle do Poissona, zdziwiony, że potrafi mówić mimo tkwiącego w gardle węzła.

– Tak, milordzie. Ja...

– Zrób to – przerwał mu Thornbuckle. – I każ to posprzątać. – Sam zapach jedzenia przyprawiał go o mdłości. Po wyjściu Poissona odebrał Kevilowi zdjęcie i ostrożnie położył wszystkie fotografie tylną stroną do góry. Przyszło dwóch służących i uprzątnęło stół, zerkając na nich z troską, lecz bez

słowa. Zaraz po ich wyjściu wrócił Poisson, niosąc czytnik kostek i ekran.

– Proszę bardzo, milordzie.

– Zostań. – Zmierzający do wyjścia Poisson znieruchomiał.

– Jesteś pewien? – zapytał Kevil.

– To już się stało – rzekł Thornbuckle. – Potrzebujemy przynajmniej jednego sekretarza, aby zajął się komunikacją. Ale najpierw musimy zobaczyć, z czym mamy się zmierzyć.

Obraz na ekranie czytnika kostek falował, jakby to była kopia źle nagranych oryginałów, ale był wystarczająco wyraźny, by móc rozpoznać Brun. Usłyszeli męski, silnie akcentowany głos. Thornbuckle próbował skupić się na słowach, ale wciąż na nowo pograżał się w bólu.

Kiedy nagranie dobiegło końca, przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał. Thornbuckle zmagał się ze łzami; słyszał, że pozostali też ciężko oddychają. W końcu – nie potrafiłby powiedzieć, po jakim czasie – podniósł wzrok, by napotkać ich spojrzenia. Po raz pierwszy w życiu Kevil nie miał nic do powiedzenia; szok pozbawił go mowy. Wreszcie pierwszy odezwał się Poisson.

– Milord... będzie chciał skontaktować się z Admiralicją?

– Tak – wydobył z siebie ochryple skrzek. Brun, Brun... To złote piękno, błyskotliwa inteligencja, pogoda ducha... Wszystko to zamienione w drżącą, niemą rozpacz. To nie może być prawda... a jednak w głębi serca czuł, że to nagranie nie zostało sfałszowane. – Koniecznie z Admiralicją. Musimy ją odnaleźć. Wezwij transport. – Zdawał sobie sprawę, jak trudne może być to zadanie. W samej przestrzeni Familii były setki planet, a może nawet tysiące – nigdy właściwie ich nie liczył – na których łatwo można zgubić się na zawsze. Poisson uklonił się i wyszedł. Thornbuckle nie powiedział mu, żeby zachował dyskrecję, ale Poisson miał dyskrecję we krwi.

– Znajdziemy ją – oświadczył Kevil donośnym, dźwięcznym głosem, który poruszał nawet sądy. – Musimy...

– A jeśli nie? – Thornbuckle zmusił się do wstania z fotela. Jeśli będzie stał, chodził, działał, może nie pograży się w rozpacz, która w niczym nie pomoże Brun. – I co ja powiem Mirandzie?

– Na razie nic nie mów. Mimo wszystko to może być sfałszowane.

– Sam w to nie wierzysz.

– Nie, ale zanim jej powiesz, chcę, żeby zabrał się za to jakiś ekspert od obróbki obrazu.

– Popatrz na to – powiedział Thornbuckle, wskazując na stosik zdjęć na stole. Odwrócił się i zapatrzył na złoto-zielony ogród i powierzchnię stawu pokrytą zmarszczkami od owiewającej go bryzy. Słyszał, jak Kevil ostro wciąga powietrze, a potem bardziej poczuł niż usłyszał, jak podchodzi do niego.

– Odzyskamy ją – oświadczył przyjaciel, tym razem bez sądowego aktorstwa. Nie po raz pierwszy Thornbuckle uświadomił sobie głębię charakteru kryjącą się za spokojnym i leniwym zachowaniem Kevila. – Chcesz, żebym zajął się poszukiwaniami czy administracją?

– Muszę sam polecieć – odpowiedział.

– W takim razie będę pracował z... Kto powinien przejąć pod twoją nieobecność obowiązki Mówcy?

– Mógłbyś ty?

– Wątpię, aby obyło się bez awantury. Najlepszym kandydatem byłby Cavendish, de Marktos lub Barraclough. Mogę natomiast pozostać doradcą prawnym, aby ograniczyć do minimum szkody. Ale jesteś jedynym, któremu w tej chwili wszyscy ufają.

– Prawie wszyscy.

– Przybył pański transport, sir – obwieścił Poisson.

– Na razie pojedę z tobą – powiedział Kevil, i nie było to pytanie.

– Dziękuję. – Thornbuckle nie do końca ufał swojemu głosowi. – Ja... tylko umyję twarz. –

Zebrał zdjęcia i wraz z kostką włożył z powrotem do paczki. Kevil kiwnął głową i mszył w stronę bocznego wyjścia.

Po spryskaniu twarzy wodą Thornbuckle przyjrzał się sobie w lustrze. Błady, zmęczony, zły... Po wstrząsie i bólu przyszedł gniew, głęboki i z każdą chwilą nabierający mocy. Nawet nie bardzo wiedział, kiedy gniew na bandytów, którzy popełnili tę zbrodnię, przerodził się w gniew na wszystkich tych, którzy się do niej przyczynili.

Kiedy opuszczał jadalnię, wciąż był w szoku... ale gdy dotarł do Admiralicji, zaczął już myśleć, kogo by jeszcze obarczyć winą.

Kevil, siedzący obok w samochodzie, nie powiedział niczego, co mogłoby powstrzymać jego narastającą furję.

W planetarnej siedzibie Admiralicji czekał na niego komandor, którego pamiętał z zesłotygodniowych odpraw, kiedy dyskutowano sprawę statków mających zastąpić zniszczone na Xavierze.

Gdy tylko weszli do środka, kiwnął komandorowi głową i powiedział:

– Nie chodzi o budżet; muszę rozmawiać z najwyższym rangą oficerem.

– Tak jest, sir. Admirał Glaslin czeka. Sekretarz Poisson powiedział, że sprawa jest pilna i tajna. Ponieważ już się z panem spotykałem, pomyślał, że to ja powinienem pana zaprowadzić.

Admirał Glaslin – wysoki i kanciasty, z potężnym karkiem – wyszedł mu na spotkanie do przedpokoju i poprowadził do swojego biura.

– Lordzie Thornbuckle, w czym możemy panu pomóc?

– Thornbuckle rzucił na biurko paczkę.

– Możecie znaleźć tych... ludzi... i moją córkę.

– Sir?

– Proszę zajrzeć do środka – wyjaśnił cicho Kevil. – Córka lorda Thornbuckle’a została porwana i okaleczona.

Admirał otworzył usta, po czym szybko je zamknął i wysypał zawartość paczki na biurko. Na widok zdjęć jego twarz w kolorze brązu przybrała barwę błota. – Kiedy pan to dostał?

– Przed chwilą – odpowiedział Thornbuckle. Dostarczono to do pałacu sześćdziesiąt cztery minuty temu jako część zwykłej codziennej dostawy Hymail Express. Sekretarz Poisson otworzył paczkę, ponieważ oznaczono ją jako osobistą a kiedy zobaczył zawartość, natychmiast przyniósł do lorda Thornbuckle’a. – Admirał kiwnął głową. – Byliśmy akurat w trakcie lunchu. Obejrzeliśmy też zawartość kostki.

– To samo co na zdjęciach?

– Kostka zawiera film ze schwymania i zabiegu chirurgicznego oraz nagranie głosowe z pogrozkami pod adresem rządu Familii Regnant.

– Lordzie Thornbuckle? – Admirał spojrzał na niego, oczekując potwierdzenia.

– Ja... nie słyszałem większości słów, jednak Kevil na pewno ma rację. Będę chciał dostać

kopię, kiedy ją zrobicie.

Admirał spojrział teraz na Kevila.

– Myśli pan, że to słuszne...

– Do diabła, człowieku! Jestem Pierwszym Mówcą i wiem, czego chcę!

– Oczywiście. Ale powinienem pana poinformować, że to będzie musiało trafić do głównodowodzącego...

– Oczywiście. Im prędzej, tym lepiej. Musicie ją odnaleźć. – Thornbuckle wstał, uściśnął dłoń admirała, odwrócił się i wyszedł z biura, kierując się w stronę wyjścia, gdzie czekał jego samochód.

* * *

Dwanaście godzin później Thornbuckle obudził się z niespokojnej drzemki na dźwięk kroków adiutanta głównodowodzącego.

– Już są tutaj, milordzie.

Najbezpieczniejsza sala konferencyjna była pełna oficerów.

Thornbuckle przypomniał sobie, że błękitne naramienniki to Wywiad, a zielone – Techniczni. Na końcu długiego czarnego stołu siedział głównodowodzący, admirał Savanche, a jedyne wolne miejsce naprzeciwko niego czekało na najważniejszego przedstawiciela rządu cywilnego: na niego.

Lord Thornbuckle obszedł stół i stanął naprzeciw Savanche'a.

– Widział pan nagranie – rzekł. – Chcę wiedzieć, jakie siły przydzielili pan do odbicia mojej córki?

– W tej chwili nie możemy nic zrobić – odpowiedział admirał i po krótkiej przerwie dodał: – Sir.

– Coś musimy robić – powiedział nieugiętym tonem Thornbuckle.

– Możemy szukać, i już to robimy. Nasi eksperci przeszukują bazy danych i próbują dojść, kim są ci ludzie i w związku z tym gdzie mogą być.

– Musicie...

– Lordzie Thornbuckle. Pańska córka nie dokonała zgłoszenia w żadnym porcie od czasu dotarcia do Podj sześćdziesiąt dwa dni temu. Zaczęliśmy już sprawdzać zgłoszenia ruchu i informacje o napotkanych statkach ze wszystkich stacji, ale w samej przestrzeni Familii są ich tysiące, dziesiątki tysięcy. Pan sam posiada trzy orbitujące nad Sirialis. Biorąc pod uwagę liczbę ludzi, których możemy do tego przydzielić, samo przesianie danych zajmie nam tygodnie, jeśli nie miesiące.

– To za długo – oświadczył Thornbuckle.

– Z całym szacunkiem, milordzie, mając na względzie ostatnie napaści ze strony Współczującej Ręki i Krwawej Hordy, nie możemy odciągać naszych sił od granic. Niewątpliwie mogą oprócz swoich zwykłych obowiązków zwracać uwagę na statek pańskiej córki, i odpowiednie rozkazy zostały już wydane. Ale skierowanie całej Floty do poszukiwań byłoby samobójstwem.

– Proszę mi powiedzieć, co jeszcze pan zrobił – zażądał Thornbuckle.

– Wiemy, że pańska córka wynajęła jacht *Jester* od Allsystems; na pokład weszło dziesięć osób załogi, zidentyfikowanych jako członkowie pańskiej osobistej milicji. Allsystems dostarczyło nam

pełne profile identyfikacyjne statku; jeśli pojawi się w przestrzeni Familii w zasięgu któregośkolwiek z naszych statków, będziemy o tym wiedzieć. Wiemy też, że córka bez problemów doleciała z Correllii do Podj. Czy pan wie, dokąd zmierzała dalej?

– Nie – przyznał niechętnie. – Ona... powiedziała, że chce odwiedzić kilkoro przyjaciół i skontrolować część swoich inwestycji, po czym zjawić się na Sirialis. Nie miała planu podróży; powiedziała, że gdyby go zrobiła, reporterzy wiadomości bez trudu by ją znaleźli.

– Chciała dotrzeć na Sirialis na otwarcie sezonu łowieckiego.

– Czyli spodziewał się pan, że nie będzie z nią kontaktu.

– Tak. Wspomniała o odwiedzeniu Lady Cecelii de Marktos na Rotterdamie i może nawet systemu Xaviera.

– Rozumiem. W takim razie kiedy uznałby ją pan za zaginioną?

– Zaczynałem się już martwić. Spodziewałem się, że będzie częściej kontaktować się ze mną.

– Widzi pan, milordzie, to bardzo duży kosmos, a to tylko jedna osoba. Nasi technicy wciąż pracują nad kostką danych i zdjęciami, ale jak dotąd nie dowiedzieliśmy się niczego konkretnego.

– Kostka pochodzi od jednego z tanich producentów i można ją kupić praktycznie wszędzie. Obraz poddano jakiemuś procesowi, usuwając znaczącą ilość danych. Zdjęcia wykonano starą techniką, a dostarczone panu odbitki to po prostu kopie kopii, a nie wydruki z negatywów. To też znacząco redukuje ilość danych do analizy. – Savanche odchrząknął. – W tej chwili nie mamy niczego, co wskazywałoby nam, z kim mamy do czynienia, nie mówiąc już o tym, gdzie ona jest.

– Ale powiedzieli, że są z Nuteksu czy czegoś takiego...

– Tak, Bogobojnej Milicji Nowego Teksasu. To coś, o czym nigdy wcześniej nie słyszeliśmy; dla mnie to brzmi całkowicie absurdalnie. Próbujemy dyskretnie zdobyć informacje, ale dopóki nie będziemy mieli jakichś potwierdzających dowodów, musimy przyjąć, że równie dobrze może to być działanie szaleńców.

– Ile potrzeba na to czasu? – zapytał Thornbuckle. – Czy zdaje pan sobie sprawę, co się z nią dzieje?

Savanche westchnął, co pogłębiło zmarszczki na jego twarzy.

– Zajmie to dokładnie tyle czasu, ile będzie potrzeba. Tak, rozumiem pańską troskę i mogę sobie wyobrazić – choć wolałbym tego nie robić – co może się z nią dziać.

OSK Gryfalcon

– Chorąży Serrano zgłosił się do biura kapitana. Chorąży Serrano zgłosił się do biura kapitana. – Co takiego zrobił tym razem?

Porucznik Garrick odwrócił się i spojrzał na niego, a potem wskazał kciukiem w stronę wjazdu. Barin wcisnął klawisz potwierdzenia odbioru wiadomości i skierował się na pokład dowodzenia.

Kiedy zapukał, kapitan Escovar natychmiast wezwał go do środka. Siedział za biurkiem i trzymał w ręce coś, co wyglądało na wydruk odkodowanej wiadomości.

– Chorąży Serrano, pan zna córkę Pierwszego Mówcy, prawda?

Przez chwilę Barin nie rozumiał, o co chodzi. Jaki mówca, jaka córka?

– Brun Meager, sir? Tak, znam ją. Spotkałem ją w szkole Copper Mountain i byliśmy razem na

kursie Uników i Ucieczki.

– Mam złe wieści – powiedział Escovar. – Wracła do domu rodzinnego, kiedy jej statek został napadnięty przez piratów.

Brun martwa... Barin nie mógł uwierzyć, że ta energiczna, pełna radości życia dziewczyna nie żyje.

– Była sama?

– Niezupełnie. Wynajęła mały jacht, mniej więcej wielkości statku kurierskiego, i miała ze sobą niewielki oddział ochrony z prywatnej milicji ojca. – Escovar przerwał, jakby chciał upewnić się, że nie będzie mu już przeszkadzał. Barin zacisnął szczęki. – Statku nie odnaleziono, ale jej ojcu przesłano pocztą przesyłkę. – Kolejna pauza. – Córka Mówcy... nie została zabita. Schwymano ją. Barin poczuł, jak opada mu szczeka.

– Napastnicy... chcieli, by jej rodzina wiedziała, że ją złapali i co jej zrobili. – Escovar wydobył z głębi gardła jakiś dziwny odgłos. – To barbarzyńcy. Szczegóły zostały mi już wysłane, powinny niedługo dotrzeć. – Podniósł wzrok znad wydruku i spojrzał na Barina. – Wezwałem pana, ponieważ nie posiadamy profesjonalnych ocen temperamentu i możliwości tej młodej damy.

Wiem, że do Copper Mountain przyjęto ją za wstawiennictwem admirała Vidy Serrano, najwyraźniej po namowie komandora Serrano. Zaraz po jej odejściu ze względów bezpieczeństwa usunięto ze Szkoły jej kartotekę. Jeśli mamy cokolwiek dla niej zrobić, musimy wiedzieć, do czego ona jest zdolna, co może zrobić.

Barin poczuł chęć, by powiedzieć, że Brun ze wszystkiego wychodzi obronną ręką – ona zawsze ma szczęście – ale musiał opierać się na faktach. Nie zamierzał wypowiadać się zbyt pochopnie o tym, co wiedział.

– Jest bardzo błyskotliwa – zaczął. – Niezwykle szybko się uczy. Jest... impulsywna, ale jej odruchy często są prawidłowe.

– Czy to „często” można określić jakąś liczbą?

– Powiedziałbym, że w przypadku problemów miała rację w jakichś osiemdziesięciu procentach. Ze względów bezpieczeństwa nie pozwolono jej odbyć ćwiczeń terenowych. Miała problem...

– Jak miał to powiedzieć, by nie popsuć jej reputacji? – Przywykła do tego, że dostaje wszystko, czego zapragnie – powiedział w końcu. – Dotyczy to ludzi, związków... Uważała, że to naturalne.

– Aha. Czy z panem też próbowała? Przepraszam za to osobiste pytanie, ale musimy wiedzieć.

– No cóż... Uznała mnie za atrakcyjnego. Wydaje mi się, że użyła słowa „uroczy”. – Zirykowało go to wtedy; pomyślał, że to słowo bardziej pasuje do szczeniaka niż do człowieka. – Chciała czegoś więcej... ale ja nie chciałem.

– Świadomość problemów socjalnych?

– Nie, sir, niezupełnie. – Jak miał to wyjaśnić, skoro sam nie do końca rozumiał? – Ja... byłem... blisko z porucznik Suizą.

– Rozumiem. Jak wynika z raportów, to wyjątkowy oficer.

A więc nie słyszał. Barin poczuł chłód. Nie chciał być tą osobą, która powie kapitanowi o głupim wybuchu Esmay i kłótni, do której między nimi doszło.

– Brun... przypomina Esmay – porucznik Suizę – lecz nie ma jej zahamowań. Obie są

inteligentne, odważne i silne, ale... kiedy niebezpieczeństwo mija, Brun całkowicie o nim zapomina, natomiast porucznik Suiza wciąż o nim myśli. Brun ryzykuje dla przyjemności i dreszczyku emocji. Jest pewna, że zawsze będzie miała szczęście.

– No cóż, już wiem, kogo wolałbym mieć na swoim statku – mruknął Escovar. Potem dotknął klawisza na biurku. – Chorąży, to, co zamierzam panu powiedzieć jest ściśle tajne. Mamy informacje o stanie tej kobiety po porwaniu, ale tych wiadomości nie wolno rozpowszechniać. Wydaje mi się, że powód stanie się dla pana oczywisty, gdy pan się z nimi zapozna. Mówię o tym, ponieważ moim zdaniem może nam pan pomóc w poszukiwaniach. Ale ostrzegam, że jeśli odkryję, iż przekazał pan te informacje dalej, osobiście obedrę pana ze skóry, jeszcze przed sądem wojennym. Rozumiemy się?

– Tak jest, sir. – Barin przełknął ślinę.

– Dobrze. Piraci przesłali nagranie wideo wykonane po schwytaniu Brun. To jedna z najpaskudniej szych rzeczy, jakie oglądałem, a brałem udział w wielu walkach i widziałem przyjaciół rozrywanych na strzępy. Z filmu jasno wynika, że napastnicy chcą ją zabrać na jedną ze swoich planet i trzymać ją tam w celach rozrodczych.

– Co?! – Barin zacisnął szczęki. Myślał o okupie i naciskach politycznych, ale nigdy o gwałcie.

– Tak. I okaleczyli ją, chirurgicznie usunęli jej struny głosowe. – Przerwał. Barin próbował wyobrazić sobie zawsze głośną Brun niezdolną do mówienia. Ogarnął go gniew. – W tej chwili nie wiemy, gdzie jest; nie wiemy nawet, czy wciąż jeszcze żyje, choć przypuszczamy, że tak. Nie znamy jej aktualnego stanu fizycznego. Odnalezienie jej może okazać się niemożliwe.

Barin miał ochotę spierać się, nalegać, że muszą jej szukać, ale wiedział, że jedna osoba – nawet Brun, córka Pierwszego Mówcy – nie może być przyczyną rozpoczęcia wojny.

– Nie widzę powodu, żeby pokazywać panu nagranie – powiedział Escovar – choć być może później okaże się to konieczne. Musi pan wiedzieć, że jest to najgorsze, co widziałem – zimne okrucieństwo... To, co pan o niej wie, jest ważne, może nam pomóc ją uratować. Nie chcielibyśmy jej przypadkiem zastrzelić tylko dlatego, że niewłaściwie oceniliśmy jej sposób myślenia.

– Tak jest, sir.

– Chciałbym, żeby nagrał pan każdy zapamiętany szczegół o niej. Wszystko, od koloru bielizny aż do upodobań. Próbujemy zdobyć więcej informacji od innych osób, które ją znają, ale pan i porucznik Suiza macie tę przewagę, że patrzycie z wojskowej perspektywy i poznaliście jej zachowania w różnych ryzykownych sytuacjach.

– Tak jest, sir.

– Nie wyznaczam panu żadnego terminu, ale sprawa jest pilna. Im dłużej przebywa w ich rękach, tym większe prawdopodobieństwo trwałych uszkodzeń, nie wspominając już o chaosie politycznym. – Barin przetrawiał jego słowa w milczeniu; nie odważył się zapytać, jak to znosi jej ojciec.

– Czy ona... na zawsze straciła głos?

– Nie będziemy wiedzieć, dopóki jej nie odnajdziemy. Chirurg, który oglądał nagranie, powiedział, że to zależy od skali ingerencji, ale zawsze można zainstalować syntezator głosowy.

– Jeśli zniszczyli tylko jej struny głosowe, może szeptać, a szept powinna wzmocnić dość prosta proteza. Mogli jednak dokonać większych ingerencji, o których nic nie wiemy.

– W jaki sposób możemy ją odnaleźć?

– Nie wiem, chorąży. Jeśli wpadnie pan na jakiś pomysł, proszę się nim podzielić. Zostaliśmy

przydzieleni do grupy uderzeniowej mającej za zadanie odnalezienie jej i uratowanie.

* * *

Następnego dnia Escovar znów wezwał go do swojego biura.

– Znaleźli jacht. Został przycumowany do automatycznej stacji nawigacyjnej. Lokalna kontrola ruchu niczego nie zauważyła, odkryła go ekipa techniczna, która miała dokonać przeglądu stacji. Jacht jest pusty i na razie nikt nie wie, skąd się tam wziął.

Ekipa dochodzeniowa zbada go... ale już wiadomo, że w środku są ślady walki.

Serce Barina opadło jeszcze niżej, jeśli to w ogóle możliwe.

Pusty jacht ze śladami walki to nie jest coś, co można by podrobić.

– Czy powiedziała panu coś – cokolwiek – co mogłoby nam pomóc w ustaleniu, gdzie mogła być w chwili ataku?

– Nie, sir. Przyniosłem swoje notatki. – Barin podał je dowódcy. – Rozmawialiśmy głównie o kursach, innych studentach i wykładowcach. Dość sporo także na temat porucznik Suizy, ponieważ Brun – Sera Meager – pytała o nią.

Escovar szybko przebiegł wzrokiem notatki.

– Tutaj wspomniała o posiadaniu akcji; czy mówiła, w jakich firmach?

– Niczego takiego nie pamiętam – odpowiedział Barin. – Może mówiła, ale mnie to nie interesowało. Wspominała też o polowaniu konno i hodowli koni oraz o środkach farmaceutycznych, ale nie znam się na tym, więc...

OSK *Shrike*

Lecieli w skoku osiem standardowych dni, a Esmay większość ostatnich dwóch zmian spędziła w salce wykładowej PIR, gdzie opowiadała ekipom ratunkowym o wyjściu na zewnątrz statku w trakcie lotu nadświetlnego. Solis poprosił ją o przygotowanie programu szkoleniowego. Spodziewała się, że zajmie to tylko godzinę czy dwie, ale ekipy zadawały wciąż nowe pytania, i to bardzo dobre pytania. Gdyby to było możliwe, chętnie opuściliby *Shrike'a* i wyszli w przestrzeń. Esmay cieszyła się, że zabezpieczenia śluz działają tu tak samo jak na *Koskiusko* i nikt nie może się wydostać.

– Ale naprawdę powinniśmy to przeciwiczyć – zauważyła Kim Arek. – Kto wie, kiedy możemy tego potrzebować?

– Ktoś powinien stworzyć telemetrię kombinezonu, która działałaby spoza osłonami skokowymi – dodał ktoś inny. – Dystorsja temporalna może zabić, jeśli nie widać, kiedy kończy się zapas tlenu.

– Jakie techniki stosujecie, kiedy kończy się wam powietrze? – zapytała Esmay. – Wiem, co piszą w podręcznikach, ale kiedy zobaczyłam, jak mój wskaźnik spada do czerwonej strefy, stwierdziłam, że wcale nie jest tak łatwo „oddychać powoli i zachować spokój”.

– Poważnie? – Arais Demoy, jeden z neurowspomaganych marines, wyszczerzył do niej zęby w uśmiechu. – Proszę sobie wyobrazić, że nie jest pani nawet na powierzchni statku, tylko została pani wyrzucona w przestrzeń. Zdarzyło mi się kiedyś coś takiego przy przechodzeniu z okrętu na okręt. Właśnie dlatego mamy w zbrojach próżniowych nadajniki alarmowe. Jeśli pani potrafi, proszę spróbować rozluźnić mięśnie – ich napinanie zużywa tlen – i myśleć o czymś przyjemnym.

Statek lekko zadygotał i wszyscy przełknęli ślinę; była to naturalna reakcja na wyjście ze skoku. Silnik układowy czekał w gotowości już od pół godziny, a teraz jego równomierne buczenie przybrało na sile.

– Nie zaszkodzi modlitwa – dodała Sirin – jeśli jest pani wierząca.

Esmay miała właśnie uprzejmie zapytać, czy ona sama jest wierząca, kiedy rozległy się dzwonki alarmowe.

– Pierwszy na mostek, pierwszy na mostek... – Popędziła, zanim rozległo się powtórzenie wezwania.

– Kapitanie?

Solis wpatrywał się w nią tak, jakby zrobiła coś potwornego, a jej nic nie przychodziło do głowy. Ostatnio był dla niej łaskawy i zdawał się zapominać o początkowej wrogości.

– Otrzymaliśmy przekaz alarmowy, poruczniku.

Wojna? Poczula ssanie w żołądku.

– Córka lorda Thornbuckle'a została porwana przez nieznane siły, które grożą odwetem, jeśli Familie podejmą jakiegokolwiek działania mające na celu uwolnienie jej. Została okaleczona...

– Brun? – Esmay poczuła, jak krew odpływa jej z głowy; wyciągnęła rękę, żeby przytrzymać się włazu.

– Tak. Istnieją niezbite dowody jej schwywania. Wszystkie jednostki mają zgłosić wszelkie kontakty z wynajętym od Allsystems jachtem *Jester*. – Solis potrząsnął głową i rzucił Esmay długie, wyzywające spojrzenie. – Nie wygląda pani na zadowoloną ze spełnienia pani przepowiedni, że Sera Meager będzie żałować...

Przez chwilę nie mogła uwierzyć w jego słowa.

– Oczywiście, że nie! – odpowiedziała. – To nie ma nic wspólnego z... Nigdy nie chciałam, żeby cokolwiek jej się przytrafiło.

– W takim razie niech się pani modli, by odnaleziono ją szybko i w dobrym zdrowiu – powiedział Solis – ponieważ w przeciwnym razie wszyscy zapamiętają tylko – tak jak z pewnością pamięta jej ojciec – że nakrzyczała pani na nią, a ona uciekła z tego powodu z Copper Mountain. Musi pani zdawać sobie sprawę, poruczniku Suiza, że pani przyszłość w Zawodowej Służbie Kosmicznej zależy od przyszłości Brun, która w tej chwili wygląda cholernie ponuro.

Nie potrafiła teraz o tym myśleć; jej umysł natychmiast zajął się przypominaniem sobie wszystkich użytecznych informacji.

– Ten statek kupiecki... – zaczęła.

Solis spojrzał na nią z tępą miną.

– Ta mała jednostka – dodała – która wleciała później, i pięć ciał, które nie należały do załogi i zostały okaleczone... to mógł być statek Brun.

Solis zamrugał.

– Pani... może mieć rację. To możliwe... Całkiem prawdopodobne. Wysłaliśmy próbki tkanek do identyfikacji...

– Do medycyny sądowej w dowództwie sektora. Ale zostały oznaczone jako powiązane z *Elias Madero*. I nie mamy żadnych danych co do radiolatarni tego małego statku.

– Nie, ale mamy szacunkową masę. Dobra, Suiza, a teraz chcę usłyszeć prawdę: czy odczuła

pani choćby ślad satysfakcji?

– Nie, sir – odpowiedziała bez śladu wahania. – Popeliłam błąd, tracąc wtedy nad sobą panowanie. Wiem o tym, i przeprosiłabym Brun, gdyby wciąż była na miejscu, gdy wróciłam z ćwiczeń polowych. Nie życzyłabym nigdy nikomu schwymania przez piratów, a już najmniej komuś takiemu jak ona.

– Jak ona?

– Tak... wolnej, tak szczęśliwej osobie.

– No tak. Ja jestem prawie przekonany, ale wątpię, żeby udało się pani przekonać innych. Proszę uważać, Suiza, żeby nie popeliła pani kolejnych błędów. Biorąc pod uwagę zgromadzone przez nas dane, z pewnością zostaniemy wezwani do przyłączenia się do grupy uderzeniowej. Będą panią o nią wypytywać, i jedno niewłaściwe słowo może panią pogrzebać.

Esmay przywołała w myślach obraz śmiejącej się Brun. Już od lat nie uważała się za osobę wierzącą – w rozumieniu jej prababki – ale mimo to teraz zaczęła się modlić.

Stacja Aragon, dowództwo sektora VII, odprawa grupy uderzeniowej

Barin znalazł się w bardzo niewygodnym położeniu jako najmłodszy uczestnik konferencji. Wiedział, czemu go wezwali: szkolił się razem z Brun w Copper Mountain, wspólnie z Esmay uratowali jej skórę. Ale szkolenie nie przygotowało go do siedzenia przy jednym stole z głównodowodzącym, babką admirałem, dwoma innymi trójgwiazdkowymi admirałami, garstką komandorów – między którymi znalazła się jego kuzynka Heris – i Pierwszym Mówcą Rady Rodzin Familii Regnant.

Ojciec Brun Meager, lord Thornbuckle, pogrążył się w rozpacz... i teraz balansował na krawędzi równowagi psychicznej. Jeszcze nigdy Barin nie widział jakiegokolwiek dorosłego człowieka w takim stanie. W surowym świetle odbijającym się od wypolerowanego stołu widać było delikatne drżenie jego rąk i błyski siwizny w krótko przyciętych blond włosach, gdy gwałtownymi ruchami obracał głowę w stronę mówiącego.

„Musisz im wszystko powiedzieć”, rzekł kapitan. „Wszystko”.

Ale jak ma w obecności ojca Brun i w pokoju pełnym admirałów opowiadać o jej mniej godnych szacunku zachowaniach? Siedział więc cicho i wbrew wszystkiemu miał nadzieję, że coś przeszkodzi w zebraniu, zanim będzie musiał zranić i tak już bardzo cierpiącego człowieka.

* * *

– Admirale Savanche, dostaliśmy priorytetową wiadomość.

Admirał odsunął się od stołu.

– Lepiej, żeby to naprawdę było ważne. – Barin w duchu ucieszył się, że spotkanie zostało przerwane. Savanche odebrał kostkę z wiadomością i wsunął ją do czytnika.

– To od kapitana Solisa z pokładu jednostki poszukiwawczo-ratowniczej *Shrike*. Szukali śladów w związku ze zniknięciem statku kupieckiego należącego do Konsorcjum Boros i przez kilka tygodni nie mieli z nikim kontaktu. Właśnie dowiedział się o zniknięciu jachtu i... Lepiej sami to zobaczcie. – Przesłał obraz z kostki na główny ekran.

Na ekranie pojawił się fragment gwiazdnej mapy z umieszczonym w rogu obrazem kapitana Solisa.

– ...ślad bardzo małej jednostki w tym samym systemie – mówił. – Z początku myśleliśmy, że to ktoś z napastników śledził *Elias Madero*. Potem odnaleźliśmy pozostałości statku kupieckiego i ciała całej dorosłej załogi i jednego młodocianego praktykanta – ale nie było ciał drugiego praktykanta i czworga małych dzieci – oraz zwłoki pięciu osób nie należących do załogi, których nie potrafiliśmy zidentyfikować. Badający ich eksperci uważają, że to byli wojskowi, choć nie należeli do Floty; zwykle miejsca ich identyfikacji zostały poddane okaleczeniu.

– Było ich dziesięcioro – wyszeptał lord Thornbuckle.

– Gdy tylko wróciliśmy do Bezaire, wysłaliśmy raport do dowództwa sektora, ale musieliśmy skorzystać z komercyjnego ansibla. Nie mieliśmy jeszcze wtedy informacji o zaginięciu córki Mówcy. Jednak kiedy wyszliśmy ze skoku w Sil Peak, przekazano nam tę wiadomość wraz ze specyfikacjami jej statku. Mój pierwszy oficer, porucznik Suiza, natychmiast pomyślała o znalezionych ciałach. Odkryte przez nas ślady statku odpowiadają jachtowi o podanej masie. Wyłowione ciała znajdują się w naszych ładowniach; proszę o wydanie dalszych poleceń.

– Mamy udział w Boros – odezwał się lord Thornbuckle. – Była tam; powiedziała, że chce obejrzeć sady oliwne na... Nie pamiętam, gdzie one rosną, nie potrafię w tej chwili myśleć. To musiała być ona... i jej jacht. Ochrona...

– Wie pan coś o nich, lordzie Thornbuckle?

– Byli z mojej milicji. Brun... nie układało się dobrze z personelem ochrony z Królewskiej Służby Kosmicznej, który poleciał z nią do Copper Mountain. Doszło do incydentu...

– I mówi pan, że było ich więcej niż pięciu.

– Tak, powinno być dziesięciu. – Lord Thornbuckle wbił wzrok w stół. – Uważała, że jest ich zbyt wielu.

– Cóż, musimy jak najszybciej sprowadzić tu dowody zebrane przez Solisa. – Wzrok Savanche'a spoczął na Barinie. – Chorąży, proszę poszukać szefowej mojego personelu łączności i powiedzieć jej, że chcę bezpiecznego połączenia ze *Shrikiem*.

– Sir. – Barin znalazł szefową komunikacji głównodowodzącego na korytarzu tuż za drzwiami – widocznie ktoś przewidział taką potrzebę – i posłał ją do środka. Cieszył się, że mógł wyjść stamtąd, i miał nadzieję, że nie zostanie wezwany z powrotem.

– *Shrike*... Esmay jest na *Shrike'u*. Ciekaw był, jak przyjęła tę wiadomość.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Shrike wpadł w układ jak anioł zemsty. Wszedł z dużą prędkością w oczyszczony specjalnie do tego celu korytarz, po czym przeniósł się w głąb układu serią mikroskoków... redukując normalny ośmiodniowy przelot do zaledwie jedenastu godzin. Tam wyleciały mu na spotkanie trzy holowniki, które doprowadziły go do stacji ze stosunkowo dużą prędkością względną. Barin wraz z kolegami przyglądał się obrazom skanu z pokładu *Gryfalcona*.

– Chorąży! – Obejrzał się i zobaczył kapitana wzywającego go do swojego biura.

– Od godziny otrzymujemy przekazy danych ze *Shrike'a* – powiedział kapitan. – Chcę, żeby zaniósł pan to do biura głównodowodzącego i dostarczył mu do rąk własnych.

– Sir. – Barin odebrał zestaw kostek zawierających dane i skierował się do tymczasowej kwatery głównodowodzącego. Przenosił już jako kurier różne rzeczy, więc pracownicy admirała przyjęli do wiadomości, że musi dostarczyć przesyłkę osobiście.

– Ale będzie pan musiał poczekać. Admirał przyjmuje delegację z Republiki Guernesii.

Dobrze. – Barin znalazł miejsce, w którym nie przeszkadzał nieustannie przechodzącym przez sekretariat osobom, i wrócił myślami do *Shrike'a*... oraz jego pierwszego oficera. Czy będzie miał okazję zobaczyć Esmay? Mało prawdopodobne; na pewno to kapitan *Shrike'a* będzie przychodził na odprawy. Może nowe informacje spowodują, że wreszcie przestaną go wypytywać o sposób myślenia Brun, tym bardziej że z każdą chwilą był coraz mocniej przekonany, że niewiele wie na ten temat. Owszem, chciała go zaciągnąć do łóżka. No i co z tego? Owszem, w jego opinii była osobą trudną i upartą... ale mimo to nie zasłużyła na to, co ją spotkało. Znowu poczuł ucisk w gardle na wspomnienie nagrania z operacji; z trudem przełknął ślinę.

– Witaj, chorąży Serrano.

Spojrzał w lewo. Stała tam porucznik Esmay Suiza i patrzyła na niego wyzywająco. Trzymała w ręce walizkę, zapewne z danymi.

– Poruczniku!

– Bujamy w obłokach? – zapytała tonem dawnej Esmay, tej z *Koskiusko*.

– Sir, zamyśliłem się.

– Powiedział, że jeszcze tylko minutkę – wtrącił zza biurka sekretarz. – Jeśli porucznik nie ma nic przeciwko wejściu razem z chorążym Serrano...

– Absolutnie nie – odpowiedziała Esmay.

Baijin próbował nie gapić się, ale... wyglądała wspaniale. W niczym nie przypominała Casei Ferradi; nawet jeśli była przesadnie skromna, przynajmniej była czysta.

Drzwi do biura admirała otworzyły się i komandor ze znekąną miną zaprosił ich do środka.

– Chodźcie, Serrano, Suiza, czekamy na was.

– Nie! – rozległ się głośny krzyk. Barin znieruchomiał. – Nie pozwolę jej, nie chcę jej oglądać!

– Trzymający drzwi komandor zamknął je z powrotem. – To wszystko jej wina! – dobiegło zza drzwi.

Thornbuckle. Wciąż zły, wciąż nieprzejednany... Barin rzucił Esmay ukradkowe spojrzenie; dziewczyna patrzyła wprost przed siebie, niemal bez emocji. Chciał coś powiedzieć – tylko co? – ale drzwi znowu się otworzyły i tym razem pojawił się admirał Savanche.

– Poruczniku, jak rozumiem, ma pani dla mnie przesyłkę?

– Tak jest, sir. – Głos Esmay wyrażał nie więcej niż jej twarz, gdy wręczała mu walizkę.

Dobrze. Możecie odejść. – Teraz zwrócił się do Barina. – Proszę ze mną, chorąży. – Barin próbował pochwycić wzrok Esmay, ale nie patrzyła na niego. Ruszył za Savanchem, czując, jak jego serce szybko opada w stronę grawitacyjnego centrum kosmosu.

* * *

– Badania tkankowe potwierdzają, że nie zidentyfikowane ciała znalezione w miejscu porwania *Elias Madero* to pięcioro z dziesięciorga członków osobistej milicji lorda Thornbuckle'a: Savoy Ardenil, Basil Verenci, Klara Pronoth, Seren Verenci i Kaspar Pronoth. To znaczy, że statek Sery Meager był tam w tym samym czasie i mógł próbować interweniować.

Tak więc wiedzieli już, gdzie znajdował się jacht Brun w chwili ataku piratów, i mogli ograniczyć poszukiwania do mniejszego obszaru. Barin próbował skupić się na analizie zebranych dowodów, ale wciąż miał przed oczami twarz Esmay. Rzeczywiście nie miała racji, ale wybuch lorda Thornbuckle'a i odmowa zobaczenia jej były absolutnie niesprawiedliwe. To, co się stało z Brun, nie była winą Esmay.

– Guernesie pracują nad kostkami danych odzyskanymi z *Elias Madero*; zidentyfikowali już organizację – najwyraźniej jest to Bogobojna Milicja Nowego Teksasu – i teraz próbują odkryć, który jej odłam schwytał Serę Meager. – Oficer zdający raport, nie znany Barinowi komandor, przerwał, czekając na pytania.

– Padło tylko jedno, zadane przez lorda Thornbuckle'a.

– Jak długo?

Kiedy konferencja zakończyła się, Barin postanowił pójść poszukać Esmay. Chciał jej powiedzieć, że przynajmniej on nie jest już na nią zły. Ale najpierw złapała go wszechobecna porucznik Ferradi, a potem, zanim wykonał przydzielone przez nią zadania, musiał wrócić na swoją wachtę na pokład *Gryfalcona*.

* * *

Kapitan Solis czekał na Esmay we włazie dokowym *Shrike'a*.

– Musimy porozmawiać – oświadczył. Wyglądał bardziej na zmęczonego niż złego. – Jak na razie nikt na pokładzie o tym nie wie, i wolałbym zachować to w tajemnicy.

– Sir. – Niczego nie zrobiła, po prostu zgodnie z rozkazami zaniósła dane tam, gdzie jej kazano.

Kapitan westchnął.

– Na ile mogę stwierdzić – a jestem w stanie ocenić takie rzeczy, bo inaczej nie zasługiwałbym na swoje stanowisko – pani reakcja w Copper Mountain była prawdziwym wybuchem. Chcę powiedzieć, że doskonale spisuje się pani w pracy dla mnie, jest pani skuteczną przywódczynią. Ale każde nasze działanie, łącznie z błędami, nawet jeśli zdarzają się rzadko, ma swoje konsekwencje.

Esmay uznała, że nie ma sensu odpowiadać.

– Lord Thornbuckle potrzebuje winnego – ciągnął dalej Solis – a ponieważ nie może dostać prawdziwych bandytów, wybrał panią. Nie zgadza się na pani udział w planowaniu akcji ratunkowej;

nie chce nawet, żeby znajdowała się pani w bazie. Mamy w związku z tym bardzo ograniczone pole manewru, biorąc pod uwagę jego pozycję i stan umysłu. Ja uważam pani wiedzę o Serze Meager – oraz wyniki badania miejsca porwania *Elias Madero* – za istotne czynniki, i zgłosiłem to do protokołu, lecz zostałem zrugany przez admirała Hornana.

– Tak jest, sir – rzekła Esmay, ponieważ długa przerwa sugerowała, że kapitan spodziewa się jakiejś odpowiedzi.

– Będzie pani musiała trzymać się na uboczu. Nie zabraniam pani opuszczania *Shrike'a*, ponieważ byłoby to niesprawiedliwe, ale do czasu aż uda mi się zdobyć dla pani jakiś przydział godny pani talentów zdecydowanie doradzam spędzanie większości czasu na statku. Proszę też uważać, by nie natknęła się pani na lorda Thornbuckle'a ani admirała Hornana. Ten ostatni bardzo poważnie traktuje swoje stanowisko dowódcy sektora i chciałby poprowadzić grupę uderzeniową, kiedy przyjdzie pora na jej działanie.

– Ponieważ Serrano popadli w niełaskę u Thornbuckle'a, może dostać ten przydział.

– Tak, sir. – Czemu Serrano mają kłopoty? Dla Esmay nie miało to sensu, ale najwyraźniej powinna trzymać się z dala od Barina, przynajmniej do czasu, aż wszystko się wyjaśni. Ostatnia rzecz, jakiej by chciała, to wpakować Serrano w jeszcze gorsze kłopoty.

– A jeśli wyjdzie pani na stację, proszę uważać na każde słowo, ponieważ ktoś na pewno będzie słuchał.

– Tak jest, sir.

– Zrobię, co będę mógł, żeby na bieżąco informować panią o postępach śledztwa. A teraz proszę wejść na pokład i utrzymywać mój statek w porządku.

– Tak jest, sir. – Esmay zaszutowała, tylko trochę pocieszona tym, że kapitan nie uważa jej za potwora. Najwyraźniej tak sądzi wystarczająco wielu ludzi.

* * *

W ciągu następnych kilku dni Barin ze wszystkich sił starał się odszukać Esmay, ale nie znalazł jej w żadnym z tych miejsc, gdzie po służbie zbierali się oficerowie. Jej nazwisko nigdy nie pojawiło się na liście rezerwacji sprzętu gimnastycznego czy basenu i nie odnalazł żadnych śladów korzystania z biblioteki; nie przydzielono jej też kwater. Czyżby cały czas mieszkała na pokładzie *Shrike'a*. Wywołał informacje o statku i znalazł jej nazwisko z adnotacją, że jest pierwszym oficerem – to przynajmniej się zgadzało – ale bez osobistego numeru komunikatora. Nie chciał dzwonić do okrętowej centrali i prosić o wezwanie jej; w obecnej sytuacji mogłoby to wpakować oboje w kłopoty.

* * *

Następna narada zaczęła się od prezentacji dokonanej przez jednego z Guernesii.

– Dzięki danym zebranych przez *Shrike'a* i poddanych obróbce przez waszych uzdolnionych techników zidentyfikowaliśmy napastników jako członków organizacji religijno-wojskowej, która kontroluje w tym rejonie sześć planet typu ziemskiego. – Wskazał mapę na wyświetlaczu. – Zauważcie państwo, że znajdują się one w przestrzeni oddzielającej tereny Guernesii i Familii.

– Pozwólcie państwo, że przedstawię podstawowe informacje na temat grupy nazywającej się

Bogobojną Milicją Nowego Teksasu bądź w skrócie milicją Nuteks. Nasi historycy przeprowadzili rozległe badania nad religiami, które wywodzą się ze Starej Ziemi, ponieważ mieliśmy z wieloma z nich niezbyt przyjemne kontakty. Ci przyznają się do pochodzenia od założycieli Teksasu – jednego ze stanów tworzących Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, państwa na Starej Ziemi.

– Nie widzę żadnego związku ze sprawą – odezwał się lord Thornbuckle. – Później możemy zapoznać się z historią...

– Zaraz pan zrozumie, sir. Ich wierzenia mają znaczenie dla sytuacji pańskiej córki oraz ewentualnego jej uwolnienia. Ich wiara wywodzi się z mocno zmitologizowanego traktowania historii Teksasu. – Nabrał powietrza i mówił dalej. – Cóż, ten stan w pewnym okresie – bardzo krótkim – był niezależnym państwem. Podobnie jak w przypadku innych narodów wchłoniętych przez większe jednostki polityczne, część jego mieszkańców czuła sentyment do przeszłości. Pod koniec dwudziestego wieku ich czas jedną z wielu grup paramilitarnych i terrorystycznych działających aktywnie w Stanach Zjednoczonych było ugrupowanie nazywające się Republika Teksasu. W tamtych czasach nie miało ono związku z żadnym konkretnym wyznaniem i nie kierowało się sztywnymi wytycznymi co do roli płci czy paru innych kwestii.

– Czy to ugrupowanie brało wtedy udział w akcjach terrorystycznych? – zapytała admirał Serrano.

Sądzymy, że pierwotnie zajmowało się tylko zbieraniem broni, unikaniem płacenia podatków i sprawianiem lokalnym władzom maksymalnie wielu kłopotów. Jednak w czasie pewnego sporu z władzą jej członkowie schwytali zakładników i ogłosili zamiar utworzenia niezależnego rządu oraz obalenia istniejącego. Poniesiona porażka spowodowała przyłączenie się tych ludzi do fundamentalistycznej grupy religijnej, która tłumaczyła klęskę Republiki Teksasu brakiem wiary, a swoją własną – brakiem doświadczenia wojskowego. Tamta sekta nosiła nazwę Republiki Bogobojnych Teksaszczyków Przeciw Światowemu Rządowi.

Grupa szybko rozpadła się na odłamy, z których każdy, jak to często bywa, miał odrębne przekonania religijne. Jeden z odłamów nazwał się Bogobojną Milicją Nowego Teksasu. Jego członkowie wierzyli, że upadek społeczeństwa i powstanie tyranii było skutkiem wpływu kobiet, i że kobiety nie powinny wykraczać poza rolę wyznaczoną im przez Boga w Piśmie Świętym. Trzeba podkreślić, że w tym czasie edukacja kobiet w Północnej Ameryce była już dość powszechną zdobyczą, a ich wkroczenie na rynek pracy uznano za przyczynę bezrobocia mężczyzn. Historycy znaleźli wiele tekstów głoszących konieczność powrotu kobiet do „tradycyjnych” ról, i to bardzo wąsko zdefiniowanych.

– I właśnie wspomniany odłam zdołał wydostać się w kosmos na podstawie kontraktu, którego ustalenia natychmiast złamali.

Utworzyli własny rząd kolonialny bazujący na jednostkach wojskowych. Ponieważ najwyraźniej wokół Teksasńskich Rangersów narosły już mity, określali wybieranych przez siebie urzędników mianem „Rangersów” i do tego dodawali imiona postaci historycznych z krótkiego okresu niepodległości Teksasu. To ważne, ponieważ możemy śledzić podziały w pierwotnej grupie na podstawie wyboru imion Rangersów. Na przykład jeden z odłamów określa swoich Rangersów imionami McCullough, Davis, King, Austin i Crockett. Inny używa imion Crockett, Bowie, Houston, Travis i Lamar. Wszystkie jednak zarządzane są przez radę pięciu Rangersów, kierowaną przez Kapitana. W załącznikach znajdują państwo listę wszystkich sześciu znanych odłamów.

– Ponieważ nasza grupa uważa wolność osobistą – oczywiście mężczyzn – za najwyższe dobro, nieustannie zrywa i tworzy w ramach odłamu nowe sojusze.

– Czy wymieniają między sobą więźniów? – zapytał któryś z admirałów.

– Prawie nigdy. Nam udało się odzyskać zaledwie kilku ludzi... ale nigdy kobiet. Jeśli chodzi o ich stosunek do kobiet, wierzą, że pozwalanie im na przykład na loty w kosmos jest wyrazem braku troski mężczyzn, dlatego jeśli schwytają kobiety, uważają, że ratują je przed znacznie gorszym losem.

– Ale przecież okaleczyli i pozabijali tamte kobiety...

– To zupełnie inny problem. Podobnie jak w przypadku większości tego rodzaju grup, ich nakazy religijne są bardzo surowe w zakresie wszystkiego, co ma związek z seksem i reprodukcją.

Uważają, że kobiety zostały stworzone przez Boga po to, by służyć mężczyznom i rodzić dzieci... dlatego należy je zmuszać do przyjęcia wyznaczonej przez Niego roli. Wierzą także, że Bóg pozwala tylko na związki seksualne kobiet z mężczyznami; wszystkie inne nazywają zboczeniem. Podobnie ma się sprawa z antykoncepcją i inżynierią genetyczną. Tak więc jeśli schwytają kobiety z implantami antykoncepcyjnymi czy śladami ingerencji genetycznych lub takie, które przez swoje zachowanie albo pozycję „uzurpują sobie władzę mężczyzn”, zazwyczaj je zabijają.

– Brun jest Zarejestrowanym Embrionem – powiedział lord Thornbuckle. – Co mogą o niej sądzić?

– Z pewnością uznali ją za ohydztwo, ofiarę wtrącania się ludzi w boskie plany wobec nich. Przypuszczam, że jak większość niezamężnych kobiet, ma również implant antykoncepcyjny?

– Oczywiście – odpowiedział lord Thornbuckle. – Brun chciała mieć implant głównie po to, żeby nie wyróżniać się spośród przyjaciół.

– Dziwi mnie, że jej nie zabili – stwierdził Guernesi. – Musieli uznać, że jej znaczenie polityczne warte jest ryzyka, że Bóg ukarze ich za to, iż pozwolili jej żyć. Bez wątpienia właśnie dlatego pozbawili ją głosu i natychmiast przystąpili do zapłodnienia. W ich własnej opinii odzyskali ją dla bożych planów, a wysłanie wiadomości do pana i całych Familii...

– Rozmnażają się bez ograniczeń...

– I to bardzo intensywnie. Każdy dorosły mężczyzna ma prawo do tylu żon, ile tylko może utrzymać, oraz wolny dostęp do kobiet określanych mianem „dziwek szatana”. Wszystkie dzieci, które się urodzą, są uznawane za jego prawowite potomstwo, a jeśli mężczyzna nie uzna dziecka, zawsze znajdą się ludzie gotowi do adopcji. Jeśli jakaś kobieta zbuntuje się – co się zdarza – pozbawia się ją głosu i przekazuje do domu rodzinnego.

– Skąd pan tyle wie? – zapytał Thornbuckle.

Cóż, graniczymy z dwoma z pięciu kontrolowanych przez nich układów gwiazdnych, a poza tym wielokrotnie napadali na naszych ludzi, bo według ich wierzeń jesteśmy obrzydliwym.

Jeśli ktoś jest zainteresowany, możemy dostarczyć kopię tego, jakie prawa uznają za zrodzone z bożej inspiracji. Ponadto w bardzo ograniczonym zakresie handlują z nami; mimo że ich zdaniem jesteśmy zboczeńcami i dewiantami, czasem potrzebują naszych umiejętności. Żeby chronić naszych ludzi, musieliśmy sporo się o nich dowiedzieć. Prawdę mówiąc, obawiam się, że możemy być pośrednio odpowiedzialni za ich wkroczenie w przestrzeń Familii.

– Co?!

– Po raz trzeci w ciągu kilku ostatnich miesięcy zaatakowali jeden z naszych statków pasażerskich. Udało mu się uciec, ale uznaliśmy, że mają zbyt wiele tupetu. Daliśmy im więc nauczkę – zniszczyliśmy kilka ich orbitalnych platform obronnych, mówiąc przy tym, że Bóg karze ich za popełnione błędy. Wiedzą, że większość naszych ludzi jest, jak oni to nazywają, „uduchowionych”,

choć oczywiście nie są tego samego wyznania. W każdym razie przypuszczam, że szukali jakiegoś sposobu odbudowania swojego prestiżu. Woleli trzymać się z dala od nas i Szmaragdowych Stanów, od których także dostali po tyłku, więc polecieli do was.

– Muszę was ostrzec: prawdopodobnie mają agentów w waszych sieciach handlowych, ponieważ za każdym razem, gdy łapaliśmy ich na próbie porwania dużego transportowca, znajdowaliśmy przewożoną nielegalnie broń.

– W manifeście przewozowym *Elias Madero* niczego takiego nie było.

– Oczywiście, że nie. W naszej przestrzeni działali w ten sposób, że zdobywali coś na agenta handlowego i docierali do ładowni – czasem tylko jednej, a czasem kilku – a potem ładowali do niej wszystko, co udało im się kupić na czarnym rynku. – Po chwili dodał: – Muszę przyznać, że sporo tego pochodzi z Familii. Macie kwitnący przemysł zbrojeniowy.

– Nie my jedni – wymamrotał lord Thornbuckle.

Nie, ale z tego, co udało nam się skonfiskować, około siedemdziesięciu trzech procent pochodziło z Familii, jedenaście procent od nas, a reszta ze Szmaragdowych Światów. – Przerwał, ale nikt się nie odezwał. – Proponowałbym bardzo uważnie przyjrzeć się agentom towarowym Konsorcjum Boros, zwłaszcza pracującym niedaleko miejsca, gdzie doszło do ataku. Zazwyczaj nie czekają długo na przejęcie rzeczy, które ukryli w czyjejs ładowni. Cierpliwość nie jest ich mocną stroną. Możecie również sprawdzić wasze magazyny wojskowe; zarówno w Szmaragdowych Światach, jak i w Republice Guernesii próbowali zdobywać wyznawców wśród wojskowych. Ich nacisk na kluczową rolę mężczyzn i osobisty honor znajduje posłuch w niektórych kulturach, a przecież wy jesteście państwem wielokulturowym.

Atmosfera w pokoju nagle zmroziła się, zupełnie jakby wcześniej, po sprawie Lepescu i Garrivaya, nie mieli żadnych obaw co do lojalności wojskowych. Ciszę przerwał lord Thornbuckle.

– A więc ograniczymy się teraz do... pięciu planet? Sześciu?

Jednak moja córka może być gdzie indziej.

– Teoretycznie tak, ale mamy jeszcze to... – Na ekranie pojawił się nieruchomy powiększony obraz klatki. – Dzięki zebraniu przez *Shrike'a* pozostałości z *Elias Madero* dysponujemy nagraniem wideo porwaczy. Widzą państwo, że dzięki powiększeniu udało nam się odczytać grawerunek na insygniach przywódcy.

O, tutaj... widać Bowie. A więc wiemy, że rajd dowodzony był przez Rangera Bowie, a z innych źródeł wiemy, że tylko dwie planety Nasz Teksas i Teksas Prawdziwy, nazywają tak jednego ze swoich Rangersów. Musimy teraz ustalić, z którym Bowie mamy do czynienia, a to może wymagać czasu.

– Ona nie ma czasu – powiedział z naciskiem Pierwszy Mówca.

– Musimy ją szybko znaleźć.

Barin zauważył rzucane na boki spojrzenia. On też słyszał plotki, że Flota ma poważniejsze problemy niż szukanie zaginionej kobiety i groźby wobec rządu.

– Pracują nad tym nasi agenci polowi – oznajmił admirał Savanche. – Odkąd Guernesii powiedzieli nam, że możemy spodziewać się ze strony tych ludzi ataków terrorystycznych, wysłaliśmy: ostrzeżenia do ochrony na wszystkich stacjach orbitalnych, w stoczniach i większych miastach.

Zenebra, główna stacja

Gonar Terakian przyszedł do *Rusty Rocket* w celu odbycia rozmowy ze swoim kuzynem Basilem Terakian-Junosem. Mieli do omówienia interes, o którym nie powinien nikt inny usłyszeć. Pomyśleli, że w środku tygodnia i w połowie drugiej zmiany bar może być pusty, jeśli nie liczyć barmana Sandora i Genevieve, ale okazało się, że w barze był jeszcze ktoś – oparty o kontuar młody człowiek, na którego kombinezonie widniała nie znana im plakietka.

– Nie macie pojęcia, co was czeka – odezwał się młodzieniec.

Był bardzo młody i bardzo pijany. Terakian zignorował go i złożył zamówienie dla siebie i Basila. Może młody dureń zadowolony się mówieniem do samego siebie.

Ale kiedy Terakian przeniósł się z Basilem na drugi koniec baru, młodzieniec poszedł za nimi.

– Już niedługo spadnie na was cios – powiedział. Miał bardzo specyficzny akcent. – A wy żyjecie w mroku, niczego nieświadomi.

– Odejdź stąd – powiedział Basil.

– Wtedy nie będziecie mi wydawać rozkazów – odpowiedział chłopak. – Wtedy będzie już dla was za późno.

Terakian popatrzył na barmana Sandora; ten przewrócił oczami, ale nic nie powiedział. Pijak to pijak, ryzyko zawodowe. Ponieważ jednak Terakianowie byli jego stałymi klientami, po chwili podszedł do młodzieńca.

– Pijesz czy gadasz? – zapytał.

– Daj mi jeszcze jednego – zażądał chłopak. Chwiał się lekko, ale jeszcze nie przekroczył granicy utraty przytomności.

– Co do tego kontraktu Vorteny – rzekł Terakiano, odwracając się plecami do pijaka – słyszałem od Gabe, że na *Serenity Gradient* planują...

Pijak klepnął go po ramieniu; Terakian odwrócił się gwałtownie.

– Nie wiesz, co was czeka – powiedział młodzieniec i pogroził mu palcem.

– O czym ty mówisz? – Terakian był już mocno zirytowany. – Wiem tylko, że czeka mnie połowa udziałów w statku, kiedy umrze mój wuj. – Wyszczerył w uśmiechu zęby, a kuzyn odpowiedział mu tym samym.

– To... jest... tajemnica. Ale dowiedcie się. Wszyscy się dowiedcie.

– Brzmi to jak groźba – zauważył Basil. – Och, jaki jestem przerażony...

– Lepiej się bój. – Młodzieniec miał coraz bardziej nieprzytomne spojrzenie. – Wy wszyscy... jesteście ohydztwa!

– Gównojad! – rzekł kuzyn Terakiana, człowiek z wielkim temperamentem, o czym świadczyły jego liczne blizny.

Ale młody pijak nie zareagował na obelgę; uśmiechnął się paskudnie.

– Pożałujecie. Kiedy stacje wybuchną i uderzy w was gniew Boga...

– Hej tam – wtrącił się Sandor. – Żadnych gadek o religii w tym barze. Jeśli chcecie kłócić się o wyznanie, róbcie to gdzie indziej.

Młodzieniec wykonał kilka niepewnych kroków, po czym zgiął się wpół i zwymiotował.

– Nienawidzę religijnych pijaków – skomentował Sandor, sięgając po stojący za barem

odkurzacz. – Nie potrafią utrzymać alkoholu w żołądku. – Spojrzał na Terakiana i jego kuzyna. – Widzieliście go już kiedyś?

– Nie – odpowiedział Terakian – ale w ciągu ostatnich dwóch dni widziałem kilka takich plakietek w doku D.

– Cóż, wystawcie głowy i zobaczcie, czy nie ma tam kogoś z ochrony stacji, a ja przez ten czas posprzątam. Nie chcę mieć żadnych kłopotów z prawem z powodu sprzedawania alkoholu nieletnim czy coś w tym stylu.

Terakian, który przechodził przez tę stację co dwa miesiące, regularnie jak w zegarku, znał większość tutejszych pracowników. W pobliżu Kantoru Wymiany i Bankowego Przyjaznego Maca zobaczył będącą na obchodzie Jilly Merovic. Pomachał do niej, a ona odpowiedziała mu tym samym i ruszyła energicznym krokiem w stronę baru.

– Idzie tu Jilly – poinformował barmana.

– Dobrze. – Sandor sprzątnął już nieczystości, ale młodzieniec nadal leżał nieprzytomny na podłodze. – Pomóżcie mi go obrócić, dobrze?

– Nasz lekarz mówi, żeby zostawiać ich twarzą w dół – odezwał się Basil.

– Dobrze, w takim razie podnieś jego głowę, żebym mógł sprzątnąć resztę tego syfu. – Basil skrzywił się, ale odciągnął głowę chłopaka do tyłu, a Sandor przesunął końcówką odkurzacza w miejscu, gdzie przedtem była jego twarz.

– Co tu się dzieje? – zapytała od drzwi Jilly.

– Nowy klient wypił za dużo, zwymiotował i stracił przytomność.

– Aha. Masz jego identyfikator?

– Powiedział, że ma dwadzieścia siedem lat.

– Dobra, Sandor, nie oskarżam cię o rozpijanie nieletnich. Chcę tylko wiedzieć, czy brał jakieś leki.

Jilly przykucnęła obok nieprzytomnego chłopaka, po czym spojrzała na Terakiana i jego kuzyna.

– Czy któryś z was go zna? Wydawał się zdenerwowany?

– Nie, nie znamy go i wydawał się pijany – warknął Basil; był typem człowieka, który nie lubi, gdy mu się przeszkadza w interesach. Terakian rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie; będą mogli porozmawiać później, ale pod warunkiem, że nie sprawi teraz żadnych kłopotów.

– Groził nam – powiedział Terakian. – Nazwał nas ohydztwami i powiedział, że czeka nas coś strasznego.

Jilly, która właśnie zamierzała zajrzeć do kieszeni mężczyzny, na te słowa podniosła wzrok.

– Ohydztwa? Jesteś pewien, że tak właśnie powiedział?

– Tak. I coś na temat wysadzenia stacji. Pomyślałem, że to stuknięty pijak. Pewnie kapitan go wyrzucił albo panienska puściła się z kimś innym.

– Słyszeliście kiedyś o statku *Mockingbird Hill*! – zapytała Jilly.

Terakian pokręcił głową.

– Nie... Co to za jeden?

– Nie zrzeszony statek kupiecki. A to jest Todd Grew. – Zeskanowała plakietkę na ramieniu chłopaka i sprawdziła odczyt na ręcznym komputerze. – Zgadza się, *Mockingbird Hill*, siedzi w doku D. Opłacił trzydziestodniowy postój i zadeklarował ładunek lekkich maszyn.

– Nie zamierzasz zadzwonić na statek, żeby go stąd zabrali?

Jilly rzuciła Basilowi spojrzenie, od którego Terakianowi zrobiło się zimno aż do szpiku kości.

– Nie. Sir Grew zasługuje na najlepszą opiekę medyczną. Wy dwaj stańcie w drzwiach, i jeśli zobaczycie kogoś szukającego pana Grew, zróbcie awanturę. Cokolwiek, byle go tutaj nie wpuścić. – Potem zwróciła się do barmana. – Muszę skorzystać z twojego komunikatora.

– Ale przecież masz własny.

– I to już – powiedziała Jilly z taką siłą, że barman aż cofnął się o krok. Terakian ucieszył się, widząc innego człowieka reagującego tak samo jak on. Skinął na Basila i zgodnie z poleceniem Jilly podeszli do drzwi. Nie słyszał, co mówiła do komunikatora... ale wiele lat spędzonych w przestrzeni kosmicznej Familii pozwoliło mu bez żadnych wątpliwości zidentyfikować ludzi w nie wyróżniających się niczym strojach, którzy weszli przez tylne drzwi baru i wpakowali nieprzytomnego Todda Grew na nosze. Gdy go wynosili, także tylnymi drzwiami, jeden z mężczyzn podszedł do Terakiana.

– Czy mógłbym zobaczyć wasze dokumenty? – Tak naprawdę to wcale nie była prośba. Terakian wyciągnął portfel, a mężczyzna zerknął na niego i mruknął, nie podnosząc wzroku: – Oficer Merovic mówi, że zna pana już od lat.

– To prawda – przyznał Terakian. Czuł, jak po plecach spływa; mu zimny pot, choć przecież nie zrobił niczego złego. – *Z Terakian Blessing*, Terakian i Synowie, Limited.

– A pan? – zapytał mężczyzna, patrząc na Basila.

– Basil Terakian-Junos. *Z Terakian Bounty*.

– Kuzyni – stwierdził mężczyzna. – To pan jest tym od częstych burd, prawda?

– Potrafię się bić – potwierdził Basil.

– Basil...

– Nic się nie stało – stwierdził mężczyzna. – Chciałem tylko upewnić się, że mam do czynienia z właściwymi kuzynami Terakian. Dam wam dobrą radę. – Oczywiście miał na myśli rozkaz. – To nigdy się nie zdarzyło, prawda?

– Co? – zapytał Basil.

– Terakian szturchnął go łokciem.

– Przyszliśmy tu tylko na małą rodzinną pogawędkę.

– No właśnie. Zobaczyliście oficer Merovic i postawiliście jej drinka.

– Tak jest, sir. I nikt niczego nie widział.

– Świetnie. Zapewniam was, że to nie jest historia do opowiadania i nic się na niej nie da zarobić.

Terakian nie wierzył mu – wszystko, czym tak bardzo przejmuje się Bezpieczeństwo Floty, zazwyczaj ma związek z olbrzymimi zyskami – ale gotów był przyznać, że sam nic na tym nie zarobi.

– A jak długo powinno trwać to rodzinne spotkanie? – zapytał.

– Piętnaście minut powinno wystarczyć – odpowiedział uprzejmie mężczyzna.

Piętnaście minut. A więc wciąż mają czas, żeby omówić sprawę negocjowania kontraktu Vorteny, jeśli tylko Jilly nie uprze się, żeby wypić razem z nimi drinka.

– Stacja Aragon, dowództwo sektora VII

– Dzięki czujnej ochronie na stacji Zenebra dysponujemy teraz zarówno dowodami na planowanie zamachów terrorystycznych, jak i bardziej szczegółowymi informacjami o miejscu pobytu Sery Meager.

– Czyli?

Nie zrzeszony statek kupiecki *Mockingbird HM*, kupiony przed rokiem w Allsystems Salvage, pojawił się na stacji Zenebra i opłacił trzydzieści dni dokowania. To samo w sobie jest trochę dziwne, ale kapitan stacji wpisał to tylko do dziennika i nie poinformował o tym Floty. Nie potraktowaliśmy tego jako sygnału ostrzegawczego, bo nie chcieliśmy wywoływać powszechnej paniki. Jednak jeden z członków załogi upił się w barze, zanieczyścił go i powiedział gościom coś, co ich zaalarmowało. Wezwali Flotę, i kiedy go przesłuchaliśmy, dowiedzieliśmy się, że jest wyznawcą znanego nam kultu, a statek handlowy jest pełen materiałów wybuchowych przeznaczonych do zniszczenia jakiejś stacji. Nie zamierzali wysadzić w powietrze akurat Zenebry, ale siedzieli tam na wypadek, gdyby zostali wezwani do działania gdzieś w tamtym sektorze.

– A Sera Meager?

– Według jednego ze schwytyanych, widoczny na nagraniu z *Elias Madero* Ranger Bowie pochodzi z odłamu znanego jako Nasz Teksas. Grupa ta należy do Tubylców Teksasu, którzy w tej chwili najwyraźniej są z nimi w sojuszu.

– A Guernesie mają agentów polowych na... Zobaczmy... Dom Teksasu, Teksas Prawdziwy i... No proszę, Nasz Teksas.

– Tak, i ten agent powinien potwierdzić, czy wciąż jest tam Ranger Bowie i czy my mamy właściwego człowieka... i właściwą planetę.

Uniwersytet Caradin, Wydział Badania Starożytności

Waltraude Meyerson, wpatrująca się przez okular mikroskopu o niewielkim powiększeniu w niezwykle rzadką fotografię, która – jeśli będzie miała szczęście – pozwoli jej w końcu odpowiedzieć na pytanie, czy pewien polityk ze Starej Ziemi był mężczyzną, I czy kobietą, ignorowała dzwonienie komunikatora, dopóki nie przeszło w gniewne brzęczenie. Pomacała na oślep po biurku, aż wreszcie znalazła klawisz i wcisnęła go.

– Tak?!

– Tu dziekan Marondin. Poproszono nas o pilną konsultację z zakresu pani specjalizacji.

– W mojej specjalizacji nic nie jest pilne – odpowiedziała. – Wszyscy od stuleci są martwi. – Mimo to wyprostowała się i wyłączyła oświetlenie mikroskopu.

– To prośba od najwyższych władz.

– Chodzi o kolejną podróbkę antyków?

– Nie, chcą wiedzieć jak najwięcej o polityce Starej Ziemi, Północnej Ameryce... więc oczywiście pomyślałem o pani.

Oczywiście. Była jedyną na wydziale specjalistką od Ameryki Północnej... ale jest bardzo prawdopodobne, że jakiś durny biurokrata chce poznać kurs wymiany kanadyjskich franków z Quebecu na meksykańskie peso w dekadzie, o której ona nie ma zielonego pojęcia.

– To jak brzmi pytanie?

– Chcą z panią porozmawiać.

Przeszkody, wiecznie jakieś przeszkody. Wzięła sobie urlop dydaktyczny, żeby nie mieć żadnych zajęć i móc wreszcie skończyć książkę, nad którą pracowała przez ostatnie osiem lat, a teraz okazuje się, że musi odpowiadać na jakieś głupie pytania.

– Dobrze, poświęcę im piętnaście minut.

– Obawiam się, że będą chcieli trochę więcej – stwierdził dziekan. – Już do pani idą.

Świetnie. Waltraude wstała i przeciągnęła się, rozprostowując bolące od ślęczenia nad mikroskopem plecy, i rozejrzała się po swoim biurze. Ze słów dziekana wywnioskowała, że może spodziewać się więcej niż jednej osoby. Będą chcieli gdzieś usiąść, a oba krzesła zavalone są papierami. Niektórzy uważali, że trzymanie wokół siebie takich ilości papieru jest staromodne, ale ona sama była – jak wciąż powtarzała – staromodna. Dlatego zresztą zajęła się badaniem historii starożytnej. Podniosła jeden stos papieru i właśnie rozglądała się, gdzie by go położyć, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę wejść – powiedziała, po czym odwróciła się i zobaczyła dwóch mężczyzn i dwie kobiety, których wygląd ją przeraził. Sprawiali wrażenie, że powinni mieć na sobie mundury, choć byli w cywilnych strojach.

– Przepraszam, że pani przeszkadzamy – odezwała się jedna z kobiet – ale czy pani wie coś na temat Teksasu?

* * *

Trzy godziny później wciąż jeszcze mówiła, a oni nagrywali jej odpowiedzi i zadawali kolejne pytania. Nie była już przestraszona, ale wciąż nie miała pojęcia, dlaczego tu przyszli.

– Tak naprawdę powinniście zapytać o to profesora Lemona – powiedziała w końcu. – To on prowadził większość badań na temat relacji płci w Ameryce Północnej tamtych czasów.

– Profesor Lemon zginął w zeszłym tygodniu w wypadku drogowym – poinformowała ją kobieta.

– No cóż... – Waltraude wbiła w kobietę wzrok, którym zazwyczaj wyciągała z magistrantów prawdę. – Kiedy zamierzacie mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi?

– Kiedy dotrze pani do dowództwa sektora VII – odpowiedziała kobieta z uśmiechem, który wcale jej nie uspokoił. – Jest pani naszym najlepszym ekspertem od historii Teksasu i chcemy panią zachować przy życiu.

– Ale moje źródła... – powiedziała Waltraude, wskazując na panujący w biurze bałagan. – Moja książka...

– Wszystko zabierzemy – obiecała kobieta. – Będzie pani miała również dostęp do materiałów profesora Lemona.

Lemon od lat odmawiał jej udostępnienia swojej kopii książki Molly Ivins, której Waltraude nigdy nie była w stanie zdobyć przez sieć bibliotek. Odmówił nawet wtedy, gdy zaproponowała mu w zamian kostkę z archiwami z trzydziestu lat działalności wiejskiej gazetki z Oklahomy. Dostęp do materiałów Lemona?

– Kiedy wyjeżdżamy? – zapytała.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Dowództwo sektora VII

– Admirał chce panią zobaczyć – powiedział pepe. Esmay podniosła wzrok znad listy. Co tym razem zrobiła?

– Już idę – odpowiedziała, zmuszając się do uśmiechu; ponura mina w niczym jej nie pomoże.

W sekretariacie admirała Hornana urzędnik skłonił się jej z poważną miną i wcisnął klawisz na biurku.

– Proszę wejść, poruczniku Suiza.

A więc sprawa jest poważna, a ona nadal nie ma pojęcia, co się dzieje. Zrugali ją już za wszelkie możliwe przewinienia, czego jeszcze od niej chcą?

– Porucznik Suiza na rozkaz, sir – odpowiedziała spokojnie na spojrzenie admirała Hornana.

– Spocznij, poruczniku. Przykro mi to mówić, ale mam dla pani złe wieści. Dostaliśmy przekazaną ansiblem prośbę pani ojca o udzielenie pani natychmiastowego urlopu. Zmarła pani prababka.

Esmay poczuła, jak uginają się pod nią kolana. Czyżby staruszka... wiedziała? Łzy napłynęły jej do oczu.

– Proszę usiąść, poruczniku. – Usiadła na wskazanym miejscu, czując zamęt w głowie. – Napije się pani herbaty? Kawy?

– Nie, dziękuję, sir. To... zaraz mi przejdzie. – Już jej przeszło; oddzielała ją od świata przezroczysta tarcza.

– Pani ojciec wspomniał, że była pani bardzo przywiązana do swojej prababki.

– Tak jest, sir.

– I twierdzi, że pani obecność byłaby wskazana ze względów zarówno rodzinnych, jak i prawnych, jeśli tylko będzie można panią zwolnić. – Admirał przechylił głowę. – Biorąc pod uwagę okoliczności, myślę, że będzie to możliwe. Raczej nie jest tu pani niezbędna. – Równie dobrze mógłby powiedzieć, że niechętnie ją tu widziano. Esmay nie odczuła bólu, który dawniej zadałby jej tymi słowami. Prababka nie żyje? Była czymś stałym, niezmiennym, nawet będąc przez całe życie Esmay, całe życie jej ojca na częściowym wygnaniu.

– Ja... dziękuję panu, sir. – Jej dłoń bezwiednie dotknęła ukrytego pod mundurem amuletu.

– Jeśli zechciałaby mi pani powiedzieć, ciekaw jestem, jakie względy prawne mogą w takiej sytuacji wymagać obecności prawniczki.

Esmay zmusiła się do skupienia na rozmowie; miała wrażenie, jakby poruszała się w smole.

– Nie jestem całkiem pewna, sir. Powinnam być obecna, jeżeli jestem najbliższą krewną prababki w linii żeńskiej... ale ja myślałam, że jest nią moja ciotka Sanibel.

– Nie rozumiem.

– Chodzi o ziemię, sir. Estanżę. Ziemia przekazywana jest w linii żeńskiej.

– Ziemię? Jaką powierzchnię?

– Jaką powierzchnię?!

– Sir, przykro mi, ale nie wiem. Dużą.

– Dziesięć hektarów? Sto?

– Och nie, znacznie więcej. Główne budynki zajmują dwadzieścia hektarów, a tereny do gry w polo... – Próbowała policzyć i w myślach. – Prawdopodobnie jakieś sto hektarów. Małe padoki przy domu zajmują z pięćdziesiąt hektarów.

Admirał patrzył na nią wzrokiem, którego Esmay nie rozumiała.

– Małe padoki – zaledwie część tej ziemi – zajmują pięćdziesiąt hektarów?

– Tak, a duże pastwiska dla bydła mają powierzchnię od jednego do trzech tysięcy hektarów.

Pokręcił głową.

– No dobrze. Poruczniku, czy ktokolwiek we Flocie wie, że pani jest aż tak bogata?

– Bogata?! – Jej ojciec, Papa Stefan, prababka... rodzina jako całość była bogata, ale ona nigdy nie była bogata.

– Nie uważa pani tysięcy hektarów ziemi za oznakę bogactwa?

Esmay zawahała się.

– Nigdy o tym nie myślałam, sir. To nie należy do mnie... to znaczy nigdy nie należało, a i teraz nie jestem przekonana, że tak będzie. To własność rodziny.

– Moja posiadłość na czas emerytury – powiedział admirał – ma dziesięć hektarów.

Esmay nie potrafiła powiedzieć niczego więcej oprócz „przykro mi”, ale wiedziała, że to niewłaściwe słowa.

– Mógłbym więc uznać – kontynuował admirał głosem, od którego Esmay cierpły zęby – że gdyby musiała pani... zająć się obowiązkami rodzinnymi zamiast robić karierę we Flocie, nie głodowałyby pani na ulicy.

– Tak, sir.

– Oczywiście nie doradzam pani takiego wyboru; po prostu wydaje mi się... interesujące, że osoba, która potrafiła powiedzieć córce Mówcy, że jest zepsutą bogatą panienką, sama jest... bogatą... panienką. Bardzo bogatą panienką. Może – z tych wszystkich powodów, które wyliczyła pani Serze Meager – bogate panienki nie nadają się do służby wojskowej.

Była to niemal sugestia, żeby zrezygnowała... Esmay spojrzała w oczy admirała z czarną rozpaczą w sercu. Jakie ma szanse, jeśli starsi oficerowie mają taką opinię na jej temat? Miała ochotę spierać się, wskazywać, że dowiodła swej lojalności i honoru, i to nie raz, lecz wielokrotnie. Ale wiedziała, że na nic się to nie zda.

Admirał spojrział na swoje biurko.

– Pani przepustka i rozkazy podróżne są już gotowe, poruczniku Suiza. Proszę wykorzystać tyle czasu, ile tylko pani potrzeba.

– Dziękuję, sir. – Postanowiła, że bez względu na wszystko będzie uprzejma. Brak uprzejmości nic jej nie dał, a szczerłość obróciła się przeciwko niej, więc lepiej być do końca uprzejmą.

– Może pani odejść – powiedział, nie podnosząc wzroku.

– Złe wieści, sir? – zapytał sekretarz, kiedy wyszła z gabinetu admirała.

– Moja... prababka zmarła. To głowa naszej rodziny. – Zaciśnięte gardło nie pozwoliło jej niczego więcej powiedzieć, ale współczujące spojrzenie urzędnika sprawiało wrażenie szczerego.

– Przykro mi, sir. Mam dla pani przepustkę i rozkazy podróżne przygotowane na polecenie admirała... – Sekretarz zawiesił głos, ale Esmay nie kwapiła się z wyjaśnieniami. – Ma pani priorytet

drugiego stopnia, i pozwoliłem sobie umieścić panią na liście pasażerów najszybszego środka transportu, jaki mogłem znaleźć.

– Dziękuję – odpowiedziała Esmay. – To bardzo uprzejmie.

– Proszę bardzo, sir; przykro mi tylko, że powód jest tak smutny.

– Zauważyłem, że nie ma pani określonej daty powrotu; zakładam, że poinformuje pani najbliższe dowództwo sektora, ile czasu będzie pani potrzebować.

– Tak jest – odpowiedziała Esmay. Znajoma rutyna i wypraktykowane zwroty złagodziły paraliżujący chłód admirała.

– To będzie sektor dziewiąty. Dodam tylko potrzebne pani kody rozpoznawcze, i proszę bardzo, sir.

– Jeszcze raz dziękuję – powiedziała Esmay i udało jej się szczerze uśmiechnąć do urzędnika. Przynajmniej on traktuje ją tak, jakby była normalną osobą godną szacunku.

Jej środek transportu wylatywał za sześć godzin; pospieszyła; do kabiny, aby się spakować.

* * *

Marta Katerina Saenz, zasiadająca w Radzie we własnym imieniu i dysponująca głosami dwóch innych Foteli z odłamu Rodziny, spodziewała się wezwania już od wielu tygodni. Zwariowana córka Bunny'ego wpadła w końcu w kłopoty na tyle poważne, że młodość i brawura nie wystarczyły, aby się z nich wydobyć. Media dość oględnie mówiły o niej najpierw jako o „zaginionej”, a później „prawdopodobnie schwytej przez piratów”. Marta podejrzewała, że może chodzić o coś poważniejszego, gdyż piraci zazwyczaj albo zabijali swoje ofiary, albo szybko wymieniali na okup. Bunny, który zastąpił Kemtre'a na stanowisku Pierwszego Mówcy Wielkiej Rady Familii, całkiem dobrze poradził sobie z różnymi kryzysami, które pojawiły się po abdykacji króla: Morrelinowie i Conellinowie nie wycofali się, Światy Półksiężycy nie sprawiały już kłopotów i szybko poradzono sobie z podjętą przez Benignity próbą inwazji na Xaviera. Jednak krążyły plotki, że zniknięcie córki spowodowało, iż stan jego umysłu daleki był od normalności. Marta już dawno przekonała się, że plotki zazwyczaj myliły się odnośnie do szczegółów, ale nie co do istoty sprawy.

Marta Saenz była osobą, którą wzywano na pomoc i proszono o radę. Z jednej strony ze względu na jej powiązania rodzinne, a z drugiej – paradoksalnie – z uwagi na opinię, że unika wrzawy związanej z polityką. Na zlecenie kilku Familii przeprowadziła dyskretne wywiady, pomogła Bunny'emu w sprawie Patchcock, no i знаła budzącą szacunek admirała Serrano. Dlatego teraz, niezależnie od tego, w jakie kłopoty wpakowała się Brun po tej stronie przestrzeni Familii – o czym świadczyła zwiększona liczba patroli Floty i większa częstotliwość zatrzymywania jej transportowców w celu dokonania inspekcji – naturalne było, że ktoś pomyślał o poproszeniu jej, by... Jak to brzmiało? „Pomogła w śledztwie”.

Nie była zła z powodu wezwania; sprawa z Patchcock okazała się znacznie ciekawsza niż się spodziewała, a jej następstwa – kiedy szturmem pokonała upartą matkę Raffaele w sprawie ślubu dziewczyny – jeszcze bardziej ciekawe, a ponadto mogła na jakiś czas opuścić ustronne górskie posiadłości i oderwać się od badań laboratoryjnych. Może teraz nadszedł czas na kolejne szaleństwo.

Ale wszystko wskazywało na to, że to jednak nie będzie szaleństwo. Kiedy tylko weszła na pokład OSK *Gazehound*, który po nią przysłano, otrzymała kostkę danych, która wyraźnie to

potwierdziła. Marta wiele razy spotykała Brun w jej najdzikszych okresach życia, dlatego obraz bezradnej i pozbawionej głosu dziewczyny był dla niej wielkim szokiem.

Kapitan Bonnirs z *OSK Gazehound* powitał ją ze śmiertelną powagą należną jej wiekowi i randze, a Marta omal nie roześmiała się w głos. Wydawał się taki młody, a jego załoga wyglądała niemal jak dzieci... choć oczywiście wcale tak nie było. Oczywiście zareagowali na jej wiek podobnie jak jej siostrzeńcy i bratanice, traktując ją jak honorową babkę. Za cenę wysłuchiwania wciąż tych samych historii o miłości, zdradzie i pojednaniu, mogła zdobyć całe morze informacji.

Na przykład starszy szeryf Gleason, najwyraźniej nieświadom braku lojalności wobec Zawodowej Służby Kosmicznej, przewoził nie zadeklarowane przesyłki od brata do rodziny jego żony, przesyłki, które w panującej obecnie sytuacji na pewno zostałyby przez pocztę otwarte i sprawdzone. Zdawał się nie widzieć w tym niczego złego; Marta miała tylko głęboką nadzieję, że przewoził skradzione klejnoty czy coś równie niewinnego, a nie na przykład materiały wybuchowe.

Choraży Currany, która prosiła o poradę w sprawie nie chcianych zalotów ze strony starszego oficera, zdradziła się, że ma całkowicie błędne pojęcie o Zarejestrowanych Embrionach; uważała to za orientację polityczną zdecydowanie różną od oficjalnie przyjętej. Normalnie nie miałyby to znaczenia, ale teraz Marta zaczęła się zastanawiać, czemu Currany w ogóle wstąpiła do Floty... i kiedy.

Odkryła też, że technik środowiskowa beznadziejnie zakochała się w starszym nawigatorze, który był dość szczęśliwie żonaty, i że dziwny zapach w kwaterach załogi pochodził od zakazanego zwierzęcia domowego zwanego citry, trzymanego w kadłubie, w tajnej skrytce za koją. Zwierzę wyciągnięto i pokazano jej, a ona zauroczyła jego właścicieli, pozwalając mu wspiąć się po jej ręce i owinać szyję futrzanym ogonem. Podśluchiwała także fragment wścieklej kłótni między dwoma starszymi szeryfami na temat Esmay Suizy. Jeden, który służył na pokładzie *Despite'a*, upierał się, że jest lojalna i utalentowana, a drugi, choć nigdy jej nie poznał, uważał, że jest zdrajczynią, która chciała schwytania Brun, i że to ona powiedziała piratom, gdzie będą mogli ją znaleźć.

Marta chętnie posłuchałaby dłużej, ale kłótnia została przerwana w chwili, gdy zdali sobie sprawę z jej obecności, a żaden z nich nie chciał o tym przy niej rozmawiać.

Pod koniec dwudziestojednodniowej podróży doskonale już wiedziała, czemu woli żyć w izolacji: ludzie, jak zawsze, mówili jej różne rzeczy, i zaledwie po paru tygodniach czuła się wręcz przepełniona niezliczonymi szczegółami ich życia i uczuć. A ona nigdy nie miała ochoty być terapeutką.

* * *

Z panującego wokół napięcia Marta czuła, czy jej się to podobało, czy nie, że jest zdecydowaną faworytką do roli terapeuty Bunny'ego. Wpadła energicznie do jego pokoju, mając nadzieję, że jak zwykle zrobi to na nim wrażenie.

Tym razem jednak tak się nie stało. Lord Thornbuckle popatrzył na nią z wyrazem twarzy człowieka, który znajduje się na skraju załamania psychicznego. Nie było to spojrzenie, jakie chciałoby się widzieć u Pierwszego Mówcy Familii Regnant, spojrzenie kogoś, od kogo zależało bezpieczeństwo całego imperium.

Marta pohamowała swoją energię i spokojnie przeszła przez pokój, aby uścisnąć wyciągniętą ku niej dłoń.

– Bunny, tak mi przykro.

Patrzył na nią w milczeniu.

– Znam Brun i wiem, że jeśli żyje, możemy jej pomóc, i zrobimy to.

– Nie wiesz... co oni jej zrobili. Mojej córce...

Wiedziała, ale najwyraźniej musiał jej to sam powiedzieć.

– Powiedz mi. – Przez cały czas, gdy wymieniał wszystkie okropności, przez jakie Brun przeszła i jeszcze może przejść, trzymała go za rękę. Wreszcie przerwała mu.

– Dopóki nie będziemy mieli pewności, co się wydarzyło, nie wolno ci tracić sił na zamartwianie się tym.

– Łatwo ci tak mówić...

– Nie jest mi łatwo mówić – odpowiedziała ostro Marta – ale ludzie o naszej pozycji mają swoje obowiązki, spoczywa na nas ogromna odpowiedzialność. Aby jej sprostać, musisz przestać wyobrażać sobie najgorsze okropności.

– Ale Brun...

– To, że pogrążasz się w rozpacz, w niczym jej nie pomoże.

– Nie wiem, co robić.

– Gdzie jest Miranda? – Niezwykle piękna żona Bunny’ego była zrównoważoną kobietą i jedną z niewielu osób, które potrafiłyby zmusić męża do zachowania rozsądku.

– Ona... jest na Castle Rock. Nie chciałem jej tu ściągać.

– W takim razie pod jej nieobecność powiem ci, co robić. Zjedz ciepły posiłek. Prześpij się przynajmniej dziewięć godzin. Potem zjedz kolejny ciepły posiłek. Nie rozmawiaj z nikim o niczym ważnym, dopóki tego nie zrobisz. Będiesz czuł się jeszcze gorzej, jeśli przez głód i wyczerpanie podejmiesz złą decyzję, która zaszkodzi Brun.

– Ale nie mogę tak po prostu spać...

– To weź leki. – Dla większego efektu Marta zrobiła pauzę, a potem kontynuowała. – Bunny, jest mi bardzo, bardzo przykro z powodu tego, co się stało... ale nie możesz brnąć w to dalej w taki sposób.

– Kto cię tu wezwał? – zapytał, wreszcie wykazując zainteresowanie jej obecnością.

– To nie ma znaczenia. Jestem tu, bo tutaj jest moje miejsce, a ci ludzie znajdują się zaledwie o jeden punkt skokowy od mojego domu. Od tej chwili będę tobą rządzić, bo jestem starsza, bardziej wredna i nie odważysz się mi przeciwstawić.

Następnie zadzwoniła do ambulatorium i kuchni, po czym stała nad Bunnym tak długo, dopóki nie zjadł miski zupy i kurczaka z ryżem. Kiedy wreszcie połknął dostarczone mu leki, kiwnęła na służącego.

– Nie pozwalaj mu wstawać aż do rana, a potem zmusz go do zjedzenia kolejnego posiłku.

Sądząc po zdumionych, ale i pełnych ulgi spojrzeniach otaczających ją osób, Marta doszła do wniosku, że nikt inny nie był w stanie zmusić Mówcy do czegokolwiek. W końcu był Pierwszym Mówcą Wielkiej Rady... To właśnie dlatego pozwalała komuś innemu głosować w jej imieniu w Radzie, bo cała ta niedorzeczna etykieta była wbrew zdrowemu rozsądkowi.

Po krótkim telefonie do admirała Serrano, która podobno miała dowodzić grupą uderzeniową, i po pokonaniu niezliczonych przeszkód ze strony wojskowej biurokracji wreszcie znalazła się przed drzwiami jej biura. Tam usłyszała, jak szczupła blondynka w mundurze oficera szepcze do innej kobiety:

– Cóż, w końcu to Suiza. – I obie potrząsnęły głowami.

Marta natychmiast doszła do wniosku, że nie lubi tej szczupłej blondynki, nie mając ku temu żadnych powodów poza nieprawdopodobną perfekcją budowy jej kości i idealnym uczesaniem.

Vida Serrano wyglądała na równie znękaną i zmęczoną jak Thornbuckle; tego Marta się nie spodziewała.

– Co ci się stało? – zapytała.

– Lord Thornbuckle – odpowiedziała Vida. – Wścieka się na rodzinę Serrano, a na mnie szczególnie.

– Czemu?

– Uważa, że to przywiązanie jego córki do mojej siostrzenicy Heris jest przyczyną tego, co nazywa „groźnymi zainteresowaniami”. Oczywiście był ten godny pożałowania incydent na Xavierze, ale z pewnością nie był on z winy Heris. Potem zaproponowałam wysłanie Brun do jednostki szkoleniowej Floty w Copper Mountain, żeby zdobyła trochę praktycznych umiejętności, ale tam najpierw do niej strzelano, a potem pokłóciła się z porucznik Suizą i czym prędzej stamtąd uciekła. Ponieważ trafiła tam z mojej rekomendacji, to moja wina. – Westchnęła ciężko i udało jej się lekko uśmiechnąć. – Naprawdę sądziłam, że jest gotowa na coś w rodzaju Copper Mountain. Lord Thornbuckle osobiście przedstawił swoją córkę porucznik Suizie, ale najwyraźniej ta młoda kobieta wcale nie jest taka, jak mi się zdawało.

– Nic nie rozumiem – powiedziała Marta, siadając. – Myślałam, że Brun została schwytaana przez piratów i dokądś uprowadzona. Tymczasem cały czas słyszę jakieś paskudne komentarze na temat porucznik Suizy, a od ciebie pierwszej dowiaduję się o szkoleniu wojskowym Brun. Czy to „strzelanie do niej” było częścią kursu, czy czymś innym?

Wszystko po kolei – odpowiedziała Vida, teraz znacznie bardziej po admirałsku. – Brun przyjęto jako cywilną studentkę; zapisała się na kursy Uników i Ucieczki i tym podobne. Miałam szczerą nadzieję, że zda sobie sprawę, jak bardzo jej talenty pasują do wojska, i zdecyduje się wstąpić do Floty.

– Brun? – Marta parsknęła. – Ta dziewczyna nadaje się na oficera jak górski kot na psa pasterskiego.

– Na to wygląda. Może przy mnie bardziej się starała. W każdym razie kiedy tam była, stała się celem przynajmniej jednej próby zabójstwa – jednej prawie udanej, częściowo przez to, że uparła się, by robić to, co wszyscy inni, i wymykać się swojej ochronie. Ojciec chciał, żeby stamtąd odeszła, ale odmówiła.

– Dzięki ostatnim wydarzeniom poznał porucznik Suizę i próbował wykorzystać ją, aby nakłoniła Brun do współpracy z ochroną. Najwyraźniej jego córka zgodziła się, i przez kilka tygodni było dobrze. Świadkowie mówią, że próbowała zaprzyjaźnić się z Suizą, ale ona nie była chętna.

– Czemu?

Vida wzruszyła ramionami.

– Kto wie? Brała dodatkowe kursy i praktycznie miała podwójny wymiar zajęć, ale wszystko, co wiemy na pewno, to fakt, że pokłóciła się z Brun w nocy przed ćwiczeniami polowymi z Uników i Ucieczki. Porucznik Suiza była wyjątkowo nieuprzejma i napastliwa – sama słyszałam nagranie – a według niektórych źródeł, już wcześniej wygłaszała nieprzychylnie uwagi o innych ważniejszych Familiach i Wielkiej Radzie. To wysoce nieprofesjonalne zachowanie.

– Czemu nie wyszło to w trakcie sądu wojennego? – zapytała Marta. – Gdyby miała tak złą reputację, z pewnością zainteresowano by się tym w trakcie śledztwa dotyczącego buntu.

Vida rozłożyła ręce.

– Nie wiem. Nie brałam udziału w tym śledztwie, poza najbardziej wstępnym etapem; cała praca została wykonana w dowództwie. Szczerze mówiąc, trudno mi było uwierzyć w tę kłótnię – wiesz, spotkałam ją kilka razy – ale nie można zanegować zapisu rozmowy. Co więcej, sama przyznała się, że powiedziała te wszystkie rzeczy o Serze Meager.

– To dziwne – stwierdziła Marta i szybko odepchnęła od siebie tę myśl, tak samo jak usłyszaną przed drzwiami biura uwagę szczupłej blondynki. – No dobrze, co w takim razie stało się z Brun?

Vida zrelacjonowała jej znane fakty.

– Staramy się w miarę możliwości, żeby nie nadawać temu rozgłosu, ale nie bardzo nam to wychodzi. Agencje prasowe na razie zgodziły się milczeć, ale kto wie, kiedy zmienią zdanie? Tamci ludzie wyraźnie chcą, żeby stało się to powszechnie znane, dlatego wciąż wysyłają agencjom prasowym nagrania i inne materiały, oczywiście oprócz lokalizacji. Wciąż nie wiemy, dokąd ją zabrano, i dopóki nie będziemy tego wiedzieć, nie bardzo możemy przygotować plan jej odbicia. Guernesie w pełni współpracują z nami, ale jak dotąd wciąż przypomina to rozkopywanie wielkiego stogu siana w poszukiwaniu bardzo małej igły.

Marta przez dłuższą chwilę wpatrywała się w ścienny ekran za plecami Vidy, na którym widać było wolno poruszające się kolorowe wstęgi. – Powiem ci, co udało mi się do tej pory osiągnąć.

Wysłałam Bunny'ego do łóżka z żołądkiem pełnym przyzwoitego jedzenia i myślę, że wystarczająco sterroryzowałam lekarzy, by utrzymali go we śnie przynajmniej przez dziesięć godzin.

– Jestem pod wrażeniem.

– Powinnaś. Zakładam, że ściągnęłaś mnie tutaj ze względu na moją znajomość regionu?

– Twoje statki latają tam regularnie, więc zastanawialiśmy się, czy w ich dziennikach nie znalazło się coś, co pomogłoby wyśledzić okręty, na których przewożono Brun.

– Czego szukamy?

– Dużego kontenerowca konsorcjum Boros o nazwie *Elias Madero*, być może w towarzystwie jednego lub więcej statków klasy patrolowców.

– Przypuszczam, że chciałabyś dostać te informacje bez powiadamiania o tym wszystkich moich pracowników.

– Jeśli to możliwe.

– Sama przejrzę dane. – Marta wstała. – Teraz ty, moja droga, musisz posłuchać moich zaleceń. Ciepły posiłek, długi sen. Jak na kobietę w twoim wieku wyglądasz fatalnie.

Vida roześmiała się.

– Dobrze, Marto. Znów zwołujemy sabat ciotek?

– Nie, Cecelia w niczym by tutaj nie pomogła, a jej uczucia do Bnin mogłyby przeszkadzać tak samo, jak miłość Bunny'ego.

Powinnyśmy we dwie poradzić sobie z tym.

– Pod warunkiem, że twój szanowny przyjaciel przestanie mi rzucać kłody pod nogi. Jest do tego stopnia przekonany o spisku Serrano, że chwilami dziwię się, iż jeszcze nie wyrzucono mnie z grupy uderzeniowej.

– Zobaczę, co się da zrobić, kiedy już się prześpi. Powinnam przynajmniej zmusić go do jedzenia i spania o jakichś rozsądnych porach. Powiedz, co możesz mi dać do połączenia się z moimi bazami danych?

– Cóż... Zebraliśmy tutaj najlepszy posiadany sprzęt. Bierz, co chcesz; tu jest moja prywatna lista. – Vida podała jej kostkę. – Możesz pracować przez Heris; ona ma w tej chwili ze sobą naprawdę dobrych techników.

– Świetnie. Jak wygląda harmonogram spotkań?

Między spotkaniami i długimi, nużącymi próbami wydobywania z baz danych informacji na temat statku Boros Marta obijała się, jak sama to określała, słuchając i ucząc się, jak działa Flota.

W znacznej mierze działała jak każda duża organizacja, włącznie z należącymi do niej firmami farmaceutycznymi. A poza tym tworzyli ją ludzie, a ludzie wszędzie są tacy sami.

Zainteresowała ją także sprawa Esmay Suizy. Słyszała o niej; każdy, kto miał dostęp do wiadomości, słyszał o Suizie najpierw po bitwie na Xavierze, a potem po wydarzeniach na *Koskiusko*.

Młoda bohaterka, geniusz taktyczny, charyzmatyczna przywódczyni... Jako pierwszy oficer na statku znalazła się w grupie uderzeniowej... a potem nie było jej nigdzie na listach oficerów obarczonych zadaniami planowania. Jej kapitan siedział na niektórych spotkaniach... ale wyglądało na to, że ona nigdy w nich nie uczestniczyła.

Wydawało się to głupie. Suiza mogłaby być źródłem najświeższych informacji na temat Brun. Aż trudno uwierzyć, by irracjonalna niechęć Bunny'ego tak wpływała na rozsądek wszystkich wokół. A może Esmay jest na jakiejś tajnej misji? Okazało się, że oficjalnie jest na przepustce, ale według plotek, była w niełasce i została stąd odesłana.

Któregoś wieczoru Marta udała się do pokoju rekreacyjnego, chcąc podsłuchać prowadzone tam rozmowy.

Oczywiście wszyscy wiedzieli, kim jest. Zwykłym cywilnym staruszkom nie pozwalano przesiadywać w pomieszczeniach rekreacyjnych dla młodszych oficerów. Spotykając się z własnymi siostrzenicami i bratankami, Marta od lat doskonaliła szczery, życzliwy kontakt z młodzieżą. Dlatego wkrótce otoczyło ją stadko młodych ludzi. Przynieśli sobie napoje i przekąski i zaczęli beztrudno rozmawiać.

Nie musiała nawet poruszać interesującego ją tematu. W którymś momencie jedna z chorążych szturchnęła inną w bok.

– Patrz, idzie Barin.

Ciemny, przystojny młodzieniec niewielkiego wzrostu szedł z zatroskaną miną w kierunku automatu z napojami; podążała za nim znana już Marcie szczupła blondynka.

– Casea jak zwykle depcze mu po piętach – zauważyła druga z chorążych.

– Dla ciebie porucznik Ferradi, Merce, ona jest starsza stopniem – wtrącił się pepepek, którego Marta określiła już jako przesadnie sztywnego i skrupulatnego.

– Jest, kim jest – odpowiedziała chorąży. Jej spojrzenie napotkało wzrok Marty i dziewczyna

zaczerwieniła się.

Jej reakcja potwierdziła podejrzenia kobiety. Tych młodych ludzi tak łatwo można rozszyfrować...

– Szkoda – stwierdziła pierwsza z chorążych. – Chętnie bym go poznała, ale nie mogę.

– Cóż – powiedział pepepek – może ona jest... no... jest lepsza od Suizy, a to ją podobno lubił wcześniej.

Marta podziękowała mu uśmiechem za wykonanie za nią pracy i przechyliła głowę.

– Suiza? Ta dziewczyna, która jest bohaterką?

Zobaczyła nerwowe spojrzenia uciekające w bok. Przez chwilę wszyscy milczeli, potem pierwsza z chorążych odezwała się cicho.

– Ona... teraz nie jest bohaterką, Sera.

– Czemu? – zapytała Marta, ignorując fakt, że to śliski temat. Bezpośredniość często się opłaca, a zresztą tak jest zabawniej. Jednak pytanie spowodowało kolejne niepewne spojrzenia i nerwowe uśmiechy. W końcu odpowiedziała jej ta sama dziewczyna.

– Ona... powiedziała niewłaściwe rzeczy o córce Mówcy. Powiedziała, że nie zasługuje na uratowanie.

Marta zamrugnęła. Admirał Serrano nie powiedział jej o tym.

Wspomniała o kłótni w Copper Mountain, ale o niczym więcej.

Tego rodzaju plotki mogą długo się utrzymywać i jeszcze po latach przeszkadzać w karierze.

– Jesteś pewna? – zapytała.

Odpowiedziało jej kiwanie głowami, częściowo niechętnie.

– Z tego, co słyszałam, to zaczęło się wcześniej – powiedziała podporucznik.

– To wszystko są bzdury! – rzucił gniewnie jeden z pepeków.

– Nie wierzę w to, ktoś to wszystko wymyślił.

– Nie, to prawda. Mają nagranie. Słyszałam, jak major Crissan rozmawiał z komandorem Doddem i powiedział, że sam to słyszał. Kłóciła się z Sera Meager na temat kursu, w którym obie brały udział, i dlatego niemal kazali jej wystąpić z Floty.

– Nie bardzo wiem, co można by takiego powiedzieć, żeby na to zasłużyć.

– To miało coś wspólnego z lojalnością czy czymś takim.

Marta postanowiła dążyć dalej temat.

– Cóż... Ale ona jest bohaterką, prawda? No wiecie, sprowadziła statek z powrotem i ocaliła Xaviera...

– Tak, ale czemu? Teraz wszyscy zadają sobie to pytanie.

Znam ludzi, którzy byli z nią w Akademii, i mówią, że wtedy wcale nie była taka utalentowana. Nie była nawet na specjalizacji dowódczej. Jak mogła zrobić się tak dobra i nikt tego nie zauważył? Może ktoś jej pomógł? A jej niechęć do uratowania Sery Meager...

– Na pewno chce ją uratować – powiedział obrońca Suizy, czerwieniąc się. – Ale nikt jej nie słucha...

– Nie możesz ignorować faktów tylko dlatego, że jesteś ciężkim przypadkiem uwielbienia bohaterki. Sera Meager ma fotel w Radzie, a my jesteśmy po to, żeby chronić członków Rady i...

– W której grupie była w Akademii? – wtrąciła się Marta, zanim sytuacja stała się nieprzyjemna.

To sprowokowało ich do obszernych wyjaśnień, których wcale nie chciała, o sposobie rotacji, który nie ma niczego wspólnego ze standardowym kalendarzem.

– W każdym razie – ciągnął jej rozmówca, kiedy Marta czuła już, że zaraz zaśnie – była na roku Vaillant, sześć lat temu. – Marta szybko przeliczyła to na standardowe lata, ale zaraz pomyślała, że ze względu na dziwny kalendarz Floty prawdopodobnie będzie musiała zapytać o koleżanki z jej roku. – Na jej roku byli podporucznicy i porucznicy. Wszyscy ci, którzy nie podpadli, dostają promocje z chorążych na pepeków, ale awans na porucznika zatwierdza komisja, która ma na to dwanaście miesięcy. Porucznik Suiza została promowana w pierwszej kolejności; niektórzy koledzy z jej roku dostaną awans w ciągu kilku najbliższych dni.

A więc żeby odnaleźć koleżanki i kolegów Esmay, będzie musiała ograniczyć się do poruczników. Niektórzy z promowanych już po niej mogą mieć powody, żeby jej źle życzyć. Swobodnie i bez oczywistego celu zaczęła zapoznawać się z tutejszymi porucznikami. Niektórzy prawie w ogóle nie zauważali Esmay w Akademii, inni twierdzili, że dobrze ją znają. A kilku miało o niej trochę więcej informacji.

* * *

– Po prostu nie mogę w to uwierzyć – powiedział rudowłosy porucznik z wąsem. Nazywał się Vericour. – No wie pani, Esmay!

– Tak, zdenerwowała się i powiedziała rzeczy, których nie powinna była powiedzieć, ale pracowała dwa razy ciężiej niż wszyscy inni. Powinni byli wziąć to pod uwagę, a oni traktują ją tak, jakby sama zamordowała tę dziewczynę.

– Jest pan jej przyjacielem?

Tak, byliśmy razem w ośrodku szkoleniowym, czasami razem się uczyliśmy. To błyskotliwy taktyk i miła osoba. Nie wydaje mi się, żeby powiedziała choć połowę tego, co się jej przypisuje.

– Może nie – zgodziła się Marta.

– Ale admirał Hornan mówi, że powinienem trzymać się od niej z daleka, że jest toksyczną osobą. A Casea Ferradi twierdzi, że Esmay mówiła różne dziwne rzeczy w Akademii... ale nie potrafię zrozumieć, czemu jej słuchają.

– Casei?

– Tak. Była z nami na roku. Ona też jest z planety kolonialnej – jednego ze Światów Półksiężycy, choć nie pamiętam, którego.

– Prawdę mówiąc, zanim ją spotkałem, słyszałem, że kobiety stamtąd są... no... wstydlive. A tymczasem Casea ma w tym względzie zupełnie inne podejście.

– Tak? – Marta uśmiechnęła się do niego jak na babcię przystało; porucznik zaczerwienił się.

– Cóż... to znaczy ona... powiedziała, że mnie lubi. Przypuszczam, że faktycznie tak było, do czasu.

– Lubi mężczyzn... – powiedziała Marta, zawieszając głos.

– Lubi seks – poprawił ją Vericour. – Przepraszam, Sera, ale taka jest prawda. Przeszła przez grupę jak... jak...

– Ogień przez zboże? – odpowiedziała mu Marta. – A teraz kręci się przy chorążym Serrano, prawda?

– Biedny chłopak, nawet nie wie, co go czeka – stwierdził Vericour, kręcąc głową. – Słyszałem, że Casea szuka grubszego zwierza, ale może uważa, że nazwisko Serrano jest lepsze od samej rangi. A w tej chwili, kiedy Serrano są w niełasce, bo lord Thornbuckle złości się na nich, pewnie sądzi, że ma większe szanse.

– Jest bardzo atrakcyjna – zauważyła Marta. – I przypuszczam, że dość skuteczna.

– Tak sądzę – zgodził się bez entuzjazmu Vericour. – Nigdy nie byłem z nią na tym samym statku.

– Ciekawe, czy chorąży Serrano faktycznie dał się jej zauroczyć.

– To nie ma znaczenia – stwierdził ponuro Vericour. – Casea ma swoje sposoby.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Brun obudziła się w nocy zwinięta z bólu. Po chwili ból uspokoił się, ale wiedziała, że nadeszło to... coś, czego najbardziej się bała. Położyła się na plecach i nieco rozluźniła. Właśnie zaczynała zasypiać, kiedy poderwał ją kolejny skurcz.

Nie miała zegarka, więc nie była w stanie stwierdzić, jak częste są skurcze. Musiała pójść do toalety. Dźwignęła się z łóżka i wyszła na korytarz. Na drugim końcu korytarza dostrzegła błysk oczu przyglądającego się jej strażnika. Do diabła z nim. Ruszyła w stronę ubikacji, ale złapał ją kolejny skurcz, zmuszając do oparcia się o ścianę.

Przez zamglone bólem oczy zobaczyła, że strażnik podnosi się i rusza w jej stronę. Ból nieco zelżał, więc poszła dalej. Dobrze, że przynajmniej mają ubikacje, pomyślała. Kiedy zbliżyła się do drzwi toalety, poczuła, że jakiś ciepły płyn spływa jej po nogach.

– Ty! – krzyknęła nadzorczyń; widocznie strażnik musiał ją obudzić. – Chodź! – Kobieta chwyciła ją za ramię i pociągnęła za sobą, wołając do pozostałych kobiet, żeby się obudziły. Brun znów poczuła ból i dysząc, opadła na kolana. To niesprawiedliwe, że nie może krzyczeć, że nie może reagować na ból tak, jak na to zasługiwał.

Pozostałe kobiety zebrały się wokół niej i zaczęły ją ciągnąć i popychać, ale Brun zwinęła się na podłodze, odmawiając pójścia dalej. Nagle nadzorczyń podsunęła jej coś pod nos; ostry zapach zmusił ją do odrzucenia do tyłu głowy. Z uśmiechem triumfu kobieta znów chwyciła ją za ramię i z pomocą innych kobiet na wpół zaciągnęła, a na wpół zaniosiła ją do sali porodowej. W tym czasie ból zelżał i Brun mogła już o własnych siłach wejść na łóżko.

Ku jej zaskoczeniu poród zaczął się znacznie szybciej niż ten, któremu się przyglądała. Przez jej ciało przepływała jedna fala bólu za drugą, a w tym czasie kobiety wycierały jej twarz wilgotnymi szmatkami i gładziły ją po rękach. Tylko strażniczka na nią krzyczała, każąc jej oddychać i przeć, i czekała z ręcznikiem na dziecko, które zaraz miało się urodzić.

Potem poczuła ostatni rozrywający ból... i rozległ się cichy płacz dziecka. Strażniczka zmarszczyła brwi.

– Za małe. Masz mizerne dziecko.

Ale wtedy nadszedł kolejny skurcz i Brun znów zwinęła się z bólu.

Nadzorczyńi szybko podała dziecko jednej z kobiet. – Dwoje dzieci! Dobrze!

Drugie dziecko urodziło się z głośnym płaczem. Strażniczka położyła oboje dzieci na piersiach Brun.

– Daj im ssać – powiedziała. Brun nie miała pojęcia, jak to się robi, więc kobieta obróciła dzieci i przytknęła ich małe usta do jej piersi. – Pomóż jej – rozkazała jednej z kobiet. Potem sama ją umyła, a reszta kobiet posprzątała pokój.

Po południu Brun była już z powrotem w swoim pokoju i leżała wyczerpana razem z dziećmi na łóżku. Nic do nich nie czuła.

Nie były jej dziećmi... Były zupełnie obce, bo obcy ludzie wykorzystali jej ciało do powołania ich do życia.

Dwoje dzieci... Z tą myślą Brun zapadła w sen.

– Żadnego rozmnażania przez pół roku – poinformowała ją następnego dnia strażniczka. – Karmisz swoje dzieci i pomagasz w pracy przez miesiąc, a potem idziesz do żłobka. Tam będziesz pięć miesięcy, z bliźniakami może sześć. A potem znowu do rozmnażania.

Pół roku... Ma pół roku na to, żeby odzyskać siły, uciec i skontaktować się z kimś, kto przekaże jej ojcu, gdzie ona jest.

W ciągu następnych dni Brun znów wpadła w rozpacz. Jak ma pomóc Hazel, jeśli nie może jej znaleźć? A jak mają odnaleźć, jeśli nie może zadawać pytań? Leżała bez ruchu, jeśli strażniczka nie zmuszała jej do wstania, karmiła dzieci tylko wtedy, gdy jej kazano, jadła tylko na rozkaz. Karmienie dzieci było bolesne; nie wyobrażała sobie, że mogą tak mocno ssać. Ale była tak słaba, że tylko syczała z bólu, gdy ktoś przystawiał jej dzieci do piersi.

Nawet nie zauważała, gdy je odbierano i ktoś ją mył.

Pewnego dnia przez okna i drzwi wpadł chłodniejszy wiatr, niosąc ze sobą zapach dojrzałych zbóż. I czegoś... czegoś znajomego. Brun poruszyła się na krześle; jedno z dzieci przestało ssać i zakwiliło. Odruchowo przystawiła je z powrotem do piersi. Znów przysnęła, ale obudziła się wraz z następnym chłodnym powiewem. Liście dębu, ścierniska, polowanie... Nagle opadły ją wspomnienia. Dzień Otwarcia, wszystkie trzy grupy zebrane przed dużym domem, stukot końskich kopyt, dyszenie i szczekanie psów, dzwonienie kieliszków, głosy ludzi... Ale nawet w wyobraźni milczała, nie mogła odpowiadać na pozdrowienia. Widziała zszokowane, pełne dezaprobaty twarze przyjaciół... gdy stała boso na ostrym żwirze, podczas gdy wszyscy siedzieli na podkutych wierzchowcach, które przebierały nogami tuż obok jej bosych stóp...

Nigdy nie wróci do domu. Jej myśli wpadły w znajomą spiralę depresji... ale tym razem zatrzymały się w porę. Nie. Jest młoda, ma przed sobą długie życie. Lady Cecelia przeżyła bez głosu, a na dodatek była ślepa i sparaliżowana. W końcu pojawiła się pomoc; ona sama w niej uczestniczyła. Gdzieś są ludzie, którzy chcą jej pomóc. Musi wierzyć, że rodzina i przyjaciele nie zostawią jej tu na zawsze samej. Jak dotąd przeżyła, a nawet bez żadnej opieki medycznej urodziła bliźniaki. Przetrwa, by znów móc polować, jeździć konno i mówić, a ci, którzy ją okaleczyli, jeszcze będą jej słuchać. Podniosła głowę.

– Tak dobrze – rzekła strażniczka, podchodząc i poklepując ją po ramieniu. – Wiele matek czuje smutek po urodzeniu dzieci, a zwłaszcza bliźniaków. Ale teraz już ci lepiej. Teraz już jest z tobą dobrze.

Nie było dobrze, ale może będzie... bo postanowiła żyć. Następnego dnia sięgnęła po dzieci, kiedy tylko je przyniesiono. Nie tylko nie wiedziała, kto jest ich ojcem, ale także nie miała pojęcia, jakiej są płci. Sprawdziła. Chłopcy. Jeden miał rude włosy, drugi ciemniejsze i rzadsze; żaden z nich nie był do niej podobny. Przypomniała sobie, że jeden z mężczyzn na statku miał rude włosy i kudłatą rudą brodę.

Wciąż nic do nich nie czuła, nawet zainteresowania, jakie wzbudzały w niej dzieci innych kobiet. Uważała, że maluchy bywają zabawne dopiero wtedy, kiedy już trochę podrosną i nauczą się uśmiechać. Teraz to były tylko... małe zwierzątka, które przedtem rozwijały się w jej ciele, a teraz żywiły się jej kosztem. Przynajmniej karmienie nie było już tak bolesne, przynosiło nawet ulgę, gdy piersi nabrzmiwały jej od mleka.

Przyglądała się innym kobietom z dziećmi. Widać było, że je kochały; przytulały je, głaskały i śmiały się bezgłośnie, gdy któreś z niemowląt zrobiło coś zabawnego. Gdy tylko nie było w pobliżu

strażniczki, przemawiały do nich szeptem i cmokaniem.

Patrząc na inne dzieci, także na jej bliźniaki, uśmiechały się i kiwały im głowami. Ale ona nie potrafiła.

Teraz, kiedy znów mogła wstać, oczekiwano od niej pomocy w pracy. Jednak Brun nigdy nie opiekowała się niemowlęciem, a co dopiero w tak prymitywnych warunkach. Kompletnie nie radziła sobie z zawijaniem dzieci w pieluchy.

– Tak jakby dotąd niczego nie robiła. Możecie uwierzyć, że dorosła kobieta nie wie, jak obierać warzywa? Jak przystawić dziecko do piersi? – narzekała strażniczka, a pozostałe kobiety w odpowiedzi kiwały głowami i syczały.

Brun aż kipiała ze złości. Chętnie powiedziałyby im, dlaczego nie nauczyła się takich prymitywnych czynności, jak ścielenie łóżek, czyszczenie toalet, siekanie warzyw czy wycieranie tyłków brudnych bachorów. Miała za to licencję pilota na kilku różnych planetach, potrafiła godzinami polować konno z psami, umiała równie szybko jak każdy z techników rozmontować i złożyć z powrotem systemy skanu średniej wielkości krążownika...

Ale tutaj jej umiejętności nie były nic warte. Uważali, że jest głupia albo szalona, ponieważ nie potrafiła robić tego, co im przychodziło z taką łatwością.

– Jest ohydztwem, a poganie nie uczą niczego swoich córek – mówiła strażniczka za każdym razem, gdy coś źle zrobiła.

Nie była poganką ani ohydztwem, lecz będąc w otoczeniu ludzi, którzy tak uważali, coraz trudniej jej było pamiętać prawdziwą siebie. Łatwiej było czyścić podłogę w taki sposób, jak kazała jej strażniczka, łatwiej było przebierać dzieci tak, jak jej powiedziano, i zgodnie z poleceniami siekać warzywa.

Gdyby faktycznie była głupia... Ale jej inteligencja znów obudziła się z poporodowej depresji. Przepisy w wojsku były nudne, ale łatwo je zapamiętywała, automatycznie dzieląc na kategorie, natomiast szycie – bezustanne wbijanie igły w materiał – było jeszcze nudniejsze. Czemu oni muszą wszystko tak utrudniać?

Nie wszystko, przypominała sobie, tylko prace przydzielane kobietom. Kobiety mają elektryczne oświetlenie, bieżącą wodę... ale tylko mężczyźni mają dostęp do komputerów i wszystkiego, co się z nimi wiąże.

Z jej pamięci wypłynęły usłyszane w szkole strzępy historii o tym, że istniały takie społeczeństwa, które nie chciały ułatwiać kobietom życia, ponieważ mogłyby one odwrócić się od tradycyjnej roli żony i matki. Dawno temu, na Starej Ziemi, były kultury niepozwalające kobietom prowadzić samochodów, latać czy używać broni, oraz inne, zabraniające im uczyć się w koedukacyjnych klasach czy wykonywać zawód lekarza. Ale to było dawno temu i bardzo daleko stąd... a ona była tu i teraz.

* * *

W pewien chłodny i ponury dzień przeniesiono ją wraz z niemowlakami do żłobka. Posadzono ją z tyłu samochodu naziemnego, z którego nie widać było drogi, i zawieszono w nieznanym miejscu, pokonując cztery wyraźne zakręty.

Budynek żłobka z pozamykanymi okiennicami zamiast litej kamiennej ściany od strony ulicy wyglądał odrobinę bardziej przyjaźnie. Usłyszała odległy grzmot... i zobaczyła w oddali wyraźny

Ślad startu promu.

– Spuść wzrok! – krzyknął kierowca, bijąc ją po głowie. Ale Brun triumfowała; wiedziała już, gdzie znajduje się port kosmiczny, potrafiła określić kierunek.

Matrona ze żłobka przywitała ją mniej surowo niż strażniczka z domu porodowego, a z dala dobiegły do niej kobiece głosy. Kobiece głosy? Matrona zaprowadziła ją do dosyć dużego pokoju, w którym stało łóżko, dwie kołyski i niski, szeroki fotel z podpórką na nogi, najwyraźniej przeznaczony do karmienia. Była tam także mała szafa i skrzynia, no i oczywiście na stoliku przy łóżku stał koszyk z przyborami do szycia.

Matrona pomogła Brun umieścić dzieci w kołyskach i przygotować łóżko, a potem oprowadziła ją do domu. W pokojach na piętrze bardziej uprzywilejowane kobiety mogły wyglądać przez szpary w okiennicach na ulicę; Brun zdążyła zerknąć, zanim matrona odciągnęła ją od okna. Mieszczący się również na piętrze pokój do szycia miał okna wychodzące na tył budynku, gdzie rozciągał się długi, otoczony murem ogród pełen drzew owocowych; na niektórych z nich wisały teraz jabłka. Za murem – Brun starała się nie gapić, bo wiedziała, że później będzie miała na to czas – widać było ulicę i budynki... a dalej, za budynkami, otwartą przestrzeń, pola i odległe wzgórza.

* * *

Kobiety w żłobku miały nieco więcej *swobody*. *Miały tu nabierać* sił do kolejnej ciąży, dlatego oprócz prac domowych i gotowania zachęcano je do spacerów po sadzie. Nie wszystkie kobiety były nieme. Jak dowiedziała się Brun, trafiały tu matki z domów porodowych lub prywatnych domów oraz służące, których dzieci będą wychowywane gdzie indziej, podczas gdy one same wrócą do swoich obowiązków. Kobieta, która je nadzorowała, codziennie przeprowadzała inspekcję dzieci i matek w poszukiwaniu śladów zaniedbania czy chorób oraz pilnowała, żeby wykonywały swoje prace domowe i gotowały. Traktowała swoje podopieczne w miarę życzliwie; nieme kobiety być może mniej uprzejmie, ale bez jawnej wrogości.

Tutaj również uczono Brun umiejętności, które powinny opanować wszystkie kobiety. Nie wiedziała nawet, że tego rodzaju rzeczy w ogóle są możliwe, kiedy przyglądała się, jak za pomocą kilku patyków i kłębków puszystej przędzy kobiety robią skarpetki i rękawiczki. Wręczono jej dwa patyki i pokazano na początek, jak nabierać oczka na druty i wykonywać prosty ścieg.

Była to najnudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek robiła; nieustanne powtarzanie tych samych ruchów było nawet gorsze od szycia. Potem dano jej jeszcze jeden patyk i nauczono robić coś w rodzaju rury. Coś zaskoczyło jej w głowie – z takich rzeczy, robionych ze znacznie delikatniejszych nici i na maszynach, powstawały niektóre noszone przez nią ubrania. Na przykład swetry to były zszyte razem trzy rury. Tak samo skarpetki... legginsy...

Robiło się coraz zimniej i kobiety ubrane w robione na drutach ciepłe swetry i szale kiwały nad Brun głowami.

– Musisz szybciej pracować – mówiły. – Zmarzniesz, jeśli nie będziesz miała zimowych ubrań. – Wyjaśniły jej, że w zimie noszą pod spódnicami robione na drutach długie pończochy, utrzymywane dziwną kombinacją pasków i guzików. Osłonięcie stopy pończochą nie było sprzeczne z zakazem noszenia butów, ponieważ dotyczył on tylko obuwia z twardą podeszwą. W niektórych domostwach kobiety nosiły nawet w czasie deszczu czy śniegu drewniane saboty, jeśli musiały wyjść na targ, ale tutaj nie było im to potrzebne.

W żłobku zapoznano też Brun z miejscową religią. Tutejsi ludzie uważali, że przybysze spoza ich świata nie mają żadnej moralności i żadnych wierzeń, więc zaczęli naukę od podstaw, tak jak uczyli swoje dzieci. Bóg to nadnaturalna istota, która stworzyła wszechświat. Mężczyzna to cud stworzenia. Kobieta jest po to, aby towarzyszyć i pomagać mężczyźnie. To złe siły, zbuntowane przeciwko Bogu, skusiły kobietę, by uzurpowała sobie pozycję mężczyzny.

Choć raz Brun miała jakiś pożytek z braku mowy – nie mogli zmusić jej do recytowania ich Zasad i Modlitw, tak jak to robiły inne kobiety. A ponieważ kobiety nie „rozprawiały” – słowo to interpretowano jako rozmawianie lub pisanie o boskich sprawach – nie kazano jej także pisać odpowiedzi na zadawane rytualnie pytania, tym bardziej że takie pogańskie ohydztwo jak Zarejestrowany Embrion mogłoby skazić papier. Zresztą kobiet w ogóle nie zachęcano do pisania i czytania, choć dozwolone było posiadanie przepisów i kompendiów wiedzy z zakresu gospodarstwa domowego.

Brun miała doskonałą pamięć. Słuchając wciąż na nowo tych samych słów, zapamiętywała je. Słowa proroków... Słowa Boga Wszchemogącego... Zasady i ich następstwa... Całkiem rozsądne, pod warunkiem, że przyjmie się założenie, czego Brun nie zrobiła, iż kobiety zostały stworzone do obsługiwania i zabawiania mężczyzn, a wszelka działalność kobiet nie mająca na celu służenia mężczyznom jest złem.

Dla niej wszystko to było niedorzeczne, absurdalne, paranoiczne. Pomysł, że nie jest takim samym człowiekiem jak, powiedzmy, jej bracia... albo, idąc krok dalej, że Esmay Suiza jest gorszym człowiekiem niż Barin Serrano, to absurd. Wiedziała o tym.

Mogłaby to udowodnić; była pewna, że każda kobieta w żłobku zrozumiałaby to, ale...

Ale cała jej wiedza i inteligencja zostały zamknięte w niemym świecie. W jej świecie szanowano głos każdego człowieka; rodzice, nauczyciele i terapeuci, tak jak ci pracujący z Lady Cecelią, próbowali zapewnić każdemu możliwość komunikowania się z otoczeniem. Tutaj nikt nie uważał, że ohydztwo może mieć coś ciekawego do powiedzenia. Wystarczyło, że rozumie polecenia i jest posłuszna.

Przepelniało ją pragnienie wyzwolenia kobiet tego świata, pokazania im, że są takimi samymi ludźmi jak mężczyźni. Nocami układała w głowie przemowy, przygotowywała pisma i wciąż na nowo przekonywała wyimaginowanych słuchaczy o tym, czego nie mogła powiedzieć.

* * *

Każdego dnia Brun zmuszała się do chodzenia po wysypanych żwirem ścieżkach, aby utwardzić stopy i wzmocnić nogi.

Chodziła niezależnie od pogody, nawet gdy mróz i śnieg powodowały, że nogi marzły jej aż do kolan, zanim przeszła połowę drogi do pierwszych drzew. Bliźniaki utrudniały marsz, ale traktowała noszenie ich jak ćwiczenia z ciężkim plecakiem. Wiedziała, że wkrótce będzie silniejsza i zdolna do ucieczki. Każdego dnia dwukrotnie obchodziła cały sad... a w niedalekiej przyszłości zamierzała chodzić dalej, gdyż wydłużające się dni zapowiadały zbliżanie się cieplejszej pory roku. W miarę jak nabierała sił, z coraz większą energią zabierała się do mycia i szorowania.

Wieczorami próbowała w swoim pokoju ćwiczeń, które kiedyś przychodziły jej z taką łatwością. Z początku bała się, że ktoś to zauważy i zabroni jej, ale wkrótce odkryła, że inne kobiety też ćwiczą, by ujędrnić brzuchy i odzyskać elastyczność skóry.

Praktykowała także sztuki walki... wprawdzie tylko dwa lub trzy uderzenia na wypadek, gdyby ktoś ją podglądał, ale za to każdego dnia. Uderzała dłonią o dłoń i stopą o stopę, aby stwardniały na tyle, by móc nimi zadać śmiertelny cios.

Od czasu do czasu brała udział w pokazach, w trakcie których mężczyźni mogli wybierać sobie kobiety. Pokazy były mniejszym upokorzeniem niż się spodziewała, za to mocno ją niepokoiły. Starła się sprawiać wrażenie wyczerpanej, słabej, bezradnej i załamanej, a tymczasem czuła, jak odbudowują się mięśnie jej nóg, ramion i brzucha. Czy uwierzą, że to skutek noszenia dzieci, pracy w sadzie i prostych ćwiczeń, które wykonywały także inne kobiety?

Nie może pozwolić, by domyślili się, co zamierza zrobić. Zamykając oczy, przypominała sobie, które z podstawowych ciosów są tak silne i szybkie, by spowodować śmierć.

Inne kobiety nie tyle unikały jej, co ją ignorowały. Kiedy jej chłopcy bawili się spokojnie na rozłożonych na podłodze dywanach, wychwalały ich siłę i energię, tak samo jak własnych dzieci. Nadzorczym wydawała jej polecenia praktycznie takim samym tonem jak wszystkim innym. Mówiące kobiety naturalnie rozmawiały między sobą; nieme miały własny język gestów oraz poruszanie wargami i syczenie. Mówiące kobiety rozmawiały też z niemymi; niektóre nawet w celu wspólnej opieki nad dziećmi zawierały przyjaźnie. Ale Brun nie mogła wejść do społeczności niemych kobiet porozumiewających się ustami. Czasami, jeśli któraś zwróciła się bezpośrednio do niej, potrafiła zrozumieć kombinację gestów i ruchów wag... o ile dotyczyło to czegoś oczywistego. „Gdzie jest koszyk do szycia?” albo „Co to jest?”. Były gotowe pokazać jej, gdzie znajdują się różne rzeczy albo jak wykonać jakąś pracę, ale nie miała z żadną z nich wspólnych tematów rozmowy. Wszystkie były dla niej uosobieniem tego, czego nienawidziła, a one uważały ją za... potencjalne źródło groźnej dla duszy dewiacji. Jej brak zainteresowania dziećmi stanowił dla nich dowód jej niemoralnego wychowania.

Dzieci zaczynały już raczkować, kiedy do żłobka przybyła nowa matka. Była bardzo młoda i miała lekko oszołomiony wyraz twarzy. Kobiety mówiły do niej krótkimi, prostymi zdaniami i nieco głośniejszym niż do innych. Brun zastanawiała się nawet, czy nie poddano jej działaniu jakichś otepiających leków. Trzeciego dnia kobieta podeszła do niej.

– Ty jesteś ta żółto włosy z gwiazd? – Miała cichy, trochę niepewny głos.

Brun kiwnęła głową. Z bliska zauważyła, że to nie wpływ leków, ale jakiś wrodzona wada nadająca twarzy dziewczyny dziwny wyraz i utrudniająca mowę... oraz nieznaną zasad społecznych, które zabraniały kontaktów z wyklętą.

– Podróżowałaś z inną dziewczyną – mojego wzrostu – i dwoma maluchami?

Brun znów kiwnęła głową.

– Ona powiedziała, że byłaś miła. Lubiła cię.

Brun pomyślała, że musi mówić o Hazel. Gdzie ją widziała?

– Dobrze sobie radzi. Pomyślałam, że chciałybyś wiedzieć. – Dziewczyna spojrzała z uśmiechem gdzieś ponad ramieniem Brun i odeszła.

A więc Hazel nic się nie stało. Poczwała ogromną ulgę. Ciekawe, czy ta dziewczyna była razem z nią w domu porodowym, i kiedy stamtąd odeszła. Brun potrząsnęła głową; nie mogła połączyć się w upływie czasu. Wiedziała tylko na pewno, że jest gorąco albo zimno, dzień albo noc... Tylko tyle. A więc Hazel ma się dobrze. Gdyby tylko wiedziała, gdzie ona jest...

Minęło kilka dni, zanim dziewczyna znów usiadła koło niej, kołysząc swoje dziecko.

– Nazywają ją teraz Cierpliwość – rzekła. – To dobre imię dla niej, bo nigdy nie sprawia

kłopotów. Jest cicha i ciężko pracuje.

Prima mówi, że na pewno będą mogli ją wydać za mąż jako trzecią, a może nawet drugą żonę, choć nie potrafi dobrze szyc. Nauczyła się już chodzić sama na targ. – W głosie dziewczyny pojawiła się nuta zazdrości; czyżby także chciała chodzić na targ? Do tej pory Brun była pewna, że dziewczyna jest upośledzona i że nie pozwalają jej samej wychodzić z domu nie tylko z powodu narzucanych kobietom ograniczeń. – Ale ona nie ma twoich żółtych włosów – powiedziała po chwili, przypatrując się jej ze szczerym podziwem. – I nie chce mówić o gwiazdach, bo Prima jej zabroniła.

Brun mogłaby ją udusić za to, że może mówić, a nie mówi tego, co ona naprawdę chciałaby wiedzieć. Podniosła jednego z chłopców i zabrała mu kamień, który włożył do ust. Nie żywiła do dzieci żadnych uczuć, ale nie zamierzała pozwolić któremuś z nich zadławić się na śmierć.

– Ona nie wygląda na wystarczająco dużą, żeby mieć dzieci.

– I nie ma jeszcze normalnego krwawienia. Pan mówi...

– Cicho, ty! – Jedna z pilnujących kobiet podeszła i poklepała dziewczynę po głowie. – Nie jesteś tu po to, żeby plotkować, co mówi twój pan. Chcesz stracić język?

Dziewczyna natychmiast zacisnęła usta i podniosła się z krzesła, przyciskając do siebie dziecko.

– Biedactwo – rzekła kobieta do Brun. – Nie potrafi niczego zapamiętać. Musimy mieć na nią oko, żeby nie wpakowała się w kłopoty. Jeśli nabierze zwyczaju mówienia tutaj o swoim panu, nawet do ciebie, może to zrobić także w domu, a wtedy będą musieli ją ukarać. Lepiej zdławić to w zarodku. – Niemal czule pogłaskała Brun po głowie. – Faktycznie masz ładne włosy. Może dzięki nim będziesz miała szansę zostać żoną, kiedy urodzisz już trójkę dzieci. Daj mi znać, kiedy dziewczyna znów zacznie mówić o sprawach mężczyzn, dobrze? – Brun kiwnęła głową. Jeśli tylko pozwolą jej rozmawiać z nią...

Przez kilka dni dziewczyna unikała Brun. Jednak któregoś wieczoru wślizgnęła się do jej pokoju.

– Nie boję się jej – powiedziała niezbyt przekonująco. – Jestem z domu Rangera Bowie i tylko on może odebrać mi głos.

Oni nie mogą. A on nie zrobi tego, jeśli tylko nie będę się kłócić.

Mówienie ci o Cierpliwości to nie jest kłócenie się, to informowanie. A informować można, jeśli nie mówi się o mężczyznach.

Brun uśmiechnęła się i poczuła, że ten uśmiech niemal rozrywa jej twarz. Kiedy ostatnio się uśmiechała?

– Szkoda, że zabrali ci głos – powiedziała dziewczyna. – Bardzo chciałabym wiedzieć, jak tam jest. Cierpliwość nie chciała mi nic powiedzieć. – Umilkła i przez chwilę nasłuchiwała, a potem podeszła bliżej. – Chciałabym mieć twoje włosy – stwierdziła i wyciągnęła rękę, żeby je pogłaskać. Potem odwróciła się i zniknęła w ciemnym korytarzu.

Brun odtworzyła w myślach słowa dziewczyny, starając się je zapamiętać. Ranger Bowie. Co za dziwne imię. Nie pamięta, żeby któryś z mężczyzn na statku używał takiego imienia... ale czy oni w ogóle odzywali się do siebie po imieniu?

* * *

Nie wyróżniający się niczym mężczyzna w kraciatej koszuli podszedł do baru i złożył

zamówienie. Stojący obok niego dwaj mężczyźni rozmawiali o politycznych decyzjach Kapitana.

– Cóż, jesteśmy wolnymi ludźmi, ale nie widzę żadnego sensu w rozdeptywaniu mrowiska. Mamy do tego prawo, ale ja nie jestem tak głupi...

– Nazywasz Kapitana głupim?

– Mówię tylko, że porwanie obcej kobiety to jedno, ale porwanie właśnie tej – a potem chwalenie się tym – to szukanie kłopotów.

– To dowodzi, że jesteśmy silni. – Mówiący te słowa odwrócił się do mężczyzny w kraciatej koszuli. – A jakie jest twoje zdanie, bracie?

Nieznajomy uśmiechnął się.

– Słyszałem, że ma złote włosy.

– Wszyscy to wiedzą – mruknął mężczyzna – i mają nadzieję, że przekaże kolor włosów swoim dzieciom.

Ktoś siedzący dalej przy barze nachylił się w ich stronę.

– Rozmawiacie o tej dziewczynie z kosmosu? Tej żółtowłosej ladacznicy? Wiecie, że urodziła bliźniaki? Jeden rudy, drugi czarny.

Są spore szanse, że mają dwóch ojców.

– Nie! – Mężczyzna w kraciatej koszuli otworzył szeroko oczy; wyglądał teraz jak typowy wioskowy kmiotek, który przyjechał do miasta na festiwal.

– Mówią, że nie wypuszczą jej jeszcze przez dwa miesiące, ponieważ bliźniaki są małe i musi je dłużej karmić mlekiem.

– Szkoda. Miałem nadzieję...

Mężczyźni popatrzyli po sobie ze złośliwymi uśmieškami. Ten facet prawdopodobnie ma tylko jedną żonę, i to brzydką jak koza.

– A kto jej nie miał? Nie mamy tu zbyt wielu blondynek, prawda? Mogę ci tylko doradzić, żebyś wpisał się na listę. Właśnie ją pokazują, jeśli chcesz się przekonać, czy jest warta zapłaty.

– Zapewne obejrzę ją, zanim wpiszę się na listę.

– Żłobek na ulicy Crocketta.

Nie był jedynym, który chciał zobaczyć niemą blondynkę z innej planety, która urodziła bliźniaki. Powiadano, że ojcami dzieci są dwaj różni mężczyźni, a to oznacza, że znów może urodzić bliźniaki. Taka kobieta zawsze jest jeszcze bardziej pożądana. Wziął numerka, a kiedy go wywołano, wszedł wraz z innymi do pokoju.

Z początku nie był pewien, czy to ona. Pokazywano mu zdjęcia i filmy – Brun w dzieciństwie, jako nastolatka i dojrzała kobieta.

Zbliżenia, ujęcia z dystansu, wszystko. Myślał, że pozna ją w każdych okolicznościach, ale stojąca przed nim żółtowłosa kobieta nie była tą samą Brun, jeśli w ogóle nią była. Jej szczupłe ciało nabrało teraz innych kształtów, rozrosło się po urodzeniu dzieci.

Jej blond włosy zwisające w nieładzie nie przypominały wspaniałych loków na zdjęciach. Błękitne oczy zmatowiały, miały teraz niemal szarą barwę. Ale jego wyszkolone oko dostrzegło to, co się nie zmieniło – strukturę kości twarzy i ramion, kształt palców rąk i nóg. To na pewno poszukiwana przez niego kobieta. Opuścił wzrok niżej, ale krótka opaska biodrowa, którą kobietom wolno było nosić w trakcie pokazów, zasłaniała miejsce, w którym powinien znajdować się tatuaż

Zarejestrowanego Embrionu.

Obok Brun stało dwóch strażników i odganiaли laskami tych, którzy chcieli ją dotknąć.

– Diabelski pomiot – wymamrotał jakiś mężczyzna.

– Szatańskie sidła – stwierdził inny. – Dobrze, że pozbawili ją głosu.

– Ale dzieci wyglądają na silne. – Dzieci też można było obejrzeć; nagie cherubinki w kojcu uśmiechały się bezzębnymi buziami do przyglądających się im mężczyzn.

– Dla mnie nie jest tyle warta – stwierdził czarnowłosy mężczyzna i splunął na podłogę. – Nie zaryzykuję dla niej swojej duszy. – Przepchnął się między pozostałymi i wyszedł.

Ktoś inny roześmiał się.

– On po prostu nie ma pieniędzy na zapłatę. Była równie grzeszna, gdy patrzył na nią poprzednim razem.

– Naszą powinnością jest nawracać pogan – stwierdził inny. – Moim zdaniem jeszcze parę porodów powinno to załatwić.

– Co, chcesz się o nią targować?

– Może. Mogłoby być gorzej.

– Ale mogłoby i lepiej... – Rozmawiali dalej, a tymczasem Brun stała i patrzyła w przestrzeń. Czemu nie opuści wzroku, zastanawiał się, tak jak to robiły inne kobiety? Potem zrozumiał. Nie jest ani dziewicą, ani żoną, a najgorsze już się stało. Co jeszcze mogą jej zrobić? Zadrzał tak mocno, że stojący obok mężczyzna spojrzał na niego zdziwiony.

– O co chodzi, bracie?

– O nic.

* * *

Hazel jako służąca musiała codziennie wychodzić na ulicę ze śmieciami. Kiedy udowodniła, że wykonuje to zadanie dokładnie według instrukcji, nie rozglądając się na boki nawet wtedy, gdy nikt jej nie towarzyszył, Prima postanowiła spróbować wysłać dziewczynę na targ. Szycie wciąż jej nie wychodziło, więc lepiej będzie, jeśli posiadzie inne umiejętności. Z tego, co pozwoliła dziewczynie opowiedzieć o okropnych zwyczajach tych pozaplanetarnych pogan, wynikało, że przez całe życie przebywała między kupcami i handlarzami.

Tak więc któregoś dnia Hazel poszła w towarzystwie Spokojnogłosej na targ, aby kupić rzeczy, których nie mogły wyhodować w ogrodzie. Kazano jej patrzeć pod nogi i nieść koszyk na wysokości talii oraz do nikogo się nie odzywać, nawet jeśli ktoś do niej przemówi. Na pytania miała odpowiadać Spokojnogłosa.

Ponieważ Hazel zachowywała się na tej wyprawie, tak jak i na wszystkich następnych, zgodnie z poleceniami, wysłano ją któregoś dnia samą, każąc jednej ze służących – zbyt starej, by posyłać ją na targ, ale cieszącej się zaufaniem – obserwować ją z pewnej odległości. Dziewczyna poszła wprost do właściwego straganu, odczekała ze spuszczoną głową, aż handlarz wywołał nazwę jej domu, i bez podnoszenia głowy podała mu koszyk oraz zapłatę.

Potem znów ją wysłano, i znów, aż wreszcie poszła w towarzystwie najstarszej kucharki, aby nauczyła się targować z kupcami.

Ponieważ nigdy niczego nie podkradała i cierpliwie wysłuchiwała nawet niesprawiedliwych

awantur kucharki o jakieś nieświeże warzywa, po kilku miesiącach była już wysyłana na targ we wszystkie dni handlowe. I właśnie tam usłyszała plotki na temat pogańskiej żółtowołosej kobiety, która znajdowała się w domu porodowym... potem urodziła bliźniaki i omal nie umarła ze smutku poporodowego... a następnie przeniosła się do żłobka. Wiele dni później dowiedziała się, do którego. Hazel nigdy nic nie mówiła i nie zadawała żadnych pytań, tylko uważnie słuchała. Kiedy dziewczyny targowe z innych domów próbowały zaprzyjaźnić się z nią, ignorowała je.

Cały czas miała oko na Brandy – teraz Rozwagę – i Stassi – Spokój. Małe dziewczynki zdawały się zapominać o swoim poprzednim życiu. Szybka, energiczna i żywiołowa Brandy wciąż była bardziej aktywna, ale zamieniła zamiłowanie do klocków i zabawek konstrukcyjnych na szycie i tkanie. Zrobiła już szmacianą lalkę dla Stassi, a potem uszyła dla niej sukienkę. Zdawała się bez problemu rozumieć, co należy zrobić z materiałem, żeby układał się na ciele. Fascynowały ją wielkie krosna tkackie w szopie; potrafiła wyjaśnić Hazel (która nie rozumiała mechanizmu ich działania), jak podnoszenie i opadanie rzędów małych pierścieni powoduje powstawanie różnych wzorów na materiale. Obie dziewczynki miały koleżanki w swoim wieku i wyglądały na bardziej przywiązane do zajmującej się nimi kobiety niż do Hazel.

Dziewczyna niechętnie zrezygnowała z pomysłu zabrania ze sobą maluchów w razie ucieczki, ale były za małe i zbyt rzucałyby się w oczy, a za krótko przebywały w świecie chłopców, by ich przekonująco udawać. Ale przede wszystkim widziała, że są szczęśliwe i bezpieczne, a kobiety w domu lubią je. Nawet Prima, zazwyczaj dość szorstka w stosunku do dzieci innych kobiet, uśmiechała się do Brandy-Rozwagi i głaskała jej ciemne loki. Gdyby mogła uciec – i jeszcze na dodatek wydostać Brun – maluchy nie cierpiałyby z tego powodu. Nikt tutaj nie winił dzieci za takie rzeczy. Dbano by o nie lepiej niż ona mogłaby się o nie zatroszczyć; podejrzewała nawet, że lepiej niż w domu dziecka dla sierot kosmonautów, gdyby zdołała bezpiecznie dostarczyć je do przestrzeni Familii.

Dzieci były szczęśliwe, a ponieważ straciły swoją rodzinę, swój świat, nie mogła teraz wyrwać ich z tego świata.

Tak więc czekała na swoją szansę. Mogłaby tutaj żyć do końca swoich dni – potrafiła się dostosować, zawsze to umiała – ale nie chciała. Musiała przyznać, że smakowało jej jedzenie, podobał jej się piękny ogród, poczucie bezpieczeństwa, nieskończona przestrzeń... Nigdy nie zdawała sobie sprawy, jak dużo przestrzeni może mieć człowiek na planecie, jak wielki jest ten świat „na zewnątrz”. Ale jednocześnie zbyt dobrze pamiętała wygodę starych ubrań, swobodę poruszania się, nie ograniczone przez płęć i wyznaczenie przyjaźnie. Tutaj zawsze będzie kimś obcym, a ona chciała znów czuć się częścią rodziny. Brakowało jej odczuwanej na *Elias Madero* przynależności do większej, obecnej w całym wszechświecie cywilizacji.

Poza tym była jeszcze ta blond dama. Wymieniły się imionami. Na całym świecie tylko ona wiedziała, kim naprawdę jest Hazel i skąd pochodzi, i tylko Hazel wiedziała, że blondynka ma na imię Brun. Ona mogłaby tu przeżyć, ale blondynka nie miała szans.

Brun. Powtórzyła to imię, aby dobrze zapamiętać. Nawet wtedy, gdy była przerażona i zdeterminowana, by chronić maluchy, czuła wściekłość z powodu tego, co mężczyźni zrobili tej kobiecie. Nikt, absolutnie nikt i nigdy nie zasługiwał na taką karę. Brun niczego nie zrobiła, a oni porwali ją, a potem jeszcze ukradli jej głos.

Hazel wiedziała, że Brun będzie chciała uciec. Każda kobieta, każdy, kto żył na wolności, chciałby stąd uciec. Ale pozbawiona głosu i obciążona dwójką dzieci Brun nie będzie w stanie sama tego zrobić. To Hazel będzie musiała wymyślić sposób ucieczki.

Nie będzie to łatwe, zwłaszcza z dziećmi...

W nocy powtarzała sobie – ale tylko w myślach, nigdy na głos – rzeczy, które musiała na zawsze zapamiętać. Nazywa się Hazel Takeris; jej ojciec Rodrick Takeris pracował jako inżynier na *Elias Madero*, pod dowództwem kapitana Lunda. Zaliczyła pierwsze egzaminy i zakwalifikowała się na stanowisko młodszego praktykanta; w trakcie podróży podniesiono jej zarobki.

Brandy i Stassi były córkami Ghirian i Vorda, ale oni nie żyli.

Blondynka miała na imię Brun, a jej ojciec nazywał się podobnie jak jakieś zwierzątko. Gdzieś tam, między gwiazdami, znajduje się wszechświat, gdzie dziewczynki mogą zostać, kim chcą, mogą patrzeć mężczyznom w oczy i same wybierać kariery i partnerów.

Kiedyś... kiedyś znów go odnajdzie.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Przez całą drogę do dowództwa sektora IX, gdzie przesiadła się na transport cywilny, Esmay czuła się tak, jakby miała wytatuowany na czole i plecach ognisty znak wyrażający opinię o niej większości personelu Floty. Starła się w miarę możliwości trzymać na uboczu, aby przemyśleć, jak opowiedzieć ojcu o jej niepewnej sytuacji we Flocie. Może z powodu pogrzebu i towarzyszących mu okoliczności nie będzie miał do tego głowy, wyglądało bowiem na to, że to ona jest dziedziczką fortuny prababki.

Jej poprzednia wizyta na Altiplano zaczęła się od pompy i ceremonii; tym razem też były ceremonie, ale bez pompy i bez reporterów. Ojciec czekał na nią w sali przylotów; niemal nie rozpoznała go w czarnym stroju żałobnym: wąskiej, krótkiej marynarce z wyszukаныmi zakrętasami czarnych sznurów na piersiach i rękawach, czarnych spodniach wsuniętych w niskie buty o wywiniętych czubkach i płaskiej czarnej czapce z sięgającym do lewego ramienia chwastem. Lewa strona, od serca, lewe ucho, potomek w linii prostej... Natychmiast przypomniała sobie całą tę symbolikę.

Ojciec zabrał ze sobą jedną ze służących, żeby pomogła jej się przebrać. W pokoju dla dam zamieniła mundur Floty na długie białe pantalone i krótką białą sukienkę, a na to założyła czarną bluzę o szerokich rękawach z wyszukany wykończeniem z przodu, długą czarną spódnicę, czarną kamizelkę, aż ciężką od brokatu i szklanych ozdób, szeroki czarny pas pleciony w rombowały wzór. Do tego buty z wywiniętą górą ukazującą czarną jedwabną podszewkę oraz sztywny czarny kapelusik z wywiniętymi po obu stronach brzegami. Esmay widziała ten strój na ceremoniach innych Oblubienic Ziemi, ale nigdy nie spodziewała się, że kiedyś sama go założy. Nigdy też nie uczestniczyła w pełnej ceremonii, gdyż nikt spoza rodziny nie brał w niej udziału.

Ubranie ciążyło jej prawie tak samo, jak związane z nim tajemnice.

Wolnym krokiem wyszli z sali przylotów do doku promowego. Była przyzwyczajona do chodzenia pół kroku za ojcem, teraz jednak, choć szła powoli, on także szedł wolniej.

To dzieje się naprawdę, pomyślała. Jestem Oblubienicą. Dla nikogo innego ojciec nie zwolniłby kroku.

W promie wiozącym ich na planetę ojciec streścił jej krótko poczynione przygotowania, a potem zostawił ją z kartkami staromodnego papieru – rodzinną kopią opisu starych obrzędów, których jej prababka przestrzegała przez całe swoje długie życie.

Gdy znaleźli się na lądowisku promów, było tuż po zachodzie słońca. Zanim opuścili miasto, otoczyła ich noc; Esmay włączyła lampkę i czytała dalej. Potem ojciec dotknął jej ramienia, aby zgasiła światło i wyjrzała w mrok.

Po obu stronach drogi widać było rząd ubranych na czarno postaci, które trzymały w rękach świece. Samochód zwolnił, potem stanął. Ojciec gestem wskazał, że powinna wysiąść. Tym razem Esmay pierwsza zapaliła świecę w kapliczce; bez trudu przypomniała sobie odpowiednie słowa, gesty i cały rytuał. Wokół słyszała pełne szacunku szepty.

Od tego miejsca poszli pieszo do wielkiej bramy, a potem długim podjazdem do domu. Dom był czarniejszy niż otaczający go mrok. Z jego wnętrza wyszła cała rodzina; każdy trzymał w ręce świecę. Esmay weszła do chłodnego, ciemnego domu, gdzie normalnie zawsze było jasno i ciepło. Światła zostaną zapalone dopiero po zakończeniu ceremonii; na szczęście nowe zasady pozwalały korzystać ze światła i ognia w czasie podróży na planetę.

Przeszła przez dom i zapaliła w każdym pokoju małą świeczkę – obietnicę nadejścia Oblubienicy Ziemi. Potem wyszła na drugą stronę domu, gdzie w samym sercu posiadłości dawno, dawno temu pierwsza Oblubienica Ziemi z jej rodu oznajmiła objęcie jej w posiadanie.

Czekał tam na nią kapłan z koszykiem zawierającym zwinięty warkocz prababki. Esmay zadrżała, gdy wyobraźnia podsunęła jej obraz z przyszłości: któregoś dnia i jej niesforne włosy znajdą się w takim koszyku, splecione i związane jedwabnym sznurem.

Ciało prababki oczywiście już dawno pochowano i postawiono nowy nagrobek. Ale jej włosy wciąż czekały na ostatni ceremonialny taniec. Ciemną nocą, przy migotliwym świetle świec, Esmay poprowadziła kobiety estanzy w powolnej procesji wokół nagrobków wszystkich Oblubienic, zaczynając od najstarszego i kończąc na ostatnim. Stojący wokoło mężczyźni wybijali stopami wolny rytm, ale nie włączali się do marszu.

Kiedy taniec zakończył się, Esmay wyciągnęła z koszyka srebrzysty warkocz i uniosła go wysoko, by wszystkim go pokazać.

– Oblubienica... – wydobył się z wielu gardeł przytłumiony szept. – Oblubienica Ziemi umarła.

– Nie ma już tej, która była Oblubienicą Ziemi – powiedziała Esmay.

– Odeszła w ciemność – odpowiedzieli ludzie.

– Wróciła do ziemi – oświadczył kapłan – a jej duch do niebios.

– Jej władza przeniosła się... – powiedziała Esmay. Rozwiązała jedwabny sznur i rozwinęła warkocz. Nocny wiatr, który nadleciał od gór, ziębił ją pomimo kilku warstw materiału. Płomienie świec odchyliły się w bok, kilka z nich zgasło.

– Do niebios – odpowiedzieli ludzie.

Esmay uniosła wysoko rozpuszczony warkocz i otworzyła dłonie. Podmuchał wiatru porwał jedno pasmo włosów, potem drugie.

Słyszając zbliżanie się kolejnego podmuchu, który już szarpał drzewa wokół polany, podskoczyła, wyrzucając w górę włosy... i wylądowała w ciemności, gdyż tymczasem zdmuchnięto wszystkie świece.

– Teraz panuje śmierć, teraz rodzi się smutek! – zawołali zgromadzeni w ciemności ludzie i zaczęli zawodzić. Jeden głos, stary i drżący, wyśpiewywał na tle płacznego zawodzenia historię życia jej prababki. Było to długie życie i długa też była elegia, która zakończyła się dopiero wtedy, gdy mrok zaczął chować się pod drzewami przed zbliżającym się świtem. Z każdą chwilą przybywało światła; jeden za drugim żałobnicy milkli, aż wreszcie zapadła cisza. Gdzieś w oddali zapiał kogut, zaraz odpowiedział mu drugi.

Kapłan w wysokim czarnym kapeluszu odwrócił się twarzą w stronę wschodzącego słońca. Kobiety pomogły Esmay przejść przez tłum do osłoniętego namiotu, którego w ciemności nie zauważyła. Szybko zdjęła z siebie czarną kamizelkę, pas, spódnicę, bluzę i buty, i założyła tradycyjny strój Oblubienicy Ziemi: białą bluzę z szerokimi plisowanymi rękawami, zakończoną zwiewną koronką, białą spódnicę w zielone pasy i białą irchową kamizelkę wyszywaną w kwiaty, pnącza i owoce... a na koniec kapelusz z dwoma rogami, z których zwisały sięgające do ramion złote chwasty. Jej biodra owinięto szkarłatno-purpurowym szerokim pasem, w którego fałdach mieścił się drugi, wąski pasek, na którym zawieszono po prawej stronie sierp. Jego zakrzywione ostrze straciło ze starości barwę, ale krawędź wciąż błyszczała.

Na lewym ramieniu Esmay miała torbę z ziarnem. Miękkie zielone buty obrębione złotym jedwabiem postanowiła założyć później, na początek pójdzie boso.

Słońce przeświecało przez drzewa długimi złotoczerwonymi promieniami, ale rosa pod stopami była jeszcze lodowato zimna.

Ktoś uderzył w dzwon i na jego dźwięczny ton kapłan odwrócił się do niej. Uniósł w wyprostowanych rękach długi zastrzony kij. Mężczyźni podeszli i stanęli za jego plecami.

– Dzięki łasce Boga po nocy przychodzi dzień – zaintonował kapłan – a wraz ze śmiercią przychodzi inne życie. Tak samo ziarno w ziemi umiera, by żyć jako odchylające się ku słońcu zboże Esmay uniosła ręce w rytualnym geście.

– Czy ktoś z obecnych kwestionuje pochodzenie Oblubienicy? – zapytał kapłan. – Czy jest jakiś powód, dla którego nie powinna być poślubiona?

Zapadła cisza, którą zakłócał jedynie energiczny świergot ptaków, które za nic miały całą tę ceremonię. Kapłan odczekał w milczeniu dłuższą chwilę – Esmay zdążyła doliczyć do stu – po czym skinął głową.

– A więc niech się stanie... Oblubienicą tej ziemi do końca jej życia bądź dobrowolnego zrzeczenia się. – Podał jej zastrzony kij.

Kiedy Esmay czytała opis ceremonii, ta część wydała jej się bardzo śmieszna i teatralna, ale teraz, w świetle wczesnego poranka, ubrana w stary strój i z kijem do kopania w dłoniach (znacznie cięższym niż się spodziewała), sierpem i ziarnem... czuła, że jest to właściwe.

Weszła na niewielkie poletko, specjalnie w tym celu uprawiane i co roku obsiewane. Choć nie była to odpowiednia pora roku, wiedziała, że ten rytuał zwiąże z nią ziemię i ją z ziemią. Nie była pewna, czy tego chce, ale nie miała wątpliwości, że musi to zrobić.

Wykonała w ziemi trzy otwory tworzące mniej więcej równoboczny trójkąt; stare ślady ziemi na kiju pomogły jej ustalić właściwą głębokość. Potem pomocnicy podnieśli grudy ziemi i umieścili je w miedzianej misie, a Esmay przystawiła ostrze sierpa do wnętrza lewej dłoni. Z początku prawie nie bolało. Czerwieńsza od jej pasa krew zaczęła kapać na grudy ziemi, czyniąc je jeszcze ciemniejszymi. Na dany przez kobiety znak wyciągnęła dłoń, żeby ktoś owinał ją chusteczką, która od tej pory będzie leżeć pod kamieniami paleniska w kuchni.

Ignorując ból w ręce, Esmay ponownie zawiesiła sierp u pasa.

Potem splunęła na każdą grudę ziemi w misie, a kobiety nalały do środka kilka kropli źródlanej wody i za pomocą wystruganych z drzew z sadu łopatek ulepiły z ziemi, wody i krwi kulę.

Esmay wyjęła z torby pięć ziaren i wrzuciła je do pierwszej dziury, a kobiety zatkały ją grudką ziemi z wodą i krwią. To samo zrobiły z pozostałymi dwiema dziurami. Potem podzieliły resztę kuli na pięć części, nadając każdej kształt bochenka, a następnie ustawiły trójnóg z patyków, zwieńczony kępką suchej trawy. Kapłan podszedł i zdjął z szyi umieszczony w środku szkaplerza kryształ, symbol gwiazdy. Ponieważ tak wcześnie rano kryształ nie mógł skupić wystarczającej ilości światła, pomocnik przyniósł garnek z węglami z paleniska.

Starannie podsycany ogień utwardzał ziemne bochenki. W tym czasie muzycy zaczęli grać rozdzierające serce melodie. Kiedy bochenki zostały upieczone, pojawiło się Pięciu Jeźdźców. Każdy z nich wziął jeden bochenek, wsiadł na konia i odjechał, aby umieścić go w kapliczce, gdzie będzie wyznaczać granicę należącej do niej ziemi. Miną całe dnie, zanim ostatni bochenek zostanie złożony w kapliczce daleko na południu.

Tymczasem z kuchni zaczęły docierać zapachy jedzenia; wraz z porannym brzaskiem można już było rozpalać ogień i grzać kuchnię. Siedząc na tronie udekorowanym późnymi kwiatami, Esmay

częstowała swoich gości świeżym, gorącym chlebem i pieczonym mięsem.

Kiedy tłum wokół niej przerzedził się, podeszła kuzynka Luci.

– Mam dla ciebie rachunki – powiedziała. – Stado ma się dobrze.

– Świetnie – odpowiedziała Esmay. Wypiła łyk z wręczonego jej przez kogoś kubka i poczuła lekkie zawroty głowy od samego zapachu trunku. – Czy mogłabyś przynieść mi trochę wody? To jest zbyt mocne.

Luci roześmiała się.

– Chcą postępować zgodnie ze starymi zwyczajami, włącznie z kładzeniem Oblubienicy do łóżka, co? Przyniosę ci wodę. – Oddaliła się i po chwili wróciła w towarzystwie przystojnego młodzieńca.

– Dziękuję – powiedziała Esmay, biorąc kubek chłodnej wody.

Kiedy ceremonia dobiegła końca, macocha zaprowadziła Esmay do apartamentu zajmowanego dotąd przez prababkę.

– Mam nadzieję, że trochę zostaniesz – powiedziała. – To twój dom. Możemy zmienić wystrój pokoju...

– Ale mój pokój jest piętro wyżej – zaprotestowała Esmay.

– Oczywiście, jeśli będziesz nalegać... ale to zawsze była... najstarsza część domu.

Macocha starała się być taktowna; Esmay zdawała sobie z tego sprawę, tak samo jak z faktu, że po całej nocy jest zbyt zmęczona, by spokojnie to omawiać. W końcu czy naprawdę ma znaczenie, gdzie będzie spała?

– Myślę, że na chwilę się położę – powiedziała.

Oczywiście. Pozwól, że pomogę ci z tymi ubraniami.

Macocha prawie nigdy jej nie dotykała, dlatego teraz czuła się dziwnie, korzystając z jej pomocy. Czy wtedy, lata temu, wsparłaby ją, gdyby Esmay na to pozwoliła? To trudne pytanie, nad którym może zastanowi się po dłuższej drzemce. Macocha bardzo sprawnie i szybko rozpięła zapięcia i wyniosła z pokoju równo poskładane suknie, zostawiając Esmay samą.

* * *

Obudziła się późnym popołudniem; niebo było zachmurzone i... nic nie wyglądało tak, jak powinno wyglądać. Potem przypomniała sobie, że nie jest w swoim pokoju i w swoim łóżku, lecz w łożu prababki. Teraz należało już do niej, i to na mocy tradycji i prawa. Wszystko tutaj należało teraz do niej. To łóżko, wyszywany obrazek z napisem „Oczy Boga są zawsze otwarte” (jej prababka wykonała go jako młoda dziewczyna), fotele... i ściany, a także pola od dalekich bagnistych brzegów morza aż do górskich lasów, ogrody, drzewa owocowe, oliwne i orzechowe, każdy kwiatek na łące, każde dzikie stworzenie w lasach... Tylko by było mogło należeć do kogoś innego, ale to ona udzielała pozwolenia na korzystanie z pastwisk, to ona decydowała, które tereny można obsiać, a które przeznaczyć na pastwiska.

Odrzuciła kołdrę i wstała. Macocha – lub ktoś inny – przygotował dla niej bardziej normalne ubrania. Nie były to rzeczy, które ze sobą przywiozła, lecz nowe: spodnie z miękkiej czarnej wełny i różnobarwny sweter. Znalazła przylegającą do apartamentu łazienkę i wzięła prysznic, po czym

ubrała się w nowe rzeczy.

W holu Luci cicho rozmawiała z Sanni i Bertholem. Sanni rzuciła jej długie, badawcze spojrzenie.

– Dobrze spałaś? – zapytała. Esmay miała wrażenie, że w tym pytaniu kryje się coś więcej.

– Tak – odpowiedziała. – A teraz znów jestem głodna.

– To potrwa tylko kilka minut – rzekła Sanni i skierowała się do kuchni.

– Witaj w domu – odezwał się Berthol. Patrzył na nią nieco nieufnie.

– Dziękuję – odpowiedziała Esmay. Próbowwała przypomnieć sobie, czy jej nowy status zmienia cokolwiek oprócz własności ziemi. Czy na przykład powinna w jakiś inny sposób zwracać się do Berthola i Sanni?

Ze skrzydła bibliotecznego wyszedł ojciec.

– Ach, Esmay. Mam nadzieję, że wypoczęłaś. Nie wiem, jak długo możesz tu zostać, ale mamy mnóstwo do zrobienia.

– Nie przed posiłkiem – odezwała się Sanni, nadchodząc. – Jesteśmy już gotowi.

Posiłek bardziej niż wszelkie wyjaśnienia uzmysłowił Esmay zmianę jej pozycji. Posadzono ją u szczytu stołu, tam, gdzie siadywała jej prababka, gdy od czasu do czasu towarzyszyła rodzinie przy posiłkach... co detronizowało Papę Stefana. Sprawiał teraz wrażenie niezwykle kruchego, kiedy pół stołu dalej pochylał się nad talerzem. Esmay jadła powoli, słuchała i obserwowała, próbując wyczuć ukryte emocje.

Na przykład macocha i ciotka Sanni spoglądały na siebie jak dwie kotki nad miską ryb. Ciekawe, o co rywalizują? Jej ojciec i Berthol, choć oficjalnie uprzejmi, zdawali się wyjątkowo spięci. Z młodzieży przy stole siedziała tylko Luci; Esmay przypuszczała, że reszta zjadła posiłek wcześniej.

– Czy zdecydowałaś już, kogo wyznaczysz na swojego spadkobiercę? – zapytała macocha. Sanni rzuciła jej tak ostre spojrzenie, jakby ją chciała zabić wzrokiem.

– Nie teraz – powiedział ojciec.

– Nie – rzekła Esmay. – To wszystko jest zbyt świeże. Będę musiała zastanowić się. – Będzie musiała przyjrzeć się rodzinnemu drzewu genealogicznemu, bo nie ma pojęcia, kto się do tego nadaje. Może Luci? To nie byłoby takie złe.

– Jutro zacznie się papierkowa robota – poinformował ją ojciec. – Te wszystkie dokumenty prawne...

– Jak długo to potrwa? – zapytała.

Wzruszył ramionami.

– Kto wie? Nie robiliśmy czegoś takiego od bardzo dawna, a od tamtej pory zmieniły się niektóre przepisy. Teraz już nie wystarczy, że rodzina wyrazi zgodę na wszystkie zmiany, trzeba zatwierdzać każdą zmianę osobno.

To brzmi znacznie gorzej niż Procedury Administracyjne. Jeśli cała rodzina będzie musiała akceptować zmianę własności każdego pola i każdego kawałka lasu...

– Na szczęście można to zrobić przez pełnomocnika. Przypuszczam, że zajmie to godziny, najwyżej dni, a wszystko to trzeba będzie powtórzyć, kiedy abdykujesz. – Sprawiał wrażenie bardziej zmęczonego niż żywiącego urazę; Esmay pomyślała, że pewnie z chwilą śmierci prababki

przejął w jej imieniu większość obowiązków.

– Powinna tu zostać, dobrze wyjść za mąż i stać się taką Oblubienicą Ziemi, jakiej nam potrzeba – wtrącił się Papa Stefan. – Dla świata została już bohaterką, udowodniła, co potrafi, ale oni mogą nie potrzebować młodej bohaterki tak bardzo jak my tutaj.

– Mogłaby się teraz wycofać.

Ojciec spojrział na nią i lekko wzruszył ramionami. Wiedział, co znaczy dla niej kariera, tak samo jak ona wiedziała, czym dla niego jest służba wojskowa, ale o wielu rzeczach nie miał pojęcia, a ona sama już rozumiała, że lepiej będzie opuścić Flotę, zanim zostanie do tego zmuszona.

– Możecie wcale nie mnie potrzebować, Papo Stefanie, a kogoś, kto cały czas żył tutaj, wie więcej...

– Możesz się nauczyć. – Najwyraźniej nabierał chęci do prowadzenia polemiki. – Nigdy nie byłaś głupia, tylko uparta. Dlaczego miałabyś służyć Familiom Regnant? Nie mamy nawet Fotela w ich Wielkiej Radzie. Nie szanują nas. Wykorzystają cię, a na koniec wyrzucą, kiedy się tobą znudzą lub popadniesz w niełaskę.

To było zbyt bliskie prawdy; Esmay zaczęła zastanawiać się, czy przez serwisy informacyjne nie przedostały się tu jakieś informacje o jej sytuacji we Flocie.

– Nonsens, Papo – wtrącił się Berthol. – Młodzi oficerowie z jej talentem są jak diamenty na wybrzeżu. Nie wypuszczą jej tak łatwo. Zobacz, czego już dokonała.

– Skończyła jeść – przerwała mu macocha. – Ktoś ma ochotę na deser?

Esmay, zadowolona ze zmiany tematu, z wdzięcznością wzięła porcję tradycyjnego budyniu.

* * *

Następnego ranka zaczęły się formalności prawne. Jej ojciec sprowadził do domu cały sąd: sędziego, adwokatów, stenotypistów...

Najpierw, choć Esmay oficjalnie zaakceptowała swe dziedzictwo w czasie ceremonii, musiała przysiąc, że to zrobiła, i umieścić na Zwoju swój podpis pod podpisem prababki; teraz każdy będzie mógł porównać jego prostotę z uroczą, staromodną elegancją pisma prababki. Ale na szczęście trzy linijki wyżej ktoś podpisał się niezgrabnym dziecięcym pismem, które wyglądało jeszcze gorzej.

Kiedy została już zaprzysiężona jako dziedziczka, Oblubienica Ziemi, zaczęła się prawdziwa praca. Słudzy Ziemi, łącznie z Papą Stefanem i jej ojcem, musieli przedstawić rozliczenia z zarządzania każdą częścią Daru Oblubienicy. Esmay dowiedziała się o rodzinnej estanzie takich rzeczy, o których nigdy nie miała pojęcia, ponieważ w trakcie długiego panowania jej prababki dokonano wielu zmian. Od trywialnych (przeniesienie w inne miejsce kurnika, żeby zrobić zadaszone przejście do pralni) do poważnych (sprzedaż prawie jednej trzeciej pastwisk w celu sfinansowania zakupu amunicji dla brygady jej ojca w Powstaniu). W ten sposób miała szczegółowy obraz ostatnich 70 lat historii jej rodziny.

Esmay najchętniej przyjęłaby po prostu, że rachunki się zgadzają, ale sędzia nie chciał o tym słyszeć.

– Nie było cię tutaj długo, Sera, i niczego nie wiesz. Chociaż to twoja rodzina i naturalnie uważasz, że nie byliby zdolni do nieuczciwości, moim obowiązkiem jest ochraniać ciebie i Dar Oblubienicy. Rozliczenia muszą zostać starannie sprawdzone, dlatego mam ze sobą księgowych z

Rejestru.

Ile czasu to zajmie? Nie chciała spędzać całych dni na przyglądaniu się, jak księgowi grzebią w starych rejestrach.

– Ale jak długo będzie tu reprezentant rodziny gotów odpowiadać na moje pytania, twoja obecność nie jest konieczna.

Esmay z ulgą uciekła, ale tylko po to, by zostać schwytaną przez Luci, która zaplanowała szczegółowe omówienie spraw związanych z zarządzaniem jej stadem. Ponieważ Luci tak bardzo chciała pokazać jej, co zrobiła, Esmay nie opierała się, kiedy kuzynka prowadziła ją przez kuchnię i tylne wyjście z domu do biur stajni.

– Nie powiedziałaś, jaki kierunek hodowli chciałabyś wybrać – rzekła Luci – więc zdecydowałam się sprzedać dziesięć procent najgorszych zwierząt na regionalnym rynku, nie pod twoim nazwiskiem. Współczynniki reprodukcji twojego stada przekraczają średnią rodzinną, ale niewiele.

– Nie wiedziałam, że w ogóle można je poprawić.

– Ależ tak. – Luci wyglądała na zadowoloną z siebie. – Zaczęłam czytać pozaplanetarne pisma poświęcone reprodukcji koni, i choć nie stać mnie było na to, o czym tam pisano, dokonałam pewnych zmian w zarządzaniu. Wszyscy naśmiewali się ze mnie, ale tylko do czasu pierwszych narodzin źrebiąt. Wtedy powiedzieli, że to normalna zmienna statystyczna, ale w tym roku drugi miot był o punkt lepszy niż zeszłoroczny.

Esmay nigdy nie interesowała się reprodukcją koni, ale widząc szczery entuzjazm Luci, doszła do wniosku, że wybrała właściwego zarządcę dla swojego stada.

– Co powiedzieli na sprzedaż najslabszych zwierząt pod obcym nazwiskiem? Przecież były znakowane, prawda?

– Nie, zdecydowałam się poczekać ze znakowaniem aż do selekcji. Papa Stefan był na mnie zły, ale to było twoje stado, więc nie mógł mi niczego nakazać.

– A jakie kryteria selekcji zastosowałaś?

– Kilka rzeczy. – Luci zaczęła liczyć na palcach. – Po pierwsze, długość ciąży; wczesna lub późna ciąża to ważna sprawa, gdyż są dowody na to, że ma wpływ na stan płodu. Po drugie, po jakim czasie źrebię wstaje i zaczyna ssać i jaka jest siła ssania.

– W stadzie masz już klacze o dobrych parametrach, ale przyda ci się dodatkowy zastrzyk energii.

Esmay była pod wrażeniem.

– Zakładam, że klacze będziesz później selekcionować?

– Tak, za twoją zgodą, ale kiedy jeszcze będą wystarczająco młode, by można je było sprzedać. Według tego, co czytałam, po trzech porodach można już określić, czy długość ciąży, problemy z płodem, żywotność noworodka i produkcja mleka są charakterystyczne dla danej klaczy. Mogę pokazać ci zapisy...

– Nie, to niepotrzebne. Bardzo dobrze się spisałaś. Powiedz mi, co twoim zdaniem powinniśmy zrobić z tym stadem.

– Produkować materiał genetyczny na eksport – odpowiedziała natychmiast Luci. – Mamy doskonały genom krzyżówkowy dla przynajmniej pięciu innych planet hodujących konie. Wszystkie nasze konie biegają; selekcionowaliśmy je pod kątem dobrej formy, szybkości i wytrzymałości.

Wprowadziłam zapytanie do jednej z baz danych, żeby dowiedzieć się, czy ktoś wie, czym dysponujemy, i czy byłby zainteresowany, i muszę przyznać, że reakcja była obiecująca. Tutaj, na Altiplano, możemy sprzedawać żywe zwierzęta, ale koszty eksportu są zbyt duże, by eksportować coś więcej oprócz materiału genetycznego.

– Jak dla mnie to brzmi dobrze – stwierdziła Esmay. – Kiedy twoim zdaniem może nam to przynieść jakieś zyski?

Luci zamyśliła się.

– Nie od razu. Ponieważ zazwyczaj prowadzimy naturalne rozmnażanie i nigdy nie eksportowaliśmy embrionów, będziemy musiały zainwestować w sprzęt. Umieściłam zyski ze sprzedaży koni na przeznaczonym do tego celu funduszu, czekając na twoją zgodę.

– Czy materiał genetyczny z innych stad rodziny lub w ogóle z Altiplano nadawałby się do sprzedaży?

– Tak sądzę. Może także nasze bydło.

– W takim razie zobaczę, czy można będzie dokonać zakupu z funduszy rodzinnych, a potem będziesz mogła wynająć urządzenia.

– Naprawdę zrobiłabyś to?

– Jeśli to możliwe, czemu nie? Zyskałaby na tym nie tylko nasza rodzina, ale całe Altiplano.

Luci z zadowoleniem pokiwała głową. Zapisała coś w notatniku, a potem spojrzała zaniepokojona na Esmay.

– Wyglądasz gorzej niż kiedy stąd wyjeżdżałaś – powiedziała.

– A ty zrobiłaś się mniej taktowna – odgryzła się Esmay.

– Czy to wpływ walki? Mówią, że Krwawa Horda jest straszna.

Esmay przewróciła kartkę w księdze hodowlanej. – Nie chcę o tym rozmawiać.

Luci przekrzywiła głowę.

– Wcześniej nie byłaś też taka obraźliwa. Wyglądałaś okropnie przez dzień czy dwa, a potem było lepiej. Coś jest nie tak.

Dziewczyna była uparta jak giez i miała taką samą umiejętność trafiania w sam środek rany.

– Miałam trochę kłopotów. Ale to nie są sprawy, o których chciałabym mówić.

– Cóż, życzę ci jak najlepiej. – Luci zaczęła krążyć między oknem i drzwiami. – Gdybyś była w moim wieku...

– To co?

– Powiedziałabym, że usychasz z miłości. Masz wszystkie wskazujące na to objawy.

– Usycham z miłości?!

– Tak nazywała to Elise. A więc to miłość czy coś innego?

Nie wiedziała, jak jej to wyjaśnić. – O pewnych rzeczach nie mogę z tobą rozmawiać. To sprawy Floty. Zdarzyło się coś nieprzyjemnego.

– Esmay, na miłość Boską, wyrosłam w wojskowej rodzinie i potrafię odróżnić problemy zawodowe od osobistych, więc nie musisz udawać, że właśnie o to chodzi.

– Kiedy tak właśnie jest, uparciuchu. Umarła prababka i musiałam przejąć całą posiadłość; mam mnóstwo trosk na głowie.

Luci skierowała rozmowę z powrotem na temat koni i przez godzinę rozmawiały wyłącznie o tej czy o innej linii oraz ich krzyżówkach. Wracając do domu, wciąż jeszcze zajęte były omawianiem dystrybucji cech recesywnych w czwartym pokoleniu. Nagle Luci zatrzymała się i z niewinną miną zapytała:

– Zamierzasz wyjść za mąż, kuzynko, i osiąść tutaj, tak jak chce Papa Stefan?

Pytanie padło w obecności służby i Berthola, który jak zwykle przed posiłkiem zawędrował do kuchni. Zapadła cisza, a jeden z pomocników upuścił na podłogę nóż.

– Jestem oficerem Floty – oświadczyła Esmay. – Wiesz, że powiedziałam wszystkim, iż będę musiała wyznaczyć osobę zarządzającą majątkiem.

– Tak, wiem o tym, ale nie spędziłaś na Altiplano jeszcze nawet tygodnia. Mogłabyś zmienić zdanie, zwłaszcza jeśli nie idzie ci dobrze we Flocie.

– Widzisz, jaka ona jest – mruknął Berthol znad garści zwędzonych oliwek.

– Jestem gotowa do lunchu – oznajmiła Esmay. – I lepiej, żeby to nie były eksportowe oliwki. – Mówisz dokładnie tak jak twoja prababka – mruknął Berthol i pogroził jej palcem. – Potrafiła wycisnąć olej z samego zapachu oliwek.

– Lunch – zarządziła Esmay, idąc do jadalni. – Poranek spędzony z prawnikami i księgowymi, a potem z Luci zagłodził mój mózg.

Stacja Darien Prime

Pradish Lorany wciąż na nowo obracał w dłoniach pamflet.

Nie był do końca przekonany. Tak, to zdecydowanie niesprawiedliwe, że Mirlin zabrała dzieci i wyprowadziła się, że to Sophia Antera dostała awans, a nie on, i że ponad połowę stanowisk w radzie mieszkańców stacji zajmowały kobiety. Niedobrze robiło mu się na samą myśl o sztucznym porodzie i manipulacjach z ludzkim genomem; jeśli to nie jest wtrącanie się do bożego planu to nie potrafił powiedzieć, co to jest. I choć zgadzał się z twierdzeniem, że społeczeństwo jest skorumpowane i zepsute, a wszystko to zaczęło się od odrzucenia ról wyznaczonych przez Boga kobietom i mężczyznom, nie był do końca przekonany, że naturalną konsekwencją tego powinno być wysadzanie ludzi w powietrze w akcie pobożności. Zwłaszcza że zginęłyby też Mirlin i dzieci. Chciał od kobiet szacunku i uznania wyższości mężczyzn oraz zaprzestania grzebania w ludzkich genach, ale... czy to dobry sposób osiągnięcia tego?

Uznał, że nie. Zdecydował, że dalej będzie wspierał Ligę Obrony Płci i przekonywał byłą żonę, że źle zrozumiała powody, dla których utrzymywał dyscyplinę tradycyjnymi metodami... ale nie pójdzie na następne spotkanie z przedstawicielem Bogobojnej Milicji, który próbował nakłonić go do rozmieszczenia ładunków wybuchowych.

Z odrazą rzucił pamflet w stronę otworu systemu recyklingu, ale nie zauważył, że nie trafił i broszura wylądowała tuż pod znakiem z napisem „Proszę tutaj wyrzucać śmieci”.

Nie dostrzegł też starszej kobiety, która rzuciła w jego stronę wściekłe spojrzenie i podniosła wymięte strony, by umieścić je w zsypie, a potem znieruchomiała, gdy jej wzrok przyciągnął rażący błąd gramatyczny w pierwszym zdaniu. Sera Alicia Spielmann, równie gorliwie dbająca o gramatykę, jak i o porządek, zabrała pamflet do domu, aby posłużyć jako negatywny przykład na spotkaniu rady powierniczej lokalnej szkoły, ale kiedy go przeczytała, zamiast tego zadzwoniła do

przyjaciółki, której wnuk pracował w ochronie stacji.

Nie skojarzyła „leniwego śmieciarza” ani własnych działań z nagłośnionym dwa dni później odkryciem ciała brutalnie zamordowanego w swoim mieszkaniu Pradisha Lorany’ego. Ale inni powiązali te fakty.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Altiplano, Estanza Suiza

Po lunchu Luci poszła za Esmay do apartamentu Oblubienicy.

Esmay, która miała nadzieję na przemyślenie wszystkiego w samotności, uznała, że będzie miała więcej spokoju, jeśli pozwoli Luci się wygadać.

– No więc o co chodzi tym razem? – zapytała, niemal się śmiejąc. – Masz jeszcze pięć innych planów co do estanzy czy zamierzasz obalić rząd?

Okazało się, że Luci kocha chłopca – właściwie młodego mężczyznę – z mieszkającej w sąsiedztwie rodziny.

– Twój ojciec jest temu przeciwny. Nie wiem, dlaczego – powiedziała. – To dobra rodzina.

– Kto to? – zapytała Esmay, a słysząc nazwisko, kiwnęła głową.

– Wiem, dlaczego jest przeciwny, i uważam, że nie ma racji.

– Czy to jedna z tych rzeczy, o których nie możesz mi powiedzieć?

– Chodź tutaj i usiądź – powiedziała Esmay, starannie zamykając drzwi, aby nikt im nie przeszkadzał. Wskazała na pokryty perkalem fotel i sama usiadła w drugim.

– Powiem ci, choć nie jest to przyjemna opowieść. Zauważyłaś, że kiedy byłam tutaj ostatnim razem, wyglądałam dość żałośnie, i przypuszczam, że nikt nie powiedział ci, dlaczego.

– Nikt nie wiedział. Wiadomo tylko, że pokłóciłaś się o coś z ojcem.

– No cóż... W tej rodzinie jest za dużo tajemnic, i teraz, kiedy jestem Oblubienicą, chcę, żeby było inaczej. Otóż kiedy byłam małym dzieckiem i moja mama umarła, uciekłam z domu.

– Ty?!

– Tak. Chciałam odnaleźć ojca, który był wtedy na wojnie.

Nie rozumiałam, czym jest wojna... bo tutaj było bezpiecznie.

Któregoś dnia znalazłam się w... – Poczula ucisk w gardle. – Znalazłam się w jakiejś wiosce, dokładnie w samym środku frontu.

Przyszli żołnierze...

– Och, Esmay...

– Zostałam... napadnięta i zgwałcona. Znalazł mnie jeden z żołnierzy ojca; byłam bardzo chora.

– Esmay, nigdy o tym nie słyszałam.

– Oczywiście, że nie. Wyciszyli tę sprawę, ponieważ żołnierz, który to zrobił, należał do brygady mojego ojca.

– Nie! – Luci zbladła jak kreda.

– Tak. Został zabity; prawdę mówiąc, zabił go stary Seb Coron. Ale mnie powiedzieli, że to wszystko było snem, że zaraziłam się od matki gorączką – którą faktycznie mogłam mieć – a cała reszta była zwidami. Przez te wszystkie koszmary, które mi się śniły, myślałam, że wariuję.

– Ale w końcu dowiedziałaś się prawdy?

– Powiedział mi Seb Coron, ponieważ myślał, że już wiem, że to wyszło na jaw w czasie badań we Flocie i że mnie wyleczyli. – Wciągnęła głęboko powietrze, a potem wolno je wypuściła. – Więc... rozmówiłam się z ojcem, a kiedy rozpoznałam w archiwum regimentu twarz napastnika,

przyznał, że faktycznie tak było i że wszystko dobrze pamiętałam.

Kredowobiała twarz Luci zrobiła się czerwona.

– To... ohydne! Tak cię okłamywać! Ja bym...

– Rzecz w tym – mówiła dalej Esmay, nieco pocieszona reakcją Luci – że osoba, która to zrobiła, była członkiem tamtej rodziny. Człowiek, którego kochasz, jest jego bratankiem, synem starszego brata.

Twarz Luci znów pobladła.

– Arlen? Chyba nie mówisz o Arlenie? Przecież on zginął w bitwie; zrobili mu kapliczkę w głównym holu.

– Wiem. Został zabity w bitwie... przez Seba Corona za napaść na dziecko, na mnie.

– O Boże. – Luci zapadła się w fotel. – A jego ojciec był jednym z dowódców, więc twój ojciec nic mu nie powiedział?

– Nie wiem, czy jego rodzina wie o czymkolwiek, ale nawet jeśli tak, utrzymywano to w tajemnicy. Dostał order, kapliczkę w głównym holu... – Nie potrafiła ukryć goryczy w głosie.

– I dlatego twój ojciec nie chce mieć nic wspólnego z ich rodziną? Rozumiem.

– Nie, zostali nawet przyjaciółmi, a przynajmniej na gruncie zawodowym. Myślę, że ojciec uważał to za aberrację nie mającą niczego wspólnego z jego rodziną. Kiedy miałam czternaście lat i tańczyłam z jego młodszym bratem, nic nie powiedział. Byłby nawet szczęśliwy, gdybym wyszła za Carla. Ale teraz martwi się, ponieważ ja wiem, i nie jest pewien, co zrobić.

– Ja... zerwę z nim, Esmay. – Oczy Luci zaszkliły się od łez.

– Nie bądź śmieszna! Jeśli go kochasz, nie ma sensu, żebyś zrywała z nim z mojego powodu.

– Nie miałabyś do mnie żalu?

– Ja... nie wiem, jak zareagowałabym, gdyby okazało się, że jest bardzo podobny do Arlena. Ale to nie powinno mieć znaczenia ani dla ciebie, ani dla rodziny, jeśli poza tym jest dla ciebie odpowiedni. Czy jest dobrym człowiekiem? I Tak myślę – powiedziała Luci. – Ale zakochane dziewczyny podobno kiepsko oceniają ludzkie charaktery – dodała tonem rozbawienia.

– A poważnie?

– A poważnie... sprawia, że robią mi się miękkie kolana i serce wyskakuje z piersi. Widziałam go przy pracy; chce zostać lekarzem i pomaga w rodzinnej klinice. Jest bardzo szlachetny.

– Cóż, w takim razie jestem po twojej stronie, jeśli to ma jakieś znaczenie.

– Jeśli ma znaczenie? Nie bądź śmieszna. Jesteś Oblubienicą, i jeśli zgodzisz się na ślub, nikt nie będzie z tobą dyskutował.

Nie pomyślała o tym, bo nigdy nie rozważała sprawy własnego ślubu.

– Jesteś pewna?

– Oczywiście, że tak! – Luci ukazała w uśmiechu zęby. – Nie zdawałaś sobie z tego sprawy? Co się stanie, kiedy... – Nagle spoważniała. – Czy to... co się stało... sprawiło, że nie chcesz wychodzić za męża?

– Być może – odpowiedziała Esmay, czując się bardzo niepewnie na gruncie tak dobrze znanym Luci. – Nie myślałam o tym. Chciałam tylko uciec z planety, daleko od tego wszystkiego.

– Ale chyba spotkałaś już kogoś, kto sprawia, że miękną ci kolana?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, poczuła na policzkach zdradliwy rumieniec. Luci pokiwała

głową.

– Spotkałaś... i nie chcesz, żeby ktoś o tym wiedział. Czy to coś... nie z tej ziemi?

– Nie z tej ziemi? – Barin pochodził z innej planety, ale nie była pewna, czy Luci o to właśnie chodzi.

Teraz to Luci się zaczerwieniła.

– No wiesz... te rzeczy, które robią ludzie... a my tutaj nie.

A przynajmniej oficjalnie.

Esmay roześmiała się.

– Nie, to nic takiego. Oczywiście spotkałam takich ludzi, i oni wcale nie uważają tego za coś niezwykłego.

Twarz Luci zrobiła się czerwona jak burak.

– Zawsze zastanawiałam się – wymamrotała – jak...

– Mówili nam o tym we wstępnej szkole – powiedziała Esmay, uśmiechając się na wspomnienie paralizującego ją wtedy zakłopotania. – To był temat lekcji o higienie osobistej, i ja niemal wczółgałam się wtedy pod stół.

– Nie mów mi, możesz mi pokazać kostkę. – Luci odwróciła wzrok, ale po chwili znów na nią spojrzała. – Ale chcę coś o nim wiedzieć. Kim on jest... był?

– Był – odpowiedziała stanowczo Esmay, choć zabolęło ją serce.

– Był oficerem Floty. Z dobrej rodziny.

– Nie kochał cię? – zapytała Luci i zaczęła mówić dalej, nie czekając na odpowiedź. – Miałam taką sytuację; za drugim razem, kiedy się zakochałam, on w ogóle nie interesował się mną.

Powiedział mi to całkiem otwarcie. Myślałam, że umrę... Jeździłam konno do lasu i płakałam.

– Nie, on... mnie lubił. – Esmay z trudem przełknęła. – Myślę... myślę, że właściwie bardzo mnie lubił, a ja...

– W takim razie co się stało? – zapytała niecierpliwie Luci.

– My... pokłóciliśmy się.

– Dziewczyna przewróciła oczami.

– Kłótnia! Co to jest kłótnia? Nie pozwoliłaś chyba, żeby skończyło się to po jednej kłótni!

– On jest... na mnie zły.

Luci wyglądała na zakłopotaną.

– Wciąż go kochasz, to oczywiste. Więc czemu...

– To... ma związek z Flotą. Dlatego nie mogę ci tego wyjaśnić.

– Musisz mi powiedzieć – oświadczyła Luci. – Założę się, że to dotyczy ciebie i jego, a nie jakichś supertajnych sekretów. Powierzyłaś mi swoje pieniądze i konie, więc możesz równie dobrze zaufać, że zachowam dla siebie te kilka głupich sekretów twojej Floty.

To nie miało sensu, ale Esmay już zbyt długo się broniła, musiała z kimś porozmawiać. Najkrócej jak mogła – choć okazało się to wcale nie takie proste – opowiedziała o Barinie, przeniesieniu jej na specjalizację dowódczą i przybyciu do Copper Mountain. I o Bnin. Kiedy pierwszy raz wspomniała o Brun, Luci przerwała jej.

– A więc to jest ten sznur w spichlerzu.

– Ona nie jest szczurem. To utalentowana, błyskotliwa, atrakcyjna...

– To szczur. Zabrała się za twojego faceta, prawda? To od razu widać. Przywykła dostawać to, czego chce; pewnie zaczęła zakochiwać się już w wieku dwunastu lat...

Esmay musiała się uśmiechnąć, słysząc ton Luci.

– Ale to nie takie proste. To znaczy... tak właśnie myślałam... tak mówili inni, że przez ten czas, który spędzała z Barinem...

– A ty nie spędzałaś z nim czasu?

– To dlatego, że miałam podwójną ilość zajęć. Oni oboje – tak samo jak wszyscy – mieli więcej wolnego czasu niż ja. Powiedziała, że chce zaprzyjaźnić się ze mną, ale zawsze mówiła mi, jak mam się ubierać, co zrobić z włosami...

Luci zacisnęła wargi.

– W tej sprawie rzeczywiście przydałyby ci się jakieś rady.

– To moje włosy! – Esmay usłyszała złość w swoim głosie, więc szybko uspokoiła się. – Przepraszam. Chciała rozmawiać o Altiplano i naszych zwyczajach, ale to brzmiało tak... tak protekcjonalnie, a któregoś dnia zaczęła mówić o Barinie i ja... poniosło mnie.

– Powiedziałaś jej, żeby trzymała swoje brudne łapska z dala od twojego faceta?

– No... niezupełnie. Powiedziała jej... – Nie chciała powtarzać tych gniewnych słów, które odbijały się echem w jej głowie i brzmiały teraz znacznie gorzej niż wtedy. – Nawymyślałam jej, Luci. Powiedziała, że jest niemoralna, że powinna odejść i przestać demoralizować ludzi.

– Uuu. Teraz widzę, że nie powinnam cię denerwować, – foteem musiałam polecieć na ćwiczenia polowe z Uników i Ucieczki – o tym opowiem ci później – a kiedy wróciłam, ona odeszła z Copper Mountain, a dowódca wściekł się na mnie za to, co jej powiedziałam. Ponieważ to córka Mówcy, była na podsłuchu i wszystko zostało nagrane, a potem w jakiś sposób dowiedzieli się też o tym reporterzy. Myślałam, że Barin z nią spał, a on wściekł się na mnie, że mogłam tak myśleć. I jakby tego wszystkiego było mało, później złapali ją piraci i torturowali... a wszyscy uważają, że to moja wina.

Luci przez dłuższą chwilę spokojnie jej się przyglądała, po czym wolno pokręciła głową.

– Może i jesteś Oblubienicą Ziemi, oficerem Floty i odznaczoną bohaterką, ale w sprawach miłości zachowujesz się jak uczennica.

– Co?! – Esmay raczej spodziewała się wyrazów współczucia, a nie wymówek.

– Tak – potwierdziła Luci, kiwając głową. – Chyba nawet rozumiem, dlaczego. Nie masz żadnego doświadczenia, dlatego zachowałaś się jak przedszkolak! Powiem ci coś, kuzynko. Jeśli nie wrócisz do Barina i nie powiesz mu, czemu nawrzeszczałaś na Brun i że go kochasz, uznam cię za absolutną idiotkę.

Zaszokowana Esmay nie mogła mówić; była pewna, że Luci świetnie bawi się tym, że po raz pierwszy ma okazję zbesztać kogoś starszego.

– No dobrze, to twoja pierwsza miłość. Ale popełniłaś wszystkie błędy, jakie tylko można popełnić.

– Na przykład?

– Nie powiedziałaś mu. Nie powiedziałaś tej całej Brun. Może ona rzeczywiście jest osobą, która z czystej złośliwości odbija kobietom kochanków, ale ty nawet jej nie powiedziałaś...

– Jak mogłam? My nie... A zresztą przepisy... – Szybko streściła odpowiednie fragmenty zaleceń dla oficerów.

– DUBY SMALONE – skomentowała z pewnością siebie Luci, a rozsierdzona Esmay zaczęła zastanawiać się, czy Brun także oceniała ją w ten sposób. – Jesteś jeszcze bardziej niedojrzała emocjonalnie niż ja. Przecież ty nie wykorzystywałeś Barina, a poza tym mogłaś być ostrożna i profesjonalna, nie zamieniając się przy tym w sopel lodu.

– Nie wiem...

– Ale ja wiem. Jesteś głupia; siedzisz tu i bawisz się w Oblubienicę, kiedy tak naprawdę ta ziemia wcale cię nie obchodzi.

– Obchodzi mnie!

– Jako abstrakcyjna idea. Kiedy przyjeżdżasz, lubisz to, że ona tutaj jest, że trwa nie zmieniona... Ale nie przekonasz mnie, że naprawdę obchodzi cię, czy nadmorskie pastwiska są przedzielone płotami, by pozwolić na wypas ekstensywny, czy leżą odłogiem i są wypasane co drugi rok.

– No... nie. – Esmay usiłowała przypomnieć sobie, na czym polega wypas ekstensywny.

– Albo czy zaprzestać kupowania bydła z Garranos i rozwinąć własną hodowlę, a jeśli tak, to jakimi kierować się kryteriami.

– No... nie bardzo. – Nie wiedziała nawet, że kupują bydło z Garranos.

– Albo czy posadzić nowe drzewa orzechowe, czy zaszczepić najnowsze odmiany na starych.

– Pewnie nie. – Sadzonki? Szczepienia? Nie podejrzewała nawet, że jej prababka wiedziała coś na ten temat.

– No właśnie. Zawsze marzyłaś o wielkim świecie, i udało ci się do niego dostać. Znalazłaś tam miłość, co dowodzi, że to był właściwy wybór. – Takiego rozumowania Esmay jeszcze nigdy dotąd nie słyszała. – Nie pozwól nikomu tego zabrać.

– Mogą poprosić mnie o wystąpienie ze służby – stwierdziła ponuro.

– Zrobili to?

– Nie, jeszcze nie, ale zasugerował mi to admirał Hornan.

– Na pewno macie tam więcej niż jednego admirała. Esmaya, nie możesz być głową rodziny i dobrą Oblubienicą Ziemi, jeśli twoje serce jest gdzie indziej. Chcesz kariery we Flocie, chcesz tego Barina – idź i walcz o to. Nikt w tej rodzinie nigdy nie wstydził się zdobywać tego, czego pragnął. Nie łam tej tradycji. – Luci wbiła w Esmay wyzywające spojrzenie.

Dla Luci to wydaje się takie proste, ale wcale tak nie jest... chociaż właściwie jest. Jeśli ma cel – a tak jest – to czemu ku niemu nie dąży? Czemu dała zepchnąć się z kursu? I, co najważniejsze, co może teraz zrobić?

– Przygotowują próbę uwolnienia Brun – powiedziała. Teraz mogła już spokojnie mówić. – Statek, na którym służę, bierze w tym udział. Ja też powinnam tam być, ale lord Thornbuckle, który mnie za wszystko obwinia, uparł się, że nie chce, abym miała z tym cokolwiek wspólnego. A ktoś, kogo znałam w Akademii, przylepił się do Barina jak wyschnięte jajo do talerza.

– To typ mężczyzny, jakiego pragnę kobiety – stwierdziła spokojnie Luci. – Sama tak powiedziałaś.

– Tak... ale ta jest zła, naprawdę zła.

– Czego więc trzeba, żebyś odzyskała Barina i mogła przekonać się, czy wciąż cię kocha, a

potem znów cieszyć się względami admirała?

– Nie wiem... Nie wiem, czy Barin kiedykolwiek mi wybaczy.

– Może nie – przyznała szczerze Luci – ale nie dowiesz się tego, jeśli się z nim nie spotkasz. A admirał?

– Przypuszczam... że gdybym mogła jakoś ich przekonać, że nie żywię nienawiści do Brun i że nigdy naprawdę nie powiedziałam, iż zasługuje na to, co jej się przytrafiło...

– Uważają, że coś takiego powiedziałaś?

– Casea – ta kobieta, która kręci się przy Barinie – mówi, że tak.

– Twierdzi, że знаła mnie na Akademii i że zawsze mówiłam nieprzyjemne rzeczy o głównych Familiach. Oczywiście wcale tak nie było.

– Muerto de Dios – skomentowała Luci. – Miałabym dla niej nóż, gdybym ją spotkała. Ale jeśli ona musi kłamać po to, żeby trzymać Barina z dala od ciebie, to znaczy, że on wcale nie jest do niej taki przywiązany. Wracaj, Esmay. Wracaj i pokaż im, jaka jesteś dobra.

– A ty, kuzynko?

– Ja będę rozmnażać konie i – za twoją wiedzą i poparciem – wyjdę za człowieka, którego kocham, i urodzę dzieci.

– A któregoś dnia zostaniesz Oblubienicą Ziemi?

– To już zależy wyłącznie od ciebie. Nie chcę tego zbyt prędko, zapewniam cię. Pozwól, że najpierw wykażę się w pracy z twoim stadem, a dopiero później zajmę się innymi sprawami.

* * *

Esmay siedziała sama w ciemnym pokoju, zastanawiając się nad tym, co powiedziała Luci. Wie, czego chce – podobno jest geniuszem taktycznym – więc powinna umieć wydostać się z bałaganu, w jakim się znalazła. Gdyby tylko potrafiła oczyścić swój umysł z emocji...

Ale to, czego chce, ma większy związek z emocjami niż z mózgiem; chce miłości i szacunku oraz poczucia, że służy czemuś, czemu warto się poświęcić.

Jednocześnie z każdą upływającą minutą coraz jaśniej zdawała sobie sprawę, że niezależnie od tego, jak ciężko będzie pracować – nawet jako najlepsza Oblubienica Ziemi, jaka kiedykolwiek istniała – czy jak przyjemne życie będzie prowadzić jako jedna z najbogatszych kobiet na planecie, nigdy nie zaspokoi własnych pragnień i potrzeb. Zawsze będzie pamiętać, że uciekła przed kłopotami. Zawsze będzie wiedziała, że zawiodła. Zobaczyła w wyobraźni siebie spotykającą w przyszłości starszego Barina. On uprzejmie podziwiałby jej imperium, a potem by odszedł, a ona... Otarła łzy i podniosła się z fotela.

Sędzia, adwokaci i audytorzy byli bardzo zirytowani, kiedy przyszła do nich i oznajmiła, że musi jak najszybciej wracać do Floty.

– Z tego, co zrozumieliśmy, ma pani przepustkę na czas nie określony.

– Bardzo panów przepraszam, ale są sprawy, o których nie wolno mi rozmawiać, a które zmuszają mnie do jak najszybszego powrotu. Muszę wiedzieć, ile to jeszcze potrwa.

– Gdybyśmy się pospieszyli, moglibyśmy przygotować dokumenty w ciągu pięciu dni.

Esmay sprawdziła już harmonogram lotów cywilnych transportowców.

– Panowie, najbliższy statek odlatuje za pięć dni, a następny dopiero za kolejnych dwadzieścia. Jestem pewna, że przy pełnej współpracy tego domu będą panowie mogli ukończyć pracę w cztery dni.

– To raczej nie będzie możliwe – odezwał się jeden z adwokatów, ale sędzia natychmiast go uciszył.

– Swoimi czynami, Sera, przyniosłaś Altiplano zaszczyt, więc dla ciebie będzie to możliwe. Nie jest to łatwe, ale możliwe.

– Będę wdzięczna na wieki i oddam dom na twoje usługi.

Czwartego dnia, po podpisaniu ostatniego dokumentu, Esmay poprosiła ojca, żeby przyszedł do biblioteki, miejsca ich wcześniejszej konfrontacji. Tym razem jednak odsunęła żale na bok i postanowiła poprosić go o radę. Opowiedziała mu o swoich problemach z taką precyzją i rzeczowością, jakby przedstawiała mu zagadnienia wojskowe.

– Widzisz, wcale nie przynoszę zaszczytu naszemu domowi i jestem w niełaskach – podsumowała. – Jednak nie mogę tego zmienić tutaj, a jeśli zostanę...

– Rozumiem – powiedział i energicznie kiwnął głową. – Esmaya, w moich oczach nigdy nie przyniesiesz wstydu temu domowi i Altiplano. Zgadzam się, że musisz oczyścić swoje imię.

– Jeśli to ci się nie powiedzie, zawsze możesz wrócić, dlatego nie wolno ci zrezygnować z Daru Oblubienicy, zanim to wszystko się nie skończy. Wygrasz czy upadniesz, zawsze będziesz Oblubienicą Suizą.

Bardzo bała się, że ojciec zażąda od niej oddania tytułu; teraz oczy wypełniły jej się łzami.

– A jeśli chodzi o sprawę córki Mówcy, nie miałaś wtedy racji, i wiesz o tym. Jej złe zachowanie nie usprawiedliwia twojego. Rozumiem powody, dla których nie przyznałaś się do uczucia do mężczyzny, choć może dla innych nie są one oczywiste. Mimo wszystko nie będą ci mieli tego za złe, jeśli dowiedziesz, że nie życzysz jej niczego złego, i przekonasz ją o tym, kiedy zostanie uwolniona. Co do mężczyzny, nawet ja słyszałem o Serrano. To niezwykła rodzina i dobrze pasuje do naszego domu. Musiałaś zawrzeć jakieś przyjaźnie, Esmaya, i teraz właśnie nadszedł czas, by odwołać się do przyjaciół.

– Skontaktować się z nimi?

– Tak. Kiedy cię atakują szukaj sojuszników. Nie możesz sama walczyć z Flotą. A jeśli ludzie kłamią na twój temat, potrzebujesz takich, którzy powiedzą prawdę. Jeśli nic nie powiesz i będziesz ich unikać, tym łatwiej uwierzą w kłamstwa. – Jego głos stał się ochryply ze wzruszenia. – Dziękuję ci, córko, za zaufanie, jakim mnie obdarzyłaś, wyznając to wszystko. Zawsze cię kochałem.

– Wiem. – Wiedziała, ale zdawała sobie też sprawę, że to jednak nie wszystko, co mógłby jej dać. Ostatni raz poczuła gorycz...

* * *

Podbudowana dobrymi radami rodziny i z większą ilością pieniędzy niż kiedykolwiek miała do dyspozycji, Esmay wybrała najszybszy transport, jaki mogła znaleźć. Cywilne statki pasażerskie były niemal tak samo szybkie jak Floty i miały pewniejszy rozkład lotów; trzymając w ręku bilet pierwszej klasy, wiedziała, że nie zabraknie dla niej miejsca. Nigdy jeszcze nie podróżowała w taki sposób – w prywatnej kabine, z dostępem do najwyższej jakości rozrywek i sprzętu gimnastycznego. Myślała o Brun, dla której zapewne były to normalne warunki odbywania podróży.

Jeśli uprowadzenie i tortury były czymś okropnym dla zwykłej osoby, jak musiała się czuć dziewczyna, która żyła w luksusie i której wszystkie zachcianki zawsze spełniano? Jak mogła przeżyć taki szok? Co prawda zaliczyła kurs UiU, ale Esmay wątpiła w to, by Brun potraktowała poważnie wykłady o niestawianiu oporu. Ona nie miała zwyczaju biernie znosić swojego losu. Nigdy niczego jej nie odmawiano, zawsze był ktoś, kto jej słuchał. Brun będzie się buntować, marudzić, sprowadzi na siebie kolejne kary i cierpienia... Gdyby tylko umiała skupić na czymś swój umysł – wyobrazić sobie siebie samą w innej sytuacji w przyszłości – byłaby w stanie przetrwać dla tej nadziei i nie podejmowałaby z góry skazanych na niepowodzenie wysiłków.

Ze strzępów informacji, które dotarły do Esmay już po wykluczeniu jej z potajemnej operacji uwolnienia Brun, wynikało, że nikt nie bierze pod uwagę jej własnych działań, że nie wyznaczono jej żadnej roli w ucieczce. Potraktowano ją jak przedmiot, który trzeba odebrać złodziejowi, podobnie jak jej oprawcy potraktowali ją jak cenny przedmiot, który ukradli i wykorzystali do własnych celów.

Tak samo ona była tylko przedmiotem dla mężczyzny, który ją w dzieciństwie zgwałcił, a potem sam został potraktowany przez sierżanta, który go zabił, jak odrażający przedmiot. Potem ona znów stała się przedmiotem, gdy rodzina zignorowała jej wspomnienia o gwałcie i z powodu nocnych koszmarów uczyniła z niej wyrzutka żyjącego w odległym końcu domu. Nagle zaczęła zastanawiać się, czy rodzina Brun kiedykolwiek widziała w niej człowieka, a nie dekoracyjny przedmiot, i czy jej zachowanie, tak jak sny Esmay, nie było wołaniem o to, aby ją dostrzec.

Ona także potraktowała Brun jak głupiutką lalkę, nie dostrzegła osoby kryjącej się za ładną twarzą, pięknymi włosami i żywiołowością. Znów ogarnęło ją poczucie winy, ale szybko je odepchnęła. Wina w niczym nie pomoże. Nie pomoże też skrucha. Brun ma kłopoty, a Esmay musi jakoś jej pomóc, i to nie ignorując jej jako osoby.

Kolejną godzinę spędziła w okrętowym basenie, płynąc pod sztucznie generowany prąd i rozmyślając nad problemem.

Brun jest w ciąży. Czy z powodu ciąży będzie chciała utrzymać się przy życiu? Podczas tamtej katastrofalnej kłótni powiedziała, że nie chce dzieci... ale to wcale nie znaczy, że je nienawidzi.

Ta wypchana zabawka... Esmay przestała płynąć i prąd natychmiast zniósł ją na brzeg basenu. Ta wypchana zabawka z *Elias Madero*... A więc na pokładzie były dzieci, choć nie znaleziono ich ciał. Jeśli Milicja zatrzymała dzieci, a Brun była z nimi, czy były dla niej kimś, dla kogo warto żyć? Czy z ich powodu mogła zdobyć się na cierpliwość, której nie nauczyło jej dotąd życie?

Esmay wyszła z basenu, wysuszyła się i wróciła zamyślona do swojej kabiny, niemal nie zauważając zagadujących do niej po drodze osób. Ostatnie dni podróży spędziła na analizowaniu tego wszystkiego, co pozostało ze statku kupieckiego, i obmyślaniu różnych scenariuszy. Jeśli Brun zajęła się dziećmi, żeby utrzymać się przy zdrowych zmysłach, będzie chciała zabrać je ze sobą. Jak można by to zrobić? Esmay wolała nie myśleć, że jest to raczej niemożliwe.

Dowództwo sektora VII Casea Ferradi miała więcej szczęścia w obrzucaniu błotem Esmay Suizy niż w polowaniu na chorążego Serrano. Stosując delikatny, prawie niezauważalny nacisk na majora – teraz już komandora porucznika – poznanego na pierwszym statku, dostała przydział do załogi admirała Hornana. Wszyscy wiedzieli, że studiowała razem z Suizą, więc niejednokrotnie proszono ją o opinię na jej temat. A ponieważ teraz Suiza odleciała na swoją rodzimą planetę, Casea nie musiała nawet martwić się o to, że ktoś zaprzeczy jej słowom.

– I naprawdę powiedziała, że jej zdaniem Wielkie Rodziny to bezsensowna instytucja?

Casea nie odpowiedziała wprost; patrzyła w zamyśleniu w dal w sposób sugerujący szlachetną powściągliwość.

– Myślę, że to dlatego, iż Altiplano nie ma Fotela w Radzie – odpowiedziała po dłuższej przerwie. Dotyczyło to także Światów Półksiężycy, ale to nie miało znaczenia. – Brak im szacunku dla tradycji.

– Dziwię się, że nie zauważyli tego, kiedy była w Akademii – odezwał się starszy bosman Pell. – Chociaż nie był oficerem, był wystarczająco poważany, by mieć dostęp do plików, którymi szczególnie interesowała się Casea.

Maskowała się – odpowiedziała Casea. – Prawdę mówiąc, ja też; obie byłyśmy outsiderkami. Właśnie dlatego tyle czasu spędzałyśmy razem i nie zdawałam sobie sprawy ze znaczenia tego, co mówiła. – Potrząsnęła głową, jakby żałowała swojej naiwności. – Potem zajęły mnie inne sprawy i po prostu... niczego nie zauważyłam.

– To nie pani wina. – Pell zareagował dokładnie tak, jak chciała.

– Może nie, ale mimo to źle się z tym czuję. Gdybym tylko wiedziała, może dałoby się temu zapobiec.

Pell wyglądał na zmieszanego.

– Nie bardzo rozumiem, jak.

Powinna była wybrać kogoś bystrzejszego.

– Rzecz w tym – powiedziała – że gdybym zdawała sobie sprawę, jakie żywi uczucia do Familii, może nigdy nie miałyby aż takiego wpływu na Serę Meager.

Pell zamrugał.

– Sądzi pani, że... faktycznie miała coś wspólnego z samym schwytaniem? Myślałem, że to był przypadek; po prostu miała pecha i wleciała do tego samego układu, gdzie plądrowali statek kupiecki.

– Bardzo dziwny przypadek, nie uważa pan? Sera Meager bardzo dużo podróżowała... i zastanawiam się, czemu wybrała akurat ten skrót dokładnie w tamtym czasie.

– Myśli pani, że porucznik Suiza powiedziała jej o tym? Albo dała im znać?

– Nie sądzę, żebyśmy kiedykolwiek mieli się tego dowiedzieć – odpowiedziała Casea. Jej zdaniem szanse na udaną operację ratunkową były tak bliskie zera, że nie miało to żadnego znaczenia.

– Ale... czy admirał wie o tym? To byłaby zdrada.

– Jestem pewna, że ktoś już o tym pomyślał. Jestem tylko porucznikiem, i jeśli ja o tym pomyślałam...

– Ale pani znała ją wcześniej. Starsi stopniem mogą nie wiedzieć, co mówiła w Akademii.

– Cóż... – Casea udała wahanie, choć przychodziło jej to coraz trudniej. Podsuwała tę teorię już kilku osobom, ale jak dotąd nikt nie połknął haczyka. Nawet Sesenta Veron, która sama opowiadała paskudne historyjki o Esmay Suizie, uznała to za niemożliwe.

– Myślę, że powinna pani powiedzieć o tym admirałowi – oświadczył Pell, po czym ostrożnie dodał: – Dobrze byłoby, gdyby miała pani jakieś dowody.

– Obawiam się, że nic z tego – stwierdziła Casea. – Jedyne pliki, jakie mogłyby zawierać użyteczne dane, są poza moim zasięgiem.

Cisza, która zapadła po tych słowach, trwała tak długo, że omal nie zrezygnowała, ale oporne

procesory Pella w końcu dodały dwa do dwóch.

– Och! Potrzebuje pani dostępu. Hmmm. O jakich plikach pani myślała?

– Zastanawiałam się po prostu, czy nie pojawiło się coś w trakcie śledztwa prowadzonego po buncie.

– Ale nie myśli pani chyba... No wie pani, ona została za tę akcję odznaczona.

– Myślę, że mogli zadawać pytania, których wcześniej nie zadali.

Pell potrząsnął głową.

– To nie będzie łatwe, poruczniku, ale zobaczę, co da się zrobić.

– Będę musiał porozmawiać z kimś z prawnego... Dam pani znać.

– Dziękuję – odpowiedziała Casea, obdarzając go promiennym spojrzeniem fiołkowych oczu i uśmiechem. – Chcę tylko pomóc.

* * *

Barin Serrano przywykł do polityki Floty, w końcu dorastał na tych niebezpiecznych wodach. Ostrożnie nawigował po niepewnych prądach wpływów w dowództwie grupy uderzeniowej, obserwując, które rodziny Floty wykorzystują aktualną niechęć lorda Thornbuckle'a do nazwiska Serrano. Livadhi byli jak zwykle podzieleni; niektórzy deklarowali przyjaźń i lojalność wobec seniorów Serrano, w tym jego babki, podczas gdy inni rzucali paskudne uwagi w salach rekreacyjnych dla młodszych oficerów.

Barin ignorował je, ale i zapamiętywał. Ktoś w rodzinie będzie chciał o tym usłyszeć, gdy tylko zbierze wystarczająco dużo informacji.

Jednocześnie zaczął szukać niepokojących oznak u innych starszych podoficerów. Raz to wypadek, dwa to przypadek... Gotów był przyznać, że Zuckerman to był wypadek, bo o innych słyszał tylko plotki, ale jeśli były prawdziwe... to rzeczywiście coś się działo. Jego kapitan złoży raport, ale czy przy obecnym kryzysie ktoś go wysłucha?

Obowiązki Barina polegały teraz głównie na osobistym doręczaniu kostek danych. Spędzał mnóstwo czasu na podpieraniu ścian w sekretariatach, w związku z czym miał wiele okazji do rozmów z różnymi osobami.

– Na przykład taki bosman Pell – mówiła wyjątkowo energiczna starszy szeryf. – Nie wiem, czy to skutek napięcia spowodowanego tym wszystkim, ale nie jest już tym samym człowiekiem, co w czasie ostatnich urodzin Floty.

– Naprawdę? – Barin nastawił uszu.

– Tak. Wiesz, wczoraj musiałam poszukać dla niego kodów dostępu do dochodzeń prawnych. Ja nie powinnam znać nawet sekwencji odblokowującej, ale pół roku temu zaczął mnie prosić, żebym rejestrowała dla niego kody, a teraz nie pamięta żadnego z nich.

– Coś takiego – mruknął Barin, zastanawiając się nad powodami, dla których główny podoficer administracyjny admirała Hornana miałby zaglądać do dokumentacji dochodzeniowej. Podobno admirał stara się zająć miejsce babki Barina jako dowódca grupy uderzeniowej. Czyżby próbował znaleźć coś na Heris Serrano? – Nie sędzę, żeby wiedziała pani, czyich plików tam szukał.

– Tej okropnej Esmay Suizy – odpowiedziała starszy szeryf, odrzucając do tyłu włosy. – Tej, która sprzedała piratom biedną córkę lorda Thornbuckle'a.

Barin z trudem powstrzymał się, żeby nie przeskoczyć przez biurko i nie złamać dziewczynie karku.

– Skąd taki pomysł? – zapytał cicho.

– Cóż, wszyscy wiedzą, że jej nienawdziła. Słyszałam, jak porucznik Ferradi mówiła, że gdyby wszyscy wiedzieli o porucznik Suizie to, co ona wiedziała, nigdy nie dopuściliby jej nawet w pobliże Sery Meager.

Barin w duchu przełożył Caseę Ferradi z szufladki „osoba uciążliwa” do szufladki „wróg”.

– Jest taka piękna, prawda? – zagruchała starszy szeryf.

– Kto?

– Porucznik Ferradi. Ma pan szczęście, że pana lubi; mogłaby mieć każdego mężczyznę w bazie.

– I pewnie miała – odpowiedział odruchowo Barin. Kiedy podniósł wzrok i zobaczył, że szeryf przygląda mu się z wściekłością, dodał: – ...przy sobie myśli wszystkich mężczyzn. – Dziewczyna patrzyła na niego długo, by dać mu do zrozumienia, że jej nie przekonał, po czym rozluźniła się.

– Ona jest dobrym oficerem. Bosman Pell też tak uważa, podobnie jak admirał.

Czyżby... Barin zaczął tak intensywnie myśleć, że niemal wpadł na śliczną i uroczą porucznik Ferradi.

– Och, chorąży...

– Tak, sir? – Zdołał uśmiechnąć się do niej.

– Miał pan jakieś wiadomości od porucznik Suizy?

– Nie, sir. Z tego, co wiem, porucznik jest na przepustce.

– Tak, ale... właściwie to chciałam o niej z tobą porozmawiać.

– Nareszcie. Uspokoił nerwy i czekał.

– Wiem, że... byliście przyjaciółmi.

– Służyliśmy razem na *Koskiusko*.

– Wiem. I słyszałam, że się przyjaźniliście. Przykro mi, ale... myślę, że powinien pan wiedzieć, iż kontynuowanie tej przyjaźni nie byłoby najlepsze dla pańskiej kariery.

Jakby Ferradi interesowała się jego karierą zawodową z innego powodu niż chęć wykorzystania jego nazwiska.

– Nie kontaktowałem się z porucznik Suizą od czasów Copper Mountain – oświadczył.

– Bardzo słusznie – pochwaliła.

Barin ruszył z powrotem do doku *Gryfalcona*, mając nadzieję, że kapitan Escovar jest na pokładzie. Tym razem wiedział, kiedy poprosić o pomoc.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Escovara nie było na pokładzie, siedział na kolejnym zebraniu.

– Może ja mógłbym w czymś pomóc? – zapytał komandor porucznik Dockery. Barin zawahał się tylko przez chwilę.

– Tak, sir, całkiem możliwe, ale lepiej byłoby porozmawiać gdzie indziej.

– Jakież kłopoty?

– Prawdopodobnie.

– Sten, przejmij mostek – zarządził Dockery. – W takim razie chodźmy do biura kapitana.

Po drodze Barin miał dość czasu, by uświadomić sobie, że może zniszczyć karierę kilku osób, nie tylko własną.

– No, niech pan wreszcie powie – rzekł Dockery. – Ma pan kolejny problem ze starszym bosmanem?

– Prawdę mówiąc, sir, nie o to mi chodzi.

– O cóż więc?

Lepiej szybko to z siebie wyrzucić, pomyślał, zanim będę miał ochotę złagodzić swoje słowa.

– Sir, oficer z tego statku zaglądała do zapisów, które nie powinny jej interesować, i rozpowszechniała fałszywe informacje na temat innej osoby.

– Hmm. To poważne zarzuty; przypuszczam, że ta osoba ma jakieś nazwisko?

– Tak jest, sir. – Barin głęboko wciągnął powietrze. – Porucznik Ferradi przekonała starszego bosmana o nazwisku Pell – który przypadkiem znany jest podwładnym z zapominania różnych rzeczy – żeby zajrzał do dokumentacji prawnej z sądu wojennego.

– Nie przyszło panu do głowy, że mogła mieć rozkazy, żeby to zrobić? W tej chwili jest pracownikiem admirała Hornana.

– Nie, sir. Gdyby miała rozkazy, skorzystałaby z oficjalnych kanałów, a nie z pomocy bosmana Pella.

– I oskarża ją pan także o rozpowszechnianie fałszywych informacji na temat porucznik Suizy? Jakiego rodzaju fałszywych informacji?

– Opowiada, jaka Es... porucznik Suiza była w Akademii.

A znane mi osoby, które z nią studiowały, zdecydowanie nie potwierdzają tych informacji.

Dockery zacisnął usta.

– Wiem, że porucznik Ferradi jest panem zainteresowana, chorąży. Plotki głoszą, że pan... „podał się jej czarowi”. Jest pan pewien, że nie próbuje pan nadać rozgłosu kłótni kochanków?

– Bo jeśli tak, to wpakuje się pan w większe kłopoty niż w związku z Zuckermanem.

– Nie, sir, to nie jest kłótnia kochanków. Nie jestem zainteresowany porucznik Ferradi i nigdy nie byłem.

– Hmm. Inne plotki głoszą, że kocha się pan w Esmay Suizie. – Barin poczuł, że się czerwieni, a pierwszy oficer kiwnął głową. – Tak więc druga ewentualność jest taka, że oskarża pan porucznik Ferradi o nieprofesjonalne zachowanie wobec innego oficera, ponieważ jest pan zadurzony w Suizie i nie może znieść tego, że ją krytykują.

– Sir, ja... bardzo polubiłem porucznik Suizę, kiedy oboje służyliśmy na *Koskiusko*. Myślę, że jest dobrym oficerem. Pokłóciliśmy się w Copper Mountain z powodu tego, co powiedziała Brun Meager – i jemu, choć nie zamierzał w tej chwili o tym wspominać – i od tamtej pory jej nie widziałem. Niezależnie od tego, czy było to tylko uwielbienie bohatera, czy... czy coś innego, to nie ma znaczenia. Liczy się to, czy rozpowszechniane przez porucznik Ferradi historie są prawdziwe.

– A gdyby były prawdziwe, co by pan pomyślał?

Barin poczuł w piersiach ból zdławionej nadziei.

– W takim razie, sir, musiałbym zmienić zdanie o porucznik Suizie.

– Barin, zamierzam powiedzieć panu coś w zaufaniu. Casea Ferradi sprawiała kłopoty każdemu dowódcy, jakiego miała, i dlatego właśnie jest na końcu listy osób do awansu... ale jakoś do tej pory nie dała się wyrzucić. Gdyby porucznik Suiza nie wdała się w tę kłótnię z Serą Meager i gdyby lord Thornbuckle nie uczynił z niej kozła ofiarnego, oskarżenia Ferradi nikogo by nie obchodziły. Ale jeśli posunęła się aż tak daleko, by złamać przepisy związane z dokumentacją prawną, moglibyśmy wreszcie dobrać się do niej. Proszę mi powiedzieć, czy na statku pańskiej kuzynki wciąż Koutsoudas kieruje skanem?

– Tak myślę, sir.

– To dobrze. Będziemy potrzebowali naprawdę dobrego technika skanu, żeby ją złapać na gorącym uczynku, bo nie jest głupia. A przy okazji, to dobra robota z tym Pellem. Odkryliśmy tu jeszcze dwóch innych... choć na razie nie wiemy, w czym tkwi problem.

Pół godziny później Barin był już w drodze do doku *Navarino*, statku jego kuzynki Heris. Była dostępna dla członków rodziny, ale miał wrażenie, że gdyby nazywał się na przykład Livadhi lub Hornan, musiałby czekać przynajmniej godzinę, zanim by się z nią spotkał.

– Chcesz, żeby moi technicy skanu ściągali dla ciebie dane?

A co z twoimi technikami? Escovar zawsze potrafił wybierać dobrych ludzi.

Dockery pozwolił mu samemu zadecydować, ile może powiedzieć. Ponieważ to rodzina, Barin zrelacjonował sprawę, kładąc nacisk na to, że najpierw pomyślał, iż Ferradi szuka akt Heris, by pomóc Hornanowi wydrzeć admirał Serrano dowodzenie grupą uderzeniową.

– Jesteś w to zaangażowany? – zapytała z naciskiem, który wyraźnie sugerował, że pyta też o jego winę.

– I tak, i nie. Porucznik Ferradi uważa mnie za swoją przepustkę do dynastii Serrano.

Heris nagle zaczęła wyglądać bardzo groźnie, jakby obudził się w niej śpiący sokół i wbił swoje zabójcze spojrzenie w cel. – I co twoim zdaniem zrobiła takiego, co Koutsoudas mógłby odkryć?

– Zaczęła grzebać w rzekomo niedostępnych dokumentach prawnych; być może chce dokonać zmiany zapisów. – To było tylko jego przypuszczenie, o którym nie powiedział Dockery'emu, ale był pewien, że jeśli Ferradi mogła tak kłamać, równie dobrze mogłaby posunąć się do sfalszowania zapisów. W przeciwnym razie po co w ogóle miałyby do nich zaglądać?

– No cóż, zrobimy tak. Możesz dostać Koutsoudasa na kilka godzin, ale potem opowiesz mi całą historię.

– Tak jest, sir.

– A twój kapitan postawi mi obiad.

Nie miał pojęcia, jak się z tego wytłumaczy, ale po powrocie do doku *Gryfalcona* natychmiast

poszedł do Dockery'ego.

– Koutsoudas zgłosi się tu po lunchu, sir.

– Dobrze. A na razie chcę, żeby pan coś zniszczył i dał sobie zmyć za to głowę.

– Sir?

– Proszę znaleźć porucznik Ferradi – co nie powinno być trudne, skoro, jak pan mówi, ma do pana słabość – i spróbować uszkodzić jej infopret. Chcę, żeby musiała zainicjalizować nowy. Nie obchodzi mnie, jak pan to robi, jeśli tylko nie uszkodzi pan przy okazji samej porucznik. Wspomnę tylko, że nie wystarczy wrzucić infopretu do napoju alkoholowego, ale za to można go zniszczyć przez przyłożenie punktowo wystarczająco dużej siły.

Barin odszedł z wrażeniem, że przeszłość Dockery'ego może być bardziej interesująca niż myślał. Kiedy – i dlaczego – Dockery odkrył, że wrzucenie do alkoholu nie uszkodzi infopretu?

Ferradi znalazła go, gdy skręcał w kierunku mesy i pomieszczeń rekreacyjnych dla młodszych oficerów.

– Lunch, chorąży? – zapytała radośnie.

– Tak. Przepraszam, poruczniku... – Zaczął grzebać po kieszeniach. – Niech to szlag!

– Co się stało?

– Miałem sprawdzić coś dla komandora Dockery'ego, a potem major Carmody poprosił mnie o sprawdzenie czegoś innego, i zapomniałem zabrać swój infopret. Został na pokładzie. Będę musiał wrócić... chyba że mógłbym pożyczyć od pani, sir?

– Powinien pan nosić go ze sobą przez cały czas – stwierdziła Ferradi, wyciągając swój. – Czego chce Dockery?

– Harmonogramu dostarczania części zamiennych – wymyślił na oczekaniu Barin. – Mówi, że ostatnie cztery razy oszczędzili na jakichś elementach. Pewnie sama pani o tym wie.

– O tak, wszyscy narzekają. – Podała mu pret, a Barin rozejrzał się. Najbliższy port o dużej szybkości znajdował się w korytarzu.

– To zajmie mi tylko chwilę – powiedział. – Słyszałem, że mają dzisiaj potrawę ze ślimakoryby... – Tak jak przypuszczał, Casea od razu poszła do bufetu. Potrawa ze ślimakoryby była rzadkim smakołykiem.

Tymczasem Barin szybko znalazł port i ostro wcisnął do środka pret... ale nic się nie stało. Wyciągnął go i ponownie wepchnął najmocniej jak potrafił. Kontrolki znów normalnie zaświeciły. Wyciągnął infopret i przyjrzał się jego czubkowi. Ktoś zaprojektował go tak, by zabezpieczyć przed zwykłą niedbałością. Uświadomił sobie, że i port musi mieć jakieś wewnętrzne zabezpieczenia. No dobrze, co teraz? Za chwilę Ferradi zacznie go szukać.

Nagle przyszło mu coś do głowy. Wrócił do sali, pomachał do porucznik siedzącej przy małym stole naprzeciw wejścia i wskazał na toaletę, po czym szybko ruszył w tamtą stronę jakby za pilną potrzebą.

Próbował zniszczyć infopret, uderzając nim w różne twarde przedmioty, ale udało mu się uszkodzić dopiero wtedy, gdy wsadził go między drzwi i framugę i mocno zatrzaskał drzwi. Nie miał pojęcia, że infoprety są aż tak wytrzymałe.

– Przykro mi, sir – powiedział do porucznik Ferradi, oddając jej pret. – Obawiam się, że to jakieś uszkodzenie.

Casea schowała pret do kieszeni, nawet mu się nie przyglądając.

– Nie bierzesz potrawy ze ślimakoryby?

– Nie, sir. Prawdę mówiąc, nie jestem głody, po prostu tu posiedzę, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

– Oczywiście, że nie. – Rzuciła mu jedno ze swoich spojrzeń spod rzęs. Pomimo opinii na jej temat poczuł poruszenie... a ona doskonale o tym wiedziała. Mógłby ją za to udusić. Miał tylko głęboką nadzieję, że wystarczająco uszkodził jej infopret.

* * *

Esmay przebrała się w mundur na pokładzie statku, którym przyleciała, i natychmiast po wylądowaniu podjechała wózkiem do bramy bazy Floty.

– Porucznik Suiza – przedstawiła się strażnikowi.

– Witamy w domu, poruczniku. – Powitanie było czysto formalne, ale mimo to poczuła się przywitana. Korytarze były pełne życia. Nikt zdawał się jej nie zauważać, i nie było ku temu powodu.

Zatrzymała się, by sprawdzić tablicę statusu. Grupa uderzeniowa wciąż była na miejscu; jej statek nadal był w doku na stacji. Wprowadziła swoje nazwisko i kody i zobaczyła, że wciąż figuruje na liście załogi, oznaczona jako „status przepustki: nieobecna”. Wszystkie pozostałe urlopy anulowano.

– No proszę, toż to porucznik Suiza – rozległ się głos za jej plecami. Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z admirałem Hornanem. Patrzył na nią z wyraźnym niezadowoleniem. – Myślałem, że ma pani przepustkę na czas nie określony.

– Miałam, sir – odpowiedziała. – Ale załatwiłam już wszystkie sprawy w domu i natychmiast wróciłam.

– Nie mogła pani nie przyjechać, co? Myśli pani, że będzie jeszcze miała okazję przechwalać się przed córką Pierwszego Mówcy, jeśli ją uratujemy?

– Nie, sir. – Esmay zdołała zachować spokój. – Nigdy nie miałam zamiaru przechwalać się.

– I nie uważała pani, że ona zasłużyła na to, co ją spotkało?

Słyszałem coś zupełnie innego.

– Sir, nigdy nie powiedziałam ani nie pomyślałam, że Brun zasługiwała na porwanie i zgwałcenie.

– Rozumiem. Jednak powiedziała pani, że nie jest warta wszczynania wojny.

– Sir, powiedziałam, że nikt nie rozpoczyna wojny z powodu jednej osoby, a nie że ona nie jest tego warta. To samo mówili i inni.

Admirał wydobył z siebie odgłos przypominający warknięcie.

– Może i tak, poruczniku, ale faktem jest, że zarejestrowano, jak mówiła pani, że ona nie jest warta wywołania wojny.

Zanim zdążyła odpowiedzieć – jeśli w ogóle zdołałaby wymyślić jakąś odpowiedź, która skłoniłaby go do zmiany zdania, admirał odwrócił się.

* * *

Esmay nigdy tak naprawdę nie myślała, że są ludzie, którzy mogliby być zirytowani jej sukcesami lub jej zazdrością. Pierwszy triumf był tak kruchy; nie planowała zostać najstarszym żyjącym oficerem buntowników i wcale nie myślała – nawet do ostatniej chwili – że desperackie wysiłki, aby sprowadzić okręt z powrotem na Xaviera i pomóc komandor Serrano, zakończą się sukcesem. Jak ktokolwiek może mieć jej to za złe, skoro ewidentnie zawdzięcza to szczęściu, a nie własnym umiejętnościom? Jeśli chodzi o sprawę *Koskiusko*... to także miała szczęście, że tam w ogóle była i że intruzi nie porwali jej tak jak Barina.

Ale teraz, kiedy zaczęła się nad tym zastanawiać, zdała sobie sprawę, że jej koledzy dawniej traktowali ją jak kogoś, kto nie stanowi zagrożenia dla ich planów, i uważnie pilnowali poważniejszych rywali. Ale jej nagły sukces musiał sprawić, że stała się o wiele bardziej groźna – dla tych, którzy w ten sposób myśleli – niż faktycznie była. Zaczęli wątpić w jej prawdziwe umiejętności lub bać się ich.

A więc miała... wrogów, także we Flocie, a w każdym razie rywali. Niektórzy mogli chcieć pokrzyżować jej plany, inni mogli chcieć wywindować się w górę na jej plecach.

Kiedy to wreszcie do niej dotarło, poczuła się głupio, że nie pomyślała o tym wcześniej. Tak samo jak ludzie nie znali jej myśli i uczuć – widzieli tylko porucznik Suizę, cichą, sztywną i pozbawioną ambicji – tak ona nie знаła ich motywacji i celów. Oczywiście uważała na to, co starsi od niej myślana temat jej służby... ale jeszcze do niedawna żyła między ludźmi nieświadoma, kto z nich mógł widzieć w niej rywalkę, a kogo mogła uznać za potencjalnego przyjaciela, oczywiście poza Barinem.

Dotarła do przydzielonej jej kwatery, wciąż się nad tym zastanawiając. Rozpakowała worek i właśnie przeglądała odnośniki na czytniku kostek, gdy rozległ się dzwonek u drzwi. Za drzwiami stała starsza kobieta, której nigdy jeszcze nie spotkała; choć była cywilem, miała pewność siebie admirała... albo bardzo bogatej i potężnej osoby.

– Nie wyglądasz na taką okropną intrygantkę – odezwała się kobieta. Jej puszyste kruczoczarne włosy miały ślady siwizny, a w jaskrawym, luźnym ubraniu wyglądała jak postać z legend.

– Babcia Sowa, Księżycowa Czarodziejka czy coś w tym stylu. – Jestem Marta Katerina Saenz. Moja siostrzenica Raffaele chodziła do szkoły z Brun Meager. Mogę wejść?

– Oczywiście. – Esmay cofnęła się o krok i kobieta weszła.

– Przypuszczam, że jest pani porucznikiem Esmay Suizą, która właśnie wróciła z przepustki na Altiplano?

– Tak... Sera.

Marta Saenz przyjrzała się jej od stóp do głów, podobnie jak robiła to jej prababka.

– Nie wyglądasz też na głupią.

Esmay nie odpowiedziała, a kobieta przeszła się po pokoju, powiewając przy każdym ruchu szerokimi rękawami, po czym oparła się plecami o drzwi i odwróciła głowę w stronę Esmay.

– Brak odpowiedzi? W takim razie zapytam wprost: czy jesteś okrutną intrygantką, zadowoloną ze wstydu i bólu innej kobiety?

– Nie – odpowiedziała Esmay, starając się zachować spokój, po czym szybko poprawiła się: – Nie, Sera.

– Nie cieszysz się, że schwymano córkę Mówcy?

– Oczywiście, że nie. Wiem, że ludzie tak właśnie uważają, ale to nieprawda.

Starsza kobieta miała czarne mądre oczy.

– Kiedy nazywasz kogoś... Jak to było? Ach tak, „głupią, samolubną hedonistką opętaną seksem i z moralnością na poziomie klaczy w rui”, ludzie dochodzą do wniosku, że jej nie lubisz.

– Nie lubiłam jej – odpowiedziała Esmay – ale nie chciałam, żeby coś takiego jej się przytrafiło. – Chciała powiedzieć „Za kogo mnie pani uważa?”, ale ludzie od tak dawna uważali ją za złą, że już jej to nie obchodziło.

– Aha. A czy faktycznie uważałaś, że jej moralność pozostawia wiele do życzenia?

– Tak... choć to wcale nie znaczy...

– Podziwiam jasność twojego spojrzenia, młoda damo, że tak łatwo potrafisz odkryć cudze wady. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek przyjrzałaś się w ten sposób samej sobie?

Esmay wciągnęła głęboko powietrze.

– Jestem upartą, sztywną skromnisią, mającą tyle taktu, co kamień rzucony w głowę.

– Aha. Zatem nie uważasz samej siebie za bezgrzeszną świętą?

– Świętą? Nie! Oczywiście, że nie!

– Czyli wtedy, kiedy uznałaś, że brak jej kręgosłupa moralnego, porównałaś ją do jakiegoś obiektywnego standardu?

– Tak. – Nie wiedziała, czemu odpowiada na pytania tej kobiety. Wałkowała to już tyle razy i nikogo nie udało jej się przekonać.

(Kobieta kiwnęła głową, jakby w odpowiedzi na jej myśli.

– Znając wcześniejsze zachowanie Brun, powiedziałabym, że za tym wszystkim kryje się jakiś mężczyzna.

Esmay poczuła, jak się czerwieni. Naprawdę tak łatwo ją rozszyfrować? Kobieta znów kiwnęła głową.

– Tak właśnie myślałam. A czy zechciałabyś mi powiedzieć, młoda damo, kim jest ten człowiek, na którego Brun skierowała swój wzrok, a którego ty kochasz?

– Kocham... – wyrwało się Esmay, zanim zdążyła się powstrzymać. Poczowała, jak jej twarz robi się jeszcze bardziej czerwona. – Barina Serrano – dokończyła, zdając sobie sprawę, że w tym starciu całkowicie przegrała.

– O rety. – To wszystko, co powiedziała starsza dama, a potem zamrugwała, zacisnęła wargi i uśmiechnęła się. – Znam Brun od czasu, kiedy była uroczym, rozpuszczonym bobasem nazywanym Bubbles.

– Bubbles?! – To przezwisko nie pasowało do tego, co Esmay wiedziała o Brun.

– Wiem, to głupie przezwisko, zresztą miała z tego powodu mnóstwo kłopotów... W każdym razie znam ją bardzo długo, i masz rację, ona zawsze była tak rozpuszczona, jak tylko może być rozpuszczona osoba o jej zdolnościach. Moja siostrzenica Raffaele była jedną z jej bliskich przyjaciółek. Raffa, podobnie jak ty, zawsze wyciąga ludzi z kłopotów, i wiele razy uratowała także Brun.

Do czego ona zmierza? Esmay nie była pewna, czy nadąża za logiką rozumowania kobiety; wciąż była zbyt wstrząśnięta przyznaniem się – obcej osobie – że kocha Barina Serrano, by zauważyć, że starsza dama nie jest już wobec niej wroga.

– Jeśli powiesz mi, że Brun Meager jest niemoralna, będę zmuszona jej bronić. Ale jeśli

powiesz, że patrzy poządlawie na młodego mężczyznę, to nie tylko w to uwierzę, ale też w najmniejszym stopniu to mnie nie zaskoczy. Jest taka, odkąd odkryła istnienie chłopców.

Czy to ma ją tłumaczyć? Esmay poczuła znajomą upartą niechęć.

– Jeśli uważasz, że odbijanie innym kobietom mężczyzn jest gorsze od zakochania się w którymś z nich, a to właśnie wyczytuję z twojej twarzy, to prawda. Brun kolekcjonuje ich jak perły naszyjnika, kompletnie nie przejmując się czyimiś uczuciami.

– A przynajmniej tak było. Raffa powiedziała, że w ciągu ostatnich kilku lat zrobiła się bardziej... hmmm... powściągliwa. Najwyraźniej ktoś, na kogo miała ochotę, odmówił romansowania z nią.

– Barin... to zrobił – powiedziała Esmay. Potem uświadamiając sobie, że kobieta mogła ją źle zrozumieć, dodała: – To znaczy to nie był on, ale on też odmówił. Powiedział... – Głos ją zawiódł; żałowała, że nie może w tej chwili na przykład wyparować.

– Powinnaś wiedzieć – przerwała milczenie starsza pani – że choć Brun z pewnością jest niedojrzała, ma właściwe podejście do wielu spraw. Jest dzika, zbuntowana, beztroska, ale nigdy nie jest świadomie okrutna.

– Ona też powiedziała mi różne przykre rzeczy. – Zabrzmiało to dziecinnie i Esmay znów miała ochotę wyparować.

– Owszem, w trakcie kłótni mogła powiedzieć. Zresztą na tym nagraniu obie gadałyście raczej jak przekupki. – Dama podniosła i odłożyła z powrotem infopręt i pad. – Może powiedziałaś mi, jak ją spotkałaś i co potem się stało?

Esmay nie widziała żadnego powodu, dla którego miałyby to robić, ale czuła się zbyt wyczerpana, by protestować. Zrelacjonowała więc pierwsze spotkanie z Brun kłócącą się z ojcem i dalsze wydarzenia, aż do czasu przybycia Barina.

– Pozwól, że upewnię się, czy właściwie wszystko zrozumiałam. Brun podziwiała cię i chciała się z tobą zaprzyjaźnić, ale ty uznałaś ją za arogancką i nieprzyjemną?

– Mniej więcej. Widziałam, jaka była wściekła na ojca...

– To podobne do niej... i do jej ojca, jeśli już o tym mowa.

Uparta jak cała rodzina. Kiedy jej ojciec był jeszcze chłopcem, dokładnie tak samo kłócił się ze swoim ojcem. Ale ponieważ miał wtedy tylko jakieś dziesięć lat, łatwiej było sobie z tym poradzić.

A więc od pierwszej chwili Brun sprawiała wrażenie zepsutej i konfliktowej i nie chciałaś mieć z nią do czynienia.

– Niezupełnie – stwierdziła Esmay. – Nie miałam czasu na rozmowy z nią, bo byłam zajęta odrabianiem podwójnego wymiaru zajęć, a ona wciąż chciała mnie gdzieś wyciągnąć na imprezę, gdy ja musiałam się uczyć. Ale to nie znaczy, że chciałam ją skrzywdzić.

– Znając Brun, liczyła na swój wdzięk, i pewnie nie potrafiła zrozumieć, czemu nie jesteś coraz bardziej przyjazna. Uważała cię za naturalnego sojusznika – uciekłaś z represyjnego domu i własnymi siłami zrobiłaś karierę, a twoja rodzina nie wtrącała się.

– Może... – Esmay nigdy nawet nie pomyślała, że Brun mogła sądzić, iż mają tyle wspólnego.

– A potem zaczęła dobierać się do twojego mężczyzny. Zastanawiam się, czy traktowała to poważnie, czy po prostu myślała, że pomoże jej to w zbliżeniu się do ciebie?

– Chciała, żeby poszedł z nią do łóżka.

– Aha. W takim razie to było niemądre. A ty nagle zobaczyłaś w niej rywalkę, zdrajczynię i

ładacznicę, prawda?

– No... tak. – Przyznając się, Esmay potwierdziła, że jest jeszcze bardziej naiwna niż mogło się to wydawać... O ile to w ogóle możliwe.

– A ty wściekłaś się i ją zbluzgałaś. Ale, moja droga, czy przyszło ci do głowy, żeby powiedzieć jej, że kochasz tego mężczyznę?

– Oczywiście, że nie! Niczego sobie nie obiecywaliśmy. To znaczy...

– A powiedziałaś komukolwiek?

– No... dopiero kiedy poleciałam do domu na pogrzeb prababki, powiedziałam mojej kuzynce Luci.

– Ile ona ma lat? I co odpowiedziała?

– Osiemnaście... i powiedziała, że jestem kretynką. – Esmay z trudem stłumiła łzy. – Ale ona... ona spędziła te wszystkie lata w domu i jej matka... a mnie nikt nigdy nie powiedział...

Starsza dama prychnęła.

– Tak, nie przypuszczam, żeby romansowanie było jednym z tematów wykładanych w Akademii lub szkole wstępnej.

– Powiedzieli tylko, że nie należy angażować się w związki z osobami stojącymi wyżej lub niżej w tej samej strukturze dowodzenia.

– To mi wygląda na przepis, jak się całkowicie w tym wszystkim pogubić – skomentowała jej słowa Marta.

– Mówiono o tym więcej w Copper Mountain na wykładach z etyki zawodowej – dodała Esmay – i... zaczęłam się martwić, że mogę zrobić Barinowi krzywdę.

– To znaczy zawodowo?

– Tak. Jestem o dwa stopnie wyżej, Barin jest dopiero chorążym. Z początku wydawało się to naturalne – zresztą nie byliśmy w tej samej strukturze dowodzenia – ale doszłam do wniosku, że może rzeczywiście nie powinnam się angażować. Zastanawiałam się, jak z nim o tym porozmawiać, ale... ale Brun zawsze była w pobliżu i nie miałam kiedy...

– O rety. Zaczynam rozumieć. Ona miała doświadczenie, którego tobie brakowało. Miała czas, a ty nie. I ośmielę się powiedzieć, że nie uważałaś jej za osobę, która przejmowałaby się jego karierą.

– Tak. Zawsze mówiła: „Barin, Esmay jest nudna, chodźmy do Q-town na drinka”.

– Poznałam młodego Serrano – stwierdziła Marta i przesunęła palcem po krawędzi wbudowanego w ścianę biurka. – To przystojny młodzieniec i wydaje się bardzo inteligentny. Babka ma o nim dość dobrą opinię, choć próbuje tego nie pokazywać.

– Jak on się ma? – zapytała Esmay, czekając z bijącym sercem na odpowiedź.

Kwitnąco, powiedziałabym, gdyby nie ta kobieta, która się przy nim kręci. Niejaka porucznik Ferradi, najzręczniejsza uwodzicielka, jaką kiedykolwiek widziałam. Zastanawiam się, kto jej zrobił biorzeźbę. Serrano jest w takim wieku, poruczniku Suiza, w którym młodzi mężczyźni są pełni zwierzęcego magnetyzmu, a niektóre kobiety zachowują się jak stalowe opiłki. Proszę mi powiedzieć, jeśli można, kto z was dwojga pierwszy zauważył to drugie?

– On... przyszedł do mnie – powiedziała Esmay, znów czując rumieniec na twarzy.

– Aha. W takim razie nie ma pani skłonności do bycia opiłkami.

– To typowe, magnesy wolą łączyć się z innymi magnesami.

– Ale ja nie jestem...

– Magnesem? Myślę, że źle samą siebie oceniasz, ale to częsta przypadłość. Najwięksi nudziarze są przekonani, że są fascynujący, drewniane kloce potrafią bardzo długo opowiadać, jak rozumieją twoje uczucia, a tymczasem każdy znany mi bohater przynajmniej w połowie jest przekonany o swoim tchórzostwie.

– Gdyby nie była pani magnesem, nie wywoływałyaby pani niechęci tak wielu ludzi.

Esmay nigdy nie patrzyła w ten sposób na ludzkie charaktery, nie była nawet pewna, czy się zgadza.

– Jesteś urodzoną przywódczynią, i to jasno wynika z twoich akt. To również przejaw magnetyzmu. Przyciągasz lub odpychasz... ale nigdy nie jesteś obojętna. Brun jest taka sama, a kiedy magnesy nie przyciągają się, zazwyczaj się odpychają. Wygląda na to, że byliście dwoma biegunami, które zbyt blisko do siebie przysunięto.

– Może...

– Powiedz mi, gdybyś nie pracowała tak ciężko i nie było tam Barina, czy znalazłabyś w Brun coś, co mogłabyś polubić?

– Tak – odpowiedziała po chwili namysłu Esmay. – Potrafiła być miła; te kilka razy, kiedy spędziłyśmy ze sobą po parę minut, czułam się z nią dobrze. Rozumiem, czemu ludzie tak ją lubią.

– Jest błyskotliwa – wie pani, byliśmy w tej samej grupie ćwiczeniowej z U i U – szybko się uczy, ma dobre pomysły.

– Wystarczająco dobre, by wydostać się z obecnego położenia?

– Ja... nie wiem. Nie pozwolili jej wziąć udziału w ćwiczeniach polowych – to jedna z rzeczy, o które mnie obwiniała, chociaż ja nie miałam z tym nic wspólnego – ale nie sądzę, że gdyby nawet w nich uczestniczyła, dałaby sobie radę z całą planetą.

Martwi mnie natomiast to, że osoby planujące jej ucieczkę w ogóle nie biorą pod uwagę jej charakteru.

– Wydawało mi się, że twoim zdaniem ona go nie ma.

Esmay nie zareagowała. Jeśli ta kobieta – choćby ona – wysłucha tego, co wymyśliła, może to pomóc Brun.

– Nie chodzi mi o moralność w sprawach seksu. Chodzi mi o jej osobowość i sposób podejścia do świata. Wszyscy rozmawiają tak, jakby ona była tylko pionkiem w grze. A jeśli nie jest martwa, na pewno już coś planuje, i jeśli nie dowiemy się, co ona zamierza, może się okazać, że nasze plany jej przeszkodzą albo ona pokrzyżuje nasze plany.

– Ale Guernesie powiedzieli, że nie ma możliwości skontaktowania się z nią; kobiety w ciąży i karmiące matki są trzymane w odosobnieniu, a poza tym Brun nie może mówić.

– Musi wiedzieć, że nie została zapomniana – powiedziała Esmay. – Musi wiedzieć, że ktoś uważają za zdolną...

– Mówisz tak, jakbyś sądziła, że ją rozumiesz.

– Uciszyli ją, ale to nie znaczy, że nie może myśleć ani działać. Czy powiedzieli pani o dzieciach na pokładzie tamtego statku kupieckiego?

Marta zmarszczyła brwi.

– Nie... nie wiem. Nie wydaje mi się. Jaki to ma związek z Brun?

Esmay szybko przedstawiła zarys swojej nowej teorii.

– Jeśli nie zabili tych dzieci i zabrali je ze sobą, musieli umieścić Brun razem z nimi. To mogło wystarczyć, by utrzymać ją przy życiu, jeśli uznała, że jest za nie odpowiedzialna. Jeśli planuje ucieczkę, to mogę się założyć, że razem z nimi.

– Przypuszczam, że to jest możliwe.

Zresztą jeśli uda się ją uratować i miałyby z tego wyjść w jakimś przyzwoitym stanie psychicznym, musi czuć, że coś sama zrobiła. To jedna z rzeczy, których nas uczyli, a Barin zna to z własnego doświadczenia... Osobie, którą schwytano, a potem uwolniono jak... jakąś biżuterię czy coś takiego... znacznie trudniej jest wrócić do normalnego życia. Ona nie tylko została złapana; pozbawiono ją głosu, a potem zgwałcono... i zapłodniono. Dlatego należy myśleć o czymś więcej niż tylko o uratowaniu jej; trzeba jej pozwolić zachować choć odrobinę szacunku dla samej siebie.

Marta patrzyła na nią z kompletnie zmienionym wyrazem twarzy.

– Ty mówisz poważnie... Nie wymyśliłabyś tego, gdyby cię to nie obchodziło. To dobre rozumowanie, poruczniku, doskonałe.

– Muszę powiedzieć, że masz rację, planiści nie pomyśleli o tych sprawach.

– Czy mogłaby im pani to przekazać?

– Ja? To twój pomysł.

– Ale nie wiem, jak skłonić kogokolwiek, żeby mnie wysłuchał. Są tak bardzo przekonani, że chciałam, by Brun stało się coś złego, że nikt nie wpuści mnie na żadne spotkanie, a tym bardziej nie pozwoli mi mówić. Gdyby pani im powiedziała, może wzięliby to pod uwagę.

– Nie mówisz o autorstwie pomysłu...

Esmay potrząsnęła głową.

– Nie. Brun jest w niebezpieczeństwie. Oczywiście chciałabym być tą osobą, która zaproponuje najlepsze rozwiązanie... ale lepiej, żeby ktoś je zgłosił, niż żeby zostało zignorowane.

– Cóż... Zobaczę, co będę mogła zrobić – stwierdziła Marta. – W tej i w innych sprawach.

* * *

Widząc otwierające się drzwi, admirał Serrano zmarszczyła czoło, ale natychmiast rozpogodziła się, widząc Martę Saenz.

– Marta! Słyszałam, że wróciłaś z planety. Brakowało nam ciebie w czasie kilku ostatnich spotkań. Lord Thornbuckle już zaczynał zachowywać się sensownie, ale gdy wyjechałaś, znów się nakreślił.

– Wałęsałam się między żołnierzami, jak byś to nazwała. I właśnie odbyłam małą rozmowę z twoją porucznik Suizą.

Admirał znów zmarszczyła czoło. – Jestem bardzo zawiedziona jej przejściem na specjalizację dowódczą. Wcale się nie sprawdza.

– Złapałaś byka za złą nogę – stwierdziła Marta. – Wiedziałaś, że dziewczyna jest zadurzona w twoim wnuku?

– Wiem, że byli parą na *Koskiusko*, i cieszę się, że to już jest nieaktualne.

– Nieprawda – zaprotestowała Marta. – Głupiutkie dziecko szaleńczo zakochało się po raz

pierwszy w życiu, a nikt jej nie powiedział, co zrobić, gdy bogata, piękna i charyzmatyczna blondynka postanawia odbić miłość jej życia.

– Ależ ona ma... Ile? Trzydzieści lat?

– A także pochodzi z Altiplano, w wieku pięciu lat straciła matkę i najwyraźniej nikt nigdy jej nie powiedział, jak radzić sobie z miłością. Kiedy więc w końcu zakochała się, walnęło to w nią jak piorun w górę. To, co usłyszała na zajęciach z etyki zawodowej, sprawiło, że zaczęła martwić się, czy powinna poddać się miłości, a kiedy zmagala się sama ze sobą, usiłując dojść do ładu z emocjami, Brun zaczęła rzucać twojemu wnukowi powłóczyście spojrzenia. Notabene oparł się jej, ale Esmay nie wiedziała o tym, wybuchając wściekłością.

– Trudno mi uwierzyć...

– Ależ to prawda. A twój wnuk również jest zadurzony w Suizie, choć próbował z tym walczyć. Był zły na Esmay za to, że mu nie ufała, a ponieważ to nie on czuł zazdrość i niepewność, zbulwersował go jej atak na Brun.

– Skąd masz tę... wiedzę o stanie umysłu mojego wnuka?

– O stanie serca, a nie umysłu. Kręciłam się po okolicy i zachowywałam jak wścibska stara baba, ale za to dowiedziałam się więcej niż ty byś się dowiedziała... hmmm... jako babka.

– Tobie wnuk raczej nie wyznałby miłości, prawda? Nie w sytuacji, kiedy jego ukochana widnieje na czarnej liście, a twoja pozycja jest niepewna, bo drogi admirał Hornan stara się przejąć twoje stanowisko.

Admirał Serrano zamyśliła się.

– Wciąż wydaje im się, że są zakochani, co?

Marta zachichotała.

– Mają wszystkie symptomy zakochania. Czerwienią się, drżą, nieśmiało spoglądają; właściwie to jest dość urocze, dlatego właśnie pomogłam Raffie i Ronniemu uwolnić się od okropnie surowych rodziców. Możesz więc przestać szukać w zachowaniu porucznik Suizy jakichś ukrytych politycznych motywów, to najstarsza na świecie historia.

– Możliwe, ale to nie usprawiedliwia...

– Tego, co powiedziała? Nie. Ale gdyby jej dowódca od pierwszej chwili wiedział, że to sprzeczka o mężczyznę, czy potraktowałby to w taki sposób?

Admirał Serrano zacisnęła wargi.

– No cóż... Prawdopodobnie nie. Zdarzają nam się czasami takie późne miłości i zazwyczaj robią sporo zamieszania. – Admirał mówiła zamyślonym, już mniej surowym tonem.

– Robienie zamętu z miłości to część dorastania – stwierdziła Marta, kiwając głową. – Jednak niszczenie cudzej kariery wymaga przyzwolenia innych.

– Nie rozumiem. – Ciemne oczy Serrano nabrały czujności.

– Cóż... Jako rezydująca tutaj urocza starsza dama... – Admirał prychnęła, a Marta uśmiechnęła się na chwilę, ale zaraz spoważniała. – Młódzieź mówi mi różne rzeczy. Zawsze tak było.

Dlatego właśnie byłam ulubioną ciotką Raffy. Już wcześniej zaczęłam zastanawiać się, jak taka wspaniała młoda bohaterka mogła tak szybko stać się powszechnie nie lubianą wiedźmą. Podejrzywałam, że komuś na tym zależy, i przekonałam się, że ślady prowadzą do kilku dość odległych od Copper Mountain źródeł.

Dlatego właśnie polecałam na planetę, żeby skorzystać z cywilnych urzędów i dyskretnie pogrzebać w bazach danych.

– I co odkryłaś?

Marta podniosła rękę i strzeliła palcami.

– Znalazłam kolegów i koleżanki z roku Esmay, zazdrosnych o jej sukces i mających jej za złe zaszczyty, którzy bardzo chętnie zobaczyliby ją z powrotem na specjalizacji technicznej albo wręcz wyrzuconą z Floty, ponieważ znacznie przewyższa ich klasą. Wiele z tego, co jej się przypisuje, pochodzi z tych źródeł; to tam powstała najgorsza z możliwych interpretacja tego, co Suiza faktycznie powiedziała. Ludzie, którzy z nią służyli, są w tej chwili zmieszani i zażenowani, ale trudno im uwierzyć, że jest taka, jak się ją teraz przedstawia. Znalazłam też innych, którzy chcieliby mieć wpływ na twojego wnuka, ponieważ jest Serrano... i dlatego bardzo chętnie ustawiliby barierę pomiędzy nim i porucznik Suizą.

– Wszystko to jest bardzo ciekawe, ale czy to prawda?

– Vida, pamiętasz Patchcock? Ja mam nosa do tego rodzaju świństw.

– No dobrze... ale to nie rozgrzesza porucznik Suizy z tego, co powiedziała i zrobiła. Są też świadkowie potwierdzający słowa Suizy, że Brun nie jest warta wszczynania wojny.

– Ja też tak powiedziałam, moja droga. I ty też. Podobnie jak ambasador Guernesu, i to wielokrotnie. Obie wiemy, że nikt – nawet Pierwszy Mówca, a już z pewnością nie jego córka – nie jest wart wszczynania wojny. Jeśli weźmie się pod uwagę kontekst wypowiedzi Esmay, nie można podejrzewać, że miała na myśli te wszystkie rzeczy, które jej się przypisuje.

Admirał rozłożyła ręce.

– No i co proponujesz z tym zrobić? Skoro tu przyszedłaś, przypuszczam, że masz jakiś plan.

– Cóż, ponieważ ostatnio grałam w przynajmniej trzech innych romansach rolę dobrej wróżki – wiesz o Raffie i Ronriim, ale nie znasz pozostałych – czuję się zobowiązana być tam, gdzie chodzi o miłość. Jeśli Esmay i Barin mogą rozwiązać swoje problemy...

– To znaczy, że nie planujesz zrobić tego za nich? – zapytała admirał z szerokim uśmiechem.

– Oczywiście, że nie. – Marta przybrała urażoną minę. – Dzieci uczą się poprzez działanie. Jeśli potrafią to wszystko wyprostować – a ponieważ oboje wciąż są zakochani, myślę, że potrafią – wyrwą zęby części krytyków. W końcu jeśli Serrano kocha Suizę...

– Ach, to dlatego przyszedłaś z tym najpierw do mnie. Żeby nie kazała Barinowi jej unikać?

Trafiony. A swoją drogą, jeśli uważasz, że Suiza jest zła, powinnaś zobaczyć, kto w tej chwili zajmuje się twoim wnukiem.

Jedna z koleżanek z grupy Esmay, która, trzeba przyznać, jest świetnym przykładem osiągnięć chirurgii plastycznej. Wie o mężczyznach wszystko to, czego Esmay nie wie, a ponieważ także pochodzi z kolonialnej planety, jednego ze Światów Półksiężyca, można by się zastanawiać, gdzie nabyła takich umiejętności.

Według plotek, zdobyła je, uwodząc młodszych oficerów.

– Schowaj swoje pazury, Marta. Słyszałam już o porucznik Ferradi, i z tego, co mówiła Heris, mogła zrobić coś znacznie gorszego. Ale już niedługo spotka ją kara; Heris pożyczyła do tej sprawy Koutsoudasa.

– Chyba powiesz mi, o co chodzi, prawda? Nie? Co za okropna kobieta. Ale w końcu jesteś admirałem. – Marta przestała chichotać. – Jest jeszcze jedna sprawa. Kiedy rozmawiałam z

porucznik Suizą, przedstawiła kilka moim zdaniem bardzo rozsądnych uwag odnośnie do sytuacji Brun oraz planów jej uratowania. Jest przekonana, że nikt nie będzie chciał jej słuchać, dlatego poprosiła mnie, żebym przekazała te uwagi jako swoje własne.

– Wolałabym raczej włączyć ją do prac grupy uderzeniowej...

– To niemożliwe – przerwała jej admirał Serrano. – Lord Thornbuckle jest nieugięty. Najwyraźniej polubił ją, kiedy poznał ją w Copper Mountain, i uważa, że to dowodzi, iż jest... zdradziecka; takiego słowa użył. Nie pozwoli na włączenie jej do grupy. I wątpię, byś zdołała go przekonać, zwłaszcza w tak krótkim czasie, jaki nam pozostał.

Obie spojrzały na ścienny kalendarz. Na czerwono oznaczono tam najbardziej prawdopodobne terminy porodu, a zielonym czas, jaki Milicja dawała kobiecie na pozostanie z dzieckiem przed ponownym wysłaniem jej do rozmnażania. To był ich cel: gdzieś w tym czasie uwolnić Brun... inaczej staną przed jeszcze poważniejszymi problemami.

– Dobrze, jedna wojna na raz. Przedstawię pomysły Esmay; one zdecydowanie mają sens w świetle mojej wiedzy o charakterze Brun.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Marta znalazła Esmay siedzącą za biurkiem i w zamyśleniu przeglądającą jakiś raport.

– Rozmawiałam właśnie z admirał Serrano – poinformowała ją. Esmay zaczerwieniła się lekko, i właśnie na taką reakcję Marta miała nadzieję. – Powiedziałam jej, że uważam informacje o twojej nieczułości i ambicjach politycznych za znacznie przesadzone... i wytłumaczyłam, dlaczego. – Rumieniec pogłębił się, ale Esmay nic nie powiedziała. – Nie będzie robić żadnych przeszkód twojemu związkowi z Barinem...

– O ile on w ogóle istnieje. – Esmay podniosła wzrok; miała łzy w oczach. – A co będzie, jeśli nie zechce ze mną rozmawiać?

– Cóż, musisz sprawić, by zechciał.

– Ale zawsze kręci się przy nim Casea...

Marta wyprostowała się na krześle.

– Znów popełniasz ten sam błąd! Dziecko, pomyśl! Co wiesz o tej kobiecie? Czy ma dobrą reputację?

– Nie... – Esmay lekko zadrżała.

– Czy naprawdę myślisz, że Barin jest typem mężczyzny, który lubi tego rodzaju kobiety?

– Nie... – Głos całkowicie ją zawiódł.

– Więc przestań trząść się jak galareta i pomóż mu uwolnić się od niej. Spraw, aby wolał ciebie, daj mu jakiś powód. – Marta przekrzywiła głowę. – Osobiście doradzałabym na początek dobrą fryzurę. I naprawdę dobrze skrojony kombinezon.

Esmay znów się zaczerwieniła.

– Ja... ja nie mogłabym.

– Co, nie możesz pokazać, co masz, bo ona wystawia się na widok jak koszyk z owocami? Cóż to za nonsens? No chodź. – Marta wstała i przyglądała się wolno podnoszącej się z miejsca Esmay. – Doskonale wiem, że tylko udajesz zapracowaną. Twój dowódca złości się na ciebie, nikt nie ma dla ciebie żadnej prawdziwej pracy, więc żądam, żebyś była moją eskortą.

– Ale pani...

– Moja droga, zanim znów powiesz coś głupiego, pamiętaj, że nie jestem tylko ciotką Raffaelle. Zasiadam w Radzie, choć zazwyczaj pozwalam Anselowi głosować w moim imieniu, i jeśli zażądam eskorty dowolnego oficera, łącznie z admirał Serrano, nikt, a już najmniej Vida, nie sprzeciwi mi się. Kiedy jestem w takim nastroju, nawet Bunny nie odważy mi się oprzeć. A ty jesteś w końcu Oblubienicą Suizą. Chodź i przestań marudzić.

Po chwili z prawdziwą satysfakcją ruszyła przez teren kompleksu dowództwa z sunącą cicho u jej boku Esmay Suizą. Niemal widziała, jaki to wywołuje szok. Blondynka, którą najbardziej chciała zaniepokoić, nie pojawiła się... ale cóż, na to przyjdzie czas później.

* * *

Esmay z ociąganiem szła za Martą, która prowadziła ją do najmodniejszego salonu w mieście. Słyszała o Alfino nawet od Brun.

– Nikt nigdy nie był w stanie niczego zrobić z moimi włosami – powtórzyła żałośnie parę razy.
– Są zbyt cienkie i puszyste.

– I pewnie wszystko, co z nimi robiłaś, to mycie, czesanie i przycinanie, gdy były zbyt długie – stwierdziła Marta. – Słuchaj, chcesz Barina i chcesz odzyskać zawodową reputację? To ci pomoże.

Włosy zawsze były jednym z jej najsłabszych punktów i nie potrafiła wymyślić niczego, co by pomogło, poza wyrwaniem ich i rozpoczęciem pracy na poziomie genetycznym. Słyszając odgłosy poważnej troski wydawane przez kierownika salonu po przyjrzeniu się jej głowie, miała ochotę zapaść się pod ziemię.

– Ma pani delikatne włosy – powiedział. – Pani rodzice takie mieli czy też przeszła pani w dzieciństwie wysoką gorączkę?

– Tak, zdarzyło mi się coś takiego – przyznała Esmay.

– To może być powodem ich wyglądu. Dobrze, że nie robiła pani z nimi niczego głupiego, tak jak to robią niektóre kobiety.

– Jest pani oficerem Floty, więc chce pani mieć coś praktycznego, łatwego w utrzymaniu, ale wyglądającego bardziej... bardziej...

– Bardziej jak coś, co nie przypomina siana – wtrąciła Marta.

– Aha. Najbardziej trwałym rozwiązaniem byłoby sięgnięcie do genomu, ale powiedziała pani, że sprawa jest pilna.

– Tak. Ale na dłuższą metę, Esmay, on ma rację. To kosztowne, ale można przeprogramować genetycznie twoje włosy.

A więc nawet w takim salonie uważają, że najlepszym rozwiązaniem byłoby zastąpienie jej włosów nowymi.

– Zmieniłoby to nieco pani kod genetyczny – powiedział mężczyzna. – Musiałaby pani poinformować o tym swojego dowódcę, a on musiałby wyrazić zgodę, a następnie dokonać zmian w aktach. Ale już to robiono. Z drugiej strony nie ma niczego złego w pani obecnych włosach, trzeba tylko ustalić, jak je przyciąć.

Sekatorem, pomyślała Esmay, ale nie powiedziała tego na głos.

Trzy godziny później ze zdumieniem wpatrywała się w odbity w lustrze obraz. Były to te same włosy, ale w jakiś sposób zgodziły się przybrać pełen wdzięku kształt. Gładkie tutaj, lekko zakręcone tam... „Puszyste” nie było może właściwym słowem, ale nie przychodziło jej na myśl żadne inne. Wyglądała jak zawsze, tylko... bardziej jak zawsze. Pod kierunkiem pracowników salonu nauczyła się też, jak może sama osiągnąć ten efekt, od umycia włosów aż do ostatecznego ukształtowania fryzury.

Następnie Marta zaciągnęła ją do sklepu odzieżowego.

– Potrzebujesz jakichś pozasłużbowych strojów. Widziałam cię w kombinezonie gimnastycznym.

– Pocę się – stwierdziła Esmay, ale jakoś bez przekonania.

– Tak, ale nie musisz pocić się, jedząc kolację. – Marta krążyła po sklepie i co chwila wysyłała Esmay do przymierzalni, aż wreszcie wynik ją usatysfakcjonował, a Esmay zrozumiała, o co chodzi. Niebiesko-srebrny strój gimnastyczny był równie wygodny jak ten, którego do tej pory używała, ale wyglądał – musiała przyznać – oszałamiająco. A pozostałe...

– Ludzie, którzy twoim zdaniem urodzili się z doskonałym wyglądem, tak naprawdę urodzili się czerwoni i pomarszczeni, tak jak wszyscy inni – stwierdziła Marta. – Tak, są twarze ładniejsze od innych i ciała, które łatwiej ubrać, ale przynajmniej połowa podziwianych przez ciebie ludzi nie jest tak naprawdę piękna. Oni ciężko pracują na swój wygląd. Oczywiście niektórzy o to nie dbają i tego nie potrzebują, a poza tym nikt nie musi pięknie wyglądać przez cały czas. Kiedy pracuję w ogrodzie, wyglądam jak stara baba w brudnych spodniach ogrodniczkach.

Nie przeszkadza mi to, podobnie jak nikomu innemu. Ale kiedy jestem zasiadającą w Radzie Martą Kateriną Saenz, ubieram się efektownie. W tej chwili potrzebujesz całej elegancji, na jaką cię stać, i nic nie pomoże, a nawet zaszkodzi, jeśli będziesz przemykać zawstydzona po terenie bazy. Ludzie myślą wtedy, że jesteś winna.

Fryzura, strój... a potem sesja w gabinecie odnowy biologicznej, z której wyszła całkowicie zrelaksowana. Dwa dni później, gdy dostarczono jej do pokoju nowe ubrania, Marta odprowadziła ją do komandora porucznika kierującego sekcją Esmay.

– Proszę, oto ona. Na razie ją oddaję, ale mogę jeszcze jej potrzebować. Dziękuję, poruczniku Suiza, bardzo mi pani pomogła.

Komandor porucznik Moslin spoglądał ze zdziwieniem to na jedną, to na drugą kobietę.

– Jest pani... usatysfakcjonowana, Sera Saenz?

– Porucznik Suizą? Oczywiście. To najlepsza asystentka, jaką kiedykolwiek miałam. Proszę wybaczyć, muszę udać się na spotkanie z admirał Serrano. – Marta oddaliła się, pozostawiając Esmay w towarzystwie nieufnego komandora porucznika.

– Cóż... Myślałem, że jest przyjaciółką lorda Thornbuckle'a, a tymczasem przygarnia panią...

– Wydaje mi się – odpowiedziała Esmay zgodnie ze wskazówkami Marty – że przypominam jej siostrzenicę. No i oczywiście starałam się jak mogłam.

– Tak. No cóż, myślę, że może pani wrócić do tego raportu, nad którym pani pracowała.

Odchodząc, Esmay czuła na sobie jego spojrzenie. Widać było, że wyczuł jakąś różnicę, ale nie potrafił jej nazwać. Ona mogła... i była zdumiona, że nigdy nie przyszło jej do głowy nauczyć się tak prostych rzeczy. Widząc idącą korytarzem Caseę Ferradi, przybrała zalecony jej przez Martę wyraz twarzy. Faktycznie, Casea omal się nie wywróciła.

– Porucznik Suiza...

– Cześć, Casea – odpowiedziała uśmiechnięta Esmay.

– Ty... Myślałam, że jesteś na przepustce.

– Wróciłam. Ale później się spotkamy, teraz jestem zajęta. – To mogło być zabawne. To naprawdę mogło być zabawne. Rozpromieniona, uśmiechnęła się serdecznie do spotkanego za rogiem admirała Hornana.

* * *

Barin stanął na bacność.

– Melduje się chorąży Serrano, sir.

Babka podniosła wzrok.

– Spocznij, chorąży. Usiądź. Musimy porozmawiać o sprawach rodziny.

Jej słowa nie pozwoliły mu odprężyć się, ale usiadł i czekał.

Babka westchnęła.

– Marta Saenz powiedziała mi, że pokłóciłeś się z porucznik Suizą z powodu Brun Meager.

Barinowi niemal opadła ze zdziwienia szczęka.

– To... niezupełnie tak było, sir.

– Hmm. Cóż, niezależnie od tego, jak było, oraz od aktualnego stanu twoich uczuć do porucznik Suizy, chcę, żebyś wiedział, że jako twoja babka nie mogę ci niczego doradzać, przynajmniej co do niej. A co do innej osoby, z którą cię widywano, mam radę, której zapewne sam się domyślasz. Jako admirał chciałabym natomiast widzieć porucznik Suizę w jak najlepszej formie – a ona naprawdę potrafi osiągnąć uderzający poziom – dlatego z zadowoleniem powitam wszelkie działania, które mogłyby się do tego przyczynić. Jeśli więc uważasz, że możesz tu w czymś pomóc, nie krępuj się.

– Ona... ona nie chce ze mną rozmawiać.

– Jesteś pewien? A może myśli, że to ty nie chcesz rozmawiać z nią? Zwłaszcza w sytuacji, gdy inni mogą być zainteresowani trzymaniem was z dala od siebie.

– Porucznik Ferradi... – wydusił Barin przez zaciśnięte zęby.

Babka spojrzała na niego tak, jakby był raczkującym niemowlakiem; znał to spojrzenie.

– Między innymi. Barin, jesteś dostatecznie duży, by wiedzieć, że nasze nazwisko wzbudza nie tylko podziw, ale i zawiść. Nagła sława i szybka promocja porucznik Suizy miały podobny skutek.

Poinformowano mnie, że są ludzie, którym zależy na skłóceniu ciebie i porucznik Suizy. Gdyby ona cię nie obchodziła, to byłoby wszystko jedno, ale ponieważ tak nie jest, wydaje mi się, że kwestią honoru rodziny jest niedopuszczenie, aby im się to udało.

Oczywiście sam musisz ocenić własne uczucia.

– Tak jest, sir... babciu.

Uśmiechnęła się do niego.

– Sir babcia jest niezwykłym tytułem, ale przyjmuję go. Barin, a teraz pytam poważnie: czy kochasz tę kobietę?

– Myślałem, że tak, ale...

– No cóż, pomyśl jeszcze raz. Nie moją rolą jest zabawianie się w Kupida; jeśli jesteście dla siebie przeznaczeni, nie powinniście go potrzebować. Ale niczego nie przyjmuj za oczywiste.

– Zrozumiano?

– Tak... babciu.

– Dobrze. Jeśli będą jakieś problemy, ja się nimi zajmę. Ufam twojej ocenie, Barin, tylko upewnij się, że masz dość danych do dokonania jej. – Przerwała, ale ponieważ nic nie odpowiedział, z energicznym skinieniem głową wróciła do roli admirała. – No dobrze, jak idzie śledztwo w sprawie porucznik Ferradi?

– Nie wiem – odpowiedział Barin. – Zarówno mój kapitan, jak i pierwszy oficer kazali mi się trzymać od tego z daleka, więc tak zrobiłem.

Zdumiewające – powiedziała babka tonem, od którego zaczerwieniły mu się uszy. – Zbliżamy się do terminu podjęcia działań i dobrze byłoby wiedzieć, co się dzieje. Chciałabym, żebyś wspomniał o tym Heris i żeby ona wyszeptala to do ucha twojego kapitana. Klaus nadal chce mojego

stołka, a ponieważ od osiemnastu lat nie dowodził niczym innym oprócz biurka, nie mogę na to pozwolić. Oficjalnie masz przekazać Heris wiadomość, że z powodu skromnych w tym roku obchodów urodzin Floty urządzimy uroczystość rodzinną. Możesz – i powinieneś – powiedzieć to każdemu, kto o to zapyta. Weź to dla niej. – Podała mu kostkę danych.

– Tak jest, sir.

– Możesz odejść.

* * *

– To strasznie śliska dziewczyna – stwierdził Koutsoudas, wskazując na wykonany grafik nielegalnych działań porucznik Ferradi w archiwum prawnym. – Gdybyśmy nie mieli tego podrasowanego infopretu, mogłoby jej to ująć na sucho, nawet gdybym ja był w skanie.

– No dobrze, co takiego zrobiła? – zapytał kapitan Escovar.

– Na pierwszym poziomie użyła kodów Pella, a potem... uwierzy pan, że admirała Hornana?

– Jak je zdobyła?

– Nie mam pojęcia, sir. – Koutsoudas przyglądał się teraz ekranowi wyświetlającemu zgrabną postać porucznik Ferradi pochylonej nad konsolą. – Możliwe, że od Pella... i choć to nie moja sprawa, powinien pan wiedzieć, że według plotek, Pell fizycznie nie jest w szczytowej formie.

– Faktycznie – skomentował Escovar.

– Podobnie jak trzech innych starszych bosmanów. Prawdę mówiąc, niektórzy robią się z tego powodu podenerwowani.

– Dlaczego?

– To już przekracza moje kompetencje, sir. – Koutsoudas przybrał wyraz twarzy sugerujący brak zaufania do kogokolwiek.

– Hmm. Zainteresowanie tą sprawą wyrażono także na wyższym poziomie.

To bardzo dobrze, sir. No, bierze się do dzieła. – Na ekranie widać było, jak Ferradi wsuwa infopret do czytnika w konsoli. – Założę się, że tym razem podmieni plik; patrzcie na jej lewą dłoń.

Tak, proszę bardzo. – Na schemacie Koutsoudasa między plątaniną różnych połączeń pojawiła się pomarańczowa linia, a kiedy dotarła do niebieskiego sześcianu, zaczęła równomiernie migotać. – Zmienia dane, sir; to pewne na sto procent.

– Czy znamy dane sprzed zmiany?

– Ja nie, sir, ale wiem, że wczoraj wykonano bezpieczną kopię w urzędzeniu, którego ona nigdy nie znajdzie. A ślad jej infopretu dowiedzie, że dokonywała zmian, oraz pokaże konkretne pliki.

* * *

– To bardzo poważne oskarżenia, komandorze Escovar – oświadczył admirał Hornan. – Przekonałem się, że porucznik Ferradi jest bardzo pracowitym oficerem. – Jego spojrzenie skierowane na Barina zdradzało zarówno podejrzliwość, jak i niechęć. Barin przypomniał sobie, że to główny rywal jego babki.

– Admirał ma rację, to poważne oskarżenia. Dlatego właśnie przyszedłem z nimi do pana

zamiast wezwać do siebie porucznik Ferradi. Biorąc pod uwagę okoliczności – polityczne i wojskowe – uznałem, że lepiej będzie od razu pana poinformować.

– Nie od razu, jeśli już przeprowadził pan śledztwo.

– Tylko w takim zakresie, by upewnić się, że oskarżenia opierają się na faktach, admirale. Jest o wiele więcej do zrobienia.

– No cóż, może wysłuchajmy jej wersji. – Hornan wcisnął klawisz komunikatora. – Porucznik Ferradi, proszę zgłosić się do mnie.

– Natychmiast, admirale. – Krótka pauza. – Czy mam zabrać ze sobą wyniki przeszukiwania bazy danych, o które prosił mnie pan admirał?

– Eee... nie w tej chwili, poruczniku. – Kark Hornana zaczerwienił się. Barin odważył się rzucić spojrzenie Escovarowi, i dostrzegł, że on też to zauważył. A zatem... jak bardzo zaangażował się w to wszystko Hornan?

Po krótkiej chwili do biura admirała weszła promiennie uśmiechnięta Casea Ferradi. Na widok Barina jej uśmiech stał się jeszcze szerszy. Zaraz jednak spoważniała, gdy nikt na to nie zareagował.

– Admirale?

– Casea... Poruczniku, ci oficerowie zgłosili przeciwko pani bardzo poważne zarzuty. Chciałbym wiedzieć, co ma pani do powiedzenia.

– Przeciwko mnie? – Przez krótką chwilę Barin dostrzegł w jej twarzy coś, co mogło być paniką, ale zaraz powrócił spokój. – Czemu, co takiego zrobiłam? – Spojrzała na Barina. – Czy narzucałam się biednemu chorążemu Serrano? Nie miałam...

Hornan odchrząknął.

– Nie. Poruczniku, muszę zapytać, czy zaglądała pani do danych, nie mając odpowiedniego upoważnienia?

– Oczywiście, że nie – odpowiedziała Ferradi. – Nie zrobiłabym tego bez wyraźnych rozkazów...

– Które dałyby pani autoryzację. Czy jest pani tego pewna?

– Tak, admirale – zapewniła Ferradi. Barin zauważył, że puls na jej szyi przyspieszył.

– Czy dokonywała pani zmian w jakichkolwiek plikach?

– To znaczy na przykład w rejestrach wacht czy czymś takim?

– Nie, sir.

– Albo w bazie danych? Czy weszła pani na własną rękę do bazy danych i zmieniała zapisy?

– Nie zrobiłabym tego bez rozkazu, admirale. – Jej puls jeszcze wyraźniej przyspieszył.

– W takim razie jeśli powiem, że została pani oskarżona o nie autoryzowany dostęp do zapisów śledztwa dotyczącego buntu na *Despite* i zmianę plików zawierających przesłuchania porucznik Esmay Suizy, zaprzeczycie pani temu.

– Tak jest, admirale. – Ferradi nagle zaczerwieniła się. – Stanowczo temu zaprzeczę, i co więcej, zastanowię się nad źródłem tych oskarżeń. – Odwróciła się w stronę Barina. – Admirale, chorąży Serrano czuje do mnie urazę. Uważał, że pozycja jego rodziny daje mu prawo do... pozwalania sobie na różne rzeczy. Musiałam być wobec niego stanowcza; on wie, że mogłabym zgłosić jego zachowanie jako molestowanie. Prawdopodobnie wymyślił te bzdury, żeby się na mnie zemścić.

Barin poczuł, jak krew uderza mu do głowy, ale ostre spojrzenie Escovara kazało mu trzymać język za zębami. Admirał Hornan kiwnął głową w stronę Barina i skierował wzrok na Escovara.

– No, komandorze? Moim zdaniem bardziej prawdopodobne jest głupie zachowanie rozgorączkowanego młodzieńca o zbyt wysokim mniemaniu o sobie niż nielegalne działanie kogoś w rodzaju porucznik Ferradi.

– Z całym należnym szacunkiem, admirale, to nieprawda. To porucznik Ferradi próbowała upolować chorążego Serrano, a nie odwrotnie. Wiem o tym, podobnie jak wszyscy na statku. Znajdzie pan informacje o zachowaniu porucznik Ferradi w jej wcześniejszych ocenach kwartalnych; jej aktualna pozycja w ostatniej grupie promocyjnej jej rocznika jest spowodowana tym zachowaniem.

– To nieprawda! – krzyknęła Ferradi. Wyglądała dziwnie, była zaczerwieniona i miała blade plamy na policzkach.

– I o ile jej skłonności seksualne same w sobie nie byłyby powodem do działań dyscyplinarnych, jak długo nie wpływałyby na czyjąkolwiek zdolność do pełnienia służby, o tyle wtargnięcie do zabezpieczonej bazy danych, zmiana plików i kłamstwa na temat innych oficerów, łącznie z chorążym Serrano, tak.

– Czy dysponuje pan jakimiś dowodami? – zapytał Hornan.

– Barin przyglądał się, jak Ferradi blednie, słysząc zmianę tonu jego głosu. Niemal jej współczuł, bo w tej właśnie chwili Hornan zmieniał strony, przygotowując się do pozbycia się kłopotu.

– Tak, mamy zapisy video przedstawiające wtargnięcie do bazy danych z infopretu zainicjalizowanego dla porucznik Ferradi i użycie go, aby zmienić pliki.

– Ja nie... – wyszeptała Ferradi, ale admirał już na nianie patrzył.

– Jak szczegółowe są te zapisy?

– W najwyższym stopniu, admirale. Łącznie z kodami autoryzacyjnymi, których użyła – jak przypuszczam – do wykonania rozkazu sfałszowania plików.

Teraz admirał przeniósł wzrok na Ferradi; Barin pomyślał, że bardzo nie chciałby, aby kiedykolwiek spojrzano na niego w ten sposób.

– Musiałbym zobaczyć te dowody – powiedział wolno, z niemal kamienną twarzą. – Jeśli rzeczywiście pan je posiada...

– Tak jest, admirale.

– To, tak jak pan mówi, porucznik Ferradi grożą bardzo poważne konsekwencje. Poruczniku, proszę o pani infopret.

Ferradi powoli wyciągnęła go i położyła na biurku admirała.

– A gdzie znajduje się raport, nad którym pani pracowała?

– Na moim biurku, admirale. Ale admirał wie, kto...

– Pozostanie pani we własnej kajucie, poruczniku. Nie będzie pani rozmawiać z nikim oprócz oficera śledczego, który zostanie pani przydzielony.

– Ale admirale, to spisek. To...

– Odejść, poruczniku.

Barin zadrżał, gdy go mijała. Nie lubił jej i gardził nią a za to, co zrobiła Esmay, mógłby ją

nawet zniechęcić. Ale nikomu nie życzył wstrząsu, który zobaczył w jej fiołkowych oczach.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi, odezwał się Escovar.

– Admirale, ona użyła pańskich kodów dostępu. Obawiam się, że nie ma możliwości usunięcia tego z zapisu.

– Cóż, musiała, jeśli chciała zmienić dane, nieprawdaż? Musiała mieć kogoś z odpowiednim poziomem dostępu.

– Czy pan dał jej te kody?

Hornan wyprostował się.

– Komandorze, może byłem durniem, ale to nie pan będzie prowadził w tej sprawie śledztwo. Doskonale pan wie, że sprawa dotrze do bezpieczeństwa wewnętrznego. I odpowiem na ich pytania, a nie na pańskie. – Przerwał na chwilę. – Zapewne zamierza pan powiedzieć mi, że powinienem teraz zmienić zdanie na temat porucznik Suizy?

– Nie, admirale, nie zamierzam. To wyłącznie pana sprawa, co pan sądzi na temat porucznik Suizy; ona nie jest moim oficerem. Jeśli jednak dokonano sfałszowania danych...

Ach tak, tak. – Hornan machnął ręką. – Najpierw to, co najważniejsze. Musimy poinformować bezpieczeństwo wewnętrzne, a potem admirała Savanche'a. Strasznie się z tego powodu ucieszy! Właśnie teraz potrzeba mu czegoś, czym mógłby się martwić. – Tak mocno trzasnął w klawisz interkomu, że ten aż zaskrzeczał. – Połączcie mnie z bezpieczeństwem wewnętrznym!

* * *

– Admirał Serrano nie powinna mieć problemu z otrzymaniem stanowiska dowódcy grupy uderzeniowej – rzekł Escovar w drodze na *Gryfaleona*.

– Czemu, sir?

– Ponieważ Hornan nie zaryzykuje, aby pan powiedział, co wie, gdyby próbował wystartować do tego stanowiska. Niech pan nie udaje głupiego, chorąży, wie pan równie dobrze jak ja, że musiał być jakoś w to zamieszany. Ferradi nie jest wystarczająco sprytna, by samodzielnie zdobyć jego kody, a Pell nie mógł jej w tym pomóc. On nie potrafi zapamiętać własnych kodów, a co dopiero kody admirała. Jeśli teraz ta cywil – lady Marta jakaś tam – potrafi okiełznać lorda Thornbuckle'a, może w końcu nam się uda wystartować z tą misją ratunkową.

– Sir.

– Straszny tu bajzel – mówił dalej Escovar, wydłużając krok.

– I tak nie byłoby to łatwe, ale Thornbuckle bardziej nam utrudnia niż pomaga, a Hornan wciąż stwarzał nowe przeszkody. Nigdy bym nie podejrzewał, że przyskrzynienie Ferradi rozwiąże też inne problemy.

Na przykład problem, co zrobić z Esmay Suizą. Barin odczekał, aż kapitan pozwoli mu odejść, a potem udał się do najbliższego publicznego komunikatora, aby poszukać kodu Esmay. Z zadowoleniem stwierdził, że tym razem tam był.

Odpowiedział mu rzeczowy i profesjonalny głos.

– Poruczniku, tu chorąży Serrano. Ja... – Jak ma jej to powiedzieć? – Chciałbym... Muszę z tobą porozmawiać.

Zapadła długa cisza, w trakcie której najpierw zaczął czuć gorąco, potem zimno, a potem znów

płomień.

– W biurze czy... To znaczy... – Jej głos złagodniał i teraz brzmiał prawie tak samo niepewnie jak jego.

– Gdziekolwiek. Muszę ci coś powiedzieć, a poza tym... – „Poza tym Kocham cię do szaleństwa”, ale nie mógł powiedzieć jej tego przez telefon.

– Co powiesz na bibliotekę? Dziesięć minut? Piętnaście?

– Piętnaście; jestem w doku *Gryfalcona*.

Dotarł tam w dziesięć minut, nawet nie uświadamiając sobie, jak szybko idzie, dopóki omal nie wpadł na parę komandorów idących przed nim. Cierpliwości. Spokojnie. Zatrzymał się przy wejściu do biblioteki, ale nie zauważył, żeby wchodziła. Zajrzał do środka i... okazało się, że już tam jest.

– Poruczniku...

– Chorąży. – Jej oczy błyszczały, cała była rozpromieniona.

– Jak ktoś mógł sądzić, że pociąga go Casea Ferradi!

– Tak mi przykro... – powiedzieli równocześnie. Barin w milczeniu popatrzył na nią, a ona odpowiedziała mu tym samym.

* * *

Waltraude Meyerson przyglądała się, jak młoda oficer nieudolnie próbuje udawać zainteresowanie katalogiem. Czekwała na kogoś. Zbyt wiele razy Waltraude widziała studenta kręcącego się w oczekiwaniu na innego, by się pomylić. Faktycznie, po kilku minutach przybył młody oficer. Powiedzieli coś i umilkli, a potem zaczerwienili się i zaczęli coś bąkać. Wszystko to było zupełnie normalne, ale bardzo rozpraszało, a ona właśnie usiłowała skorelować dane profesora Lemona z własnymi do nienagannie przygotowanego raportu, który miała przedstawić za kilka godzin.

Oczywiście nigdzie w pobliżu nie było bibliotekarza; nigdy nie było go tutaj o tej porze. Normalnie to Waltraude nie przeszkadzało, jako że nie potrzebowała jego pomocy w poruszaniu się po własnej i Lemona bazie danych, ale to on odpowiadał za utrzymanie porządku. Bez jego nadzoru pozostawiona sama sobie para mogłaby godzinami szeptać słodkie bzdury. Znała ten typ ludzi. Waltraude podniosła się z miejsca i chrząknęła. Para spojrzała na nią z poczuciem winy typowym dla młodych zakochanych.

– To biblioteka, a nie miejsce schadzki – odezwała się stanowczo. – Bądźcie uprzejmi udać się gdzie indziej ze swoją namiętnością. – Przez chwilę ich twarze wyrażały zdziwienie, ale potem odwrócili się i szybko wyszli. Może teraz uda jej się przekonać tych wojskowych, że kluczem do uwolnienia więźniów z wrogiego społeczeństwa jest myślenie, a nie zwiększanie kalibru broni.

– Kocham cię do szaleństwa – powiedział Barin, gdy tylko wyszli z biblioteki.

– Ja też – odpowiedziała Esmay, tłumiąc łzy. Potem zachichotała. – Czy ona nie była okropna?

– Tak... Och, Esmay, nigdy więcej się nie kłóćmy.

– Moja kuzynka Luci mówi, że zakochani często się kłócą, a potem godzą.

– A skąd ona o tym wie?

– Ma więcej doświadczenia niż ja. Powiedziała, że byłam kretynką.

– Może – stwierdził Barin, po czym szybko spojrział w obie strony korytarza i zanurzył twarz w

jej włosach. – Ale jesteś moją kretynką. Ukochaną kretynką. Poruczniku, sir. – Miał ochotę tańczyć, chodzić na rękach albo robić coś równie niedorzecznego. – Och, a przy okazji: porucznik Ferradi ma zakaz opuszczania kwatery i stanie przed sądem.

– Co?!

– Nie mogę ci wszystkiego powiedzieć. To znaczy lepiej, żebym tego nie robił, przynajmniej nie tutaj, ale dlatego unikałem ciebie, jak wróciłaś, bo musiałem udawać, że z nią trzymam.

– Wydaje mi się, że ona kłamała na mój temat – stwierdziła Esmay.

– Zrobiła coś znacznie więcej, próbowała umieścić obciążające cię materiały w twoich starych aktach prawnych. Ale naprawdę nie powinniśmy omawiać tego w tej chwili.

– Dobrze. Porozmawiajmy o...

– O nas. Może chciałabyś coś zjeść?

* * *

– A więc teraz, gdy wasz agent potwierdził, że wie, gdzie ona jest, przechodzimy do konkretów. – Komandor z naszywkami sztabowca wyświetlił mapę. – To nie są szczególnie wyjątkowe sytuacje, gdy mężczyźni wślizgują się przez mur do żłobka, żeby pomacać jakąś kobietę, na której szczególnie im zależy. On może wyciągnąć ją ze żłobka, wsadzić do samochodu i w dwadzieścia minut wyjechać z miasta.

Marta zrezygnowała już z prób przekonania ich, że muszą współpracować z Brun, a nie traktować jej jak bagaż. Spojrzała przez stół na profesor Meyerson, która przyszła na spotkanie ze stosem książek, papierów i kostek danych na poparcie swoich tez – bardzo podobnych do Marty – ale to też nic nie dało.

– A jeśli będzie mu się opierać? – zapytała komandor z końca sali. – Skąd ma wiedzieć, że mężczyzna jest naszym agentem?

– Może jej powiedzieć – stwierdził pierwszy komandor.

A ona ma w to uwierzyć, pomyślała Marta, po prawie dwóch latach przebywania w niewoli? To może się udać, ale równie dobrze Brun może znokautować tego człowieka i sama wsiąść do samochodu. I co by im to dało? Ona nie miałaby pojęcia, dokąd się udać, a oni nie wiedzieliby, co się z nią stało.

– Powiedział nam, że za odpowiednią kwotę może wykupić jej przelot w kosmos w małym promie atmosferycznym. Wywiezie ją z miasta i dostarczy przebranie, a potem wyśle ją dalej do drugiego człowieka. Nasz aktualny plan zakłada wysłanie PIR – który mógłby mikroskopkami całkiem blisko podejść, żeby ją odebrać – i trzymanie reszty grupy uderzeniowej w większej odległości na wypadek pojawienia się jakichś kłopotów.

Ktoś inny zadał pytania odnośnie do obrony układowej, ale Marta niezbyt uważnie słuchała odpowiedzi, zastanawiając się nad tym, co robi Brun. Była pewna, że nie siedzi beczynn timer, czekając na ratunek.

* * *

Brun złapała nóż do obierania i schowała go w rękawie. Matrona powinna codziennie liczyć

noże, ale nie robiła tego. Lubiła drzemać w swoim pokoju po paru solidnych łykach z glinianego dzbana i często zostawiała wtedy kuchnię nie zamkniętą. Brun sprawdzała to wielokrotnie, żeby upewnić się, czy uda jej się pozostać nie zauważoną.

Nóż przywiązany taśmami do przedramienia przywrócił jej odwagę. Czekala już wystarczająco długo na ratunek. Ani ona, ani bliźniaki nie mogą już tutaj żyć... ale gdy przyłożyła nóż do karku śpiącego rudzielca (była pewna, że wie, kto jest jego ojcem), nie potrafiła tego zrobić. Nie kochała dzieci tak, jak podobno kochają inne matki, ale także nie czuła do nich nienawiści. To nie była ich wina, to że znalazły się w jej ciele.

Jednak nie może zabrać ich ze sobą. Będzie musiała przebrać się za mężczyznę... a mężczyźni nie chodzą z dziećmi po ulicach, nie mówiąc już o tym, że dwójka żywych i głośnych maluchów za bardzo by ją obciążała. Jeśli je zostawi, po godzinie zaczną domagać się kolejnego posiłku... Mimo to nie potrafiła ich zabić tylko po to, by zyskać więcej czasu na ucieczkę.

Przyszedł jej do głowy nowy pomysł. W żłobku nie było żadnych znanych jej leków, ale mogłaby uspić dzieci prostym środkiem nasennym, który może zrobić każdy, kto ma dostęp do owoców i wody i trochę czasu.

Późnym popołudniem Brun jak zwykle przechadzała się po sadzie, niosąc jednego chłopca na plecach, a drugiego na brzuchu.

Jej stopy stwardniały i zwirowane alejki już ich nie kaleczyły, a mięśnie nóg rozwinęły się od intensywnych ćwiczeń i były jak postronki. Bez dzieci będzie mogła poruszać się szybko i dotrzeć daleko; będzie też mogła walczyć, jeśli ją zaskoczą. Ale nie zamierzała znów dać się zaskoczyć. Gdyby tylko wiedziała, gdzie znaleźć Hazel i małe dziewczynki...

Kiedy była już pewna, że nie widać jej z domu, podeszła do jabłoni i ukryła nóż w szczelinie w korze, po czym przykryła go zeszlórocznymi liśćmi, aby nie przyciągnął błyskiem czyjegoś spojrzenia. Potem wróciła do domu, niosąc w ręce bukiet wiosennych kwiatów.

Dwa dni później Brun ukradła z kuchni kubek i także zaniósła go do sadu, ukrywając w nosidle dla dzieci. Nie była to pora roku odpowiednia na dojrzałe owoce, ale miała zawsze dostępne dla kobiet suszone owoce, miód i wodę.

W ciepłym słońcu mieszanka sfermentowała w ciągu kilku dni.

Miała dziwny zapach, ale wyraźnie czuć w niej było alkohol.

Ostrożnie spróbowała. Napój miał chyba wystarczającą moc, by solidnie uspić dzieci.

Dowództwo sektora VII

W miarę jak z wolna krystalizowały się plany grupy uderzeniowej, Marta coraz uważniej obserwowała Bunny'ego. Nie złagodził swojego stanowiska wobec Esmay Suizy nawet wtedy, gdy stało się oczywiste, że większość zarzutów to były kłamstwa. Znała go niemal przez całe życie i wiedziała, że nie jest ani głupi, ani zawistny. Dzięki jego reputacji osoby zachowujące spokój w sytuacjach kryzysowych i sprawiedliwej dla wszystkich stron, Wielka Rada zaufała mu po abdykacji Kentre'a. Czemu więc wciąż upiera się, aby Suiza nie poleciała z grupą uderzeniową?

Kusiło ją, by skontaktować się z Mirandą, od jakiegoś czasu podejrzanie nieobecna, ale babka nauczyła ją, żeby nigdy nie wchodzić między męża i żonę, i jak dotąd przekonała się, że z takich prób rzeczywiście jeszcze nigdy nie wynikło nic dobrego.

Pięć dni przed planowaną datą wylotu grupy uderzeniowej zaczęła lorda.

– Nie zaczynaj – powiedział Bunny, zanim jeszcze otworzyła usta. – Chcesz mi powiedzieć, że Suiza nie jest taka zła, że zasłużyła na stanowisko pierwszego oficera na *Shrike* ‘u i że zwolnienie jej było niesprawiedliwe?

– Nie. Zamierzam cię zapytać, czemu obwiniasz Suizę za zachowanie Brun.

– Doprowadziła ją do białej gorączki... – zaczął Bunny, ale Marta przerwała mu.

– Bunny, kto wybrał genom Brun?

– Oczywiście my.

– Łącznie z profilem osobowościowym?

– Cóż... Tak, ale...

– Mówiłeś mi kiedyś, że świadomie wybraliście profil ryzykantki.

Dziewczyny otwartej, szybko reagującej i chętnie podejmującej ryzyko, która zawsze widziałaby szklankę w połowie pełną i uznała, że pokój pełen gnoju oznacza kucyka tuż za rogiem.

– Tak, ale...

– I dostaliście uroczonego, kochanego, figlarnego nicponia, którym cieszyliście się przez lata, prawda?

– Tak, ale...

– Rozpuściłeś ją, Bunny. – Thornbuckle wbił w nią wzrok, czerwieniąc się. – Wybrałeś dla niej profil osobowości, typ fizyczny i poziom inteligencji, które musiały sprawić, że ciągle pakowała się w jakieś kłopoty. A co zrobiłeś, gdy była mała, by stworzyć przeciwwagę w postaci poczucia sprawiedliwości i samokontroli?

– Mieliśmy także inne dzieci, Marto. Byliśmy doświadczonymi rodzicami.

– Tak, najpierw stworzyliście inteligentnych konformistów. I te dzieci dobrze się sprawują, ale dałeś im to, czego potrzebowały.

– Marta zrobiła pauzę, po czym dodała: – A czy dałeś Brun to, czego ona potrzebowała?

– Daliśmy jej wszystko... – rzekł i spuścił wzrok.

– Bunny, wiem, że to brzmi jak oskarżenie, ale tak nie jest.

– Brun jest bardzo niezwykłą młodą kobietą i potrzebowała niezwykłego dzieciństwa, by wychować ją tak, aby bezpiecznie potrafiła wykorzystać swoje talenty. Nic dziwnego, że ty i Miranda, zauroczeni, podobnie jak wszyscy wokół, tą eksplozją radości, nie daliście jej odpowiedniego wychowania. – Znów przerwała.

– Bunny leciutko pokiwał głową. – Moim zdaniem, twoje prawdziwe obiekcje wobec Esmay Suizy – choć może sam nie zdajesz sobie z tego sprawy – biorą się stąd, że ona jest taka sama jak Brun, ale nauczono ją samokontroli. Jej ojciec, jakikolwiek jest, lepiej poradził sobie z wychowaniem córki niż ty.

Bunny znów się zaczerwienił.

– Ona w niczym...

– Czytałeś dotyczące jej raporty bitewne? Ja czytałam. Jest inteligentna, i to bardzo. Charyzmatyczna, zwłaszcza w sytuacjach kryzysowych. Potrafi podejmować ryzyko; wróciła na Xaviera i uratowała planetę oraz – przypadkiem – również Brun. Twoja córka sądziła, że mają ze sobą wiele wspólnego, dlatego kręciła się przy Suizie jak mała dziewczynka przy starszej siostrze.

– Ja... w to nie wierzę.

– A ja nie potrafię uwierzyć, że nadal nie widzisz w tym wszystkim swojej roli. Dlatego właśnie nie chciałeś, aby tu była Miranda, prawda? Ona to wie i spierałaby się z tobą.

– Ja... ja... nie mogę...

– Bunny, to nie jest twoja wina. Myślę, że popełniłeś błędy, ale to samo dotyczy każdego rodzica; na pewno i twój ojciec popełnił wobec ciebie błędy. Ale to nie jest też wina porucznik Suizy. Dziewczyny pokłóciły się i następnego dnia by się pogodziły, gdyby tylko miały szansę, dobrze o tym wiesz. Skieruj swoją furię na bandytów, którzy ją porwali, i przestań zwałać winę na Suizę.

Nie patrzył na nią; czekała, aż mięśnie jego szczęk przestaną się napinać.

– Żeby wyciągnąć Brun, potrzebujemy wszystkich najlepszych – powiedziała łagodnie. – A to, co potrafi porucznik Suiza, jest na bardzo wysokim poziomie i może uratować Brun życie.

– Dobrze. – Nie poruszył się, ale widać było, że już nie jest taki napięty. – Jeśli o mnie chodzi, może lecieć. Ale... jeśli zrobi cokolwiek, co zaszkodzi Brun...

– Osobiście obedrę ją ze skóry – stwierdziła Marta. – Razem z Mirandą i Vidą Serrano. A jeśli o mnie chodzi, będziesz mógł wziąć sobie jej nerki na grzankę.

Jej słowa wywołały śmiech, choć nieco zdławiony.

– Jest tak mała szansa – wyszeptał po chwili Bunny. Marta słyszała kryjące się tuż pod powierzchnią łzy. – Tak mała...

– Właśnie ją zwiększyłeś – zapewniła go. – No dobrzeją mam powiedzieć admirał czy ty to zrobisz?

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Mężczyzna w kraciastej koszuli, wierny wizerunkowi wioskowego głupka w mieście, włóczył się po ulicach, odwiedzając raz czy dwa domy rozplodowe, po czym znów wracał, by popatrzeć na żółtowłosą niewierną z kosmosu. Kilku mężczyznom w często odwiedzanym barze powiedział, że boi się, iż zanim kobieta zostanie przeznaczona do rozmnażania, on będzie już musiał wracać „na wzgórze”. W końcu jeden z mężczyzn zasugerował mu, żeby poszedł na tyły sadu i zaczekał na nią. Nic się nie stanie, jeśli zajdzie w ciążę kilka tygodni wcześniej, a jest spora szansa, że nikt się nie zorientuje.

Obserwował, jak kobieta podchodzi do jabłoni i umieszcza coś w szczelinie w pniu. Tu w sadzie wyglądała znacznie bardziej jak osoba, którą spodziewał się zobaczyć, niż kiedy widział ją w czasie pokazów. Nie wiadomo, czy zechce z nim współpracować, gdy nadejdzie pora. Jeśli nie, będzie musiał ją uśpić, ale wtedy trudno będzie przerzucić ją przez mur, biorąc pod uwagę jej wzrost. Wygląda na to, że może mieć własne plany; miał tylko nadzieję, że nie będą zbyt kolidować z jego planami. Postanowił zająć się przygotowaniami. Poszedł na drugi koniec miasta i wynajął za gotówkę samochód od przedstawiciela portu kosmicznego.

* * *

Prostota – zdaniem Brun było to odpowiednie imię – opowiedziała jej o różnych rzeczach, o których inne kobiety wspominały tylko w przelocie. Pewnie nie potrafiły wyobrazić sobie, że można o tym nie wiedzieć, natomiast Prostota wciąż na nowo była zafascynowana każdym szczegółem życia. W przeciwieństwie do Brun orientowała się w upływie czasu i swoim szczerym paplaniem zdradziła jej, jak można, nawet pomimo zamknięcia w złobku, rozpoznać dni targowe. Wcześniej nie zwracała uwagi na to, co kobiety przynosiły z targu... ale teraz zaczęła uważać na wielkość koszyków i toreb oraz ich zawartość. Codziennie ktoś wychodził po niewielkie ilości świeżych warzyw. Trzy razy w tygodniu kilka kobiet wracało z szerokim asortymentem towarów, nie tylko z jedzeniem, ale i z igłami, szpilkami, niemi, wełną, szczotkami do podłóg, grzebieniami, mydłem... Tym wszystkim, co było potrzebne do codziennej pracy, a czego kobiety nie potrafiły same wytworzyć.

Po świątecznym dniu mieli dzień targowy, potem dwa dni przerwy, znów dzień targowy, jeden dzień przerwy, znowu dzień targowy i ponownie dzień świąteczny. Brun postanowiła, że najlepszy będzie dla niej pierwszy dzień targowy, kiedy służba jest mniej liczną a wszyscy są bardziej rozluźnieni po rygorach święta. Gorzej przykładają się do swoich obowiązków, bawią się z dziećmi w ogrodzie...

Najtrudniej będzie odnaleźć dom, w którym przebywa Hazel, ponieważ nie może zadawać pytań... i nie może też zdradzić, że jest pozbawiona głosu. Nie wiedziała, czy mężczyzn także okalecza się w ten sposób – przypuszczalnie nie, jako że ich wiara wymaga od nich codziennego recytowania modlitw – i czy mężczyźni mogą być niemowami od urodzenia albo wskutek jakiegoś wypadku, ale przypuszczała, że niemy mężczyzna będzie jednak wzbudzał podejrzania.

Prostota szczegółowo opisała jej dom Hazel: ogrody, warsztat tkacki, przedziałnię, kilka kuchni, pomieszczenia dla dzieci, żon i dla pana. Raz pozwolono jej tam zamiatać, ale wywróciła mały stolik, i choć jej nie ukarali, od tej pory wolno jej było chodzić tylko tam, gdzie było mniej kruchych przedmiotów. Była to dla niej ulga, jak powiedziała z uśmiechem, bo nie musiała już tak bardzo

uważać. Nie potrafiła jednak opisać, gdzie mieści się ten dom. Brun uświadomiła sobie, że dziewczyna prawie nigdy go nie opuszczała, i dlatego nie potrafiła określić jego położenia w stosunku do innych budynków czy ulic.

* * *

W dzień targowy w połowie tygodnia przed planowaną ucieczką Brun postanowiła sprawdzić swoje plany. Uśpi dzieci, dodając do mleka nieco przygotowanego napoju... Były bardzo łapczywe, więc doszła do wniosku, że jeśli poleje piersi posłodzonym sokiem owocowym, dzieci wypiją go razem z mlekiem. Musi przekonać się, jak długo będą spać... co da jej pojęcie, ile czasu będzie miała na odnalezienie Hazel.

Kiedy wykonała przydzielone jej zadania i okazało się, że oprócz dwóch kobiet wszystkie pozostałe poszły na targ, zabrała dzieci i kiwnęła głową do jednej ze strażniczek, że idzie do sadu.

– Dobrze, idź. Ładny dzień na spacer – stwierdziła kobieta.

Brun pokazała gestami jedzenie. – Chcesz tam zjeść lunch? Dobrze. Uderzę w dzwon, kiedy przyjdzie pora powrotu, na wypadek, gdybyś usnęła.

Brun wzięła małą kromkę upieczonego rano chleba i kilka plastrów sera, starannie odkładając nóż na miejsce. Kobieta naląła jej dzbanek soku owocowego z wodą; Brun wiedziała, że to z jej strony uprzejmość, a nie obowiązek. Uśmiechnęła się, a kobieta odpowiedziała jej tym samym, wyraźnie zadowolona.

Nie mogę pozwolić sobie na przyjaźń, pomyślała. Wzięła dzbanek i lunch i wsunęła do chusty, w której siedział zadowolony rudzielec, poprawiła chustę z drugim chłopcem i wyszła na wykładany kamieniami taras.

Ruszyła ścieżką po prawej stronie, zatrzymując się co jakiś czas, by popatrzeć na drzewa i twarde, zielone owoce, które dojrzeją dopiero za kilka miesięcy. To nie był jeszcze ten dzień, chciała tylko spróbować, jak to będzie. Dlaczego w takim razie jej serce wali tak mocno, że ma wrażenie, iż słyhać je z daleka? Czemu tak ciężko jej się oddycha? Spróbowała się rozluźnić, sięgając po ciężką od owoców gałąź. Dzieci, czując jej napięcie, zaczęły się wiercić i popłakiwać.

O dziwo, to ją uspokoiło. Poszła dalej szybszym krokiem – choć nie musiała się spieszyć – do swojego ulubionego miejsca na drugim końcu sadu. Kiedy pierwszy raz doszła tak daleko, na szczyt niewielkiego wzniesienia, widziała między nagimi gałęziami budynki, ale teraz drzewa owocowe obsypane były liśćmi; wiedziała, że skoro ona nie widzi domu, jej też nikt nie zobaczy.

Położyła dzieci na małych kocykach, z których zrobione były nosidła. Maluchy kręciły się i bawiły, gaworząc i machając do siebie nawzajem rączkami. Zaczęła jeść lunch, przyglądając się im i jeszcze raz analizując swój plan. Było w nim tyle niewiadomych... że gdyby nawet był dwukrotnie lepszy, i tak miałyby tylko jedną na sto szansę powodzenia.

Bliźniak z ciemniejszymi włosami znalazł liść i z wielkim trudem próbował go podnieść. Ponieważ przestał zwracać uwagę na brata, rudzielec włożył do ust stopę i zaczął marudzić, patrząc wyczekująco na matkę. Zanim Brun skończyła jeść, gdzieś w jej umyśle rozległ się głos stanowiący połączenie jej własnego głosu i głosu Esmay: No dobrze, zrobmy to.

Od kiedy chłopcy byli więksi, karmienie obu naraz stało się trudne, ale przywykła do tego. Oparła się o drzewo i pozwoliła myślom odpłynąć... Za niecałe siedem dni będzie gdzie indziej.

Może zginie... bo nie zamierza dać się schwytać żywcem. Jej umysł podsuwał obrazy z

przeszłości: wzgórze, doliny, lasy, pola, plaże, wyspy, skaliste zbocza. Ładowisko promów na Rotterdamie, prom rozpędzający się na pasie startowym, a potem wznoszący się w górę, coraz bardziej czerniejące niebo...

Potrząsnęła głową. Pora podać bliźniakom alkohol. Dodała do niego trochę miodu, żeby był słodszy, i zaczęła wlewać dzieciom kroplami do ust. Rudzielec skrzywił się i parsknął, ale po chwili obaj pili już bez protestu.

Nie miała pojęcia, ile im tego dać. Czy do uspienia niemowlaka potrzeba łyżeczki czy filiżanki? Dzisiaj da im niewiele; nie chciała, żeby ktokolwiek zauważył i zaczął się o nie martwić. W końcu chłopcy przestali ssać i zaczęli zasypiać. Ostrożnie położyła maluchy na kocykach. Kiedy tak spały... pomyślała, że mogłaby je... Ale nie, nie teraz. Powtórzyła to, co już mówiła sobie wiele razy: dzieci będą kochane, pieszczone i świat stanie przed nimi otworem, ponieważ są chłopcami. Fakt, że ich matka była pogańską obrzydliwością spoza planety, nie będzie miał wpływu na ich przyszłość.

Tak właśnie będą wyglądać – rozczulająco i pięknie – gdy zostawi je tutaj w dniu targowym po dniu świątecznym. Wpatrywała się w nich przez dłuższą chwilę. Musi ich zostawić... i robi to.

Podniosła się i zapięła sukienkę. Wyciągnęła ukryty wcześniej nóż i obróciła go w dłoniach. Mogłaby iść nawet w tej chwili... ale nie, lepiej trzymać się planu. Za to mając nóż, na pewno może coś zrobić. Jeśli zginie – a jest to bardzo prawdopodobne – jej rodzina nawet nie będzie wiedziała, że tutaj była. Zostawi jakiś ślad, który ktoś kiedyś może zauważy.

Oстрым czubkiem noża do obierania warzyw wycięła na drzewie, pod którym leżały dzieci, swoje imię i nazwisko, ale tak cienkimi kreskami, aby dopiero znacznie później dało się odczytać.

Chciała napisać coś więcej. Miała ochotę poznać tym nożem każde drzewo, wyrzucić z siebie to, co tak długo ją dławilo... jednak powstrzymała się. Dość uzalania się nad sobą. Następnego dnia musi spróbować wspinaczki po murze, żeby sprawdzić swoje siły. Odcięła kawałek włóczki, przywiązała ją do ostrza i powiesiła nóż na szyi, a potem wyciągnęła przygotowane wcześniej pasy materiału. Kiedy przyjdzie czas ucieczki, tej prawdziwej, owinie nimi piersi...

Rzuciła śpiącym dzieciom ostatnie spojrzenie i podeszła do muru. Obejrzała się, żeby mieć pewność, że nikt nie przygląda się jej spomiędzy drzew. Była to najspokojniejsza pora dnia, tuż po lunchu. Miała nadzieję, że po drugiej stronie muru też nikogo nie będzie. Bo gdyby ktoś był... i ją zobaczył... Zawahała się.

Dzisiaj to nie jest jeszcze ten dzień, lepiej nie wspinać się na mur, bo jeśli ją schwytają nie przygotowaną, byłaby to katastrofa.

Spojrzała na dzieci. Wciąż spały. Kiedy odwróciła się z powrotem w stronę muru, z góry patrzył na nią jakiś mężczyzna.

Brun znieruchomiała.

– Brun? – zapytał cicho.

Jej serce zamarło, a potem zaczęło szaleńczo bić. Ktoś, kto zna jej imię – kto wymówił jej imię – musiał przybyć na ratunek.

Kiwnęła głową.

– Czy możesz się wspinać?

Znów kiwnęła głową i wtedy w jej stronę poleciał kłęb brązowego materiału. Przerazona, odskoczyła do tyłu.

– Załóż to. Zakryj sukienkę i włosy. Niewiele osób ma tak jasne włosy. Potem zaczekaj, aż

zawołam; pilnuję, aby nikt tędy nie jechał. Nie zabieraj dzieci, będą tu miały dobrą opiekę.

Dzieci. Dała im tylko po kilka kropli mikstury; czy będą wystarczająco długo spać? Podbiegła do nich, nałala trochę posłodzonego miodem alkoholu na dłoń i przysunęła do ich ust. Dzieci natychmiast zaczęły ssać jej palce. Potem wciągnęła na siebie otrzymany od mężczyzny strój – jakąś pelerynę z kapturem, zbyt ciepłą na taki dzień – i wróciła biegiem do muru. Jak to dobrze znowu mieć nie spętane wąską spódnicą nogi, pomyślała. Czekając, zaczęła zastanawiać się, jak przekazać mężczyźnie, że muszą znaleźć Hazel i dziewczynki. Nie może bez nich uciec; jeśli nie może uratować przed tym światem własnych dzieci, musi ocalić przynajmniej tamte.

– Teraz – usłyszała szept. Mur nie był zbyt wysoki i wspięła się na niego z łatwością. Potem owinęła się peleryną i zsunęła na ziemię, podtrzymywana przez mężczyznę.

– Dzieci są za murem? – zapytał. – Kiedy zaczną płakać?

Jak ma mu odpowiedzieć? Pokazała gestami picie, a potem spanie. Kiwnął głową.

– Chodź ze mną – powiedział. – Musimy dojść do samochodu. – Chwycił ją za ramię. – Patrz w dół – przypomniał jej. Brun niechętnie spuściła wzrok na chodnik i ruszyła za mężczyzną. Nie chciała spierać się z nim na ulicy, gdzie ktoś mógłby ich zobaczyć, ale musiała go przekonać do zabrania Hazel.

Mężczyzna zatrzymał się przy zaparkowanym między innymi pojazdami samochodzie. Otworzył drzwi kierowcy, a po chwili także tylne drzwi.

– Wsiadaj – rozkazał. Spojrzała mu w twarz i wypowiedziała wargami „Hazel”. Mężczyzna zbladł. – Patrz w dół! Wsiadaj – powtórzył – zanim ktoś zauważy.

Wsunęła się na tylne siedzenie, a gdy tylko mężczyzna zamknął swoje drzwi, poklepała go po ramieniu. Odwrócił się.

Hazel.

– Nie rozumiem. O co ci chodzi?

Cholerny idiota. Jak w takich sytuacjach Lady Cecelia mogła powstrzymać gniew? Na siedzeniu obok mężczyzny leżała mapa i notes z piórem. Wyciągnęła rękę, chwyciła je i napisała dużymi literami: ZABIERZ HAZEL, a potem: DOM RANGERA BOWIE. Przeczytał i jeszcze bardziej zbladł.

– Nie możemy tego zrobić! Nikt tam się nie dostanie. Do diabła, kobieto, chcesz wydostać się z tej planety czy nie?!

Jeszcze raz postukała palcem w słowa ZABIERZ HAZEL, patrząc mu z wściekłością w twarz.

– Zresztą kim, u diabła, jest ta Hazel?

DZIEWCZYNA ZE STATKU. JĄ TEŻ TRZEBA UWOLNIĆ.

– Nie mogę tego zrobić – oświadczył, uruchamiając samochód.

– Teraz siadaj, a ja zabiorę cię w przygotowane... – Przegroda między nimi zaczęła się podnosić. Brun rzuciła się do przodu i oparła na niej całym ciężarem ciała. Przegroda zatrzymała się i uruchamiający ją mechanizm zaczął wyc.

– Do tyłu, ty idiotko. – Nie zważając na słowa mężczyzny, Brun zaczęła przeciskać się na przednie siedzenie. Z przodu okna samochodu nie były zmatowione. Mężczyzna wyjechał z parkingu i przyspieszył. – Bogowie, gdyby cię tu zobaczyli...

Podsunała mu pod nos kartkę ze słowami ZABIERZ HAZEL.

– Mówię ci, że nie mogę! Pięciu Rangersów to najpotężniejsi ludzie w mieście, odkąd Mitch Pardue został wybrany Rangerem Bowie. Nie mogę tam wejść i zabrać jakąś głupią dziewczynę.

Mam ciebie, za to mi zapłacono.

Brun spojrzała na przyrządy sterownicze samochodu, na ruchy mężczyzny, gdy skręcał, zwalniał i znów przyspieszał, a potem wykonywał kolejny skręt. To bardzo proste. Chwyliła za kierownicę i ostro szarpnęła, tak że samochód omal nie uderzył w inny pojazd.

– Do diabła! Kobieto! Nic dziwnego, że odebrali ci głos; niebiosa wiedzą, co byś powiedziała, gdybyś tylko mogła!

Zacząła szybko pisać w notatniku. ZABIERZ HAZEL. TO DZIEŃ TARGOWY – ONA WYCHODZI. TARG KOŁO DOMU RANGERA BOWIE. Wyciągnęła rękę i podetknęła mu notatnik pod nos. Samochód znów się zatoczył, więc opuściła kartkę niżej, żeby mógł czytać i jednocześnie patrzeć na drogę.

– Nie mogę tego zrobić. To zbyt niebezpieczne. Wszystko mam już zaplanowane.

Wcisnęła mu palec głęboko do ucha i przystawiła do krocza nóż. Samochód zatoczył się wściekle, zanim znowu znalazł się po właściwej stronie ulicy.

– Rzeczywiście jesteś szalona. Dobrze, przejedziemy obok domu Rangera Bowie. I tego cholernego targu. Ale musisz wrócić do tyłu. Jeśli ktoś cię zobaczy... – Zerknął na nią, a ona wyszczerzyła zęby. – No dobrze, powiedziałem, że to zrobię. Ale jeśli przez ciebie zginiemy...

Brun przeniosła się z powrotem na tylne siedzenie, upewniając się, że przegroda nie podniesie się, jeśli w ogóle nie została uszkodzona. Przystawiła nóż do karku kierowcy. Nie na wiele jej się to zda, bo nie jest wystarczająco silna, by przebić mu kręgosłup, ale uznała, że trzymanie noża na gardle byłoby zbyt widoczne.

– Powiedzieli mi, że jesteś dzika, ale nie ostrzegli, że szalona – mruknął mężczyzna. Brun uśmiechnęła się. Nie wiedzą, co jej zrobiono, bo inaczej orientowaliby się, do czego jest zdolna.

– To dom Rangera Bowie – stwierdził w końcu mężczyzna.

– Był to jeden z pięciu wielkich domów ustawionych wokół placu, na środku którego była olbrzymia pięcioramienna gwiazda zrobiona z kwiatów i trawy. Nawet ładna, jeśli ktoś akurat nie zamierzał uciec z tego miejsca.

– Ranger Houston, Ranger Crockett, Ranger Travis i Ranger Lamar. Ranger Travis jest w tej chwili Kapitanem. Targ najbliżej domu Rangera Bowie jest na tej ulicy. A drzwi dla kobiet są tam, widzisz?

Brun zauważyła zacienioną niszę w długim tynkowanym murze. Kiedy przejeżdżali obok, dostrzegła w niej drzwi i niewielką wnękę dla strażnika. Minęli jedno skrzyżowanie, potem następne... i natknęli się na rozciągniętą między pacholkami linę.

– Tam jest targ i nie można wjeżdżać samochodami. Ty też nie możesz tam iść. Widzisz więc, że nic nie możemy zrobić.

Brun przesunęła czubek noża tuż poniżej jego ucha. Drugą ręką sięgnęła po pióro i notes i napisała: JEDŹ W KÓŁKO, SZUKAJ DALEJ.

Przy trzecim okrążeniu Brun zauważyła idącą w stronę domu Rangera Bowie kobietę niosącą w obu rękach koszyki. Coś w jej szybkich krokach przyciągnęło jej uwagę. Klepnęła kierowcę w ramię.

– To ona? – Podjechał bliżej.

Trudno stwierdzić... Ciemna głowa pochylona w dół, szczupłe ciało sunące krótkimi, szybkimi

kroczkami wymuszonymi przez wąską spódnicę. Ale gdy samochód podjechał bliżej, Brun dostrzegła poważną twarz i wysuniętą do przodu dolną wargę.

Znów mocno klepnęła mężczyznę w ramię.

– Będę tego żałował, wiem, że tak będzie – mruknął, ale zatrzymał samochód przy krawężniku i wysiadł.

– Ty, dziewczyno. – Hazel zatrzymała się z oczami wbitymi w ziemię. – Jesteś z domu Rangera Bowie? – Kiwnęła głową. – Mam do ciebie sprawę. Wsiadaj. – Otworzył tylne drzwi. Brun czuła zmieszanie dziewczyny, prawie panikę. – Pospiesz się – pogonił ją. – Mam powiedzieć Mitchowi, że jesteś leniwa? – Wsiadła do samochodu, nadal nie patrząc na mężczyznę, i dopiero w tym momencie zobaczyła uśmiechającą się szeroko Brun. Kierowca wskoczył z powrotem do pojazdu i mrużąc coś pod nosem, próbował podnieść przegrodę, ale mechanizm tylko zawarczał i przegroda nawet nie drgnęła.

– Schylcie się – powiedział i szybko ruszył.

– Brun... Co... Gdzie... – Głos Hazel był cichy jak lot motyla.

Brun powiedziała wargami „ucieczka”, ale Hazel pokręciła głową, więc złożyła dłoń w kształt rakiety i podniosła ją w górę, imitując start. Hazel otworzyła szeroko oczy, potem uśmiechnęła się.

– Naprawdę? – Zaczęła podskakiwać z podniecenia, ale głos nadal miała cichy. – Próbowałam wymyślić jakiś sposób... Dowiedziałam się, gdzie jesteś, i powiedziałam Prostocie tyle, ile mogłam bez pakowania się w kłopoty, mając nadzieję, że cię zobaczy.

Brun pokiwała głową i pokazała gestami samochód dowożący je do rakiety. Nie wiedziała, czy tak wygląda plan – wciąż nie знаła planu – ale z pewnością taka była jego istota. Potem wskazała notatnik i napisała: **DZIEWCZYNKI**.

– Nie możemy ich zabrać – odpowiedziała Hazel.

TAK.

– Nie, nie możemy; już wcześniej zdecydowałam, miesiąc temu. Są tu szczęśliwe, bezpieczne, a zresztą i tak nie udałoby się uciec razem z nimi.

Brun wbiła wzrok w Hazel. To... dziecko zdecydowało? Ale wyraz twarzy Hazel wskazywał, że już nie jest dzieckiem.

– A co z twoimi dziećmi? – zapytała.

Brun wzruszyła ramionami i napisała: **NIE MOGĘ ICH ZABRAĆ. ZBYT DUŻE RYZYKO. SĄ ZA MAŁE**.

– Widzisz? Tak samo jak Brandy i Stassi. Nie możemy tego zrobić.

– Dobrze, że chociaż jedna z was ma trochę rozumu – odezwał się kierowca. – Ale... mamy mały problem. Chciałem przebrać Brun za mężczyznę. Mam dla niej schowane pod siedzeniem ubrania, ale nie wiem, co zrobić z... Hazel.

Brun wymówiła wargami słowo „zakupy” i kiwnęła głową w stronę kierowcy. Hazel wyglądała na mocno przestraszoną, ale w końcu odważyła się i odezwała cienkim głosem.

– Brun mówi, żeby kupić i dla mnie.

– Kupić! A niby jak miałbym się zatrzymać i coś kupić?

Ale zaparkował samochód kilka ulic dalej i wszedł do jednego ze sklepów. Brun zauważyła przez szybę, że wybiera niebieskie spodnie, brązową koszulę i wysokie buty, jakie nosi większość

mężczyzn, oraz kapelusz. Po powrocie do samochodu uruchomił silnik i rzucił ubrania do tyłu.

– Przebierzcie się i schowajcie sukienki pod siedzenie. Pozbędę się ich później. Musicie też ściąć włosy, ale nie tutaj; nie możemy zostawić w samochodzie żadnych śladów. Mam dla was noże.

Podczas gdy samochód jechał najpierw przez miasto, a potem nierówno brukowaną terenową drogą, dziewczyny zmagaly się z ubraniami. Hazel pomogła Brun ciasno obwiązać piersi, a potem Brun oderwała pas materiału z dołu swojej spódnicy i także owinęła piersi Hazel. Wciśnięcie się w długie spodnie tak, by nikt ich nie zauważył z jadących obok samochodów, wymagało położenia się na siedzeniach... i na sobie nawzajem.

Najtrudniej było założyć buty z twardej skóry na stopy, które od ponad roku chodziły boso. Wszystko to byłoby zabawne, gdyby tak bardzo nie bały się schwywania, ale mimo to zaczęły chichotać, gdy w końcu udało im się wepchnąć sukienki pod siedzenie. Brun nie śmiała się tak od chwili schwywania, i choć nie potrafiła wydobyć z siebie żadnego dźwięku, ten śmiech ją odprężył.

Pomyślała, że Hazel znów wygląda jak prawdziwy człowiek. Siedziała pochylona do przodu, z oczami błyszczącymi podnieceniem i nie zasłoniętą włosami twarzą. Spodnie były na nią trochę za luźne, a rękawy koszuli zbyt krótkie, jakby z niej wyrosła. Hazel spojrzała na nią i uśmiechnęła się, a potem podniosła kapelusz Brun i upchnęła pod nim włosy dziewczyny. Brun czuła, że jej spodnie także są za luźne, ale wszystko było lepsze niż krępująca ruchy sukienka.

Kierowca zerknął do tyłu.

– Raczej nikt nie powinien nas tutaj zobaczyć – stwierdził. – Muszę przyznać, że faktycznie wyglądacie inaczej. Nie przeszkadza wam noszenie męskich ubrań?

Brun pokręciła głową.

– To dobrze, bo będą szukać dwóch kobiet w sukienkach, a nie dwóch mężczyzn. Pamiętajcie, że musicie teraz chodzić jak mężczyźni: stawiać duże kroki i patrzeć innym prosto w oczy. Podwiozę was jeszcze jakąś milę... – Brun nie wiedziała, co to znaczy; wciąż jeszcze nie rozpracowała wielkości stóp, cali i jardów. – A potem będziecie musiały dotrzeć pieszo do tamtych wzgórz. – Wskazał na linię pagórków w oddali. – Jak tylko przestaniecie być widoczne, zetnijcie włosy, ale naprawdę krótko, żebyście mogły zdejmować kapelusze bez obawy, że ktoś rozpozna, iż jesteście kobietami. Pamiętajcie, że należy zdejmować kapelusz przed kobietami, nawet jeśli nie mogą tego zobaczyć; tego wymaga uprzejmość.

* * *

Mapa, którą im wręczył wraz z manierką i pakietem żywności, miała im pomóc w dalszej podróży. Brun przyjrzała się jej i uśmiechnęła z ulgą. Ktoś oznaczył ją w standardowych jednostkach, a nie w tych idiotycznych milach używanych na planecie. Ktoś napisał też na niej pismem, które chyba rozpoznała, „Brun, jesteśmy tutaj”.

Droga wiodła w stronę wzgórz. Po kilku niepewnych krokach Brun wreszcie nauczyła się chodzić w tych śmiesznych butach.

Hazel zataczała się i krzywiła, ale dzielnie szła obok niej.

Po niecałych stu metrach weszły w gęste krzaki i przestały już być widoczne z drogi. Brun wykonała dłonią gest naśladujący cięcie nożyczkami, a Hazel kiwnęła głową. Czas zająć się fryzjerstwem.

Potem Brun dała znać gestami, że muszą pozbierać obcięte włosy.

Nie miała pojęcia, co z nimi zrobić, ale nie zamierzała zostawiać za sobą tak oczywistych śladów. Nagle przypomniały jej się wykłady z kursu Uników i Ucieczki. Zwinęła kłęb włosów w odpowiedniej wielkości kulkę, wcisnęła ją do jednej z dodatkowych skarpet i włożyła w spodnie. Na ten widok Hazel aż zakrztusiła się ze śmiechu. Brun wzruszyła ramionami i przeszła parę metrów dumnym krokiem. Jesteśmy mężczyznami, potrzebujemy męskich atrybutów, pomyślała. Dla Hazel pozostało mniej włosów, ale dzięki temu wyglądała bardziej jak chłopiec niż mężczyzna.

Ruszyły dalej. Buty, które kupił im kierowca, były niewygodne; lepiej byłoby iść boso, ale mężczyźni tak nie chodzą. Co za głupi ludzie, pomyślała Brun. Tylko naprawdę głupi ludzie przydzielają obuwie według płci i pokonują większe odległości w takich butach.

Hazel miała ochotę mówić, ale Brun jej zabroniła. Głos na otwartej przestrzeni niesie się daleko, a miękki głos dziewczyny zupełnie nie przypominał chłopięcego głosu. Brun nie wiedziała nawet, czy w razie czego Hazel potrafiłaby udawać młodego mężczyznę, ale wołała bez potrzeby nie próbować.

Kiedy nagle usłyszały męskie głosy, Brun spojrzała Hazel w oczy, podniosła wysoko podbródek i z pewną miną pomaszzerowała naprzód. Zza najbliższego zakrętu wyłoniło się dwóch mężczyzn, ubranych bardzo podobnie do nich; jeden z nich niósł na plecach niewielki pakunek. Mężczyźni skłonili się lekko i przeszli w milczeniu, a Brun poczuła, że zaczyna się trząść, ale Hazel złapała ją za ramię i mocno ścisnęła. Brun kiwnęła głową i nie oglądając się, poszły dalej.

Przebyły pierwsze wzgórze i były w pół drogi do drugiego, gdy Brun poczuła ból w piersiach. Zerknęła na niebo. Niech to szlag. Bliźniaki będą się już budzić i zaczną płakać, o ile ktoś już ich nie znalazł.

– Co się stało? – zapytała cicho Hazel. Brun przyłożyła dłonie do piersi i skrzywiła się. – Obrzmiałe? – Brun pokiwała głową.

Piersi bolały ją coraz bardziej; czuła, że już dłużej tego nie wytrzyma, podobnie jak bólu stóp.

Muszę wytrzymać, pomyślała, najważniejsze, że jestem tutaj.

Odetchnęła głęboko, do samego dna płuc, świeżym górskim powietrzem. Prędzej zmieni swoje stopy w krwawą miazgę i pozwoli piersiom eksplodować niż wróci do tego żalostnego żłobka.

– Tęsknisz za dziećmi? – zapytała Hazel.

Brun gwałtownie potrząsnęła głową. Hazel wyglądała na zaszokowaną i Brun zaczęła żałować swojej reakcji, ale... taka była prawda. Gdyby to były czyjeś inne dzieci, mogłaby coś do nich czuć, ale tych nie lubiła.

Przed zachodem słońca dotarły do zaznaczonej na mapie polany. Tam miały – a właściwie to ona miała – kogoś spotkać.

Mężczyzna, który wyłonił się z cienia drzew, nie tylko nie spodziewał się Hazel, ale zdecydowanie nie chciał jej zabrać.

– Nie zapłacili mi za dwie – powiedział szorstko. – Co ty tutaj próbujesz wykręcić, laluniu? – Brun wbiła w niego ogniste spojrzenie, a potem wzięła od Hazel notatnik i napisała: ONA TEŻ LECI.

– Nie płacą mi... – zaczął mężczyzna, ale Brun wykonała uniwersalny gest liczenia pieniędzy... i okazało się, że został właściwie zrozumiany, jeszcze raz dowodząc wspólnego pochodzenia wszystkich ludzi, w co ostatnio zdecydowanie zwątpiła. Wskazała na niebo, a potem znów potarła palcami. Pieniądze tam, jeśli nas tam dostarczysz. Mężczyzna splunął.

– Dobra, ale nie chcę słyszeć żadnych narzekać na tłok na promie.

Brun rozejrzała się wokół. Prom tutaj? Nie miałby jak wystartować. Ale mężczyzna już szedł w stronę drugiego końca polany, więc ruszyły za nim.

– Mamy jeszcze spory kawał do przejechania; dobrze, że wziąłem luzaka. Mam nadzieję, że potraficie jeździć – rzekł i wszedł między drzewa, gdzie czekały konie.

Brun jeszcze nigdy tak nie jeździła. Wyobrażała sobie, że będzie galopować tak, jak na polowaniach z ojcem, a tymczasem musiała wyciągnąć obolałe nogi na szerokim, przypominającego sofę grzbiecie kasztanowego konia, ponieważ Hazel, która nigdy nie siedziała na koniu, dostała siodło. Mężczyzna zaklinał się, że nie może jechać na oklep, i nic dziwnego, skoro przyzwyczał się do wyściełanego siodła.

– Na Boga, ty potrafisz jeździć – stwierdził. Brun uśmiechnęła się, choć wcale nie było jej do śmiechu, a on spojrzał na Hazel.

– Ta gorzej – powiedział. Brun obejrzała się. Hazel była przerażona; kurczowo trzymała się gałki sterzącej z przedniego łuku siodła i ścisnęła zwierzę nogami tak, jakby chciała je udusić. Brun pochwyciła jej spojrzenie i gestem wskazała na swoje ciało: Siedź prosto, głowa do góry, rozluźnij nogi.

Jechali przez całą noc, nikogo po drodze nie spotykając. Brun zmieniała pozycję, gdy kolejne miejsca na jej ciele zaczynały krwawić. Tyle razy marzyła, żeby znów nosić spodnie, znów jeździć, ale... Przypomniała sobie stare powiedzenie o tym, że człowiek powinien uważać, o czym marzy.

– Tam jest chata Lema – przerwał jej rozmyślenia mężczyzna.

– A tamtędy dochodzi się do Smoky’ego.

Kiedy pierwsze światło ukazało szczyty drzew na zboczach wzgórz, ich przewodnik zwolnił.

– To już niedaleczko – powiedział. – Tylko kawałek w dół zbocza.

U stóp wzgórza opuścili drzewa i krzewy i wyjechali na długie trawiaste pole kończące się kolejnym stromym wzgórzem.

Brun nie zauważyła niczego przypominającego prom. Czyżby to jednak była pułapka? Ale kiedy mężczyzna poprowadził je skrajem pola, zdała sobie sprawę, że to może być pas startowy. Był dłuższy niż z początku się wydawało; kiedy spojrzała do tyłu, drugi koniec ginał we mgle. Wreszcie zauważyła ukryte w zboczu wrota hangaru. Pod drzewami stała drewniana chata ze szpiczastym dachem, a dalej widać było jeszcze jeden budynek, stodołę i zagrodę z dwoma końmi i żującą siano krową.

Mężczyzna podjechał do bramy w zagrodzie i zeskoczył z konia tak lekko, jakby spędził na jego grzbiecie tylko godzinę, a nie całą noc. Ani Brun, ani Hazel nie potrafiły zsiąść o własnych siłach, więc mężczyzna musiał im pomóc. Słyszając, jak przy tym przeklina, Brun żałowała, że nie może odpowiedzieć mu tym samym. Nie siedziała na koniu od lat, a w tym czasie urodziła bliźniaki, więc czego się spodziewał po całonocnej jeździe na oklep? Była pewna, że starła sobie całą skórę z ud i pośladków. Jeśli chodzi o Hazel, to dziewczyna nigdy jeszcze nie siedziała na koniu. Będą miały szczęście, jeśli za kilka godzin w ogóle będą w stanie chodzić.

W chatce cała trójka dostała śniadanie przygotowane przez tęgą kobietę. Gospodyni ani razu na nich nie spojrzała i nie odezwała się ani słowem, tylko ustawiła przed nimi talerze i pilnowała, by były pełne. Brun była wściekła, ale przecież nie mogła zabrać ze sobą wszystkich kobiet z tej planety. Wróć tu, przysięgła sobie, kiedyś tu wróć.

Po śniadaniu Brun zdołała jakoś wstać i podała Hazel rękę. Tymczasem mężczyzna już otworzył drzwi hangaru. Brun uśmiechnęła się szeroko. Stał tam niewielki prom wielozadaniowy, tego samego typu, jakiego używała, gdy Lady Cecelia wysłała ją z powrotem do Rockhouse. Gdyby musiała, mogłaby sama nim polecieć. Przez chwilę pomyślała nawet o tym, żeby pozbyć się mężczyzny, ale nie miała pojęcia, jak zamierzał przemknąć się przez Kontrolę Ruchu... jeśli w tym miejscu w ogóle coś takiego mieli. Ale na pewno posiadają samoloty bojowe, a z nimi nie miała ochoty się spotykać.

Z dużym trudem Brun pomogła Hazel wspiąć się po wąskiej drabince na prom. Mężczyzna zajął się już urządzeniami sterowniczymi; rzucił Brun gniewne spojrzenie, gdy ta przeszła do przodu i usiadła w fotelu drugiego pilota.

– Niczego nie dotykaj! – powiedział ostro. Dziewczyna rozejrzała się po kabinie. Wszystko wyglądało tu tak samo jak na statku Coreya. Choć nazwy jednostek miar były dziwne, potrafiła zidentyfikować większość instrumentów. Mężczyzna sprawdzał znaną jej listę kontrolną.

Niewielki pojazd ruszył, podskakując na wybojach, wyjąc silnikami i z każdym metrem nabierając prędkości. Drzewa na drugim końcu pola zbliżały się zbyt szybko... choć Brun pamiętała, że na Rotterdamie sunęli znacznie szybciej. Nagle prom wzbił się w powietrze jakby podniesiony dźwigiem.

– Skrócony start – powiedział mężczyzna, szczerząc zęby. – Zaskoczyłem cię, co? Potrzebuję o jedną trzecią krótszego pasa startowego i przy starcie może podskoczyć na sto stóp.

Przez okna kokpitu wlało się światło słońca. Brun przyglądała się panelom kontrolnym; przez cały czas pobytu na planecie jej umysł był głodny czegoś prawdziwego, jakiejś pracy. Obejrzała się na Hazel; dziewczyna uśmiechnęła się do niej szeroko, wskazując na zegary. Tak, to dziecko kosmosu i trawi ją ten sam głód.

Potem zaczęła patrzeć w dół, na niknące w dali cieniste doliny i góry. Wyżej między wzgórzami wiała się rzeka, a nad nią unosiły się niczym kłębki wełny pasma mgły. Pojazd wspinał się ostro w górę i z każdą minutą pole widzenia poszerzało się. Tam powinno być miasto, z którego uciekły. Tak, jest, mniejsze niż się spodziewała, choć lądowisko było dość duże, by przyjąć tuzin promów.

Zaskrzeczało radio; pilot powiedział coś do mikrofonu, ale w kabinie panował taki hałas, że Brun nie usłyszała słów. Byli wyżej, coraz wyżej... Jasne poranne niebo znów pociemniało.

Wskaźnik, który musiał być altimetrem, przesuwał się o tysiące i dziesiątki tysięcy, ale Brun nie wiedziała, w jakich jednostkach był wyskalowany. Zbliżył się do sześćdziesięciu tysięcy czegoś, a kiedy je przekroczył, pilot podciągnął pojazd jeszcze wyżej i wcisnął klawisz po lewej stronie kokpitu. Przyspieszenie wcisnęło ją z ogromną siłą w fotel, a z tyłu dobiegł potężny ryk. Niebo szybko zrobiło się czarne i pojawiły się gwiazdy.

Zauważyła w dole smugę oświetlonych słońcem gazów i pilot wrzasnął coś do mikrofonu. Smuga zakręciła, a mężczyzna wskazał na przednie okno. Brun wyjrzała, ale niczego nie było widać.

– Na dziesiątej minus trzydzieści... ich stacja kosmiczna – powiedziała Hazel i poklepała japo ramieniu. Wtedy ją dostrzegła, przesuającą się na tle olbrzymiej białej chmury wokół planety w dole. Była tam... a teraz jest tutaj. Wolna. Albo prawie wolna.

Mężczyzna podał Brun zestaw słuchawkowy. Teraz wreszcie mogła go słyszeć.

– Przechodzę z silników startowych na układowe, mamy z kimś się spotkać. Nie wiem, czy to cywil, czy wojskowy. Podali mi kody do wykorzystania.

Statek szarpnął przy przechodzeniu z jednego rodzaju napędu na drugi, a potem zaskoczyło sztuczne ciężenie; poczuła się niemal tak, jakby siedziała w promie na powierzchni planety. Było

cicho, dochodził do niej tylko lekki szum układów wentylacji.

Zerknęła w tył, na Hazel, która uśmiechała się od ucha do ucha.

Potem wyjrzała na błyszczące niezmiennie gwiazdy... ale nie potrafiła rozpoznać ich geometrii. W jakim są układzie?

– Możecie teraz przespać się, statek jest na autopilocie – stwierdził mężczyzna. Wyłączył cały zestaw urządzeń zbędnych przy tego typu napędzie i powiesił na haku słuchawki. – Ja też to zrobię. – Zamknął oczy i rozparł się w fotelu.

Brun zsunęła swoje słuchawki na kark, ale nie poszła za jego przykładem. Stawka była zbyt wysoka.

– Jestem naprawdę zmęczona – wyszeptała Hazel. – A moje nogi...

Brun przekazała jej gestem „śpij”, a potem przyglądała się, jak dziewczyna zasypia. Mężczyzna chrapał, wydając tak skomplikowane dźwięki, że była pewna, iż nie może udawać. Wzięła w dłonie drążki, ale nie poruszył się.

A więc wreszcie jest w drodze... Dotknęła swoich noży, przypominając sobie, że nie zamierza znów dać się złapać, gdyby cokolwiek poszło nie tak. Ale gdzieś tutaj czeka Flota. Była pewna, że to Flota; ojciec nie zaryzykowałby niczego innego, mając przeciwko sobie całą planetę. Miała nadzieję, że jest gdzieś niedaleko i że na czekających na nią statkach nie ma niejkiej porucznik Esmay Suizy. Jeszcze nie była gotowa spotkać się z nią.

Minęła godzina, potem kolejna i jeszcze jedna. Brun ziewnęła.

Gdyby miała jakieś stymulanty, połknęłaby je. Była zła na siebie za zjedzenie tak obfitego śniadania. Znowu ziewnęła... i zaczęły jej się zamykać oczy. Spojrzała na swoich towarzyszy. Mężczyzna chrapał teraz nieco inaczej, ale równie głośno. Hazel spała elegancko jak kot, zwinąwszy się na siedzeniu z tyłu. Brun próbowała zmieniać pozycję, głęboko oddychać... ale ciepło i bezruch spowodowały, że mimo wszystko usnęła.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Obudziła się gwałtownie z uczuciem, że coś jest nie tak. Byli w nieważkości... a przecież lecieli na silniku układowym, z włączonym sztucznym ciężeniem. Pilot nie spał i przełączał kontrolki na głównym pulpicie. Brun obejrzała się na Hazel; ona również nie spała, wisiła głową w dół na półce, na której wcześniej się zwinęła. Klepnęła japo ramieniu i kiwnęła głową w stronę pilota.

– Co robimy? – zapytała zdenerwowana Hazel.

– Koniec trasy, dziewczuszki. Rozmawiałem z nimi tam... – Brun wyjrzała i dostrzegła jakiś ciemny kształt zasłaniający gwiazdy.

– Nie potrafiła stwierdzić, jak daleko się znajduje, ale nie miała wątpliwości, że ma przed sobą owoidalny okręt. Czy to Flota? – Dostanę od nich więcej niż od waszych ludzi. Zgodziłem się przewieźć ohydztwo, ale nie zgadzałem się na uciekinierkę z domu Rangera Bowie.

A więc to nie Flota. Żołądek Brun skurczył się do wielkości orzeszka. Pilot rzucił im krzywy uśmiezek i otworzył usta, by przemówić do mikrofonu. Brun wybiła się z fotela, obróciła w powietrzu i obiema stopami uderzyła go w bok głowy. Hazel pisnęła przerażona, ale za chwilę odepchnęła się od półki i chwyciła mężczyznę za szyję, przyciskając go do fotela, podczas gdy Brun oswobadzała się z kabli i pasów, w które zaplątała się w czasie szybkiego ataku.

– Co zrobimy, jeśli on... – zaczęła Hazel, kiedy mężczyzna uwolnił się spod jej ramienia i próbował ją chwycić. Tymczasem Brun już wyciągnęła nóż i... wbiła mu pod żebra, a potem pociągnęła w górę, tak jak ją uczono. Mężczyzna jeszcze chwilę walczył, a potem znieruchomiał... Potężne ostrze dużego noża sięgnęło aż do jego serca.

Brun spojrzała na kredowobiałą twarz Hazel. Nie ma teraz czasu na szok. Zaczepiając stopą o fotel, odpięła uprząż pilota i zaczęła wyciągać go z miejsca. W ślad za mężczyzną popłynęły krople krwi.

– Potrafisz pilotować? – zapytała Hazel. Brun uśmiechnęła się i kiwnęła głową, a potem wsunęła się w fotel. Hazel przepłynęła nad ciałem pilota, który wciąż jeszcze wydawał jakieś ciche dźwięki, opadła na miejsce drugiego pilota i szybko przypięła się pasami.

Silnik układowy... Gdzie jest sterowanie? Nie chciałyby wlecieć wprost na wrogi okręt. Gestem wskazała Hazel, aby ich obróciła i skierowała równolegle do osi okrętu bojowego, w tę stronę, gdzie, jak miała nadzieję, jest rufa. Hazel dotknęła kontrolki i gwiazdy szybko obróciły się. Tymczasem Brun odszukała czarny kwadrat uruchamiający silnik układowy. Wcisnęła go. Nic się nie stało... Ach tak, trzeba zwolnić bezpiecznik. Spróbowała jeszcze raz. Zwolnienie, rozruch, włączenie silnika... i nagłe uniesienie się krążących w kokpicie przedmiotów powiedziało jej, że znów się poruszają. Teraz ciężenie... Jedna dziesiąta... i śmieci opadły, a wraz z nimi ciało pilota uderzyło o pokład. Niewielka czerwona kulka przesunęła jej się przed oczami i przywarła do koszuli. To krew, krew pilota.

Nagle pomyślała, co by się stało, gdyby w stanie nieważkości poderznięła mu gardło. Utonęłyby we krwi...

Może wróciło jej szczęście. Ale nie zamierzała na nie liczyć.

Podciągnęła silnik układowy. Jeśli właściwie zrozumiała, pilot był szmuglerem czy kimś takim, a jego prom miał podkręcony silnik, być może nawet powyżej strukturalnych limitów statku. Odszukała wskaźnik przyspieszenia i skalę prędkości, ale cholerne zegary wyskalowane były w mph,

a nie w metrach na sekundę. Mimo wszystko widać było, że prom jest szybki i cały czas przyspiesza.

Hazel dotknęła jej ręki, dając znać, że odnalazła sterowanie skanem. Pojawiły się dwa ekrany: układowy i lokalny. Widoczny na lokalnym ekranie sunący za nimi okręt świecił aktywnymi skanami uzbrojenia jak bożenarodzeniowa choinka. Brun przypomniała sobie, jak Esmay mówiła, że tak mały statek jak ich prom bardzo trudno trafić... jeśli jest wystarczająco daleko. A więc trzeba jak najdalej uciec, a to wymaga rozwinięcia dużej prędkości.

Jeszcze trochę podciągnęła silnik. Mały statek wciąż sunął pewnie do przodu, ale Corey leciał szybciej. Znowu podciągnęła silnik.

Hazel trąciła ją w rękę. Na ekranie układowym pojawiło się kilka statków ze znaczkami uzbrojenia. Widać było, jak jeden z nich obrócił się i rozpoczął pościg.

Miały niewielką szansę. Wiedziała o tym, ale lepiej zginąć tutaj niż wrócić na dół. Miała nadzieję, że Hazel też tak uważa.

Odwróciła głowę do dziewczyny.

– Będzie ostro – powiedziała Hazel – ale to mi się podoba.

No cóż... Ostro czy nie, to właściwe nastawienie. Brun wskazała na sterowanie napędem, udając, że podciąga go do końca.

Hazel spojrzała na skan i kiwnęła głową. Do diabła, pomyślała Brun, już i tak nie może być gorzej, i przesunęła regulator do samego końca. Silnik przeszedł z głębokiego do wysokiego buczenia, a potem prom zaczął wibrować.

Tymczasem na skanie tuż za nimi pojawił się obraz eksplozji.

Gdyby nie przyspieszyła...

– Mogłybyśmy skoczyć, prawda? – zapytała Hazel. – Te promy są zdolne do skoków.

Mogłyby skoczyć, ale dokąd? W układzie powinien być czekający na nie statek Floty. Gdyby tylko potrafiła go znaleźć...

Kolejny wybuch spowodował, że maleńki stateczek aż zadrżał, gdy odłamki uderzyły w jego minimalne osłony.

– Następny! – ostrzegła Hazel, wskazując na ekran, gdzie pojawił się drugi okręt świecący uzbrojeniem. Nie uda nam się przez to przebić, pomyślała Brun. Trzeba będzie skoczyć. Odszukała sterowanie skokiem i zaczęła sprawdzać listę kontrolną. Obło zawsze powtarzał, żeby tego nie zaniedbywać, bo równie łatwo można zginąć z rąk wroga, jak i z powodu awarii.

– Włączyć komputer nawigacyjny, wybrać cel skoku i prędkość wyjściową... – Prędkość nie była dobra, ale nie miała odwagi zwolnić. Jej dłonie skakały po kontrolkach, aby niczego nie pominąć. Kiedy była już gotowa, klepnęła Hazel w ramię i wskazała na klawisz uruchamiający skok, a potem go wcisnęła.

Nic się nie stało. Wcisnęła jeszcze raz; czasem klawisze zacinają się, jeśli nie są regularnie używane.

– Prosi o kod potwierdzenia – powiedziała Hazel, szturchając Brun i wskazując na boczny panel, gdzie uaktywnił się niewielki wyświetlacz z napisem: PRZED UAKTYWNIENIEM SEKWENCJI SKOKOWEJ WYMAGANE JEST POTWIERDZENIE ROZPOZNANIA GŁOSU.

Brun zasyczała. Nie są w stanie odtworzyć głosu pilota i używanych przez niego słów kodowych. Walnęła pięścią w bezużyteczny klawisz i zajęła się tym, co mogą zrobić.

W systemie, a zwłaszcza w pobliżu planety, było żałośnie mało skał i brakowało księżyców,

które nadawałyby się do wylądowania.

Wykorzystaj taki teren, jaki masz, mówili jej instruktorzy, jednak w kosmosie nie było żadnego terenu. Gdyby mogły wrócić na planetę, ukryłyby się w lasach... ale równie dobrze mogłoby je schwytać przy próbie lądowania. A to byłoby gorsze niż śmierć; prędzej zanurkowałyby w ziemię niż na to pozwoliła. Zerknęła na Hazel. Dziewczyna była blada, ale spokojna, i czekała na to, co zrobi Brun.

W terenie wszystko sprowadzało się do uników i ucieczki, ale w przestrzeni nie mogły uciec przez okrętami i nie miały gdzie się schować. A co by było, gdyby poleciały wprost do zadokowanego do stacji orbitalnej *Elias Madero*? Czy mogłyby dostać się do środka i ukryć w nim? Zanim by je odnaleźli, mogłaby nadlecieć Flota.

Rozejrzała się po kokpicie. Pilot musiał gdzieś mieć mapy lokalnej przestrzeni, żeby nie wpaść na znajdujące się tu obiekty, różne satelity i stacje. Nie zauważyła żadnych, więc wzięła notatnik i napisała LOKALNE MAPY, po czym podała go Hazel.

– Nie wrócimy tam, prawda? – zapytała dziewczyna.

Niezupełnie, pomyślała Brun, i powiedziała wargami „ukryć się”. Hazel chyba zrozumiała, bo kiwnęła głową.

Pomimo maksymalnej szybkości mały statek potrafił zdumiewająco dobrze manewrować. Brun skakała nim na wszystkie strony, cały czas pilnując obrazu na skanerze i wyliczając losową sekwencję, zapamiętaną kiedyś dla zwykłej przyjemności. Uważała też na poziom paliwa; ostre manewry spalały je w zastraszającym tempie.

– Lokalne mapy nawigacyjne na ekranie – powiedziała Hazel.

Były tam małe satelity, duże satelity, stacje kosmiczne – Brun nie miała pojęcia, że mają tu więcej niż jedną stację – oraz spora liczba nie opisanych obiektów. Większość unosiła się na orbitach mniej więcej równikowych, choć było i kilka na biegunowych.

Ich rozmiary wahały się od wielkości ołówka aż do kilku kilometrów średnicy. Potrzebowała czegoś wystarczająco dużego; idealna byłaby stacja orbitalna, ale oczywiście takiej tu nie było.

Hazel nachyliła się i postukała palcem w ekran. Brun zobaczyła coś długiego i wąskiego, znacznie większego od satelity, oznaczonego na mapie dużym czerwonym X. Statek zadrżał, gdy pobliska eksplozja wstrząsnęła jego tarczami. Cokolwiek to jest, będzie musiało wystarczyć. Kiwnęła głową i wskazała na komputer nawigacyjny. Nie potrafiła wyliczyć kursu w pamięci, na dodatek pod nieprzyjacielskim ogniem. Po krótkiej chwili na ekranie nawigacyjnym wyświetlił się kurs wraz z szacunkowym zużyciem paliwa.

Obiekt był bardzo blisko... ale będą musiały zużyć sporo paliwa na wyhamowanie i zbliżenie się do niego znacznie dłuższą spiralą niż Brun miała ochotę, mając za plecami strzelające do nich statki.

Ale jeśli naprawdę ma szczęście, to może dwa wrogie statki zaczną strzelać do siebie nawzajem i rozwiążą problem.

Minuta za minutą mały prom sunął po łuku ku planecie; Brun w każdej chwili spodziewała się jasnego rozbłysku, który mógłby być ostatnim widzianym przez nią obrazem. W tyle – po obu stronach – były nieprzyjacielskie statki, ale już nie tak blisko, jak na początku. Lot w tamtą stronę zajął całe godziny. Ile czasu trzeba na powrót, jeśli odważy się lecieć z całą mocą? Jaka część lotu w tamtą stronę odbyła się bez napędu? Jak długo spała, zanim obudziła się w nieważkości? Nie wiedziała i nie miała czasu o tym myśleć; mogła tylko pilnować skanu i ekranu nawigacyjnego,

robiąc wszystko, by oszczędzać paliwo.

– Jeden odpadł – powiedziała nagle Hazel. Ścigający je statek źle wyliczył przyspieszenie i zniknął z pola widzenia za planetą.

Drugi, dalszy, przypuszczalnie był poza zasięgiem pocisków, gdyż od jakiegoś czasu w okolicy nie widać było żadnych wybuchów.

Inne czerwone ikonki na skanie były dalej i nie sprawiały wrażenia, jakby miały je ścigać. Przydałby się skan poprawiony przez Koutsoudasa; nie wiedziała nawet, jakie są rozmiary tamtych jednostek. Nawet zwykły skaner Floty mógłby jej to powiedzieć, a dodatkowo pozwoliłby jej zlokalizować wszelkie okręty Floty w układzie.

Właściwie może im się udać. Znow zerknęła na wskaźnik poziomu paliwa. Dość, by wyhamować w pobliżu celu... z małym zapasem, dzięki któremu będzie mogła spróbować ostatniego, szaleńczego manewru. Podłączyła autopilota do komputera nawigacyjnego, ufając wszechświatowi na tyle, by pozwolić sobie na chwilę odpoczynku przed zadokowaniem do wraka.

* * *

Mały prom wisiał przytulony do stacji, ukryty za jej roztrzaskanym skrzydłem. Brun miała nadzieję, że nikt z planety ani z kosmosu nie zauważy ich śladu termicznego. Rozejrzała się. Martwy pilot dotykał głową sufitu, utrzymywany w miejscu przez ciąg powietrza z kratki wentylacyjnej.

Potrzebowały kombinezonów próżniowych. Musiały zamienić prom na coś większego, z dużą ilością powietrza.

Potrzebowały cudu.

Twórz własne cuda, mawiał Obłó, a instruktorzy Uników i Ucieczki powtarzali to samo.

Brun znalazła coś, co mogło być szafką na kombinezony, i pokazała ją Hazel. Faktycznie, w środku był poplamiony żółty strój próżniowy. Ale tylko jeden. Hazel najwyraźniej wiedziała, jak sprawdzić kombinezon; przesunęła końcówką czujnika wzdłuż każdego złącza, a potem skontrolowała jeszcze zbiorniki z powietrzem.

– Jest w porządku – stwierdziła. – Oba zbiorniki pełne, co daje nam sześć godzin, jeśli dobrze rozumiem ich zapis.

Sześć godzin dla jednej osoby. Czy Flota może tu dotrzeć w sześć godzin? Mało prawdopodobne. Zapasy powietrza na promie są znacznie większe; miałyby powietrza na cztery do pięciu dni, ale jeśli okręty znajdą prom, to i tak zginą.

A więc najpierw trzeba znaleźć drugi kombinezon.

A potem powietrze.

– Przydałaby się broń – rzekła Hazel, znow zaskakując Brun.

Wydawała się taka uległa, taka słodka... Czy ona naprawdę myśli... Sądząc po jej twarzy, tak.

Po założeniu hełmu Hazel sprawdziła układ łączności. Zdecydowały, że użyje go tylko do zawiadomienia Brun, że wraca. Nie ma sensu informować wszystkich w okolicy, gdzie są, skoro jeszcze ich nie zauważono.

Po wyjściu Hazel Brun skorzystała z okazji, by przeszukać martwego pilota. Jak wszyscy mężczyźni, miał ze sobą mały arsenał: jeden nóż za pasem, drugi w bucie, a trzeci w rękawie, broń pociskową mogącą przetrzeć kadłub – co chciał z tym robić na pokładzie? – igłowiec w bucie i

dwa małe pistolety energetyczne, jeden w rękawie, drugi za pasem na plecach.

Radio zatrzeszczało i rozległ się głos Hazel.

– Niosę kombinezony. – Kombinezony? Czemu w liczbie mnogiej? Brun wysyczała ustalony sygnał potwierdzenia. – Kłopoty... – Cholerna dziewczyna, czemu nie powie więcej... albo nic?

Wkrótce – znacznie szybciej niż Brun się spodziewała – usłyszała sygnał otwierania śluzy i stłumione syki towarzyszące wypełnianiu jej powietrzem. Potem przez wewnętrzny właz wleciał pusty kombinezon próżniowy, sypiąc błyszczącym pyłem z turkusowej powłoki. Turkusowy? Brun obróciła kombinezon i znalazła z przodu plakietkę – *BlueSky Biodesigns* – oraz numer kodowy, którego znaczenia nie potrafiła rozpracować. Zaraz potem pojawiła się Hazel w żółtym kombinezonie pilota, ciągnąc za sobą drugi kombinezon i przymocowane do niego dwa zapasowe zbiorniki powietrza. Kiedy opróżniły śluzę i Brun zamknęła wewnętrzny właz śluzy, a Hazel otworzyła swój hełm.

– Brun, tam jest naprawdę dziwnie. Od razu znalazłam szafkę z kombinezonami, ale ta na butle obok była pusta. Musiałam ich więc poszukać. Jeszcze nigdy nie widziałam takiej stacji.

Brun klepnęła ją w ramię, a kiedy dziewczyna umilkła, napisała: LABORATORIUM. INŻYNIERIA GENETYCZNA.

– No tak, to może wyjaśniać wiele rzeczy. Ale słuchaj, Brun, najdziwniejsze jest to, że wszystkie kombinezony w szafkach na stacji – przynajmniej tych, do których zajrzałam – są przeznaczone dla kobiet. Właśnie dlatego wzięłam dwa. Będzie mi znacznie wygodniej... a z tego, co zauważyłam, mają wszystkie funkcje, jakich nam potrzeba. I znalazłam tam też kobiece ubrania, (normalne kombinezony statkowe. Lepsze od tych naszych szorstkich ubrań, jeśli masz tak samo poobcierane nogi jak ja.

Zanim Brun zdążyła zareagować, Hazel już zaczęła się rozbierać i z dużą wprawą pakować kombinezon. Brun otworzyła jeden z turkusowych kombinezonów; w środku były ubrania: miękkie, w jaskrawych, czystych kolorach. Okazało się, że Hazel zabrała spory zestaw ubrań w różnych rozmiarach i kolorach.

– Jesteś sporo wyższa – rzekła. – Mam nadzieję, że będą dobre.

Krzywiąc się z bólu, ściągnęła z siebie resztę rzeczy, po czym założyła miękkie ciemnozielone ubranie; góra była ozdobiona wzorem z kwiatów i spiral. Brun znalazła dla siebie parę czarnych spodni, które wydawały się dłuższe od reszty, i kremową koszulę, w której bez problemu zmieściły się jej nabrzmiałe mlekiem piersi.

– Czy nie powinniśmy użyć toalety, zanim ubierzemy się w kombinezony? – zapytała Hazel.

Brun kiwnęła głową. Będą potrzebować każdej odrobiny powietrza i wody. Zaczęła zdejmować spodnie, ale okazało się, że jest zbyt zeszywniała i obolała, więc Hazel ofiarowała się z pomocą. Brun złapała za uchwyt i zacisnęła zęby, a Hazel zaczęła ściągać z niej sztywne od krwi spodnie.

– To krew pilota czy twoja? – zapytała.

Brun wzruszyła ramionami. To nie ma znaczenia, spodnie i tak trzeba ściągnąć. Wreszcie Hazel zdołała je zerwać, mamrocząc coś pod nosem.

– Jesteś cała poobcierana odjazdy konno. Nie wiedziałam, że bez siodła jest tak źle, bo byśmy się zmieniały. – Nie potrafiłaby jechać bez siodła, ale Brun doceniała jej intencje.

– Musimy to jakoś opatrzeć – stwierdziła w końcu Hazel.

Chłodne powietrze owiało zranione miejsca i Brun zadrżała z bólu.

Zamknęła oczy i próbowała uspokoić oddech. Nie jest aż tak źle jak wtedy, gdy ją gwałcili i gdy była w ciąży, i ani trochę nie przypomina to porodu. W porównaniu z tym, co przeżyła, to tylko... drobna niedogodność. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się do przyglądającej się jej z troską Hazel. – Znalazłam pakiet medyczny i włożyłam go do drugiego kombinezonu – powiedziała dziewczyna. – To jeden z tych, które zawsze umieszczają w apteczkach przy kombinezonach. – Brun kiwnęła głową, dając dziewczynie do zrozumienia, by robiła to, co trzeba.

Gdyby nie to, że była niema, krzyczałyby z bólu, kiedy Hazel polewała jej rany aerozolem. Ból zdumiewająco szybko zniknął.

Zapomniała już, jak błyskawicznie działają dobre leki. Następnie Hazel rozpyliła antybiotyk w sprayu i warstwę sztucznej skóry, i wreszcie Brun była w stanie wciągnąć na siebie miękkie czarne spodnie.

Potem założyły kombinezony próżniowe; po podłączeniu kanalizacji wszystkie kontrolki zaświeciły zielenią. Brun powąchała powietrze wylatujące z podajnika; niczego w nim wyczuwała, a czujniki statku także twierdziły, że jest bezpiecznie. Potem napełniły zbiorniki na wodę. Brun złożyła pozostałe ubrania i wyścieliła nimi tył swojego kombinezonu, a Hazel poszła za jej przykładem. Wreszcie spakowały całe znalezione jedzenie i schowały je do zewnętrznych kieszeni kombinezonów.

Wszystko to zajęło im znacznie więcej czasu niż Brun się spodziewała, ale według skanerów promu, jeszcze nikt ich nie zauważył. Teraz należało jeszcze zaprogramować autopilota na skuteczną, jak miała nadzieję, akcję osłonową. Ideałem byłoby, gdyby mogły podłączyć się do skanerów promu z wnętrza stacji i wysłać go ze zdalnym sterowaniem. Ale Brun już dawno zrezygnowała z czekania na idealne warunki. Wysła go z opóźnieniem, co da im czas na dotarcie do wnętrza stacji. Tymczasem Hazel zastawiła zewnętrzny włącznik zbiornikiem powietrza na wypadek, gdyby jakiś stary program wciąż działał i chciał go zamknąć, a one musiały dostać się do środka.

Biorąc pod uwagę, jak niewiele zostało im paliwa, Brun nie mogła przygotować bardzo skomplikowanego kursu; musiała też przyjąć, że radary naziemne i tak zdołają określić ich początkową pozycję. Dla uzyskania maksymalnego przyspieszenia zdecydowała się odpalić równocześnie silnik układowy i startowy. Czegoś takiego nie zrobiłby żaden doświadczony pilot, ale był to jedyny sposób, aby prom mógł szybko oddalić się od stacji.

Kiedy skończyła i obie uszczelniły swoje kombinezony, precyzyjnie się przez maleńką śluzę i opuściły prom.

Na zewnątrz panował chaos błyszczących świateł i czarnych cieni. Brun ruszyła za Hazel wzdłuż kadłuba promu do skrzydła stacji.

Dopiero teraz zauważyła, że niedaleko znajduje się dok dla promów; gdyby o tym wiedziała, od dawna byłyby bezpiecznie w środku, bo wszystko wskazywało na to, że można było uruchomić rękawy dla pasażerów. Ale teraz nie było już na to czasu. Hazel prowadziła od jednego uchwytu do drugiego, w stronę włącznika śluz awaryjnej.

Kiedy niemal dotarły na miejsce, uchwyt w dłoniach Brun zadrżał i zaczął wibrować. Obejrzała się. Oba silniki promu ożyły i statek zaczął oddalać się od stacji, wypuszczając z silnika startowego świecące na tle czerni gazy wylotowe. Poruszał się z każdą chwilą szybciej, aż wreszcie wyszedł z cienia w światło słońca, gdzie błyszczał jak wypolerowana igła.

Czy ścigający je dadzą się nabrać na ten manewr? Wykreślony przez nią kurs był ryzykowny nawet dla doświadczonego pilota.

Wymagał ekstremalnych manewrów, aby wyhamować i bezpiecznie wejść w atmosferę, ale była to najprostsza droga ku powierzchni planety, choć istniało niebezpieczeństwo przypalenia się po drodze. Oni nie mają kobiet pilotów, więc mogą sądzić – na to właśnie liczyła – że jest tylko spanikowaną, nie znającą się na technice orbitalnej babą, która stara się jak najszybciej uciec.

W końcu nie na darmo całe życie polowała na lisy.

Rozejrzała się jeszcze raz w poszukiwaniu okrętów bojowych.

Zobaczyła ciemny kształt przysłaniający część gwiazd, a w dole bardziej stożkową sylwetkę promu, odcinającą się od otaczających planetę chmur.

Poczuła, jak jej usta wykrzywają się w pozbawionym radości uśmiechu. Chcą ją złapać, tak? A więc będą mieli niespodziankę...

OSK *Shrike*

Potajemne wprowadzenie grupy uderzeniowej do układu z jednym zmapowanym punktem skokowym wymagało trudnej nawigacji, zwłaszcza że niewiele wiedzieli o systemach obronnych.

Esmay, jako pierwszy oficer *Shrike*'a, po kilka razy sprawdzała każdy z krótkich skoków nadświetlnych, dzięki którym znaleźli się w układzie, korzystając z punktu skokowego w pobliskim – oczywiście w gwiazdnym rozumieniu – systemie. Kiedy wreszcie byli już w układzie, seria mikroskoków z niską względną prędkością wejścia wprowadziła ich niezauważenie na pozycję umożliwiającą obserwowanie ucieczki.

Tkwili tam całe dnie, dobrze ponad ekliptyką, i monitorowali wszystkie transmisje z planety. Reszta grupy uderzeniowej czekała na wszelki wypadek znacznie dalej. *Shrike* uzupełnił załogę o kilku specjalistów, którzy – zdaniem admirała Serrano – mogli poprawić ich szanse na wypadek pojawienia się jakichś problemów. Wśród nich znaleźli się Koutsoudas i oficerowie patentowi Obło Vissisuan i Methlin Meharry. Cała trójka pracowała już kiedyś z Brun. Esmay, przyglądając się działaniu podkreślonego przez Koutsoudasa skanu, pomagała zmapować wszystko, co zarejestrował.

Obecnie siły przeciwnika składały się z czterech niewielkich jednostek w klasycznej konfiguracji czworościanu, w odległości około pół sekundy świetlnej od planety, i jeszcze jednej zadokowanej do stacji orbitalnej. Trzy okręty były klasy eskortowców, a dwa patrolowców. W odległości trzech minut świetlnych było coś, co wyglądało na nieco mniejszy ciężki krążownik; widocznie wróg tak sobie wyobrażał wysunięte siły obronne. Wszystkie jednostki miały aktywne systemy uzbrojenia, co stanowiło dowód ich beztroski, ale za to umożliwiało Koutsoudasowi dokonywanie analizy.

Dochodzące informacje były sprzeczne. Agent Guernesius wysłał z planety sygnał na określonej częstotliwości, wspominając jednak o „krowach”, a nie o „krowie”, i o podniesieniu stawki.

Plan nie uwzględniał zabrania dzieci... Co zatem może znaczyć liczba mnoga? Czy Brun jest z jakąś inną kobietą? Jeśli tak, to może okazać się katastrofalne. Esmay zastanawiała się, czy tą drugą osobą nie jest czasem dziewczyna ze statku kupieckiego.

Słuchający transmisji Koutsoudas wyłapał coś na temat wyczerpania się cierpliwości Rangera Bowie i trwających poszukiwaniach „ohydztwa”.

– Wiedzą, że uciekła, i mam nadzieję, że nic jej nie przeszkodzi.

– Może właśnie dlatego wyczerpała się cierpliwość Rangera Bowie.

– Być może.

Kiedy wiele godzin później Koutsoudas odebrał sygnały z promu, napięcie znów wzrosło. Esmay miała wrażenie, że ledwie może oddychać. Na ekranie skanera sunęła jasna kropka, która coraz bardziej zbliżała się do nich. Jeśli plan idealnie zadziała, za niecały dzień spotkają się z małym stateczkiem, wezmą Brun na pokład i wyskoczą z układu, zanim wróg zorientuje się, że tam byli. A potem reszta sił zorganizuje blokadę planety i podejmie negocjacje w sprawie uwolnienia pozostałych więźniów. Jeśli plan się nie uda... mają całą serię planów awaryjnych.

– Idźcie coś zjeść – rozkazał kapitan Solis. – Przed nami jeszcze długie czekanie. Suiza, ty też idź zjeść, a potem spać, i wróc tu za cztery godziny.

Esmay wreszcie była w stanie zjeść pełny posiłek; nawet nie zauważyła, kiedy parę z nich ominęła. Potem leżała na koi i myślała o Barinie na *Gryfalconie*, lordzie Thornbuckle'u w sztabie sektora, o niezwykłej profesor Meyerson... Obudził ją alarm. Zerwała się z koi, przygładziła włosy – ostatnio było to znacznie prostsze – i ruszyła na mostek.

Zastała tam ponurą atmosferę, w niczym nie przypominającą wcześniejszej euforii.

– Ten sukinsyn je sprzedał – stwierdził Koutsoudas i pochylił się nad skanerem. – Wyłączył napęd układowy i leci bez ciężenia po balistycznej w stronę statku Milicji. – Jednostki wroga wciąż utrzymywały pozycje w czworościanie.

– Jakie mamy opcje?

– Możemy wskoczyć między niego i tamten okręt, ale podmuch może być dla nich groźny. To, co odbieram, pochodzi sprzed minuty; nie jesteśmy pewni, gdzie teraz są.

– Warto spróbować.

– Czekaj! – Koutsoudas podniósł rękę. – Cholerny świat!

– Co?

– Nie mogę dostatecznie wyostrzyć obrazu kabiny, ale tam coś się dzieje. Czekajcie, tam jest troje, a nie dwoje ludzi!

– Rotacja! – zawołał inny technik skanu. Koutsoudas spojrział na jego ekran.

– Masz rację, Atten. Zobaczmy... – Ikona promu przekształciła się w jasny stożek oznaczający przyspieszenie. Stożek wydłużył się, potem jeszcze bardziej, i zaczął oddalać się od planety, przelatując za okrętem wojennym.

– To musi być Brun – stwierdził Koutsoudas. – Pamiętała, żeby przelecieć za nim. No dalej, dziewczyno, depnij do dechy.

Z chwili na chwilę stożek wydłużał się, aż zmienił się w strzałę oddalającą się od planety w stronę odległej głębi kosmosu. Ale ponieważ mały stateczek był głęboko w studni grawitacyjnej, okręt miał nad nim przewagę.

– Wystrzał z broni! – krzyknął jeden z techników, a wszyscy jęknęli; prom wciąż był w zasięgu strzału z okrętu. Ale zanim tor pocisku przeciął ślad statku, stożek znów się wydłużył.

– Ta dziewczyna urodziła się po to, aby odnosić sukcesy – rzucił Koutsoudas. – Wykiwała ich jak zawodowiec. Oczywiście ich układy są zoptymalizowane do strzelania w duże cele. Zauważcie, że pocisk nie wybuchł tam, gdzie powinien, a więc nie zmienili opcji uzbrojenia. Mam nadzieję, że ona też to zauważy. Musieli by mieć duże szczęście...

– Kolejny statek wroga w pościgu! – krzyknął jeden z techników. – Kurs pościgowy, więcej strzałów. – Drugi statek, należący do klasy patrolowców, opuścił pozycję na wierzchołku

czwororościanu i ruszył w celu przechwycenia promu.

Koutsoudas jęknął.

– No dalej, dziewczyno, zrób coś! – Czubek stożka zaczął zmieniać kształt i kierunek, dzieląc się na sekcje i tworząc inny wzór.

– Cholera, tylko nie to!

– Próbuje robić uniki, ale w ten sposób im nie ucieknie. Daje im tylko czas na dotarcie na pozycje.

– To może się udać, jeśli nie pomyślą o zresetowaniu opcji celowania i nie trafi im się celny strzał. Ale lepiej, żeby uciekała w tę stronę. Gdyby wiedziała, że tu jesteśmy...

Esmay z bijącym sercem przyglądała się ekranom. Wyobrażała sobie siebie na miejscu Brun; ona też wykonywałaby te same manewry.

– Leci z powrotem – powiedział technik skanu. – Będzie chciała wylądować na planecie?

– Nie – usłyszała własne słowa Esmay. – Kieruje się w stronę czegoś, co znajduje się na orbicie.

– Tak pani myśli? – zapytał Koutsoudas, nie podnosząc wzroku.

– A na jakiej podstawie, poruczniku?

– To w jej stylu. Próbowwała skoczyć, ale coś jej przeszkodziło. Ten statek powinien mieć silniki skokowe, ale może nie działają. Skoro to się nie udało, a prosty lot uczyniłby z niej łatwy cel... robi uniki, ale to zużywa dużo paliwa. Szuka więc jakiegoś miejsca do ukrycia się.

– To niezły sposób myślenia jak na kogoś, kogo właśnie wyciągnięto z więzienia – skomentował ktoś.

– Ona nie spanikuje – stwierdziła Esmay. – Jest inteligentna, odważna i lubi ryzyko.

– To prawda. – Koutsoudas błysnął uśmiechem i natychmiast spowaźniał. – Ale jest w poważnych tarapatach, chyba że ma zamiar wyskoczyć w kombinezonie w próżnię, licząc na to, że zestrzela pusty prom. No i... na promie wciąż są dwie osoby. Zabrała kogoś ze sobą.

– Jeśli mają więcej kombinezonów próżniowych – powiedziała Esmay – prawdopodobnie tego spróbuje. Ale wątpię, by tam były dodatkowe kombinezony. Powinniśmy skoczyć bliżej.

– I powiedzieć im, że tu jesteśmy? Zanim nadleci reszta grupy uderzeniowej? Myślałem, że to właśnie pani powiedziała, iż jedna kobieta nie jest warta wszczynania wojny.

Czy już zawsze będą tak niewłaściwie interpretować jej słowa? Gniew nadał jej głosowi ostrość.

– W obecnych okolicznościach, skoro szlag trafił możliwość potajemnego uratowania jej, to jedyny sposób na zbliżenie się na tyle, by jej w czymkolwiek pomóc.

Kapitan Solis rzucił jej badawcze spojrzenie.

– Zaryzykowałaby pani taką operację?

– Tak, sir, zaryzykowałabym mikroskop na piętnastosekundowe opóźnienie skanu. Oni wiedzą, że miała z kimś się spotkać, tylko nie wiedzą, z kim.

– Ale nie są pewni, czy w tym układzie.

– Jeśli pilot zdradził, musiał im wszystko powiedzieć, łącznie z kodami rozpoznawczymi. Wiedzą, że ktoś na nią czeka. Każde opóźnienie wroga może jej pomóc, a my możemy tak manewrować, by zachować integralność statku.

– Suiza, mówi pani jak przystało na bohaterkę z Xaviera. – Solis odwrócił się do oficera komunikacyjnego. – Daj mi wiązkę i załaduj skompresowane streszczenie sytuacji na skanie. Mamy trzydzieści sekund do skoku.

* * *

Shrike wyłonił się z mikroskoku z małą prędkością względną.

– Kompletne przeskoczenie 2 minuty i 45 sekund – poinformował Koutsoudas. Skan zapełnił się sygnałami promu oraz trzech okrętów klasy eskortowców, dwóch patrolowców, czegoś o masie niewielkiego krążownika i grupki małych pojazdów. Wszystkie świeciły ostrzegawczymi znaczkami aktywnej broni. – Za sekundę zobaczą nas i zaczniemy odbierać sygnały aktywnych skanerów. – Wszystkie ikony okrętów zmieniły się w stożki przyspieszeń, które nagle zaczęły zmieniać kierunek. – Wygląda na to, że odciągamy ich od promu. – Stożki jeszcze bardziej wydłużyły się, i rezygnując z pościgu za promem, ruszyły w kierunku nowo przybyłego obiektu.

Pozycja promu także zmieniała się; teraz było już jasne, że kieruje się z powrotem w stronę planety, gwałtownie zmieniając przyspieszenie, by utrudnić przeciwnikowi celowanie. Ekrany zamigotały, gdy PIR wykonał maleńki mikroskok, po czym znów się oczyściły. Tym razem ikony wrogich jednostek zareagowały wolniej. Po kolejnym skoku o pół sekundy usłyszeli odległą eksplozję; to jeden z wrogich statków wypuścił pocisk na maksymalną odległość. Tymczasem prom zniżył się wystarczająco, by wtopić się w orbitalne śmieci. Teraz znajdował się po drugiej stronie planety. Mijały długie minuty, a oni czekali i wykonywali losowo mikroskoki, by nie dać przeciwnikom spokoju. Jeśli Brun odpowiednio zwolniła, minie jeszcze półtorej godziny, zanim ikona znów się pojawi.

Ale zobaczyli ją ponownie, jak zmierza szybko w samobójczym locie ku powierzchni planety.

– Spalą się już przy pierwszym podejściu – stwierdził Koutsoudas. – Co, u diabła, ta dziewczyna sobie myśli? Straciła kontrolę nad statkiem?

– Może nie ma wystarczającej ilości paliwa – powiedział ktoś.

– Może woli się spalić.

– Nie ma jej na statku – oświadczyła Esmay. Czowała, jak wali jej serce; nie miała żadnych wątpliwości, że wie, co zrobiła Brun.

– Myśli pani, że prom leci sam? Przecież to pani powiedziała, że prawdopodobnie nie mają kombinezonów, więc nie mogą wyjść w przestrzeń.

– Może znalazły kombinezony i mają zapas powietrza – powiedziała Esmay. – Jeśli tak... Brun mogła wysłać prom, aby ich zmylić.

– Jedyna aktywna stacja na orbicie z dostępem do powietrza i kombinezonów próżniowych to główna stacja, gdzie zadokowany jest *Elias Madero* – stwierdził Koutsoudas. – Mogę się założyć, że tam nie dokowały, pomijając już fakt, że gdyby to zrobiły, zostałyby schwytane, bo stacja jest zamieszka.

– O cholera.

Tymczasem statki Milicji nie czekały, żeby sprawdzić, czy prom się spali. Z bezpiecznej odległości wysłały w ślad za nim pociski, a błysk na ekranie dowodził, że trafiły w cel.

– No cóż – powiedział kapitan Solis. – To by było na tyle.

Pomijając mało prawdopodobną tezę porucznik Suizy, że gdzieś na orbicie unoszą się teraz dwa kombinezony próżniowe, sądzę, że nie żyją. Nikt nie przeżyje na promie bezpośredniego trafienia.

Nie zwracając uwagi na jego słowa, Esmay zaczęła przeglądać sporządzony przez Koutsoudasa katalog zmapowanych śmieci orbitalnych.

– Mam tu coś, co pokrywa się z miejscem, z którego wyskoczył prom.

– To wrak – stwierdził Koutsoudas, rzucając spojrzenie na mapę. – W rdzeniu jest stary reaktor, ale reszta ma temperaturę otoczenia.

– Jest wystarczająco duży – upierała się Esmay. – I prowadzi z niego tor promu.

Koutsoudas westchnął i przywołał powiększoną wersję obrazka z katalogu.

– Proszę posłuchać. Owszem, jest duży, ale to wrak. Nawet stąd widać, że całe sekcje są otwarte na próżnię.

Faktycznie, były otwarte, ale Esmay przypomniała sobie Jednostkę Produkcyjną Materiałów Specjalnych, która była tak samo otwarta na próżnię.

– Czy mogła to być próżniowa jednostka produkcyjna albo przetwórcza?

– Nie mają niczego takiego – zauważył kapitan Solis. – Oni kradną albo kupują produkty wytwarzane w przestrzeni.

– Teraz mają – stwierdziła Esmay. – Czy ambasador Guernesie nie wspominał, że zanim Milicja zdobyła tę planetę, było tu coś takiego?

– Ależ, poruczniku, to wrak, i jeśli nawet Brun i jej towarzyszka dotarły tam, nic im to nie da. Brak powietrza, jedzenia, żadnych tarcz i uzbrojenia.

– Ale mogły tam być kombinezony próżniowe, sir. Nawet jeśli Milicja złupiła stację, mogli nie wziąć wszystkiego. Myślę, że one tam są i powinniśmy je stamtąd zabrać.

– A ja myślę, poruczniku, że próbuje pani ratować swoją karierę kosztem życia innych ludzi. – Solis popatrzył na nią gniewnie.

Na mostku zapadła cisza; Esmay słyszała oddechy wszystkich obecnych.

– Sir, kapitan ma prawo mieć własne zdanie. Jednak tamte kobiety mają szansę przeżyć tylko pod warunkiem, że ktoś z nas dotrze do nich, zanim skończy im się powietrze albo źli goście zrozumieją, że zostali oszukani. Jeśli kapitan uważa, że dbam tylko o sławę, są na tym okręcie inni, którzy mogą zająć się misją ratunkową. Ale trzeba to zrobić.

Solis długo wpatrywał się w nią, ale zniosła to ze spokojem.

– Zgłosiłaby się pani na taką misję?

– Tak jest, sir.

– Hmm. Kto pani zdaniem powinien polecieć?

– Pełny zespół PIR, sir. Powinniśmy wziąć pod uwagę, że Milicja może tam wysłać grupę szturmową... jeśli domyśla się, co zrobiła Brun. Może dojść do walki; w ostateczności musimy liczyć się z akcją ratunkową prowadzoną pod ostrzałem przeciwnika.

Solis rozejrzał się po mostku, zatrzymując w końcu wzrok na Koutsoudasie.

– Pracował pan z Brun Meager...

– Tak jest, sir.

– Co pan myśli?

– Sir, wydaje mi się, że porucznik Suiza ma rację co do sposobu myślenia Brun. Ona jest

szybka, błyskotliwa i gotowa podjąć ryzyko. Jeśli chciałaby dokonać do czegoś krążącego na orbicie, ta porzucona stacja byłaby najlepszym celem. Jeśli żyje, to powinna być właśnie tam. Suiza ma też rację, że jeśli tam się zatrzymała, może zostać zauważona przez każdy przyzwoity system czujników z planety, a nie możemy zakładać, że takiego nie mają.

– Gdybym był z Milicji, wysłałbym tam promy, i faktycznie, zauważyliśmy start promów, w sumie trzech.

– Meharry, ty też jesteś specjalistką. Jakie jest twoje zdanie?

– Porucznik trafiła w samo sedno, kapitanie. A im dłużej tu siedzimy, dyskutując, tym gorzej będzie z Brun.

– Czy zaufałyby pani Suizie na tego rodzaju misji?

O Meharry opowiadano wiele plotek; większość z nich dotyczyła jej zabójczych talentów.

– W moim towarzystwie oczywiście, kapitanie. Osobiście sędzę, że jest w porządku, ale jeśli ja tam będę, nie będzie miała okazji niczego zepsuć.

– Lord Thornbuckle twierdzi, że Sera Meager nie będzie chciała widzieć porucznik Suizy – zauważył Solis wciąż chłodnym tonem.

– Myślę, że Brun ucieszy się, widząc kogokolwiek z nas – odpowiedziała Meharry. – A z tego, co widziałam na Xavierze, a potem słyszałam od ludzi na *Kosie*, porucznik jest idealna do tego rodzaju akcji.

– W porządku, poruczniku. Weźmie pani Zespół Jeden i oficerów patentowych Meharry i Vissisuana. – Esmay nie trzeba było mówić, że nie tylko będą jej pomagać w poszukiwaniach Brun, ale także będą jej pilnować.

* * *

Mogąc wreszcie zająć się tym, w czym była najlepsza, Esmay poczuła, że odzyskuje wigor. Ich misja była wyjątkowo trudna...

Nie wiadomo, czy Brun jest na wraku, a jeśli nawet jest, czy jeszcze żyje, a oni sami mogą zostać wysadzeni w powietrze przez wycelowany czy zbłąkany pocisk Milicji.

Ale to wszystko nie miało teraz znaczenia. W jej głowie pojawił się jasny plan, jakby ktoś narysował go czerwonym atramentem na białym papierze. Wyjaśniła go innym członkom misji krótko i precyzyjnie, a oni entuzjastycznie zareagowali na jej pewność siebie.

Zanim jeszcze znalazła się w szalupie w nie zapiętym kombinezonie próżniowym i odrzuconym na plecy hełmie, pierwszy zryw bitewny przekształcił się w zorganizowaną, energiczną krzątanicę.

– Poruczniku – usłyszała głos kapitana – miała pani rację. Koutsoudas mówi, że odebrał pojedynczy sygnał z wraku, który jego zdaniem mogła wysłać tylko Sera Meager. Podała częstotliwość i kody Floty i przekazała wiadomość, że lis schował się do nory.

W stronę wraku zmierza teraz przynajmniej jeden prom. Nie możemy dostarczyć was tam przed jego przybyciem; limit skoku opóźni was przynajmniej o pięć minut.

– Tak jest, sir.

– Reszta naszej grupy kieruje się w stronę planety; kontaktowałem się już z admirałem. Wysłałem oba zespoły PIR, a druga szalupa będzie wiozła cały sprzęt, jaki uda nam się do niej upchnąć.

– Ma pani zgodę na użycie siły, jeśli będzie to konieczne, by zapewnić Serze Meager i jej

towarzyszce bezpieczeństwo. Kiedy poradzimy sobie z pozostałymi statkami, wyślemy wam posiłki, ale to może zająć kilka godzin. Czy to jasne?

Tak jest, sir. – Godziny... Mogą upłynąć dni, zanim dostaną wsparcie. A nie będą mieli żadnej ciężkiej broni. Używane na stacjach generatory dźwięku nie zadziałają we wraku otwartym na próżnię. Czego mogliby użyć? – Meharry!

– Tak jest, sir. – Oczy Meharry błyszczały z podniecenia.

– Kapitan powiedział, że dotrzemy tam pięć minut po promie przeciwnika. Stacja prawdopodobnie pozbawiona jest powietrza, przynajmniej niektóre jej sekcje. Potrzebujemy czegoś więcej niż tylko pistolety.

– Zajmę się tym. – Meharry momentalnie zniknęła. Cóż, od lat pracowała z Heris Serrano... a ona zawsze uważała, że tak powinno być: wystarczy powiedzieć ludziom, o co chodzi, i pozwolić im działać. Ale Esmay nie spodziewała się aż tak błyskawicznej reakcji.

– Poruczniku. – Nadeszła grupa neurowspomaganych komandosów obwieszonych różnorodną bronią. Ich sierżant podał jej pad pełen numerów i symboli, żeby się pod nimi podpisała. Jeśli wrócą bez ośmiu CFK-201.33, to ona będzie musiała wyjaśniać, co się z nimi stało... a nie miała nawet pojęcia, co to jest, podobnie jak większość pozycji z długiej listy. Przyłożyła swój infopręt dowódcy do padu i oddała go.

– Wyjdziemy pierwsi, jak zwykle – powiedział sierżant, i właściwie było to stwierdzenie, a nie pytanie.

– Tak – potwierdziła Esmay, odrywając myśli od zniknięcia Meharry i tajemniczej listy sprzętu Floty, aby skupić się na problemie taktycznym. – Będą tam czekać na nas wrogie siły, no i nie mamy pojęcia, czy osoby, które mamy uratować, będą w kombinezonach próżniowych.

– To dla nas bułka z masłem – stwierdził sierżant. – Z tego, co słyszałem, wśród wrogów nie będzie kobiet, więc po prostu będziemy strzelać do złych chłopców, a dziewczynki oszczędzimy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

– Co teraz? – zapytała Hazel. Brun wzruszyła ramionami. Musi pomyśleć. Była głodna, spragniona – pociągnęła z rurki w hełmie – i bardzo, bardzo śpiąca. I bolały ją nogi; spray przestawał działać.

Co mogą zrobić z tą niewielką ilością posiadanej broni? Niemal słyszała głos komandora Uhlisa, jak na nią krzyczy w klasie: Najlepszą broń nosisz między uszami! Tak, i wołałaby ją tam zachować, najchętniej w jednym kawałku.

– Gdybyśmy mogły włączyć sztuczne ciężenie – odezwała się Hazel – a potem wyłączyć...

Mogłoby to utrudnić życie wrogom i dezorientować ich, ale w ten sposób zyskałyby tylko najwyżej minuty, za to bez wątplenia ujawniłyby swoją obecność. W jej głowie zaczął formować się plan, początkowo niewyraźny jak poranna mgła.

Badanie konsol sterujących jest znacznie bezpieczniejsze w kombinezonach próżniowych niż bez nich; Brun uśmiechnęła się, przypominając sobie ostrzegawczą przypowieść Obło.

Przełączała kontrolki jedną za drugą, sprawdzając, która z nich działa.

– Światła! – krzyknęła Hazel. To oczywiście, ale czy tylko w tym pomieszczeniu, czy wszędzie? Brun machnęła szeroko ręką, a kiedy Hazel skinęła głową i ruszyła na zwiad, powróciła do panelu.

Gdyby potrafiła uruchomić skan... Na głównym panelu powinien znajdować się panel informacyjny z podstawowymi instrukcjami w kilku językach i niewerbalnymi symbolami. Ponieważ sterowanie w ogóle działało, powinna także móc uruchomić skanery stacji.

Udało jej się w końcu znaleźć przełącznik; był schowany pod składanym panelem. Wcisnęła go, cicho się modląc... Ekrany ożyły; początkowo mrugały niepewnie, lecz po chwili uspokoiły się.

Jak długo były wyłączone? I co je zasilало? Rozejrzała się za panelem informacyjnym.

Jest. Tak jak się spodziewała, instrukcja była w jej własnym języku... i Guernesu. Trzeciego nie potrafiła odczytać, ale to nie miało znaczenia. Przebiegła wzrokiem po otwartym menu: układ stacji, sterowanie układami środowiskowymi, podtrzymywanie życia, procedury awaryjne (łącznie z sekcją skażenia biologicznego), systemy zasilania i komunikacja.

Układ stacji wskazywał, że jest to laboratorium biologiczne, prawdopodobnie – jak pomyślała Brun – jedno z tych dość powszechnie tworzonych w pierwszych latach kolonizacji, kiedy to przygotowywano materiały biologiczne dostosowane do warunków na konkretnej planecie. Wiele kolonii miało takie laboratoria... ale dlaczego to zostało porzucone?

Stacja była wyraźnie podzielona na przestrzeń przeznaczoną dla pracowników i osiem laboratoriów oddzielonych śluzami i blokadami – trzy w jednym z ramion, pięć w drugim. Na końcu jednego ramienia była wielka dziura, a one zaparkowały swój prom pod panelem słonecznym umieszczonym w połowie drugiego ramienia.

* * *

Głęboko w rdzeniu stacji spała już od wielu dekad lokalnego czasu sztuczna inteligencja. Wszystkie urządzenia peryferyjne były wyłączone, nie działały żadne czujniki. Na samej górze leżała ostatnia instrukcja, przygotowana do wykonania, gdyby ktokolwiek włączył zasilanie, ale twarda próżnia i promieniowanie zmieniło tu i tam kilka bitów. Normalnie nie stanowiłoby to żadnego

problemu, gdyż mechanizmy samonaprawy w przypadku prac przemysłowych w kosmosie były z konieczności bardzo rozbudowane. Nie przewidziano jednak dziesięcioleci uśpienia sztucznej inteligencji na zdewastowanej stacji.

Kiedy włączono światła, przez połączenia przebiegła strużka zasilania; projektanci pragnęli, by sztuczna inteligencja – ekspert – działała za każdym razem, gdy stacja będzie zamieszkała. Inteligencja budziła się powoli, poziom za poziomem. Zasilanie oznaczało, że ktoś powrócił i dał jej pozwolenie na pobranie energii i uruchomienie procedur testujących i samonaprawczych. Rozpoczęło się wykonywanie instrukcji o najwyższym priorytecie.

Osoby przebywające na stacji mogły być albo upoważnionymi pracownikami, albo intruzami... a w tym drugim przypadku system miał nie podejmować żadnych niezależnych działań, lecz odizolować ich i wysłać sygnał z wołaniem o pomoc.

Czujniki zaczęły zbierać informacje. Dwóch ludzi... kobiety... ubrane w pracownicze stroje próżniowe przeznaczone dla kobiet, które figurowały w rejestrze jako kombinezony do ewakuacji awaryjnej z Laboratorium Dwa. Ekspert ostrożnie uruchomił telemetrię kombinezonów, aby noszące je osoby niczego nie zauważyły.

Żadna z nich nie pasowała do znanego mu profilu, ale szybkie sprawdzenie poziomu rozpadu w reaktorze wskazało, że od uśpienia eksperta upłynęły całe dziesięciolecia, w związku z czym prawdopodobieństwo, by mógł znać wszystkich pracowników, było niewielkie.

Jedna osoba przeprowadzała procedurę uruchomienia urządzeń kontrolnych w centrum sterowania. Ekspert nie wtrącał się, tylko obserwował. Zdawała się wiedzieć, co robi. Druga badała korytarz prowadzący do drugiego ramienia. Potem ekspert zwrócił uwagę na świat zewnętrzny.

* * *

Hazel wróciła do centrum sterowania.

– Światła są włączone w całym korytarzu, ale nie mogłam zajrzeć do wszystkich pomieszczeń. Tam, gdzie mogłam, część była oświetlona, część nie. Musiałas uruchomić główny przełącznik.

Brun kiwnęła głową w stronę panelu sterującego oświetleniem.

Informował o zużyciu mocy na oświetlenie oraz liczbie wyłączonych świateł i nie działających pomimo ich włączenia. Potem wskazała na inne panele. Hazel podeszła bliżej. Znalazła tu informacje o reaktorze bazy – niemal już zużytym, wytwarzającym niecałe 40% mocy nominalnej – i panelach słonecznych, także nie w pełni sprawnych. Nie zdziwiła się, widząc zniszczenia na zewnątrz. Ale mimo wszystko stacja służyła do prowadzenia badań i produkcji i dostępna energia wystarczyłaby do uruchomienia urządzeń podtrzymywania życia, gdyby tylko znalazły wystarczającą ilość powietrza.

Odkryła, że ciepło generowane przez reaktor przez te wszystkie lata podtrzymywało działanie systemów środowiskowych i wolno napływające do rdzenia powietrze gromadziło się pod ciśnieniem. Gdyby napowietrzyły stację, nie musiałyby nosić ze sobą zbiorników, a efektywny czas działania tych, które posiadały, byłby dłuższy. Jednak wypełnienie stacji powietrzem dowodziłoby czyjejs obecności; można to było łatwo wykryć z zewnątrz. Co więcej, gdyby intruzi rozwalili stację, a one nie miałyby na sobie kombinezonów, zginęłyby.

Brun wciąż jeszcze rozważała możliwe opcje, gdy ujrzała Hazel niosącą pad z wyjściem głosowym. Uśmiechnęła się szeroko i z radością chwyciła urządzenie. Miało standardowe łącza, więc podpięła je do interkomu kombinezonu i wywołała przygotowane wcześniej komunikaty. Miała

do wyboru trzy języki i dwadzieścia wiadomości. „Wszystko w porządku”, rozległ się cichy męski głos z silnym akcentem. Spojrzała na Hazel i przekrzywiła głowę.

– Nie słyszałam – odpowiedziała tamta. – Musisz wcisnąć klawisz transmisji w hełmie, żeby wysłać przekaz do innych kombinezonów.

Brun jeszcze raz pomacała pad i wcisnęła klawisz brodą.

– Wszystko w porządku.

– Usłyszałam! – potwierdziła Hazel. – Teraz może uda nam się znaleźć jakiś o większych możliwościach.

– Wszystko w porządku. – Brun jeszcze raz wcisnęła klawisz.

– Potem sprawdziła, jakie jeszcze wiadomości ma do dyspozycji, a następnie przećwiczyła sygnały „Pomocy!”, „Niebezpieczeństwo!” i „Raport”. Jeden z klawiszy nie wydawał głosu, lecz wysyłał sygnał elektroniczny, który prawdopodobnie był kodem dla centralnego komputera. Ten wcisnęła tylko raz.

Pad dysponował także klawiaturą do wprowadzania danych.

Brun wystukała „Czy to działa?”, ale Hazel potrząsnęła głową.

* * *

System ekspercki czekał na instrukcję, która powinna pojawić się po kodzie autoryzacyjnym. „Czy to działa?” nie pasowało do żadnej procedury, ale jego umiejętność analizy naturalnego języka podpowiedziała mu, że to na pewno musi znaczyć „Czy system ekspercki otrzymał autoryzację i może odbierać polecenia z klawiatury?”.

– Do usług – odpowiedział na właściwej częstotliwości. Obie kobiety zastygły w sposób typowy dla ludzi, którym przedstawiono nowe lub nieoczekiwane dane.

– Co to było? – zapytała ta, która nie wysłała kodu autoryzacyjnego. Ekspert czekał, aż ta druga ją uspokoi, a tymczasem sprawdzał odczyt z kombinezonu, wskazujący na obecność toksyn zmęczenia i lekką hipotermię, i analizował wzory głosowe, dochodząc do wniosku, że ta osoba jest niedojrzałą ludzką samicą, mówiącą językiem Gaesh z akcentem typowym dla kupców z Familii Regnant, a nie Republiki Guerni. Nakazał kombinezonowi uruchomić ogrzewanie i zwiększyć podaż tlenu.

Tymczasem ta druga nie odzywając się, zaczęła szybko stukać w klawisze pada. Pomimo błędów w tekście, ekspert zrozumiał, że ma ona świadomość porozumiewania się z układem eksperckim.

– System przejmie komunikację głosową – poinformował ją.

– Wszystko w porządku – wysłała Brun, mając nadzieję, że Hazel zrozumie, iż ekspert będzie przekazywał jej tekst z klawiatury.

– W laboratorium 1-21 znajdują się syntezatory mowy o większej mocy – powiedział ekspert. – Choć większe urządzenia zostały zniszczone, moje sensory optyczne zgłaszają, że część małych syntezatorów wydaje się nie uszkodzona.

– Czy możesz nas tam zaprowadzić? – zapytała Brun, świadoma, że system przekazuje głosowo jej pytanie do Hazel.

– Mogę, ale zamiast tego uruchomiłem robota, aby je przyniósł. Zbliżają się jakieś pojazdy kosmiczne; analiza wskazuje, że wystartowały z planety.

– Masz jakiś plan? – zapytała Brun.

– W układzie znajduje się pojazd nie należący do wroga... ale jest zbyt daleko – odpowiedział ekspert.

– Nie należący do wroga... Może to Flota?

– Czy możesz się z nimi skontaktować?

– Nie działają transmitters. Szacunkowy czas przywrócenia zdolności transmisji... 243 standardowe sekundy. Jakie parametry?

Hazel, która w trakcie tej wymiany zdań nie odzywała się, zrobiła to teraz.

– Skąd mamy znać kody i częstotliwości Floty?

Brun uśmiechnęła się. Ona zna. Wpisała liczby jedną po drugiej, starannie definiując częstotliwości i ich zmiany wraz z interwałami oraz kody identyfikacyjne, łącznie z tymi, które dostała kiedyś jako identyfikator osobisty. Potem bardzo dokładnie wystukała wiadomość, którą chciała wysłać. Obraz wciąż jej się rozmywał, ale mruganiem pozbywała się łez. Będzie mogła płakać, gdy zapewni już Hazel bezpieczeństwo.

I dziewczynkom, pomyślała. Ale nie mogła teraz tym się zajmować. Jedna sprawa na raz.

– Podane częstotliwości i kody nie odpowiadają zapisanym w moich aktach Zawodowej Służby Kosmicznej Familii Regnant – poinformował ekspert. Był w stanie naśladować emocje, i teraz sprawiał wrażenie zawiedzionego.

– Sprawdź datę – wystukała Brun. – Kody się zmieniają.

– Długa pauza.

– Upłynęło bardzo dużo czasu – powiedział w końcu ekspert.

– Sądziłem, że błędna data była wynikiem uszkodzeń powstałych przy zdobywaniu stacji.

– Czas do przybycia intruzów? – zapytała Brun. Niektóre systemy eksperckie były tak złożone, że gubiły się w nie kończącej się rekursywnej autoweryfikacji. – I funkcjonowania transmitera?

– Dziewięćdziesiąt siedem sekund do uruchomienia transmisji; wyślę twoją wiadomość natychmiast po uaktywnieniu nadajnika. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że może ona zostać przechwycona również przez pozostałe pojazdy.

– I tak podejrzewają, że tu jesteśmy – odezwała się Hazel, werbalizując myśli Brun. – A jeśli Milicja o tym wie, to lepiej, żeby wiedziała i Flota. Przypuszczam, Brun, że to z powodu twojego ojca...

– Wszystko w porządku – wystukała Brun. Naprawdę potrzebowała lepszego syntezyzatora głosowego. Bolały ją już palce, a miała tyle do powiedzenia.

– Szacunkowy czas do przybycia intruzów z planety wynosi od jednej godziny dziesięciu minut do trzech godzin i jednej minuty – poinformował ekspert. – O ile nie zmienią kursu. Właśnie zbliżają się trzy promy.

Trzy promy... Czemu sądzą, że potrzebują aż trzech promów do schwywania dwóch kobiet? A może lecą tu po to, aby walczyć z Flotą? Chyba nie są aż tak głupi.

– Odpalenie pocisku – oznajmił system ekspercki. – Najbliższy statek, zidentyfikowany jako krążownik Milicji *Yellow Rose*, wystrzelił pociski w stronę nie znanego typu okrętu Floty.

Prom wroga wleciał wprost do wywalonego w jednym z ramion stacji otworu. Bez wątpienia Milicja wiedziała o jego istnieniu, jeśli to oni uczynili ze stacji wrak. Gdyby znajdowali się na pokładzie okrętu bojowego, Esmay wysłałaby w to miejsce pocisk i rozwaliła pierwszy z promów. Jednak promy PIR zazwyczaj nie poruszały się po terytorium wroga, dlatego nie miały zewnętrznego uzbrojenia, a brakowało czasu na prowizorki. Pamiętając o tym, Esmay postanowiła nadlecieć z drugiej strony stacji i zadokować pod jednym z paneli słonecznych. I tym razem warunki misji spowodowały zmianę zwykłych procedur. Nie odważyli się wypalić otworu w kadłubie wraku, gdyż Brun i jej towarzyszka mogły kryć się gdzieś w pobliżu. Nie powinny, ale nikt nie znał panujących wewnątrz warunków. Co więcej, ustawienie przenośnych śluz powietrznych zajęłoby przynajmniej cztery godziny. Tak więc zespoły musiały wejść do środka przez istniejące śluzy, a to, jak wszyscy doskonale wiedzieli, wystawiało ich na ostrzał.

Mieli nadzieję, że Milicja nie zdążyła jeszcze dotrzeć na miejsce. Neurowspomagani marines sprawiali wrażenie, jakby wcale się tym nie przejmowali. Esmay widziała, jak masywne postacie zatrzymują się przy śluzie awaryjnej, a potem wchodzi do środka, i to szybciej niż się spodziewała. Może w stacji nie ma powietrza.

– Poruczniku, sztuczne ciężenie jest włączone.

A nie powinno być, gdyż stacja jest wrakiem. Ale sama czuła działanie generatora grawitacji. Oznacza to spore źródło mocy, znacznie większe niż podniszczone i rozregulowane panele słoneczne. Czy będzie tam także powietrze? Czy Brun wszystko włączyła? Esmay odrzuciła te pytania. Teraz najważniejsze było dostanie do środka. Jeśli jest tam ciężenie, warunki walki nie będą sprzyjać szkolonym w nieważkości.

Wnętrze oświetlone było światłem padającym ze zwykłych paneli sufitowych. Wszędzie widać było dowody systematycznego wandalizmu. Na podłodze leżała sterta kombinezonów próżniowych; wszystkie były turkusowe i miały logo *BlueSky* oraz numer na plecach. Ktoś namalował na ścianie – jakimś brązowym barwnikiem albo krwią – pięcioramienną gwiazdę i inne dziwne symbole. Schowek na butle tlenowe obok szafki z kombinezonami był pusty. Ciśnienie powietrza było bliskie próżni... ale czemu w ogóle jest tu jakieś ciśnienie? Czemu działają światła?

Esmay spróbowała ostrożnego wywołania na podanej jej przez Koutsoudasa częstotliwości, która odpowiadała transmisji Brun... ale nie było żadnej odpowiedzi.

* * *

Nic tak nie psuje reputacji mężczyzny jak niezdyscyplinowana kobieta. Mitch Pardue jeszcze przed startem wiedział, że może pożegnać się z pozycją Kapitana przynajmniej na dziesięć lat.

Może nawet przegrać głosowanie na Rangera Bowie. Nawet jeśli przywiezie z powrotem te głupie kobiety, straci to, na co pracował ponad dwadzieścia lat.

Mógł jeszcze zrozumieć to ohydztwo – była szalona, pozbawiona głosu – ale bolała go zdrada dziewczyny. Prima tak ją lubiła, podobnie jak pozostałe żony. Traktowali ją jak członka rodziny. Może właśnie w tym tkwił problem. Może byli zbyt pobłażliwi. Cóż, nie popełni już tego błędu wobec maluchów.

Dopilnuje, żeby ta apodyktyczna, popisująca się w warsztacie tkackim, już taka nie była. Jeśli chodzi o Cierpliwość... Niemal już ją obiecał swojemu przyjacielowi na trzecią żonę, ale teraz to nie

jest możliwe.

Czemu dziewczyna nie doceniła, jak dobrze jej było w jego domu? Czemu w ogóle kobiety są takie perwersyjne?

Już chciał pomyśleć, że Bóg popełnił błąd, tworząc kobiety, ale szybko odepchnął od siebie tę herezję. Tak właśnie się dzieje, kiedy człowiek zaczyna myśleć o kobietach – schodzi na manowce.

Jeśli są na porzuconej stacji orbitalnej – a był pewien, że tak właśnie jest – będzie mógł je złapać i przykładowo ukarać. Żółtowośrobie ohydztwo będą musieli zabić. Nie lubił zabijać kobiet, ale skoro raz uciekła, może spróbować ponownie. A dziewczyna...

Ojej losie zadecyduje później, kiedy już dowie się, co się właściwie stało. Kiedy w końcu udało im się znaleźć świadka, powiedział, że jakiś mężczyzna kazał jej wsiąść do samochodu. Jeśli tak było, może nie jest winna niczego poważniejszego niż głupie wypełnianie rozkazów mężczyzny, a czegoś więcej można się spodziewać po kobietach.

– Rangerze Bowie! – Pilot nachylił się do kokpitu.

– Co jest, Jase?

– Skan mówi, że jest tam jakiś dziwny statek.

Dziwny statek. To pewnie ten, który kobiety miały spotkać.

– Co mówi nasza obrona?

– Mówią, że jest dziwny, Rangerze. Nie znają tego typu, jest znacznie mniejszy od krążownika. Ale może wykonywać krótkie skoki, tak jak Flota Familii.

– Szuka ich – stwierdził. – To nie okręt bojowy, bo inaczej zaczęłyby od zestrzelenia naszych statków, tak jak my byśmy zrobili. To jakiś mały transportowiec. – Najgorsze jest to, że Familie już wiedzą, że są tutaj... i mogą przysłać więcej statków. Ale na razie wystarczy mu jeden problem. Najpierw to, co najważniejsze. Złapać te kobiety... albo rozpęta się prawdziwe piekło.

Gdyby wiedział, że tak będzie, mógłby poprosić o pomoc oddziałów w zbrojach próżniowych z *YellowRose*. Kombinezony jego ludzi, choć utwardzane, są nieodporne na taki rodzaj uzbrojenia, jaki mają pojazdy Floty. Na szczęście woleli nie strzelać, pewnie dlatego, żeby nie narażać życia córki Pierwszego Mówcy.

Jego wuj był jednym z ludzi, którzy zniszczyli stację, tę bezbożną konstrukcję; Mitch dorastał, wysłuchując o tym opowieści. Co jakiś czas rozmawiali o całkowitym jej zniszczeniu, ale zawsze dochodzili do wniosku, że kiedyś może się jeszcze przydać. Przydać! Właśnie dowiedli, do czego prowadzi lekceważenie moralnego obowiązku. Przyglądał się, jak pilot wprowadza statek ich do starego doku promowego. Kiedy poczuł wstrząs blokowania zaczepów dokowych, wstał i przepchnął się na tył, w stronę włazu.

– Słuchajcie mnie – powiedział. – Idziemy szukać tych kobiet.

Nie gapić się na wszystko i nie marnować czasu na niszczenie.

W układzie są okręty bojowe; musimy załatwić sprawę i szybko wracać. Zrozumiano?

Pokiwali głowami, ale on i tak miał wątpliwości, czy go zrozumieli.

– Cała broń, jaką mogą mieć, to tylko to, co miał tamten gość na promie. Może kilka noży i jedną czy dwie czterdziestki piątki.

Poza tym to kobiety, nie nawykłe do nieważkości i próżni. Będą miały na sobie kombinezony, ale zapewne niezbyt pasujące. Więc nie musimy o nic się martwić, jeśli tylko wykazemy trochę rozsądku. Po prostu nie łańcie tam, gdzie łatwo mogłyby was dopaść. I włączcie na maksa osobiste

skanery.

Opuścił przyłbicę hełmu, uszczelnił ją i sprawdził szczelność skafandra stojącego przed nim mężczyzny. Potem tamten sprawdził jego kombinezon. Terry Vanderson to dobry człowiek, można na nim polegać. Wreszcie odwrócił się i otworzył służę promu.

Zwykła słuza między dokiem promowym a korytarzem stacji zadziałała bez problemu, ale w środku nie było powietrza. Spodziewał się tego. Kobiety musiały zabrać butlę czy dwie z promu i teraz na pewno brakuje im już powietrza.

Po przejściu słuzy stanęli w krótkim korytarzu przechodzącym pod kątem prostym w inny, dłuższy. Sprawdził stare notatki swojego wuja i wiedział, że każde ramię stacji to labirynt magazynów i laboratoriów; będą musieli wszystkie po kolei skontrolować. Spojrzał na skaner. Nikogo nie ma w pobliżu, ale muszą sprawdzić, a potem zabezpieczyć każde pomieszczenie.

– Nie zapomnijcie o panelach – przypomniał swoim ludziom, choć niepotrzebnie, bo brali już udział w wielu abordażach.

Lewis i Terry poszli, aby sprawdzić zewnętrzny koniec ramienia. Wydawało się, że trwa to wieczność, ale tak naprawdę do czasu ich powrotu nie minęło chyba pięć minut. Następnie ruszyli korytarzem do centrum stacji.

* * *

– Nie mogę w to uwierzyć – wymamrotał Obło. – Idą tak, jakby wybrali się na piknik. – Na skanerze dwadzieścia ubranych w kombinezony postaci szło i sprawdzało pomieszczenia, nie zachowując żadnych środków ostrożności. Nikogo nie było na szpicy, nikt nie pilnował tyłów. – Nie mają nawet zbroi próżniowych, tylko kombinezony. Brun równie dobrze mogłaby ich sama załatwić, gdyby miała jakkolwiek broń.

– Myślą, że zastaną tu tylko dwie nie uzbrojone kobiety – stwierdziła Esmay. – Ale jeśli ktoś połączy się z nimi i powie, że tu jesteśmy...

– Do tej pory ktoś powinien był już to zrobić – zauważył Obło.

To nasuwało pytanie, na które Esmay nie miała teraz czasu odpowiedzieć. Czy w Milicji jest ktoś, komu zależy na porażce tej misji? I dlaczego?

Grupa szturmowa Floty posuwała się do przodu, spokojna, że ich zbroi nie zauważy nikt, kto nie posiada specjalnego sprzętu.

Esmay czuła znajome podniecenie; chciała być z nimi, ale znalezienie Brun i dziewczyny było znacznie ważniejsze. Skan złapał dwa sygnały żywych istot w kombinezonach po tej stronie rdzenia, w pomieszczeniu obok korytarza. Trzeba będzie poinformować dziewczyny, że są przyjaciółmi, bo zbroja zaprojektowana do walki nie ma żadnych widocznych oznaczeń.

* * *

Wszystkie pomieszczenia w skrzydle zostały sprawdzone i zabezpieczone, więc Mitch Pardue czuł się całkiem niezłe, prowadząc swoich ludzi w kierunku rdzenia. Ostrożne skanowanie niczego tam nie wykryło; jeśli kobiety jeszcze żyją, musiały skryć się gdzieś w drugim skrzydle, blisko miejsca, gdzie przyleciały promem. Na myśl o nich, o odczuwanym przez nie strachu i bezradności, czuł miłe napięcie.

– Chodźmy, chłopcy – powiedział i wszedł w szeroki korytarz rdzenia.

Minęli pomieszczenie wypoczynkowe z porozrzucanymi w nieładzie krzesłami i dotarli do rejonu dowodzenia. Tutaj Ranger Bowie zatrzymał się. Zdziwiło go nieco odkrycie, że sztuczne ciążenie wciąż działa. Pamiętał wyraźnie, jak wujek opowiadał o przepychaniu ciał korytarzami w stanie nieważkości, i zaczął zastanawiać się, czy kobiety przez przypadek nie włączyły ciążenia.

– Poczekajcie chwilę – rozkazał. – Chcę coś sprawdzić. – Ale oni poszli za nim, równie zainteresowani jak on. Nachylił się nad panelem sterowania, próbując odczytać napisy; wszystkie były nie w przyzwoitym Teksie, lecz w języku używanym w Familiach Regnant, Republice Guernesii i Konfederacji Bałtyckiej. Poganie, sami poganie... Zauważył, że ktoś pościerał zalegający na panelach kurz; tu i ówdzie widać było ślady rękawic. Kiedy wyciągnął rękę w kierunku panelu sterowania ciążeniem, światła zgasły i został gwałtownie pchnięty w tył.

* * *

– Jak owce na rzeź – usłyszała w komunikatorze Esmay. – Mamy ich wyrzucić w przestrzeń czy chce pani jeńców?

– Macie ich identyfikatory?

– Cóż, jeden z nich ma na kombinezonie błyszczącą gwiazdę i wygląda jak przywódca tej bandy, która napadła na *Elias Madero*.

– Tak, chcemy jeńców – oświadczyła stanowczo Esmay. – Zwłaszcza tego. – Chciała usłyszeć, jak im poszło, ale nadal najważniejsze było odszukanie Brun, a ślady na skanie wciąż się poruszały, jakby Brun przed nimi uciekała. Może rzeczywiście tak było.

– Grupa niebieska! – zgłosił się technik skanu z innego zespołu.

– Tu porucznik Suiza.

– Zbliżają się dwa promy, które rozmawiają ze sobą bez kodowania. Chcą tu wejść i zabić wszystkich, których znajdą. To nie ma sensu... Ale nagle wszystko zrozumiała. Jeśli ci ludzie faktycznie są tak podzieleni na frakcje, jak głosiły raporty, jest to doskonała okazja dla któregoś odłamu, aby pozbyć się przywódcy innego.

– Wiedzą, że tu jesteśmy, prawda?

– Tak, ale myślą, że mogą nas pokonać. Szacuję po dwudziestu ludzi na promie, a więc w sumie czterdziestu. Powtarzam: cztery-zero uzbrojonego personelu. Brak ciężkiej broni.

Mają szczęście. Gdyby wróg miał ciężką broń lub uzbrojone statki, mógłby zdecydować się zniszczyć stację.

– Czy wiadomo już, gdzie chcą wylądować?

– Jeden wlatuje do tego samego doku co pierwszy; chcą znaleźć się za ich plecami. Drugi zamierza przycumować do końca tego skrzydła.

– Aha, stary numer z kleszczami.

– Tak jest, sir.

– Panie Vissisuan – powiedziała Esmay. – Spodziewajcie się czterdziestu intruzów w dwóch promach, wyposażonych tylko w broń osobistą. Według skanu, wiedzą o naszej obecności, ale myślą, że łatwo nas pokonają. Podzielili siły i chcą nas złapać w środek.

– Sir, jaki plan?

– Bezpieczne wyprowadzenie stąd Brun i dziewczyny to nasz priorytet. W tej chwili wygląda na to, że Brun znajduje się między nami i nadlatującym promem, lepiej więc pospieszmy się.

– Poza tym proszę strzec jeńców, których mamy, i w miarę możliwości pochwycić więcej. – Może jeśli uda im się wyłapać ważniejszych oficerów Milicji, będą mogli uniknąć bitwy i bezpiecznie wywieźć stąd dzieci.

* * *

Brun miała nadzieję, że system ekspercki wie, co robi. Prowadził je z jednego pomieszczenia do drugiego, teoretycznie poza zasięgiem osobistych skanerów Milicji. Powiedział też, że nadal próbuje znaleźć lepszy syntezytor głosowy, i wysłał w tym celu jeszcze dwa roboty. Chciała zapytać, czy dostali jakąś odpowiedź z Floty – na pewno tamci coś robią – ale po prostu nie mogła już pisać na klawiaturze, a Hazel nie rozumiała jej gestów. Była taka zmęczona... Miała nadzieję, że to zmęczenie, a nie brak tlenu.

– Brun, obudź się! – Hazel była bliska paniki. – Czuję coś przez pokład, jakieś wibracje.

Widocznie przypomina sobie, jak się ukrywała w ogołoconych pomieszczeniach statku, czekając, aż ktoś przyjdzie, i jak ją schwyтали... Musi to do niej wracać w koszmarach. Brun poklepała japo ramieniu i uśmiechnęła się. Hazel odpowiedziała tym samym, ale jakoś bez przekonania.

Teraz jednak sama już czuła wibracje. Ktoś się zbliżał, i to więcej niż jedna osoba. Wystukała na padzie:

– Pomoc Floty?

– Nie jestem pewien – odpowiedział system ekspercki. – Doszło do dwóch lądowań, zbliżają się kolejne dwa. Na pokładzie jest wielu intruzów, wrogich wobec siebie. – W takim razie ktoś musi być po naszej stronie, pomyślała Brun. – Zupełnie różne kształty promów, ale ci, którzy są bliżej, nie emitują żadnych rozpoznawalnych kodów.

– Spróbuj kodów Floty na kanałach komunikacyjnych – wystukała Brun.

– Nie mogę podłączyć się do żadnych transmisji jednej z grup intruzów – poinformował ją ekspert. – Nie wiem, jakich użyć częstotliwości.

Chroniona komunikacja. To wygląda na Flotę, ale jak można skontaktować się z nimi? Ktoś powinien nasłuchiwać nie kodowanych transmisji.

– Wszystkie pasma – napisała Brun. – Użyj podanego wcześniej kodu.

Nagle pokład podskoczył, a Brun i Hazel wpadły na ścianę. Pad Brun poleciał w drugą stronę, wyrwany z gniazdka w kombinezonie. Hazel ruszyła za nim, ale wtedy pojawiła się kolejna fala wstrząsów. Coś o bardzo dużej masie musiało uderzyć w stację. Stacja może w każdej chwili rozlecieć się, pomyślała Brun, i zostaniemy wyrzucone w przestrzeń jak nasionka z główki dmuchawca...

Szybko stłumiła panikę. W tej chwili wciąż jeszcze mają powietrze, nadal nie naruszone kombinezony i nie zamarzyły. Hazel podleciała i podała jej pad, podpinając łącze do gniazdka.

* * *

Technik skanu obserwujący nadlatujące promy Milicji zgłosił, że jeden z nich prędeziej staranuje stację niż do niej zacumuje.

– Nadlatuje ze zbyt dużą prędkością względną. Odliczam: siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden... – Pokład podskoczył i całą przestrzeń wypełniła chmura pyłu unosząca się niczym poszarpana zasłona. – Niezłe uszkodzili koniec tego ramienia, ale niestety chyba nie zrobili sobie krzywdy.

– Informuj nas – przekazała Esmay. Wraz z Meharry i pięcioma innymi podążała labiryntem pomieszczeń za sygnałem Brun.

– Poruczniku! – znów zawołał pozostawiony na zewnątrz technik. – Odbieram transmisję kodem Floty z terenu stacji; przedstawia się jako system ekspercki.

– Czego chce?

– Mówi, że dwie pracownice kazały mu skontaktować się z nami i dały mu kody. Próbuje je ochronić, dlatego pyta, czy możemy dowieść, że jesteśmy przyjaciółmi.

– Jediną osobą, która może znać kody Floty, jest Brun, ale ona nie może mówić.

– System mówi, że teraz nie może skontaktować się z tą osobą, ponieważ zawiodło urządzenie komunikacyjne.

Świetnie.

– Czy może nas do niej zaprowadzić?

– Mówi, że tak, ale najpierw musimy udowodnić, że mamy prawo tu być i że ona nas zna.

Coraz gorzej. Systemy eksperckie znane są ze sztywnej interpretacji przepisów.

– Powiedz mu, że odpowiedzieliśmy na kody Floty, i poproś ją o przekazanie znakiem potwierdzenia lub odrzucenia naszej tożsamości.

– Tak jest, sir. – Nastąpiła krótka pauza. – Mówi, że ona chce wiedzieć, kto tu jest. Nazwisko.

Esmay zastanowiła się przez chwilę. Według jej ojca, jest ostatnią osobą, którą Brun chciałaby lub powinna zobaczyć. Ale znała jej nazwisko.

– Ona nas także zna, poruczniku – odezwała się Meharry. – Methlin i Obło.

– Dobrze – powiedziała Esmay. – Podaj mu nazwiska.

Nastąpiła kolejna krótka przerwa.

– Zgodził się. Wskaże nam drogę i powie Serze Meager, że ktoś do niej idzie.

– Powiedz mu, aby opisał jej nasze kombinezony, żeby potrafiła odróżnić nas od pozostałych.

Wyświetlacz w jej hełmie ożył ikonami intruzów: dwadzieścia czerwonych kropek na tle mapy skrzydła stacji. Esmay ruszyła zgodnie ze wskazówkami przekazanymi jej grupie przez system ekspercki, a inni poszli, aby przechwycić milicjantów.

W bocznym korytarzu leżały porzucone turkusowe kombinezony próżniowe; wyglądały jak zwłoki. Każdy z nich wywoływał u Esmay dreszcz, ale system ekspercki poganiał ich głosem transmitowanym przez technika skanu. W końcu otworzyły się przed nimi drzwi jakiegoś pomieszczenia. Esmay ostrożnie weszła do środka... i zobaczyła je: Brun w masce oddechowej kombinezonu i wystraszona młoda dziewczyna. Meharry wysunęła się przed Esmay i otworzyła przysłonę hełmu, żeby Brun mogła ją zobaczyć. Dziewczyna zatoczyła się do przodu, jakby była poważnie ranna, i padła w objęcia Meharry.

– Zespół medyczny – wezwała Esmay. Weszli natychmiast i rozłożyli nosze próżniowe, które dawały dostęp do funkcji podtrzymywania życia pacjentów w kombinezonach poza atmosferą. Dopiero wtedy pomyślała o zapytaniu technika o częstotliwość, której musiał używać system do porozumiewania się z Brun. Rozejrzała się po pomieszczeniu i zobaczyła sporą dziurę w miejscu, gdzie kadłub zaczął się już rozpadać. Czy to skutek uderzenia promu Milicji, czy starsze zniszczenia? Nie była w stanie stwierdzić, zresztą to nie miało znaczenia.

Brun uwolniła się z objęć Meharry i wskazała na dziewczynę.

Sanitariusze rozłożyli drugie nosze, a następnie położyli na nich obie kobiety, zapięli je i zaczęli wypełniać zbiorniki. Nad noszami pojawiły się przezroczyste namioty wypełnione powietrzem, ze szczelnymi rękawami umożliwiającymi badanie pacjenta.

Dziewczyna natychmiast zaczęła mówić.

– Ona potrzebuje jakiegoś urządzenia do porozumiewania się.

– Jasne, skarbie. Jak masz na imię?

– Hazel, Hazel Takeris. A to jest Brun. Używała pada z wyjściem głosowym, ale wtyczka się urwała.

Esmay znalazła pad i wsunęła go do mikrośluzy w noszach Brun. Widziała, jak dziewczyna wciąga go do środka, a potem podpina do kombinezonu. Następnie Brun wykonała gest oznaczający pytanie o obecność powietrza. Potem otworzyła zamek w rękawicy, tak jak uczyli ją instruktorzy: nigdy nie ufaj nikomu na słowo, jeśli chodzi o powietrze. Wreszcie zdjęła rękawicę i wcisnęła jeden z klawiszy urządzenia.

– Wszystko w porządku – przekazał mikrofon z wnętrza noszy.

– Sera Meager?

– Wszystko w porządku.

– Czy może pani opisać swój obecny stan?

– Nie. – Esmay zauważyła, że zostało to wywołane innym klawiszem. A więc w padzie są zaprogramowane wiadomości. W takim razie do czego służy klawiatura?

– Czy może pani pisać pełne odpowiedzi?

– Nie.

Mamy kłopoty – odezwał się technik skanu. – Duże kłopoty.

Okazało się, że Milicja wtargnęła już mniej więcej do połowy tego skrzydła, choć zasadnicze siły posuwały się przede wszystkim głównym korytarzem stacji.

– Ci faceci niosą materiały wybuchowe.

* * *

System ekspercki dysponował robotami, którym udało się przetrwać pierwotne zniszczenie stacji dzięki temu, że wyglądały jak zwykłe pudełka. Ekspert naładował akumulatory jednego z nich, a następnie wysłał go do laboratorium 1-21 w celu poszukania syntezatorów mowy. Przez całą drogę przesuwał pod robotem obszar zwiększonego ciężenia, żeby jego kółka mocno przywierały do płyt podłogi. Był dumny z tego, że może wypełniać wszystkie polecenia, niezależnie od stopnia ich komplikacji. Potem wysłał jeszcze dwa roboty na wypadek, gdyby pierwszy został zatrzymany. Dostarczenie człowiekowi urządzenia komunikacyjnego to bardzo ważne zadanie.

Pierwszy robot dotarł już do laboratorium i właśnie wyciągał ramię, aby podnieść syntezator, gdy stacją wstrząsnęło uderzenie. Robot oderwał się od obszaru zwiększonego ciężenia i przeleciał przez całe laboratorium na korytarz, gdzie rozbił się o ścianę tuż obok grupy neurowspomaganych marines. Zanim zdążył spaść na podłogę, ostatni z nich spalił go, krzyząc:

- Wróg!
- Co to było? – zapytała Kim Arek. Była zdziwiona i zadowolona, że jej głos brzmi pewnie.
- To coś właśnie wyleciało na mnie z włazu.
- Coś wyrzuconego przez uderzenie?
- Wyglądało jak jeden z tych małych robotów.
- Dobra, uważaj na następne.

* * *

Pete Robertson, Ranger Travis i Kapitan Rangersów, miał w trakcie lotu z powierzchni planety mnóstwo czasu na rozmyślania.

Wszystko to, co się stało, to wina Mitcha, i za jego niebezpieczne przywiązanie do obcej techniki i nierozważne działania czeka go sąd boży. On musi teraz się upewnić, że już nikt nigdy nie użyje tej pogańskiej stacji, a Mitch zapłaci za brak wiary.

Nie miał nadziei, że uda im się wyjść z tego z twarzą – w układzie pojawiły się obce statki – ale przynajmniej sami zajmą się swoimi brudami. A Mitch nigdy nie zostanie Kapitanem, on sam osobiście tego dopilnuje.

Dwa wrogie promy zadokowane do stacji nie stanowią żadnego problemu, gdyż i tak mają ją zniszczyć. Przez chwilę zastanawiał się, czy by nie nakazać tego *Yellow Rose* i *Heart of Texas*, ale doszedł do wniosku, że woli to zrobić osobiście.

Tak więc dysząc nieco w utwardzonym kombinezonie próżniowym, wyszedł ostrożnie z promu wraz z resztą ekipy i ruszyli korytarzem. Sam Dubois, Ranger Austin, wylądował na drugim końcu; obie grupy miały zbliżyć się do wroga, rozmieszczając po drodze ładunki wybuchowe, a potem wycofać się... i wysadzić stację. To dziwne, że jego osobisty skaner wykrył tylko małą grupkę żywych istot z przodu, w centralnym rdzeniu, i dwie gdzieś po prawej. Czyżby Mitch jeszcze nie złapał kobiet? Uśmiechnął się do siebie, przez chwilę zapominając o przeciwnikach.

Kiedy z bocznego korytarza wyjechał niewielki robot w kształcie skrzynki, wypraktykowanym ruchem wyciągnął broń i strzelił. Kule odbiły się od twardego pancerza urządzenia i uderzyły rykoszetem w kadłub, wybijając w nim nieregularny wzór. Maszyna sunęła dalej, trzymając w zgiętym chwytaku jakieś urządzenie... Za nią jechała jeszcze jedna; właśnie wylaniała się zza rogu.

– Załatwcie je! – rozkazał i znów wystrzelił. Grupa Trávisa otworzyła ogień i czyjś strzał wreszcie roztrzaskał trzymane przez robota urządzenie. Mimo to automaty jechały dalej, choć już nieco wolniej. – Nie złapią nas – powiedział. – Chodźcie. – Ale kiedy się odwrócił, zobaczył, że droga zablokowana jest przez potężne postacie w czarnych pancerzach, trzymające broń, jakiej nigdy jeszcze nie widział.

– Bierzcie ich! – krzyknął i strzelił.

Wtedy dziwna broń wypuściła strumienie czegoś szarego, co pchnęło go w tył i przykleiło do reszty jego ludzi. Kiedy w dali rozległa się kolejna eksplozja, poczuł nagły przyływ strachu, że

wyzwoli ona wybuch ładunków, które zostawili za sobą. A on wbrew temu, co zawsze twierdził, wcale nie był jeszcze gotowy na spotkanie z Twórcą.

* * *

– Głupi jak but – skomentował z satysfakcją pepek Arek. – Można by pomyśleć, że nigdy nie słyszeli o kontrolowaniu zamieszek.

– Wciąż jeszcze mamy jedną grupę na wolności – zauważył Obło.

– Zostawcie to – odezwała się Meharry głosem, który zdradzał niezwykle napięcie. – Mamy większe problemy. Brun i Suiza wypadły ze stacji.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

W jednej chwili Esmay sprawdzała rozmieszczenie ludzi, a już w następnej, bez żadnego ostrzeżenia, namiot noszy uległ przebicciu i strumień powietrza wystrzelił na zewnątrz. Ktoś musiał do nich strzelać. Esmay rzuciła się na nosze, aby osłonić Brun i opuścić przyłbicę jej hełmu. Nawet przez zbroję czuła oddech dziewczyny, widziała jej twarz wykrzywioną gniewem lub strachem. Osłona pozostała przezroczysta, co znaczyło, że oba filtry powietrza działają. Dźwignęła się nieco i zablokowała łokieć, żeby jej zbroja nie zgmiotła Brun. Nagle coś stuknęło w jej pancerz, potem znowu. Ktoś na nią upadł. W interkombie słychać było podniecone głosy, ale zignorowała je. Ktoś inny może się tym zająć, ona osłania swoim pancerzem Brun.

Nagle znów mocno zatrzęsło i uszkodzony fragment zewnętrznego kadłuba oderwał się i odleciał. Kątem oka dostrzegła przewracające się postacie w kombinezonach... i podmuch powietrza rzucił ją w stronę otworu, wprost na jaskrawe słońce.

Zanim zdała sobie sprawę z tego, że jest w otwartej przestrzeni poza stacją, poczuła, że wciąż zaciska na noszach pięść pancerza wspomaganego. Wszystko wokół dziko wirowało: światło... czerń... gwiazdy... planeta... stacja. Próbowała skupić się na odczytach hełmu; w końcu udało jej się ustalić szacunkową prędkość spadania – zaledwie 2,43 metra na sekundę.

Tymczasem Brun patrzyła na nią, nie poznając jej. To zrozumiałe, Esmay nie podniosła osłony wizjera, a teraz to było niemożliwe. Nie miała pojęcia, co robić, ale wiedziała, że nie wolno jej puścić ramy noszy. Jej kombinezon miał nadajnik lokalizacyjny.

- Poruczniku! – rozległ się głośny krzyk w słuchawkach.
- Tu Suiza – powiedziała zaskakująco spokojnym tonem.
- Poruczniku, czy ma pani nosze?
- Tak – odpowiedziała. – Ona żyje, ma dopływ powietrza.
- A co z panią? Ktoś mówił, że widział pióropusz gazu.

Kolejne spojrzenie na odczyty hełmu nie było już tak uspokajające. Poziom powietrza był niski i wskazówka wyraźnie opadała. Już przez to przechodziłam, pomyślała, przypominając sobie pierwsze przerażające wyjście w przestrzeń z *Koskiusko*. I wcale mi się to nie podobało.

- Mam mało powietrza – powiedziała. – I ciągle ubywa.
- Wybuch mógł obluzować przewód tlenowy. Czy może go pani sprawdzić?
- Nie mogę bez puszczenia noszy, a tego nie zamierzam robić. Jak wygląda sytuacja?
- Zginęli. My mamy dwóch martwych ludzi i czterech w przestrzeni, licząc panią i nosze za jedno. Max ma wszystkich na Skanie. Dotrzemy do pani szalupą w niecałe dziesięć minut.

Nie miała dziesięciu minut.

- Ile ma pani powietrza? – spytała tym razem Meharry.
- Trzy minuty, jeśli nie zacznie szybciej wyciekać.
- Czy Brun jest przytomna?
- Tak. Patrzy na mnie, ale nie widzi mojej twarzy; osłona hełmu wciąż jest opuszczona.
- Połączę się z nią i powiem, żeby sprawdziła, czy może zatrzymać wyciek.
- Nie, to zbyt niebezpieczne.
- Jeszcze bardziej niebezpiecznie będzie, jeśli pani straci przytomność i nie pomoże nam

wsadzić noszy na szalupę.

Po chwili Esmay zauważyła zmianę wyrazu twarzy Brun.

Dziewczyna obróciła się i chwyciła jedną ręką unoszące się nad noszami taśmy, a drugą sięgnęła do tyłu, za Esmay. Ale jej ramię okazało się za krótkie, mogła tylko poklepać Esmay po barku.

Gdyby Suiza puściła nosze jedną ręką i obróciła się, Brun mogłaby sięgnąć, ale to groziło odpadnięciem od noszy... Następne uderzenie Brun było mocne jak trafienie pociskiem. Esmay uśmiechnęła się do siebie; niezależnie od wszystkiego Brun pozostała tą samą osobą. Ostrożnie i powoli Esmay puściła ramię noszy i chwyciła za taśmę przymocowaną do kombinezonu Brun.

Obróciła się jeszcze bardziej... i strzałka miernika przestała opadać... a potem zatrzymała się na ośmiu minutach.

– Osiem minut – zgłosiła Esmay.

– Dziewczyna ma szczęście – skomentowała Meharry. Nagle Esmay zobaczyła, że Brun odsuwa się od niej i wyciąga rękę i nogę w bok. Co ta idiotka robi? Aha, zwalnia rotację. Esmay zrobiła to samo z drugiej strony noszy. Szaleńcze wirowanie ustało; teraz tworzyły wraz z ramą noszy sześcioszprychowe koło, wirujące wolno w przestrzeni.

Po chwili Brun wyciągnęła rękę i zanim Esmay zdołała ją powstrzymać, odsunęła osłonę jej przyłbicy. Otworzyła szeroko oczy, a potem uśmiechnęła się radośnie i łobuzersko, tak jak tylko ona potrafiła. Następnie tą samą ręką uwolniła przyklejoną do noszy torbę z płynem fizjologicznym i za pomocą przymocowanego do rękawicy śrubokrętu przebiła ją. Mrugnęła do Esmay, odwróciła torbę... i ścisnęła.

Z worka wytrysnął strumień cieczy, która natychmiast zmieniła się w chmurę świecących w słońcu kryształków lodu. Esmay już zaczęła zastanawiać się, czy Brun oszalała, ale po chwili uświadomiła sobie, że ona próbuje użyć roztworu soli fizjologicznej jako masy reakcyjnej, by zmniejszyć ich prędkość spadania.

Potem już aż do samego końca starała się pozostawać nieruchomo, nawet gdy kończyło się jej powietrze i zaczęła ją opanowywać chęć ucieczki, chęć spazmatycznej walki o uwolnienie się z czarnego tunelu wysysającego z niej życie.

* * *

Zanim cokolwiek zobaczyła, usłyszała głosy. Spokojne, ciche głosy lekarzy i gdzieś w dali ostre przeklinania i wrzaski.

– Jaki jest jej poziom O_2 ?

– Wzrasta. Złapaliśmy ją w odpowiednim momencie.

– Będziemy potrzebować jeszcze jednego pojemnika sprayu.

– Mój Boże, co oni z nimi zrobili?

– Wydaje mi się, że to koń... – powiedział ktoś niepewnym, miękkim głosem.

Esmay otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą twarze bez hełmów. Chciała zadać jakieś logiczne pytanie, ale nie potrafiła. Jeden z medyków przewidział jej reakcję.

– Jesteśmy na promie. Nasze cele żyją, żadnych ran otrzymanych w strzelaninie. Mamy dwoje zabitych i ośmioro z lekkimi obrażeniami. Stacja praktycznie rozpadła się, a gdzieś w górze toczy się

walka. Skoro już jest pani z nami, nie musimy się o panią martwić. Ale muszę przeprowadzić badanie pani stanu umysłowego.

Esmay głęboko wciągnęła powietrze i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że cały czas ma w nosie wężyk doprowadzający tlen.

– Nic mi nie jest – powiedziała. – Co jeszcze się dzieje? – Próbowwała usiąść, ale sanitariusz nie pozwolił jej.

– Niech pani leży, dopóki nie upewnimy się co do zawartości gazów w pani krwi. Telemetria kombinezonu zgłosiła, że nie miała pani tlenu aż przez dwie i pół minuty, zanim panią podłączyliśmy.

– Nic mi nie jest – powtórzyła Esmay.

– Nieprawda – rzekł medyk – ale tak będzie, kiedy już z panią skończymy. – Podłączył strzykawkę do wenflonu, którego Esmay wcześniej nie zauważyła, i miękka zasłona oddzieliła ją od reszty wszechświata...

* * *

Barin miał wątpliwy zaszczyt obserwowania z mostka *Gryfalcona*, jak „prosta, zwykła konstrukcja” rozwała się na kawałki.

Większość masakry już się dokonała, zanim dotarł do nich sygnał ze *Shrike'a*, jego babka wydała grupie uderzeniowej rozkaz wkroczenia. Wyskoczyli niecałe trzydzieści sekund świetlnych od planety, tylko dziesięć od najbliższego statku wroga.

Załatwiła go pierwsza salwa *Gryfalcona*; potężna broń energetyczna krążownika w niecałą sekundę przepaliła jego tarcze.

– Nie przywykli do walki z prawdziwym przeciwnikiem – stwierdził spokojnie Escovar.

– Kapitanie, *Shrike* sprowadził prom. Są ofiary...

Proszę, proszę, niech to nie będzie Esmay... Barin zacisnął dłoń na kupionym dla niej pierścionku.

– Namierzony drugi okręt wroga.

– Czekaj!

– Trafiony! – To był sygnał z *Navarino*, którego pewny strzał zniszczył drugi statek równie elegancko, jak oni zniszczyli pierwszy.

– Trzeci cel ucieka, kieruje się do punktu skokowego.

Tym zajmie się *Applejack*, lekki krążownik pilnujący tyłów.

Barin z uwagą obserwował na skanerze, jak jednostka wroga leci wprost na pole minowe, które *Applejack* ustawiał przez ostatnie sześć godzin wokół korytarza skokowego.

* * *

Hazel zobaczyła, jak poszycie kadłuba odrywa się, i poczuła chwilę totalnej paniki – nie teraz, nie po tym wszystkim, co przeszły – ale zaraz czyjaś rękawica złapała za uchwyt noszy i szybko owinęła go liną, po czym przykleiła drugi koniec do pokładu.

Chwilę później zauważyła znikający w oddali wirujący kształt; to była Brun i ktoś, kto ją

trzymał.

Nic nie mówiła – z radia i tak dochodziło wystarczająco wiele hałasów – aż ktoś zapytał, czy nic jej nie jest.

– Nie, ale co z Brun?

– Złapiemy je – zapewnił ją spokojny głos. – Nie martw się. Zabierzemy cię na prom, zanim to wszystko całkiem się rozleci.

Przekazywano ją z rąk do rąk; każdy ostrożnie mocował ją do kolejnego zestawu linek zabezpieczających, zanim uwolnił poprzedni, a potem wreszcie wsunięto ją przez właz towarowy promu. Przechodzący obok ludzie byli zajęci; miała nadzieję, że to, co robią, pomoże Brun. Przez całe życie słuchała opowieści o PIR Floty, ale nigdy nie widziała żadnego w akcji. Nie miała pojęcia, że ich załogi noszą czarne kombinezony, które wyglądają jak broje kosmiczne z kostek. Spodziewała się, że będą mieli na sobie jaskrawe ubiory z mnóstwem światełek, żeby można ich było z daleka zauważyć.

– Hej tam, czy możesz nam jeszcze raz podać swoje nazwisko? – zapytała blondynka z zielonymi oczami.

– Hazel Takeris – odpowiedziała. – *Z Elias Madero*. – Gardło zacisnęło jej się, i nie mogła powiedzieć tego wszystkiego, co od tak dawna przygotowywała sobie w myślach.

– Lecimy teraz po Brun – powiedziała kobieta. – Oficer przebywająca razem z nią ma nadajnik, więc na pewno je namierzemy.

Hazel poczuła się trochę lepiej, ale wciąż wyczuwała w otaczających ją ludziach napięcie. Coś nadal było nie w porządku.

– O co chodzi?

– Nic takiego – odpowiedziała kobieta. – Tylko że to miała być szybka, prosta akcja... i nic nie wiedzieliśmy o tobie.

– Przykro mi.

– To nie tobie ma być przykro, tylko tym idiotom, którzy to zaplanowali.

Nagle kobieta odwróciła wzrok i Hazel spojrzała w tę stronę, żeby sprawdzić, o co chodzi. Właz ładunkowy otworzył się i do środka wpłynęły cztery postacie; jedną z nich była trzymająca nosze Brun.

– Właz zamknięty – usłyszała w słuchawkach.

– Powietrze! Napełniać powietrzem!

– Podłącz to do kombinezonu, do diabła!

Hazel widziała turkusowy kombinezon Brun... a więc na pewno ma powietrze ze zbiorników kombinezonu. Potem inni przesłonili jej widok.

– Ciśnienie powietrza wyrównane – oznajmił ktoś.

Przechodzący obok niej ludzie nieśli kogoś w czarnym stroju.

Dwóch z nich zdjęło jej rękawice, a potem otworzyli jakimś narzędziem kombinezon; odskoczył jak pancierz chrząszcza. Hazel przyglądała się w zdumieniu; to był pancierz kosmiczny. Wewnątrz leżała jakaś bezwładna postać; widziała jej bladą twarz. Nagle ktoś klepnął ją w ramię.

– Lepiej na to nie patrz – powiedziała zielonooka kobieta. – To nieprzyjemny widok. Poprosili mnie, żebym z tobą porozmawiała. Masz problemy z oddychaniem?

– Nie, ale...

– To dobrze. Może otworzysz swój hełm? W ten sposób będziemy mogli wyłączyć radia i zredukować interferencje.

Hazel odsłoniła przyłbicę, a kobieta otworzyła swoją i ściągnęła rękawice.

– Masz jakieś złamania, o których wiesz?

– Nie. Co z Brun?

– Wszystko dobrze, zajmuje się nią drugi zespół.

– A kto to był?

– Porucznik Suiza; tylko lekkie niedotlenienie, nic wielkiego.

– Czy ludzie mogliby wreszcie przestać opowiadać jej bajki?

Wbiła w kobietę ostre spojrzenie.

– Wie pani, nie jestem już dzieckiem.

– A wyglądasz na dziecko.

– Ja... – Nie była nawet pewna, ile ma lat. Jak długo była w niewoli? Przynajmniej rok, bo Brun zdążyła urodzić dzieci. – Mam siedemnaście lat – powiedziała.

– Aha. Cóż, ja mam trzydzieści osiem i nazywam się Methlin Meharry. Powiesz mi, jak uciekałeś?

– Wracałam z targu... – zaczęła Hazel, i dotarła właśnie do opisu ścinania włosów, gdy usłyszała, jak jeden z mężczyzn pracujących nad oficerem – porucznik Suizą – wydobył z siebie okrzyk zadowolenia.

– Budzi się? – zapytała Meharry.

– W każdej chwili może się obudzić. – Mężczyzna podszedł do Hazel.

– No dobrze, teraz zajmą się nią profesjonaliści, a my wyciągniemy cię z tego kombinezonu i zobaczymy, w jakim jesteś stanie.

– Tylko bądź delikatny – powiedziała Meharry.

– I kto to mówi – odpowiedział medyk. – Biorąc pod uwagę twoją reputację...

– Sama mogę wyjść z kombinezonu... – mruknęła Hazel, gdy medyk sięgnął do zapięć w jej stroju.

Tak, ale chcemy, żebyś została w namiocie na wypadek, gdyby prom miał problemy z ciśnieniem. To mało prawdopodobne, ale na zewnątrz dzieją się cuda. – Medyk ściągał z niej kombinezon kawałek po kawałku. Hazel słyszała różne okrzyki od strony pracujących nad Brun, ale kiedy próbowała coś zobaczyć, zajmujący się nią człowiek właśnie zaczął ściągać z niej spodnie. – Mój Boże, co oni z nimi zrobili!

– Myślę, że to konie – powiedziała Hazel. – Całą noc jechałyśmy konno.

– Konie! Wysyłamy całą grupę uderzeniową na pomoc, a one uciekają na koniach?!

– To od tego wszystko nas boli. Ubrania były strasznie sztywne.

– Barbarzyńcy – wymamrotał ktoś. – Powinniśmy byli wyrzucić ich w przestrzeń.

* * *

Shrike wciągnął prom na swój pokład i sanitariusze przenieśli Hazel i Brun do obszernego lazaretu.

– Do regeneracji – oświadczył ubrany na zielono lekarz, kiedy wyciągnięto Hazel z namiotu rozpiętego nad noszami. – Po godzinie, może dwóch, poczujesz się znacznie lepiej. – Hazel nie miała zamiaru protestować. Kiedy zobaczyła, że Brun zaprowadzono do drugiego zbiornika, zanurzyła się w ciepłym, kojącym płynie i usnęła.

* * *

Brun była wściekła. Znowu rozmawiają przy niej tak, jakby jej tu nie było, i nikt nie pomyślał o przyniesieniu jej syntezatora głosowego. Jest już trzy godziny na pokładzie, a oni wciąż traktują ją jak upośledzone dziecko.

– Potrzebuje jeszcze pięciu godzin regeneracji na wyleczenie tych otarć – powiedział jeden z lekarzy. – Uważam, że powinniśmy też sprawdzić ją pod kątem obecności pasożytów.

Brun złapała go za mundur i mocno pociągnęła. Zatoczył się, a potem odwrócił.

– Nic pani nie jest? Wszystko w porządku? – Mówił trochę za głośno i zbyt wolno, jakby była głuchym dzieckiem.

Brun potrząsnęła głową i wykonała gest naśladujący pisanie.

– Aha, chce pani coś powiedzieć?

Tak, chce coś powiedzieć, i to bardzo stanowczo. Zamiast tego uśmiechnęła się i kiwnęła głową. W końcu ktoś podał jej tabletki.

CO Z ESMAY?, napisała.

– Porucznik Suiza dochodzi do siebie – odpowiedział lekarz.

– Proszę się nie martwić, już jej pani nie zobaczy. To było wbrew rozkazom.

O czym oni mówią? Brun znowu chwyciła tabletki. CHCĘ JĄ ZOBACZYĆ.

– To nie jest dobry pomysł. Miała pani w ogóle jej nie widzieć.

Rozumiemy, że to było traumatyczne przeżycie.

Brun podkreśliła słowa CHCĘ JĄ ZOBACZYĆ.

– Ale to był błąd...

URATOWANIE MOJEGO ŻYCIA BYŁO BŁĘDEM? Nabazgrała to tak, że z trudem odczytał.

– Nie, to że ona brała w tym udział. Pani ojciec powiedział, że po tym, co pani nagadała, pod żadnym pozorem ma jej pani nie oglądać.

Jej ojciec. Ogarnęła ją wściekłość. Siłąc się na spokój, napisała: NIE DBAM O TO, CO POWIEDZIAŁ MÓJ OJCIEC.

ESMAY URATOWAŁA MI ŻYCIE. CHCĘ JĄ ZOBACZYĆ.

NATYCHMIAST.

– Ale nie może pani, potrzebuje pani więcej czasu w zbiorniku. Zresztą co powie na to kapitan?

Nie obchodzi jej to, co powie kapitan... albo jej ojciec. Nie po to wróciła do prawdziwego świata, żeby jej mówili, z kim może rozmawiać, nawet jeśli nie potrafi mówić.

– Ona się denerwuje – odezwał się ktoś inny. – Przyspieszony puls i oddech. Może powinniśmy podać środki uspokajające?

Ignorując wszystkie rurki i wenflony, Brun wyskoczyła z łóżka i odepchnęła stojącego najbliżej lekarza. Drugi podniósł strzykawkę ze środkiem uspokajającym. Kopniakiem ćwiczoną od miesięcy w tajemnicy wytrąciła mu ją z dłoni; strzykawka potoczyła się po pokładzie. Podniosła tablet i postukała palcem w słowo NATYCHMIAST.

– Dobrze, że wstałaś – rozległ się leniwy głos od strony wejścia. Brun przygotowała się do ataku, po czym uświadomiła sobie, że to Methlin Meharry, której wyraz twarzy nie zmienił się ani odrobinę w trakcie całego zajścia. – Utrudniają ci życie, co?

Dobra chłopcy, wynoście się. – Lekarze popatrzyli na siebie, potem na Meharry, i rozsądnie zdecydowali się wycofać.

Brun wyciągnęła w jej stronę tablet.

– Chcesz zobaczyć Suizę? Czemu, dziewczyno? Myślałam, że tak się na ciebie wydarła w Copper Mountain, że uciekłaś oburzona do domu.

Brun wzruszyła ramionami – to nie ma znaczenia – i znów postukała w tablet.

– No cóż, faktycznie ocaliła ci życie, a ty jej. A przynajmniej nam pomogłaś. Twój ojciec uważa, że spotkanie jej byłoby dla ciebie okropnym przeżyciem. Jeśli nie... Cóż, to twój wybór. – Meharry skrzywiła się. – Mogłabyś w coś się ubrać... chyba że mam ją tutaj sprowadzić.

Ale Brun miała dość siedzenia w szpitalu. Jak zwykle niezastąpiona Meharry szybko znalazła jej kombinezon, który prawie pasował. Nie był aż tak miękki jak stroje znalezione przez Hazel na stacji, ale za to bardziej pasował.

– No dobrze, zwyczajowo należałoby przywitać się z kapitanem. Ponieważ kapitan kazał porucznik Suizie nie ujawniać swojej obecności, a ona to zrobiła, to może być nieco kłopotliwe. To tak dla twojej informacji.

Potem Meharry poprowadziła ją przez labirynt korytarzy do drzwi z tabliczką: Porucznik E. Suiza, Pierwszy oficer. Zapukała.

– Wejść. – Esmay siedziała na koi. Była blada i zmęczona.

– Brun chce się z panią zobaczyć – powiedziała. – Nalegała, kiedy lekarze chcieli ją uśpić.

Brun odsunęła Meharry na bok i wyciągnęła w stronę Suizy tablet, na którym napisała DZIĘKUJĘ.

Esmay popatrzyła ze zmarszczonym czołem na tablet, a potem na Brun.

– Nie dali ci urządzenia głosowego! Co oni sobie myślą?! – Była niemal tak samo zła jak Brun.

MARTWIĄ SIĘ O MÓJ STAN PSYCHICZNY.

– Do diabła, powinni martwić się o twój głos! To powinna być pierwsza rzecz...

DZIĘKUJĘ, napisała jeszcze raz Brun. MÓJ OJCIEC ROBIŁ CI PROBLEMY?

Esmay zaczerwieniła się.

– Mają nagrane to, co ci powiedziałam tamtej nocy. Przepraszam, to naprawdę było obraźliwe.

MIAŁAŚ RACJĘ.

– Nie... Wściekłam się, i tyle. Myślałam, że chcesz ukraść mi Barina... jakby był moją własnością. To paskudnie o mnie świadczy, ale wtedy tak czułam.

KOCHASZ BARINA? To było coś, o czym nie pomyślała, nawet w ciągu miesięcy niewoli. Esmay, zimna profesjonalistka, zakochana?

– Tak. I ja dużo pracowałam, a ty spędzałaś z nim więcej czasu...

ROZMAWIAJĄC O TOBIE.

– Wtedy tego nie wiedziałam. W każdym razie bardzo cię przepraszam. A oni myślą – myśleli – że mam coś przeciwko tobie i twojej rodzinie. Twój ojciec nie chciał, żebym brała udział w przygotowaniu misji. Ale nie to jest ważne. Musimy ci dać głos.

– Esmay zastanawiała się przez chwilę. Meharry. Ona zna wszystkich i o wszystkim wie. Jeśli to urządzenie ze stacji przetrwało, Meharry będzie wiedziała, gdzie jest, a jeśli nie, zaproponuje coś innego.

– Syntezator głosowy? Jasne, mogę przynieść. Tylko nie pytajcie, skąd.

Dziesięć minut później młody szeryf dostarczył skrzynkę wielkości walizki. Po otwarciu ukazała się klawiatura z zaprogramowanymi wypowiedziami i klawiszami pozwalającymi na wprowadzanie poleceń.

– Proszę – powiedziała Esmay. – Spróbuj tego.

Brun pochylała się nad urządzeniem i zaczęła wciskać klawisze.

– Wygląda tak samo jak ta maszyna, której Lady Cecelia używała na Rotterdamie – powiedział głęboki bas.

Esmay podskoczyła, a potem roześmiała się.

– Zobaczmy, jak zabrzmii teraz – powiedziała skrzynka, tym razem sopranem.

– Nie podoba mi się, zobaczmy to... – Tym razem było mezzo.

– Brun wzruszyła ramionami. – Zostanę przy tym.

– Ciekawe – powiedziała Esmay. – Jeśli mieli na pokładzie syntezator głosu, czemu od razu ci go nie dali?

– Arogancja – wystukała Brun. – Oni wiedzą, czego mi trzeba, więc po co mają mnie pytać?

– Brun, tak mi przykro...

– Nie warto. Dziękuję, ocaliłaś mi życie.

Esmay próbowała wymyślić jakąś odpowiedź, gdy rozległa się następna wiadomość od Brun.

– Atak przy okazji, kto układa ci włosy? Wyglądają dobrze nawet po sprasowaniu przez kombinezon.

– Sera Saenz... zabrała mnie do takiego miejsca zwanego Afino.

– Ciotka Raffaelli, Marta? Musiałaś zrobić na niej wrażenie, jeśli cię tam zabrała. Punkt dla ciebie.

Esmay była zdumiona szybkością, z jaką Brun wystukuje słowa, zupełnie jakby używała tego urządzenia od lat.

– Dobrze ci idzie – zauważyła.

– Praktyka – wystukała Brun. – Dzięki Cecelii. Nie masz pojęcia, jak mi z tym dobrze. No a co się dzieje z Flotą i planetą?

– Hazel chciałaby wydostać stamtąd dziewczynki.

– I twoje dzieci – dodała Esmay. – Twój ojciec jest nieugięty, nie zostawi tam swoich wnuków.

– Może je sobie zabrać. – Wyraz twarzy Brun sugerował, że lepiej nie drażnić tego tematu.

– Nie znam ogólnej sytuacji – powiedziała Esmay. – Ponieważ jestem w niełasce za to, że ujawniłam swoją obecność tutaj, nie chcą mi powiedzieć. Jesteśmy na statku poszukiwawczo-

ratunkowym. Przyleciała z nami grupa uderzeniowa, która teraz robi wokół nas mikroskoki, żeby trzymać z dala od nas okręty Milicji.

– Z kim mogę porozmawiać? – wystukała Brun. – Kto tu wydaje rozkazy?

– Na tym statku kapitan Solis. W grupie uderzeniowej admirał Serrano.

– Dobrze. Muszę z nią porozmawiać.

– Z admirał Serrano? – Esmay przypomniała sobie, że Brun zna admirał... i że ta faktycznie może zechce jej wysłuchać. – Na razie mogę cię zaprowadzić do kapitana Solisa, gdyż mamy blokadę komunikacyjną z resztą grupy.

– Najpierw kapitan Solis – wystukała Brun. Esmay przytaknęła i bez dalszych słów ruszyła w kierunku mostka. Idąc za nią, Brun przyglądała się jej uważnie. Oprócz lepszego uczesania zmieniło się też coś jeszcze. Widząc, jak odnoszą się do niej inni członkowie załogi, uświadomiła sobie, że choć Esmay faktycznie może jest w niełasce, to i tak jest kimś więcej niż Brun sobie wyobrażała. Czy taka właśnie była na *Xavierze* i *Koskiusko*? Znów uderzyła ją własna głupota, jej wyniosły stosunek do Esmay, przekonanie, że nie jest ona nikim więcej niż tylko jeszcze jedną studentką, nikim więcej niż na przykład ona. Pomyślała, że mężczyzna w barze dla weteranów miał rację – ona niczego nie rozumiała.

Zatrzymały się na skrzyżowaniu korytarzy, czekając, aż przejdzie grupa ludzi w olbrzymich zbrojach.

– Lepiej się pani czuje, poruczniku? – zapytał jeden z nich.

– Dobrze, dziękuję – odpowiedziała Esmay i odwróciła się do Brun. – Byli w zespole, który cię wy dostał.

– Dziękuję – wystukała szybko Brun i zapisała to słowo w urzędzeniu; jeszcze wiele razy będzie go potrzebować.

* * *

Kiedy Brun weszła na mostek, kapitan Solis wstał i uściśnął jej dłoń. – Tak się cieszymy, że udało się panią odzyskać!

– Ja też cieszę się, że wróciłam. – Brun już wcześniej przygotowała to zdanie.

– Pani ojciec uważał, że widok porucznik Suizy będzie pani przeszkadzał, ale z tego, co widzę, chciała ją pani zobaczyć.

– Tak. Chciałam przeprosić za moje zachowanie w Copper Mountain. W trakcie uwięzienia jasno uzmysłowiłam sobie, jak bardzo pomyliłam się w ocenie Esmay. Chciałabym wyrazić głęboką wdzięczność za jej wysiłki włożone w moje uratowanie.

Nie wie pani wszystkiego – powiedział kapitan Solis. – To właśnie ona uparła się, że pani nadal żyje po tym, jak wybuchł prom; uważała, że to może być podstęp i że musimy polecieć i pani poszukać. – Rzucił Esmay spojrzenie, które Brun uznała za pełne szacunku. – Niemal zmieniłem o niej zdanie.

– Ja swoje zmieniłam – wystukała Brun.

– Cóż, skoro mamy już panią i tę drugą – Hazel Takeris, tak się właśnie nazywa? – możemy bezpiecznie skoczyć do grupy uderzeniowej i odlecieć stąd bez dalszych kłopotów.

– Nie – napisała Brun, dla podkreślenia przełączając urządzenie na męski głos.

Kapitan Solis aż podskoczył; z trudem stłumiła uśmiech.

– Ale... dlaczego?

– Musimy wydostać dzieci, które były z Hazel na statku.

– Nie bardzo widzę, jak.

– Musimy – powtórzyła Brun.

– Ale Hazel powiedziała, że są bezpieczne, że przyzwyczyły się do nowej rodziny.

– Nie możemy zostawić małych dziewczynek, z urodzenia obywaterek Familii, żeby były wychowywane w społeczeństwie, w którym za jedno niewłaściwe słowo mogą zostać pozbawione głosu.

Solis popatrzył na nią badawczo.

– Jest pani zbyt zdenerwowana... – zaczął.

Brun zaczęła stukać w klawisze z taką furią, że umilkł.

– Jestem zmęczona, obolała, głodna i mam serdecznie dość braku głosu, ale nie jestem zbyt zdenerwowana. Czy potrafi pan określić odpowiedni poziom zdenerwowania kogoś w moim położeniu? Te dzieci porwano, ich rodzice zostali okrutnie zamordowani, a teraz znajdują się we władzy ludzi, którzy mnie porwali, zgwałcili i okaleczyli. Jak pan śmie sugerować, że są bezpieczne?

– Sera, nie do mnie należy decyzja. Może ją podjąć wyłącznie admirał, i jak sądzę, tylko w porozumieniu z Wielką Radą.

– W takim razie chcę rozmawiać z admirał – napisała Brun.

Upłynie trochę czasu, zanim będziemy mogli bezpiecznie się spotkać. – Solis rzucił Esmay długie spojrzenie. – A na razie, poruczniku, czy mogłaby pani znaleźć kwatery dla naszego gościa? Wiem, że mamy dość ciasno z powodu dodatkowej załogi, nie wspominając już o więźniach.

– Tak jest, sir.

– Więźniowie... – To słowo zostało wypowiedziane bezbarwnym barytonem, gdy opuściły już mostek.

– Dwie grupy – wyjaśniła Esmay. – Do stacji przyleciały za tobą trzy promy; jeden wysadził się w powietrze, ale złapaliśmy załogi pozostałych dwóch.

Chciała ich zobaczyć. Chciała, żeby i oni ją zobaczyli wolną i zdrową. Ale najpierw musi odzyskać głos, a potem spotka się z nimi.

– Coś do jedzenia? – wystukała.

– Już się robi – odpowiedziała Esmay i zaprowadziła ją do mesy. Brun usiadła i zaczęła delektować się jedzeniem – smakami, do których przywykła, ulubionymi przyprawami, napojami, na które miała ochotę – cały czas dyskretnie przyglądając się Esmay. Co w Alfmo zrobili z jej włosami? A skoro już o tym mowa, co może zrobić ze swoimi, przyciętymi byle jak nożem?

* * *

Kilka dni później, z włosami znów poskręcany w loki dzięki umiejętnościom pokładowego fryzjera, była gotowa na spotkanie z admirał Serrano.

– Lecisz ze mną – rzekła do Esmay. – Potrzebuję cię i ufam ci.

– Mogłabyś wziąć Meharry.

– Methlin to kochana osoba... – Esmay zamrugęła, wyobrażając sobie, jak ciesząca się podejrzaną opinią Meharry zareagowałaby na te słowa. – Ale ja potrzebuję ciebie.

– Jestem tu pierwszym oficerem. Nie mogę tak po prostu opuścić statku.

– W takim razie niech admirał przyleci tutaj. Jak myślisz, co bardziej jej się spodoba?

Po takim postawieniu sprawy Esmay nie miała wyboru. Odszukała kapitana Solisa i uzyskała pozwolenie na towarzyszenie Brun na okręt flagowy.

– Nie uszło mojej uwadze – zauważył Solis – że prawie dwa lata bez głosu nie powstrzymało tej młodej damy od wydawania rozkazów. Lepiej dajmy jej patent, żeby to przynajmniej było legalne.

Nasz Teksas, dom Rangera Bowie

Prima od samego początku wiedziała, że będą wielkie kłopoty. Nie mogła uwierzyć, że Cierpliwość uciekła, i prawdę mówiąc, wszystko wskazywało na to, że została uprowadzona. Takie rzeczy czasami się zdarzały, chociaż zwykle nikt nie odważyłby się zrobić tego Rangerowi.

Teraz Mitch był na zebraniu, i to ważnym, ale wstąpił tu jego młodszy brat Jed, jak często miał w zwyczaju, i kiedy Tercja przysłała zgłosić, że Cierpliwość wciąż nie wróciła, sam zajął się odszukaniem Mitcha. Jed lubił wydawać rozkazy i Prima wiedziała, że jego ambicje są znacznie większe niż tylko być bratem Rangera. Chciał dla siebie gwiazdy, a Mitch nie widział w tym żadnego zagrożenia.

Mitch wrócił wściekły na nią za to, że nie dopilnowała dziewczyny. Wyglądało na to, że kobieta schwyta raz z Cierpliwością także zniknęła ze złołka na ulicy Crocketta. Mitch zwołał starszych chłopców i wszyscy ruszyli na poszukiwania, a także wezwał plebana, żeby przyszedł i przez całe popołudnie głosił kobietom kazania.

Było to znacznie gorsze niż tylko zwykła uciążliwość; był dzień pieczenia, a one musiały zostawić rosnące ciasto, siedzieć w milczeniu i wysłuchiwać, jak pleban Wells mówi na temat ich lenistwa i grzechów. Prima siedziała ze spuszczonym wzrokiem, ale uważała, że to wstyd i niegodziwość odrywać uczciwe kobiety od pracy i zmuszać je do wysłuchiwania bzdur na temat lenistwa.

Potem pleban bez końca rozwodził się nad grzechami ich i dzieci. Prima miała problem z tym elementem doktryny. Jeśli mimo wszelkich starań jej grzechy spowodowały, że biedny Sammy został kaleką, a Prostota jest głupia, to czemu kobiety z innych planet – które jakoby żyły tam w grzechu i bluźnierstwie – rodziły zdrowe i piękne dzieci?

Mitch wrócił tego wieczoru późno; nie znalazł ani śladu Cierpliwości... ani prawdopodobnie tej drugiej, żółtowłosej kobiety.

Prima chciała zapytać o jej dzieci, ale miała dość rozsądku. Nie był w nastroju do rozmowy. Dopilnowała więc porządku w domu i czekała przy drzwiach do pokoju kobiet, ale nie przyszedł do niej. Następnego ranka opuścił wcześniej dom; był z nim Jed.

Potem usłyszała huk startującego z kosmoportu promu, a jakiś czas później drugiego i jeszcze jednego.

Po kilku godzinach jej uwagę przyciągnęła wrzawa dochodząca z pokojów chłopców i głos nauczyciela bezskutecznie próbującego ich uciszyć... a potem Randy, najmłodszy syn Tercji, wypadł z pokoju, stukając głośno sandałami.

– Tata nie żyje! – krzyczał ze wszystkich sił. Prima złapała go za ramię. – Puść mnie! Puść mnie!
– wołał i walił ją pięściami.

Chwilę po nim wyszedł nauczyciel.

– Prima, puść go.

Nauczyciel, choć był mężczyzną, nie był Mitchem, więc odważyła się spojrzeć w jego bladą jak serwatka twarz.

– Co się dzieje? – zapytała.

– To ohydztwo... – powiedział przez zaciśnięte zęby. – Ukradła prom i próbowała uciec. Ranger Bowie i inni polecili za nią i doszło do... – W oknie pojawił się krótki rozbłysk biało-błękitnego światła. Prima poczuła, jak jej serce uderza o żebra.

Nauczyciel otworzył okno i spojrział w górę. Na ulicy samochody zatrzymywały się i mężczyźni także patrzyli w niebo. Prima odważyła się rzucić krótkie spojrzenie na niebo, ale zobaczyła tylko plamy błękitu między chmurami. Zwykle, niegroźne...

– Chcę zobaczyć wiadomości – oznajmiła nauczycielowi, i nie czekając na pozwolenie, weszła do męskiej części domu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

W wiadomościach dwóch podnieconych mężczyzn krzyczało coś do kamery. Prima ledwie mogła zrozumieć, co mówią. Ucieczka, pościg, inwazja... Inwazja? Kto miałby ich atakować? I dlaczego? Jeden z mężczyzn powiedział nawet o mobilizacji.

– Co to znaczy? – zapytała. Starsi chłopcy już ruszyli do swoich szafek z bronią.

– To koniec świata – powiedział Daniel, trzeci syn Sekundy.

– Nie bądź głupi – stwierdził inny. – To niewierni, chcą nas zmusić, abyśmy kroczyli ich nieczystą drogą.

– Dlaczego? – zapytała Prima. Przez tyle lat nikt nie przejmował się Naszym Teksasem, i nie widziała powodu, czemu miałoby się to zmienić.

– Nie martw się – powiedział Daniel, klepiąc ją po ramieniu. – Obronimy was. A teraz wróć na stronę kobiet i pilnuj porządku.

Prima ruszyła do wyjścia, wciąż nie wiedząc, co to wszystko ma znaczyć. W kuchni Sekunda i Tercja kłóciły się o znaczenie białego rozbłysku; teraz obie odwróciły się do niej w oczekiwaniu na odpowiedź.

– Nie wiem – powiedziała. Kto to może wiedzieć? Męczyła ją pokusa... ale nie, nie odważy się narażać swojej duszy, zadając takie pytania obcej kobiecie. Wreszcie jednak zdecydowała się i ruszyła do tkalni.

– Miriam! – Pochodząca z innego świata kobieta odwróciła się w jej stronę. Jej twarz była pełna napięcia; ona też musiała widzieć rozbłysk światła. – Czy wiesz, co to za światło?

Miriam kiwnęła głową.

– Czy to z kosmosu? Ze statków? – Kolejnemu kiwnięciu towarzyszył szeroki triumfujący uśmiech. Potem Miriam pokazała gestami startującą raketę i strzelającą do innej rakiety.

Najeźdźcy. To byli najeźdźcy.

– Kto? – zapytała Prima. – Kto miałby to zrobić? I czemu? – Podskoczyła, gdy Miriam dotknęła jej ramienia, wykonując gest wyrażający pisanie. Pisanie... Przypomniała sobie, że Mitch groził Miriam obcięciem dłoni, jeśli nie przestanie pisać, a ona miała nadzieję, że to nie będzie konieczne, bo kobieta była utalentowaną tkaczką. Poprowadziła Miriam do kuchni i tam dała jej kartkę papieru i pisak używany do zapisywania wydatków.

„Światło to broń”, napisała Miriam. Prima zmrużyła oczy, próbując czytać równie szybko, jak tamta pisała. „Jonizuje gazy atmosferyczne”. To nie ma sensu, ona nie zna żadnego z tych słów.

„Sprawia, że powietrze świeci”. No dobrze, ale jak powietrze może świecić? Powietrze jest tylko powietrzem, czystym, jeśli nie ma w nim dymu.

– Kto? – znów zapytała Prima. – Kto mógłby nas zaatakować?

Miriam szybko pisała. „Republika Guernesii, Szmaragdowe Światy, Konfederacja Bałtycka, Familie Regnant...”. Prima nie miała pojęcia, kim oni wszyscy są, poza tym, że są bezbożnymi obcymi. „To bitwa w kosmosie, nie zaatakują nas tutaj. To ktoś, komu coś ukradliście.”

– My nie kradniemy! – oświadczyła Prima, w ostatniej chwili powstrzymując się przed spoliczkowaniem Miriam. – Nie jesteśmy złodziejami.

„Ukradliście mnie”, napisała Miriam. „Ukradliście kobiety i dzieci, zabiliście mężczyzn.”

– To nieprawda. Kłamiesz. Dzieci nie miały rodzin, a wy, kobiety, zostałyście uratowane przed życiem w poniżeniu. – Nagle głos uwiązł jej w gardle. Miriam jest tu od ponad dziesięciu lat.

Jeśli wciąż wierzy, że ją porwano, jeśli wciąż nie rozumie...

„Mogę tego dowieść. Znajdź nadajnik, połącz się z nimi i dowiedz się, kto to jest.”

– Nie mogę czegoś takiego zrobić! Wiesz, że to zakazane. Kobiety nie używają męskiej techniki. – Ale... gdyby mogła się dowiedzieć...

„Ja umiem, to proste.”

Prima rozejrzała się i zobaczyła, że pozostałe kobiety w kuchni wpatrują się w nią, próbując zrozumieć ich rozmowę.

– Ja... nie wiem, gdzie są takie urządzenia – powiedziała w końcu.

„Wiem, jak je znaleźć.”

– Jak?

„To te wysokie rzeczy sterczące ze szczytów budynków.”

– Ale to zakazane. – Myśl o patrzeniu w górę na wysokie, cienkie rzeczy sprawiała, że aż zakręciło jej się w głowie. Jeszcze gorsza była myśl o dotykaniu maszyn mężczyzn.

„Możemy zobaczyć w wiadomościach.” Musiała mieć na myśli maszynę służącą do tego, by kobiety mogły oglądać audycje religijne.

– Jak? Nie wiem, jak ją włączyć.

„Ja wiem.”

Miriam podeszła do schowka, w którym trzymano maszynę, i wyjęła ją. Opanowując strach, Prima pomogła jej zaciągnąć ją na wózku do kuchni, gdzie były dodatkowe gniazdko elektryczne. Potem Miriam rozwinęła zostawione przez Mitcha kable i wetknęła je do urządzenia, jeden z boku, drugi z tyłu. Prima nie miała pojęcia, gdzie je należy podłączyć, i cały czas obawiała się, że maszyna stanie w płomieniach. Zamiast tego rozległ się cichy szum, a po chwili pojawił się ten sam obraz, który widziała w pokoju chłopców. Tym razem patrzył na nią tylko jeden mężczyzna. Miriam poprawiła coś przy urządzeniu i nagle pojawił się inny obraz, ostry i pełen kolorów... Obraz ludzi w dziwnych mundurach.

Prima nagle poczuła się słabo. Część tych ludzi w mundurach to były kobiety. Potem pokazano z bliska jedną z nich, kobietę o ciemnej skórze i ciemnych oczach oraz siwych włosach. Miriam dotknęła jednego z przycisków z przodu urządzenia i rozległ się głos.

– ...Zwrotu dzieci pojmanych w akcie piractwa wobec statku *Elias Madero*. Zwrotu niemowląt urodzonych przez Serę Meager w niewoli... – Prima sięgnęła za siebie, wymacała stół i oparła się o niego. Ta żółto włos... Musi chodzić właśnie o nią. – ...Statki zostały zniszczone, zniszczyliśmy też waszą stację orbitalną. Aby uniknąć dalszych strat i ofiar, prosimy o współpracę z nami. Wiadomość ta będzie stale odtwarzana, aż do chwili otrzymania odpowiedzi.

Zniszczone statki. Czy także statek Mitcha? Czy on żyje? Jeśli Mitch zginął, ktoś inny zostanie Rangerem Bowie, a ona – oraz reszta żon i dzieci Mitcha – będą należeć do jego brata Jeda, jeśli on przeżył. A jeśli i Jed zginął, do Jeffry’ a.

Poderwał ją odgłos strzałów na ulicy.

– Wyłącz to – rozkazała Miriam – zanim ściągniemy na siebie kłopoty. Przykryj to... obrusem. – Wiedziała, że powinna odstawić maszynę na miejsce, ale jeśli Mitch żyje, mogą pojawić się o nim jakieś wiadomości, dlatego nie może zerwać tego połączenia. – Minał już czas lunchu, a my go nie

podaliśmy – rzuciła, uprzedzając pytania, które chciały zadać inne kobiety. – Nakarmcie dzieci, no już. Nakarmcie je i połóżcie maluchy na drzemkę.

Co pomyślałby Ranger Bowie, gdyby nas tak zastał!

Zmywały już naczynia, gdy pojawił się Jed, blady i roztrzęsiony.

– Prima, to okropna wiadomość. Mitch jest martwy albo uwięziony, tak jak wszyscy Rangersi. Daj mi jeść, kobieto! Muszę...

Ktoś tu musi przejąć kontrolę. – Prima wypadła do pokoju, wyganiając służące. Sama go obsłuży. Tak będzie bezpieczniej. Kiedy napełniła już talerz smażonymi ziemniakami i młodą fasolką, przywołała Miriam.

– Włącz to, ale cicho. I bądź gotowa znów to ukryć.

Następnym razem, kiedy przechodziła przez kuchnię, już wszystkie dorosłe kobiety siedziały wokół urządzenia. Tym razem na ekranie widać było twarz starszej kobiety w przyzwoitej sukni. Jej ciemne włosy zaczynały już siwieć.

– Ona mówi, że ta żółtowłosa to córka kogoś ważnego.

Och, Mitch... Ambicja zastawia pułapki na nierozważnych, pomyślała.

– Mówi, że nasi mężczyźni zabijali ludzi i kradli rzeczy.

To kłamstwo – powiedziała odruchowo Prima. Potem głęboko wciągnęła powietrze, widząc na ekranie Mitcha; siedział żałośnie przy stole w otoczeniu innych znanych jej mężczyzn.

Terry... John... Był tam też Kapitan, Ranger Travis.

– Rangersi albo zostali schwytani, albo zginęli. – Głos dochodzący z maszyny miał dziwny sposób wymawiania słów. Tak samo na początku mówiła Cierpliwość.

– Prima! Chodź tu natychmiast! – wrzasnął jak zwykle Jed.

– Prima ruszyła do niego, po raz kolejny żalując, że Pismo daje ją temu człowiekowi tylko dlatego, że jest bratem Mitcha.

* * *

Mitch Pardue oprzytomniał i zobaczył, że znajduje się w olbrzymim, mrocznym i zimnym pomieszczeniu. Zamrugał i niewyraźny obraz wyostriął się; natychmiast rozpoznał elementy statku kosmicznego. Ale to nie był prom ani stacja, którą znał.

Ostrożnie rozejrzał się wokół. Niedaleko zobaczył grupę swoich ludzi, w większości nieprzytomnych. Jedyne dwóch siedziało i rozglądało się z wyrazem przerażenia na twarzach.

Gdzie oni są? Podniósł się i dopiero wtedy oprzytomniał na tyle, by zdać sobie sprawę, że jest ubrany w kusy kombinezon bez butów, a na kostkach ma plastikowe kajdanki. Najpierw poczuł walenie serca, a po chwili ogarniające go przerażenie. Odchrząknął... i znieruchomiał. Nie. To niemożliwe. Spróbował jeszcze raz, ale z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk.

Spojrzał z rozpaczą na grupę ludzi z jego załogi. Większość z nich już się obudziła i poruszała ustami w bezdźwięcznym proteście. Inni znani mu ludzie – był pewien, że są od Pete’a Robertsona – zaczęli się budzić, próbowali mówić... i także odkrywali, że nie mogą.

Żołnierze, którzy pojawili się jakiś czas później, już go nie zaskoczyli; był przygotowany na tortury lub śmierć. Jednak po sprawdzeniu jego kajdanek po prostu stanęli przy ścianie, gotowi i

niebezpieczni, i czekali.

Powinien zebrać swoich ludzi i ich zaatakować. Wiedział o tym, ale gdy tak leżał niemy i spętany, nie potrafił wymyślić, jak to zrobić. Obrócił głowę i zauważył przyglądającego się mu Terry'ego. Przygotuj się, powiedział wargami, ale Terry tylko patrzył na niego tępo.

Kobiety potrafiły porozumiewać się ze sobą wargami; niektóre z nich znały też język gestów. Spróbował jeszcze raz, tym razem spoglądając na Boba. Bob w odpowiedzi poruszył ustami, ale z kolei Mitch niczego nie rozumiał. Był kompletnie załamany. Mają poddać się w taki sposób? Przeturlał się na drugą stronę, by spróbować porozumieć się z Petem, ale jeden ze strażników poruszył się i wykonał bronią mocno niedwuznaczny gest.

Mitch przyjrzał się uważniej. To była kobieta.

– Przestań – powiedziała. – Żadnego szeptania ani mówienia wargami. – Miała wyraźny, czysty głos, który wcale nie brzmiał groźnie, ale broń trzymała z dużą stanowczością. Nie miał wątpliwości, że pozostali by go dopadli, gdyby spróbował coś jej zrobić. Gdzieś dalej ktoś głośno cmoknął. Inny z żołnierzy podszedł do milicjanta i ze spokojem kopnął go w krocze. Mężczyzna nie mógł krzyczeć, ale przyspieszony oddech jasno wyrażał jego ból.

Potem przyszła jeszcze jedna grupa żołnierzy. Dwóch z nich w zbrojach próżniowych podniosło Mitcha i zanieśli go do dużej ubikacji.

– Skorzystaj z niej – rozległ się głos z hełmu; nie potrafił stwierdzić, czy należy do kobiety, czy do mężczyzny. Z ubikacji zabrano go wraz z innymi do pomieszczenia z długim stołem, na którym leżały pakiety żywnościowe.

Nie powinien jeść. Powinien raczej zagłodzić się niż jeść z tymi niewiernymi. Próbował zasygnalizować to swoim ludziom, jakoś ich powstrzymać, ale czterech z nich już otwierało pakiety.

Siedział więc wyprostowany, ze szczękami zaciśniętymi z głodu, podczas gdy inni jedli. Po chwili dwóch żołnierzy zaciągnęło go do małego pokoju, gdzie stanął naprzeciwko kogoś w mundurze oficerskim.

– Nie będziesz jeść?

Potrząsnął głową.

– W takim razie cię nakarmimy. – Czyjeś ręce chwyciły go i unieruchomiły, a inne na siłę nakarmiły go jakimś płynem.

Nie masz możliwości stawiania oporu ani popełnienia samobójstwa – oznajmił zimno oficer. – Będziesz z nami współpracował, ponieważ nie możesz zrobić niczego innego. – Potem zabrali go do małej, pustej komórki.

W młodości, posługując się fałszywymi dokumentami, Mitch raz czy dwa podróżował na statkach zarejestrowanych w Familiach i widział kilka dużych komercyjnych stacji orbitalnych. Jednak to, co wtedy widział, nie przypominało tego wszystkiego, z czym zetknął się na tym elitarnym okręcie. Chciał gardzić tymi ludźmi, chciał sztydzić z ich przesadnej uprzejmości, rytuałów, czystości... jednak bez głosu nie mógł niczego zrobić, a wtedy uświadamiał sobie, jak głupio postąpił, nie doceniając swoich przeciwników. Ściągnął na swój lud gniew Boga...

Wciąż myślał o Primie i Sekundzie, o zapachu chleba z pieca, jaskrawych kwiatach w ogrodzie, dziecięcych głosach rozbrzmiewających echem w korytarzach, stukocie sandałów biegnących chłopców, ciężkim kroku starszych synów uczących się chodzić w butach, cichym klapaniu bosych stóp córek, dotyku ich miękkich ramion wokół karku i zapachu ich włosów. O żonach. O dzieciach. O tym, że staną się czyjąś własnością, że będą zmuszane do pracy na czyichś polach, że mogą płakać,

pozbawione ochrony z jego powodu...

Wpatrując się w puste ściany w czasie tylu beczynnych godzin, zajrzał w siebie głębiej niż kiedykolwiek wcześniej, głębiej niż chciał. Bóg ukarał go za nadmierną ambicję. To sprawiedliwe, skoro pobił. Ale jego rodzina... Czemu i oni mają ponieść karę?

Ktoś zapukał do drzwi, potem wszedł. Był to mężczyzna – przynajmniej za to był wdzięczny – w mundurze, jakiego jeszcze nie widział.

– Jestem kapelanem – powiedział. – Moja wiara różni się od twojej, ale przydzielono mnie, bym pomagał członkom Floty w sprawach wiary i sumienia. – Przerwał i przerzucił strony małej broszurki. – Myślę, że najlepszym określeniem byłoby pastor lub kaznodzieja. Zostaniesz sprowadzony na teren Familii w celu osądzenia, a nasze prawo wymaga, by każdy, komu stawiane są tak poważne zarzuty, miał możliwość skorzystania z pomocy duchownego.

Jakiej pomocy duchowej może mu udzielić niewierzący, poganin? Mitch odwrócił się do ściany.

* * *

– Mamy jedynie minimalną szansę na wydostanie tych dzieci żywych – oświadczyła Waltraude. – Wiem, że nie chcecie mieć do czynienia z tym Rangerem Bowie, ale jeśli on nie powie swojej żonie, by je wydała, ona tego nie zrobi. Jest też jedynym człowiekiem, który może wpłynąć na swojego brata, który przejął odpowiedzialność za jego żony i dzieci.

– Nie widzę powodu, żebyśmy mieli z nim negocjować – oświadczyła admirał Serrano. – Jest naszym więźniem; przeprowadzimy elegancki, szybki proces i dostanie karę śmierci...

– Chce pani tych dzieci? Bo ich rodziny tak. I będą chciały wiedzieć, czemu tylu ludzi zginęło z powodu córki Mówcy... a ich dzieci pozostawiono w niewoli.

– Och... no dobrze.

* * *

Mitch nie był jeszcze na mostku tej wielkości okrętu; był wstrząśnięty jego ogromem, złożonością i potęgą.

Strażnicy zaprowadzili go przed oblicze kobiety – ubranej w mundur czarny jak noc, z insygniami admirałskimi i kolorową wstęgą na piersiach. Stał przed nią bosy i niemy, i choć chciał zobaczyć w niej uosobienie szatana... nie potrafił.

– Masz wybór, Rangerze Bowie – powiedziała szybką mową tych ludzi. – Twój były więzień, Hazel Takeris, twierdzi, że naprawdę kochasz swoją żonę i dzieci.

Kiwnął głową.

– Chcemy odzyskać pozostałe dzieci, które porwaliście z *Elias Madero* po zamordowaniu ich rodziców. Jednak twoi ludzie na planecie nie mają ochoty na współpracę z nami. Obawiamy się, że twojej żonie i dzieciom może stać się krzywda, jeśli spróbują porozumieć się z nami... a my nie chcemy ich skrzywdzić. Nie chcemy, żeby jakimkolwiek dziecku coś się stało. Rozumiesz?

Znów kiwnął głową, choć nie był pewien, czy w to wierzy.

– My nie walczymy z dziećmi... choć wy to robiliście. Zwrócimy te dziewczynki ich rodzinom, choć może to narazić niewinne osoby na niebezpieczeństwo. A więc masz wybór. Możemy

przywrócić ci głos, żebyś kazał swojej rodzinie uwolnić dziewczynki, albo, jeśli odmówisz, możesz aż do procesu pozostać niemy, niezależnie od tego, ile czasu to będzie trwało.

Znów mógłby mówić? Znów miałby głos mężczyzny? Trudno było mu w to uwierzyć... ale wszędzie wokół widział mężczyzn i kobiety słuchające tak, jakby w to wierzyli.

– Nasz ładownik jest gotów do startu – powiedziała admirał. – Jeśli zostaną ostrzelani, odpowiedzą ogniem. Jeśli ktoś będzie stawiał im opór, będą walczyć... a pańscy ludzie nie będą w stanie ich powstrzymać. A więc od pana zależy, co się stanie. – Przerwała na chwilę, po czym zapytała. – Wyda pan te rozkazy czy nie?

Przyjmowanie rozkazów od kobiety było pomaganiem diabłu, bo kobieta żołnierz to największe spośród ohydztw. Przez chwilę pomyślał o ukrytej w mieście broni, o tym, że innym mężczyznom może uda się ją odpalić. A potem niemal poczuł na policzku delikatny dotyk rąk córek, niemal usłyszał ich dziecięcy śmiech. Zabić je? Narazić je na niebezpieczeństwo? Nigdy w życiu nie zabił dziecka – nie mógł – ale ci ludzie mogą, a przynajmniej tak mówią.

Kiwnął głową.

– Zrobi pan to? Dobrze. Proszę go zabrać do ambulatorium i odwrócić procedurę, po czym sprowadzić go z powrotem na mostek.

Był zdrajcą, niepoprawnym grzesznikiem... Przez całą drogę do ambulatorium przeżywał wewnętrzny konflikt. Strażnicy nie odzywali się do niego ani słowem, prowadzili go z uprzejmą obojętnością.

– Musimy pana na krótko uspić – wyjaśnił lekarz. – Tylko po to, żeby rozluźnić mięśnie gardła.

Obudził się jakby z chwilowej drzemki i poczuł w gardle gulę.

Kiedy odchrząknął, usłyszał własny głos.

– Ja... mogę mówić.

– Nie, do nas nie wolno panu mówić – oświadczył jeden ze strażników. – Może powiedziec pan tylko to, co każe admirał.

– A teraz idziemy.

Usiadł tam, gdzie mu kazano, naprzeciwko świecącego słabym światłem obiektywu kamery, i choć z początku głos miał niepewny, w miarę mówienia uspokajał się.

– Jed, wysłuchaj mnie. Tu Mitch. Jestem więźniem, ale to nie ma znaczenia. Chcę, żebyś pozwolił ludziom, którzy niedługo u was wylądują, zabrać ze sobą dzieci spoza planety. Prima wie, którą czwórkę. I poślij do żłobka na ulicy Crocketta po bliźniaki tej żółtowołosej ladacz... kobiety. Chcę, żeby wszystkie sześcioro oddano ludziom, którzy po nie przyłecą. Prima, natychmiast ubierz dzieci.

– Admirale, odbieramy sygnał.

– Pokażcie.

Był to obraz wideo z jego domu: Jed z gniewną miną i Prima stojąca daleko za jego plecami z rękami złożonymi na brzuchu. Byli w małej bawialni, tej, w której tak często spotykał się z innymi, z kominkiem na jednej ze ścian i stołem konferencyjnym naprzeciw.

– Mitch, nie wierzę, że to ty, albo podali ci jakieś środki. To jakaś sztuczka. Teraz ja jestem głową rodziny i nie zamierzam wydać żadnych dzieci z tego domu tym... bezbożnym gnidom!

Mitch poczuł, jak na twarzy i dłoniach występuje mu pot.

– Jed, musisz. Oni i tak przylecą, a jeśli będziesz się opierał, zginie więcej ludzi. Najprawdopodobniej dzieci...

– Wtedy pójda do Pana. Nie...

Stojąca za plecami Jeda Prima poruszyła się. Nie patrząc w kamerę, wyciągnęła rękę i chwyciła ze stojaka przy kominku pogrzebacz. Mitch zaniemówił.

– ...zamierzam pozwolić na splamienie honoru naszego domu tylko dlatego, że dałeś się złapać jak mięczak.

Prima uniosła pogrzebacz... Trzymała go pewnie, dłonią silną od ugniatania ciasta na chleb, wnoszenia mokrego prania i dźwigania dzieci. Mitch znał siłę tych rąk.

– Jed, proszę... nie narażaj innych dzieci dla tych kilku. Nie warto. Jed, proszę, puść je. – Zanim Prima zrobi coś strasznego, pomyślał.

– Chcą walki, będą ją mieli! – Jed sprawiał wrażenie bardziej triumfującego niż złego. – Plebani powiedzieli nam, by zebrać się i walczyć.

– Plebani! – Mitch nie bardzo potrafił mówić, patrząc równocześnie, jak Prima cicho stąpa bosymi stopami, staje za Jedem i unosi pogrzebacz. Mieszały się w nim przerażenie i nadzieja... – że może bez Jeda dzieci będą bezpieczne.

– Mógłbyś ich powstrzymać. – Próbował nakłonić do zrozumienia Jeda, który nigdy niczego nie rozumiał. Powinien go ostrzec, powinien napomnieć Primę. – Mógłbyś ich przekonać, gdybyś spróbował... – Wreszcie Prima podniosła wzrok, spojrzała prosto w obiektyw i uśmiechnęła się. – Zrób to! – powiedział Mitch, nie do końca pewien, do kogo mówi. Jed już otwierał usta, gdy Prima z całej siły uderzyła go pogrzebaczem w głowę. Trysnęła krew, a ona uderzyła jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze...

– Prima! – krzyknął i jego gardło zacisnęło się, uniemożliwiając mu powiedzenie czegokolwiek więcej. Znow patrzyła w kamerę z twarzą wyrażającą emocje, których jeszcze nigdy u niej nie widział. – Nie pozwól im skrzywdzić dzieci – powiedział; głos miał jak młody kogut, który dopiero uczy się piąć. – Nie pozwól im skrzywdzić... – Znow zawiódł go głos, a oczy wypełniły się łzami.

Głos Primy brzmiał znacznie pewniej niż jego.

– Chcę zobaczyć... co to za ludzie, którym powierzyłybyś nasze dzieci.

– Bądź ostrożna – zdołał wyszeptać. – Proszę... – Prosił kobietę... błagał... To nie w porządku, ale bolało go gardło i serce, a nie chciał już więcej bólu dla siebie ani dla dzieci. Ekran zgasł, a on zwinął się jak dziecko przytulające swoją ulubioną zabawkę.

* * *

– Chcę polecieć – powiedziała Hazel. – Powinnam, dzieci mnie znają, nie będą aż tak przestraszone. Brun też by poleciała, gdyby tylko mogła. – Ale Brun była uśpiona i leżała w zbiorniku regeneracyjnym po operacji, która miała przywrócić jej głos. Nie wyjdzie z niego jeszcze przez przynajmniej trzy dni.

– To nie jest zły pomysł – zgodziła się Waltraude Meyerson. – Oczywiście ja też.

– Pani?! Pani jest cywilem i pani rola w tym wszystkim...

– Jestem ekspertem, którego ze sobą zabraliście, i powinnam zobaczyć tych mitologistów z Teksasu na ich własnym podwórku. Radziłabym, admirał Serrano, żeby wysłała pani kogoś ze swojej

rodziny. Może tego wnuka, który kręci się po okolicy.

– Nie wydaje mi się, żeby to był odpowiedni wybór – powiedziała admirał.

– Dla tych ludzi rodziny są bardzo ważne. Jeśli wyśle pani wnuka, będzie to świadczyć, że ryzykuje pani życie swojej rodziny, by ratować inną rodzinę. Dodatkowo dobrze, że jest mężczyzną; cała sprawa będzie łatwiejsza do zaakceptowania, jeśli polecą nie tylko kobiety.

– Rozumiem. I kogo jeszcze by pani polecała? Ma pani gotowy cały plan misji? – Sarkazm admirał Serrano działał na większość ludzi jak zbliżenie do piły mechanicznej, ale profesor Meyerson nawet nie mrugnęła.

– Nie, to już pani specjalizacja. Moją są studia nad starożytnością.

* * *

Transportery zajęły stanowiska nad ulicami, a grupy wsparcia ruszyły równym tempem z opuszczonymi przyłbicami hełmów.

– Wyglądamy trochę głupio – zauważyła Hazel – na zupełnie pustych ulicach.

– Ulice nie byłyby takie puste, gdyby ich tu nie było – odpowiedział Barin. Jego hełm informował go o obecności ciepłych plam w budynkach, za każdą osłoniętą niszą okienną. Miał nadzieję, że nikt z nich nie ma broni zdolnej do przebicia ich pancerzy... a jeszcze bardziej miał nadzieję, że transmisja Rangera Bowie przekonała ich, żeby nie podejmowali walki. W tej chwili siły Floty miały status Żółty Dwa, co znaczyło, że nie wolno im bez pozwolenia użyć broni, nawet gdyby ktoś zaczął do nich strzelać.

Hazel wskazała na główne wejście do domu i boczną uliczkę prowadzącą do wejścia dla kobiet.

– Przez te drzwi weszłam tylko raz, gdy mnie tu przywieźli. – Barin zauważył, że nie powiedziała nazwiska ani tytułu mężczyzny. – Na targ wychodziłam tamtymi drugimi drzwiami.

– Myślisz, że powinniśmy wejść tędy?

– To zapewni nam autorytet – powiedziała profesor Meyerson. Zdecydowała się założyć sukienkę, ale za to zgodziła się na ukrycie pod nią pancerza, przez co wyglądała dość grubo.

Ruszyła pierwsza do drzwi; otworzyły się, zanim do nich dotarła. W drzwiach stała kobieta w niebieskiej spódnicy i obszernej falbaniastej bluzce. Na głowie miała ciasno zawiązaną chustkę.

– To Prima – powiedziała cicho Hazel. – Pierwsza żona.

– Madam – odezwała się profesor Meyerson – przyszliśmy po dzieci.

Prima szerzej otworzyła drzwi.

– Wejdźcie. Kto z was jest żółtowłosa?

– Ona nie mogła przylecieć – powiedziała Hazel. – Leczą jej głos.

Porzuciła swoje dzieci; takie ohydztwa nie zasługują na dzieci – oświadczyła Prima.

– Są tutaj? – zapytała Hazel.

– Tak... ale nie jestem przekonana, że powinnam je oddać.

– Hazel zrobiła krok do przodu.

– Prima, proszę, pozwól dzieciom odejść.

– Nie oddam tych słodkich dziewczynek jakimś odrażającym poganom. – Prima miała spojrzenie

człowieka gotowego zginąć za swoje przekonania.

– Znasz mnie i wiesz, że się nimi zaopiekuję – powiedziała łagodnie Hazel.

– Ty... ty zdrajczyń! – Błada twarz Primi poczerwieniała, a w jej oczach pojawiły się łzy.

– Nie, proszę pani... Ja mam rodzinę, o której stale myślałam...

– My byliśmy twoją rodziną, traktowaliśmy cię jak rodzina.

– Tak, madam, rzeczywiście. Najlepiej jak mogliście. Ale w domu...

– A ty – Prima zwróciła się do profesor Meyerson – kim jesteś? Kobieta żołnierzem! To nienaturalne, obrzydliwe...

– Prawdę mówiąc, jestem historykiem – oznajmiła Meyerson.

– Studiujesz historia Teksasu.

– Co?!

– Tak jest. Przybyłam tu, aby was poznać i dowiedzieć się nieco o historii Teksasu.

Prima wyglądała na kompletnie zdezorientowaną.

– A ty? Kim ty jesteś? – zwróciła się teraz do Barina.

– Wnukiem admirała Serrano – odpowiedział, a widząc, że Prima nie rozumie, dodał: – To ta kobieta, którą pani widziała w przekazie. Ciemna, podobnie jak ja, z siwymi włosami... Dowodzi grupą uderzeniową.

– Kobieta? Rządzi mężczyznami? Nonsens. Żaden mężczyzna by jej nie posłuchał.

– Ja słucham. Zarówno jako admirała, jak i babki.

– Babki... – Prima potrząsnęła głową. – Czy ktoś z was wierzy w Boga?

– Ja wierzę – odparł Barin. – Nie jest taki sam jak twój, ale w mojej rodzinie zawsze wszyscy byli wierzący.

– A jednak jesteś żołnierzem u boku kobiet, dowodzonym przez kobietę.

– Tak, czasami.

– Jak to możliwe? Bóg nakazał, by kobiety nie nosiły broni i nie brały udziału w żadnym konflikcie.

– Nie jest to doktryna, której mnie uczono.

– Jesteś poganinem wierzącym w wiele bóstw?

– Nie, tylko w jednego.

– Nie rozumiem. – Prima uważnie spojrzała mu w twarz. – A jednak widzę w tobie prawdę; nie jesteś kłamcą. Powiedz mi, jesteś żonaty?

– Jeszcze nie, proszę pani, ale zamierzam się ożenić.

– Z... jedną z tych kobiet żołnierz?

– Tak. – Jeśli to przeżyje. Bardzo chciałby, żeby Esmay była z nim tutaj.

– Czy przysięgniesz mi na święte imię Boga, że zabieracie te dzieci do ich rodzin?

Tak – odpowiedział Barin. Prima jakby zapadła się w sobie, na jej twarzy pojawiły się łzy. Barin podszedł bliżej. – Proszę pozwolić mi opowiedzieć o ich rodzinach. Brandy i Stassi – Rozwaga i Spokój, jak je nazwaliście – mają ciotki i wujków, siostry i braci ich nieżyjącej matki i siostrę ojca. Paolo ma dziadka i wujka, a Dris ciotkę i wujka. Przywieźliśmy ich nagrania; proszą o bezpieczne uwolnienie dzieci.

– Są tu szczęśliwe – powiedziała Prima i spuściła wzrok; wyglądała jak ktoś, kto będzie oponował do końca, choć wie, że nie wygra. – Zabranie ich stąd bardzo je teraz zaboli.

– Są teraz szczęśliwe – wtrąciła się profesor Meyerson – bo są małymi dziećmi i wiem – Hazel nam powiedziała – że byłaś dla nich dobra. Ale będą starsze, a wy nie jesteście i nie możecie być tym samym, czym są ich własne rodziny. Muszą poznać własne ciało i krew.

– Będą płakać – powiedziała Prima przez łzy.

– Możliwe – zgodziła się profesor Meyerson. – Przeżyły trudny okres; straciły rodziców i trafiły do tak odmiennego miejsca, a teraz znów je opuszczają. Płakały, kiedy tu trafiły, prawda? Ale w końcu wszystkie dzieci nad czymś płaczą, i to nie powód, żeby nie próbować naprawić zła.

– Poddaję się – oznajmiła Prima, zwijając fartuch. – Ale musiałam spróbować...

– Jesteś kochającą matką – powiedziała profesor Meyerson, czym zaskoczyła Barina; nigdy nie myślał o Meyerson jako o osobie mającej rodzinę czy nią zainteresowanej. Ton jej głosu zdawał się uspokajać Primę. – Chcę, żebyś zobaczyła nagrania rodzin dzieci.

– Nie muszę... Wierzę wam...

– Ale to pomoże ci zrozumieć. – Kiwnęła głową Barinowi, aby ustawił czytnik kostek i ekran. – Dysponujemy własnym zasilaniem, bo wasze linie elektryczne mają niewłaściwe napięcie dla naszego sprzętu.

– To męskie sprawy – powiedziała Prima.

– Bóg dał oczy mężczyznom i kobietom – stwierdziła profesor Meyerson. Włożyła do czytnika pierwszą kostkę. – To rodzice Brandy i Stassi, zanim zostali zabici.

Na ekranie kobieta z przerzuconym przez ramię długim czarnym warkoczem tuliła w ramionach niemowlę.

– Ich matka miała na imię Ghirian. Oboje rodzice pochodzili z Kolonii Gilmore. Brandy miała wtedy rok. – Potem pojawił się mężczyzna trzymający w ramionach starsze dziecko. – To ich ojciec, Vorda. Byli z Ghirian małżeństwem przez osiem lat. Jego rodzina od pokoleń zajmowała się handlem w kosmosie.

– Oni... byli małżeństwem?

– Tak. Bardzo zakochanym, choć z tego, co dowiedziałam się od Hazel, wy nie cenicie romantycznej miłości między kobietą i mężczyzną.

– Bo ona nie trwa – odpowiedziała automatycznie Prima i utkwiała wzrok w ekranie, z którego wyraźnie emanowało uczucie łączące matkę, ojca oraz ich dzieci. – Nie zapewnia stworzenia silnej rodziny.

– Sama miłość nie, to prawda, ale wraz z uczciwością i odwagą to dobry początek.

Ekran zamigotał i ukazał się obraz starszej Brandy, ustawiającej niepewnie konstrukcję z klocków.

Prima wciągnęła przez zęby powietrze.

– Chłopięce zabawki...

– Cenimy wszystkie dary, jakimi Bóg obdarza dziecko – stwierdziła Meyerson. – Gdyby Bóg nie chciał, aby budowała, czemu dawałby jej takie umiejętności? Wysłali to nagranie jej dziadkom; ojciec jej matki był inżynierem konstrukcyjnym w Gilmore. Bardzo się cieszył, że wnuczka odziedziczyła jego talent. – Dziecko wywróciło konstrukcję, uśmiechnęło się szeroko do kamery i zaczęło tańczyć w kółko. Potem w polu widzenia pojawiła się mama niosąca Stassi, teraz już sporego

szkraba. Wyciągnęła rękę i przytuliła do siebie Brandy. Profesor Meyerson włączyła głos w czytniku.

... Więc zdecydowaliśmy się zabrać je z nami. Kapitan Lund mówi, że to nie problem; na pokładzie jest już dwójka dzieci w ich wieku oraz parę starszych. Statek ma w pełni wyposażony żłobek i pokój zabaw ze wszystkimi materiałami edukacyjnymi, jakich możemy potrzebować, więc nie musicie się martwić, że będą opóźnione w nauce. To równie bezpieczne, jak pozostawanie na planecie, a nawet bezpieczniejsze. Nie ma żadnych robali! – Kobieta skrzywiła się. – I problemów z pogodą. Wiem, wiem, lubicie zmiany pór roku, ale z tą dwójką jest tak, że jeśli nie ma przeziębień w zimie, to są ciągle alergię w lecie.

Profesor Meyerson zatrzymała odtwarzanie.

– Zarejestrowano to tuż przed wejściem na pokład *Elias Madero*, mniej więcej na rok przed ich śmiercią.

– Czy na statku panowała jakaś choroba?

– Nie. – Czy może nie wiedzieć? Czy to możliwe? Meyerson spojrzała na Hazel, która potrząsnęła głową. – Zostali zabici po zdobyciu statku.

– Nie... To musiał być wypadek. Mitch nigdy nie zabiłby kobiety.

Nie zamierzali posuwać się tak daleko; sądzili, że żony wiedziały, jak zdobywano dzieci spoza planety. Profesor Meyerson zamilkła, Prima zbladła.

– Wy myślicie... wierzycie, że nasi mężczyźni zabili ich rodziców i świadomie osierocili te dzieci? Zabili matki? To dlatego nas zaatakowaliście?

– Uznali je za zboczone – powiedziała profesor Meyerson. – Mamy to nagrane.

– Nie wierzę! Kłamiecie! Nie macie dowodów! – Prima chwyciła Meyerson za ramię. – Prawda? Czy wasze... wasze urządzenie pokazuje coś takiego?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

– Głowy w górę. – Cichy głos w uchu Barina odwrócił jego uwagę od Primy. – Mogą być kłopoty; widać jakieś zgromadzenie po drugiej stronie miasta. – W rogu wyświetlacza hełmowego pojawił się niewielki obraz. Ktoś w jaskrawoniebieskim szlafroku czy czymś podobnym krzyczał do grupy mężczyzn.

– Przepraszam panią – rzekł Barin – czy pani wie, co to może być? – Przeniósł obraz na większy ekran.

Prima odwróciła się, by spojrzeć, i zbladła.

– To pleban Wells.

– Pleban to przywódca religijny – wyjaśniła z odzyskaną pewnością siebie profesor Meyerson. – Zdumiewające, spójrzcie na jego strój.

– To sutanna – wyjaśniła Prima.

– Nie, nie sutanna – poprawiła ją Meyerson. – Sutanny były węższe, czarne i z guzikami z przodu. To jest odmiana stroju akademickiego, popularnego w jednym z odłamów chrześcijaństwa.

– Pani profesor, nie wydaje mi się, żeby to było w tej chwili najważniejsze.

– Ale proszę spojrzeć, ci mężczyźni mają kopie noży Bowie i coś, co wygląda na kopie karabinu z dwudziestego pierwszego wieku.

– Pani profesor, musimy wydostać stąd te dzieci – powiedział Barin. – Nie chcemy konfliktu, chcemy, żeby były bezpieczne.

– Tak, oczywiście. – Meyerson lekko zaczerwieniła się. – Przepraszam. Po prostu... zobaczyć rzeczy, o których dotąd tylko się czytało... to dość ekscytujące. Chciałabym mieć więcej czasu...

– Nie tym razem – rzekł Barin i zwrócił się do Primy. – Proszę pani, gdzie są dzieci?

– Chodźcie ze mną. Chcę, abyście zobaczyli, gdzie mieszkały i jak o nie dbaliśmy, żebyście mogli powiedzieć ich rodzinom. – Poprowadziła ich korytarzem do skrzydła kobiet. Przez okna Barin widział ogród pełen kwiatów z fontanną w środku, potem mur i kolejny ogród.

– To dziecięcy ogród – wyszeptwała Hazel. – Dziewczynki mogły tu biegać. – Teraz był pusty. Gdy Prima otworzyła kolejne drzwi, w korytarzu rozszedł się zapach świeżo upieczonego chleba. – Tam jest kuchnia; zabiera nas do sypialni dla najmłodszych.

Minęli kolejny plac, tym razem wyłożony kamiennymi płytami i zacieniony przez rosnące na środku drzewo. Prima skręciła i poprowadziła ich wąskim korytarzem do dużego pokoju. Tam pod ścianami stał tuzin łóżek. W pięciu spały dzieci.

– Tu właśnie śpią – powiedziała Prima. – Teraz jest pora drzemki po lunchu. Rozwaga i Spokój są już za duże na sen; są w salonie robótek. – Wskazała im drogę do pokoju, w którym dwie starsze kobiety i około tuzina młodych, w wieku od kilku lat do mniej więcej wieku Hazel, zajmowało się szyciem i haftowaniem. Kobiety podniosły wzrok, młodsze wstały. – Wszystko w porządku, Kwarta.

Teraz dzieci też podniosły głowy, nieśmiało spoglądając na intruzów. Barin uśmiechnął się do nich; nie chciał pozostawić po sobie przerażającego wspomnienia. Dwie dziewczynki przez dłuższą chwilę wpatrywały się w Hazel, po czym jedna z nich powiedziała cicho:

– Cierpliwość?

– Tak, wróciłam. Czy pamiętasz swojego wujka Stephana? – Dziecko kiwnęło głową z poważną

miną.

– Chciałby cię znów zobaczyć, tak samo jak ciocia Jas. Możemy polecieć do domu, Brandy.

Twarz dziewczynki rozjaśniła się i upuściła swoją robótkę... po czym spojrzała niepewnie na starsze kobiety.

– Możesz iść z Cierpliwością... z Hazel.

Dziewczynka podbiegła do Hazel i mocno ją objęła. – Nie zapomniałam, daję słowo, że nie zapomniałam! – Oderwała się od niej i spojrzała jej w twarz. – Dom na statku? Czy będzie tam mama? Czy mogę znów używać komputera? Mogę mieć książki?

Drugą dziewczynkę, młodszą i bardziej nieśmiałą, trzeba było przyprowadzić... ale kiedy uświadomiła sobie, że naprawdę stąd odchodzi, przytuliła się do Brandy i uśmiechnęła.

Pozostałe dzieci przyglądały się tej scenie z poważnymi minami. Najwyraźniej nie miały pojęcia, co się dzieje.

Barin zerknął na Primę, mając nadzieję, że udzieli im koniecznych wyjaśnień. Kobieta skrzywiła się.

– Rozwaga i Spokój wracają do swoich rodzin – powiedziała.

– Życzymy im bożego błogosławieństwa w nowym życiu.

– Ale kto je będzie chronił? – zapytała jedna z dziewczynek. – Czy ten mężczyzna jest ich ojcem? Wujkiem? Czemu te kobiety mają broń?

– Myje ochronimy – odpowiedział Barin, a widząc zdziwienie na twarzach dzieci, dodał: – W naszej ojczyźnie kobiety mogą być żołnierzami i pracować na statkach kosmicznych.

– To niewłaściwe – oświadczyła stanowczo jedna ze starszych dziewczynek, podnosząc swoją robótkę. – Kobiety nie powinny mieszać się w sprawy mężczyzn.

Kwarta lekko postukała dziewczynkę palcem w głowę.

– Niewłaściwe jest, by dzieci pouczały starszych. Ale wiem, Wiaro, że masz rację i że ci niewierni nie będą mieli szczęścia.

Chłopcy byli w swoim skrzydle. Prima wysłała jedną z kobiet, by ich sprowadziła, a sama ruszyła do żłobka, by zabrać bliźniaki Brun. Wyglądały na szczęśliwie, zdrowe dzieci; widać było, że niedługo zaczną raczkować.

– Prostota... – wyszeptala Hazel, patrząc na młodą kobietę kołyszącą swoje dziecko. Dziewczyna podniosła wzrok z nieśmiałym uśmiechem, a potem jej oczy otworzyły się szeroko, gdy zobaczyła pozostałych. Hazel wzięła na ręce jednego z bliźniaków, a Prima drugiego; gdy wróciły do głównego wejścia, czekali tam już chłopcy, niepewni i zmartwieni.

– Paolo! – zawołała Brandy. – Jedziemy do domu! – Wyciągnęła ręce, by go objąć, ale chłopiec odsunął się.

– Nie sędzę...

– Musicie tego posłuchać, chorąży. – Głos dobiegał ze słuchawki w uchu Barina. Odruchowo przełączył go na głośniki czytnika kostek.

– ...Sidła szatana! – mówił mężczyzna w niebieskiej szacie. – Gniew boży spadł na Rangersów i ich rodziny za ich grzechy.

– Nie pozwól, by niegodziwiec rządził, a bezbożna kobieta przemawiała.

– On ma panią na myśli – wyjaśniła Primie profesor Meyerson. – Grozi pani niebezpieczeństwo.

– Musimy odzyskać domy Rangersów i oczyścić je z zepsucia i skażenia, zniszczyć niewiernych świętym ogniem...

– Nie ma się czym przejmować – powiedział major marines; jego głos w interkomie stłumił głos kapłana. – Wszystko, co mają, to staroświecka broń ręczna i duże noże. Będziecie bezpieczni w transporterach.

– Nie – zaprzeczyła Hazel. – Mają to, co było na *Elias Madero*. Tak mówili, kiedy mnie złapali.

– A co było na *Elias Madero*? – zapytał Barin. – Uzbrojenie statku?

– Nie wiem, ale coś strasznego, coś, co ukradli Flocie.

Po kręgosłupie Barina spłynęła fala zimna, jakby ktoś przesunął po nim kawałkiem lodu. Guernesi mówili o handlarzach bronią i kradzionym uzbrojeniu... a Esmay wspominała, że jej kapitan martwił się brakującymi głowicami jądrowymi.

– Majorze, sytuacja może być znacznie poważniejsza, ci goście mogą mieć nasze brakujące głowice.

Nastąpiła pauza, w trakcie której potępiający głos kontynuował przemowę o grzechu, skalaniu i tyranii.

– Wiedziałem, że nie powinniśmy byli zabierać Serrano. – To znowu był major marines. – Z nim sytuacja zawsze robi się ciekawa. No dobrze, chorąży, pan powie admirał, a ja zobaczę, co mogę zrobić, żeby powstrzymać tych facetów przed użyciem tego, co mają.

Barin miał dość przytomności umysłu, by przełączyć przekaz głosu na kanał *Navarino* znajdującego się na orbicie.

– Już się tym zajmujemy – usłyszał od razu. – Monitorujemy wszystkie lokalne transmisje... a skan zajął się wyszukiwaniem wszelkich materiałów rozszczepialnych. Jeśli pan może, proszę natychmiast zabrać stamtąd te dzieciaki.

– Nie chcę być służącą innego mężczyzny – oświadczyła nagle Prima. – Nie chcę, żeby moje dzieci dorastały w domu innego mężczyzny.

Złapała Barina za ramię.

– Ty, twoja babka naprawdę jest dowódcą? A więc jesteś mężczyzną z jej rodziny? Musisz mi dać ochronę.

– Właśnie próbuję – odpowiedział Barin.

– Chcę z wami polecieć. Ja i wszystkie moje dzieci. Zabierz mnie do mojego męża.

Barin wbił w nią zdziwiony wzrok.

– Zabrać cię? Na statek?

– Tak. Ten człowiek – wskazała na czarny teraz ekran – odda mnie komuś innemu. Może kazać pozbawić mnie głosu tylko dlatego, że z tobą rozmawiałam, a gdyby wiedział, że zabiłam w nocy Jeda, zrobiłby to bez wahania. – Ciężko i bez wdzięku uklękła przed Barinem. – Wybieram ciebie na mojego obrońcę zamiast mojego męża.

Barin rozejrzał się wokół; na twarzy profesor Meyerson widać było zwykłe zainteresowanie, ale pozostali wyglądali na szczerze rozbawionych.

– Ja... muszę porozmawiać z moją babką – powiedział. Kiedy masz wątpliwości, proś o pomoc.

– Nie, to ciebie wybrałam.

– Ona mówi poważnie – stwierdziła Meyerson. – I prawdopodobnie zrobi coś drastycznego,

jeśli pan się nie zgodzi.

I pomyśleć, że on zawsze chciał dowodzić. No cóż, ma okazję dowodzić...

– Dobrze – powiedział. – Jest pani pod moją ochroną. Proszę zebrać domowników.

– Nie mogę mówić za inne żony – stwierdziła Prima.

– Czy on by je skrzywdził? Czy pozwoliłby pozbawić je głosu?

– Tak.

– W takim razie, do diabła, może pani za nie decydować, i właśnie to pani zrobiła. Proszę je zebrać; nie bierzcie ze sobą niczego. – Włączył nadajnik. – Majorze, zabierzemy ze sobą całą rodzinę. Nie wiem nawet, ile osób. – Spojrzał na Hazel, ale ona pokręciła głową; nawet ona nie wiedziała. – Potrzebujemy więcej transportowców – powiedział, próbując uzmysłowić sobie, czy mają dość miejsca na promach. Jeśli dobrze się upchną i nikt nie zestrzeli promów w drodze na górę...

W głównym holu zaczęli zbierać się ludzie: kobiety niosące maluchy, dziewczyny prowadzące młodsze dziewczynki, chłopcy popychający przed sobą młodszych braci i jeden mężczyzna – szczupły, kanciasty człowiek, którego Barin nie lubił od pierwszego wejrzenia. Robili znacznie mniej hałasu niż się spodziewał. Wszystkie dziewczyny patrzyły w milczeniu w podłogę; tylko chłopcy wpatrywali się szeroko otwartymi oczami w Barina i żołnierzy, podziwiając broń.

Prima przebiła się przez tłumek i skłoniła przed nim głowę, a on poczuł się bardzo niezręcznie.

– Mogę mówić?

– Tak, oczywiście.

– Wysłałam wiadomości do domostw innych Rangersów, do ich żon.

– Co?! Nie! – Ale już mówiąc to, uświadomił sobie, że to konieczne. – Myśli pani...

– Powiedziałaś, że mogę mówić za inne żony. Ponieważ jesteś moim obrońcą, tak samo jesteś i ich obrońcą. W końcu to twoi ludzie zabili ich mężów.

Barin spojrział na tłum wypełniający hol od ściany do ściany i wylewający się przez tylne drzwi. Oceniał, że jest tu około stu pięćdziesięciu osób, i szybko dokonał elementarnych obliczeń.

– Potrzebujemy więcej promów – wymamrotał do siebie. A co z męskimi krewnymi Rangersów, którzy byli w ich domach, tak jak... ten facet, z którym rozmawiał Ranger Bowie. Czy nie będą stawiać oporu? Nie ma szans na wyprowadzenie z miasta takiej liczby ludzi bez żadnych strat. Jakies dziecko zakwiliło i ktoś szybko je uciszył.

– Jaka u ciebie sytuacja, chorąży?

Czekam na oświecenie, mógłby odpowiedzieć. Zamiast tego złożył możliwie jak najbardziej zwięzły raport, po którym zapadła tak długa cisza, że już zaczął się martwić. Potem usłyszał głos babki.

– Czy mam rozumieć, że podjęłaś ewakuację całej populacji tej nędznej imitacji miasta?

– Nie, sir, tylko około pięciu setek. Mieszkańców domostw Rangersów.

– Na czyją odpowiedzialność?

– To... kwestia honoru rodziny, sir. I honoru Familii.

– Rozumiem. W takim razie sądzę, że powinnam poprzeć twoje działania, choćby po to, żebym miała kogo obciążyć, kiedy nadejdzie rachunek. – Według plotki, której jakoś nigdy dotąd nie miał ochoty weryfikować, jego babka potrafiła za jednym zamachem obedrzeć niekompetentnego oficera

ze skóry, nawet nie podnosząc przy tym głosu. Miał wrażenie, że niebezpiecznie zbliżył się do sytuacji, w której mogłaby użyć pełni swojej mocy wobec nieudolnego potomka.

– Kontakt! – wykrzyknął major marines dowodzący grupą. – Strzelają do nas, powtarzam: otwarto do nas ogień.

– Kod walki zielony. – Głos babki mówiącej do innych był bezbarwny i pozbawiony jadu. – Powtarzam: kod walki zielony.

Zielony kod... Nowy cel, nowe. Barin poczuł, jak jego serce rośnie, a zaraz potem spada, i zrobiło mu się niedobrze.

– W celu wsparcia chorążego Serrano i nieznannej liczby cywilów, którzy będą ewakuowani – kod zielony.

Usłyszał, jak major wciąga powietrze przez zęby; grupa wsparcia była zdecydowanie za mała do ochrony setek ludzi.

– Wysyłamy posiłki.

Próbował wyliczyć, ile to potrwa i czy będą musieli ściągać promy z innych krążowników, w tym ze *Shrike'a*. Potem oderwał myśli od zadania, które należało do kogoś innego, i zajął się własnym, czyli zorganizowaniem tej masy ludzi w najbardziej bezpiecznym miejscu, by tam czekać na wysłane przez babkę posiłki.

– Wyślą więcej promów, ale to zajmie trochę czasu – powiedział do wciąż stojącej przed nim Primy. – Postaramy się zapewnić wam bezpieczeństwo, ale... – Ale jeśli buntownicy wiedzą, gdzie znajdują się pociski, i jeśli mogą je uaktywnić, nie ma bezpiecznego miejsca. – Jeśli wiesz cokolwiek o pozaplanetarnej broni, gdzie została ukryta, bardzo by nam to pomogło.

– Ja wiem – odezwał się chłopiec w wieku może trzynastu lat.

– Tak?

– Tatuś dał wujkowi Jedowi swój klucz, zanim poleciał polować na tę dziewczynę.

Klucz. To musi być klucz uzbrajający. Żołądek Barina zwinął się w zimny supeł.

– A gdzie twoim zdaniem jest teraz wujek Jed?

– Tam, na podłodze. – Prima wskazała ręką przez hol. – Nie wiedziałam, co z nim zrobić, więc go tam zostawiłam.

– Sprawdźcie to – nakazał Barin strażnikom. Jeden z nich wszedł do pokoju, zamykając za sobą drzwi z powodu wypełniającego pomieszczenie odoru śmierci.

– Wygląda na klucz do uzbrajania; był zawieszony na łańcuszku na szyi. W kieszeni... miał drugi klucz, zupełnie inny.

– Wyglądają jak główny klucz do jednego systemu i pomocniczy do drugiego.

Ciekawe, ile jest systemów i ilu ludzi posiada do nich klucze, no i czy wiedzą, w jakiej kolejności należy ich użyć? Barin nie mógł liczyć na to, że żony pozostałych Rangersów także zatłuką krewnych swoich mężów.

– Mamy dwa klucze uzbrajające – zgłosił majorowi. – Od brata Rangera Bowie. Przypuszczam, że każdy z Rangersów miał jeden lub więcej kluczy i zostawił je swojemu zastępcy.

– Ilu ludzi ma pan ze sobą?

– Tylko czworo jako eskortę.

– Niech to szlag. Musimy wydostać te klucze z domów, zanim wszyscy zmienimy się w śliczne

fajerwerki. Ci faceci są szaleni; powinien pan zobaczyć, jak się zachowują.

Barin słyszał już z oddali odgłosy przypominające strzelnicę.

* * *

Esmay Suiza znów była na mostku *Shrike 'a*, tam, gdzie było jej miejsce. Wszyscy na pokładzie – łącznie z kapitanem Solisem, który odrzucił ostatnie wątpliwości co do jej intencji – traktowali ją z przesadną uprzejmością. A wiedziała, że Meharry nie obchodziłaby się z nią jak z delikatnym kryształem tylko dlatego, że zdarzyło jej się małe niedotlenienie. Była gotowa do podjęcia służby; wołała to niż siedzieć przy śpiącej w zbiorniku regeneracyjnym Brun. Gdyby mogła znaleźć się z Barinem na pokładzie *Gryfalcona*, sytuacja wyglądałaby inaczej, ale wkrótce wrócą do jakiejś bazy, gdzie będą mogli zakończyć to, co rozpoczęli.

– Nic mi nie jest – powiedziała do trzeciego oficera, który zaoferował jej zastępstwo. – To moja wachta. – Zauważyła znaczące spojrzenia rzucone przez Solisa bosmanowi Balowowi z łączności. – Co? Popełniłam jakieś błędy?

– Nie, poruczniku, świetnie pani sobie radzi. Tylko że... powstała nowa sytuacja.

W jej piersiach pojawiło się coś zimnego, co spłynęło aż do stóp.

– Nowa sytuacja?

– Tak. Podczas gdy pani odpoczywała, grupa naszych ludzi poleciała na planetę, aby odzyskać dzieci.

– Co się stało?

– Doszło do... komplikacji. Jest tam wnuk admirał Serrano.

Barin jest na dole?

– Czemu? – Wypowiedziała to oskarżycielskim tonem, którego wcale nie chciała kierować do kapitana. – To znaczy – próbowała naprawić błąd – nie sądziłam, że chorąży jest odpowiednią osobą do tego rodzaju misji.

– Właściwie nie jest, ale skoro teraz tam jest i pani i on...

– Tak – potwierdziła stanowczo Esmay. To już nie było żadną tajemnicą.

– Wpakował się w solidny bajzel, a my mamy mu pomóc, ale wcale nie uważam, że powinna pani znaleźć się w grupie wsparcia. Zaliczyła już pani szpital po walce w kombinezonach...

– Nic mi nie jest – przerwała mu. – Odzyskałam całkowicie sprawność i zdałam testy medyczne na sto procent. Oczywiście decyzja należy do kapitana.

Solis parsknął.

– Nie zaczynaj znowu. Każda sztuczka jest dobra jeden raz.

Zresztą on gryzł paznokcie w trakcie twoich wyczynów na stacji, więc będzie sprawiedliwie, jeśli teraz ty będziesz robić to samo.

– Wojna nie jest sprawiedliwa – wymamrotała Esmay. Ku jej zaskoczeniu odpowiedział szerokim uśmiechem.

– Masz rację, Suiza, i jeśli zdecyduję, że potrzebne będą twoje umiejętności, na pewno cię wyślę. Pod warunkiem, że zapewnisz mnie, iż miłość do wnuka admirał nie wpłynie na twoją ocenę sytuacji ani zdolność podejmowania decyzji.

– Nie jestem zakochana we wnuku admirała. Kocham Barina, sir.

Nastąpiła kolejna wymiana spojrzeń między kapitanem i bosmanem. Poczwała, jak przyspiesza jej serce.

– Cudownie – powiedział Solis tonem, który można było zinterpretować na kilka różnych sposobów.

Salwy ognia karabinowego zbliżały się, podobnie jak błyski ciężkiej broni Floty. Barin miał wrażenie, że powinien coś zrobić ze swoją menażerią, ale nie potrafił wymyślić, co. Jeśli wyprowadzi ich na ulice i skieruje do portu kosmicznego, mogą zostać ostrzelani; jeśli zostanie z nimi tutaj, będą stanowić doskonały cel.

– Serrano, jest taksówka, miejsce na piętnaście osób.

– Sera Takeris, pani profesor, proszę zabrać dzieci z *Elias Madero*, niemowlęta i... powiedzmy, dwie osoby dorosłe i czworo tutejszych dzieci. – Chyba będzie mógł upchnąć dziesięcioro maluchów i jeszcze zmieści się jeden dorosły. – Prima, weź jakąś kobietę, która zajmie się dziećmi.

Okazała się nią siwowłosa staruszka, pomarszczona jak suszony owoc. W niecałe trzy minuty dziesięcioro dzieci i pięcioro dorosłych zapakowano do pierwszego transportera naziemnego, który natychmiast z hałasem wystartował. Barin spojrzał na obsadzony kwiatami klomb na końcu ulicy. Na środku była wielka kamienna gwiazda. Zauważył, że na końcach jej ramion umieszczono metalowe płyty.

Nagle po drugiej stronie ulicy otworzyły się drzwi i jakaś kobieta ze wzrokiem wbitym w ziemię zaczęła sunąć w jego stronę.

Kiedy podeszła bliżej, znieruchomiała, ale słysząc zza jego pleców głos Primi, szybko wyminęła go i zaczęła z nią rozmawiać.

– An, młodszy brat Trávisa, wziął ten klucz i wsadził go w takie coś, takie pudełko, a potem Prima walnęła Trávisa patelnią, co ją niosła z kuchni, całą pełną tłuszczu ze smażonego kurczaka. To pudełko brzęczy i brzęczy, i ona powiedziała, żeby szybko pobiec i ci powiedzieć, bo jedna z niemych obcych napisała na tłuszczu: **ŹLE, ŹLE, ŹLE, SZYBKO SPROWADŹ POMOC.**

Prima spojrzała ponad jej głową na Barina.

– To bomba – powiedział, mając nadzieję, że kobieta wie, co mówi. – Te klucze ją włączają.

– Jak światło? To taki... przełącznik?

– Tak. Jeśli to bomby, które nam zabrali, do ich uzbrojenia potrzeba dwóch kluczy. – Ale jeśli ukradziono je gdzie indziej, to niekoniecznie. – Żeby nikt nie mógł ich przez przypadek uzbroić – wyjaśnił. – Kluczy trzeba użyć we właściwej kolejności.

– Gdzie są te klucze? – zapytała kobietę Prima.

– Nie wiem, proszę pani, ona tylko powiedziała mi, żebym przyszła, bo pani wysłała wiadomość, żeby przyjść, a brat Rangera Trávisa powiedział, że wszystkie jesteśmy dziwkami szatana i zasługujemy na śmierć.

– Wyślę... – zaczął mówić Barin, ale Prima podniosła rękę.

– Nie zaufają wam; mogą uwierzyć moim kobietom. Chcesz być pewien, że nikt nie użyje obu kluczy?

– Żadnego klucza, jeśli jeszcze nie jest za późno.

Prima wybrała grupę kobiet, które szybko pobiegły przez ulicę.

Tymczasem przybył następny transporter opancerzony. Barin upchnął w nim jednego pozostałego niemowlaka, pół tuzina maluchów i kobietę do opieki nad nimi. Zauważył, że Prima nie miała wątpliwości, kogo wybrać, a czekające na swoją kolej kobiety nie próbowały przepychać się czy protestować. Jeszcze jeden transporter, i prom, którym tu przylecieli, będzie pełen.

Był pewien – prawie pewien – że dwa zestawy kluczy nie zostały wykorzystane. Były jeszcze przynajmniej trzy...

Nagle na końcu ulicy rozległa się eksplozja i przeleciała obok niego chmura gryzącego dymu, a w ślad za nią w budynek uderzyły twarde odłamki. Zanim odważył się ostrożnie wyjrzeć, usłyszał w słuchawce głos majora.

– Chorąży, coś właśnie wysadziło ten uroczy skwerek przed domem. Wygląda na to, że urwało czubek tej ozdobnej gwiazdy.

Poprzez chmurę dymu i pyłu Barin zobaczył wyłaniający się wolno spomiędzy klombów złowieszczy kształt.

– Chyba znaleźliśmy pociski – powiedział, zaskoczony spokojem we własnym głosie. – Pod tą gwiazdą był silos i ktoś użył obu kluczy. – Nakazał gestem Primie, by poleciała wszystkim położyć się na podłodze, po czym poprawił i zabezpieczył swój hełm.

– Chętnie pożegnałby się z Esmay, ale...

– Serrano, co widzisz? – odezwał się major.

Barin ostrożnie wyjrzał, dopiero teraz zastanawiając się, czemu zostawił otwarte drzwi.

– To... jest około trzydziestu stóp nad ziemią i... nie rusza się.

– Czekaj na sygnał odpalenia? – zapytał inny głos w słuchawce.

– Nie wiem. Nasze ptaszki już by leciały – skomentował major. – A może to po prostu sposób na zniszczenie miasta?

Niezły pomysł. Nie pomyślał o tym, i miał głęboką nadzieję, że ta teza okaże się błędna.

Zza rogu wyłonił się pierwszy transporter opancerzony, który wrócił po następną grupę. Barin wzruszył ramionami; jeśli ten pocisk wybuchnie, nie ma znaczenia, czy ludzie będą znajdować się w budynku, czy w transporterze, i tak zginą. Kiwnął głową Primie, a ta zaczęła wskazywać kolejne osoby, aż kierowca transportera stwierdził, że nikt więcej już się nie zmieści.

– Nadlatują promy. – Oczywiście jeśli do wybuchu dojdzie w trakcie lądowania promów, zginą też wszyscy na ich pokładach. Jego decyzja o uratowaniu większej liczby ludzi może przyczynić się jedynie do zwiększenia liczby ofiar.

I pomyśleć, że on prosił o specjalizację dowódczą...

Fale uderzeniowe lądujących promów uderzały w szyby okien z grzmotem przypominającym ciężką artylerię. Zaczął liczyć: dwa, cztery, sześć... Ile wysłali za jednym razem? Dziewięć, dziesięć, jedenaście, dwanaście... Musieli wysłać wszystkie promy z *Navarino* i większość z pozostałych jednostek. Trzynaście... Grzmiący huk trwał nadal, aż pogubił się w liczeniu.

Potem gdzieś bliżej rozległ się ryk z nutą nieprzyjemnego jęku.

– Zrzucają desant. – Znów wyjrzał na zewnątrz. Pierwszy z promów wykonywał niski przelot z otwartą komorą ładunkową. Widział wyskakujących z niej marines, stabilizujących lot grawipadami i po chwili tworzących w powietrzu formację. Na północy pojawił się oślepiający promień niebieskiego światła. Nadleciał drugi prom, większy i wolniejszy, i z jego komory ładunkowej zaczęły wysuwać się ciemne pudła, które, jak miał nadzieję, zawierały ciężką broń i szybsze

transportowce. Odległe grzmoty wskazywały na lądowanie pozostałych promów.

Pojawiły się platformy grawitacyjne, wystarczająco duże, by pomieścić dwudziestu ludzi... i zaczęły opuszczać się ostrożnie w dół na szerokie ulice wokół centralnego placu. Gdy tylko dostali pozwolenie na zielony kod walki, przestali przejmować się dostosowaniem poziomu własnej techniki do techniki panującej na planecie. Cóż, tak jest szybciej...

Rozległy się kolejne wybuchy, a potem pojawiła się kolumna czarnego dymu; Barin niemal współczuł mężczyznom z karabinami i długimi nożami. Tymczasem sześćoosobowa załoga platformy grawitacyjnej wyskoczyła, robiąc miejsce dla kobiet i dzieci.

– Pierwszy prom już wystartował – usłyszał w słuchawce Barin. A więc zrealizowali podstawowe cele misji, jeśli tylko uda im się bezpiecznie dotrzeć do statku. Platforma grawitacyjna wystartowała z jękiem i w chmurze pyłu, a na jej miejsce osiadła następna i Prima znowu zaczęła ją zapełniać.

– Ładujemy na wszystkich ulicach – usłyszał Barin. Widział platformy lądujące i startujące z trzech ulic wokół placu. Obejrzał się i stwierdził, że na opróżnienie domu wystarczy jeszcze tylko jedna platforma. – Twoja kolej – powiedział do Primy.

– Ona nie leci – usłyszał męski głos. – Ta dziwka zasługuje na śmierć. – Mizerny mężczyzna, który nie podobał mu się od pierwszego wejrzenia, ale którego później zignorował, wyciągnął nóż i przystawił go do gardła Primy. Jej wzrok utkwiony w Barinie wyrażał ostrzeżenie, ale nie strach.

I wtedy neurowspomagana marinę, która sprawdzała pokoje na tyłach i akurat nadeszła, złapała go za ramię i złamała je jak słomkę, a potem rzuciła nim o ścianę i chwyciła Primę, zanim ta upadła. Jej szyja krwawiła, ale nie miała przeciętej tętnicy. Podczas gdy marinę zakładała na ranę polowy opatrunek, Prima spojrzała na Barina.

– Jesteś dobrym obrońcą – powiedziała, po czym szybko spuściła wzrok.

– Nie, to ona. – Barin wskazał na marinę, która właśnie odsłoniła przyłbicę.

– Jesteś... kobietą?

– Tak, i do tego matką. Niech się pani trzyma, nic pani nie będzie.

Ostatni transport został szybko załadowany i Barin wskoczył na pokład platformy grawitacyjnej. Lecąc nad miastem w drodze do portu kosmicznego, przyglądał się startom innych platform.

W porcie zamiast spodziewanego chaosu zastał sekcję Kontroli Lotów Grupy Desantowej.

– Chorąży Serrano, ostatnia grupa. Świetnie. Pas 23, to zakończy załadunek promu.

Na pasie 23 stał prom z napisem OSK *Shrike*. Barin pomógł swoim współpasażerom przejść z platformy do wnętrza z wąskimi ławkami, które były zaprojektowane dla żołnierzy w pancerzach, a nie cywilów w sukienkach. Potem pomagał im przypinać się, starając się ignorować walenie serca na myśl o ponownym spotkaniu z Esmay.

– Barin!

Jego serce całkowicie znieruchomiało, po czym znów zaczęło walić. Była cała i zdrowa i machała do niego z kabiny na przodzie promu. Kiwnął jej głową i uśmiechnął się szeroko, a potem znowu zajął się pracą. Poczł szarpnięcie promu i koła zaczęły podskakiwać na pasie startowym.

– Znasz ją? – zapytała Prima, łapiąc go za nadgarstek.

– Tak. To... – Jak ma jej to powiedzieć? Jakie słowa dałyby jej jasno do zrozumienia, co w jego kulturze znaczy zaręczyc się.

– Prima rzuciła szybkie spojrzenie na jego twarz, potem znów spuściła wzrok i kiwnęła głową.

– Będę posłuszną drugą żoną – oświadczyła – po tym, jak dokonasz egzekucji na moim mężu Mitchellu.

Barin nie miał pojęcia, co na to odpowiedzieć, ale na szczęście narastający grzmot silników promu uniemożliwił im dalszą rozmowę.

* * *

Daleko w dole wzbijały się w niebo ostatnie promy, a mężczyźni wdzierali się do domów Rangersów, zbrojowni, sal zebrania. Domy były puste, tylko w dwóch znaleźli dwóch martwych mężczyzn.

Klucze – których tak bardzo potrzebowali – przepadły.

* * *

Mitchellowi Pardue powiedziano, że jego żona i dzieci są bezpieczne, ale uwierzył w to dopiero, gdy zobaczył Primę. Była bosa, tak jak należy, i ubrana nieodpowiednio w jasnopomarańczowy kombinezon owinięty prześcieradłem, które zastępowało spódnice.

– Mamy nowego obrońcę – powiedziała. Spojrzała w jego twarz, a potem znów z szacunkiem spuściła wzrok. – Z rodziny Serrano.

– Prima, nie możesz po prostu...

– Zrozumiałam, że mnie okłamałeś, mężu. – Znów na niego spojrzała, tym razem prosto w oczy. – Powiedziałeś, że one wszystkie były sierotami. Powiedziałeś, że te kobiety były jedynymi, jakie kiedykolwiek znaleźliście. Nigdy nie mówiłeś mi, że zabiłeś rodziców w obecności dzieci, że zabiłeś kobiety, a nawet matki.

– Ja...

– Jeśli o mnie chodzi, Mitchellu Pardue, mogliby równie dobrze pozbawić cię głosu, ponieważ jeśli nie potrafisz mówić prawdy, po co w ogóle masz się odzywać?

Po tych słowach nie miał już co powiedzieć, zresztą nie było też i do kogo. W ostatnim akcie łaski, który rozdarł mu serce, żołnierze pokazali mu na filmie, jak jego dzieci bawią się w sali gimnastycznej na statku.

* * *

Doszli do posterunku ochrony przy bramie Floty na Rockhouse Major, gdzie zobaczyli czekające po drugiej stronie ogrodzenia tłumy.

– O Boże, media! – Nowy głos Brun wciąż był cichy i lekko ochrypły, ale poprawiał się z dnia na dzień. Esmay rzuciła jej zdziwione spojrzenie.

– Wiedziałaś, że tu będą.

– Pewnie tak, ale mogłam się łudzić. Wiesz, kiedyś kochałam być atrakcją wiadomości.

– Cóż, tym razem Barin może cię przebić – stwierdziła ze złośliwym uśmieszkiem Esmay.

Chłopak zaczerwienił się.

– Wcale nie mam dziewiętnastu żon.

– Myślisz, że reporterów to obchodzi? To świetny temat.

– Esmay...

– Ja bym go nie drażniła – stwierdziła Brun. – W końcu ty też będziesz wzbudzać sensację.

– Ja nie, ja jestem ta zwykła.

– Nie wydaje mi się. Oblubienica Ziemi Suiza zakochana w mężczyźnie obciążonym dziewiętnastoma fanatycznymi wyznawczyniami kultu, która najpierw była czarnym charakterem, a potem stała się bohaterką akcji ratunkowej? Musimy pogodzić się z tym, że wszyscy znajdziemy się w wieczornych wiadomościach.

– No dobrze, więc co nam radzisz, doświadczona bohaterko serwisów?

– Odprężcie się i dobrze się bawcie – odpowiedziała Brun. – Albo... zrobmy im prawdziwy pokaz. W końcu nam się należy.

– Jesteśmy bohaterami dnia.

– Aż boję się spytać – stwierdził Barin, rzucając spojrzenie Esmay. – Może wiesz, co ona ma na myśli?

– Nie, i wcale nie chcę wiedzieć, ale i tak się dowiemy.

– Weźcie się pod ramiona, to wam pokażę.

– Nie możemy tego zrobić; jesteśmy poważnymi zawodowcami, oficerami Floty... – Ale Barin już chwycił ją pod ramię i przekroczyli bramę jak trójka tancerzy wchodzących na oświetloną reflektorami scenę.

– Wszystko, o co musimy się martwić – powiedziała radośnie Brun, odrzucając do tyłu swoje złote loki – to piraci, złodzieje, zdrajcy, przemytnicy, zabójcy i czasami... wariaci.

Esmay spojrzała na Barina.

– Wrzucisz ją do fontanny czy ja mam to zrobić?

– Zrobmy to razem.

– Chętnie – zgodziła się Esmay.

Spis treści

Strona tytułowa.	1
Dedykacja.	3
Podziękowania.	4
ROZDZIAŁ PIERWSZY..	5
ROZDZIAŁ DRUGI.	20
ROZDZIAŁ TRZECI.	34
ROZDZIAŁ CZWARTY..	47
ROZDZIAŁ PIĄTY..	60
ROZDZIAŁ SZÓSTY..	73
ROZDZIAŁ SIÓDMY..	85
ROZDZIAŁ ÓSMY..	99
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY..	111
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY..	127
ROZDZIAŁ JEDENASTY..	141
ROZDZIAŁ DWUNASTY..	155
ROZDZIAŁ TRZYNASTY..	169
ROZDZIAŁ CZTERNASTY..	182
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY..	195
ROZDZIAŁ SZESNASTY..	206
ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY..	219
ROZDZIAŁ OSIEMNASTY..	234
ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY..	249
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY..	262
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY..	278
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI.	293
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI.	307
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY..	320